CZAS

Dodatek miesięczny.

ROK PIĄTY.

Tom XX – Zeszyt 58, 59, 60.

Październik, Listopad, Grudzień.

KRAKÓW.

CZCIONKAMI I NAKŁADEM DRUKARNI „CZASU“.

1860.

1

Październik — Listopad —

Grudzień. — 1860.

ZNACZENIE TRADYCYJ
ORAZ PODAŃ O MOGIŁACH
Wandy, Krakusa i o Smoku Wawelskim

rozważył

Józef Łepkowski.

Aby budować, tworzyć, wskrzeszać i rozjaśniać w koło siebie, potrzeba z wiarą i miłością wybrać się na drogi wiedzy wszelakiéj. Negacya i analiza sama, mogą wiele rozburzyć, ale nie postawią niczego.

Idea protestantyzmu zrobiła Niemców zimnymi a wielkimi w mrówczych pracach; ale nie widzimy, iżby ku spotęgowaniu sił swoich do jedności w duchu zdążali. Rozpraszają się na cząsteczki, prowincyonalizmy, wędrówki odległe — i wyglądają nam ci nowi zaprzańcy powszechnego kościoła, jak owe Żydy z pod krzyża na cały świat rozbiegłe.

Jeśli Berlin, Hamburg lub Norymberga, mają wyobrażać owoce protestanckiego ducha Niemiec, to on od czasu gdy zerwał tradycye z sztuką wieków średnich, w greckim i rzymskim błąka się świecie. Świadczą o tém

w tych stolicach dzisiejsze płody architektury i malarstwa.

Skalpel analizy zwrócono i do mytów przeszłości, kalecząc je a rozbierając na czynniki, pyłki, atomki.

Z narodów słowiańskich Czesi może przez miłość do swego Husa, najdaléj zaszli w analitycznéj szkole dziejowéj; to też wyziębli i martwieją. Ich Wocle i Szpringery badania nad archeologią czeską tylko po niemiecku piszą.

Ta dążność negacyjna wyłącznie, objawiać się poczęła i w badaniach dziejów naszych— ojcem jéj stał się (może mimo woli własnéj) nieporównany szperacz i wielce zasłużony Lelewel; najwyżéj zaś w zaprzeczeniu stanął Berwiński. [1])

Zaczęto się już i u nas uganiać za obaleniem tradycyj— zerwaniem owego czarodziejskiego kielicha paproci, co kwitnie w świętojańską noc dojrzenia. I sądzą: że zyska na tém prawda dziejowa, gdy wśród ojczystych pól piosnka zamilknie, mogiła do żywéj ziemi obnażona z murawy co ją zielenią okryła, ukaże białe nieboszczyków kości, a pomnikowy kamień z wiekowego mchu i bluszczu odarty, szczerbami zaświeci? Nam się wydaje iż na téj drodze zrobimy w dziejach i poczuciu ojczystém to, co protestantyzm w wierze uczynił; bo przed nożem anatoma ciepło i życie ucieka.

Wreszcie sądzimy, iż nawet te bolesne około przeszłości naszéj operacye, na pożytek wykrycia prawdy obrócić się mogą; ale tylko wtedy: gdy zwaliwszy myty, zamiast nich fakta dziejowe postawim, jak to uczynił Szajnocha z myszami Popiela. Przecież tak się nie dzieje — dowcipne argumenta rozpraszają podania, a w ich miejsce ukazują się hipotezy tylko.

---

[1]) *W studyach nad literaturą ludową.* Poznań 1854.

Mamy przed sobą dwie rozprawy, w przedmiocie który pod uwagę wziąść zamierzyliśmy: pana Karola Rogawskiego zaprzeczenie tradycyjnego znaczenia mogiłom Krakusa i Wandy [1]), i pana Lisiewskiego argumentowanie: że opowieść o wawelskim smoku i zabójcy jego, jest baśnią gockiego pochodzenia [2]).

Przypatrzymy się najpierw dowodzeniom pana Rogawskiego, streszczając je jak najkrócéj.

W r. 1859 przedsięwziął on z polecenia Towarzystwa naukowego krakowskiego, rozkopanie mogiły we wsi Siedliszowicach do Józefa hr. Załuskiego należącéj, a w okolicy Tarnowa położonéj. Umiejętnie prowadzone poszukiwanie, nie doprowadziło do spodziewanych rezultatów; gdyż na dnie kopca nie było urn, popieliska, młotków, siekierek, szkieletu lub kości. Nasunęło się tedy twierdzenie: że mogiła ta nie jest grobowiskiem; a więc stanęło naturalne pytanie: jakie wskazać przeznaczenie nasypiskom podobnym?

Zanim rozwinął pan Rogawski myśli swoje w sprawie rozwikłania zagadki; rozbiera uwagi podane o mogiłach przez najpoważniejszych badaczów téj gałęzi archeologii, jak: Lelewela, M. Grabowskiego, Chodakowskiego, Marcinkowskiego (Nowosielskiego), E. Tyszkiewicza, Narbutta i Wincentego Pola. Zestawiając i krytykując sądy wymienionych autorów, stawia pan Rogawski jako pewnik: iż nasypy ziemne mogiłami zwane, na dwa główne rozpadają się działy: to jest na ołtarze pogańskie ofiarne, które natrafiamy na brzegach większych rzek (jako w miejscach najwcześniejszych osiedlin) i na kopce

---

[1]) Rozprawę tę pod tytułem: *Wiadomość o rozkopaniu mogiły w Siedliszowicach* czytał pan Rogawski na posiedzeniu Tow. nauk. krak.; a ogłosił ją w *Bibliotece Warszawskiéj* z r. 1860 w zeszycie z lipca i w osobnych odbiciach.

[2]) *Dodatek do Czasu* Tom VIII od str. 61.

nagrobne, zwykle rozproszone i jakoby z przygody sypane. Pierwsze, to jest ołtarze, zwie pan Rogawski *mogiłami*, wywodząc początek nazwy z sanskrycko-mongolskiego źródłosłowu od wyrazu *muhe*, co ma znaczyć świątynią — drugie, te nagrobne kopce, zwie *kurchanami*, wskazując pochodzenie etymologiczne z tatarskiego, gdzie tak mianują nagrobek.

Następnie zestawiwszy to, co: Gallus, Dzierzwa, Kadłubek, Dąbrówka, Kalimach, Grzegórz z Sanoka, Długosz a wreszcie Lelewel i Bielowski o Wandzie i Krakusie mówią, przychodzi do przekonania: że podania mogił Krakusa i Wandy się tyczące, narodziły się w fantazyi Długosza. Mogiły więc owe są zabytkami czci słońca, ołtarzami pogańskiemi. Wreszcie przechodzi do uczonych i pięknie przeprowadzonych badań nad Sobótkami, czcią słońca i Światowidem, którego symbole tłumaczy.

Ta ostatnia część rozprawy, nie wchodzi teraz w rozbiór nasz; tembardziéj, że Hanusz, Mone, Szulc i Żebrawski, na których badaniach oparł się pan Rogawski, nie inaczéj (choć nie tak ściśle i powabnie) znaczenie mistyczne Światowida tłumaczyli.

Kończąc sprawozdanie z treści rozprawy pana Rogawskiego, dodam: iż w sprawie podziału usypisk ziemnych opiera się głównie na Chodakowskim — rozumienie iż mogiły są ołtarzami, snuje z uwag Nowosielskiego i Pola—w sprawie zaś zwalenia podań o Wandzie i Krakusie, idzie za Lelewelem i Bielowskim; a z Szajnochą, gdzie z nim spotkać mu się przyszło, cierpko się rozprawił.

Mamyż więc skazać na wieczne milczenie podania o Wandzie i Krakusie, a powitać u stóp Wawelu ołtarze słońca, zapomniane przez wieki z upadkiem czci, z którą razem i prawda o nich zginęła, błędném zastąpiona podaniem? Mamyż obaliwszy tradycyą wieków po-

kłonić się postawionéj w jéj miejsce hipotezie, czcząc tém istotny talent autorski i prawdziwie pięknie przeprowadzone dowodzenia pana Rogawskiego?

Co do mnie, spróbuję bronić staréj wiary, nie zamierzając wywoływać polemiki; bo już z góry zgadzam się na sąd światłego czytelnika. Nie mam ja nawet pana Rogawskiego przeciw sobie — boć on tylko uwierzył, że podania o mogiłach krakowskich już zwalone przez poprzedników (na których twierdzeniach się oparł); sam wreszcie dotuszył abym wystąpił w téj sprawie, bo mi szczerze powiedział: „pisz, może prawda ani przy mnie, ani przy tobie, ale gdzie w środku lub przed nami się znajdzie.“

Dowodzenie tedy moje tak rozdzielę: iż zanim powiem o powadze tradycyj Wandy i Krakusa się tyczących; zastanowię się pierw nad znaczeniem i naturą usypisk ziemnych mogiłami zwanych — a wreszcie poddam pod uwagę czytelnika: czy warto dla archeologicznéj hipotezy nakazać milczenie podaniom odwiecznym?

Badanie w téj sprawie na ściślejszych oprzećby można dowodach, gdyby przedewszystkiém przygotowano mapę archeologiczną Słowiańszczyzny całéj.

Potrzebaby zrobić wykaz bibliograficzny wszystkiego co o mogiłach słowiańskich pisano, zebrać wiadomości o rysunkach tych zabytków i odkrytych w nich przedmiotów; zaznaczywszy na mapie miejsca w których się mogiły znajdują. Wypadłoby odróżnić stósownemi znakami te których wnętrze znane, od tych, które wcale jeszcze dotąd nie były badane. Polskie naukowe instytucye, pracy takiéj z łatwością podołaćby mogły, łącząc się do tego celu, jak: Tow. nauk. krak., Komisya archeologiczna wileńska, Zakład narodowy imienia Ossolińskich, Tow. przyjaciół nauk poznańskie i redakcyjne grono Biblioteki warszawskiéj; oraz podobne tym naukowe zakłady: rosyjskie, czeskie, serbskie, kroackie, dalmackie

i Niemiec północnych. Takie mapy już mają Anglicy— poczynają je wykonywać francuzkie departamentowe archeologiczne towarzystwa. Czechom zrobił kartę podobną w r. 1856 Antoni Schmitt, a Niemcom tegoż roku H. Müller. Wykonanie téj mapy archeologicznéj powinno poprzedzić wszelkie dalsze studya. Już od roku 1852 (a zatém wcześniéj niż Niemcy i Czesi o tém pomyśleli) zachęcałem nasze naukowe Towarzystwa do podjęcia téj koniecznéj pracy; łatwo potém karta taka dałaby się zastósować do zaznaczenia zabytków: architektury, malarstwa, dróg apostolstwa wiary, napadów etc. etc.

Zobaczylibyśmy naocznie: w jakim mogiły zostają stosunku do położenia ziemi, względnie morza, rzek i gór. Moglibyśmy wtedy dopiero mieć przed sobą dowody twierdzenia Chodakowskiego, popieranego przez pana Rogawskiego: że mogiły ukazują się głównie na pobrzeżach rzek, a w górach i okolicach gdzie większych wód nie ma, i kopców też nie znajdywano.

Z zbyt ogólnego jednak przeglądu mogił, jaki w téj chwili podać możemy, spostrzeżenie to poczęści słuszném nam się wydaje; chociaż do orzeczenia w téj sprawie, potrzebaby wiedzieć z miejscowych podań: które z owych nasypisk nie dadzą się odnieść do wieków pogańskich, a przeszłością swoją ledwo wojen szwedzkich lub bliższych nam jeszcze czasów sięgają.

Ukraina przedstawia się jakby cmentarz wędrownych plemion i kurchanów ojczyzna. [1])

---

[1]) Mamy Ukrainy opisy z wieku XIII: Rubruka i Karpina de Plano. W r. 1660 wyszła w Rouen (chez Jacques Caillone) książ. Beauplana *(Description d'Ukranie* (sic) etc. Janowi Kazimierzowi poświęcona. Niemcewicz podał z niéj wyjątki w przekładzie polskim w IIIcim tomie *Pamiętników;* a teraz (r. 1860) wydał ją powtórnie w Paryżu Techner. M. Grabowskiego, Nowosielskiego i inne opisy Ukrainy zacytujemy w ciągu pracy naszéj.

Około Krakowa, prócz mogił: Wandy, Krakusa i Esterki, mamy kopiec w Łuczanowicach.

Są mogiły w Sandomierskiém, Proszowskiém i Kaliskiém; jak we wsiach: Ruszczy, Nietui, Czarnocinie, Ziemblicach, Zagórzycach, Miernowie, koło Szkalmierza i Wiślicy. W Łęczyckiém: w Orenicach, Oszkowicach, nad Pilicą (pod miasteczkiem Mogielnicą) w Stamierowicach mogiła Popkowa — tamże (pod Białobrzegiem) we wsi Szczytach—także w borze dóbr Brudzewia (między Nowém miastem a Studzianną). Uczony Sobieszczański twierdzi: [1]) że na ziemiach dawnéj Polski, tylko w Podlaskiém i na Mazowszu mogił nie ma.

Wiemy o wielu mogiłach w Płockiém, w Litwie, i na Pomorzu. [2])

W Galicyi zachodniéj ledwo jedna mogiła w *Krakuszowicach*— za to nad Dniestrem ich pełno.

Poczynają się na Rusi w *Przemyślskiém* (w okolicy Sieniawy i Stubna); są w *Stanisławowskiém*, *Brzeżańskiém*, *Złoczowskiém*, *Tarnopolskiém*, *Kołomyjskiém* i na *Bukowinie*.

W okolicach *Nowogrodu* kurchanów nie mało.

W ciągu rozprawy wiele miejsc szczegółowo wskażę, w których się mogiły znajdują.

Są też nazwy osad które w widocznéj z mogiłami analogii zostają, jak: w Galicyi, *Mogiła*, (pod Krakowem), *Mogilany* (w Wadowskiém), *Mogilno* (w Sądeckiém), *Mogielnica*, (pod Tarnopolem), *Mogilany* (w Żołkiewskiém), *Mogiły*, (przysiołek w Rzeszowskiém).

W królestwie polskiém, 5 *Mogielnic* (w Mazowieckiém,

---

[1]) *Wiadomości o sztukach pięknych* I, 9.

[2]) O mogiłach w okolicy Gdańska zdałem relacyą w *Bibliotece Warsz.* (z r. 1852 Tom II str. 523. Czytaj w téj sprawie: *De tumulis et urnis sepulcralibus in Prussia* pr. Christ. Reusch et Chr. Lau. Regiomonti 1724, z rycinami. —

Lubelskiém, Płockiém, Podlaskiém i Augustowskiém), *Mogielniczka* (w Płockiém), *Mogilno* i *Mogiły* (w Kaliskiém), a *Mogiła* (w okolicy Jędrzejowa).

Mogilno w Wielkiéj Polsce — *Mohiłów* na Litwie — *Mohilno* w Mińskiém—*Mohyłowy* nad Dniestrem i Dnieprem.

Wreszcie Förstemann, mówiąc o mogiłach na Pomorzu [1]) przyznaje, iż nazwy osad: *Mücheln*, *Mügeln*, *Müglitz* i *Müggelsee*, od mogił poszły.

Rodzina Mogiłów ma swoje groby w *Suczawicy* na Bukowinie. Są Mogilniccy Korczakowie.

Jest nakoniec litewski herb Mogiła, przedstawiający w rysunku swoim: jakby sarkofag z krzyżami do trzech jego boków przyczepionemi— więc powstał widocznie za czasów przyjętego już Chrześciaństwa.

Wocel (*w Grundzüge der böhmischen Alterthumskunde)* wylicza w Czechach istniejące grobowe nasypy mogilne, w okolicach: *Pomokla*, *Teirzowic*, *Skrziwania*, *Libosina*, *Krzestańca*, *Zbeczna*, *Wszerowa* i *Watislawia*. Są tam mogiły głównie na brzegach *Mizy*— w grupach ani w większéj ilości się nie znajdują. Niektóre mają nazwiska, jak: *Homole*, *Wohyb*, *Kotina*, itp.

W podróżach Xcia Alexandra Sapiehy, odbytych po Słowiańszczyznie południowéj, znajduję częste a ważne o mogiłach wzmianki. O tych jakie są w północnych Niemczech, w Skandynawii, i nad Gangesem, przyjdzie mi tutaj wspomnieć wielokrotnie.

Sypali Chaldejczycy mogiły na 2000 lat przed Chrystusem, znacząc niemi swój pobyt nad Tygrysem i Eufratem — znalazł je tam niedawno i opisał uczony Anglik Kennet Luftus. Mamy mogiły u Greków, na co

---

[1]) *Neue Mittheilungen* (Halle 1846 VIII. Zesz. 2gi str. 18).

choćby już w samym Homerze wiele znajdzie się dowodów (Ilijada XXIV, 798).

Rzymianie wznosili je nad ciałami niespalonych umarłych. Wreszcie o indyjskich kurchanach, nieraz tu wspomnieć nam przyjdzie. W téj zaś sprawie trudno pominąć zacytowania autorów o grobach i pogrzebach specyalnie traktujących; jak: Kirchmann [1]), Jakób Grimm [2]) i Ernest Feydeau [3]).

Nakoniec przytoczymy za Sobieszczańskim [4]) iż: Herodot mówi o mogiłach u Scytów, które sypali królom swoim. Pallas znajdował je nad Wołgą i u stóp Uralu, w stepach Kirgizów i Kozaków. Jefferson opisuje kurchany w Wirginii, Altvater w państwie Ohio, Spartman u Kafrów, a John Barrów u Hottentotów.

Co do kształtu, bywają nasze ziemne nasypy: okrągłe, owalne, wydrążone (majdanami zwane), wreszcie piętrzące się, niby z dwóch na sobie stojących mogił zestawione.

Wewnątrz miewają mogiły: izby murowane jak np. Łuczanowska (pod Krakowem), komory z drzewa, przegrody z płyt kamiennych. Bywają w nich: ślady spalonych ciał, szkielety, kości zwierzęce i ludzkie, popielnice, zbroje i różne naczynia. Wreszcie są i takie nasypy, w których jak w siedliszowskim kopcu, nic nie znaleziono.

Ze względu na cel mogił, jedni jak Pol, utrzymują: iż one wędrownym ludom znaczyły ślady kierunkowe, i

---

[1]) *De Funeribus Romanorum* editio quarta Francofurti 1672.

[2]) *Über das Verbrennen der Leichen* von I. Grimm, rozprawa wydana r. 1849 bez miejsca druku.

[3]) *Histoire des usages funébres par E. Feydeau* Paris. Téj ważnéj a wspaniałéj publikacyi dopiero drugi tom obecnie wychodzi.

[4]) *Wiadomości o sztukach pięknych* I. str. 8.

jakby religijne stacye, będąc dla nich drogoskazami po ziemi. Kopce tém być miały na lądzie dla przechodnich plemion, czém są gwiazdy dla morskich żeglarzy. Inni jak Chodakowski i Nowosielski, twierdzą: że mogiły, to symboliczne ołtarze pierwotnéj religii, a piętrzenia się i zakończenia ich kilkoma szczytami, tłumaczą: stosowaniem tutaj buddaistycznych pojęć, do pewnych liczb mistycznie odnoszonych.

Michał Grabowski poczytuje jedne mogiły za grobowiska, inne uważa (wedle Herodota) za miejsca wojennych ludożerczych biesiad; inne wreszcie determinuje jako stacye obronne, horodki i sądowe okopiszcza. Takie zdania objawiono szczególniéj o kopcach ukraińskich.

Napotykamy znów gdzieindziéj mogiły które zwią: grobami Aryanów, drugie Szwedów, jeszcze inne Tatarów.

Na Ukrainie w majdanach wyrabiają dziegieć i smołę; a może na to je nawet usypano.

Mogiły w borach, powstają często z gałęzi i ziemi (obyczajem u Hebreów już znanym) rzucanych na grób samobójcy lub winowajcy, pochowanego w odludném miejscu.

Jako cel nasypów ziemnych przytoczyć jeszcze można: zaznaczenie brodów przez rzeki; lub wojenne powody, jak np. wały na Ukrainie, lub ów Trajana na Podolu [1]). Sypano też kopce dla przekazania przyszłości pamięci o zdarzonym wypadku, jak to miało miejsce w Galicyi, gdy na pamiątkę r. 1846 kopiec na górze śgo Marcina (pod Tarnowem) sypać zaczęto. Wreszcie wznoszono pewno mogiły ku chwale bohatyrów, podobnie jak nasze pokolenie uczciło Kościuszkę.

Wiele mogił osnuły podania, a niektóre nawet nazwy mają, jak: *Krakusa, Wandy, Esterki, Lecha* (pod Gnie-

---

[1]) Czytaj o tym wale: *Statystykę gubernii Podolskiéj* X. W. Marczyńskiego. Wilno 1820 r. str. 286.

znem), *Gedymina* (pod Wilnem), *Biruty* żony Kiejstuta (na Żmudzi), *Gostomysła* (pod Nowogrodem), *Nebaby* (w okolicy Trembowli). O mogile *Goślickiego* (na Podolu), wspomina Paprocki mówiąc o téj rodzinie. Na Ukrainie: *Perepiatyhy*, *Soroka*, *Turówróg*, *Wezyrka*, *Czarnecka*, *Opłaczkowa*, *Zbarażna*, *Galiczyna*, *Nazariewa*, *Biesiadka*, *Jadwiga*, *Baszyna*, *Szachowa*, *Żmijowa*, *Koczubejowa*, *Orlikowa*, *Dziewicza*, *Tiwan*, *Szokurina* itd.

Zważywszy owe nazwiska, i te różne przyczyny wskazane jako cele dla których mogiły sypano; trudno (rozcinając jakby pałaszem węzeł zagadki) przystać z panem Rogawskim na wniosek: że każdy kopiec w którym kości lub popiołów nie ma, jest ołtarzem. Może on nim być, gdy są na to poszlaki — ale też nic nie przeszkadza do twierdzenia: że ten lub ów kopiec usypano na stannicę wojenną, drogoskaz, znak brodu przez rzekę, na sądy, ku pamiątce, lub na cześć znakomitego. Czyż wreszcie popioły i kości są wieczne? czyż i one w pewnych rozkładowi sprzyjających okolicznościach, nie mogą się po tysiącach lat z ziemią zupełnie pomięszać?

Mimo to, wszystkie mogiły w których kości nie ma, chce pan Rogawski mieć koniecznie słońca ołtarzami. W dowodzeniu swojém idąc (jak powiedzieliśmy) za zdaniem Nowosielskiego; rozwinął znaczenie gór jako miejsc świętych, do których się religijne wszystkich ludów poczepiały tradycye. Dawszy wreszcie obraz chrześciańskich podań, co jak mówi: przez Horeb i Syon aż do Golgoty doszły; twierdzi ostatecznie: iż mogiły sypano często tam gdzie gór nie ma, aby na nich słońcu cześć oddawać.

Nie lękając się dowodzeń tych, bliżéj nawet pomówimy o religijnéj gór tradycyi; a mimo rzeczywistego uświęcenia miejsc wyniosłych we wszystkich wiarach, hipoteza pana Rogawskiego, tam gdzie mogiłę stale na sam ołtarz zmienia, tylko pięknie przeprawadzoném studium zostanie.

Już w istocie człowieka leży uczucie: iż pnąc się materyalnie ku górze, i duchem wyżéj się wznosi. Z rozszerzonym przed okiem widnokręgiem i moralny pogląd potęguje się i rośnie. Gdy staniesz na szczycie góry, zda ci się żeś się oderwał od łez padołu, gorzkości i drobnych prac twoich — czujesz małość ziemskich zabiegów, co cię w owym domu twoim ledwo teraz widnym niby punkcik jaki, wiążą a przykuwają do ziemi, trudu i pracy. Nawet mogiłki i krzyże cmentarza, znikły w drzew zieleni — a myśl gdzieś w błękitu obszary ku Bogu uciekła.

To też wszelki człowiek na ziemi gdy Stwórcy chciał złożyć ofiarę; z wysokiéj góry wśród dymu kadzideł, pierwszą słał niebu modlitwę.

Herodot [1]) i Strabo [2]) uczą nas o Persach składających bogom ofiary na szczytach gór wyniosłych.

Jako postęp wiar bałwochwalczych, uważać wypada stawianie na górach słupów drewnianych lub kamiennych ołtarzy; a nawet świątynie pogańskie wieńczą ich wierzchołki: w Kartagenie, Pafos i Mabugu. Baal u Fenicyan i Kartagów na górach ma posągi swoje. [3])

Między górami Grecyi Olimp tessalski pierwsze trzyma miejsce, jako szczyt wedle mniemania Greków najwyższy na świecie — to też bogowie na nim zasiedli.

Pojęcie góry zamieszkanéj przez bóstwa, w odleglejszéj jeszcze spotykamy starożytności; bo już Arabowie i Hindus stary, takie myty nam przekazali. Siedlisko bogów na górach zwało się u Arabów *Kaf* [4]) u ludów Zen-

---

[1]) *Herodot* I, 131.
[2]) *Strabo* V, 732.
[3]) *Jeremijasz* 19, 5, 32, 29.
[4]) *Herbelot, Orient. Bibliothek* II, 37.

dy *Al-Bordsch* [1]) u Indów *Meru* [2]). W starym testamencie czytamy o pagórkach *Bamot* na ofiarne przeznaczonych ołtarze.

Wróćmy jeszcze do Greków.—Jak wiadomo, świątynie Jowisza szczyty gór wieńczyły; bo ów bóg *summus et superantissimus*, już z zasady rytualnéj, na wysokich tylko górach czczonym bywał. Rzymianie przejmując greckie pojęcia, wznieśli Jowiszowi świątnice na wyżynach Kapitolu i Albańskiéj góry.

Gallickie Druidy na wierzchołkach gór święte spełniają ofiary — Cezar opowiada o takichże ołtarzach w Bretanii, a i z wyżyn Erinu dymiły się bogom kadzidła.

Z pisma śgo dość przytoczyć góry: Horeb, Sinaj, Moria, gdzie stała Salomonowa świątynia i samarytański kościół na szczycie Garizim.

W nowym testamencie: Chrystus Pan wstępuje na górę aby się modlić, z góry mówi do ludu, na Golgocie umiera, a na skale buduje kościół swój. Chociaż owa Piotrowa opoka występuje w tém miejscu w symboliczném znaczeniu; przecież śladem staréj tradycyi, jak tylko kościół opuścił podziemia katakumb, katedry i klasztory na górach stawiać zaczęto.

Dalsze nawet zastósowanie odwiecznego podania, oddalającego świątynię od ognisk spraw powszednich, przechowano w budowie chrześciańskich kościołów; bo najstarsze katedry jaki nasza na Wawelu, stanęły zdala od ruchliwych dzielnic ludnych stolic i miast gwarliwych.

Wznosząc za murami grodów dawne katedry: w Fiesole, Arezzo, Piacenza, Pizie, Siennie, Lucce i w tylu innych miastach, chciano zapewne sprawić niejakie oczy-

---

[1]) *Klenker, Zend-Avesta* II, 222, III, 67, 70, 73.
[2]) *Vard, View, of the History Litterature and Religion of the Hindous* London 1817, Vol. I. 13.

szczenie ducha z ziemskich zajęć; gdy człowiek idąc na modlitwę musiał oddalić się nawet materyalnie od domu swego, a wstępując na górę, pamięć Golgoty w duszy odświeżał.

Spiesząc się z dalszym uwag naszych rozwojem, nie będziemy tutaj powtarzać głębokich badań, jakie uczony Braun spisał niedawno w sprawie zwyczaju stawiania katedr chrześciańskich: na górach, nad wodą i za murami ludnych stolic.

Nie przeczymy więc temu co pan Rogawski o ołtarzach na górach w swojéj rozprawie powiedział: owszem wskazaliśmy bliżéj tradycye jakiemi ludy i wieki, uświetniły góry w aureolę wszystkich wiar odziane. Jakżeż jednak nawet z tak rozwiniętych podań dojść do wniosku: że tysiące mogił ukraińskich i te nasze Wandy i Krakusa, są koniecznie słońca ołtarzami?

Widzimy na skalistych szczytach świątynie, do których z równin i dolin pogańskie i chrześciańskie ludy jak my do *Jasnéjgóry* zdala w nabożnych dążą pielgrzymkach; ale nigdzie nie natrafiamy śladów: aby tam gdzie wyżyn nie ma, sypano pagórki — które tą razą wydaćby się mogły karykaturami i przedrzeźnianiem tylko tych pobudek, jakie pogan i chrześcian do stawiania ołtarzy na górach skłaniały. Zresztą jak wytłumaczym okoliczność: że tysiące mogił dochował nam step ukraiński, nigdy stałemi osadami nie zaludniony; a od wieków zamieszkała Wielka i Mała Polska, ledwo kilkadziesiąt ich przekazała z przeszłości? Na odpowiedź: że je rozkopano — przytoczę uwagę: że świętego miejsca pługiem i łopatą nie tak łatwo naruszyć.

Opór chłopów okazany komisyi badającéj mogiły ukraińskie i pomoc rządowa jakiéj musiał pan Rogawski użyć przy rozkopaniu Siedliszowskiego kopca, przekonać go mogą dostatecznie: że i dziś trudno przychodzi naruszyć miejsce aureolą świętości okryte.

Gdyby nawet utrzymać się mogło twierdzenie: że gdzie gór nie było tam je sztuczném nasypiskiem z ziemi naśladować chciano; to i w tym wypadku reflektującą jest okoliczność: że Krakusowa mogiła wznosi się u podnóża Karpat, usypana właśnie na wyżynach Krzemionkami zwanych, na wzgórzu Lassoty. Więc góra na górze!? Choćbyśmy pojęciu mogiły znaczenie ołtarza przypisać chcieli, to i takie nawet tłumaczenie niedalekie od przekazania potomnym zmarłych pamięci. Pominę okoliczność: że w Budaizmie przechowało się podanie: jako król *Açoka* (na 250 lat przed Chrystusem żyjący) ciało Buddy na 84,000 części rozdzielone w mnóstwie *Stupów* to jest mogił po kraju przechował. Tak pogrzebiono ciała uczniów i następców tego zakonodawcy. Nie będę się rozwodził nad pochowaniem zwłok Mojżesza przeciw Phogor; nawiasem tylko przytoczę: że kościół nasz od posady swéj na kościach męczenników wziął miano swoje; a świątobliwy opat z Fuldy Rabanus Maurus tłumaczy: iż w chrześciaństwie kopce ziemne nieodłączne od siebie pojęcie śmierci nasuwają, oznaczając symbolicznie męczenników.

Nasze tego rodzaju *uroczyska*, *żalniki*, ruskie *kładbiszcza*, często na górach się spotyka. Wsie *Mogielany* (nad Krakowem), *Mogilno* (w Sandeckiém) i innych téj nazwy wiele; na wysokich rozsiane wyżynach, wskazują mianem swojém, że tam na dawnym osiadły cmentarzysku. Mogilniki w Wielkopolsce, znajdują się zwykle w stronie południowéj względnie wsi i osad; a często nad wodą, w piaskach — prawie zawsze na wzgórkach okolicy panujących.

Ależ, choć dowodzim: że mogiła jako grób istnieje na całym świecie; choć okazujemy: że pozostała nazwa góry, mogiły przypomina; to z tych przytoczeń (z uwagi, że pan Rogawski pod nazwą *mogiły* ołtarz rozumie) główny nacisk dać musimy na okoliczność: że w indyjskich

stupach, chaldejskich kurchanach, greckich i rzymskich *tumulach* i naszych mogiłach, najpowszechniéj kości, szkielety i popioły znajdują. Najnaturalniejszą bowiem i łatwą do pojęcia jest sprawą: ża gdy trupa lub popioły do ziemi zaryto, kopiec koniecznie powstać musiał na wierzchu. Ztąd nasyp, taki pierw pojęcie grobu, niż każde inne tłumaczenie nastręcza.

Przejdźmy jeszcze do podziału jaki pan Rogawski uczynił z powodu swego etimologicznego wywodu: przyznając *kurchanom* znaczenie grobu, którego *mogile* zaprzeczył. Uczynił to w sposób następny. Szajnocha w dziele *Lechicki początek Polski* nazwę mogiły wyprowadził z skandynawskiego *megel*, *mikel*, co znaczy *wielki*; zamiast tego źłódłosłowu postawił pan Rogawski mongolskie *muhe*, wyraz używany do oznaczenia *świątyni*. *Kurchanowi* każe pochodzić z tatarskiego, gdzie nasyp nagrobny tak nazywać mają. Ztąd *mogiła* stała się u pana Rogawskiego ołtarzem tylko, a *kurchan* umarłych pamiątką. Gdy zważymy, że w bardziéj źródłowym języku (niż mongolski i tatarski) bo w staréj Hindu mowie, *khara* znaczy górę, a *maghan* wyniosłość; [1]) wtedy mniéj szczęśliwemi wydadzą nam się te etimologiczne badania. Dowodzi bowiem sanskryt: że nazwaniem tak mogiły jak i kurchanu kierowało jedno i tożsamo pojęcie, zwrócone do oznaczenia tylko w oko uderzającéj wyniosłości, bez bliższego określenia celu nasypiska ziemnego.

Nie rozbierając ściśléj tych subtelności etymologicznych (postawionych przez pana Rogawskiego), zamkniemy rozważanie nasze uwagą: że we wszystkich mowach

---

[1]) *Mag* jest tu źródłosłowem (ztąd *magnus*), a stosunek jego do naszéj *mogiły* jest ten sam: jaki znajdziemy np. w łacińskim wyrazie *tumulus* badając jego żrodło i pochodne. Uczony filolog Dr. B. Jülg prof. uniw. Jagell. utwierdził nas w słuszności tego wywodu.

słowiańskich, wyrazy: *mogiła, mogilnik, mogiłki, mogilny,* etc. tylko pojęcie grobu, pogrzebu, cmentarza i żalu po umarłych znaczyły. Choćby sobie Tatar, Mongoł i nie wiem kto tam jeszcze, pod mianem mogiły ołtarz lub górę pojmował; to od wieków i na potomne czasy, mogiła zawsze u wszystkich ludów słowiańskich miała i mieć będzie wewnętrzne znaczenie grobu. *Kurchan* zaś (choć jako nazwa synonimem jest mogiły) zewnętrzniejsze mieści w sobie pojęcie, służąc za miano ogólne kopcu każdemu.

Pominąwszy pieśni i podania ludowe, *mogiła* w języku piśmiennym w całéj naszéj literaturze grób znaczy; *kurchan* wyraz właściwie w Rosyi, a u nas na Rusi częściéj niż mogiła jest używany. Usunąwszy na bok Sanskryt, języki Tatarów, Mongołów, Skandynawów etc. w mowach słowiańskich nie znajdziemy powodu do ścisłego rozróżniania pojęć: *mogiły* i *kurchanu*—a z naszego tylko słowa nasza myśl da się tłumaczyć.

Gdyby cześć słońca złączyła się była z kopcem usypanym i wyrazem *mogiła,* ślad tego religijnego (a zatém głęboko wkorzenionego pojęcia) byłby pozostał w poczuciu jeśli już nie u polskiego, to choćby u innego jakiego słowiańskiego narodu.

Wreszcie w dalszém tutaj dowodzeniu znajdzie się (z lekka wyżéj już dotknięte) zestawienie pojęcia mogiły zarazem jako grobu i ołtarza; bo jedno przeznaczenie, obok drugiego celu, stosownie bez wzajemnego negowania obu tych własności, istniećby mogło.

Zanim jednak zdążę do tych wniosków i konkluzyj, opowiem co myślę o owych gromadach mogił, jakie nam zagadkowo Ukraina przedstawia.

Przed kilku laty zwiedzałem Szlezwik i Danią. Gdyśmy brzegami Szlezwiku po północném morzu płynęli, na piasczystych równinach wyspy Syltu zarysowały się nam przed oczami grupy czarnych mogił. Mogiła tak jakoś

spoiła się z duszą słowiańską, że nam koniecznie ojczystą przypomina ziemię. Gdy ją w obczyznie zobaczysz, złudzisz się: myśląc iż gdzieś blisko i polska słomiana strzecha gościnne wrota ci otworzy. Więcéj tedy z uczucia, jak z naukowéj ciekawości, wdałem się w rozmowę z jakimś tych tu stron mieszkańcem a wykształconym Duńczykiem. Samotna a prawie bezludna wyspa, tylko mogiły, wysuwające się jedna z za drngiéj, jakby do archeologicznego nam prezentowała przeglądu. Zanim się tedy ukazały łodzie z Hover co nas do brzegów północnego Szlezwiku dostawić miały; ja już z rozmowy do któréj się kilka osób wmięszało, spisałem notatkę o owych mogiłach. Otóż dziwna, że natura podań o kurchanach Syltu, sama nawet fizyognomia ogólna téj wyspy, w istotnéj zostaje analogii z Ukrainą naszą.

Mogił tam wiele w północnym Szlezwiku i w Holsztynie, a szczególnie na wyspach. Niemcy pisali o nich nie mało, a dla studyów kilka rozkopano — znaleziono popioły i kamienne tylko zabytki—żelaza, bronzu, i złota nie było. W Fryzyjskiém jest tych kopców z górą 60— zwią je tam *Hooge* (Hügeln). Gdy mi nazwy mogił tych wskazywano, jak: *Gurthora, Ringhora* etc. owo *hora* (góra), uderzyło mnie jakby Słowian przypomnienie. Dochowały się tutaj podania o bohatyrach których kości legły w tych kurchanach—a imiona Bröna, Gurta, Ringa, Litego, przez wieki przy mogiłach zostały.

Tradycye te, o losach owych wojowników, choć zimno a bezbarwnie po szczególe przez ponurego Duńczyka opowiadane, zdradzały kolorytem swoim: że je inny zrodził lud, niż ten co tu dziś spokojne obok tych mogił założył sobie mieszkania. Wydały mi się one, jako owe rośliny, których nasiona wiatr lub ptak z innego przyniósł kraju; a tu biedne na piasku wyróść i rozkwitnąć musiały.

Małe okienko otwarło mi się do zajrzenia w tę przeszłość Styltu, co już znikał nam z przed oczów; gdy majtek okrętowy jął się mięszać w rozmowę naszą opowiadając: jako fryzyjscy żeglarze chowali się przed wieki na wyspie owéj, jako tu przypływali z trupami swoich choćby oni w najdalszych gdzieś stronach na wyprawach pomarli, sypiąc dla nich te oto kopce nagrobne. Miejsce mogił nazwał opowiadający *stepem* wymawiając dobitnie wyraz *steppe*; choć pojęcia jego bliżéj oznaczyć nie umiał.

Więc na Pomorzu szlezwickiém mamy *step*, mogiły co je wędrowny żeglarski lud dla mołojców swoich usypał! Przyszedł mi na myśl step ukraiński, a z nim owo Kozactwo; co może także z czarnomorskich gdzieś wycieczek trupy na swoje stepy dla pogrzebu zwoziło.

Odwieczny to obyczaj ciała zmarłych w ojczystéj chować ziemi; a każdy prawie człowiek żywi w duszy pragnienie by i w grobie obok swoich się położył.

„Łzy się zdają mniéj gorzkiemi
Gdy swa ziemia je wypiła
Lżejszą zda się i mogiła
Gdy sypana ze swéj ziemi.“ [1])

Jakób prosi Józefa aby kości jego zabrał z sobą z Egiptu; a Mojżesz do ziemi obiecanéj z popiołami przodków się wyprawia. Grecy i Rzymianie trupów swoich z pobojowisk do ojczystych zwożą grobów. My choć tyle swoich kości mamy na cmentarzach Europy a nawet Ameryki i na pobojowiskach ledwie nie świata całego; sprowadzaliśmy ciała: biskupa Iwona z Mutiny, Jana Kazimierza z Nevers, Poniatowskiego z Lipska, Kościu-

---

[1]) Deotima.

szki z Solury, Woronicza z Wiednia, że innych pominę. Turcy dotąd mają narodowy cmentarz w Azyatyckiém Skutari; a Żydzi za błogosławieństwo boże poczytują: gdy któremu z nich w jerozolimskiéj ziemi przyjdzie się na wieczny położyć spoczynek.

Czemużby więc nie przyjąć: że większość owego mnóstwa mogił, których w samych 12 powiatach gubernii kijowskiéj do siedmiu tysięcy zliczono, nie miała być olbrzymim różnych plemion cmentarzem? Toć nawet owe zbrojne tłumy Kozactwa nie były ludnością w spółeczeńskie rolnicze i wioskowe życie zorganizowaną, ale ludem ledwie nie téj wędrownéj natury jak Tatary i Nogaje. [1])

Gdym właśnie spisał dotąd wywody moje, pan Fr. Kołosowski następnéj udzielił mi wiadomości, ukraińskich mogił się tyczącéj. [2])

„W roku 1252 wysłał król francuzki Ludwik Święty

---

[1]) Sołowiew, Kostomarów i Padalica, wiodą teraz (1860) *w Kuryerze wileńskim* uczone spory o Kozaków i ich dzieje; a świadectwa o ludach słowiańskich jakie podają: Herodot, Pytheas, Timeus, Diodor, Strabo, Pomponius Mela, Plinius, Tacyt, Ptolomeusz, Ammianus, Jornandes i inni, zestawił uczenie Ignacy Daniłowicz; téj zaś pracy użył Sidorowicz za wstęp do wydanego przez siebie r. 1860. *Litwy i Rusi dyplomataryusza.*

[2]) Dodać tutaj winniśmy: iż M. Wiszniewski w *Hist. lit. pols.* (Tom II od str. 204—223) przywodzi w polskim przekładzie całą podobnąż relacyą; z poselstwa wyprawianego do Tartaryi r. 1246. Wysłał wtedy Papież Innocenty IV takoż Franciszkanów, ale Polaków: Karpina de Plano i Benedykta. Ciekawy jest opis téj podróży gdzie nasi mnisi opisując przygody swoje i przebyte kraje wspominają o pomarłych z pragnienia na stepie kirgizkim ruskich bojarach; a cząsto jadąc napotykali miejsca gdzie „czaszki i kości ludzkie leżały na ziemi jakby gnój jaki.“

Czytając te relacye, tém mocniéj się utwierdzam: że stepy, to cmentarzysko wędrownych azyatyckich ludów i różnych plemion; co bądź je zamieszkiwały, bądź tym szlakiem daléj ciągnęły.

z Palestyny gdzie przebywał z krzyżowcami dwóch zakonników reguły śgo Franciszka do Sartaka syna Batu, jednego z wodzow tatarskich, o którym wieść chodziła, że przeszedł na wiarę chrześciańską. Sartak koczował nad Donem. Naczelnikiem poselstwa był ksiądz Wilhelm Rubruk, którego Sartak odesłał do ojca swego Batu koczującego nad Wołgą; ten zaś do samego wielkiego hana Mangu, wnuka Dzingishanowego, przesiadującego w stolicy swéj Kara-Korum, w północnéj Mongolii. Za powrotem z poselstwa ojciec Rubruk zdał sprawę królowi na piśmie. Opis téj podróży ogłoszany najprzód w języku łacińskim, został późniéj wydrukowany przez Bergerona w dziele *Rélation des voyages en Tartarie* etc. a następnie podany w streszczeniu przez X. Huc w książce *Le Christianisme en Chine, en Tartarie et en Thibet*, Paris 1857.

Rubruk udał się z towarzyszem swoim księdzem Bartłomiejem najprzód z Kremony do Konstantynopola, a ztamtąd morzem Czarném na północ. Wylądowali w Soldaya, zkąd z niewielką karawaną puścili się ku Donowi. Zaraz o trzy dni drogi od Soldaja napotkali pierwsze koczowiska tatarskie z któremi już odtąd ciągle się spotykali. Od miejsca wylądowania aż do obozu Sartaka szli dwa miesiące. Na téj przestrzeni nie było wsi, ani też śladu żadnych zabudowań; oprócz *mnóstwa ogromnych kopców* (tumulus) *napełnionych ludzkiemi kośćmi*. W inném miejscu znów mówi Rubruk: „Szliśmy więc ciągle na wschód, a w drodze tylko niebo i ziemię widzieliśmy—czasami tu i owdzie mogiły (sepultures) Kumanów; które w odległości dwóch *lieues* jużeśmy dostrzegali, ponieważ każda rodzina z pokrewnemi sobie, zwykła grzebać umarłych w jedném miejscu.“

Lubo trudno bliżéj oznaczyć w którém właściwie miejscu nad morzem Czarném, leżała Soldaya; żawsze to pewne, że posłowie przebywali kraje stanowiące dzisiej-

szą południową Rosyą, okolice położone między Dnieprem i Donem.

Wiele zatém mogił na stepie będących, poczytać można za groby Kumanów; którzy przed Tatarami kraj między Dnieprem a Donem zamieszkiwali. Tatarzy zaś świeżo go (względnie czasu podróży Rubruka) zawojowali; ponieważ wódz ich Batu jeden z poruczników Dzengiskana, który podboju tego dokonał, żył jeszcze wtedy. Że na wzór Kumanów grzebano i rodziny innych koczujących ludów, które koleją kraje naddnieprzańskie zajmowały, przypuścić łatwo.“

Mogiły ukraińskie jak i owe na Rusi lub na Sylcie, nasuwają zarazem pojęcia: obronnego horodka, sądowego zbornika, drogoskazu, strażnicy wojennéj, grobu, a i miejsca gdzie czy poganin czy chrześcianin najsnadniéj z ich szczytu jak z ołtarza, Bogu posłać mógł modlitwę. Pojmiemy: że dla tych co wśród owego olbrzymiego mieszkali cmentarza, kurchan wymienionym celom wielorakim mógł łatwo posłużyć. [1])

Popatrzmy się oto nad Dniestr, na ową ziemię halicką. I tam iak na Ukrainie cmentarne mogiły zobaczym, któremi te wschodnie ziemie Rusi znaczą krwawe zapasy swoje z Turki i Tatary. Mogiły tamtych stron to nie słońca świątynie, ale ołtarze na których Ruś składała Polsce z krwi swojéj ofiary; łącząc się w tém ściślejszy węzeł z koroną, owemi mogiłami w których razem z jednego pobojowiska zebranych Rusinów i Polaków, wystygła już i miniona grzebała przeszłość. Szlachta nasza jakby jakimś opatrznym parta kierunkiem, ciągnęła do tych mogił, jak do ołtarzów: krwawych a bratnich z Rusią zaślubin. Im bardziéj rumieniła się krwią ta ziemia

---

[1]) Modrzewski radząc stawiać na Ukrainie zamki, powiada: że z nich jak z mogiły upatrywaćby tam nieprzyjaciela należało.

czerwoną zwana, im liczniejsze zastępy rycerzy naszych w spólnych uśpił wróg mogiłach; tém więcéj dworków i osad w Ruskich przybywało niwach.

Ciągną się też mogiły na Pokuciu u Dniestru, kilkunastomilowym pasem. Od Obertyna i Śniatyna aż do Borsztynu, z jednego kurchanu drugi już obaczyśz. Tam to dzicz azyatycka wydeptała gościńce, co przy Czarném morzu zaczęte, u bram Lwowa się zbiegały.

Dobrze owe drogi wbiły się w pąmięć narodu, a zapisała je historya pod nazwą szlaków: *wołoskiego*, *czarnego* co biegł z Wołynia i *kuczmańskiego* od łanów Podola. Za Zygmunta Augusta Jan Sieniński kasztelan halicki skreślił obraz tych krwawych gościńców wytykając i opisując je szczegółowo. [1]) Mogiły na szlakach to zarazem drogoskazy Tatarów, nasze strażnice, a groby poległych. Nie jeden z tych kurchanów to trojakie znaczenie pewno w sobie połączył; a jest ich tam nie mało, kiedy oto Czerwiński, nad Dniestrem, Łomnicą i Stryjem w lasach i w polach, na przestrzeni dwóch mil w promieniu przeszło 100 kopców naliczył. [2])

Tak więc powtarzamy: że mogiła będąc grobem, stać się mogła zarazem: strażnicą, znakiem brodu przez rzekę i drogoskazem dla hordy najezdnéj. Na niejednéj Tatar może swoje czcił bóstwa — koło innéj znów powstać mogła osada; więc nowe znaczenie zyskała. Nieraz wreszcie dla uzupełnienia szeregu mogił (do którego z tych celów wojennych), przyszło nową między niemi dosypać, choć za pomnik służyć nie miała. Pojęcie zaś zasadni-

---

[1]) O szlakach i dziejach napadów na Ruś, czytaj wielce zajmującą książkę K. Szajnochy: *Opowiadania o królu Janie III* Żytomierz 1860.

[2]) Patrz w książce: *Okolica zadniestrzańska* przez I. Czerwińskiego, Lwów 1811 r. str. 20.

cze wyrazu *mogiła* i tym wojennych celów nasypom, (gdy pamięć o ich przeznaczeniu zginęła), nazwy swéj ogólnéj na potomne użyczyło czasy.

Te sądy i orzeczenia, zmieniać się mogą w miarę zbadanego okresu czasu, w którym te lub owe powstały mogiły. Jedne są z wieków historycznych, inne zaś powstały wtedy: gdy brzask dopiero zapalał jutrzenkę, co wyprzedzała poranek narodowych dziejów.

Spoglądając w tę najodleglejszą zamierzchłą przeszłość naszą, przytoczyć musimy słuszne zdanie A. Nowosielskiego, [1]) gdy twierdzi: że ludy indo-europejskie jednę mają prastarą mistyczną ideę; która się w symbolach w ich grobach przedstawia. Sanskryt dać może klucz do otworzenia nie jednéj zagadki z naszych przedhistorycznych czasów.

Na Ukrainie kurchany stoją wśród *stepu* W *stepie* kirgizkim spotykamy mogiły, (a że wiele innych miejscowości téj nazwy i natury pominę) cmentarzysko Syltu *stepem* też nazwano. Wyraz *step* i idące z niego, w innych językach jest przejętym tylko; jak skoro w sanskrycie *Stup* znaczy mogiła, a *Step* cmentarz zowią. Nazwanie uczty pogrzebnéj *stypą*, zostaje w związku z tym naszym wywodem; choć łacinnicy ów chleb żałobny *stips* mianują. Młodszy Rzym od Hindusu starego.

Chodakowski podaje: że w okolicy Nowogrodu, kurchany *sopkami* zwą.

Rozleglejsze pojęcie wyrazu *step* którego używamy na oznaczenie równiny, jest pochodnem i nadaném pustkom odludnym z porównania ich z pierwotném rozumieniem

---

[1]) Wielkich jest zalet książka Antoniego Marcinkowskiego (pseudonym Nowosielski). *Lud Ukraiński*. Wilno roku 1857, tomów 2. Są też ciekawe artykuły tego autora w sprawie teraz przez nas traktowanéj w *Kuryerze wileńskim* z r. 1860 (np. na str. 442).

stepu jako cmentarza. Zresztą piszący w połowie XIII wieku X. Rubruk dał nam przytoczone wyżéj wyraźne świadectwo: że na stepie ukraińskim całe już rodziny i plemiona miały groby swoje.

Mogiły w Budaizmie *stupawi*, *topami* (lub też *Dagop*) zwane, mają ten kształt i cele co nasze. Za jedyną odrębną ich cechę wskazać można tylko materyał do budowy użyty. Nasze zawsze z ziemi sypane, a te indyjskie często z kamieni układane, lub dołem obmurowane. W arenę na któréj *stup* się wznosi, wprowadza czasem ozdobna symbolami olbrzymia brama, jak ta z wyciosanych słoniów i potworów, co stoi przed topem w Sanchi pod Kunningham.

Za najdawniejszą tedy, a pierwotną mogił ojczyznę, Hindus wskazać przychodzi. Nie omylił się więc pan Rogawski w wyborze drogi do wywodów swoich; choć zbyt zogólnił działy jakie wskazał kopcom rozlicznego znaczenia na ziemiach słowiańskich.

Nie jeden obcy odwieczny myt, wierzenie lub obyczaj, zaszczepił się w ojczyźnie naszéj; ale wieki i narodowy charakter odziały go w swojskość któréj zaprzeczyć i zmazać niepodobna. Nie można wreszcie stawiać takich regół i pewników, które więcéj mają wyjątków, niż się da przytoczyć przykładów na poparcie twierdzenia własnego.

W kilku miejscach rozprawy pana Rogawskiego, przebija niechęć do zasady wywodów rozwiniętych przez Szajnochę w sprawie normańskich wędrowek w dziele *Lechicki początek Polski.* a) Wypływa więc z natury różnicy

---

a) **Dla ogólnego objaśnienia tych badań Szajnochy, zdaje mi się stósowném przytoczenie tutaj listu jaki doń napisałem po wyjściu książki L e c h i c k i p o c z ą t e k P o l s k i.**

Kraków 10 Kwietnia 1859 r.

Do pana Karola Szajnochy!

„Gdyś mi był łaskaw zeszłego lata posłać Twoją książkę „Lechicki

zdania mego a opinij pana Rogawskiego: że gdzie on

---

początek Polski," przejrzałem ją pobieżnie, pod wrażeniem uprzedzenia jakiem mię zraziły dla téj pracy zdania o niéj w gazetach ogłoszone—zresztą nasza Wystawa starożytności zabrała mi wtedy wszystek czas i o niczém inném myśleć nie dała. Wziąłem się więc teraz powtórnie do pilnego odczytania i rozważenia dowodów jakiemi popierasz twierdzenie swoje: że dzieje nasze pierwotne po czasy Piasta, rozwinęły się pod wpływem przybyłych do nas w VI wieku normańskich wojennych drużyn.

Tyle świadectw stawiłeś na poparcie myśli Twojéj i tak pięknie a logicznie rzecz rozwinąłeś; że nie sądzę: aby kto zdołał obalić postawioną przez Ciebie, tę nową dla nas budowlę. Po długich studyach dziejów północy może dałoby się pozbijać i postrącać Ci kapitele słupków i niektóre ornamenta budynku Twego; ale co ścian i związania dachu, tego sądzę, że nawet namiętność nie zwali.

Trudno nie kochać prawdy i zamykać przed nią oczy, sądząc: że ona zniknie gdy jéj słuchać nie będziem. Byłaby to logika owego strusia co zamrużywszy oczy i wsadziwszy w piasek głowę; sądzi że się stało ciemno i nie ma koło niego nikogo, bo *on* nic nie widzi.

Żeś nie naruszył legend i podań, serdecznie Ci dziękuję; boś mi zostawił: wawelskiego smoka w jamie jego, Krakusa i Wandę pod ich mogiłami — a nie przyszło ci przeczyć tradycyom: o Leszkach, Popielach i Piaście; owszem jaśniéj i poetyczniéj wystąpiły, gdyś je nietknięte oświecił pochodnią historyi.

Czuję że wielu pójdzie wskazaną przez ciebie drogą i rozwidnią się dzieje narodzin Polski jako Państwa; wystąpiwszy w wyraźnym rysunku na tle Słowiańszczyzny.

Idąc za drużynami Normanów których szlaki wskazałeś między Bałtykiem a Wisłą, widzimy: jakiemi narzędziami sprawiła Opatrzność to skrystalizowanie się w państwa rozproszonych i gnębionych Słowian. Kontury wewnętrznéj organizacyi Polski nakreśliły u jéj kolebki północne Normamy — daléj obraz téj Rzeczypospolitéj malowaliśmy przez wieki zapatrując się na wzory klasycznego świata; a ojczyste niebo, ziemia i serca chrześciańskie przodków naszych, dały koloryt i oświecenie, uzupełniając ten majestatyczny utwór artystów szabli.

Dziwię się niewłaściwości dowodzeń wymierzonych przeciw Twemu opowiadaniu pierwotnych dziejów naszych, opartych na dopatrywaniu

dowodzenia Szajnochy osłabia, tam moje widzenie rzeczy *poniekąd* ku ich zdąża poparciu.

---

się w rozumowaniach i argumentach Twoich (że tak powiem) obrazy honoru narodowego.

Tak nie ubliża godności naszéj wypadek przez Opatrzność dopuszczony, jeżeliśmy kontury organizacyi pierwotnego rządu i społeczeństwa od Normanów przejęli; jak nie hańbi nas przyswajenie sobie dzisiaj wynalazków, komfortu, idei społecznych i materyalnego postępu. Przecież nie kala czystych kart dziejów naszych nawet to: że za pychę i niezgodę, wskazał nas Bóg na pokutę w pokorze i milczeniu....

Wreszcie Ty nie twierdzisz: że przodkowie nasi ulepili postać Rzeczypospolitéj na obraz obcy, jakby to zrobił Chińczyk, kopijując wiernie oryginał jaki—Byliśmy narodem sławnéj i odmiennéj od innych przeszłości; a więc nie bladém roztworzeniem cudzéj farby, ale osobnym kolorem potrzebnym i sam przez siebie istniejącym w harmonii ludów, téj tęczy którą Bóg umalował ziemię.

Zresztą, rezultatem pracy twojéj: jest zapełnienie dziejami téj pierwszéj epoki istnienia narodu naszego, o któréj mało co dotąd wiedzieliśmy — postawienie przed Piastami dynastyj normandzkich Leszków, ***dynastyi obcéj, nic wspólnego z pierwotnymi przodkami naszymi nie mającéj; z pod któréj ci wyswobodzili się, tworząc dynastyą ojczystą wyniesieniem Piasta rozpoczętą,***

Że zaś plemie jakie, ***szczep obcy***, wpływa na drugi i organizuje go; to zwykły wypadek, który w rachubach Opatrzności ma przyczynę swoją — a powtarza się często w historyi przy każdéj prawie organizacyi plemion w państwo.

Prawie téj saméj to natury sprawa, co szczepienie drzew owocowych w naturze—a nasz wyraz ***szczep*** (w znaczeniu ***gens***), dziwnie tłumaczy sposób spełniania się celów Opatrzności: przez uszlachetnianie i organizowanie w narody ludów pierwotnych wpływem jednych plemion na drugie, często najprzeciwniejszych sobie pochodzeniem i charakterem.

W takim samym stosunku ***przeszczepienia***, mają się do siebie dzieje Greków i Rzymian — nikt przecież nie powie: że Rzymianom ubliża wpływ jaki wywarli Grecy na ich oświatę i organizacyą moralną. Normanie nietylko dla nas ale dla tylu innych narodów, byli czynnikiem wpływającym na ich skrystalizowanie się w ***całoście*** państw.

Nowosielski mówiąc o nadgangesowych *tapach*, [1]) przywodzi z Holmboe'go [2]) że w nich znajdywano monety

---

I to dowód że jest prawda w pracy Twojéj, jak skoro: spotyka cię namiętna a nieudowodniona opozycya; ten cień co zawsze za jasnym idzie promieniem.

Na stronie 278 okazałeś: że *Normanie a Niemcy to nie jedno i nie tož samo;* a Słowian niewolą i ich przyszłość tak pięknie i dowodnie przedstawiłeś—nie rozumiem więc co rodzi namiętność u krytyków Twoich.

Nie przeczę: że w ciągu dowodzenia nieraz omylić się mogłeś; że nie jeden argument hipotezą tylko zostanie po wielostronném badaniu i rozpatrzeniu się w rzeczy. Toć samo odsłaniasz słabsze strony rozumowań Twoich; a nie namiętność ale spokój wieje w dziele całém. Zarobiłeś więc na to: aby krytyk zamiast z uprzedzeniem, z miłością siadał do sądu i pióra.

Wszyscy patrzyli na parę z dymiącego się nią samowaru, przecież jeden tylko Fulton siłę jéj zrozumiał. Nie dla tego więc chcę Ci się przyznać: żem się nie raz koło myśli Twojéj kręcił, iżbym pragnął dzielić chlubę nowych odkryć Twoich — owszem, napotykając u nas niektóre podania uderzająco zgodne z zagami północy, nie sądziłem nigdy iżby je wędrowne rozsiały Normany; ale opierając się na poważnych dociekaniach Maciejowskiego i śmiałych wnioskach Kollara, zawsze myślałem: że się przeciwnie działo; przypisując najezdcom z północy zbierane na ziemiach naszych tych uronionych piórek fantazyi słowiańskiéj, aby je za powrotem w skaliste i smętne kraje przynieść swoim na pamiątkę, jako upominek z szczęśliwszéj ziemi z pod jaśniejszego nieba.

Przecież architektura drewnianych kościołów naszych, oddawna kierowała myśl moją ku krainom obcéj dotąd badaniom naszym Skandynawii. Nie raz już nawet w moich z podróży po kraju sprawozdaniach nawiązywałem nitkę tych dociekań i śledzeń, do kłębka co mi się marzył za drugim brzegiem baltyckiego morza.

Jak wiesz, Skandynawia do wysokiego stopnia wykształciła budownictwo drewnianych gontyń swoich; a następnie świątyń chrześciańskich. Znamy z rysunków mnóstwo tych bogatą rzeźbą zdobnych ko-

[1]) W *Kuryerze Wileńskim* Nr. 46 z r. 1860.

[2]) *Traces de Buddhisme en Norvége avant l'introduction du Christianisme* Paris 1857.

książąt baktryjskich i królów indyjskich panujących od III wieku przed Chrystusem aż do czasów późnych po

ściołów, osobliwie Norwegii, sięgających starożytnością swoją nawet pierwszéj połowy XI wieku. Prócz innych Dahl i Karol Anderson, pokazali badaczom rysunki dziwnie pięknych i ciekawych świątyń drewnianych, jakie dotąd jeszcze tradycyjnie budują tam na północy. Styl tych małych zwykle wiejskich cerkiewek, da się najwłaściwiéj nazwać, przechodnim z romańskiego w ostrołukowy; chociaż natura użytego do budowy materyału pozwalą nawet dać mu miano architektury zwanéj dawniéj gotycką. Z drzewa bowiem łatwiéj przedstawić w sklepieniu lub odrzwiach, łuk zwyczajny pełny; niż dwa takie łuki łamać w strzelającą w górę budowę, jak się to dzieje z kamienia i cegły. Przecież w stylu kościołów norwegskich widzimy nawet te łuki przedstawione w sposobie zwanym technicznie podkowiatemi (*hufeisenförmig*) — a klimat doradził piętrzące się stromo szczytowe dachy, dla prędkiego ścieku zalegającego na nich śniegu. Kościoły wiejskie: prócz u Skandynawów, tylko: u nas, w Czechach i w Rosyi, napotykają się z drzewa, w formach zostających z sobą w analogii widocznéj dla każdego oka — Może i w innych krajach budowano drewniane świątynie; przecież te zniknęły dziś, zastąpione katedrami z marmuru i ciosów. Zabytki skandynawskie o których mówię, jako właściwą sobie charakterystyką nacechowane, nazwano w nauce: architekturą drewnianą północy (*Die Holzarchitektur des Nordens*).

Kiedy w ostatnich czasach przekonali się uczeni niemieccy: iż styl zwany dotąd gotyckim nie jest wyłącznie właściwy samym niemieckim krajom; ale i inne narody mają świątynie (nawet z czasów wcześniejszych niż kościoły w Niemczech) co do zasady tegoż stylu, choć odmienne charakterem ozdób—przestali chlubić się z tytułu własności i wynalazku niejako ostrołukowego budownictwa. Nazwa *styl gotycki* wyszła z użycia — a z upowszechnieniem się mniemania: że style budownictwa nie bywają jak odkrycia mehaniki, przez tego lub owego człowieka wyłącznie wynajdywane i monopolicznie a niewolniczo przez naród co do formy rozpowszechniane; uwierzono: że architekturę kształcą wyznania religijne i wieki których ona myśl wyraża; a do swoich właściwości i klimatów stosują ją pojedyncze narody.

Styl więc gotycki nazwano teraz *ostrołukowym*, dając mu rodzajowe miana: z epoki przechodniéj, roślinny, rozkwitły, nadreński,

Jego narodzeniu. Te monety naśladowane i w niezaprzeczonéj z sobą zostające analogii, napotykają się w *Haugach*

---

francuzki, angielski, północny etc. Wreszcie niedawno przypatrzyli się badacze niemieccy kościołom drewnianym u nas, będącym jakby węzłem z którego się nasze ostrołukowe ceglane świątynie rozwinęły; zobaczyli kamienne stawianie przez Piotra Duńczyka i inne wzorem ich wzniesione. Z początku postrzegłszy, że daty erekcyj wcześniéj tutaj nie raz przypadają niż najstarszych ostrołukowo zbudowanych kościołów w Niemczech; poczęli już sądzić: że ten styl u nas pierw był znanym — nakoniec dali znalezionéj odmianie nazwę wiślano-baltyckiego ostrołuku, oznaczając tém mianém przestrzeń na któréj ona panuje.

Znam nasze drewniane najczęściéj modrzewiowe kościoły, których starożytność sięga nawet pierwszych lat XIII stulecia — uderzyło mię wielce podobieństwo stylu tych świątyń z norwegskiemi z XII i XIII wieku, znanemi z widoków Achenbacha, i publikacyj: Dahla, Minutolego, Andersona i innych. Interesujący się tą sprawą niech porówna z naszemi, rysunki Dahla kościołów np. w Hitterdal, Burgund, osobliwie w Urnes— znajdzie prawie tożsamość; a te norwegskie liczą archeologowie (Anglik Clark) do zabytków z XII wieku.

Życzę Ci badać bliżéj najdawniejsze zabytki budownictwa u nas, a może i tu znajdziesz dowody: żeśmy pierwsze świątynie stawiali normandzkim zakrojem; co się nawet dotąd mimo zmiany stylów a wpływy ogólne, rzymsko-katolickie i sąsiednie, utrzymać po wsiach zdołało.

W przeprowadzeniu ogólnéj myśli i powołaniu świadectw kronikarskich dowodzących osiedlenia się w Polsce Normanów, poradziłeś sobie sam—wskazanie źródła prawodawstwa naszego, ułatwił Ci Czacki—śledzenie przejęcia wyobrażeń bałwochwalczych torowałeś sobie badaniami Grimma—jeszcze prócz rozważenia etymologicznych wywodów (co ślizgą i łudzącą jest drogą) pozostało Ci: zastanowić się nad runami skandynawskiemi i porównać je z tego rodzaju zabytkami u nas znajdywanemi; wreszcie konieczna popytać mogił rozkrywszy ich wnętrza. Szwedzi i Duńczyki bardzo wiele uczynili w tym względzie. Towarzystwo starożytników północy w Kopenhadze protegowane przez króla-archeologa, zbadało i wskazało całe systemata grobów skandynawskich. Z Cochetem (*La Normandie souterraine*) Varsae (Duńczykiem) i dziełami Vocla (Czecha) w ręku, można rozpatrzyć się we wnętrzach mogił słowiańskich i normandzkich—a tak i umarli staną ci na świadectwo prawdzie . . . . . .“

mogiłach norwegskich. Porównywa Nowosielski nasze kurchany z *topami*, kiedy je znów Holmboe (jak widzieliśmy) z norwegskiemi zestawił kopcami. Widoczny tutaj wątek i nie jedna charakterystyczna wspólność mogąca przejęcie obyczaju potwierdzić, a nawet wskazać u nas ślady pobytu Normandów [1]). U Skandynawów pełno mogił; a uczeni przyznają im także normandzki początek. Runy tam nawet zaznaczone na głazach co z ich kopców sterczą, dają świadectwo badaniom tych zimnych archeologów północy, co nie zwykli dawać się porywać fantazyi wybrykom. Może więc przeglądając mogiły na Sylcie, ukraińskim stepie Czarnego morza, nad Baltykiem i owe na Rusi [2]), nie zgrzeszym zbytnią wniosku śmiałością: gdy je zestawimy w odleglejszéj analogii z Hindusem, a w bliższéj (idąc za Szajnochą) z wpływem Normanów na obyczaje nasze w chwilach rodzenia się polskiego narodu. *Przecież, opinia taka potrzebuje głębszego a od namiętności wolnego badania, do jakiego jeszcze nie miała dość czasu, od chwili pojawienia się jéj w piśmiennictwie naszém.*

Wskazawszy więc rozliczne cele sypania mogił a wielorakie ich znaczenie, przesnuliśmy zarazem nić analogii tych zabytków z ich domniemaną pierwotną ojczyzną.

Powtarzam: iż nie razi mię ogólny koloryt téj roze-

---

[1]) O początku Rusi, a mianowicie o wpływie Normanów na pierwotne spółeczeńskie ukształcenie Słowian, staczają się teraz (r. 1860) uczone spory w *Kuryerze Wileńskim;* a w *Pamiątkach* czeskich pod redakcyą Zapa w Pradze wychodzących, świeżo o *Lechickim początku Polski* szeroko się rozpisano.

[2]) Nowosielski w książce *Lud ukraiński* (II, str. 179) idąc za śladami Porfirogeneta i korzystając z domysłów Maciejowskigo, rzuca wniosek: iż sicze kozackie utworzyły się z osad mołojców Normańskich i Słowiańskich rozbójniczo-rycerskie życie wiodących. Więc ci uczeni popierają w tém miejscu widzenia Szajnochy.

branéj pierwszéj części (istotnie pięknie i uczenie prowadzonéj), rozprawy pana Rogawskiego; stanowczo jednak przeczę zbyt śmiałemu i absolutnemu podziałowi, jaki w scharakteryzowaniu nasypów ziemnych zaprowadzić pragnął.

Przejdźmy teraz do mogił Krakusa i Wandy, których tradycye zrosły się z Wawelem i całą historyą naszą.

Badacze piszący dzieje Polski lub przegląd jéj literatury, jak: Wiszniewski, Mićkiewicz, Röppel a nawet Lelewel, czuli wagę tych podań i ich znaczenie, jak skoro: albo je w tych książkach swoich opuścili, albo bez zaprzeczeń jako narodowe tradycye podali. Dopiero w *Uwagach nad Mateuszem herbu Cholewa* (pisanych w r. 1811, a niedawno powtórnie wydanych [1]), rozbiera Lelewel krytycznie powieści o Krakusie i Wandzie, konkludując: że te dopiero w XV wieku z kronik do ludu przeszły i powagę tradycyi zyskały. Pan Rogawski przyjął ten rezultat Lelewela, a więc przyszedł do przekonania: „że to Długosz ozłocił owe powieści swą własną fanta„zyą; a kazawszy się Wandzie stanowczo utopić, nad „nią i nad Krakusem zobaczył przez lud usypane mo„giły.“ Stawia więc pan Rogawski pewnik, iż: w czasach wcześniejszych niż Długoszowe, pamięć Krakusa i Wandy nie czepiała się tych kopców, ale zwane *mogiłami*, były (wedle przyjętego przez niego tego wyrazu tłumaczenia), ołtarzami słońca. To zdanie poparł nasz badacz twierdzeniem szanownego Bielowskiego, któremu owe kurchany nasunęły myśl, że je uważać należy jako zabytki czci Herkulesa, zarówno poświadczonéj przez Tacyta w Germanii, jak przywiedzionéj w Herodocie gdy o Scytyi mówi.

---

[1]) *Polska wieków średnich.* Poznań 1846 I, od str. 139.

Już po tych dowodzeniach Lelewela i objawionych Bielowskiego mniemaniach, pisał o Krakusie i Wandzie Szajnocha w swoim *Lechickim Polski początku*. Wypadałoby więc, aby pan Rogawski poszczególe był się z nim rozprawił; tém bardziéj: że książkę jego nazwał *wiele mówiącą*, a zatém i bliższego godną rozbioru.

Przecież to ów Szajnocha zestawiając normandzkie i nasze podania o Krakusie i Wandzie (str. 40, 126—134), przyznaje: że Krak istniał w wieku VII rzeczywiście i był do pewnego stopnia sprawcą przypisywanych mu czynów; a o Wandzie w Skandynawskich tradycyach ślady znajduje. Wprawdzie słowa Szajnochy nie są ewangelią—można się z nim w wielu nie zgadzać widzeniach; przecież godna i zaszczytna nawet walka z przeciwnikiem takim.

Opowieść wreszcie o Wandzie (że pominę wzmiankę w Kadłubku o jéj śmierci) [1]) spotykamy i na Rugii, jak skoro panna Jadwiga Łuszczewska w podróży swojéj [2]) znalazła tam między Bergen a Arkoną osadę zwaną Krakowem, i *Rugard* miejsce pełne podań. Lud wskazuje że tam panował książe Rugardem lub Rydgierdem zwany, a zadał sobie śmierć gdy go za męża nie chciała Wenda, piękna Wendów królowa.

Zgodność podań na tak rozległym obszarze jak: w Skandynawii, na baltyckiéj wyspie i nad Wisły brzegami, coś przecie za ich ważnością przemawia.

Bajka drukowana, łatwo się dziś między czytającymi po świecie rozejdzie; ale wierzenia i tradycye bez zdrowego nasienia nie rozrodzą się w bujne kwiaty, na łanach między trzema aż morzami.

---

[1]) *Polska wieków śred.* T. I. str. 218.
[2]) *Gazeta Warsz.* r. 1857 N. 292.

Jaka jest różnica książkowéj historyjki a podania przechowanego w ustach całego narodu, stanąć może panu Rogawskiemu za dowód znana mu opowieść zapisana w księdza Stefana Tarnoczego, łacińskim *Żywocie śgo Władysława* (Wiedeń 1683). Znajdujemy tam (w Elogii XVI) jako ten król węgierski oblegając przez trzy miesiące Kraków, ogromny kopiec na górze przed miastem będącéj wojsku swemu wznieść kazał, a mąką go posypał. Oblężeni widząc, że Węgrom na żywności nie zbywa, poddali miasto Semu królowi. Być to miało około r. 1081, a legenda ta posłużyła rytownikowi ozdabiającemu książkę Tarnoczego, do ryciny, owo poddanie się Polaków wystawiającéj, gdzie nad chlebną mogiłą dano nadpis: *vicit Panonia pane.*

Że podanie w książce się tylko uchowało, więc ani w Węgrzech ani u nas nie żyje.

Wachałbym się bardzo, gdyby mi przyszło puszczenie w świat poetycznego wymysłu, przypisać poważnemu jak Długosz kapłanowi, dostojnikowi korony i historykowi narodu. Témbardziéj, że tradycye o Krakusie, którego Lelewel Kroatą być mieni [1]), i te o Wandzie, dawno przed Długoszem nawet w piśmiennych błąkają się wzmiankach. Trudno nie domyślać się podań o mogile Wandy, w nazwie osady u jéj grobu i w przywileju z r. 1221 [2]), którym Iwo Odrowąż uposaża Cystersów we wsi *Clarae tumbae*, a więc u stóp *sławnego* już w początku XIII stulecia grobowego kurchanu [3]).

---

[1]) *Polska wieków śred.* I, 215.

[2]) Znamy drugi dokument z r. 1239, którym Henryk szląski potwierdza nadanie wsi Szadowic: *claustro in Clara tumba.*

[3]) *Tumba* po łacinie zawsze *grób* lub *sarkofag* znaczy— wieś owa zwie się po polsku *Mogiła;* więc pod tą nazwą nie rozumiano i w XIII wieku ołtarza.

Przecież, to piśmienne świadectwo na półtrzecia prawie wieku od Długosza dawniejsze.

Zresztą łatwo pojąć: dla czego pierwsi nasi (do Długosza) kronikarze, nie kwapili się ze spisywaniem takich podań, jak owe, o które nam chodzi? Z tradycyami temi wiązała się przeszłość pogańska, a kapłanom (co w tych pierwszych wiekach najczęściéj roczniki i dzieje spisywali) nie wypadało rozbudzać przypomnień bałwochwalstwa świeżo upadłego. Te względy nie krępowały już Długosza w XV piszącego stuleciu.

Dokładano nawet starań aby zatrzeć pamięć o Wandzie i Krakusie, z ich zespoloną mogiłami. Dosyć na dowód tego przytoczyć co w pierwszym (jaki istnieje) *Opisie kościołów krakowskich* [1]) z wieku XVI, czytamy: iż na mogile Krakusa fundatora Krakowa *Rękawką* rzeczonéj, dla przypomnienia drogi Pana naszego na Kalwaryą, boża męka postawiona; do kościołka zaś śgo Benedykta przy téj mogile stojącego w piątki ludzie z nabożeństwa chodzą.

Chcieli więc właściciele tego miejsca Benedyktyni (ci stróże krzyża Chrystusowego, którego w Tyńcu i na Łyséj górze strzegli) i z mogiły Krakusa kalwaryjską górę uczynić [2]).

Tu zaszczepić się da wątek analogii, między nazwą *Lasota* dawaną wzgórzu na ktorém stoi Krakusowa mogiła, a charakterem jaki uczęszczaniu na *Rękawkę* duchowieństwo nasze nadać chciało.

Góra łysa, *Łysica* a Kalwarya *(mons calvus)*, jedno i toż samo. Góra *Lasota* nie mogła od *lasów* wziąść nazwy dla siebie — posada bowiem pasma *Krzemionek*

---

[1]) Wydałem tę broszurę w powtórnéj edycyi w Krakowie roku 1860. O mogile Krakusa czytaj na str. 40.

[2]) Toż samo przytacza Pruszcz (pierwsze wyd. str. 60) i inni.

(jak to już jasne z ich nazwiska) składa się z krzemiennego zwiru; a zatém na grunt pod las wcale niesposobna. I dotąd mimo trudu, ani jednego drzewka utrzymać nie można na Krzemionkach, tych wzgórzach nadwiślańskich ciągnących się pasemkiem naprzeciw drugiego brzegu Wisły, co go już wawelska utworzyła opoka.

Pan Rogawski dla owéj *Lasoty*, znów azyatyckiéj szuka genealogii, przytaczając: że w Chinach *La-ssa* zwią *duchów ziemię*. I nadaje mu się tłumaczenie takie do skalnego izbiska, co się otwarło w pobliżu Krakusowéj mogiły, a lud oddał go na mieszkanie Twardowskiego i duchów siedzibę.

Co do mnie, chociaż pomnożę etymologiczne studya naszego badacza, dodatkiem: że i Tatarzy mają w wierzeniach swoich *duchów ziemię* również *La-ssa* zwaną, a w Tybecie *duchów góra* Lha-ri się nazywa [1]); przecież sądzę: że nasza *Lasota* jest tylko *Łysotą*, to jest *górą Łysą: Kalwaryą* [2]). Nazwa ta należy się jéj i z natury gruntu i dla owego przypomnienia męki Chrystusa Pana, jakie dla stojącéj na niéj (jak widzieliśmy) mogiły, przywiązać chciano.

Na Wandy znów kurchanie, jak pisze Sarnicki w *Annalach* swoich (Liber IV cap. XX), stał za czasów jego (w drugiéj połowie XVI wieku) posąg téj królowéj z wyrytym pod nim napisem:

Hic jacet in tumba rosa mundi, non Rosamunda,
Non redolet sed olet, quae redolere solebat:

---

[1]) Czytaj w przekładzie A. Kremera *Podróże po Azyi* Xa Huc, str. 407 i 563. Zaś po sanskrycku *Lecha* znaczy *światłość, jasność.*

[2]) W starych drukach jak np. w Ruffina historyi drzewa Krzyża śgo czytamy nawet *Lysa góra* zamiast *Łysa góra;* a to stale, nie jako błąd drukarski.

Graci regis nata, bene Vanda sit vocitata.
Ut nam hamus piscem, trahit ab aequore captum,
Vanda sic formosa omnes traxit speciosa,
Illius in amorem et in favoris vigorem,
Haec per decorem Almani vicit furorem,
Nam eo quod spreverat hominum connubia cuncta,
Caelibem haec obtulit Diis mersa flumine vitam,
Quam mox arripuit Deorum non floridus hortus.

Słowa te zdają nam się zostawać w związku, a przynajmniéj w niezbyt odległém powinowactwie, z ową pieśnią znaną z Kadłubkowéj kroniki: *Vanda mari, Vanda terrae, aëri, Vanda imperat;* a Lauterbach cytując w kronice swojéj powyższy napis z Sarnickiego, przywodzi rzecz o Rozamundach: angielskiéj kochance Henryka IIgo, i żonie Alboina króla Longobardów, których tragiczne śmiercie zdają mu się mieć związek z podaniem o Wandzie.

Według Bielskiego, Kromera, Pruszcza i innych, szczątki owego pamiętnika i wzmianki o nim do poźna się przechowały. Stoi tam i dziś słup ceglany czworogranny, (na dawniejszych jak widać fundamentach) ale widoczne, że to znów boża męka, jakiéj na Krakusowéj mogile śladu nie zostało.

Wspomnieni pisarze przytaczają wreszcie dziwne dla nich zjawisko: że „mogiła Wandy od gościńca brzyd„kiém, szarém, baglastém zarosła zielskiem, jakby ża„łobą po téj wielkiéj odziewa się heroinie—z lewéj zaś „przeciwnéj strony, ślicznie obyczajem murawy porosła, „reprezentując tryumf zwycięztwa nad nieprzyjacioły i „nieśmiertelną dziewictwa sławę.“

W pieśniach skandynawskich *lek*iem zwanych, opowieści o *Wendeli* i *Wendzie*, często się powtarzają; a jest

ona zawsze kochanką [1]). W Tatrach na drodze z Bukowiny do Morskiego oka, u źródeł Białki, jest skała a raczéj kamień stojący jakby odosobniony kopiec, zwany *Wantą*.

Podobno tak nazywają w ogóle w Podtatrzu olbrzymie głazy.

Jeśliby ta nazwa wspólność jaką mieć mogła z Wandy mogiłą, to pamiętajmy: że podnóża Tatr zaludniają się dopiero na początku XIII stulecia — więc góral nazwać mógł głazy swoje *wantami* tylko dla ich podobieństwa do widzianéj nad Wisłą mogiły.

Uzupełnię tu jeszcze dla całości, podania o owym kurchanie usypanym Wandzie o milę od Krakowa nad ujściem rzeczki Dłubni do Wisły, w miejscu gdzie ciało jéj wypłynęło. To objetne rzucenie się w wodę z mostu u stóp Wawelu, było wedle tradycyi: ofiarą Bogom, którym swoją poświęciła czystość. Odmawia germańskiemu księciu (czy też Niemców hołdownikowi) swéj ręki — zwycięża wojsko jego, a sama po spełnionych modłach, w obec rycerstwa i starszyzny, zbrojna a na koniu, w falach Wisły śmierć znalazła.

Począwszy od Michała Stachowicza, wielu malarzy chwilę tę obrazowo wystawiać się kusili; a dotąd pierwszeństwo przyznano kompozycyi M. A. Piotrowskiego z Królewca. Obraz ten jest własnością krakowskiego Towarzystwa sztuk pięknych, a zapał ogólny z jakim go otaczano gdy był w r. 1859 wystawiony na widok publiczny, dawał mi pocieszający dowód gorącéj miłości do tradycyj ojczystych.

---

[1]) *Pieśni Skandynawskie* przekładu Lucyana Siemieńskiego, Poznań 1843 r. Siemieński na wiele lat przed Szajnochą, domyślał się związku i analogii między podaniami północy a naszemi.

Od tego pierwszego mytu poświęcenia się u nas kobiety, jakżeż piękny szereg niewiast dałby się zestawić, niby w wieniec narodowéj chwały!

Ta z życia robi ofiarę—Kinga ślubny pierścień w kruchu soli mieści, aby jak mówi podanie: wiano jéj równie bogaczom, jak ubogim na pożytek poszło. Aldona Gedyminówna jeńców polskich przywozi Kazimierzowi z Litwy w posagu— Jadwiga łez żałuje co je biednemu krzywda wyciska, a ślubnym wieńcem bratnie łączy narody. Oweż święte, inne bohaterki— to znów cnotliwe i mądre Jagiellonki, co uzacniły tyle rodów królewskich na świecie. Gdzie cnoty zabrakło jak w XVIII wieku na francuzkim dworze, tam Polkom dostało się jéj odrodzenie; a nasza Leszczyńska wskrzeszać ją tam poszła.

Odstępując od przedmiotu, tknęliśmy tych pięknych kwiatów bogatego wieńca, co nigdy nie zwiędnie na głowie ojczyzny naszéj. Miło byłoby czytać kiedy dzieje niewiast polskich, jak skoro ten coby je napisał, miałby cnoty za barwy do swego obrazu, a każdą postać téj powieści, wonią z ołtarzy i aureolą świętości otoczyćby mu przyszło.

Broniąc podań o Wandzie, co pieśnią:

Wanda leży w naszéj ziemi ...

tak dobrze wbiły się w pamięć narodu, sądzę: iż ze względu na samą choćby wartość przestrogi, jaka się w całym tym mycie zawarła, nie wypadało silić się na obalenie powagi tak mądréj tradycyi.

To jakby zaklęcie ojczystéj ziemi: czyje to kości mają znaleźć w niéj miły spoczynek, było jakby u kolebki narodu wyrytą przestrogą, którą czasy i walki Chrobrego, Łokietka i Jagiełły sprawdziły.

Odwieczne tradycye miewają nawet nieraz proroczy charakter; a zawsze swobodniejszym i prawdziwszym są wyrazem uczucia narodowego, niż mogą często nim być

dowiedzione fakta i dzieje pisane. Czyż myt o Wandzie nie jest czysto polski?

Czyż z niego nie widne owo zdanie instynktowe narodu, które po spełnionych dziejach ojczyzny, mądrém przeczuciem nazwać nam się godzi? Dość przypomnieć Psie pole i Grunwald.......

Że historya opowiadająca zdarzone wypadki i same nawet fakta, czasem mniéj świadczy o poczuciu narodu niż jego podania i tradycye pismem nie ujęte, łatwo pojąć, gdy zważymy: że czyn spełniony na kartach dziejów zapisany, mógł być zewnętrznemi okolicznościami spowodowany, a zatém nie narodowy. Wtedy lud tworzy sobie nieraz tradycyą, która przechodzi przez pokolenia jako świadectwo: że nie fakt spełniony, ale ta właśnie legendowa (że tak powiem) o nim opowieść, prawdą jest względnie do narodowego, ojczystego poczucia.

Arystoteles porównywając w rozwoju takiego rozróżnienia: historyą z poezyą, téj ostatniéj pierwszeństwo przyznał. Nazwał poezyą filozoficzniejszą i głębszą; bo ona przedstawia samego już ducha, pracownika i działacza w dziejach ludzkich. Ona maluje, jakąby drogą sprawy iść powinny; a historya opowiada to tylko co się stało, bez względu na uwagę: czyli ów fakt wypłynął z ducha narodu.

Za tém zdaniem poszedł Kremer [1]), opowiadając podanie: iż trzysta polskich husarzy transportowało z Medyolanu do Kolonii głowy trzech królów, gdy zdobył to miasto Fryderyk Rudobrody. Mówi z téj okazyi nasz estetyk: „dziejopisowie milczą o téj rycersko-religijnéj

---

[1]) W rozprawie *Kilka słów o epoce sztuki bizantyńskiéj*. Kraków 1856 (str. 8) i w Tomie III *Podróży do Włoch* str. 77—78. Na miejsca przytoczone, sam pan Kremer raczył mi w rozmowie zwrócić łaskawie uwagę.

posłudze — mało przecież w jéj przytoczeniu zawadza, choćby ona nie była faktem historycznym. Naród bowiem każdy ma dwojakie dzieje: jedne na historycznych oparte świadectwach, drugie zaś co mu z serca kwitną, a tchną w legendzie i powieści. A kto wie: czy ta historya wewnętrzna uczuć i pragnień narodu, czy to wierzenie we wypadki źródłem historycznèm nie poparte, nie jest właśnie wierniejszym wizerunkiem jego duszy niż owe, zewnętrzne, widome, jawne, udowodnione koleje jego żywota? Obrazy przeszłości wypiastowane w duszy ludu są czyściejszém źwierciadłem jego istoty, niż dzieje prawdziwe. Tamte są z ludu samego, a do tych przykładały się nieraz moce i pierwiastki nie od niego zależne.“

Na dowód jak naród to poczucie jakie ma w chwili dziejącego się faktu, w tradycyi przechowuje, a w historyą prawie gwałtem wtłoczyć go pragnie, posłużyć mogą podania o Poniatowskim i Kościuszce. Chcę tu przypomnieć słowa kładzione w usta tonącemu Poniatowskiemu: *Bóg mi powierzył honor Polaków*, *Jemu go tylko oddaję*; i znane *Finis Poloniae*, jakie miał wyrzec ranny Kościuszko.

Przypuśćmy: że ani jeden, ani drugi, (jak to wielu zapewnia) nie mówił tego, co im przypisali współcześni; to przecież niewątpliwém będzie: że tak wtedy naród czuł — to za prawdę miał w chwilach owych — to też włożył w usta wyobrazicieli swoich.

Mamyż taki wykrzyk ustami milionów wydany, nazwać baśnią — dla tego że bohaterom owym, co go zawołać mieli, już wtedy tchu w piersi zabrakło?—

Czyż takie podania to nic?

Pan Rogawski dał za motto rozprawie swojéj: *Historya nie tworzy się z niczego*; a pisząc to miał na myśli narodowe tradycye. Miałyżby podania być *niczém?* Lub też im samym na świecie przysłużyłaby atrybucya boża, stworzenia się z niczego, a bez początku istnienia?

Często w podaniu znajdzie historya miarę potęgi uczuć, jakie spełnione fakta wywoływały w narodzie. I tak np. słyszałem podanie o walce duchów pewnego dnia w godzinę północy, w miejscu gdzie nad Bugiem stoczyli Polacy krwawą bitwę z wojskiem najezdnych Szwedów. Po téj potyczce została tradycya, prawie tak straszna, jak owa grecka o Eteoklu i Poliniku, których nienawiść uosobił myt o rozdzielających się nawet dymach, gdy na dwóch stosach trupy ich palono.

W podaniu przytoczoném o bitwie owéj prawdą jest: straszna nienawiść jaką pałał lud nasz przeciw szwedzkim wojskom, jak skoro wierzy: że i za grobem nie wystygła gorąca zabójczéj walki namiętność, ale trwa w rocznicę onéj chwili, jak bój złego z myślą bożą. Nie każdy nieprzyjaciel zostawiał u nas podobne po sobie wspomnienia.

Waga tradycyj i urok jaki rozlewają gdy się wsłuchasz w ich głosy, obawa, by się nietknąć skrzydeł tych motylów bez starcia ich barwy, i nas nieco daléj odsunęły od wątku, zamierzonych szczegółowych dowodzeń i badań.

Wróćmy więc jeszcze do Krakusowéj mogiły i sądów jakie o niéj wydał pan Rogawski.

Powiada on: iż gdyby kilof i łopata tknęły wnętrza mogił Wandy i Krakusa, z pewnością prawie nicby się w nich nie znalazło; bo to są tylko ołtarze do sprawowania świętych obrzędów według rytuału słowiańskiego bałwochwalstwa.

Tradycya zaś przypięta do kurchanu Krakusa podaje: jako temu założycielowi Krakowa usypano pomnik, zwiąc go *Rękawką*, iż w rękach ziemię nań znoszono. *W Krakuszowicach* za Wisłą, trzy mile od Krakowa, wznosi się znów mogiła syna Krakusa, co tam brata swego zdradziecko miał zabić na polowaniu.

Konstanty Porphyrogenit mówi o mogile Kraka u Karwatów; Lelewel zaś rozbierając podania o wodzu czy królu naszym tego imienia (w pierwszych już zapisane kronikach) na istnienie jego u Chrobatów przyzwala. [1])

Krakusowa mogiła w kronikach i piśmiennych źródłach zwie się u nas zawsze *Rękawką* tylko [2]). Lud rozumie pod tém mianem pamiątkowe (rokroczne w trzeci dzień świąt Wielkanocy) zbieranie się na Krzemionkach pod ową mogiłą; gdzie żakom i pauprom czepiającym się na pochyłości wzgórza, zrzucają: jaja gotowane, jabłka, pierniki i bułki, które ci skwapliwie (bijąc się o nie) chwytają.

Sposób mówienia: *pójdźmy na Rękawkę*, zestawiony z względem: że tam ręce łapiących, główną odgrywają rolę, może stosownie objaśnia téj nazwy pochodzenie.

Zastanówmy się przecież nad źródłem czczenia takim obyczajem pamięci założyciela krakowskiego grodu.

Rzucanie z mogiły gotowanych jaj, zda nam się być głównym tego obrzędu charakterem. Zobaczmy tedy jakie ma jajo symboliczne znaczenie w różnych wierzeniach i tradycyach odwiecznych.

Jajo malowane w połowie czarno, w bachicznych i orficznych mysteriach znamionuje: już to dzień i noc, już to śmierć i życie— teraźniejszość i przeszłość. Jest ono tam symbolem tellurycznego organizmu, jakby oznaczeniem siły tworzącéj i niszczącéj zarazem. Spotykamy go i w pitagorejskich naukach. Mamy go w indyjskiéj ko-

---

[1]) *Polska wieków średnich* I, str. 208.

[2]) Patrz kroniki, oraz *Kościołów krak. opisanie* z r. 1603 wydane powtórnie w Krakowie r. 1860 str. 40—nadto często spotykają się podobne wzmianki jak ta (w *Skarbniczce* A. Grabowskiego str. 121) że w r. 1574 w regestrze wydatków na koronacyą króla Henryka Walezego zapisano: *za palenie ogni na Rękawce*, etc Więc pod nazwą *Rękawki* mogiła tutaj rozumiana.

smogonii, w mytach egipskich, u Fenicyan, Chaldejczyków, Persów. Na rzeźbach grobów Rzymskich i Greckich jako najpowszechniejszy symbol śmierci się powtarza. Mnóstwo przykładów przytoczyćbyśmy tu mogli, wskazując z najodleglejszéj już przeszłości, jaja używane na pomnikach jako godło przebytego życia i tego nowego co się ze śmiercią zaczęło. Dałyby się wskazać na dowód tego twierdzenia: myty, rzeźby, malowania, a nawet jaja wypalone z gliny w grobach rzymskich, greckich i słowiańskich znajdywane.

Tutaj przestając na wzmiance tylko, odeszlemy ciekawego czytelnika, do dzieła uczonego Bachofena, co prawie wyłącznie ten przedmiot traktuje [1]).

W sprawie zaś zabobonów, obyczajów, i wielorakich podań, jaja i łupiny jego się tyczących, które zawsze wiążą się około pojęć narodzin i śmierci, rozpisał się niemiecki badacz Wilhelm Mannhardt [2]).

Że wedle mytu indyjskiego: na początku było jajo, a to na dwie połowy rozdarte ziemię i niebo stworzyło; więc z wiosną jakby na pamiątkę zrodzenia się przyrody, jajo różną wedle różnych wiar odgrywa w obyczajach i obrzędach rolą. W Chrześciaństwie wielkanocne jajo na przypomnienie zmartwychwstania Pańskiego, odrodzenie i nadzieję znaczy [3]).

Trudno tu jeszcze bez napomknienia pominąć: nasze dzielenie się jajkiem wielkanocném, jaja w ruskim korowaju, wreszcie jajeczniki tak potrzebne w zastawie święconego. W téj mierze wiele w obyczajach naszych pozostaje do wyświecenia, a zbadania naukowego.

---

[1]) *Gräbersymbolik der Alten* — Basel 1859 r.

[2]) *Germanische Mythen,* Berlin 1858.

[3]) *Job.* 14, 39— *Łuk.* 4, 11, 12.

Otóż w obrzędzie *Rękawki* odbywanym trzeciego dnia Wielkiéjnocy charakterystycznėm jest (jak powiedzieliśmy) ciskanie a przez to tłuczenie jaj. Jest to więc obrzęd pogrzebowy — pamiątka śmierci czczonego od tylu wieków założyciela Krakowa. Jest to zwyczaj pogański, który wystawieniem na mogile bożéj męki, a nadaniem na ten dzień odpustem obok niéj stojącego kościołka, do chrześciańskich wielkanocnych wspomnień skierować chciano.

Na poparcie téj uwagi naszéj, jeszcze jeden przytoczymy dowód. Rzucanie w ludowe święto *Rękawki*, pokarmów z mogiły, to *dziady* nagrobne, *tryzna* słowiańska, ukraińska i litewska *chautura*, *stypa* pogrzebowa, *panichida* ruska. Owa uczta jaką jeszcze dotąd co roku w dzień zaduszny odprawiają na grobach, nawet w Petersburgu, zostawiając na cmentarzach: bułki, chleb, ryż etc.

Wreszcie objaśnić nam tu wypada istnienie dotąd obyczaju naszéj *Rękawki* na Białorusi, u Serbów, Czechów, Rosyan i Słowian nadelbiańskich. Tam znaczenie jéj nie zagadkowe, ale jasne — jest ona obrzędem ku pamięci zmarłych; a zwie się: *Radawnicą*, *Radunicą*, *Raditelskoj* lub *Raduńcem*. Zna ten obyczaj Gołębiowski i przytoczył go w cenném dziele swojém [1]).

Czytamy tam: że lud białoruski wyprawia uczty na mogiłach. Przed zastawieniem potraw, których liczba ma ma być nieparzysta (a bez polewki), zlewają mogiłę wódką i miodem, zapraszając umarłych przyjętą formułą, do wspólnego jedzenia. Jajecznica i jaja, konieczne są w téj uczcie; nawet te ostatnie (płacząc) tarzają po mogile, a po skończonéj stypie, resztę pokarmów oddają

---

[1]) *Lud Polski* str. 288. Ja także pisałem już o związku *Radunicy* z *Rękawką*, patrz *Gazeta codzienna* z r. 1856 N. 136.

ubogim, przez czas uczty wyśpiewującym pieśni żałobne [1]). *Zaduszki* owe obchodzone bywają najzwykléj we wtorek po niedzieli przewodniéj, a zawsze z wiosną (jak i nasza *Rękawka)* około Wielkiéjnocy. To zwrócenie się do umarłych w chwila h radości, wśród odmłodzonéj przyrody, przechowuje się w obyczaju dotąd w Krakowie istniejącym: gdy w drugi dzień uroczystości zmartwychwstania pańskiego idą odwiedzać rodziców na cmentarzu, a na trzeci zaś dzień *Rękawką* czczą pamięć Krakusa, jakby ojca miasta naszego. Dziwnie się tu schodzi pogański i chrześciański obrzęd uczczenia pamięci umarłych, zarówno w uroczystościach samych, jak w jaj użyciu, jak równie w pojęciach zestawiony. Na mogile Krakusa jaja śmierć znamionują, gdy na stole zastawionym święconém, zmartwychwstanie a odrodzenie znaczą. Powód obchodu *Radawnicy*, (a zatém i *Rękawki)*, lud rzewnie tłumaczy: iż rodzice i krewni w tych chwilach obudzenia się natury, pierwszy raz wiośnianém oddychają powietrzem, a wspomnienia i podziału radości od swych krewnych żądają. Chrześciańskie zaś oderwanie się od wielkanocnéj uczty, aby ją skończyć modlitwą na cmentarzu, dziwnie pięknie łączy to święto rodzinnego zespolenia i miłości, z wspomnieniem tych: co jéj już z nami dzielić nie mogą,

Po tych uwagach, sądzimy, iż dostatecznie wykazaliśmy: cmentarne, grobowe i mogilne znaczenie Krakusowego kurchanu. Gdżież tu ślad czci Herkulesa i słońca ołtarza?

---

[1]) Wiele źródeł w sprawie wiadomości o tym obrzędzie u różnych ludów słowiańskich, z małemi odmianami obchodzonym, przywodzi Gołębiowski w dopiero powołanéj książce. A warto zacytować tutaj: iż w dziele *Lud Ukrainy* podaje Nowosielski ciekawe w téj sprawie badanie (I, str. 128 i od str. 136).

Gdyby się nawet (wedle zdania pana Rogawskiego) kości lub zgliszcza w mogiłach Krakusa i Wandy znaleźć nie miały; nic nie przeszkadza do twierdzenia: że je tak ku czci i na pamiątkę tych ojczystych usypano bohaterów, jak niedawno wznieśliśmy Kościuszce (bez popiołów jego) mogiłę [1]), a na pamiątkę r. 1846 nad Tarnowem sypać ją zaczęto.

Dobiegłem tedy do kresu dowodów, jakie uważałem za słuszne postawić, naprzeciw wnioskom i hipotezom pana Rogawskiego.

Pragnę, aby nie słowa moje ale tylko prawda stanęła tutaj przeciw powadze zdań takich uczonych jak Lelewel i Bielowski, a na zbicie uwag pana Rogawskiego. Broń mię Boże, aby ktokolwiek miał rozumieć, że nie cenię dosyć mozolnych badań a chcę szczerość intencyj tych zacnych uczonych przesądzać. Szanuję, wielbię i kocham ich zarazem. Stawiam przeciw nim to co za

---

[1]) Chcąc mieć rozprawę naszą traktatem o krakowskich mogiłach, dodamy tutaj, iż akta usypania mogiły Kościuszki się tyczące, oraz wymiary tak jéj, jak i kurchanów Krakusa i Wandy są w *Pamiętniku budowy pomnika Kościuszki* (Kraków roku 1826) i w *Dodatku* do téj książki, wydanym w Krakowie r. 1852. Mogiła Kościuszki należy obecnie do łańcucha wojennego obwarowania Krakowa. Znów oto na téj mogile powtórzyło się to, cośmy mówili o owych na szlakach i w stepie. Grobowiec stał się obronną żołnierską stacyą i strażnicą wojskową!

W miejsce będącéj przy téj mogile pustelniczéj kaplicy świętéj Bronisławy, postawiono świeżo nową w stylu ostrołukowym, w guście jaki doń niedawno w północnych zastósowano Niemczech.

O śtéj Bronisławie i téj Jéj kaplicy, czytaj artykuł J. Mączyńskiego w *Czasie* z r. 1860 Nro 210 i 211.

Jak Krakusową mogiłę odwiedzają pierwszego dnia po Wielkiéjnocy, a Wandy w czasie odpustu w *Mogile* w połowie września; tak na kopiec Kościuszki chodzą gromadno mieszkańcy

prawdę poczytuję; a więc jeśli w dowodach moich ta prawda się nie znajdzie, nie jestem przeciwnikiem, ale przyjacielem zawsze.

Że prawdy tylko szukałem, a chodziło mi o znalezienie granicy pewnéj, po za którą w badaniach tradycyj przestępować nie wolno, składam dowód na to: iż w rozprawie mojéj i takich wiadomości a napomknień nie pomijam, jakie (gdyby kto spierać się i polemizować chciał) do pozornie przeciwnych mi zdań posłużyć mogą.

Nie tyle zaś owe uczone prace wywołały uwagi powyższe, ile lekkomyślne a zjadliwe sądy, jakie zaraz jak grzyby po dészczu, po nich się zjawiły.

O tych to dziesiątą już ręką (po badaczach naszych) przerobionych, niezgrabnych a zgubnych zaprzeczeniach i waleniach mytów bogatéj twórczości, gdyby nam językiem ludu wyrazić się wolno było, powiedzielibyśmy: że to czarcie figle. Ukraińska gadka o djable—co widząc jak Bóg ulepił człowieka, chciał i dla siebie z gliny

---

Krakowa w Emaus i w czasie odpustu śtéj Bronisławy w pierwszych dniach września.

Komitet opieki nad tą mogiłą, osadził przed dwoma laty na jéj szczycie głaz tatrzański nie obrobiony, z napisem: *Kościuszce.*

Niewiadomo z pewnością kto pierwszy podał myśl uczczenia Kościuszkę z ziemi usypaną mogiłą; przypisują ten pomysł księdzu biskupowi Łętowskiemu, Franciszkowi Wężykowi i jenerałowi Józefowi hr. Załuskiemu.

Zacytowany *Pamiętnik* wyliczywszy mogiły sypane bohatérom greckim; tłumaczy powody: dla czego Kościuszce nie inny ale podobny tamtym grobowiec wznieść postanowiono.

Kościuszko nie walczył za nasze bogactwa, ani dla materyalnych korzyści; walczył za wolność i ojczystą ziemię—z téj więc tylko pomnik mu usypmy.— Łza osycha na zimnym głazie i bogatym metalu, ale jedna tylko jest ziemia w którą wsiąknąć może.

hołdownika stworzyć, a nie mógł; doskonale nam się tutaj nasuwa, bo przechowała u ludu prawdę: że duch negacyi zniszczyć zdoła wszystko, ale stworzyć nie potrafi niczego. Gadkę tę i uwagę teraz przezemnie przytoczoną podał Nowosielski w swojém o Ukrainie dziele (II, 9).

Radzibyśmy widzieć rozważanie podań, snute wedle opinij jakie oto: Mićkiewicz, Pol, Siemieński, Kraszewski, X. Łętowski, J. Kremer, J. Mączyński i Wójcicki w swoich objawili pismach. Pierw zaś w każdym razie odgadywać i tłumaczyć je trzeba, niż usuwać i negować stanowczo.

Co się wreszcie pana Rogawskiego tyczy, cieszę się jeślim mu wytrącił tą razą z ręki *ów młot zimnéj rozwagi*, *który* (jak mówi) *podnieść musiał z wewnętrzną boleścią na rozpryśnięcie ulubionych podań.*

Znając osobistą zacność i jego życiem okazane ojczyste uczucia, cieszę się powtarzam, żem może wytrącił mu z ręki ów młot, aby mi ją teraz podać mógł na zgodę, tém łatwiejszą że z pięknego wstępu do rozprawy jego widzę, iż się zgadzamy w zasadniczém na rzecz patrzeniu.

Zanim teraz przejdę do argumentów pana Lisiewskiego w sprawie smoka wawelskiego, powtórzyć mi pierw wypada to o Krakusie podanie, w sposób w jaki ono dotąd wśród narodu żyje; a począwszy od najstarszych kronikarzy, wszyscy nam go przekazali.

W jaskini pod Wawelem srogi mieszkał potwór, któremu codzień bydlęta na strawę dawać musiano, aby ludzi nie porywał. Z paszczy jego jadowita trująca buchała para. Krakus z pomocą szewca Skuby zgładził smoka owego. Szewc przysposobił potworowi na pokarm udane ciele z skóry napełnionéj smołą i siarką zatloną.

Wtedy gdy zwierz rzucił się do Wisły by ugasić wewnętrzny pożar, Krakus zabił go śmiałém z konia natarciem.

Jaskinię dotąd lud wskazuje pod Wawelem — Heraldycy zaś powtórzyli owo o Skubie podanie, snując z niego początek kształtu herbu Skarbków, zwanego Habdankiem od czasów wojny z Henrykiem cesarzem. Smoka wreszcie, to Boą to Holophagiem zwą kronikarze nasi. Naruszewicz rozumiał: że ta tradycya zostaje w analogii z opowieścią o duńskim rycerzu Stekaterze walczącym z rozbójnikiem Wizinem u Anafialowéj skały. Co do drogi badania, Szajnocha niedaleko rozszedłby się w tym punkcie z Naruszewiczem.

Lelewel widząc Kraków u Czechów, Kroatów, Allemanów i w Galii, zdaje się upatrywać wspólność podań jakie o nich po świecie się plączą, nie rozbiera jednak bliżéj tradycyi zabicia smoka się tyczącéj.

O ile wiemy, pierwszy pan J. Lisiewski wystąpił w téj sprawie z badaniem szczegółowém i wszechstronniejszemi nacechowaném studjami.

Posłuchajmy tedy jak rzecz przedstawia. Uważając smoka jako wyobrażenie złego, godło baczności i symbol herezyi, przechodzi autor rozprawy, pojawienie się potworów w mytach Greków, Rzymian i ludów plemion germańskich. Napomyka o tych dziwozwierzach u Scytów, Persów, Partów, Daków i na północy. Wreszcie przywodzi legendy chrześciańskie, przytaczając świętych którym potwory na symbol dodano; a ten przegląd mytów zgodnéj treści, kończy przywiedzeniem miast których początek od pokonania smoka podania wywodzą.

Po tych pięknie i pracowicie przeprowadzonych studyach, zdawałoby się, iż ten tylko rezultat autorowi postawić wypadnie, że podania o smokach są wspólne ludzkości całéj. Tymczasem, pan Lisiewski przychodzi z swoich badań do niespodziewanego twierdzenia: że

wawelski smok jest symbolem pokonanego pogaństwa; a Gotów przyjąć trzeba jako twórców téj tradycyi, która do nas razem z ich Krakusem przeszła.

W konkluzyi zaś powiada autor: że bajka o smoku wawelskim jest jedyną w Polsce, a zatém jedynym pomnikiem bytności Gotów nad Wisłą.

Choćby nawet rezultat ten był prawdziwym, to przecież, inaczéj wziąść się trzeba było do zyskania dlań powagi. Tymczasem, czytając to pracowicie i logicznie prowadzone studyum, zdumieliśmy się nad tak gwałtowném a niespodziewaném skręceniem dowodzenia w węzeł gotyckiéj zagadki.

Zdało nam się, iż sposób postawienia argumentów owych tak się da bliżéj czytelnikowi określić: ludzie wiedzą co to jest *noc;* Indyanie, Egipcyanie, Rzymianie etc. *noce* znali — znali je też i Gotowie — a zwały się: *nox* (po łacinie) *nuit* (po francuzku) etc. — że zaś niemieckie *Nacht* znaczy po polsku *noc*, więc od Gotów dowiedzieliśmy się o istnieniu i pojęciu ciemności owych! [1])

---

[1]) To pochopne a nieuzasadnione wywodzenie wielu właściwości naszych z niemieckiego początku, dość często się trafia. W roku np. 1851 staczałem był walkę (*Czas* Nr. 66 i 93) o rodzinne nazwy miejscowości na *tyn* się kończących. Wskazywałem iż: *tyn*, *tynina*, zwie się dotąd wysoki płot z sosnowych lub jodłowych deszczek; ztąd *Tyniec* tyle znaczy co *ogrodzenie*, *gród*. Gdy nie mogłem przewieść swego, bo ciągle jeszcze nasze Czorsztyny, Rabsztyny, Melsztyny etc. z niemieckiego wywodzą; więc proszę o odpowiedź czy niemieckiemi są osadami: Delatyn, Fulsztyn, Obertyn, Śniatyn, Bursztyn, Gostyń, Husiatyn, Olsztyn, Łopatyn, Milatyn, Rohatyn, Wolsztyn; wreszcie na *in*, *szyn* i *czin* zakończone, jak: Szczebrzeszyn, Szczecin, Szczucin, Tęczyn, Tołoczyn, Troszyn, Tulczyn, Tuszyn, Tykocin, Wołoszyn, Hryczyn, etc. Jeżli kilka z tych nazw wykażą się z niemieckiego początku, to trudno przyznać iż wolno postawić regułę: że nasze i czeskie *tyny*, to przepolszczone *szteiny*!

Daruje mi szanowny autor, że tak ośmielam się ztreścić końcowe dowodzenie jego. Proszę niech mi to przebaczyć raczy. Ubliżył on sam pracy swojej jéj zakończeniem. Tok i prowadzenie rozprawy logiczniejszego wartały rezultatu. Może zresztą i dziś poprawić rzecz całą; a poczesne da jéj miejsce w badaniach przeszłości naszéj. Sapientis est mutare consilium in melius.

Zdanie nasze nad sądem pana Lisiewskiego o wawelskim smoku otworzymy uwagą, jaką o tradycyach téj kategoryi uczynił świeżo niemiecki badacz Furtwängler. [1]) Oto zasada jego. Między podaniami ludów widzimy najpierw takie, co niby owo słońce zarówno wschodniéj jak i zachodniéj przyświecające półkuli, wszędzie na świecie w téj saméj ukazują się formie. Inne powstają w pewnych tylko chwilach i czasach, podobne do gwiazd raz widnych oczom to znów w głębi firmamentu ginących; trwanie takich zjawisk podaniowych, równe owéj myśli ludzkiéj co ledwo błyskawicą w głowie powstanie, a już ją inna, mocniéj promienna, gasi i zaciera. Są znowu tradycye takie, co jak silnie otrzymane wrażenie rysują się i utrwalają w pamięci i w duchu pojedynczych plemion i narodów. Wreszcie niektóre myty z ludźmi razem po ziemi odbyły pielgrzymki—te są jakby nasiona w różnych czasach i pod wielorakim klimatem w ziemię rzucone; niby też same wzrosły z nich wszędzie rośliny, przecież różną siłę barwom ich kwiatów, różne nadało podniebie.

Stary Indus podobno najwięcéj tych ziarn swego bujnego kwiecia zasiał i na ziemiach słowiańskich pokoleń. Nad Gangesem to pewno i nasze i gotyckie smoki mają ojczyznę swoją. Ten myt wspólnym jest ludzkości całéj

---

[1]) *Die Idee des Todes*. Freiburg 1860 r.

a tylko różne narodowości i wiary odmiennemi malowały go barwami.

Chcąc czytelnika wprowadzić w ów świat potworów fantastycznéj Hindu wiary, dość mi tutaj będzie odesłać go do dzieła profesora Dra Foneski [1]). Znajdzie tam opowieści o walkach ze smokami, których nazwy i wyliczania wywiodłyby nas na pole analogii i studyów zbytecznych w rozważaniu naszém. Niechcąc tedy pracy téj dawać szerszych ram (ani roszcząc sobie pretensyj aby uwagi moje na uczoną zakrawać miały rozprawę), przestanę na wzmiance tylko: iż (jak to i panu Lisiewskiemu wiadomo) w mytach Hebreów, Greków, Rzymian, a następnie wszystkich ludów dziś europejskich, powieści o smokach istnieją; więc wspólne są ludzkości całéj. Mamy je także w starym i nowym Testamencie, a symboliczne przedstawienie potworów w ikonografii i sztuce wieków średnich obszerne znalazło zastósowanie [2]).

---

[1]) *Mythologie des Alten Indien*. Berlin 1856.

[2]) *Bel* smok Chaldeów, *Chinongi* i *Fohi*, potwory Chińczyków—cesarz chiński nosi tytuł smoka syna nieba. *Pisachas* porywa w podaniach indyjskich księżniczki.

U Greków Herkules i Apollo walczą ze smokiem. Perseusz uwalnia Andromedę od potworu. Jest tam smok kastylijski i kolchidzki. W Skandynawii potworów pełno w powieściach. Pan Lisiewski wylicza wielu europejskich, u porzymskich narodów. Mamy ich na sztandarach, orderach i w herbach. Na pomnikach i obrazach, w najróżnorodniejszych postaciach średnie wieki potwory wystawiały; a smoki z Apokalipsy do różnych poetycznych i plastycznych przedstawień powodem się stały.

Widziałem w Warszawie u p. Aleksandra Lessera sztych z XVII wieku przedstawiający rzeźbę znajdować się mającą w Ratisbonie. Przedmiotem téj rzeźby jest pojedynek, z następującym objaśniającym podpisem:

Delineatio des jenigen .... (ztarte)
im Dollingerschen Hauss gegen

W świecie chrześciańskim, jak mieszkańcy powietrznych obszarów pożyczyli skrzydeł swoich chórom aniel-

---

dem Rahthauss über allwo der
Zweijkampff zwischen Hanss
Dollinger und einem unglaubigen
Hunnischen Obristen Craco in
Stuccator-Arbeit vorstellet —

Pod rzeźbą (gdzie Krak ma jako herb smoka na tarczy) jest napis:

Barbarus hic solidis certant
Germanus et armis
Germanus vicit, Barbarus occubuit

Na rysunku poniżéj obrazka sali gotyckiéj, widzimy w przepołowieniu dwa rysunki, wystawiające pojedynek w obec licznego rycerstwa —

Nad jednym napis:

Craco wirfft den Dollinger zweijmahl nieder

Na drugim:

Dollinger besiegt und tödtet den heidnischen Zauberer Craco.

To za Cesarza Henryka I. dziać się miało.

O smokach czytaj:

Job. 40, 41.

Apokalipsa IX, 10. XI, 17, 19. XII, 3, 7, 9, 13, 15, 16, 17, 18, XIII, XIX, XX.

Owidiusz ks. III, *Homer* —

Wörterbuch der Mythologie aller Völker von Dr. W. Wolmer. Stuttgart 1851 str. 449 i tablica LXIV.

Conversations-Lexicon für Bildende Kunst von Faber—pod *Drachen* i *Bellorophon.*

Słownik starożytności. L. Norka IV, 231.

Der christliche Bilderkreis von Hack. Schaffhausen 1856.

Symbolik der christlichen religion von G. M. Dursch. Tübingen 1850.

W wyżéj cytowaném dziele Bachofena: O symbolice na grobach (str. 145).

W *złotéj legendzie artystów.* Wilno 1848.

W wstępie do *pieśni Skandynawskich* przekładu L. Siemieńskiego. Poznań 1843.

skim, tak węże, bazyliszki, smoki i wszelki gad pełzający a uzbrojony jadem śmierci, stał się symbolem sił i potęg czartowskich.

Chrześciaństwo starło głowę wężową; ztąd zwycięztwo dobrego nad złém, a mianowicie pokonanie pogaństwa (jak to słusznie twierdzi i pan Lisiewski) znalazło przedstawienie w zwycięzkich z potworami walkach.

Poźno po potopie, były nawet istotnie dziwozwierze, pozostałości olbrzymich materyalnych potęg natury. Podania więc o nich mogą mieć czasem i w rzeczywistości źródło swoje, lub są reminiscencyami z najdawniejszéj naszéj kuli ziemskiéj przeszłości.

Toć Nevius opiewając pierwszą punicką wojnę, przywodzi walkę Regulusa nad rzeką Bragandą z olbrzymim potworem, co był jako wąż 120 stóp długi, a od łuszczki jego odbijały się pociski. Kilka oddziałów wojska za-

---

W III tomie *Rocznika cesarskiéj komissyi archeologicznéj wiedeńskiéj* (str. 130) i w jéj *Mittheilungach* (z r. 1859 str. 259). Wreszcie w *Hierolexikonach* (np. Macra str. 221) i w słownikach archeologicznych.

Muczkowski zastanowił się nad obrazem (z Katedry na Wawelu) smoka wystawiającym, w książce: *Dwie kaplice jagiellońskie* (Kraków 1859 r.)

Łukasz Gołębiowski, Nowosielski (w tylekroć cytowanym dziele) a za niemi I. Grajnert w *Studyach nad podaniami ludu,* zaczęli u nas zastanawiać się nad wielką a tajemniczo głęboką rolą, jaką zwierzęta w mytach ludów odgrywają. Dr. Gustaw Heider począł u Niemców badać tę część symboliki *(Über Thier-Symbolik,* Wien 1849). Nowosielski i Lenartowicz mogliby dać nam znakomite w téj sprawie dzieła.

Ich badania odmiennemiby poszłyby drogami Przecież, że nie burzyć ale tłumaczyć tylko myty obajby pragnęli, więc prawda byłaby przy końcu dróg ich. Nowosielski nauką odkryłby mądrość ludową, a Lenartowiczowi blizko do niéj, bo poeta prosty w duchu a rzewny pieśniach swoich.

bił ów potwór, albo smrodliwym tchem swoim zadusił. Regulus na jego zgładzenie wojenne machiny w pole wyprowadza. Pliniusz oglądał jeszcze w Rzymie skórę z téj bestyi olbrzymiéj.

Dr. Wollmer, w swojém o mitologii dziele [1]), odróżnia fantastyczną postać smoka złożoną z części różnym przysługujących zwierzętom, od drugiéj jakby rzeczywistéj, w zarysach jaszczury i krokodyle przypominającéj. Ztąd podania w których potwór nie jest symbolem, rozróżnia na tyczące się olbrzymich ziemnowodnych stworzeń których szkielety potop nam przekazał, i na takie co i dziś w głębiach Afryki istnieją.

Mićkiewiczowi podoba się wywodzić w *prelekcyach* [2]) wyraz łaciński *draco* wraz z pojęciem smoka, od słowiańskiego *dratse* (bić się) a twierdzi, że Słowianie smokami nazywali nieprzyjaciół których się lękali. Ma on, równie jak i Nowosielski [3]), podania o smokach za przechowane tradycyjnie o tych rzeczywistych potworach jakie Cuvier składał z cząstek z ziemi dobytych.

Szajnocha w *Lechickim początku Polski* opowiadając (str. 127) jako Normanowie umacniali swoje grody wałem w kształcie węża — objaśnia, że zabicie smoka a zdobycie grodu warownego, jedno i toż samo znaczy.

Z przywiedzionego domysłu naszego historyka i z dalszych wywodów jego, zdawaćby się mogło: że początku nazwy osady *Bawół*, pod *Wawelem* będącéj, samegoż

---

[1]) *Wörterbuch der Mythologie* von Dr. W. Wollmer, umgearbeitet von Professor Kern. Stuttgart 1851 (str. 449).

[2]) Tom III wyd. Poznań. str. 47.

[3]) *Lud ukraiński* I str. 279.

Wawelu [1]) i miasteczka *Wąwelnicy* [2]) szukaćby wypadło w anglo-normańskim wyrazie *Beowulf* co smoka znaczy, a wymawia się podobnie jak nasze *Bawoły* i *Wawele.*

Mimochodem zwracamy jeszcze uwagę na etymologiczne wyrazu *smok* badanie, jakieby się rozwinąć dało choćby z tego co Linde w słowniku przytoczył.

Pan Lisiewski twierdzi, „że podanie krakowskie o smoku, jest jedyne w Polsce, a w całéj pierwiastkowéj historyi naszéj jeden pojawił się smok, i to nad brzegami Wisły.“ Orzeczenie jego okazuje się mylném, gdy (niechcąc nawet wyczerpywać materyi) przypomnę: że pan Józef Grajnert [3]) (który poszedł sam jeden za zdaniem pana Lisiewskiego) przywodzi postać smoka siedmiogłownego w mitologii słowiańskiéj, zwanego *Chworzem*, a opowiadając o czci tego boga u Morawian i Rusinów, zapisał podanie, iż miasteczko Pajęczno (w ziemi wieluńskiéj) wzięło początek od potworu zabitego podstępném podrzuceniem mu siarki w cielęcéj skórze.

Miasteczko *Wąwelnica* używa na pieczęci (jak wspomnieliśmy dopiero) rycerza konnego zabijającego potwora.

Na Ukrainie opowiadają o smokach trójgłownych, z których paszcz iskry się sypią, a lud *żmijami* i *kościejami* je nazywa.

Kościej przypominać może *kościotrupy* przedpotopowych olbrzymich zwierząt.

---

[1]) W XVI wieku pisano *Vąvel.*

[2]) Miasteczko w królestwie polskiém. Dziwnym zbiegiem, *Wąwelnica* używa na pieczęci rycerza zabijającego potwora— może to nie śty Jerzy. Ta pieczęć przy dokumencie z r. 1629 jest w bibliotece Sieniawskiéj.

[3]) *Bibl. Warsz.* r. 1859 Zeszyt z maja str. 429—493, w rozprawie: *Studya nad podaniami ludu.*

Owe ukraińskie żmije mają zaklęte pałace swoje; gadki wskazują bohaterów co ich zabijali, a fortele na śmierć smoków wymyślane, podobne do sposobu jakiego użył Skuba na wawelskie dziwo. W kijowskiéj nawet gubernii, istnieje *żmijowy wał*; o nim, jak i o innych smoków się tyczących powieściach, rozpisał się Nowosielski w tylekroć cytowanéj książce [1]), gdzie przeprowadza analogie tradycyj o potworach u Indów, Egipcyan, Greków i w Skandynawii.

Pominę wreszcie inne tradycye nasze w téj sprawie, a przytoczę tylko podanie o najstarszéj szląskiéj katedrze w Smogorzewie. [2])

Był tam smok olbrzymi co mu cielęta na pożarcie dawać musiano. Kiedy już dla owéj bestyi bydła nie stało, dzieci na strawę dlań (ocalając całą osadę) znosić postanowiono. Że miłość najprędzéj u Boga ratunek dla biednych wyprosi, więc i tutaj przez łzy a żałość matki jednéj cudo się stało a wybawienie całéj uciemiężonéj osady.

Apostołowie słowo boże opowiadający, przybyli właśnie wtedy do Smogorzewa. Nocując na poddaszu w chacie ubogiéj, strwożyli się jękiem a łkaniem jakie w izbie słyszeli. Dowiedzieli się wreszcie, że żona gospodarza powiła właśnie syna, a dziecko to że jest pierworodne więc smokowi pójść ma na ofiarę. Ulitowali się święci mężowie łez biednéj matki, a obiecali w imie prawdziwego Boga zgładzić potwora.

Przecież kapłanie zanieśli już dziecię do smoczéj jaskini. Tém większy atoli cud a moc boska widoczną się stała, że apostołowie w walce zabili smoka, a dziecię

---

[1]) I str. 269, 278, 285.

[2]) Smogorzew w Szląsku dolnym w powiecie namysłowskim. Podanie czytaj w *Przyjacielu ludu* Rok 13. N. 10.

żywe z jaskini wynieśli. Uznał lud prawdę świętéj wiary, a gdy się nawrócił, pierwszy na szląskiéj ziemi kościół w Smogorzewie wystawił.

To podanie w połączeniu z zagadkową nazwą i pieczęcią *Wąwelnicy*, można zestawić w analogią z symboliczném znaczeniem krakowskiego smoka; gdybyśmy go uważali za myt zaprowadzenia w Polsce religii chrześciańskiéj. Przecież mimo tego, nie utraca podanie o Krakusie spólności swojéj z tradycyami téj saméj natury, któreśmy w całym świecie okazali. Że zaś i w tym nawet wypadku, Gotowie nie apostołowali u nas (aniby rozumiani być mogli), więc w żadnym razie związku z nimi w całéj téj sprawie doszukać się nie mogę.

Dopełniając wzmianki o smokach u nas, dodam: iż jak kościół smogorzewski używa na pieczęci śgo Jerzego zabijającego potwora; tak i książęta krakowscy smokiem się (w środku XIII wieku) pieczętowali. Na majestatycznéj pieczęci Przemysława IIgo (jeszcze jako księcia tylko) wyobrażony rycerz na zdeptanym smoku stojący— w prawéj ręce ma chorągiew, w lewéj tarczę z orłem; z wież trąbią mu na sławę, nad głową widać błogosławiącą rękę.

Wreszcie przypomnę słowa o smoku z codziennie słyszanéj pieśni: *Kto się w opiekę poda Panu swemu*; a choćby już te, daléj nas zawiodą jak do Gotów, bo do harfy króla proroka, co psalm ten układał [1]).

Gallus zapisując tradycyą o wawelskiéj skale, miał także na myśli izraelski religijny typ tego podania; jak

---

[1]) Pieśń *Kto się w Opiekę* jest XCtym psalmem Dawida przypisywanym przez niektórych Mojżeszowi.

Obiecuje tam psalmista: iż kto ufa w Panu

Na lwa srogiego bez obrazy wsiędzie
I na ogromnym smoku jeździć będzie.

skoro dodał, że się wzięto do zabicia smoka za przykładem Daniela co babilońskiego zgładził potwora.

Tak tedy z lekka rzeczy dotykając (z powodu rozpraw pp. Rogawskiego i Lisiewskiego) wypowiedzieliśmy mniemania nasze o znaczeniu mogił i tradycyj narodowych. W sposobie traktowania popełniliśmy ten sam grzech, o jaki obwiniamy owych przeciwko którym stanąć nam przyszło. Błędem tym jest ujęcie w rękę anatomicznego noża, wezwanie na pomoc erudycyi książkowéj. Trudno — konieczność wywołała uzbrojenie się do walki tąż samą bronią, jaką mieli przeciwnicy moi. Nie goniłem téż za popularnością; ale pragnąłem spór w téj saméj sferze zostawić, w jakiéj się pojawił i rozpoczął. Ztąd rozprawki mojéj nie daję do dzienników, ale ją w mało czytaném piśmie i w 100 osobnych odbiciach nie licznym czytelnikom oddaję.

Celem dowodzeń tych było zwrócenie uwagi na odległość źródeł wielu mytów i dotknięcie prawd, jakie pod temi formami nie raz się ukryły. Pragnęliśmy dowieść: że te mniemane baśnie mimochodem strącać się nie dadzą z pedestałów, na którvch je ustawiły wieki na dziejów ozdobę.

Dotąd chcąc korzystać z *podań*, tego *podania* odległym pokoleniom spuścizny mądrości wyrobionéj przez wieki; zawsze zabijano pierw żywe narodu słowo, aby nie z ducha, ale że tak powiem, z anatomicznego preparatu naukę wydobyć.

Ten wtłacza myty w ramki hipotez swoich, ów je rozwiewa i gasi, inny wyciska z nich barwę do malowania obrazu potrzebną, a inny wreszcie bierze z nich rym lub nutę dla siebie.

Podania ludowe, to jakby ów kur pod strzechą, co pjaniem budzi a do czujności wzywa. Nam o jednym

dopiero pożytku z koguta tego dowiedzieć się przyszło; to jest o smaku białego mięsa, gdy je pieczone lub w potrawce na talerzu mamy. Rozumiem tutaj exploatowanie podań, i anatomiczne ich rozbiory.

Nikt zaś nie pyta się o mądrość wielką, o zagadkę, o słowo jakie naród chciał mieć zamknięte w tradycyach swoich.

Książki pisane opowiadają najczęściéj prawdy względne lub powszechne; na myty, podania i tradycye, składał lud przez długie wieki mądroście swoje — ztąd podania są narodową księgą. One są rezultatem i jedyném świadectwem wyrobienia ludu naszego, ostatniém słowem jego.

Jeśli mierzymy ciągle oglądając się za siebie, postęp nasz w literaturze i oświacie, czas by był spytać się ludu o tę jego znów własną oświatę, o to słowo ostatnie i rezultat wyrabiania się ducha jego przez dziewięć prawie stuleci.

Podania narodowe zostają w tym stosunku do podań wspólnych ludzkości całéj lub wszystkiemu chrześciaństwu, w jakim się mają do siebie prawdy kosmopolityczne, katolickie i narodowe. Jedne z drugiemi nie są w sprzeczności, ale każde z nich inną ma barwę — dla tego razem tworzą tęczę bożéj mądrości.

Tradycye podzieliłbym na obce i swojskie, pogańskie religijne chrześciańskie, historyczne, ludowe, szlacheckie i książkowe, to jest te co z literatury w usta ludu przeszły. Ktoby je zebrał i spisał, złotą księgę dałby narodowi. Materyał już wielki zgromadził się od Brodzińskiego czasów, a w kronikach i broszurach nie mało znaleźćby się dało. Skrzywiono też a sfałszowano nie jedno podanie — to odszukanie prawdy najtrudniejszą podobno okazałoby się pracą.

Jak w literaturze każdy czas inne pomysły i książki wyrzuca, lub stare na barwę dla siebie odgrzebuje, tak

i tradycye nie wszystkie naraz żyją, ale w tym kalejdoskopie coraz inny obraz się przedstawia.

Te spowite w mytach żywe narodowe prawdy, mają formę swoją, jedyną co dla całego zrozumiałą jest narodu. Forma to uroczysta, świąteczna szata ojczystéj myśli—pojawia się ona wśród nas w chwilach spotęgowania i zjednoczenia ducha narodowego. Tą oto podaniową, ludową formą, stało się uczczenie Kościuszki mogiłą. Był to (dotąd ostatni) narodowy człowiek — więc wyniosła się w mogilną górę ziemia ojczysta, aby po narodowemu narodowego męża uczciła.

Mądra tradycya zdmuchnięta, to zgaszona jedna z gwiazd kierunkowych w téj po ludzkości oceanie, narodu podróży.

Tradycye i obyczaje w połączeniu i bratniém zespoleniu narodów, są tém czém był Panteon dla rzymskiego świata, do którego zgromadziły się bogi wszystkich ludów czasów tamtych.

Przejęcie tradycyj bywa często jakby ślubnym pierścieniem dla ludów co się w miłości w jednę łączyły ojczyznę.

Podania téj wagi jak o Krakusie i Wandzie, których rdzenną myślą jest poświęcenie się dla narodu, stały się własnością Polski całéj. Przyrosły one do wawelskiéj skały; a starsza Wielkopolska łącząc się z młodszą krakowską [1]), przyjęła je za swoje. Litwa, Żmudź, Ruś i Pomorze powtórzyły i rozniosły u siebie te powieści nasze. I od nich zaczynają się dzieje narodu, co legł między dwoma aż morzami.

Takich połączeń, gramatyką lub gazetą zastąpić trudno. Dobrze też, że wieki tradycye wawelskie silnie wkorzeniły w pamięć polskiego ludu. Kości i tych co je walą i tych co bronią, w popiół się rozsypią, że na-

---

[1]) *Major* Polonia i *minor* Polonia, ma się rozumieć: *natu.*

stępcy znów nie będą mogli doszukać się ich w grobie, a piosnka:

Wanda leży w naszéj ziemi......

nie zamilknie, ani w zapomnienie pójdzie.

Podania o stworzeniu świata, niedawno bo encyklopedystom francuzkim i niemieckim, legendą i baśnią się wydawały, a dziś geologia potwierdziła je i sama prawdą nazwała.

Tak się też i z tradycyami ludów stanie, gdy się im genialny człowiek przypatrzy.

Skończę rzecz moją ludową zagadką:

Święta Urszula
Perły rozsuła.
Miesiąc wiedział,
Nie powiedział.
Słońce wstało,
Pozbierało.

Poczekajmyż na owo słońce; niech ono zbierze podania, te perły rosy na kwiatach dziejów naszych. Teraz gdy nam jeszcze w pracy około najodleglejszéj przeszłości, tylko blady księżyc przyświeca, nie uprzedzajmy świtu i poranku—poczekajmy choćby jutrzenki . . . .

Pisałem w Krakowie, w grudniu 1860.

OBRAZ SEJMU WIELKIEGO

od 1788—1792.

Dnia 7 października 1788 r. w Warszawie po wyborze Stanisława Nałęcz Małachowskiego, referendarza WK. na marszałka, po złączeniu się Izby senatorskiéj z poselską, zaczął się sejm pod związkiem konfederacyi ogólnéj obojga narodów, pod laską marszałka sejmowego, któremu w pomoc na marszałka konfederacyi W. K. L. wedle zwyczaju przydany został Kazimierz książe Sapieha jenerał artyleryi. — W czasie rozpoczętego sejmu podane były od tronu króla propozycye. — 1. aby wynajdowane były źródła, któremi intraty publiczne, najistotniéj i najdonośniéj powiększone być mogły, a któreby obywatelów, jak tylko być może najmniéj uciążały. 2. Z oszacowanych takowych źródeł, ile przezorność dosięgać i przewidywać może, aby projektowane było determinowane wojsko Rzpltéj, do któréj będzie się podobało narodowi doprowadzić komplet onego. 3. Nastąpić będą mogły poprawy sądownictwa, których się potrzeba naglejsza pokaże, które to równie jako i inne materye, późniejszemu sejmowania zaradze-

niu zostawuje J. K. Mość. 4. Przy jednostajném umówieniu się i połączeniu żądań, przyspieszenie projektów za poprzedzającém ich roztrząśnieniem na prowincyonalnych sejmach. — Na początku więc zaraz sejmu jednomyślnie uchwalona, i postanowiona została liczba wojska 100,000 w Koronie i W. X. L. Rząd zaś nad wojskiem departamentowi wojskowemu przy komisyi wojskowéj powierzony. Jeżeli patrząc zdala na czynności jakie, można partykularnie rozumieniu swemu podchlebiać, aby te w uchwałach sejmowych przez wybór ludzi w ułożeniu prawodawstwa o dobro publiczne gorliwych i światłych, zdolne było pilniéj dostrzegać uchybień, które może niepodobne do wykonania były, — tedy po uchwale 100,000 wojska, nieodstępnie i ciągle ten jedyny między wszystkiemi objekt, w uskutecznieniu natychmiast z oddaleniem i przezwyciężeniem wszelkich przeszkód powinien był być przedsięwziętym. — Mniéj dogodna w swoim zamiarze dobru publicznemu, a raczéj pozornie podchlebna była rada króla „aby dochody publiczne, jak tylko być może najmniéj uciążały obywatelów.“ Nie tym podobno tonem przemawiali królowie polscy do narodu, gdy szło o zapobieżenie jego całości. Wystawiali oni pewnie wielkość grożącego niebezpieczeństwa, a całość powszechną nad prywatne majątki przekładali. Dla tego uważać można było, iż dochody w miarę potrzeb najmniéj dotykalnemi być nie mogły. — A wszakże wtym samym momencie w którym naród w osobie reprezentantów 100,000 okrzyknął wojsko, już tem samem jednomyślnością te wszystkie uchwalił sposoby, przez które do postanowienia w téj liczbie wojska wymagała potrzeba. Kto znał co to jest wojsko z niczego prawie stwarzać w kraju, gdzie fabryki na broń jedne z czasem upadły, drugie dostały się pod obce panowanie; gdzie starożytne twierdze zniszczały, a nowych nie starano się założyć; gdzie bezkrólewie,

konfederacye i wojny domowe, pozbawiły prywatnych broni, a zbrojownie oddawna były puste; gdzie granice zewsząd odkryte, ni rzekami wielkiemi ni górami, ni morzami nieosłonione—jedyny sposób do obrony w postawieniu licznego wojska zostawał. — Wszystko to nie mało wymagało kosztu, a dostarczenie potrzeb z podatków i ofiar na jednym zależało pośpiechu, i od usiłowania jedynie do tego dążącego los ojczyzny zawisł.— Przepisywane były wprawdzie względem tego urządzenia sejmowe, ciągle uchwalone jednak 100,000 wojska w prawie zawarte, przez ciąg kilkoletni, do zamierzonéj liczby niebyło doprowadzone. — Późno już było podwajać podatki, kiedy przeciw nieprzyjacielowi wojsku ciągnąć przychodziło. — W początku samym jeśliby umiarkowane podatki, nie wystarczyły na uchwalone 100,000 wojska, należało je podwoić. — Niechby wtenczas naród ochoczym i czynnym do obrony ojczyzny okazał się albo z niewczesnéj oszczędności zgubę nad własne przekładał jestestwo. — Jedna to pod ów czas była pora kiedy od 1788 r. zaczętego sejmu, do 1791 ciągnącéj się wyjny Rosyi, z Turcyą — można było o skompletowanie uchwalonego wojska najusilniéj starać się, gdyż potęga Rosyi opieranie się sobie kilkadziesiąt tysiącznego wojska, momentalną tylko dla siebie przeszkodą być uważała — Rok jeszcze po skończonéj wojnie tureckiéj, czynnościom sejmowym zostawał czas wolny. — Niewiem jeżeli sejm wówczas prawo uchwalonego 100,000 wojska mógł uskutecznić, ale że należało, to pewna.— Odkrył czas wprawdzie, jak w ciągu sejmowania, pod pretextem patriotyzmu, wielu stronników rosyjskich, na saméj bezczynności; czas marnie trawiło, ofiarowana téż przyjaźń króla pruskiego i przymierze posiłkowe zdolne zdawało się być dostatecznem do odporu w razie potrzeby. — Następnie więc podana była deklaracya od Ludwika Bucholtz, posła pruskiego pod d. 12 8bra wktó-

réj wyraził: „Iż gdy ku końcowi sierpnia JP. Graf de „Sztackelberg ambasador rosyjski, niżéj podpisanemu „urzędownie oświadczył, iż Imperatorowa jego, postano„wiła na blisko następującym sejmie, zawrzeć z królem „i z rzpltą alians którego jedynym celem być ma bez„pieczeństwo i całość Polski, oraz jéj przeciwko wspól„nemu nieprzyjacielowi obrona, tedy niżéj podpisany „królowi panu swemu to doniosłszy, idąc za odebra„nym na to rozkazem odpowiedział panu grafowi de „Sztackelberg, że najj. król jego, lubo czuły na poufa„łe zamiary tego odkrycia, oświadcza, iż żadnéj tako„wego aliansu niewidzi potrzeby. Gdyby jednak nowy „alians miał być potrzebny dla Polski, — iż najj. król „jego ofiaruje także odnowić z dawna trwających mię„dzy Prusami a Polską traktatów, i że pomyślność tego „sąsiedzkiego narodu, tyleż, i nie mniéj interesuje JK. „Mość, ile interesować może inne mocarstwa. - Iż pro„jektowany między Polską a Rosyą alians, ma mieć za „pierwszy cel zachowanie całości Polski, król JM. Pru„ski, niewidzi w tym aliansie ani użyteczności, ani po„trzeby, ponieważ ta całość ostatniemi traktatami dosta„tecznie zabezpieczoną została. — Że suponować nie„można o nadwerężeniu, ani przez Imperatorową rosyj„ską, ani przez cesarza rzymskiego traktatów. — Że „JK. Mość wzywa dobrze myślącéj części narodu pol„skiego, na świadectwo, o utrzymanéj z tym narodem „przyjaźni. — Że król JM. Pruski, niemoże przenieść „na sobie aby się nie protestował jak najuroczyściéj, „przeciwko zamiarowi wspomnionego aliansu, jeżeliby „obrócony być miał przeciwko JK. Mości, a wtym przy„padku uważać go niemoże, jak tylko wymierzony na „zerwanie dobréj harmonii i dobrego sąsiedztwa, przez „najuroczystsze między Prusami a Polską upewnione „traktaty. — Jeżeli zaś ten alians użyty być ma prze„ciwko wspólnemu nieprzyjacielowi, to jest Porcie otto-

„mańskiéj, tedy przez to rozumiał by naruszenie karło-
„wickiego pokoju i że każden oświecony obywatel pol-
„ski łatwo poznałby jak trudno byłoby obronić ojczyznę
„od nieprzyjaciela tak przyległego, tak licznego, i szczę-
„śliwie wojującego. – Sądzi oraz iż takowym krokiem
„ci którzy by projekt aliansu przeciwko Porcie popie-
„rali, stali by się razem, temi, którzyby króla według
„brzmienia 6 artyk. traktatu r. 1773 zawartego, uwal-
„niali od gwarancyi, i całości krajów rzpltéj, ponieważ
„wtym traktacie wyraźnie wyłączone są wojny między
„Polską a Portą Ottomańską. — Że król JM. Pruski,
„nie jest przeciwny iżby rzplta doprowadziła potęgę
„wojskową do stopnia większego upoważnienia. — Że
„król JM. Pruski obiecuje sobie iż najj. stany rzpltéj
„zechcą mieć w zamiarze dobra swoich państw przez
„nierozerwany węzeł najszczerszéj przyjaźni, trwałego,
„i wiecznego przymierza.– Iż jeżeliby przeciw spodzie-
„waniu, chciano przystąpić do zawarcia wspomnionego
„aliansu, tedy KJM. Pruski podobnież swój ofiaruje
„alians naj. rzpltéj i odnowienie trwających między
„Prusami a Polską traktatów. — Że naj. KJM. rozumie
„być siebie w stanie zabezpieczenia własności rzpltéj,
„tyle ile którekolwiek bądź mocarstwo. — Że naj. KJM.
„Pruski zaprasza wszystkich prawdziwych patryotów,
„i dobrych obywateli polskich do łączenia się z niemi
„a to końcem odwrócenia wspólnemi środkami, owych,
„wielkich nieszczęść i klęsk, któremi ich ojczyzna za-
„grożoną zostaje. — Zabezpiecza oraz KJM. Pruski że
„zechce im dać wszelką pomoc i najskuteczniejsze wspar-
„cie końcem utrzymania niepodległości, wolności i bez-
„pieczeństwa Polski.“

Odpowiedź na deklaracyą pruską przez marszałków sejmowych i konfederacyi. „Niżéj podpisani z wyraźnego
„rozkazu króla JM. i Stanów Rzpltéj skonfede owanych
„niniejszego sejmu, mają honor udzielić JP. de Bucholtz

„posłowi Najj. KJM. Pruskiego, następującą odpowiedź,
„stósowną do sentymentów KJM. przełożonych w de-
„klaracyi, po d. 12 paźd. r. b. Samo dopiero wspo-
„mnionéj deklaracyi czytanie pod czas sejmowéj sesyi,
„dnia 13 paźd. przejęło zgromadzone stany żywéj, i
„szczeréj wdzięczności uczuciem, jak się winną wspa-
„niałemu sposobowi myślenia, króla sąsiada i przyja-
„ciela, który zabezpieczając całość Polski, wiarę w so-
„juszach, osobistem umacnia zaufaniem, i stwierdza po-
„wzięte od narodu mniemanie, równie go potężnem jak
„cnotliwym głosząc monarchą. — Projekt aliansu mię-
„dzy Polską a Rosyą gdy ani w radzie nie jest, ani
„przed stanami na sejm wolny zgromadzonemi a związ-
„kiem konfederacyi następnie złączonemi nie był poda-
„ny, nie wszedł w cel aktu konfederacyi teraźniejszéj,
„który akt stósownie do woli ogólnéj narodu, i zgo-
„dnie z propozycyami od tronu podanemi, obraca wszel-
„kie prace i usilności sejmujących stanów do powięk-
„szenia podatków i wojska rzpltéj, nie w myśli nadal
„aby mieć moc zaczepną, ale raczéj odporną zasłaniać
„i wstrzymywać, taż rzplta mogła swoją własność i swój
„rząd wolny. — Gdyby zaś w torze przedsięwziętéj
„około rzeczonych celów sejmowéj roboty, wprowa-
„dzona została propozycya, i projekt jakiego aliansu,
„wtedy rzplta z natury saméj obrad sejmowych, obo-
„wiązaną będąc jawnemi w czynieniu swojem iść kro-
„kami, nigdy postępowania swojego ukrywać nie może
„i nie zechce, stosując się zawsze do niepodległości
„swego samowładztwa, do przepisów publiczności, a
„świętego dla niéj prawa, do prawideł roztropności, i do
„winnych na przyjaźń Króla JM. Pruskiego sentymentu
„względów. — A kiedy wola ogólna narodu, zawsze
„prawa, i zawsze publiczna stała się duchem obrad
„niniejszego sejmu, zgromadzone rzpltéj stany, nieod-
„dzielnie, albo raczéj jednomyślnie z wszelką przyłożą

„się usilnością, aby wspólnie w umyśle JKMości zje-
„dnali sobie chwalebny oświecenia, i patryotyzmu za-
„szczyt.“ Nota JM. Sztackelberga, posła nadzwyczajne-
go i pełnomocnego do stanów rzpltéj sejmujących 5 li-
stopada 1788 r. „Poseł wielki, nadzwyczajny, pełno-
„mocny, Naj. Imperatorowéj całéj Rosyi, chciał zostawać
„dotąd w zupełnem milczeniu, i żadnego nie uczynił
„przełożenia, względem uchwał przeświętnych zgroma-
„dzonych stanów, które lubo naruszyły konstytucyą r.
„1776 umówioną z trzema dworami, jednak nie nadwe-
„rężyły directe aktu gwarancyi 1775. Rozkazy Naj. Imp.
„tak doskonałą zawsze nosiły cechę sentymentów Naj.
„Imp. przyjaźni dla narodu polskiego że niżéj podpi-
„sany życzyłby był sobie nie być nigdy do przykréj
„przywiedziony potrzeby, protestowania przeciw prze-
„stąpieniu formy rządu poświęconéj uroczystym aktem
„gwarancyi, traktatu 1775 r. Lecz myśl zawarta w ró-
„żnych projektach, mających za cel sejm nieustający,
„a przez to przewrócenie całkowite rządu, przepisuje
„niżéj podpisanemu, potrzebę deklarowania, że Naj. Imp.
„odstępując z żalem przyjaźni, którą JKMość i Naj.
„Rzplta poświęciła, nie będzie mogła patrzeć na naj-
„mniejszą odmianę konstytucyi 1775 r. tylko jak na
„zgwałcenie traktatów.“ — Po podanéj nocie od amba-
sadora rosyjskiego król mówił: „Iż nie chcieć zacho-
„wywać obowiązków traktatów, które są przypominane,
„byłoby razem brać winę łamania przyrzeczeń i wywo-
„ływania skutków, że kto nie dochowuje traktatów daje
„prawo zemsty bez granic — Jeżeliby kto chciał przy-
„pomnieć przykłady bohaterów, którzy łamać traktaty
„gdy im pora do tego służyła pozwalali sobie, i ma-
„xymę wtem nawet zakładali czasem, tedy mimo jęków
„cierpiącéj ludzkości, która zawsze ambicyi bohaterów
„mniéj lub więcéj była ofiarą, ci tylko byli chwaleni,
„i szanowani, którym posłużyło szczęście, którzy nie

„tylko odwagi mieli dosyć i umiejętności do rozpoczy-
„nania, ale i sposobów i okoliczności tyle ile potrzeba
„było do pomyślnego skutku. — Że do oparcia się, sił
„dostatecznych niemamy, że obcéj zmowy możemy się
„stać łupem; że żadnéj niemasz potencyi, którejby in-
„teresa mniéj się spierały z naszemi jak Rosyi; że bę-
„dąc królem choćby się nawet nie urodził Polakiem,
„tedy koniecznie przez miłość własną życzyć musi, aby
„znikały kolejno te blizny, które tak gorzko przeszłe
„przypominają nam rany, życzy tedy i radzi, aby jak
„najwzględniéj, i najuważniéj postąpić względem poda-
„néj ambasadora rosyjskiego noty.“ —Odpowiedź na notę
ambasadora rosyjskiego, przez marszałków sejmowych
podpisana. — „Niżéj podpisani, z wyraźnego rozkazu
„Króla JM. i Stanów Rzpltéj zkonfederowanych ninicj-
„szego sejmu, mają honor udzielić JW. Sztackelbergowi
„posłowi wielkiemu, nadzwyczajnemu, pełnomocnemu
„Naj. Imp. całéj Rosyi, następującą odpowiedź na notę
„d. 5 listop. b. r. podaną. — Rzplta wtéj nocie, któréj
„czytanie przed stanami skonfederowanemi na d. 6 listop.
„nastąpiło, upatruje trojaki zamiar, to jest: 1) Zami r
„naruszonéj niby konstytucyi 1776 r.; 2) Supozycyę o
„projekt całkowitego przewrócenia rządu; 3) Deklara-
„cyą wsposób naglący, nieodmieniania w niczem kon-
„stytucyi 1776 r. Każdy z tych trzech zamiarów, oso-
„bną stanów rzpltéj zgromadzonych ściągnął baczność
„i szczególną odpowiedź. — Jeżeli zarzut naruszonéj
„konstytucyi 1776 r. związku z aktem gwarancyi 1775
„mieć nie mogący, ma za cel uchwałę rzpltéj przywra-
„cającą komisyę wojskową, sejmujące stany, jak każda
„władza prawodawcza w samowładztwie swojem nie-
„podległa, stanowiąc nowe, przywracając lub odmienia-
„jąc prawa swoje, nie jest w przypadku na uszenia praw
„wewnętrznych, który wyraz nie na sejm wyższy nad
„prawo; ale na poddanych i nieposłusznych prawu pa-

„dać jedynie może. — Co do drugiego, troskliwość o „myśl zawierającą przewrócenie całkowite rządu, gdy „supponuje projekta, w stanach rzpltéj tym zaspokojoną „być powinna, że przez wyraz projektu na sejmie, to „tylko się rozumie, co czytanem, i do deliberacyi na „sesyach sejmowych wziętym jest, nader zaś jest wia„domo i oczywisto, że żaden dotąd projekt w ten spo„sób nie przyszedł do wiadomości stanów rzpltéj.— Je„żeli ta troskliwość ściąga się do ogólnych o sejmie „nieustającym w narodzie mniemań, kiedy istotnie rząd „rzpltéj wolny i niedependujący, składa się z trzech „stanów w przedłużeniu lub trwaniu sejmu, trudno upa„trywać całkowitego przewrócenia rządu, lecz odmianę „tylko czasu sejmowania Co do trzeciego. Jeżeli od„miana jakiego prawa 1775 r. zdawać się będzie zgro„madzonym rzpltéj stanom, ku ulepszeniu wewnętrznego „rządu, tedy przekonanie rzpltéj o wielkomyślności i „przyjaźni Naj. Imp. gruntuje w stanach sejmujących „niemylne przeświadczenie, iżby chętnie ukontentowanie „swoje raczyła łączyć z najlepszem rzpltéj bytem. Ne„gocyacye z Naj. Imp. i ze wszystkiemi sąsiedzkiemi „dworami, w tym względzie upatruje się za najprzyzwoit„szy śrzodek. Wyrazy mniéj oczekiwane umieszczone „w nocie, wzbudziły czułość narodu, a dzień odstąpie„nia przyjaźni tak wielkiéj monarchini, w chęciach swo„ich rzplta poczytałaby za dzień powszechnego żalu.“

Na d. 7 listop. podana była reprezentacya do jkm. przez jw. i jo. marszałków konfederacyi, obojga narodów: „Iż gdy piąty upływa tydzień zaczętego sejmu, a prócz „samych do działania wstępów nic niema ukończonego, „prośba ich do jkm. aby odtąd sesye sejmowe, które „do dni kilku były odkładane, aby tylko do nazajutrz „solwować raczył. Powtóre aby protekcya sejmu w za„miarze potrzeb krajowych względem okoliczności ze„wnętrznych uchwaloną była. Potrzecie, aby niektóre

„pułki i regimenta obojga narodów dla zabezpieczenia „od srogich przypadków na Ukrainę wysłane były. Po „czwarte, iż gdy posłana nota przez p. Sztackelberga „ubliża niepodległości narodu, aby wysłanie posłów od „dworów zagranicznych nastąpiło w okoliczności repre„zentacyi i aby ewakuacya wojsk rosyjskich z krajów „rzpltéj nastąpiła.“ Gdy potem tak odpowiedź dana na notę p. Sztackelberga, jako téż i inne noty podane do tegoż od sejmujących stanów były komunikowane posłowi pruskiemu, na te w pierwszéj nocie swojéj na d. 19 listop. poseł pruski w takiéj treści dał odpowiedź: „Iż żadna poprzednicza, i partykularna gwarancya, nie „może się stać przeszkodą ku ulepszeniu formy rządu „rzpltéj, tym więcéj przy doświadczonych onego wa„dach, ile że takowa gwarancya nie jest nawet stóso„wną do pierwiastkowych umów traktatu 1773 r. na „których gwarancye są ufundowane, gdyż nie jest pod„pisaną na sejmie 1775 r. tylko przez jedno mocarstwo „które się do niéj odwołuje.“ Druga zaś nota p. de Bucholtz posła pruskiego, podana na d. 2 grud. była w tych wyrazach: „Iż pomieniony poseł nadzwyczajny „jkm. pruskiego, nie omieszkał przesłać dworowi swemu „not, które najj. kjm. polskiemu i stanom skonfedero„wanym sejmującym komunikować podobało się, to jest „odpowiedź na tę notę jp. hrabiego Sztackelberga, notę „temuż posłowi wielkiemu, nadzwyczajnemu, pełnomo„cnemu najj. imp. całéj Rosyi, daną, względem wyjścia „wojsk rosyjskich z kraju najj. rzpltej, obydwie pod je„dną będące datą. Niżéj podpisany odwołując się do „tego wszystkiego co miał honor deklarować dawniéj „najj. kjm. i prześwietnym stanom skonfederowanym „sejmu teraźniejszego, wyraźne odebrał zlecenie oświad„czyć czułość i wdzięczność, z jaką najj. kjm. pruski „przyjął komunikacyą not, którą tenże król jmci ma „za dowód autentyczny, oświeconych prawideł i senty-

„mentów patryotycznych, które ożywiają i dystyngują „teraźniejsze narodowe zgromadzenie.“ Ożywiał następnie dwór pruski naród i sejmujących, w celu, zburzenia rządu przez Rosyą narzuconego i był czynnie pomocnym do przyspieszenia nowéj, a prawdziwie narodowéj konstytucyi. Wporze otwarcia sejmu, i w znacznym onego ciągu nie szedł pod ów czas panujący Fryderyk Wilhelm za osnową wcześnie ułożonego zdradziectwa. Oburzony na dwa cesarskie dwory, które pod ów czas równie gardziły potęgą, i osobą jego, i które niechciały go mieć wspólnikiem w korzyściach na porcie ottomańskiéj szukanych, powodował się on obrażoną czułością i własnym interesem, niemogąc obojętnie patrzeć na wzrost dwóch mocarstw widocznie nie przyjaznych. Sejm na naglące potrzeby ojczyzny, do odbierania ofiar dobrowolnych urządzenia postanowił. Deputacyę do ułożenia instrukcyi i posłom zagranicę przepisał. Wcelu przyspieszenia skutków sejmu, komisyi wojennéj wyszukanie w zagranicznych państwach na 30,000 tymczasem wojska strzelby z zapewnieniem w ofiarach złożonéj zapłaty polecił. W dalszym ciągu w r. 1789 komisyom skarbowym obojga narodów, dodać pieniędzy z remanentów po 10,000 na każdy regiment, aby rekrut tymczasem w Warszawie, jako i innych miastach i miasteczkach królewskich i duchownych wyjąwszy dziedzicznych, z licznych ludzi był rozpoczęty, zadeklarował. Rady nieustającéj, ustawy, z jéj opisami sejmów 1775, 1776 r. uchwalił, na potrzeby wojska koronnego, bądź zagranicą, bądź w państwach rzpltéj sumę do zł. 10 milionów, etiam z ofiarowaniem wyższego procentu, zaciągnąć zalecił na nagłe rzpltéj potrzeby, dziedziców i posesorów dóbr wszelkich ziemskich, do kominowego przez rolników i dwory opłaconego, do złożenia całorocznego z tym dodatkiem, że ten podatek przez dwory, nie przez rolni-

ków ma być opłacony, na ten raz obowiązał, pomnożenie dochodu z papieru stemplowego przepisał, opłaty od wychodzących przywilejów na urzędy, i ordery powiększył. Zaciąg kawaleryi narodowéj, aby każda chorągiew z głów 150 a przedniéj straży z 135 składała się zalecił. Król z ofiary swojéj na nagłe rzpltéj potrzeby prowent czopowego z miast stołowych Grodna i Brześcia, na potrzeby wojska w. ks. lit. zupełnie odstąpił; daléj sejm opłacenie podatku kwarty powiększył. Komisyi wojsko éj obojga narodów, nim ustanowiony zostanie etat, po 50 gemejnów do każdéj kompanii w polowych regimentach i korpusach artyleryi przyczynić zalecił. — Do księcia kurlandzkiego aby na mocy praw 1764 r. o przystawienie żołnierza 500 piechoty, przez marszałków obojga narodów zarekwirował. Sumy na wypłacenie wojska rozrządził. Dla odkrycia źrzódła podniety buntów do wyexaminowania oskarżonych oznaczył. Wieści o buntach wyniknąć mianych były z tego powodu. W 1788 r. gdy mroźna, śnieżna i długo trwała zima, niezliczona liczba markietanów czyli kupców rosyjskich, handlujących swemi towarami, bez paszportnych nawet rozjechała się po znacznéj części kraju, a w ciągu swéj podróży niektórzy z nich z poduszczenia w zuchwałych rozmowach z włościanami poddanemi polskiemi, obrzędu ruskiego, bardzo w podejrzeniu będący okazali pozór. Prócz doniesień pod ów czas urzędowych, o podżeganiu do buntów chłopów, wydarzenie straszne przeraziło wszystkich, i w tem mniemaniu utwierdziło publiczność.

W. Państwo Wyleżyńscy w Województwie Kijowskiém, we wsi swojéj Niewierkowie, nocną porą okrutnie zamordowani zostali. — Odkryło się to później iż to zabójstwo popełnione było przez ich własnych poddanych, ale nie ludzi wiejskich; lecz dworską liberyą żadnego wspólnictwa z postronnemi niemającą. — Dotego fałszywe a prawie ogólne i zgodne wieści w Wojewódz-

twach Bracławskiem i Kijowskiém, tudzież w pogranicznych Wołyńskiém i Podolskiém tajemnie rozsianych wieściach przeraziły niemało wszystkich iż do powszechnéj rzezi szlachty i panów polskich, hasło naznaczone było w dzień świąt Wielkanocnych 178? r. takoż wielu wtedy dla determinowanéj obrony w broń opatrzyli się, i szlachtę czynszową dla straży ściągnęli. — Minęło atoli przywidziane nieszczęście, a z zabranych z niektórych dobr włościan, inkwizycye sądowe wyciągnione były, i tych którzy się winnemi okazali podług przewinienia karano, gdy prócz tego na Szadkowskiego Biskupa Słuckiego Grecko-nieunita, Sąd sejmowy w téj sprawie w Warszawie był oznaczony. Dla dojścia ogólnych intrat z dóbr ziemskich duchownych i świeckich a z nich wyłączenia części na uchwalone wojsko ofiarowanych do każdego województwa ziem i powiatów komisarzów sejm wyznaczył; a właścicielow dóbr lub dyspozytorów do zaprzysiężenia intrat przed wyznaczonemi komisarzami, obowiązał z tych do wypłacenia 10 części do skarbu rzpltéj z dóbr szlacheckich, a zaś z stanu duchownego części 20 ofiarowanéj na utrzymanie wojska, ostrzegł z dóbr pojezuickich supperaty, jakieby się nad procent od kapitału, i nad opłatę 10go grosza należały, aby corocznie dziedzice i posesorowie razem z 10tym groszem do skarbu obojga narodów wypłacali obowiązał. Powiększenie opłat z dóbr i sum komendaryi maltańskiéj, tudzież z dóbr i wszelkiego majątku, prawem kaduka do szafunku przychodzących ustanowił. Pożyczenie 10 milionów złotych z zahipotekowaniem na funduszach dochodu Rzpltéj podymnego i czopowego zaaprobował. Sprawę przeciwko xięciu Adamowi Ponińskiemu, w następujących wyrazach rozsądzić zadeklarował: „Gdy W. Xiąże Adam Łodzia Poniński, podskarbi „w. koronny, o wiele ważnych przeciw Rzpltéj i jéj pra„wom postępków, a mianowicie o ogłoszenie siebie

„gwałtowne i pokątne za marszałka sejmowego i kon„federacyi koronnéj, tudzież nieprawne téj godności spra„wowanie, o branie pensyj zagranicznych, i interesom „zagranicznym na szkodę Rzpltéj służenie, o przedaż „różnych konstytucyj i sancytów na delegacyi między „rokiem 1773 a 1775 dopełnioną i inne jest oskarżo„nym, a zarzuty tego rodzaju na sejmie sądzonemi „prawa mieć chciały, nieodwlekając zatem sądu, jako „szczególnego sposobu, który przez poprawę złych oby„wateli ojczyzny los ubezpiecza, i zachowuje dobrych, „a oraz niechce przerywać sejmu, tylu i takiéj wagi „potrzebom Rzpltéj poświęconego, za sędziów niżéj wy„mienionych obrał, a osobiste stawienie X. Adama Po„nińskiego P. W. K. ubezpieczając przed sądem, póki „poręka stawanie upewniająca dostateczną niebędzie, „komisyi wojskowéj opatrzenie pilności za jednomyślną „stanów zgodą polecił; aby oskarżony sądu uniknąć „niemógł itd.“— Po 3ch miesięczném pilnowaniu i areszcie, intentowany był przeciwko Adamowi Ponińskiemu proces. Delatorem przeciwko niemu był Ur. Turski S. J. K. ze strony zaś X. Ponińsk'ego, że nie miał swego obroniciela, przydanych było 5ciu obrońców to jest ich mość pp. Rudzki, Białobrzeski, Długołęcki, Ziemęcki i Czech. W wyniesionym przeciwko X. Ponińskiemu pozwie, prócz wymienionych konstytucyj, powyżéj były umieszczone propozycye. Iż ten przyjąwszy na siebie obowiązki czynienia usług, do swego zamiaru najskuteczniejszych, i te usługi sąsiedzkim mocarstwem, przeciwko własnéj ojczyznie zapewniwszy, za to zaś nadgrody pieniężne otrzymawszy, żołnierzem zbrojnym dla wrażenia strachu jednym, a dla prześladowania, i przymuszenia drugich współbraci, wzmocniwszy się, najprzód przed d. 16 kwiet. 1773 r. poprzedzając czas sejmowy, na dni trzy dzieło pewne w Warszawie datowane, rękami niektórych posłów i swoją podpisane, konfederacyą

generalną mianowane, do ksiąg grodu warszawskiego, nazajutrz zaczęcia sejmu podane, sporządzić wystarał się. Urodzo. Reytana posła pod ówczas z województwa nowogrodzkiego, powagą praw urzędowi jego służących zabezpieczonego, takowego przywłaszczenia przyzwojcie broniącego, zamiast powinnego, nad tak ważnym posła, na konfederacyą niepiszącego się w świątyni praw nazaszłym bronieniem zastanowienia się, tegóż posła nazajutrz po zagajonym sejmie, bez poprzedzającéj nawet sądowéj deklaracyi zapozwać kazał, i tak zapozwanego nie z pozwu, lecz z propozycyi na jednymże dniu za nieprzyjaciela ojczyzny uznał, dobra zaś konfiskacyi ulegać i karę wieczněj banicyi wskazał. Innych zaś posłów użyciem obcego żołnierza, tudzież pogróżkami i innemi nieprzyzwoitemi srodkami do podpisania wspomnionego dzieła przymusił. Konstytucye i Sancyta poprawiał, i poprawiać pozwalał na inne po skończonéj konfederacyi, blankiety ze swemi podpisami do użycia podawał, wolność skarżenia takowych niesłychanych w kraju bezprawiów dla zatarcia śladów obywatelom odjął. Naród rozbiorem kraju osłabił, a przeto na karę za występek status et perduelionis zasłużył. Był nawzajem w téj sprawie wydany pozew ze strony X. Adama Ponińskiego do sukcesorów niegdyś, Gabryela Junoszy Podoskiego, tudzież Antoniego Ostrowskiego arcybiskupów gnieźnieńskich, prymasów kor. pol. i W. X. L. przewielebnego Andrzeja Stanisława Młodziejowskiego, kanclerza w. kor. Biskupa poznańskiego, W. Augusta X. Sułkowskiego wojewody poznańskiego, tudzież testamentów ich exekutorów, jako téż przewielebnego Xięcia Ignacego Massalskiego biskupa wileńskiego, W. Michała Xięcia Radziwiła kasztelana wileńskiego, Antoniego X. Sułkowskiego wojewody gnieźnieńskiego, i innych o komportacyą wszelkich pism, listów, asekuracyi, rewersów, biletów i innych jakichkolwiek korespondeu

cyj, tudzież o komportacyą dokumentów do dzieł przed sejmowych 1773 r. zaczętego a w 1775 r. skończonego należących, a jemu do obrony służących i potrzebnych, tudzież do attentowania całkowitéj sprawy, która stósownie do wniosku X. Adama Ponińskiego p. w. k. do czasu wyjścia terminów, po przypozwanych wydanych, jako téż do dania czasu oskarżonemu do obrony i dokładnego objaśnienia przez wyznaczony od sejmu sąd do d. 7 listopada odłożoną została. W dalszym ciągu tenże sejm lustracyą dymów tak w koronie jak i w Litwie z zaprzysiężeniem przepisał, dobra i sumy kościołom dysydenckim aplikowane ze dwadzieścia od sta skarbowi publicznemu sposobem jak dobra ziemskie i duchowne opłacać mają mieć chciał, aby komisye wojewódzkie z lustratorów i obywateli do wszystkich starostw i królewszczyzn intratę ich dostatecznie wyexaminowawszy prowenienciją za ratę Marcową i 7brową wypłacić zalecili postanowił. W prawie 1776 r. w artykule 2gim względem brania pensyi zagranicznych, wszelkiemi prawami zakazanych w słowach „końcem zdrady ojczyzny“ obojętność mające za wyjęte z konstytucyi postanowił. W przeciągu sejmowania, że każdego dnia (oprócz świąt i niedzieli) sesye miewać się będą, i solwowane tylko do nazajutrz bydź powinny, urządził. Chcąc mieć powiększone dochody publiczne, i pewny dla wojska uchwalonego fundusz, zawakowane biskupstwo krakowskie, i księstwo Siewierskie, czyli intraty z dóbr tychże na płacę dla wojska przeznaczył, i innym biskupom po ich zgonie w miejscu dóbr pensyę zabezpieczył. Układ o pożyczenie 3ch milionów złotych przez komisyą X. L. u bankierów na potrzeby wojska zaaprobował. Zrzeczenie się sum przez X. Kazimierza Sapiehę G. A. L. na rzecz skarbu L. 156180 złotych wynoszących a których pomieniony książę uczynił ofiarę z wdzięcznością przyjąć oświadczył. Do ułożenia pro-

jektów formy rządu, osoby z senatu i stanu rycerskiego wyznaczył. Ofiarę Ur. Jana Potockiego posła poznańskiego płacenia corocznie 10800 złotych na powiększenie saperów w korpusie inżynierów z wdzięcznością przyjął. Gdy J. W. X. Radziwił wojewoda wileński ofiarował wystawić kosztem swoim regiment jeden piechoty na d. 1go marca następującego roku, z umundurowaniém, bronią i wszelkiemi rekwizytami, tudzież do każdego batalionu tegóż regimentu, po dwie harmat spiżowych, tę ofiarę z imieniem nadaném temuż regimentowi domu Radziwiłowskiego z rangą generała leitnanta dla samej osoby X. Radziwiła nadaną nie obowiązując go do aktualnéj służby z wdzięcznością przyjął. Opłatę czopowego od trunkow na powiększenie dochodów Rzpltéj powiększył. Dobra do duchowieństwa dawniéj zakordonowanego należące w Polsce pozostałe na fundusz dla wojska obrócone, komisyi skarbowéj sposobem licytacyi sprzedać dozwolił, a wzięte pieniądze na zaspokojenie długów Rzpltéj przeznaczył. O sumach do klasztorów i księży zakordonowanych, dawniéj należących na użytek skarbu Rzpltéj przeznaczonych, aby wiadomość dana była zalecił obwieścić. Etat wojska obojga narodów ułożył, względem materyj cywilno-wojskowych i ekonomicznych wojewódzkich rozrządzenie, tudzież dawanie z dóbr królewskich i duchownych, z dymów 50, z dóbr zaś dziedzicznych z dymów 100 jednego rekruta przepisał, ofiarę od W. Joachima Potockiego, 300 ludzi umundurowanych, komisyi wojskowéj do dywizyi małopolskiéj przyjąć zalecił. Zasady do poprawy formy Rządu, tudzież inne ustawy postanowił, w roku zaś 1790 nastąpiło prawo o awansach w wojsku dla rodaków, o opisaniu rang i awansów kawaleryi narodowéj, o wypłaceniu powiększyć się mającego pogłównego przez Żydów, o ofierze królewskiéj klejnotów do użycia na potrzeby Rzpltéj, o wypłaceniu podwójnego podymnego

o przystawienie rekrutów, do najprędszego wystawienia liczby wojska podług tymczasowego urządzenia 65074 głów, o wyznaczeniu deputacyi do porównania ofiary podatków, o magazynach zbożowych, o ustanowieniu komisaryatów wojskowych względem opatrzenia wojska obojga narodów, o zawartym przymierzu obronnym z dworem berlińskim przez J. P. Luchesiniego posła extraordynaryjnego i ministra króla jmć. pruskiego, w ośmiu artykułach, jakotóż ztwierdzeniu i ratyfikacyi onego, tudzież w innych rozporządzeniach nastąpiła sejmu uchwała. Jak zaś usilnie w trakcie kontynującego się sejmu, król pruski, ożywiał sejmujące stany do zburzenia rządu przez Rosyę w 1768 r. i 1776 narzuconego przypomnieć można deklaracyą króla radość, i uwielbienie swoje temi przez ministra oświadczającego słowy: „K. j. w. pruski z równym ukontentowaniem uwiado„miony został, że prześwietne Stany, stosownie do spra„wiedliwych praw swoich, publiczną, i z przepisem kra„jowéj konstytucyi zgodną ustawą tak rząd nad wojskiem „ustanowiły iż upewniając niepodległość Rzpltéj wszel„kiemu nadużyciu samowładnemu i influencyi zagranicz„néj przecina sposobność z którym skutkiem, jakakolwiek „inna ustawa odpowiedną bydźby nie mogła.“ Co większa w obawie aby poseł rosyjski i stronnicy jego, zburzenia formy rządu pod ówczas trwającego, mniemaną gwarancyą nietamowali, tąż deklaracyą król pruski ostrzega „iż ma prawo spodziewać się, po doświadczeniu i ros„tropności sejmujących stanów stałości, że od ustawy „które zaszczyca światłe ich przedsięwzięcie usuwać się „niezechcą, dla przystosowanéj, i oświadczonéj, jakich„kolwiek partykularnych poprzedniczych ustaw gwaran„cyi“. Przymierze zaś zawarte pod art. 6 na dniu 24 maja w tych było zawarte słowach: Gdyby jakiekol„wiek bądź zagraniczne mocarstwo, z powodu jakich„kolwiek bądź aktów, umów, lub ich tłumaczenia, przy-

„właszczać sobie chciało w jakimkolwiek bądź czasie „i sposobie, prawo, do mieszania się w sprawy Rzpltéj „polskiéj wewnętrzne i jéj należności, król j. m. pruski „użycie najprzód bona officia najskuteczniejsze do uprze „dzebia kroków nieprzyjacielskich, które takowa pre„tensya ściągnąćby na siebie mogła, ale, jeżeliby ta„kowe bona officia nieskutkowały, a nieprzyjazne kroki „wypływały dla Polski z pomienionéj okoliczności, k. j. „m. pruski uznając taki wypadek za objęty w przy„mierzu, wspomagać R. P. będzie podług artykułu 4go „niniejszego traktatu. Art. 3ci i 4ty król j. pruski w każ„dym przypadku zaczepki Polski 14000 kawaleryi z od„powiednią liczbą artyleryi, dać a to w ciągu 2ch mie„sięcy od rekwizycyi oświadczył. Gdyby ta pomoc oka„zała się niedostateczną ku obronie, powiększenie jéj „aż do 30000 nastąpić miało; gdyby i tak powiększona „liczba nieodpowiadała celom obrony, przyrzeczona od „króla pruskiego pomoc sił jego całkowitych, byleby „w tém ostatnim przypadku zaszło poprzednie porozu„mienie się“. Nie ciemne i obojętne zdają się wszystkie noty i deklaracye króla pruskiego, i zawarte tegóż przymierze, jak je potem w zdarzeniu objaśnił następnie widzieć będziemy. Daléj w czasie sejmu, dziedzice dóbr niegdyś starostw białocerkiewskiego, kanioskiego i chmielnickiego, nadania od króla mający, chęcią przyłożenia się do zaspokojenia potrzeb publicznych zamiast 10go grosza z dóbr ziemskich opłacającego się, opłatę 30 gr. od sta z dóbr pomienionych ofiarowali, a sejm takową ofiarę (naturę tychże dobr ziemskich na zawsze zabezpieczając) przyjął. Starostwo zaś kowelskie, przy opłacie z dóbr dziedzicznych należącéj się gdy przyjdzie do posesyi przyzwoitego właściciela tymże sejmem zachowane zostało. Przez dalsze ustawy sejmu, Ur. Ludwik Xiąże Wirtemberski, jenerał major w wojsku pruskim, który na tym sejmie synem ojczyzny został, od

tegóż sejmu komisyi wojskowéj był zalecony, aby przy otworzonym na jenerała leitnanta miejscu, był królowi do patentu prezentowany i rekomendowany. Podatki z samych dworów należące, aby nie przez włościan, ale przez właścicieli składane były, komisyom cywilno wojskowym polecono było. Sejmiki względem następcy do tronu po województwach, ziemiach i powiatach, w porządku odpowiedzi wzmiankowanéj materyi, na dzień 16go listopada br. 1790 naznaczono, a prócz tych zawarowawszy związek trwającéj konfederacyi, jakotéż i czynność posłów będących na wspomnionym terminie, posłów na sejm obrać taką liczbę jaka się zwyczajnie obiera, gdzie podług prawa zwykle polecono z oznaczeniem przybycia posłów na sejm na d. 16 grudnia dla uczynienia akcesu do konfederacyi. W ciągu sejmu pomienionego roku wiele osób do indygenatu przypuszczono, a wiele nobilitowano. Na dniu 16 grudnia po uczynionym akcessie do konfederacyi, obranych i przybyłych nowych w podwójnéj liczbie posłów, po odbytych rugach, gdy wniosek porządku Izby sejmowéj będący w deliberacyi, miał iść do decyzyi.

Posłowie niektórzy z mocy instrukcyi żądali, aby reprezentanci przysięgą byli obowiązani, jako ani pensyi, ani żadnych pieniędzy lub innych jakichkolwiek ofiar od zagranicznych dworów, przez nikogo nie brali, nie przyjmowali, ani brać przyjmować nie będą itd. po długiém roztrząsaniu téj materyi, nakoniec przez sekretne kreski, większością ich przysięga odsuniętą została.—Kiedy tak w r. 1790 jako w następującym 1791 w materyach do decyzyi przychodzących, wiele sporów w ciągłych mowach bez roztrząśnienia i decydowania rozpoczętéj materyi, niemało zabierało czasu, nastąpiła decyzya sejmu, iż żadna sesya dopóty nie będzie solwowaną, dopóki będący w decyzyi projekt udecydowanym nie zostanie.—Takie ustanowienie tyle tylko spra-

wiło skutku, iż w ciągu jednych sesyj dopóźna trwających, częstokroć jedna tylko materya załatwioną była. Najdowali się tacy posłowie, którzy niechcąc darmo tracić i wycieńczać czasu, iż mając wiele do mówienia, odstępowali swoich głosów, i że z tego dla dobra publicznego czynili ofiarę.—Inni głosili pierwszym posłów być obowiązkiem, aby wielomowstwo i sprzeczki o słowa czasem nie zwracały ich od tego celu, do którego zmierzać powinni byli, twierdzili drudzy, iż dalekoby spieszniéj szły rzeczy, gdy krasomowska sztuka niepopisywała się na tamtém miejscu. Pomimo jednak tego, przywodząc różne okoliczności, które się zdawały do rozwagi i decyzyi być potrzebne, samym właśnie pośpiechem, pośpiech tamowali, wtedy, kiedy ościenne mocarstwa wojną zatrudnione, wolnym od opieki swojéj naród polski zostawili na czas, i dla tego z powodu obrad sejmowych idących oporem mówiono, iżby Polakom daleko dogodniéj było, aby dawniejsza wojna siedmioletnia mogła się powrócić. Niedopiero, bo od początku wieku starała się Rosya, mieć zawsze mocną stronę w Polsce, bądź w osobie króla, bądź wyłącznie w osobach możnych, których nierozsądek i niezgoda, dziwnie im do tego służyły.—Nie opuściła ona żadnych środków, aby Polskę rozdzielić, osłabić i do swojéj przywieść podległości, użyli do tego z czasem posłowie rosyjscy przekupstwa, i zepsucie do ostatniego posunęl stopnia, gdy najpierwsze urzędy, a potém i majątek rzpltéj w nagrodę stronnikom rosyjskim oddawali. — Temi to korzyściami przyciągani byli ludzie chciwi i podle dumni.—Nie mogli ci poczciwie radzić o Ojczyznie, nie mogli jéj życzyć rządu i siły którzy obawiali się aby z wstydliwych korzyści i zysków ogołoceni nie byli. — Niepodobny dla nich powrót do obywatelstwa, złączony z wzgardą powszechną którą byli okryci, stał się powodem, że wszelkich używali środków do tamo-

wania cnotliwych sejmu zamiarów. — Przywrócenie więc do despotyzmu rosyjskiego, pod którym rządzić się i wzbogacać pewną mieli nadzieję, było jedynym celem najprzewrotniejszéj ich intrygi.

Intryganci taili układy swoje dla omamienia drugich i dla ukrycia zbrodni, wystawiali przywiązanie do ojczyzny, zmyślając gorliwość w mówieniu o interesach kraju, którym przeszkadzali z całego serca. — Byli obłudnemi w postępkach politycznych i obradach publicznych. Znali dobrze stronnicy rosyjscy, iż ustanowienie trwałego rządu, wspartego dostateczną przynajmniéj do obrony siłą wojskową było celem życzenia dobrych obywateli, jako jedyny sposób dźwigania Polski, i ubezpieczenia jéj niepodległości.— Stało się więc fundamentalnym ich postępowania prawidłem, w tych punktach największe czynić zawady, to jest, czerniąc, zwlekając i psując najzbawienniejsze projekta, ustawy dobrego rządu nie dopuszczać, ustanowieniu stałych i umiarkowanych podatków, wszelkie kłaść przeszkody, wojsko na papierze ustanowić lub taką mu dać organizacyę, iżby nie obroną, lecz ciężarem było dla kraju, a gotowém zawsze narzędziem w ręku niektórych naczelników rosyjskich do powstania i buntu.

Nie sprzeciwiała się strona rosyjska jednogłośnemu wykrzyknięciu 100,000 wojska, bo się spodziewała, iż to wojsko w prawie a nie w istocie utworzywszy znajdzie sposobność oszukania narodu i pozbawienia go rzetelnéj siły wojskowéj, widziała, iż sam ogrom 100,000 wojska w uskutecznieniu trudny, dla obcych groźny, stać się może przeszkodą i dla tego uwielbiała nieustannie tę ustawę, przechwalając i zaręczając, iż prędzéj życia jak 100,000 wojska odstąpi.— Tymczasem mniéj chełpliwi, ale lepiéj myślący obywatele, nie uśpić podchlebstwami naród, lecz ocucić go i do opatrzenia pociągnąć starali się. Z jaką usilnością materye skarbowe

od nich ciągle wnoszone, i z jaką zręcznością pod różnemi pozorami od stronników rosyjskich odpierane były, patrzała na to publiczność.— Zezwolono wprawdzie jednomyślnie na podatek 10 grosza, ta jednak szlachetna ofiara podobną się stała ustanowieniu 100,000 wojska, bo urządzenie podatku tego długo odwlekane, nakoniec intrygą prywatną skażone, zaledwo skarbowi przyniosło cząstkę tego dochodu, któryby mu przynieść było powinno. — W tym przeciągu nie został dobrym obywatelom inny środek, jak tymczasowemi podatkami, dobrowolnemi składkami i pożyczkami niedostatek skarbu publicznego zastępować. — Wspaniałym się nie raz sejm i naród okazał w nałożeniu na siebie tymczasowych podatków, najwspanialszym i najszlachetniejszym w tym, iż cały ciężar nowych podatków przez długi ciąg sejmu, spadł nie na lud ubogi, lecz na stanowiącą je szlachtę.—Mniéj silną okazywała się intryga, w przeszkodzie tymczasowym i przemijającym skarbu zasileniom, jak w ustanowieniu trwałych podatków owszem używała tych składek za pozór do oddalenia tamtych, a gdy choć zapóźno przystąpić do nich przymuszoną była, do zmniejszenia, wycieńczenia ich i zawikłania ich użyła wszelkich sprężyn, które w prywacie i własnym interesie, bądź prowincyi bądź województw, bądź osób prywatnych upatrzyć mogła. — Podobnie ze strony rosyjskiéj względem wojska, jakie względem skarbu postępowanie było, z tą tylko różnicą, iż gdy widzieli skarb, choć tymczasowo opatrzony, a zatém niepodobieństwo przeszkodzenia: by wojsko przynajmniéj w części podniesionym niezostało, w organizacyi jego mniemali znaleść sposób uczynienia go sobie, nie zaś ojczyznie dogodnem. Od wieku i więcéj zmieniła się taktyka wojsk europejskich, i do inszéj zupełnie przyszła doskonałości, przeszła ona po części i do szczupłéj garstki żołnierza polskiego, mianowicie w regimentach piechoty

i kawaleryi, które cudzoziemskiego autoramentu zwano. Lecz pamięć czynów walecznych kawaleryi narodowéj za czasów w których dzielność była prawie jedyną wojska sprężyną, interes szlachty w ten starożytny zaciąg składała, i w którym łączyła z duchem żołnierskim duch obywatelski, oba te względy wpajać zdawały się w umysł polaków, iż kawalerya narodowa najtrwalszą będzie wojska, i wolności podporą, w rzeczy saméj przeczyć niemożna iż w kraju jak Polska otwartym, liczna kawalerya była potrzebna, zgodzić się i na to należy że ta najłatwiéj złożoną być mogła ze szlachty ubogiéj, pełnéj śmiałości i odwagi, i że Rzplta nie powinna była zatrzymać się, nad nieco większém takowéj kawaleryi kosztem zważając istotne jéj korzyści. Takie w téj mierze było czucie dobrych obywateli, którzy pozwalając chętnie na jéj powiększenie, widzieli potrzebę jéj zreformowania, stosownie do przepisów dzisiejszéj wojskowości, wprowadzenia ducha subordynacyi i zniszczenia zabytków sarmackich, które dotąd w kawaleryi narodowéj trwały, do czego bardzo łatwe podawali środki. Lecz ten był moment w którym stronnicy, umieli zajzręczniéj poprzeć swój zamysł narodowym przesądem. Stali się wielbicielami i gorliwemi obrońcami nie tylko kawaleryi narodowéj, któréj nikt zniszczyć nie myślał, lecz oraz odwiecznéj i zastarzałéj jéj organizacyi, któréj odmiany słusznie żądano. Ułudzona większość sejmowa od stronników, podniosła bez żadnéj proporcyi do ilości wojska liczbę kawaleryi, którą ze wszystkim prawie w dawnym zostawiono nieładzie. Próżne były oświeconych obywateli przekładania, wszystko co chciał otrzymał Branicki w momentalnym Izby zapale, i sądził iż popularnemi mowami za kawaleryą narodową, którą do nieba wynosił obłudnie, zjednał ją sobie zupełnie, tak że go odtąd, za twórcę i ojca mieć będzie. Rzucano w tym celu wieść w kraju,

iż on uratował kawalerya narodową od intryg które jéj całkowitym groziły upadkiem. Już o to tylko chodziło stronnikom rosyjskim, aby dać téj kawaleryi naczelników sobie zupełnie podległych. Ztąd wypadł projekt spiesznego jéj rekrutowania z wymienieniem najzdolniejszych do tego osób, a gdy nieufność powstała, odrzucono projekt szukając przyzwoitych środków by złemu choć w części zaradzić. Nie próżne były dobrych obywateli starania, stanęło bowiem wojsko pomimo tylu przeszkód do liczby 65,000 a wiernością narodowi i sejmowi, nadzieję stronników zawiodło. Nie przestawali oni w komisyi wojskowéj pracować względem pomnożenia nieładu wojskowego, i jeżeli nie zupełnie, to w części dokazali swego, gdy mimo tyle kosztu, starań i zaleceń sejmu, nie znalazło się w czasie potrzeby tyle opatrzenia i broni, ile obrona kraju wymagała, i wyznaczone na to fundusze obiecywały. Prócz innych oddalali także, stronnicy rosyjscy ile mogli materye miast wolnych, którą się zaprzątać sejm zaraz po przejściu sejmików przedsięwziął. Przyszła ona do Izby po długich sporach. Powstano natychmiast przeciw projektowi do deputacyi miejskiéj podanemu. Tu każdy osądzić może, jak łatwo było stronie sprawiać najprzeciwniejsze wrażenie na umyśle wielu uprzedzonych, którzy niedawno Polskę Rzpltą szlachecką ogłosiwszy, chcieli się zawczasu zawarować, przeciw najmniejszemu władzy najwyższéj z innym stanem podziałowi. Projekt deputacyi wracającéj miastom część praw ich dawnych, zabezpieczający ich swobody, własność i wolność osobistą tak był wrescie umiarkowanym, iż mu rozsądnie wymówić nie można było, aby w czemkolwiek wyższość i prawa stanu szlacheckiego naruszał. Nie masz nic takiego w czem umysłów uprzedzonych uwieść niemożna, gdy się pochlebnie mówi do ich przesądu. Użyli téj sprężyny stronnicy tak mocnéj nad sercem człowieka. Nikt jednak

prócz nich nie chciał zostawić mieszczan w dawnéj ich niedoli, bo kraj cały czuł zyski ogólne i szczególne, z dźwignienia stanu tego. Bali się tylko jedni pozwolić zbyt wiele, drudzy z najmniejszego mieszczanom nadania, pewną sobie ruinę stanu szlacheckiego wróżyli. Chodziło tedy prawie o rzecz niepodobną to jest o projekt odpowiadający tak różnym widokom, którýby wszystkim dogodził. Czuli to dobrze stronnicy rosyjscy, i na sprawę dla mieszczan, jakby już na przegraną dla miast spoglądali. Jakoż po zwaleniu projektu deputacyi, powstało na jego miejscu wiele innych, tak sobie przeciwnych, tak niezgodnych, tak często zmienianych, iż po kilka razy do redakcyi deputacyi konstytucyjnéj odsyłane, zawsze wracały niedogodne sejmowi, i wśród nieskończonych sporów na odwrót do poprawy tejże deputacyi odsyłane były. Zdawało się że interes mieszczan, nigdy końca mieć nie będzie, kiedy podane zostały zasady do prawa, które przecie nad wszelkie mniemanie wszystkich połączyły zdania, i jednogłośnie od sejmu uchwalone zostały. Również prawo na tych zasadach, z opisaniem szczegółów ułożone, jednomyślne zyskało przyjęcie. Widzieliśmy jakim sposobem po długich naradach, i sporach stanęło nakoniec prawo miejskie. Nie można się było spodziewać równego dla wszystkich cudu. Mimo wszelkich starań cnotliwéj sejmu większości, dwa tylko prawa konstytucyjne o sejmikach i o miastach w przeciągu czterech miesięcy od pory podwójnego składu sejmu do dnia 3go maja przeszły. Niknęła zatem coraz bardziéj nadzieja ukończenia rządu, a rozpacz brała jéj miejsce. Taki był stan rzeczy przed dniem 3im maja, którego bardziéj żądać jak spodziewać się mogła Polska wśród najpomyślniejszej dla siebie pory, do ostatniéj prawie ciągniona zguby, przez najchytrzejszą intrygę ludzi zuchwałych bez odwagi, ambitnych bez talentów, długo popularnych bez cnoty. Ten jest

ogólny obraz przeszkód i zwlok, który w robotach sejmowych czynili stronnicy rosyjscy, odmalowany według ich czynów, o którego rzetelności i prawdzie teraźniejsze pokolenie i potomność dyaryusz sejmowy przeświadcza. Atoli ci obywatele którzy idąc bądź za własnym przekonaniem, bądź za zapałem gorliwości, wspólnego z niemi zdawali się być zdania, nie przeto w sądzie powszechności za należących do ich współki poczytani być mają, ani co by gorszą było, mogą mniemać iż o nich tu jest mowa. To co jedynie prawdziwych Rosyi oznacza stronników, jest nieprzerwany ciąg i tor ich postępowania, nie zaś zbieg z niemi przypadkowy jednego sposobu myślenia lub tłomaczenia się, w niektórych szczegółach.

Gdy się czas zbliżał przyspieszenia dzieła rządowego, nalegali patryoci na króla, aby znając ich chęci, zamiary, i do nowego rządu prawidła, otworzył swoje, któreby najlepszemi dla ojczyzny, i najstosowniejszemi do okoliczności sądził. Zaprzątnął się tą myślą Stanisław August i nakoniec podał rys rządu, mieniąc go tylko życzeniem serca swojego, i wiarą dobrego obywatela. Stosowność jego po większéj części z projektem deputacyi, i życzeniem tylu dobrych obywatelów, sprawiła jednogłośna z ich strony odpowiedź, iż te myśli które król pochlebnym tylko nazywał marzeniem, zdawały się im obrazem dobrego rządu, w praktyce łatwego, i że byleby go król szczerze żądał, znajdzie w chęci narodu wszelką do wykonania go łatwość. Odtąd król przejęty szlachetnem uczuciem i chęcią zostawienia narodowi pamiątki szczęśliwości i chwały, myślał tylko o wydoskonaleniu nowéj konstytucyi. Dorozumiewając się stronnicy rosyjscy o przedsięwziętym zamiarze, złożyli natychmiast radę. Wysłał spiesznie Kossakowski biskup, Branicki i kanclerz Małachowski, kuryerów. Zbiegli się tam i stronnicy rosyjscy, wnet i mnó-

stwo ludzi nienależących do sejmu. Wzięli się patryoci nie czyniąc żadnéj tajemnicy do czytania konstytucyi. Słuchana ona była, wśród głębokiego milczenia, które tylko przerywały, częste, licznych słuchaczów oklaski. Po skończonym czytaniu ogólny powstał okrzyk zgoda, zgoda, co tak stronników rosyjskich przeraziło iż się żaden odezwać nieśmiał, a niewczesny wniosek wzięcia konstytucyi na deliberacyą, śmiechem całego zgromadzenia okrytym został. Rozsypali się stronnicy szkalując przed niewiadomemi konstytucyę całe zaś mnóstwo słuchaczów rozszedłszy się po mieście pod niebiosa ją wynosiło. Tymczasem już pod noc głęboką zgromadzili się patryoci w domu marszałka sejmowego. Stronnicy dla zapewnienia się o większości, rozesłali kuryerów po wszystkich stronach Polski — by zwołać do Warszawy zaufanych sobie przyjaciół. Nieprzepomnieli o sejmikowych rębaczach. Wszyscy ci na d. 5 maja pocztą do Warszawy zbiedz się mieli, w zamyśle przeszkodzenia patryotów zamiarowi. Omylili się w saméj nadziei, gdy król z dobrze myślącemi widząc jaśnie co się knowało ustanowienie konstytucyi, dwoma dniami przyspieszyć przedsięwziął. Nie mogli stanąć ściągani z odległych stron Polski rębacze, co niezmiernie strony przeciwnéj pomieszało szyki. Wzięto także wszelkie środki których roztropność wymagała, a y pozoru nawet gwałtu w Izbie niedopuścić. W wigilią 3go maja zgromadziła się pod wieczorną porę patryotyczna strona do domu Radziwiłowskiego dla głośnego czytania konstytucyi Okazała większość, która się prawie do jednomyślności zbliżała, i wzajemne zaręczenia iż żadnemi wnioskami projektu w Izbie wstrzymywać nie będą, podpisami swojemi dane sobie słowo utwierdzili, dał im tego pierwszy przykład Krasiński biskup kamieniecki, mąż szanowny, który stale zniosłszy długie za ojczyznę prześladowanie, całą moc duszy w podeszłym zachował wieku. Ten był

ostatni węzeł którym się spoili nieodstępnie gorliwi obywatele przy konstytucyi. Chlubną rzeczą dla siebie każdy sądził, położyć swe imie, w porękę dzieła, zbawiennego dla ojczyzny, za którą, i życie chętnieby położył. Od rana w d. 3 maja napełniła Izbę sejmowych obrad ciekawa publiczność. Na odgłos iż konstytucya dnia tego podana być ma sejmowi, biegł każdy dowiedzieć się jaki jego i ojczyzny los będzie. Większa część publiczności, zabrane już miejsce w Izbie znalazłszy, napełniła zamkowe sienie, schody i przysionki. Tu przepomnieć nie należy, iż zawczasu szermierze fakcyi rosyjskiéj wyznaczone sobie od naczelników miejsce w Izbie sejmowéj zabrali. Dozwolono im tego niby na ten krok nie bacząc. Lecz wkrótce te różne kupki, tak się otoczonemi znalazły ludźmi, których gorliwość i odwaga doświadczoną była, iż poznały że im nietylko gwałt, ale nawet pozór onego dozwolonem nie będzie. I ta w rzeczy jedyna dnia tego była ostrożność, niedopuścić w Izbie obrad publicznych żadnéj nieprzyzwoitéj sceny, któraby świętość dnia tego skazić mogła.

Za przybyciem zagaił marszałek sejmowy prócz innych wyrazów: „Iż deputacya interesów zagranicznych „doniesie wypadki teraźniejsze w okolicznościach poli„tycznych.“ Mówił Sołtyk poseł krakowski: „Iż odgłos „rozszerzył się po stolicy o nieszczęściach dla ojczyzny „przygotowanych, iż wiadomości od ministrów deputacyi „zagranicznéj potwierdzają, iż jeżeli Polacy nie przy„spieszą ustawy rządu dla wzmocnienia sił krajowych, „tedy, staną się niechybnie łupem przemocy sąsiadów, „wniósł zatem aby wiadomości jakie ma deputacya za„raz wniesione były, i aby arbitrowie przytomni zostali.“ Liczne odezwały się głosy „prosiemy“ Król jm. żądał, aby te doniesienia niezwłocznie przeczytane były. P. Suchorzeski poseł kaliski, proszący po kilkakrotnie o głos wyszedł na środek izby, padł na ziemię, i czołgając

się ku tronowi prosił aby mu głos był pozwolony. Za danym sobie głosem powróciwszy pan kaliski na swoje miejsce, oświadczył najpierwéj: „Iż dla tego czołga-„jąc się prosił o głos, aby odkrył zamach na zgubę „wolności, iż uknowana jest rewolucya podobna do „szwedzkiéj, która wprowadzając rząd nowy do kraju „wolność narodu zmieniła w niewolę.“ Oświadczył tego dowodzić nie tylko w tym miejscu, ale i przed sądem o którego wyznaczenie upraszał, mówił iż jest rozsiana wieść przeciwnych temu projektowi za zmową i zabić a swoje zrobić. Chcąc tego dowodzić prosił wcześnie o sąd oświadczając wyjawić kto mu i jak powiedział, i że te postrachy na to wynoszą, aby wypędzić gorliwość, przytłumić męztwo, chcących stawać przy obronie praw kardynalnych, (tu miał głos przerwany) mówił daléj: „Iż projekt którego on nie czytał ale mu o niem mówiono wywraca wolność polską, utrzymywaną przez tyle wieków, kuje pęta pod pozorem. Oświadczył iż wie jedną anegdotę o mieszczanach iż ich dlatego sprowadzono aby w tłumie zrobić swoje i przymusić do przyjęcia projektu który będzie podany, tak własnie stało się i w Szwecyi, może wieść o mieszczanach jest fałszywa i tylko umyślnie rozsiana, ale to stać się może. Wszakże okrutny Heród srogich swoich zamiarów sam przez siebie nie exekwował, ale uczył ojców, aby własne dzieci swoje zabijali, ale gdyby wolność niemiała innego obrońcy, tedy on sam ofiarą za nią padnie. Oświadczył, iż nie obcego ale domowego nieprzyjaciela bać się należy, aby przemoc nie wprowadziła do despotyzmu, do sukcesyi która jest zgubna wolności.“ przytoczył: „Iż jest jeszcze anegdota o któréj namienić musiał, i upraszał ichmść pp. Potockich marszałka w. ks. lit. i Stanisława Potockiego, dla czego ich żony mdlały gdy im donoszono jakoby ich mężów na sesyi zabić miano.“ (Tu książe Sanguszko poseł lu-

belski odezwał się że jmci p. marszałek Potocki dawno żony niema). Prosił zatem pan kaliski o złożenie tym końcem sądu sejmowego i dlatego oświadczył iż chociaż ma posesyą, a chcąc z strony swojéj dowodzić, żądał aby był w kajdany zaraz w téj izbie okuty, zakończył na tem, „iż co się dotycze doniesień zagranicznych idzie za powszechnem zdaniem.“ Gdy potem powstały liczne głosy prosząc aby depesze czytane były, jmcp. Matusiewicz poseł brzeski lit. jako członek deputacyi odbiera wiadomość w tę porę w któréj ogólne interesa Europy, już do ostatniego końca ukazują się zbliżone, a ojczyzna w dziele powstania swego spóźniona, ani w rządzie nie dokończonym, ani w niedostatecznych siłach zaufania i bezpieczeństwa swego położyć nie może. Deputacya przez obywatelską miłość, przez wierność urzędową widzi się obowiązaną jaką od ministrów rzpltéj odbiera, okazać stan niebezpieczny w jakim się znajduje ojczyzna. Negocyacya prowadzona w Stambule przez p. Potockiego, starostę szczerzeckiego, na tymże zostaje stopniu, o jakim uwiadomiła stany relacya deputacyi na d. 10 stycznia. Też same przeszkody które od początku negocyacyi trzeba było zwyciężać, tamują dotąd pomyślne ukończenie. Oświadczoną i okazywaną pomoc posła pruskiego, p. Potocki pozorną tylko być mniema, a sekretnym tegoż posła staraniom przypisuje trudności, które koniec dzieła odwłóczą. Z Wiednia wnieść można iż muszą być dwory zgodne względem sposobu uważania interesów polskich, sądząc z tego jak tam rezonujących słyszano, iż nie są radzi pomnożeniu wojska i skarbu rzpltéj i że z większym niesmakiem jeszcze patrzą na poprawę i ugruntowanie konstytucyi. Wszystko to lękać się karze aby skoro tylko pokój będzie zawarty, sąsiedzi nasi nie obrócili swoich usiłowań na przeszkodzenie poprawie i ugruntowaniu rządu naszego, a tym samym nie zniszczyli tego wszystkiego, cokol-

wiek sejm dzisiejszy zrobił, dla zapewnienia niepodległości narodu. Z Paryża minister rzpltéj wyraża, iż mu nie miło w częstych słyszeć rozmowach, i czytać w pismach codziennych peryodycznych ustawiczne wspomnienie o nowym podziale, jakoby Polska miała swojem kosztem dodać jednéj z potencyi interesowanych do traktatu, tyle, ile drugie zyskują na Turku, żeby podobny zysk miały. Z Hagi sprawujący interesa rzpltéj oprócz doniesienia o odgłosach nowego Polski podziału, które w Hadze o tym czasie, jak i w Warszawie słyszeć się dały, wyraża, iż p. Kalischof poseł rosyjski, oświadczył, że król pruski wyraźnie żądał zezwolenia imperatorowéj na cesyą Torunia i Gdańska, lecz imperatorowa odsunęła tę propozycyą, odpowiadając, że nie może tego odstępować co do niéj nie należy. Z Drezna, iż gdy minister rzpltéj mając zwyczajną u Elektora saskiego audyencyą, oświadczył mu w ogólnych wyrazach przychylność sentymentów, jkm. i rzpltéj do osoby elektora, elektor odpowiadając rzekł, iż czuł zawsze wrodzone przywiązanie do narodu polskiego, i że go to przywiązanie póty czynić będzie troskliwym o los Polski, póki nie usłyszy, o ustanowieniu trwałéj formy rządu. Osoby zaś mające wpływ do interesów politycznych dały ministrowi poznać do zrozumienia, iż w okolicznościach teraźniejszych troskliwym być należy, i spiesznym w czynnościach postępować krokiem, aby skłonność państw wojujących do pokoju, nie stała się dla independencyi polskiéj szkodliwą. Z Petersburga minister rzpltéj donosi, iż ma ślady poboczne czynionych insynuacyj u domu petersburskiego, ażeby pozyskanie Gdańska królowi pruskiemu przeszkadzanem nie było, ale o tem z dowodniejszą twierdzi pewnością, iż Moskwa zgodzić się na to nabycie nie raz była skłonną że był nawet czas w którym z oświadczeniem téj grzecznéj powolności uprzedzić króla pruskiego była postanowiła,

o czem naj. stany w czasie zawierania aliansu z królem pruskim były przez deputacyą ostrzeżone. Że polityka dworów, jest zmienna, że na żadnym z sąsiadów polegać tak dalece nie należy, aby być już zupełnie o swoje bezpieczeństwo spokojnym; że wystawując sobie niebezpieczeństwo w którym jesteśmy, i które chimerycznym nie jest, trzeba żebyśmy w własnéj ostrożności i zgodzie w ugruntowaniu rządu i wzmocnieniu wojska naszego szukali pewności, i całości naszéj. Ostrzega jak nie czynne sejmowanie nasze staje się materyą radości i szydzenia, powiedziano było niedawno tonem urągania: możnaby jeszcze Polaków porządnie rabować nimby się zgodzili między sobą komu oddać komendę nad wojskiem, któreby ich bronić miało. W jednéj zaś z najświeższych te są ministra wyrazy. Częste rozmowy ministra pruskiego z księciem Potemkinem, i grzeczności które książe okazuje dla niego, dają powód niektórym tak daleko swe posuwać zamysły, że wróżą bliskie już ukończenie aliansu między Moskwą a Prusami. Polska którą przywykli uważać jako kraj, który w każdéj okazyi na ofiarę wydanym być może, i teraz inaczéj uważaną nie jest. Usłyszy tu każdy kto ucha nadstawić zechce, echa powtarzające że się zrobi zgoda między sąsiedzkiemi państwami na szkodę Polski" mówił daléj: „Powiem śmiało, że gdybym na wagę złota dokupował się, wiadomości niemógłbym dostać, nad te pewniejszych, które mam, że używają wszelkich polityki wybiegów, ażeby spaźniać postępowanie sejmowe w ustawach które kraj nasz gruntownie zabezpieczyć mogą, ażeby nas trzymać w niezgodzie, aby nas jednych przeciw drugim uzbrajać, jednem słowem aby nas splątać, i zostawić w stanie zaślepienia i niebaczności na niebezpieczeństwa które nas otaczają i na tę przepaść w którą chcą abyśmy wpadli. Przewiduję niebezpieczeństwa na uniknienie których nie widzę innego środka, jak tylko, aby zaniechać między sobą wzaje-

mnych niechęci, a zająć się jak najpilniéj rządem, podatkami, wojskiem, aby je mieć jak najliczniejsze. Dopełniła deputacya swoją powinność okazując stan w którym jesteśmy, a do ciebie miłościwy królu, do was naj. stany, należy jąć się środka, który do uratowania ojczyzny najskuteczniejszym uznajecie.“ Po skończonéj relacyi zabrał głos jw. Potocki marszałek w. lit. w którym zachęcał do zgody, i że sam układ rzpltéj, podaje sposób, jak sobie w poprawie i odmianie rządu postępować należy, odwołał się potym do króla, iż ten dozwalając mianowania następcy za życia swego, okazał, iż interes ojczyzny nad swój, i swoich przekładał. Przyzwawszy potem do siebie ministeryum król tam mówił: „Iż inaczéj myśleć, ani czynić nie umie, tylko w chęci usłużenia kochanéj ojczyznie. Wspólnym zaufaniu i komunikacyi obywatelskiéj uformował się projekt który już jest zgodny z wolą wielu sejmujących, który życzyćby należało aby był najrychléj przyjęty, gdyż za dwie Niedziel jakiekolwiek przedsięweźmiemy środki już będzie zapóżno. Gdy zaś w tym samym projekcie nachodzą się rzeczy takie, których ja sam przez siebie tykać niechcę, i niepowinienem, chyba za wolą narodu; wezwał potem marszałka sejmowego do przeczytania projektu.“ Potem dał się słyszeć powszechny sejmujących odgłos: „Prosiemy o projekt“ po przeczytaniu projektu gdy izba cała po tysiąc razy okrzykiwała zgodę, oprócz że p. Korsak wileński poseł dla dopełnienia formalności żądał deliberacyi. P. Suchorzewski poseł kaliski nawet na deliberacyą nie pozwalał. Niektórzy zaś jako jmp. Wołyński powolni nakazom swojéj instrukcyi oświadczyli przeciw wniesionéj sukcesyi opozycyę. Większa część sejmujących nalegała na pana marszałka sejmowego, aby się o zgodę zapytał. Ten stanąwszy wśród izby rzekł: „Iż gdy król udzielność rzpltéj jéj szczęśliwość i świetność zapewnić usiłuje, gdy zapomina o po-

mnożeniu ozdób tronu, owszem gdy dla narodu siły powagi i zaszczytu udziela, gdy przez ustawę rządu chce zabezpieczyć jego exystencyę" oświadczył wraz: „Iż ile szczupłe światło jego poznawać mu dało to dzieło, i ile znajomych jest rządów republikańskich, ten który określony jest w podanym projekcie podług życzliwych jego dla ojczyzny chęci najlepszy być sądzi. Przywiodłszy potem najsławniejsze dwa rządy republikańskie, angielski, i amerykański, ten uważa być nad nie doskonalszym, bo ten połącza w sobie, cokolwiek najlepszego, i najstosowniejszego w obudwóch do formy naszéj naleść się mogło. Prosił potem króla aby przez nowe związki złączył się z narodem, a od dawnych go uwolnił, na zakład przyszłego naszego, i najpóźniejszych pokoleń szczęścia." Powtórzyła izba tę prośbę jednogłośnemi wyrazami. Na to odezwał się król jmc. z tronu: „Iż przysiągł pacta conventa, i mówi śmiało że je dotrzymał, żądał przy tem aby był uwolniony od tego artykułu pactów conventów który się ściąga do sukcesyi tronu." Gdy niektórzy z sejmujących mówić żądali, drudzy w większéj części wołali: zgoda. JP. Suchorzewski kaliski, wyprowadził synka swego na środek izby mówiąc: „zabiję własne dziecię, aby nie dożyło niewoli którą ten projekt krajowi gotuje." Ale go koledzy na swe miejsce odwiedli. Mielżyński, poseł poznański stanął z opozycyą, i oświadczył, iż nie tylko nie pozwala ale i protestować się będzie; p. Małachowski wojewoda mazowiecki, oświadczył podziwienie nad przechodzącym projektem, przeciwnym go być prawom dawnym i niebezpiecznym dla wolności sądził. JP. Złotnicki poseł podolski oświadczył, iż cały projekt jest zamachem na samowładność Rp. jest grobem dawnéj wolności naszéj, jest twardą stalą, z któréj wieczne kajdany na szlachetnych Polaków robić się mają. Upraszał także aby pacta conventa czytane były. Po przeczytaniu pactów conventów oświadczył, iż do roz-

grzeszenia sumienia króla trzeba ogólnéj woli narodu“ Mówił daléj iż z części narodu to jest województwa podolskiego przysłanym będąc z odpowiedzią tylko na zapytanie sejmu, iż na elekcyą za życia króla elektora saskiego, nastąpiło szlachty podolskiéj zezwolenie, a zatem on, uwalniać króla od obowiązków pactów conventów, żadną miarą niemoże, i że na ten projekt ojczyznie szkodliwy nie pozwala, i w tym całą zaświadcza się publicznością.“ Mówił potem p. Ożaroski, kasztelan wojnicki „aby dla ratunku zagrożonéj ojczyzny, skarb i wojsko obficie pomnażać przyczem i rząd utrzymać się może. Król zaś nie tylko obowiązków pactów conventów uwolnić nie myśli, ale nawet o ciągłe ich zachowanie ma obowiązek dopraszać się, konkludował zaś o podniesienie projektu podpisowego i innych, do istotnego ratunku zaboru kraju dążących.“ Mówił potem p. Zakrzewski poseł poznański „iż wyobrażenie wolności albo niedostateczne, albo przeciwne istotnéj wolności mamy. Wolności istotnéj w rządzie republikańskim innéj dla republikanina nieznał, nad tę gdy prawa przez siebie tylko stanowi, niczemu tylko prawu podległym nie jest, gdy niezna rodzaju podatku, tylko ten który na siebie przyjmuje, gdy niezna magistratur niezna sądów narodowych, tylko te które jego są wyborem. Elekcye królów nigdy prerogatywą lecz zawsze zgubą wolności nazywał.“ Mówił daléj, iż elekcyi królów nigdy nieznał nigdy niedoświadczał naród, lecz tylko możnowładcy w narodzie, tych to dziełem, tych to pastwą, aż wnuki ich tuczące bywała królów elekcya. Króla elekcyjnego albo wdzięcznego, albo ulegać obowiązanego obcym narodom zawsze być uważał. Rząd przy tronie sukcesyjnym republikańskim, że wiele wieków trwałością zająć może wnosił, utrzymywał wreszcie że rząd monarchiczny gdyby kiedy kraj nasz miał ogarnąć, ten wszelako, nie tak okropny, nie tak sromotny, dla imie-

nia Polaka byłby, jak rozerwanie kraju. Czytane dopiero pacta conventa, nie są rządu, nie są siły, nie są swobód obywatelskich istotnych takim wyobrażeniem jakim są wyobrażeniem arystokratycznéj monarchii i możnowładców przemocy. Nie zabezpieczają i rządu, ale zabezpieczają możnowładców grabieże. Ten zamieszany warunków niby dla narodu zbiór, to jest pacta conventa, nietylko elekcyjny możnowładcom i przekupcom tronu polskiego dogodny, ale całość kraju, całość istotnych a nie przezornych prerogatyw narodu zabezpieczać zdaje się.“ Kontynuował daléj: „Iż jeżeli król przysięgą zobowiązał się dogadzać możnowładztwu, dogadzać przysięgą przekupstwu tronu polskiego, tedy przysięgą obowiązał się całości kraju, całości istotnych prerogatyw wolnego narodu pilnować. Zważyć więc należy ku czemu króla ściślejszy obowiązek, czyli ku ogółu zabezpieczenia narodu, czyli ku zabezpieczeniu zguby narodu, na koniec prosił o podniesienie projektu konstytucyi narodowéj i dalszych prawideł do formy rządu. Po tem głosie wzmógł się odgłos wzywających p. marszałka sejmowego do zapytania o zgodę, ale książę Czetwertyński k. p. stawając w przeciwieniu się rzekł: „Iż cierpiałby wyrzut sumienia gdyby nie ostrzegł króla o szkodliwości przedsiębranych kroków, gdyby mu nie przypomniał pacta conventa które narodowi przysiągł.“ Czytany dopiero (rzekł) projekt skrycie przez jakąś intrygę narzucony; tu głośny szmer w izbie przerwał mówienie. „Nikt się na mnie urażać niepowinien, bom niewiedział, i nie wiem kto podał ten projekt, bom go dopiero dziś rano w garderobie obaczył. Nie przeczył, iż wiele jest w niem dobrego, ale téż wiele i złego,“ mówił daléj „iż po jednym usłyszeniu projektu nie może go dobrze objąć pamięcią, że widzi w niem grób wolności, dla tego zgodzić się na niego nie może, na decyzyą nawet nie pozwala. Świadczył się także publi-

cznością, iż ten projekt gotuje zgubę wolności, że lubo w niem jest wiele dobroci, więcéj jest jednak złości. Mówił potem p. Linowski poseł krakowski. „Iż odtąd jak wpływ obcego mocarstwa cnotą Polaków odsuniętym został, tak jego ulubieni faworyci utracili do szczętu w narodzie ufność i kredyt. Tę którą on widział, wielbił, i przed którą jedynie bił czołem, była to przemoc światła i cnoty pod któremi umysł wolny, i serce poczciwe ulegać lubi. Zmamiony służył dumie swoich zwodzicielów, spodlony nie czuł prawa zasłony, bo nie od niego, ale od możnowładców nad prawo wyższych los jego, bezpieczeństwo jego zawisły. Dopraszał się wreszcie o przyspieszenie projektu rządowego.“ Miał głos potem p. Korsak poseł wileński: „Iż projekt konstytucyi rządowéj sukcesyi tronu oczywisty skutek ruiny praw naszych, i grób wolności Rp. gotuje, przyspiesza jarzmo niewoli wiecznéj.“ Oświadczył „iż radził aby ukończoną była materya rozpoczęta skarbu i wojska, które naszych praw, naszego bezpieczeństwa pewną stałyby się dotąd zasłoną. Dwa on uwielbiał w projekcie punkta, pierwszy zabezpieczenia wiary, drugi elekcyi na tron polski księcia elektora saskiego, inne zaś punkta nieznajdował wedle swego rozumienia i woli narodu, i że o sukcesyą naród nie był zapytany i do tego posłom mocy nie dał, prócz tego iż trudno mu było w licznym zgromadzeniu wszystkiego dosłyszeć, wszystko nie ludzkim pojęciem razem ogarnąć. Upraszał przytem „aby ten projekt swoim porządkiem odszedł na deliberacyą, jako w materyi ważnéj całego narodu szczęścia lub nieszczęścia tyczącéj się.“ Gdy strona opozycyi utrzymując potrzebę zachowania formalności niedozwoliła aby mógł przechodzić projekt już niejako przyjęty zgodą, daleko przewyższającéj większości a od publiczności całéj żądany, podniósł głos jw. pan Potocki poseł lubelski mówiąc: „Iż ten jest pospolity

układ na świecie, iż gwałtowne wypadki, gwałtownych zawsze wymagają środków. Ojczyzna stojąc nad zguby przepaścią potrzebuje szybkiego ratunku a tego nie w deliberacyi, nie w turnusach i formalnościach szukać, ale prędką determinacyę brać przed się potrzeba, ale chwytać się środków jaki pierwszy, jaki najbezpieczniejszy poda nam miłość ojczyzny. Mówił iż jest w przekonaniu za tem projektem, bo stanowi rząd trwały i królów następstwo, bez czegó gdyby widział niezmierną Rp. potęgę i ogromne jéj skarby jeszczeby że jest bezpieczną powiedzieć niemógł. Oświadczył, iż wstydzi się mówić publicznie, iż województwo jego utrzymać mu elekcyę kazało. Poniosę rzekł głowę do współbraci, powiem im śmiało, byłem za sukcesyą bo przekonanie nie dozwoliło mnie iść za zdaniem przynoszącym pewną zgubę ojczyznie. Mówił daléj do króla aby ratował całość i wolność narodu, a nie wolność wyuzdaną gardzącą rządem i prawami, a nie wolność bezprawą samych możnowładców wyższych nad równość, ale wolność każdego który się tylko mieszkańcem kraju polskiego liczy. Niebezpieczeństwo nie jest dalekie bo nietylko publiczne, ale nas i prywatne doniesienia ostrzegają, że bliskim jest pokój, którego Polska ofiarą stać się może. Wprojekcie zaś jeżeliby jakie naleźć się mogły pomyłki bo bez nich być ludzkie dzieło nie może, trzeba je poprawić, prosił nakoniec aby odrzuciwszy wszelkie zawady dzień ten uwieńczyli zgodą, jednomyślnością powszechną.“ Po téj mowie złączył się zapał z determinacyą powszechną i nieporuszoną którą głos pana Zboinskiego posła dobrzyńskiego utwierdził. „Wyraził on iż konstytucya, któréj projekt z uwagą czytał, i która wtéj izbie jest czytana, stanie się odtąd trwałym szczęściem Rp. aby exekucya najściślejsza i jak najtęższa zaręczyła odtąd naszą spokojność, aby złośliwy przedajny burzyciel znał odtąd moc prawa i karę jego. Uczuł naród

rzekł do króla smak rady twojéj, rozwolnił pacta gdy się zgodził na następcę tronu, gdy go już naznaczył, gdy instrukcyami by go ogłosić zalecił. Przysiągłeś królu przez pacta conventa, abyś niedozwolił w życiu obrać następcy, bo duch, bo zagraniczna wola chciała cię skrępować dla nas nieszczęściem, przysiągłeś razem królu że ojczyzny dobro za największy obowiązek mieć będziesz.“ Brutus Lucius uwolnił od tyranii Tarkwiniuszów współobywateli, nieprzepuszczając własnym, pokonał zdrajców ojczyzny. My już królu trzymamy się za ręce, my przysięgamy przed tobą, i w oczach zgromadzonego narodu że dziś nie wychodząc z izby przez zbawienną dla nas konstytucyę ojczyznę naszą ratować chcemy, że jarzmo obce skruszyć przedsięwzięliśmy.“ Kończył p. Zboiński „co Regulus powiedział, to ja dziś powtarzam, to przed Bogiem, królem, i narodem wyznam, że wolę w tym miejscu tutaj śmierć odebrać, wolę zginąć, niżbym spóźnioną radą miał komu lub sobie życie ocalić, miał ojczyznę zgubić.“ Przystępującego p. marszałka sejmowego do zapytania o zgodę zwróciła odezwa opozycyi niektórych ich w. p. podolskich i wołyńskich to co w ich mniemaniu projekt konstytucyi najszkodliwszem wystawiało, była sukcesya tronu. W tem zabrał głos p. Minejko poseł kowieński i mówił: „Iż Rp. polska przy rożnych rządu przemianach, najszczęśliwszą najświetniejszą stała dotąd, póki sukcesya tronu utrzymywana była, póki wolna elekcya tak dzielnych, i wstępu nieprzyjaciołom broniących nie otworzyła zaporów. Gdy Rp. doprowadzoną do ostatnich nieszczęść drogą elekcyi była, obywatele dla odwrócenia tych szukając sposobów, uznali słuszność i potrzebę sukcesyi tronu, wyrazili prośbę, która w instrukcyi zawiera się. (Tu był czytany punkt instrukcyi utrzymywanie sukcesyi zalecający). Daléj p. Kowieński żądał stósownie do instrukcyi mieć projektu poprawę, aby po najdłuższem

króla panującego wieku domu saskiego z płci męzkiéj do elektorstwa saskiego przeznaczona familia do tronu polskiego była, przydał także: „Iż każda elekcya sprowadziła do nas zagraniczną, a zawsze czuwającą na zgubę Polski intrygę, za tym okropne rewolucye, wojsk zagranicznych mnogość, które dawały nam przemocą królów, nie Ojczyznie, lecz twórcom swoim obowiązanych, nie o szczęśliwość kraju, lecz o własne dbałych pożytki.“ Kończył mówiąc do króla „aby doprowadził ojczyznę do szczęśliwego punktu, aby się ziściło co mówił i chciał aby się działo dobrze ojczyznie.“ Przeciwnego był sposobu myślenia, i przeciwną miał instrukcyę j. p. Orłowski poseł podolski, upatrując we wprowadzeniu sukcesyi niechybną stratę najdroższéj Polakom wolności, nietylko się na projekt nie zgadzał, ale nawet przeciw wniesieniu jego protestacyą oświadczył.— Pan Kiciński poseł liwski mówił: „iż nie należy się dłużéj ociągać z ustanowieniem rządu, chyba żeby w rzeczy saméj doszła jak najprędzéj wiadomość o zawartym pokoju, a z nią p. Bułhaków albo Sztackelberg powrócił i oświadczył nam imieniem imperatorowéj żeśmy nie narodem samowładnym ale jéj podległą prowincyą, że nie konfederacya, nie sejm gotowy, nie straż, ale on imieniem gwarantki sprawami Polski kierować i zatrudniać się będzie. Lub téż żeby ktokolwiek nareszcie, i Polak jaki odrodny Moskwie zaprzedany, jéj powagą przy rozdwojeniu narodu wsparty, króla dziś panującego z tronu zepchnął i sam na niem zasiadł dla wykonania tych zamiarów którym duch jego hołdowniczy narzędziem będzie. Tegoż mamy doczekać żebyśmy opierając się już nierychło i bezsilnie gwałtom obcym brani byli na Syberyą lub do Kamczatki.“ P. Kiciński w obszerniejszym głosie nareszcie kończył: „Boże nie daj doczekać żebym patrzał kiedykolwiek jeszcze na tak nieszczęsną ojczyznę. Wszystko nam jest jedno czyli ginąć

od nieprzyjaciela, czyli od własnych rodaków gdyby się należli tacy coby usiłowali wrócić Rp. do dawnéj sytuacyi. Prosił zatem p. marszałka sejmowego o przyspieszenie ustawy rządowéj. Dziś mówił zapewnijmy, szczęście ojczyzny, albo rozpacz o jéj losie ofiarą życia naszego zapieczętujmy.“ Mówił potem p. Rzewuski poseł podolski, „iż nauczyła się izba szanować i słuchać głosu p. Litewskiego i mieć jego zdanie za gorliwe i prawdziwie obywatelskie. Iż wzmianka przeszłych czasów jest najboleśniejsza dla Polski, że w podanym projekcie niema czasu deliberacyi, bo luboby w nim kto spostrzegł co złego, to mniejsze jest zapewne nad zgubę, prosił więc aby p. marszałek sejmowy niezwłocznie zapytał się o zgodę za którą widoczna jest większość, a jeżeli niedozwoli opozycya, składa u nóg królewskich to zapewnienie, iż póty z izby nie wyjdzie, póki tego projektu decyzya nie stanie.“ Wtedy odezwali się wszyscy prawie: nie wyjdziemy. Powtórzyli ten odgłos i ich mość niektórzy oponujący się: i my także. „Żądał więc p. Podolski prosząc króla o wykonanie przysięgi cywilnéj na konstytucyę, oświadczając iż każden kto kocha ojczyznę nie tylko ją chętnie powtórzy, ale na jéj obronę, krew nawet przeleje; dał się słyszeć odgłos powszechny, jednostajny, „zgoda prosiemy.“ Po niejakiéj wrzawie nastało ciche milczenie, gdy wezwane ministeryum przystąpiło do tronu z którego mówił król jmc. „Iż jeżeli komu tedy jemu zastanowić się nad tym projektem szczególniéj należało. Pamiętajcie ww. pp. że już 60 rok wieku mego doliczam, a zatem że mało już lat życia przewiduję abym jeszcze chciał dogadzać namiętnościom, które panującym pospolicie przypisują. Widzieliście mówił w przeciągu tego sejmu żem żadnych dla siebie, żadnych dla krwi nie zakładał widoków, owszem gdym poznał skłonienie się narodu do oddalenia od siebie niebezpieczeństw i szkodliwości które ko-

niecznie bezkrólewiom towarzyszyć muszą, nietylko sam do niego przychylam się, ale gdy nawet byli drudzy, którzy mnie z powodu życzliwości swojéj ostrzegali, abym miał wzgląd na interes osoby mojéj odpowiedziałem, że zawsze i nadewszystko to mam przed oczyma memi co sądzę potrzebą i dobrem kraju, a osobistość moją w drugim dopiero kładę rzędzie. A gdy nic dla siebie, ni dla krwi mojéj nie czynię, rozumiem iż powinienbym lepiéj być usłuchanym dzisiaj, niżelim nim był przed półtora wieku, ten król dobry, który prawdziwie cierniową nosił koronę. Ten król nieszczęśliwy, ale oraz rozsądny i waleczny Jan Kazimierz z przekonania dobra krajowego w chęci najlepszéj zabezpieczenia szczęścia, wolności i exystencyi polskiéj przekładał potrzebę ustanowienia następstwa, jako jedyny środek zapobieżenia nieszczęściom które bezkrólewia przynoszą, wczem nie tylko nie był słuchany, ale prześladowany, i martwiony porzucił tron na którym pomyślnie nie mógł służyć ojczyznie. Ziszczone smutne przepowiednie jego, stały się dla nas nauką, stały się powodem, który słyszę w żądaniach wielkiéj części narodu, większéj części stanów sejmujących, iż pragną stałą ustawą rządu i tronu zabezpieczyć na zawsze spokojność i szczęście krajowe.“ Mówił daléj: „Iż dla tego właśnie chcą nas od formy rządu oddalić cudzoziemcy, że to nie dla nich, co dla nas jest dobrze; to samo go zniewoliło iż bez oglądania się na jakiekolwiek osobiste widoki, przychylił się do zdania tych którzy mu pożyteczność tych kroków wystawili. Więc kto kocha ojczyznę, kto przenika te uwagi, żądać powinien jak najrychlejszego dokończenia tego dzieła,“ mówił potem do p. marszałka, „aby się przyłożył dzielnością swojéj powagi, aby wiedział czy ma dzień dzisiejszy między szczęśliwemi policzyć. Chciéj w. p. rzekł wskazać kto z w. p. trzyma niech mnie da [illegible], gdzie jest sensus gentis, niech usłyszę prawdzi-

wą wolę sejmu.“ P. marszałek sejmowy dla zapewnienia się o większości głosów za projektem, oświadczywszy: iż bieg życia jego strawiony w większéj części na usługach publicznych, iż za obronę praw, umiał szanować każdego i na szacunek zasługiwać, i że poważa kolegów, którzy we względzie tego projektu, różnego są zdania, i którzy na niego deliberacyi żądali, lecz w dniu onym który się staje dniem rewolucyi w narodzie naszym, a to dla zbawienia ojczyzny, wszelkie formalności ustawać muszą, i że w gwałtownym niebezpieczeństwie, gwałtownego należy chwytać się lekarstwa, upraszał przeto kolegów aby na zapytanie o zgodę ci co są za projektem w milczeniu zostali, a ci którzy mu są przeciwnemi uczynili oświadczenie, tym sposobem łatwo poznać może większość woli sejmujących stanów.“ Stanęli z opozycyą p. Mielżyński starosta, Wałecki posei poznański, Korsak wileński, Mężyński sentecki, Suchorzewski kaliski, Szamocki warszawski, Hulewicz zagorski, i Krzucki wołyński, Mierzejewski, Orłowski, i Złotnicki, posłowie podolscy, słyszeć, się dali, i w głosach swoich tłumaczyli swoje powody, a pan Chomiński poseł oszmiański mówił: „Iż podług instrukcyi swojéj i własnego przekonania na sukcesyą tronu polskiego na przemianę rządu nie pozwala, oświadczył daléj, iż jeżeli dzień dzisiejszy jest dniem rewolucyi, i że niezwyczajnym sposobem ten projekt ma się zamienić w prawo, tedy naród ma się lękać despotycznego rządu, utrzymywał iż sejm narodu stał się panem, a naród nadawczą moc reprezentantom mając dotąd, już ją stracił, żądał więc aby projekt formalnym sposobem według prawa przechodził. Książe Sanguszko wojewoda wołyński, oświadczył „przemoc na sesyi, gwałt praw kardynalnych. Ustawa sukcesyi tronu polskiego, wszystko to rzekł zbliża upadek wolności i zaszczytu imienia wolnego narodu,“ mówił: „Iż go gorszy przykład marszałka sejmowego, który nie tylko głosu wol-

nego żądającym posłom w opozycyi dać niechce, ale nawet sprzeciwiających się prawnie i sprawiedliwie na cel wystawia i rzecz dzisiejszą nazywa rewolucyą. Naj. stany rzekł dalej, czy na tenże koniec prześwietny stanie rycerski powierzyłeś ster prawodawstwa marszałkowi, aby ten który powinien być ich obrońcą, był ich prześladowcą. Upadła nadzieja sławy sejmu naszego, a kto wie czy smutna dla narodu nie zostanie pamiątka. Upraszał w ostatku, iż gdy się przyjdzie do naturalnego i prawnego porządku sejmowania, i gdy szczególne prawa będą stanowione do ogółu projektu, aby w ten czas wolno było poprawić to co jest w ogóle szkodliwym. Zabrał głos książę Sapieha marszałek konfederacyi mówiąc: „Nie tak prędko spodziewany, nie zupełnie wiadomy projekt dziś do izby przychodzi, a który mam za ważniejszy nad wszystkie jakiekolwiek bądź, które od początku Rp. w obradach narodowych słyszane być mogły. Niech kto chce śmiałym postępuje krokiem ja mniemam że w najmniejszych prawodawstwa punktach drżyć nie jest występkiem, cóż dopiero, gdy o los narodu idzie. Słyszałem przed niejakim czasem wtéj izbie, że rozbiór kraju w okolicznościach teraźniejszych podobny, ja temu wierzę, i dawniéj wierzyłem, bo mnie wierzyć smutne nauczyło doświadczenie. Determinować się nieumiem czy tron sukcesyjny, czy elekcyjny. Jeżeli elekcya okropne ściągnęła na kraj skutki, któż zapewni że sukcesya okropniejszą nie będzie. Ale tam gdzie idzie o los ojczyzny głos mój przed głosem narodu ustawać powinien. Ulegając własnemu przekonaniu mogę błądzić z winy szczupłego światła, lecz nie ze złego serca. Widzę w jednym projekcie wiele połączonych materyi, widzę przeistoczoną formę rządu, widzę obalone dawne prawa, mówię więc, iż wszelkiéj roztropności i zastanowienia się potrzeba do tak ważnéj decyzyi. Wszak nieraz zdarzało się, że kilkakrotnie przeczytane projekta

poprawione, roztrząśnione, jednomyślność zyskały, lubo przy pierwszym czytaniu znajdowały się opozycye. Lecz je eli wszystko zapałowi poświęcić potrzeba, jeżeli dziś się ma kończyć, niech że się kończy zgodą powszechną gdy tego dobro ojczyzny i sława narodu wymaga. Na koniec niedając żadnego względem tego projektu zdania, śmiem się tylko dopraszać abyśmy mogli raz jeszcze wejść w roztrząśnienie jego przez powtórzone czytanie.“ Poparł te zdanie p. Sokolnicki poznański, ale gdy p. sekretarz do czytania jego przystępował nie dozwoliła tego opozycya. P. Szamocki warszawski rzekł: „Pozwalam na czytanie jeżeli dodatki i poprawki czy nione być mogą, lecz jeżeli ich czynić niewolno, na cóż próżno czas trawić czytaniem.“ Wzniecone w izbie niejakie zamieszanie przez spór zdań rozróżnionych, gdy jedni żądali czytania projektu, drudzy zapytania o zgodę niektórzy zaś ani czytania, ani decyzyi niedopuszczali, uspokojone zostało zabranym głosem przez p. Zabiełłę posła inflanckiego który rzekł: „Nad rzeczą tak rozważnie i ostrożnie ułożoną deliberować niewidzę potrzeby. Byłem przeciwny nieumiarkowanéj władzy królów, i byłbym dotąd, gdyby nie były poczynione w téj mierze odmiany które i największą troskliwość i ocalenie wolności zaspokoić powinny. Jestem za tym projektem, jest i każdy za nim ktokolwiek dobrze życzy ojczyznie Złączmy się więc już wszyscy na jego przyjęcie.“ Obrócił potem mowę do króla, prosząc „aby najpierwszy na utrzymanie jego wykonał przysięgę, a wszyscy zatym pójdziemy przykładem.“ Ledwie te słowa wyrzeczone były, senat i wszyscy prawie posłowie z miejsc swoich ruszywszy się na środek izby, prosili króla aby nową konstytucyę swoją utwierdzić raczył. Okrzyk jednostajny pełny największego zapału tłumił głos sejmowego marszałka pytającego się o zgodę, którą już niepotrzykroć jak zwyczajnie, ale nieskończenie powtarzana była

w okrzykach wiwat król, wiwat nowa konstytucya. Powtarzał to lud mnogi zgromadzony na dziedzińcu zamkowym, i bliższych ulicach; król otoczony zbiorem sejmujących i arbitrów, gdy nie mógł być od wszystkich widzianym, wstąpił na swe krzesło i za uciszeniem się Izby rzekł: Gdy widzę stałą i wyraźną wolę sejmujących abym wykonał przysięgę na konstycyą narodową wzywam zatem Ciebie pierwszy kapłanie tu przytomny, m. biskupie krakowski ażebyś mi przeczytać raczył rotę przysięgi, dla wykonania jéj przezemnie. Zbliżył się do tronu książe jegomość b. ks. Turski i czytał rotę, a król téż przysięgę powtarzał. Jak miły był ten widok sejmującym i przytomnéj publiczności, nietylko głośniéj ponowione okrzyki, ale łzy nawet radosne tłumaczami były, mimo licznego jednak mnóstwa, mimo najwyższego zapału, cień nawet najmniejszego gwałtu nieskaził sławnéj dnia tego pamiątki. Po wykonanéj przysiędze odezwał się król: „Juravi Domino non me paenitebit; przysiągłem Bogu żałować tego niebędę". Wzywam teraz rzekł kochających Ojczyznę niech idą teraz zamną do kościoła, na złożenie Bogu wspólnéj przysięgi, i dziękczynienia że nam dozwolił tak uroczystego i zbawiennego dopełnić dzieła.

Ruszyli się zatem wszyscy do kolegiaty, senatorowie ministrowie, posłowie, i arbitrowie, ale już zastali napełniony kościół magistratem i cechami miejskiemi, ulice pobliższe napełnione były rozmaitym ludem, wszystkich głos był tylko jeden „wiwat król, wiwat konstytucya rządowa". Król przybywszy do kollegiaty, i stanąwszy przed wielkim ołtarzem pokazał się zgromadzonemu ludowi. Przyniesieni prawie na rękach arbitrów marszałkowie sejmowy i konfederacyi, stanęli przed królem, a głos zabrał p. marszałek sejmowy: „Przez cały ciąg „życia w każdym urzędowaniu moim używać zwykłem „Najwyższego pomocy abym cnotliwie i z dobrem oj-

„czyzny pełnić me obowiązki podołał. Wzywam i dziś „Boga aby tak wielkiemu zamiarowi naszemu ocalenia „i uszczęśliwienia ojczyzny błogosławić raczył, ale oraz „wzywam szczególniéj przytomnego w téj świątyni Boga „na świadectwo czystych zawsze intencyj moich nie „dążących jak tylko do tego, abym ujrzał ojczyznę „rządną, niepodległą i zupełnie szczęśliwą. Ufam że ta „żądana powszechna szczęśliwość będzie skutkiem no„wéj konstytucyi z tak szlachetnym i gorliwym zapa„łem dziś od nas przyjętéj. Ufam zaś tym bardziéj żeś „naj. Panie utrzymanie i obronę jéj przysięgą narodowi „zaręczył. Łączyć się z najlepszym z królów, jest zawsze „dobrego obywatela powinnością, należeć do udziału „starań jego poświęconych uszczęśliwieniu ojczyzny jest „najchlubniejszym zaszczytem. W tym widoku dozwól „miłościwy królu abyśmy chęci nasze zjednoczone za„miarem dobra powszechnego a ożywione nadzieją szczę„śliwości w przyjętéj konstytucyi publiczną utwierdzili „przysięgą.“ Poczem mówił książe marszałek konfederacyi litewskiéj: „Rok temu trzeci mija Naj. Panie jak „uroczystą przed tronem w. k. m. wykonawszy przy„sięgę w koleżeństwie z jw. marszałkiem konfederacyi „koronnéj, przedsięwziąłem nierozłączonym z nim po„stępywać krokiem, tak przez szacunek winny cnocie „tego męża, jako i dla pewności wyroków téj konfede„racyi któréj ojczyzna miała być winna swoje szczęście. „Nadspodziewanie w téj na dniu dzisiejszym stawając „świątyni, gdy mi przychodzi usta otwierać winienem „je poświęcić tak szczerym wyrazom prawdy jak jest „świętym ten przybytek który fałszu nie cierpi. Powi„nienem okazać tę czystość postępków i serca mojego „która jedynie człowieka czyni godnym wzywania Imie„nia Boga Wszechmocnego. Powtarzam więc przed Jego „ołtarzem to coś w. k. m. w zgromadzeniu stanów ode„mnie słyszał, przysięgam przed najś. Sakramentem, że

„wszystkie potwarze w czasie teraźniejszego sejmu na „mnie miotane, ani cienia w sobie prawdy niemają. „Przysięgam że w czasie urzędowania mego publicznego, „ani cudzoziemska, ani krajowa, ani przyjaciół, ani ni„czyja wola moim niekierowała zdaniem. Przysięgam „żem interes mojéj ojczyzny nad wszystko przekładał „i że dobro publiczne mając za cel jedyny, nigdym „niesłuchał tylko głosu własnego przekonania, to prze„konanie jest i w téj która nas tu zgromadza okolicz„ność głośno i śmiało przed w. k. m. i przed całą pu„blicznością odkrywane. Wiadomo prawie wszystkim „żem nie wiedział o istocie projektu teraźniejszego kon„stytucyi naszéj, a tym mniéj o sposobie jakim będzie „przechodził. Pierwszy raz obił się dziś o uszy moje „jak był na sesyi sejmowéj czytany, i dla tego prosi„łem o dłuższe nad nim zastanowienie się. To gdy nie„nastąpiło w tym nagłym momencie ilem z niego mógł „pojąć znajduję w niem materyą decyzyi sukcesyi „tronu, która że mojemu przeciwna przeświadczeniu, „trudnoby się zaprzeć skoro pamiętne są głosy moje „żem radził tylko obieranie saméj osoby naj. elektora „saskiego. Widzę w téj ustawie i wiele innych przepi„sów do których przychylić nie mogę mojego zdania, „i których żądałbym odmiany, ale gdy już przeszedł „moment ostatni decydowania się konieczności, gdy tak „znaczna część sejmujących nieodstępnemi się od tego „prawa oświadczają, gdy król zaprzysiągł, w odstąpie„niu od nich widzieć nie mogę tylko smutny obraz roz„dzielenia narodu, a przeto zgubę ojczyzny. Wahać się „zatem niemogę nad tym co mi czynić zostaje. Urząd „mój w sejmie, odłączenie się moje czynićby mógł „szkodliwym, bo to mogłoby być niechętnym lub nie„winnym pozorem do nadweręženia dzieła, od lat bli„sko trzech z ukontentowaniem narodu trwającéj kon„federacyi, a w tym rozdwojeniu moc zagraniczna, ko-

„rzyść by pewnie znalazła. Niejedność i wewnętrzne „rozterki zawsze klęsk w Polsce były przyczyną. Po-„myłki w ustawach rządowych, samowładztwo narodu, „łatwo doświadczeniem oświecone poprawić może, lecz „skutku wojen, zniszczenia przez wojska zagraniczne „ziemi naszéj, pod pretekstem godzenia nas wchodzące, „i zaboru kraju, gdzież jest przykład aby się dla Po-„laka nalazła nagroda? Tym więc przestraszony okro-„pnym widokiem, i z bojaźnią dopuszczenia się wię-„kszego złego chcąc mniejszego uniknąć w tym jednym „razie miłość ojczyzny, jéj bezpieczeństwu z własnego „przekonania każe uczynić ofiarę. Nie mam nadto do-„syć zbytku miłości własnéj żebym znajdował iż mnie-„manie moje koniecznie stósowniejsze być powinno do „ustanowienia szczęścia ojczyzny niż zdanie króla, sza-„nownego marszałka konfederacyi koronnéj, i tylu za-„cnych mężów sejmujących. Za ich cnoty stojąc tarczą „przystępuję do téj przysięgi którą król już w obecno-„ści stanów wykonał. Odezwał się głos powszechny prosiemy o przysięgę. Zaczym na czytaną rotę przez ks. b. krakowskiego, marszałkowie obydwa konfederacyi, biskupi, senatorowie, posłowie i cała publiczność trzymając ręce w górę wzniesione wykonali przysięgę na nową konstytucyę. Dał się słyszeć huk z harmat. Po uciszeniu się w kościele, król odezwał się: „Iż wykonawszy to cośmy Bogu winni powrócimy teraz do Izby sejmowéj dokończyć dzieła naszego“. W czasie tym gdy król jm. z senatem, ministrami, posłami i wszystkiemi przyjaciołami nowéj konstytucyi udał się do kościoła, i tam Bogu dzięki uroczyste składał, liczba opozycyi do dwudziestu osób sejmujących wynosząca w Izbie pozostała. Tam J. P. Suchorzewski poseł kaliski manifestowanie się w aktach publicznych, lub odwołanie się do województw z świadectwem zdania jakiego byli w téj materyi, kolegom swoim doradzał, ale późniéj się okażę

dokąd przez apelacyą udali się. Jeden z przeciwnych konstytucyi kładł to za powód zdania swego iż nigdzie o tém w dawnych prawach nie czytał aby w Rp. władza jaka wykonawcza być miała. Po powrocie do Izby sejmowèj król stanąwszy na tronie mówił: „Iż rozumie że jest powszechną wolą aby Magistratura zwłaszcza komisya wojskowa, a potem wszystkie wojska Rp. na tęż konstytucyą wykonały przysięgę, iżby rychléj po całym kraju rozeszła się (odezwały się liczne sejmujących głosy) „zgoda prosiemy". Sesya zasalwowana została, a marszałkowie konfederacyi podpisali ustawę rządową, a udawszy się natychmiast do pałacu Rp. gdzie zastawszy komisyą wojskową na sesyi przytomną donieśli jéj o wyroku stanów aby taż Magistratura wykonawszy niezwłocznie przysięgę dopełnienie jéj wojskom Rzp. zaleciła. Uczynili zadosyć prawu, znajdujący się komisarze wojskowi. PP. Grocholski wojewoda bracławski, Karsznicki kasztelan wieluński, Krasiński obożny w. k. Starzeński Star. Brański, Czapski jenerał major, książe Radziwił szef regimentu, Jeliński pułkownik, j. p. Czaplic nieprzytomny nazajutrz wykonał przysięgę. Dnia 4go maja ci sejmujący których wolę i zdania krępowały inotrakcye, lub którym zdawało się znajdować jaką niedogodność w ustawie rządu chcieli zostawić w księgach publicznych, albo dowód zadosyć uczynienia zaleceniom współbraci, albo świadectwo sposobu myślenia swego; dla tego uczynione były manifesta przez j. w. m. panów Mielżyńskiego, Poznańskiego, Suchorzewskiego, Kaliskiego, Kretkowskiego, Łęczyckiego, Zagórskiego, Hulewicza, Krzuckiego, Wołyńskich, Dłuskiego, Lubelskiego, Orłówskiego, Mierzejewskiego, Złotnickiego, Podolskich, Kickiego, Chełmskiego, Radzimińskiego, Czernichowskiego posłów i jednego senatora to jest księcia Czetwertyńskiego kasztelana przemyskiego. Prócz tych którzy wady postrzegali w nowéj konstytucyi i byli

ich mość pp. Skorkowski, Sendomirski, Piniński Wołyński, i Zieliński, Zakroczymski posłowie. Dnia tegóż jmć. pp. marszałkowie konfederacyi odebrali przysięgę od komisyi skarbowéj złożonéj w ówczas z imć. pp. Załuskiego kasztelena buskiego, Czackiego star. nowogrodzkiego, Gorskiego chorążego Ciechanowskiego, Okęckiego sędziego ziems. warsz., Kamienieckiego podczaszego Latyczeskiego, Lanckorońskiego r. k. n. tudzież Krajewskiego J. K. Mikurskiego podko. Gostyn. pisarza komisyi skar. kor. JW. Kossowski podskarbi w. k. dla słabości zdrowia na 7ym dniu maja przysiągł. Po wykonaniu przez Magistratury przysięgi, deputowani do konstytucyi podpisali ustawę rządową, a z posłów którzy pierwéj byli nieco przeciwni ustawie rządowéj, łączyć się do wspólnego dobra oświadczywszy zaprzysiądz tęż przysięgę na konstytucyą dopełnili. Na sesyi potem sejmowéj p. Seweryn Potocki poseł bracławski oświadczył: „Iżby sejmujące stany wśród pomyślności i ukon„tentowania pomnieli na to iż to co się dzieje w War„szawie, nie jest w całym kraju, iż mogą się znaleść „tacy, i są zapewne których nie przychylne dobra oj„czyzny widoki niedogodność w postępku naszym naj„dują“ przekładał więc „aby okazać nieporuszoną de„ferencyą sąsiadom, i wszystkim zawisłym szczęściu „powszechnemu, że co jest działane z zapałem, to utrzy„mywać, tego bronić z jak największą stałością chcemy“. „Wniósł daléj aby najskuteczniéj myśleć o wojsku, aby „zalecić komisyi wojskowéj iżby arsenały jak najrych„léj i dostateczniéj w broń wszelką opatrzone były“. Projekt ten przeczytany pochwalony przez Naj. Pana, poparty głosem p. Rzewuskiego posła podolskiego jednomyślnie przyjęty został. Równie powszechna zgoda stanów na przełożenie JW. Rzewuskiego posła podolsk. uchwaliła, zalecenie komisyi wojskowéj aby ta wybrała z pomiędzy siebie, i wojska biegłe osoby do układania

projektu do ulepszenia stanu wojska, jego formacyi, oraz do poprawy etatu, i aby jak najprędzéj wygotowane swoje dzieła do decyzyi stanów przyniosła. Nadto jednomyślnie marszałkom konfederacyi zalecono aby uniwersałem swoim naród obwieścili o uchwalonéj nowego rządu ustawie. Tak tedy dzieło celem szczęścia ojczyzny przedsięwzięte, z zapałem gorliwości przyjęte utwierdzone zostało. Przed dojściem jeszcze uniwersału zgromadzeni z województw poznańskiego, kaliskiego, i gnieźnieńskiego obywatele publicznym pismem uwielbienie konstytucyi i wdzięczność dla prawodawców oświadczyli. Gdy zaś urzędowne marszałków obwieszczenia doniosły obywatelom na prowincyach mieszkającym o zapadłéj rządu ustawie, komisye cywilno-wojskowe przesyłając do króla i marszałków konfederacyi listy, dały powszechnéj krajowéj aprobacyi świadectwo jako to: z województw krakowskiego, sendomirskiego, tudzież z powiatów wiślickiego, opoczyńskiego, chęcińskiego, radomskiego, ziemi stężyckiéj, województwa poznańskiego, ziemi wschowskiéj, powiatu gnieźnieńskiego, i kajnskiego, województwa sierackiego, ziemi wieliskiéj, powiatu ostrzeżowskiego, województwa łęczyckiego i wołyńskiego, powiatów łuckiego, włodzimirskiego i krzemienieckiego, województwa lubelskiego, powiatu urzędowskiego, ziemi łukowskiéj, województwa bracławskiego i podolskiego, powiatu kamienieckiego, i latyczeskiego.

Ustawy rządowéj dnia 3go maja 1791 r. w Warszawie nastąpionéj w treści zebrane artykuły.

1) Religia panująca. Religią narodową panującą jest i będzie wiara rzymsko-katolicka. Wszystkim ludziom jakiegokolwiek bądź wyznania pokój w wierze i opieka rządowa, dla tego wszelkich obrządków i religii wolność w krajach polskich podług ustaw krajowych, nie jest wzbroniona.

2) Szlachta ziemianie. Wolność i prerogatywy stanowi szlacheckiemu podług dawnych królów przywilejów zapewnione, nadewszystko zaś prawa bezpieczeństwa wolności osobistéj, własności gruntowéj i ruchoméj. Szlachta za najpierwszych obrońców wolności uznana. Każdego szlachcica, cnocie obywatelstwu i honorowi jéj świętość do szanowania, jéj trwałość do strzeżenia poruczona, jako jedyna twierdza ojczyzny i swobód.

3) Miasta i mieszczanie. Prawo na teraźniejszym sejmie zapadło pod tytułem: Miasta nasze królewskie wolne w państwach Rzpltéj, w zupełności utrzymane, i za część niniejszéj konstytucyi deklarowane jako prawo wolnéj szlachcie polskiéj dla bezpieczeństwa ich swobód i całości wspólnéj ojczyzny nową prawdziwą skuteczną dające siłę.

4) Chłopi włościanie. Lud rolniczy pod opiekę prawa i rządu krajowego przyjęty, dla czego jakiebykolwiek swobody nadania lub umowy dziedzice z włościanami dóbr swoich autentycznie ułożyli, czyli to z gromadami czyli z każdym z osobna wsi mieszkańcem, te zrobione będą stanowić wspólny i wzajemny obowiązek podług opisów i warunków zawartych po zawarowaniu tym sposobem dziedziców przy wszelkich pożytkach od włościan im należących, wolność ogłoszona dla wszystkich ludzi którzyby do krajów Rzpltéj wchodzić dla obrania mieszkania i użycia przemysłu w miastach i wsiach chcieli, tudzież i powrót wolny, uczyniwszy zadosyć obowiązkom któreby na siebie przyjęli.

5) Rząd czyli oznaczenie władzy publicznéj. Z trzech władz rząd narodu polskiego składać się powinien, to jest z władzy prawodawczéj w stanach zgromadzonych, z władzy najwyższéj wykonawczéj w królu i straży i z władzy sądowniczéj w jurysdykcyach.

6) Sejm czyli prawodawcza władza. Sejm czyli stany zgromadzone na dwie Izby podzielone; na

Izbę poselską i senatorską. Izba poselska będzie świątynią prawodawstwa, w której decydowane bydź mają wszystkie projekta, co do praw ogólnych konstytucyjnych, cywilnych, kryminalnych, wieczystych podatków, w którychby materyach propozycye od tronu podane były i t. d. Izba senatorska składać się mająca z biskupów, wojewodów, kasztelanów, i ministrów pod prezydencyą króla. Każde prawo które po przejściu z Izby poselskiéj do senatu przesyłane być powinno, przyjąć lub utrzymać do dalszéj narodu deliberacyi opisaną w prawie większością głosów. Każda uchwała sejmową większością decydowaną być ma i t. d. Sejm zawsze gotowym będzie, prawodawczy i ordynaryjny rozpoczynać się ma co dwa lata, trwać będzie podług opisu praw i t. d. Sejmiki uroczyście zabezpieczone prawodawstwo sprawowane być ma przez reprezentantów całego narodu. Wszystko i wszędzie większością głosów decydowane być powinno, przeto liberum veto (to jest niepozwalam) konfederacye wszelkiego gatunku i sejmy konfederackie, jako duchowi niniejszéj konstytucyi przeciwne, rząd obalające społeczność niszczące, zniesione. Pora czas rewizyi i poprawy konstytucyi co lat 25 naznaczona.

7) Król władza wykonawcza. Po zawarowaniu wolnemu narodowi władzę praw stanowienia i moc baczności nad wszelką wykonawczą władzą oraz wybierania urzędników do Magistratur, władza wykonywania praw naj. królowi i radzie oddana która to rada strażą praw zwać się będzie, władza wykonawcza do pilnowania praw i onych pełnienia ściśle jest obowiązana. Tam czynną z siebie będzie gdzie prawa dozwalają, gdzie prawa potrzebują dozoru exekucyi, a nawet silnéj pomocy. Posłuszeństwo należy się jéj od wszystkich Magistratur, moc przynaglenia nieposłuszne i zaniedbujące swe obowiązki Magistratury; przy niéj zostawiona

władza wykonawcza nie będzie mogła praw stanowić, ani tłumaczyć, podatków i poborów nakładać, długów zaciągać rozkładu dochodów skarbowych przez sejm zrobionego odmieniać, wojny wydawać i t. d. Tron polski sukcesyjnym przez familie postanowiony z prawem następstwa. Elektor saski za króla w Polsce przeznaczony. Dynastya przyszłych królów oznaczona na osobie Fryderyka Augusta elek. sask, tego zaś sukcesorem de lumbis z płci męzkiéj tron destynowany, gdyby zaś dzisiejszy elektor niemiał potomstwa płci męzkiéj, tedy mąż przez elektora za zgodą stanów zgromadzonych, córce jego dobrany, zaczynać ma linią następstwa. Dla tego Marya Augusta Nepomucyna, córka elektora za infantkę polską deklarowana, zachowując etc. Król nie samowładcą, ale ojcem, i głową narodu być powinien i t. d. Król któremu wszelka moc dobrze czynienia zostawiona być powinna, mieć będzie jus aggratiandi na śmierć skazanych prócz in criminibus status i t. d. Straż czyli rada królewska, do dozoru całości egzekucyi praw, królowi dodana, składać się będzie z prymasa, z pięciu ministrów, i dwóch sekretarzów.

8) Władza sądownicza. Władza sądownicza nie może być wykonywaną, ani przez władzę prawodawczą, ani przez króla, lecz przez magistratury na ten koniec ustanowione i wybierane. Nowy kodex praw cywilnych i kryminalnych, przez wyznaczone przez sejm osoby, ułożyć się mający deklarowany.

9) Regencya. Straż będzie oraz regencyą mając na czele królową, albo w jéj nieprzytomności prymasa. W trzech tylko przypadkach miejsce mieć może regencya. 1) W czasie małoletności króla, 2) W czasie niemocy trwałe pomieszanie zmysłów sprawującéj. 3) W przypadku gdyby król był wzięty na wojnie. Małoletność trwać tylko będzie do lat 18 zupełnych.

10) Edukacya dzieci królewskich. Bez uwłoczenia prawom rodzicielskim, za rządu królewskiego, sam król z strażą i z wyznaczonym od stanów dozorcą edukacyi królewiczów, wychowaniem ich zatrudniać się będzie.

11) Siła zbrojna narodowa. Wszyscy obywatele są obrońcami całości i swobód narodowych. Naród winien wojsku swemu nagrodę, i powodzenie, za to iż się poświęca jedynie dla jego obrony. Wojsko winno narodowi strzeżenie granic i spokojności powszechnéj, słowem powinno być jego najsilniejszą tarczą i t. d.

Deklaracya stanów zgromadzonych. Wszystkie prawa dawne i teraźniejsze przeciwne niniéjszéj konstytucyi, lub któremukolwiek jéj artykułu zniesione itd. Władzy wykonawczéj zalecono, aby straż swe obowiązki natychmiast pod okiem sejmu rozpoczęła, i ciągle utrzymywała. Przez wzmiankowaną deklaracyą nakazano także uroczystą przysięgę, przéz wszystkie komisye, i juryzdykcye, i przez wojsko. Na pamiątkę ustanowionéj konstytucyi i na podziękowanie Pann Bogu, aby ex voto wszystkich stanów kościół był postawiony i najwyższéj Opatrzności poświęcony uchwalono, a ktobykolwiek téj konstytucyi śmiał być przeciwnym lub targnąć się na jéj zepsucie, albo wzruszał spokojność szczęśliwym być zaczynającego narodu, przez zasiewanie nieufności, przewrotne tłumaczenie konstytucyi, a tym bardziéj przez formowanie jakiegokolwiek w kraju rokoszu, czyli konfederacyi onéj przodkował, lub jakimkolwiek sposobem do tego dokładał się, ten za nieprzyjaciela ojczyzny, za jéj zdrajcę, za buntownika uznany, najsurowszemi karami natychmiast przed sąd sejmowy ukarany będzie, ustanowiono. I dla tego nakazano aby sąd sejmowy w komplecie nieprzerwanym, w Warszawie agitował się. Sesye swoje od dnia do dnia limitował, wszystkich zaś doniesionych sobie, przez dobrze osia-

dłego obywatela delacyą biorącego w asystencyi instygatorów obojga narodów, o podniesienie rokoszu, lub na mianowanie do niego natychmiast sądził. O osobach wyrokowi swemu mających podlegać ubezpieczał się, do czego wojska narodowe, za zniesieniem się sądu z władzą wykonawczą, mają być gotowe i powolne.

O HISTORYI ZAIMPROWIZOWANÉJ
w cesarstwie rosyjskiém.

Sobory ziemskie: Pan Sołowiew i Aksakow.

Nie zagłębiając się w dzieje Rusi, które nie są i nie były nigdy historyą moskiewską, a były co najwięcéj wstępem do historyi Moskwy, zaczniemy od czasu, kiedy pierwszy zawiązek późniejszéj Rosyi rozwijać się poczyna daleko po za Słowiańszczyzną, po za Rusią, w krajach *zaleskich* na gruncie fińskim. Pierwsze słowo historyi moskiewskiéj wymówił nad brzegami Klazmy Jerzy Dołhoruki; małe książątko najmniéj ważnéj dzielnicy w państwach ruskich, syn Włodzimierza Monomacha. Syn jego Andrzéj Boholubski przeniósł się z Suzdala do Włodzimierza nad Klazmą. Następni książęta stolicę tę przenieśli do Moskwy w początkach XIV wieku. Suzdalskie było tedy cząstką państwa które Rurykowicze utworzyli wśród Słowian, cząstką jednak zupełnie mu obcą i odstrychnęło się od jedności łatwo wraz z Jerzym; książe ten owszem lada sposobności używa ażeby zwalić potęgę

Kijowa, który miał za sobą powagę i historyą. Kroniki ruskie kilka razy wzmiankują o pochodach Jerzego z *krajów zaleskich* na *Ruś*. *Rusią* była tylko kijowska strona a nawet Smoleńsk, Połock, Nowogród nie były Rusią, zostały potém Rusią. Jerzy Dołhoruki kąpał się w krwi Kijowian, świecił się w pożarach téj matki grodów ruskich i wreszcie legł zupełnie Kijów, stracił wszystko, kiedy na jego ruinach Suzdal zaczął się podnosić. Jeszcze się Moskwa nie narodziła, a już mordowała, zabijała Ruś. Z Suzdala wyniósł się Włodzimierz nad Klazmę i Andrzéj był już nawet W. księciem. Następcy wznosili moskiewskie carstwo na suzdalskim i włodzimirskim gruncie. Piotr Romanow już na moskiewskim dźwignął petersburgskie cesarstwo. Taka była koléj historycznych wypadków i z tego powodu, nie zaczniemy jak Moskale od Ruryka, bo Ruryk i jego następcy aż do Jerzego Suzdala należą do historyi słowiańszczyzny północnéj i wschodniéj; do historyi Rusi, która właściwie była w pierwotnych chwilach około Kijowa, a która potém nazwisko swoje Rusi narzuciła na całą tę Słowiańszczyznę wschodnią i północną. W krajach suzdalskich, w których rodziło się carstwo nie było nic słowiańskiego, nic ruskiego, oprócz dynastyi skandynawskiéj na pół zesłowiańszczonéj i oprócz kilku, kilkunastu może osad słowiańskich, które książęta kijowscy tam zaprowadzili, kiedy nieśli w owe puszcze i lasy cywilizacyę swoją tak zupełnie jak posuwają dzisiaj tę cywilizacyą w lasy swoje i ziemię bezludną na zachód brazylianie, albo jak posuwają światło amerykanie północni w lasy Oregonu.

Andrzéj tedy jest pierwszym wielkim książęciem w tych stronach, które w historyi pospolicie nazywają zalaskiemi że rozciągały się za lasami i jest już potężniejszym znacznie od ojca, stolicę zaś swoją ma we Włodzimierzu suzdalskim. Kroniki o nim prawią, że chciał być „samowładzcą w ziemi ruskiéj,“ to się znaczy w całém pań-

stwie Monomacha, swojego dziada, który aczkolwiek nie posiadał całéj téj Słowiańszczyzny, ale zawsze panował w niéj szeroko. Książęta ówcześni myśleli już o majestacie większym nad ten, który posiadali. Jednocześnie Mongołowie napadli na Ruś i rzucili postrach nawet na Polskę i Węgry. Z tego postanowili korzystać książęta panujący w zaleskich stronach, tj. Włodzimierscy, Andrzéj mianowicie. Wiedział i Andrzéj i książęta inni rurykowicze, że oprócz téj władzy którą posiadali każdy u siebie, jest władza insza, carska, imperatorska, nierozdzielna a samowładna bo nawet i nad kościołem i nad sumieniami panuje. Duchowieństwo dawno im rozpowiadało o téj władzy. Pojęcie o niéj przyszło do Rusi, jak wszystko obrzędowe, niewolnicze, niecywilizacyjne, chińskie, z Carogrodu; Włodzimierz Monomach próbował pojęcie to wcielić na Rusi, otaczał się tedy purpurą, majestatem, nietykalnością. Książę nadzwyczajnie chytry i ambitny rozwijał jak mógł na gruncie ruskim pojęcia bizantyńskie, ale zawiódł się w nadziejach i oczekiwaniach, bezpośredni następcy jego nie umieli zaszczepić tego pojęcia w masy, widoczna że się pośpieszył, że jego majestat wyglądał więcéj na proroctwo. Ale co się nie przyjęło na gruncie ruskim, słowiańskim, to się przyjęło dobrze na gruncie fińskim, suzdalskim. Prawda i to, że sprzyjały temu okoliczności. Ruś zaczęła tworzyć około Halicza jedno ognisko większe życia narodowego, skutkiem napaści mongolskiéj, Kijow już wprzód uległ przed Suzdalem jako ofiara, jako zasada, potém zaś Ruś się rozpadła pomiędzy Polskę i Litwę i przestała żyć osobném życiem politycznem, lubo narodowém żyła ciągle i daléj. Rozszczepiło się tedy to co siłą było związane, co siłą trzymało się razem, Ruś wsiąkła w cywilizacyę, kraje zaleskie poszły pod panowanie *hana*. Już tam się mnożą księstwa oddzielne, których dotąd nieznała historya i wielki książe jeden mając nad sobą

bliższy wzór jak go miał Monomach u cesarza, urabia się powoli na mongolskiego despotę.

W krajach zaleskich hana także nazywano jak i cesarza *carem*. Mongołowie nie rządzili sami w owych zdobytych, zhołdowanych przez siebie krajach, owszem pozwalali w nich rządzić miejscowym książętom, jakich zastali w dzielnicach. Sam nawet rodzaj rządu był dla mongołów obojętny, każdy książe robił co chciał, palił, wieszał, zdzierał, lub płakał i obdzielał biednych jałmużną, według swojego usposobienia i upodobania. Mongołowie trzymali tylko pod jarzmem zawojowane ziemie, pobierali z nich haracz, obdzierali je ze skóry, a czasami gdy krew silniéj zagrzała, wkraczali do księstw pobawić się w nich cokolwiek, to jest połupić, popalić pozabijać. Książęta żyli z sobą tak samo jak dawniéj zawsze na ostro, ale już wojować z sobą nie mogli; ulegając władzy hańskiéj, jeździli do hordy i tam błagali sprawiedliwości, tam nieraz wypraszali sobie tytuł wielkoksiążęcy, lub wyrok nieodwołalny w domowych kłutniach i zajściach dynastycznych. Oglądali w hordzie na oczy tę straszną i dziką władzę, od któréj losy milionów zawisły; owszem nietylko ją oglądali ale i dobrze czuli nad sobą jéj ciosy, siłę, gdy karali częstokroć zelżywą śmiercią nieposłuszne i zuchwałe książęta. Ale powoli zmienia się ład i cały tryb postępowania książąt w krajach zaleskich i widocznie wyrabia się tam państwo nowe, odmienne od wszystkich, które z czasem podniesie miecz na cywilizacyę. Niezaraz to wprawdzie nastąpiło. Książęta z początku i pod władzą Mongołów gryzą się, nienawidzą nawzajem, każdy chce swoje księstwo wynieść kosztem drugiego. Razań, Twer, Niżny Nowogród starają się wydrzeć palmę pierwszeństwa Włodzimierzowi, pragną zostać ogniskiem życia przyszłego państwa. Ale wreszcie Moskwa, córka Suzdala i Włodzimierza odnosi górę nad spółzawodnicami i staje na czele

księstw zaleskich, polityką swoją chytrą i wytrwałą zupełnie taką jak jest dzisiejsza rosyjska, przepowiadając, że wszystkie te księstwa, prędzéj czy późniéj stopią się w niéj, w jednę całość organiczną, państwową. Wojny domowe książąt stają się tedy niepodobieństwem, przechodzą w dziedzinę czystych faktów historycznych. Moskwa raz wraz nowe robi zdobycze, na wszelkie sposoby działa, mężnieje, rozwija się i wciąga w siebie wszelkie nieprzyjazne żywioły. Wielkiemu książęciu moskiewskiemu przypomina się nawet Ruś, w myśli swojéj jednoczy on Ruś z krajami zaleskiemi, które dotąd jednego a wspólnego wszystkim księstwom nie mają nazwiska i nazywa się *wielkim księciem wszej Rusi*. Mogła tu być z początku zła wiara, mogła być przynajmniéj w dobréj wierze pomyłka historyczna. Jeżeli pierwsze, książe dobrze wiedział że nie jest panem nietylko wszéj Rusi, ale nawet i kawałka Rusi, gdy Ruś właściwa poszła już wtedy w podział pomiędzy Polskę a Litwę; jeżeli drugie, książe, jak powiadamy, w dobréj wierze wziął nazwisko które mu w żaden sposób nie służyło, bo kraje zaleskie nie były nigdy Rusią, nie były Rusią nawet wtenczas, gdy Rurykowicze niepodlegle władali na całéj téj przestrzeni pomiędzy Ilmenem a ujściami Dniepru, a były to najwięcéj zruszczoną, do Rusi należącą ziemią, osadą Rusi, nic więcéj. Niemając własnego nazwiska, brał pierwsze lepsze, najbliższe. Państwo moskiewskiem nazywać się wtedy albowiem dopiero mogło, kiedy już pożarło inne księstwa, kiedy stało się jednością np. pod koniec XV wieku, ale wtenczas kiedy wyrabiało jedność moskiewskiem tylko nazywać się nie mogło, bo moskiewskiem było w istocie, a tutaj szło o ideę; obok Moskwy mógł być zawsze i Twer i Razań, obok zaś wielkiego księstwa wszech Rusi, byt Tweru i Razania chwieje się niepewny, są to przyszłe prowincye carstwa, ogólne nazwisko przykrywa je, zapowiada im niedaleką przyszłość.

Dobra czy zła wiara zresztą i podszywanie się to pod nazwisko Rusi na dobre potém wyszło Moskwie, owszem nazwisko stało się w jéj ręku dzielném narzędziem przyszłych zaborów na gruncie czysto-słowiańskim w dawnéj Rusi, podało jéj miecz przeciwko naprzód Litwie a potém i Polsce.

Moskwa tedy podnosi na Zalesiu chorągiew jedności. Książęta udzielni jeden za drugim upadają, giną; Moskwa jest jako burza, co szalejąc wszystko po drodze wywraca z korzeniem. Rzecz dziwna, książęta ci upadają prawie bez boju, bez wysileń, powiedzielibyśmy dobrowolnie, gdyby taki ich koniec przypuszczać można było, nigdzie ze strony ludności nie widać ku nim żadnego spółczucia; jeżeli książęta myśleli o udzielności, pewnie o tém nie myśleli ich poddani. Prawda, że ziemia i dawniéj mało brała udziału w ich wojnach i kłótniach, o tyle o ile musiała. Widoczna, że duch nowy wstąpił w Moskwę duch zaborów mongolskich, i że duch ten już się wyrabiał na całém Zalesiu. Księstwa zyskiwały na tém, że traciły swoich własnych despotów i że przelewały się w ogrom; cieszyły się widząc, jak Moskwa silną ręką, łamie jedne po drugich zawady, które jéj pochód tamowały. Dwa państwa tak bliskie Moskwy sercem i pojęciami, upadają jednocześnie, ginie Carogród, rozpada się horda; ale rozkoszna teorya rządu cesarza bizantyńskiego, ale pociągająca urokiem władza bana tatarskiego działają na wyobraźnię wielkiego księcia. Pan Moskwy nie przerobił się ani na greka, ani na mongoła, przejął tylko to, co mu przekazywała w żywém słowie historya i tém bystrzéj, tém śmieléj poszedł ku swojemu celowi. Zamiast tedy dwóch dawniéj potężnych i na pół już powalonych państw, zjawia się na wschodzie trzecie, nowe silniejsze, jędrniejsze, powstałe carstwo moskiewskie. Chociaż go nie uznaje Polska, chociaż wie o niém mało Europa, ale Moskwa jest carstwem takiém, jak było ca-

rogrodzkie, jak mongolskie. Nienapróżno wielkiego serca król Zygmunt August troszczy się i martwi o tę nową potęgę i wszelkie drogi jéj przecina do Rzymu, żeby schizma nie rozpoczynała na zachodzie Europy sztuk, jakie już praktykować zaczęła na Litwie i Polsce.

W dawnéj Rusi, z któréj tradycye swoje historyczne wyniosła Moskwa, księcia otaczała *drużyna*, z początku skandynawska, potém na pół słowiańska, nareszcie całkiem słowiańska, miejscowa. Drużyna ta była radą, towarzystwem księcia; o zdanie drużyny książę się pytał i szedł za jéj radą. Właściwie nie zachodziło tutaj żadne ograniczenie władzy książęcéj, ale jedynie na mocy starodawnego zwyczaju, drużyna brała głos i stanowiła względem zamiarów i przedsięwzięć księcia, sama zaś była niezależną, drużynnik albowiem, jak chciał i kiedy chciał przechodził z jednéj do drugiéj książęcéj dzielnicy. Książęta darli się pomiędzy sobą, a rzadko kiedy do sporów ich, które szły o władzę a więc się unosiły po nad interesami narodu, rzadko kiedy plątały się wieca słowiańskie, zabytek czasów patryarchalnych.

Pytanie teraz, czémże owa dawna drużyna książęcia być mogła w Moskwie, w obec Iwanów i Wasilów. Czasy się wielce zmieniły. Nie było już teraz wydziedziczonych książąt, którzy po wszech ziemiach biegali gdzie i jak chcieli, żeby najmować się pierwszemu lepszemu; razem z niemi przepadły i koczujące ich drużyny. Z życiem narodu niewiele się wiązała dawna drużyna i niemogła ciążyć nad niém, przynajmniéj w sposób nieznośny. Wreszcie i same dzielnice, w których książęta byli osiedli, ustały. Było jedno państwo moskiewskie i jeden car moskiewski. Drużyna wtedy otoczyła dwór carski. Drużyna ta była prawda świetna, ale pomimo swojéj świetności, zaczęła teraz wiązać się w stan oddzielny, wyłączny, samolubny, w stan, który wsiąkał w siebie wszystkie soki narodowego żywota, wszystkie jego siły;

drużyna sobie jedynie przywłaszczała sławę, znaczenie, głos i tém paraliżowała naród. Oczywista, że wspaniałego a spokojnego pochodu narodu nie zastąpią nigdy chociażby najświetniejsze siły pewnego w sobie samym zamkniętego stanu. Drużyna dawna była konieczną dla książąt, którzy prowadzili życie z dnia na dzień, pełne niepokojów, ale nie jest potrzebną, jest owszem szkodliwą dla jedynego cara, dla jedynego państwa. Stając pomiędzy narodem a carem, drużyna nie pomagała nikomu a wszystkim się narażała. Jeżeli zdarzało się dawniéj, że wiecze narodowe stanowiło gdzie władzę, przywołując książęcia na tron, jego jednego przywoływało, ale nie jego drużynę; nie było stanów w dawnéj Rusi, nie było zatém ich i w księstwach zaleskich, dwie tylko były władze, dwie sprawy — księcia i poddanych; naród nigdzie nie uznawał po nad sobą władzy bojarów. Nowe samowładztwo oczywiście nie chciało dzielić się władzą z drużyną, która tron otoczyła. Drużyna ta nie miała stanowiska prawnego, istniała de facto, miała za sobą zwyczaj, ale nie prawo. Teraz, kiedy idea carogrodzkiego samowładztwa pojawiła się w Moskwie, Iwan czy Wasil nieśmiał być zależnym od nikogo; przodkowie jego mogli się radzić drużyny, ale czasy przedpotopowe minęły, drużyna starła się, złamała o historyą. Pierwszy Iwan III ten sam, co się wyzwolił z pod jarzma Mongołów, co pierwszy zaczął robić zdobycze w ziemi słowiańskiéj to jest zgniótł wolne rzeczypospolite nowogrodzką i pskowską, ten sam co obaliwszy mur, jaki od Moskwy Litwę w tych rzpltych przegradzał rzucił się wreszcie na Litwę i pierwszy zaczął ją rwać a Siewierszczyznę odłupił od Jagiellonów. Ten sam Iwan III zaczął prześladować, gnębić drużynę, a za nim poszedł i syn jego Wasil. Wprawdzie walka była ciężką i długą, drużyna owa albowiem wzmogła się znacznie zasilona niespokojnym a dumnym pierwiastkiem książąt udzielnych Rurykowiczów

co z tronów swoich pospadali i zeszli w grono prostych poddanych Moskwy Bojarów. Wreszcie na tronie moskiewskim zasiadł największy tyran, jakiego strony północne widziały, sławny Iwan IV groźny, którego rysy historyczne genialnym pędzlem tak dzielnie i wyraziście zakreślił Mickiewicz. Car ten był kapłanem swojego rodzaju. Na władzę swoją patrzał jak na Sakrament, na państwo jako na wzór budowy społecznéj i siebie samego uważał za cząstkę bóstwa. Car to był idealnych pojęć o władzy i religijném pałał dla niéj uczuciem. Myślą podnosił się nad wszech mocarzów ziemi, nie było mu na świecie równego. Wierzył mocno, że pochodzi w prostéj linii od Juliusza Cezara, to jest z najstarożytniejszego rodu despotów. Stefana Batorego, miał sobie długo za nic, że pochodził z księcia siedmiogrodzkiego, a książe z prostego szlachcica, a już Eryka króla szwedzkiego nie równał nawet ze swoim kucharzem. Miał troszkę względu dla Zyg. Augusta, ale mimo to szczerze sądził, że Polacy po śmierci króla powinniby błagać na klęczkach przez cześć dla jego rodu i dostojności o to, żeby raczył przyjąć ich koronę i żeby ją schował pod czapkę Monomacha. Iwan Groźny w „Skazaniach“ kniazia Kurbskiego, mówi w pewném miejscu „narodziłem się za łaską bożą na carstwie i nie pamiętam tego, jak mnie ojciec podniósł, pobłogosławił na carstwo, jam wzrósł na tronie“ (II. str. 121). Walka, która się ciągnęła wiek już cały, musiała się skończyć za Iwana. Niema już pola dla drużyny w państwie, historya słowo stanowcze o niéj wyrzekła. Car tedy złamał, zniszczył drużynę, państwo milcząc, przygląda się temu widowisku. Lud poddany nie brał żadnego udziału w obalaniu księstw, niebrał udziału w zabijaniu drużyny i na męki, jakie zadawali carowie a mianowicie Iwan Groźny, patrzał tylko ze strony ludzkiéj, to jest ze spółczuciem i przestrachem. Ostatni ślad podań drużynnych musiał prze-

paść i przepadł w istocie. Walka skończyła się na długiéj i piśmiennéj polemice cara ze starym przedstawicielem drużyny, kniaziem Kurbskim, który będąc potomkiem kniaziów udzielnych schronić się musiał przed Iwanem do Litwy. „Skazania“ kniazia Kurbskiego, które niedawno, przed dwudziestą przeszło laty ogłosił pierwszy raz drukiem Ustrjałów, są ostatnim śladem walki. Sam ten wypadek, że car i poddany uciekają się do pióra, do siły słowa, że zaczynają dysputować z sobą, przekonywać się nawzajem, dowodzić, sam ten wypadek świadczy o potędze, o znaczeniu walki. Widoczna, że tutaj mało zwycięztwa grubéj materyalnéj siły, że tutaj potrzeba jeszcze zwycięztwa ducha; otóż lżąc się wzajemnie, urągając sobie straszliwie, nienawidząc się okropnie i car, przedstawiciel tego co jest i kniaź, przedstawiciel tego co było, pisują do siebie listy i car chce by Kurbski poznał winę swoją i wrócił do Moskwy żeby zostać jego *chłopem*, kniaź chce, by car się poprawił, to jest wstecz cofał historyą. Jeden i drugi musi się usprawiedliwić przed sądem wyższym myśli, sumienia i historyi Pan Sołowiew, profesor uniwersytetu moskiewskiego, ostatni historyk Rosyi, sprawiedliwie w swojém dziele podnosi i ocenia znaczenie téj korespondencyi. Bojarowie jednak nie przepadli razem z drużyną; został się albowiem w carstwie *bojar dumny* tj. bojar radny, bo duma była radą carską, i nazywała się bojarską, ale ta duma już władzy żadnéj nie miała, była kancelaryą carską, wydziałem służby publicznéj, składała się z urzędników. Car kiedy chciał i jak chciał radził się owej dumy, albo całéj, albo dwóch, trzech z niéj członków, radził się według zwyczaju i tradycyi, ale mógł się nie radzić, nikt go do tego nie zobowiązywał i mógł znowu się radzić pierwszego lepszego swojego polubieńca po za dumą. Ni mniéj, ni więcéj, owa duma bojarska za Iwana Groźnego była to samo, co np. dzisiaj milczący i bez wła-

dzy *rządzący senat*, lubo się niektórzy mylą i w téj piotrowskiéj instytucyi, widzą jakąś rękojmię dla narodu, dla wolności, jakąś instytucyę europejską, uwiedzeni klasyczném od czasów rzymskich nazwiskiem senatu. Dzisiejszy Petersburgski senat jest na to, żeby zapisywał, chował w archiwach i rozsyłał ukazy carskie, jest rządzący, bo wyroki te wykonywać poleca i pisze o sobie *my* w liczbie mnogiéj. W Moskwie, w któréj same nawet nazwiska europejskie zmieniają swoje znaczenie, car jest władzą prawodawczą, i senatowi nibyto wykonawczą zlecił, a właściwie niedał mu żadnéj władzy zupełnie radnéj.

Car tedy stoi jeden u steru władzy i nikt więcéj oprócz niego, a dawne książęta, bojary, potomkowie drużynnych panów są tylko *chłopami* carskiemi. To nazwisko jest sakramentalne, uznane. Po dyplomatach piszą się Moskale mówiąc do cara: „twój chłop i niewolnik (rab) czołem bije przed tobą“ itd. Cała ta zmiana stała się wewnątrz rządu, rząd jeden tylko dotąd się zreformował na Moskwie, boć drużyna, bojarowie, były to wszystko sprężyny, kółka rządowe, bylito współuczestnicy władzy. Ale teraz zadajemy sobie pytanie: w jakichże zostawał stosunkach rząd ów nowy do masy narodu, do poddanych? czy stosunek ów się zmienił, czy téż na dawnéj stopie pozostał? Czy władza nowa rozumiała swoje położenie wśród otaczających ją okoliczności! czy installowała się i jak? Naród czy ją pojmował? Patrzałże tak obojętny na nowe warunki życia jak na kaźnie książąt? Jeżeli dzielnice nie ratowały swoich dawniejszych władzców przed groźną powstającą potęgą i chciały co prędzéj przelać się w jeden ogrom moskiewski, cóż zyskiwały stając się już cząstkami ogromu?

Niema wątpliwości, że władza i państwo i car i naród wszedłszy w nowe a bezpośrednie z sobą stosunki, gdy wszystkie pośrednie żywioły przetrawiły się i zgasły.

niema wątpliwości, powtarzamy, że stosunek ów oznaczyć się musiał, wyrobić i stanąć jako fakt w historyi. Naród jeszcze nie był ową bezrozumną massą, o którą rząd nowy mógł się wcale nie troszczyć, czy co myśli i czego chce, nie był li jedynie materyałem, z którego car wybierał tylko pieniądze i wojsko; nauczyli go potém władzcy z imieniem europejskiém najgorszéj w świecie niewoli. Ale podówczas nie było jeszcze tak źle. Naród ujrzał się nagle naprzeciw władzy, oko w oko, gdy mu dawniéj drużyny zasłaniały nawet księcia udzielnego. Przypomnieć sobie potrzeba, że na całéj przestrzeni Rusi, kiedy Ruś jeszcze wiodła żywot niepodległy, u dołu budowy społecznéj, wszędzie działały narodowe wiecza słowiańskie, które były sobie, jak i książęta sobie i że ten silny niegdyś pierwiastek radny wraz z cywilizacyą ruską, słowiańską przenikał coraz daléj na wschód w ziemie zaleskie. Pierwiastek ów na Rusi był miejscowy, narodowy, wyrastał z czasów patryarchalnego społeczeństwa, na Zalesiu zaś był napływowy, szczepił się tam dopiero, ale zaszczepiwszy się puszczał korzenie, rosnął, rozwijał się, przychodził do życia i do znaczenia. Prawda, grunt ziemi mu nie sprzyjał i duch fiński co był duchem także ziemi, dla tego nigdy tutaj pierwiastek cywilizacyjny do wszechwładztwa nie przyszedł jak np. na czysto słowiańskim gruncie, w Nowogrodzie wielkim, gdzie książąt na władzy zupełnie ograniczył, gdzie im powierzał tylko hetmaństwo, a nieposłusznych wypędzał i karał. Ale bądźjakbądź, duch żywioł radny przeniósł się i na Zalesie i wniknął, wsiąkł w organizacyę księstw, stał się faktem. Cóż się zrobiło teraz z owym żywiołem? Car zniszczył drużynę i utworzył z niéj służebne sobie bojarstwo. Jakże się car znalazł względem tego pierwiastku radnego? znalazłże odwagę w sobie wypowiedzieć i tym ułamkom starosłowiańskiéj wolności wojnę na

śmierć? chciałżeby samowładztwo sobie przyswoić nawet względem narodu?

Krytycy rosyjscy historyi p. Sołowiewa mają mu bardzo za złe, że nie rozstrzygnął tego pytania, że go nawet nie widział. Tom szósty téj najpóźniejszéj historyi wyszedł w Moskwie w r. 1856 i cały poświęcony jest Iwanowi Groźnemu. Książka niezmiernie ciekawa i ważna, lubo nie jest historyą, są to raczéj krytyczne poglądy na pojedyńcze sprawy owego panowania; są to liczne na stopień doktorski rozprawy, ale niema w téj historyi organicznéj całości i obrazów, niema jedném słowem historyi. Aksakow jeden z redaktorów „Ruskiéj Biesiady“, późniéj redaktor nieszczęśliwego zakazanego „Parusa“ to jest pisma które miało służyć interesom słowiańskim ze stanowiska czysto moskiewskiego, w przeglądzie książki p. Sołowiewa robi mu sprawiedliwe z tego względu wyrzuty, że zaniedbał zwrócić na ten przedmiot badawczéj swojéj uwagi. Aksaków należy do rzędu zdolniejszych dzisiejszych uczonych w Rosyi, a chociaż uwodzi się zbyt patryotyzmem i miłością ku dawnym dziejom moskiewskim, choć ma swoje uprzedzenia i przesądy, nie można powiedzieć, żeby nie umiał wydobywać z faktów, z przeszłości tego, czego dotąd w księgach nie było Aksaków nie idzie ślepo za rutyną, za wzorami. Panowanie teraźniejszego cesarza dało wolniejszy polot myśli, to też zaraz widać i owoce tego stanu rzeczy. Można rozprawiać o stosunkach rządu do poddanych chociaż w historyi, można wyszukiwać na ślady dawnéj wolnośct i wskazywać na nie nauce i biegłym, żeby przedmioi rozważyli i stanowczo o nim zawyrokowali. Niedawno to jeszcze było, kiedy jakoś około r. 1840 odkryli uczeni rosyjscy dzieło Kotoszychina o Rosyi z czasów cara Aleksego Romanowa. Ten Kotoszychin, był nędzną osobistością, zmieniał ojczyznę i wiarę jak worek, był Moskalem, był Polakiem i Szwedem, syzmatykiem, katoli-

kiem i protestantem, ale znalazła się też w nim strona, która ścierała cokolwiek z niego plamę zdrady i robiła poniekąd nawet zasłużonym człowiekiem było to dzieło jego o Rosyi, dzieło bez wyższych pojęć o nauce i sztuce pisania, ale mimo to wszystko, ważne treścią. U nas małoby się rehabilitował takiém dziełem autor, zdrajca ojczyzny, bo nie nowina spotykać nam pełne treści pamiętniki dawne, odkrywać nowych autorów, ale w Rosyi, która dopiero od Piotra Wielkiego zaczyna brać się do literatury i któréj wszystkie dawniejsze piśmienne pomniki, a jest ich nie wiele, tak są wstępem do dziejów saméj literatury, jak dzieje Nowogrodu i Rusi kijowskiéj, wstępem do historyi Moskwy, w Rosyi pojawienie się takiego Kotoszychina autora, co pisze o świeckich rzeczach, o historyi, jest zdobyczą naukową pierwszego rzędu, i ztąd Kotoszychina nikt w Rosyi nieuważa dzisiaj za zdrajcę, ale owszem mają go wszyscy za osobę parnasu narodowego. Otóż odkrycie to stało się w swoim czasie epoką w Rosyi, interes dla dzieła był ogromny, ile że nowe bardzo, niespodziewane rozpowiadał rzeczy. Mówił np. że pierwsi carowie z rodziny Romanowów nie tak samowładnie rządzili państwem, jakby się to na pozór wydawać mogło Karamzinowi, mówił że ograniczała ich władzę powagą dumy bojarskiéj, patryarcha itd. Morzem światła objawiała się przeszłość, odkrycie zaintrygowało wszystkich uczonych i nieuczonych, ale tutaj nagle wdała się z interwencyą swoją zwierzęca siła cesarza Mikołaja, który zakazał rozpraw po dziennikach w tym przedmiocie. Mikołaj ukazem rozstrzygał historyczne spory uczonych, jakże miał patrzeć obojętnie na spór o parlamentaryzm w dawnéj Moskwie? ale wrażenie zostało, ludzie się zastanawiać poczęli, i na téj drodze przyszli z czasem do zdumiewających odkryć. Dzisiaj jak po deszczu wiosennym wyłażą z pod ziemi

te kwiatki, ale trzeba brać je z ostrożnością, bo zawsze w nich skryta myśl polityczna.

Otóż jednym z tych kwiatków jest odkrycie zupełnie nowe najniespodziańsze w historyi, odkrycie *ziemskiego soboru*, którego exystencyi nikt się wprzódy nie domyślał, tém bardziéj, że od niedawna był wstręt narodowy, ku takim zasadom, jakie podkopywały zasadę bizantyńskiego samowładztwa w Rosyi. Karamzin dałby się zabić za to, że od 862 r. była już Rosya wszędzie, gdzie jest dzisiaj i za to, że samowładztwo jest najwyższém szczęściem narodu moskiewskiego.

Aksaków odkrył ów sobór ziemski i dał pierwszy znać o nim w swojéj pamiętnéj recenzyi dzieła Sołowiewa. Rzecz to tak ważna i dla naszéj historyi, że nie możemy pominąć jéj obojętnie. Rzeczywiście brak nam było w ciągu XVI wieku tylko gieniuszu na tronie, a granice cywilizacyi polsko-litewskiéj popchnęlibyśmy szeroko na wschód, po nad Okę i Wołgę aż do Uralu. Władza Iwana III rosła jak na drożdżach, co panowanie, to stawiła krok stanowczy ku ujarzmieniu narodu, ku wydarciu z niego wszystkiego co szlachetne, co wolne. Moskale z początku czuli swoją niewolę. Skłonność bojarów ku formom rządu exystującym w Polsce była na porządku dziennym w Moskwie, spiskowali z naszemi, utyskiwali, ale obawiali się cara. Śladów téj skłonności, miłości mniéj więcéj serdecznéj a chytréj, dużo znajdziemy w historyi. Nie wątpimy, że który z historyków naszych przedstawi z czasem ten obraz wzajemnych tajnych stosunków międzynarodowych pomiędzy Polską a Moskwą. Carstwo, chciało się przeformować na wzór nasz, bo Polskę tylko miało przed oczami, na wzór Polski wyrabiać się myślało nawet w XVIII wieku, kiedy Annę Kurlandzką powoływało na tron, to jest w czasie, kiedy gienialny despota Piotr zwichnął nagle koléj przeznaczeń Moskwy i przerwał nić narodowych tradycyj. Otóż i owo

odkrycie „soboru ziemskiego", wykazując miejscowe parlamentarne, wolne żywioły, które pod wpływem dobroczynnym Polski rozwinąć się i wybujać mogły, musi nas interesować. Chciało przeznaczenie, żeby owoc ten zupełnie zmarniał. Za Zygmunta Starego był jeszcze niedojrzały, za Zygmunta Augusta Polska trawiona gorączką religijną i potrzebą ustalenia swojego losu nim unią lubelską ogłosiła, nie mogła z położenia swego korzystać. Zresztą Zygmunt August nie był do tego; wiele już robił, że tamował Moskwie przystęp do papieża, że nie pozwalał dać korony z Rzymu, o którą się starała. Robił to król nie przez żadną osobistość to jest niechęć dla Moskwy, ale przez dobrze zrozumiany interes Polski i cywilizacyi, bo znał lepiéj swojego sąsiada, aniżeli łatwowierny Rzym; bo wiedział to, że Moskwa łudzić tylko umie a nigdy nie będzie katolicką. Złamał hart wielkiéj duszy swojéj o tę przegrodę i Stefan Batory jedyny z królów, któryby mógł rozstrzygnąć losy wschodu europejskiego i północy. Possewin uwiódł go nadzieją i zastawioną zręcznie łatwowierną intrygą a kiedy błąd swój poznał i chciał go naprawić, śmierć przyszła. Zygmuntowi III sam los Moskwę podawał w ręce, ale był to król uparty, niezdolny, wielkość nic nie przemawiała ani do jego głowy, ani do serca i skutkiem tego, ostatni pierwiastek wolności konał w Moskwie i nie rozrósł się, a owszem pokrzepił samowładztwo, które dopełniło wreszcie zguby Polski i wolności; uczy się dzisiaj Moskwa na nieszczęśliwym pognębionym narodzie, a mogła ją u siebie szczepić żywém słowem cywilizacyi.

Otóż stanowisko, z którego zapatrywać się musimy na stosunki wewnętrzne Moskwy, na walkę cara z miejscowemi ostatkami wolności. Powtórzym tutaj głównie wywody pana Aksakowa, a potém zrobimy nad niemi uwag kilka.

Książęta udzielni podlegali Moskwie, mówi recenzent polityczny moskiewski, a znosili się w sprawach swoich

wewnętrznych z wieczami narodowemi. Władza panującego stykała się na wieczach tych z myślą narodową. Trudno wchodzić w szczegóły, dosyć zacytować fakt sam. Ale kiedy dzielnice przepadły i wzniosło się jedno wielkie księstwo, carstwo, kiedy W. książe moskiewski uznał się w jestestwie swojém i nazwał się carem, wtedy cóż robi Iwan? co robią wiecza, gminy narodowe? Carstwo obok siebie widzi jedyną władzę nie napisaną, nieoktrojowaną, ale exystującą na mocy zwyczaju, od wieków, carstwo tedy pociąga ku sobie gminy, które przedstawiają mu całą ziemię już moskiewską, i kadry te gotowe do przyszłego sejmowania, powołuje na wspólną radę. Pierwszy car zwołuje pierwszą narodową radę, pierwszy „ziemski sobór“. Na tym soborze spoglądają na się państwo i ziemia i zawięzuje się pomiędzy niemi wspólny związek, wspólne prawo. Stosunki cara do narodu oznaczają się, odkreślają wyraźnie, car zatrzyma przy sobie siłę władzy, naród siłę opinii. Na soborze ziemskim uroczyście uznają się obiedwie siły, które odtąd mają wspólnie kierować przeznaczeniami Moskwy, od téj chwili są w państwie dwie zasady. Prawda, że daleko tutaj jeszcze do parlamentaryzmu, do wolności polskiéj. Władza cara jest już uorganizowaną siłą, władza opinii rodzi się dopiero i jak car stopił księstwa w ogrom moskiewski, tak i opinia rozdrobniona, rozmaita, ma się stopić w jeden ogrom żeby została prawnym organem rządu. Pytanie, czy jéj car pozwoli się stopić? Daléj księciu moskiewskiemu łatwo było wziąść inicyatywę, ku zjednoczeniu kraju, a któraż myśl prowincyonalna ma wziąść tę inicyatywę, któréj śmiałości, wyrobienia się, zrozumienia własnego interesu patryotyzmu wreszcie starczy? Car zawsze jest samowładnym pomimo opinii, może palić, mordować, ale bądź co bądź to zawsze wyskok władzy, car się obawia cokolwiek, wie że nie jest sam jeden w państwie, że tutaj obok niego

są jeszcze prawa innych, sumienie go niepokoi. Niechaj carem będzie sam Iwan Groźny, car wie że musi mieć wzgląd na kogoś, chociaż go nie ma zawsze tak jak wypada. Byłyby nawet niezawodnie raczéj rozwinęły się te stosunki wewnętrzne państwa, gdyby chwila wyrabiania się ich natrafiła na czasy innego władzcy. Ale wściekły Iwan obawiając się słusznie czy niesłusznie, lękając się ziemi, uciekając nieraz przed odpowiedzialnością, zrzekając się tronu, zamykając się w klasztorze na pokucie i dla nabożeństwa, umiał wszelako przyzwyczaić ziemię do niewoli, jakiéj równéj nie było na świecie. Pastwił się nad swoją ofiarą.

To też jest rażąca ogromna różnica pomiędzy dawnemi wieczami narodowemi w księstwach a nowym soborem ziemskim w państwie Iwana Groźnego. Wiecze nie zawsze odzywały się tylko z opinią, owszem częstokroć przychodziło na nich do użycia grubéj zwierzęcéj siły materyalnéj, stanowiły przy broni i pięści, wbrew księciu uchwalały prawo. Ale sobor ziemski Iwana Groźnego zachowywał się zawsze z należném uszanowaniem dla władzy, dla cara. Sobor przedstawiał tylko opinią, myśl powszechną, sobor prosił, doradzał ze wszelką skromnością, a nawet lepiéj powiedzmy, nie doradzał, ale zapytany odpowiadał, że w téj a téj sprawie to a to myśli, nie utrzymując przez to bynajmniéj [illegible] cara. To zachowanie się soboru ocaliło go za Iwana, ocaliło go i późniéj. Bywały okoliczności delikatne, że wypadało poradzić się narodu o jedno i drugie, władza albowiem carska nie dorosła jeszcze do mikołajowskiego zenitu, że jéj wszystko było jedno, cokolwiekbądź o niéj naród, świat cały, cywilizacya pomyśli. Otóż nieraz wpośród ciężkich okoliczności, sobór zapytany dawał carowi siłę wielką, był jego wierną podporą. Wybrani od ziemi na soborze odpowiadali tak pospolicie: „jak masz, caru

podporą. Wybrani od ziemi
na soborze odpowiadali tak pospolicie: „jak masz, caru

sobie postąpić w téj mierze, to twoja wola, my zaś tak a tak myślimy o tém“.

Niedosyć wyrozumować, potrzeba teraz pokazać fakta, że było tak a nie inaczéj. Pierwszym czynem Iwana Groźnego, skoro wyszedł z opieki, było zwołać do Moskwy sobor ziemski na placu krasnym. W charakterze tego cara leżała konieczność oznaczenia wszystkich stosunków przyszłego życia, ztąd musiał nadać wszystkiemu formę, miejsce, nazwisko. Ztąd i sobor ów pierwszy nie do Kremla zwołany, ale na plac, na ulicę, żeby się ujrzał z całym narodem, z całą ziemią. Na tym soborze zaszły tylko kwestye formy, regulaminu; ztąd car nie obradował pospołu z narodem, nie zapytał się go o nic, oznajmił tylko ziemi, że nadeszła nowa epoka, początek nowych pomiędzy nim a poddanemi stosunków. Było to tylko wzajemne zapoznanie się, *jedynego* cara i *całéj* ziemi. Zwołanie soboru było czysto myślą Iwana, który myślał urządzić swoje kapłaństwo. Późniéj dopiero soboru pytają się o zdanie i sobor głos podnosi.

Tak w roku 1566 Iwan zwołał drugi sobor ziemski i pytał się go, czy ma godzić się z Polską na warunkach, jakie podał Zygmunt August, czy też daléj ma wojować dla zdobycia lepszych warunków.

Tak za Batorego, kiedy król zdobył już Połock i Sokoł, Iwan który podówczas znajdował się w Pskowie, posłał rozkaz do djaka Andrzeja Szczełkatowa w Moskwie, żeby zwołał naród i oznajmił mu o klęskach ciężkich a razem żeby go uspokoił. Szczełkatow wykonał rozkaz, niczego nie ukrywał ale ducha pokrzepiał. Naród z cierpliwością chociaż z żalem wysłuchał djaka. Oderborn przytacza nawet mowę Szczełkatowa na tym soborze. „Nie wiecie obywatele (cives), mówił na jakim cel zgromadził was na radę, (conventum). Wiedzcież, że Połock nasz wzięty i Sokoł zniszczony ogniem a mieczem, że inne sąsiednie twierdze dostały się pod pano-

wanie naszego wroga. Ta wiadomość mogłaby was przerazić, przywieść do rozpaczy, gdybyście nie chcieli pomyśleć swoim rozumem, jak to na świecie zmienne są rzeczy i jak niema jednego cara, któremuby się coś niepomyślnego nieprzytrafiło. Zresztą jeżeli Polacy odebrali Połock, my za to panujemy w całych Inflantach; Polacy zburzyli kilka twierdz, my za to posiadamy ich wielkie miasta. Wojsko polskie zajęło małą przestrzeń Białéj Rusi, nasze zaś Smoleńsk, Starodub i Inflanty. Ale być może, strata ludzi przeraża dusze wasze, prawda, przyznam to ze swojéj strony, żeśmy stracili w Połocku tylu znakomitych wodzów, tyle bogactw! W Sokole zginął sam kwiat bojarstwa, (nobilitatis) i dzielnych mężów; cerkwie, ołtarze, miasta i pola spalone. Musimy to znosić, kiedy nieprzyjaciel doświadczył klęsk daleko jeszcze cięższych. Albowiem jak oni naszych, tak nasi wyglądali ich kiedyś z Połocka, Smoleńska i Inflant, jak ich miecz przelewał krew braci naszych, tak i my ich krwią częstośmy się obryzgiwali.“ Jak wiernie podał tę mowę Oderborn w swojéj kronice, to inne pytanie, ale mimo to sam wypadek nie podlega żadnéj wątpliwości. Car miał potrzebę porozumieć się z narodem, ukrzepić się jego wiarą i siłą.

To mamy trzy wieści o soborach za Iwana Groźnego, jest ślad nie jasny i o czwartym w opisie archivum carskiego (akta expedycyi archeograficznéj T. I. str. 349) jest ustęp odnoszący się do skrzynki 191éj „a w niéj ukaz, jak car przyjechał ze Słobody, o opryczniki i spis naczyń srebrnych, które oddano na ziemskie; glejt dla Jana Janowicza do Litwy i zapis doręczny Dowojnów i „opisy siedzenia gosudarskiego o wszelkim ziemskim ukazie.“ Wiadomość ta pochodzi ze stycznia 1568.

Przeciwnicy tego widzenia rzeczy mogą powiedzieć, uważa ciągle pan Aksaków, że zwołanie soboru ziemskiego, nie miało żadnego znaczenia, że było po prostu

kaprysem władzy. To raz dobrze, ale nie drugi, nie trzeci raz. Zresztą wkazać można w historyi na ciągły szereg soborów ziemskich, przez wiek cały aż do Piotra I. Mówią, że za Teodora syna Iwanowego, za Borysa Godunowa soborów nie było. Prawda, za Fedora, czyli raczéj za Godunowa, bo ten ciągle rządził nim nawet został carem, niema wzmianki w latopisach o żadnych soborach. A jednak za tegoż samego Fedora są inne wskazówki które pokazują że sobory nie zależały od kaprysu, że przechodziły w życie narodowe, że były zasadą. Bojarowie moskiewscy przy układach z Polakami, względem wyboru na tron Fedora, odpowiedzieli tak na wniosek posła Haraburdy, żeby Polska z Moskwą zawarła wieczny pokój: „sprawa to ważna dla całego chrześciaństwa, hosudarowi naszemu trzeba naradzać się o tém z całą ziemią, naprzód z metropolitą i z całym oświeconym soborem (oczywiście tutaj mowa o soborze duchownym, biskupim), a potém z bojarami i z wszystkiemi dumnemi ludźmi, ze wszystkiemi wojewodami i z całą ziemią; na taką radę zjeżdżać się potrzeba będzie z odległych miejsc itd.“ Przypuśćmy, że tak tłumaczyła się przed Haraburdą, prosta odmowa, sam ten pozór jakiego tutaj używają Moskale, daje tutaj świadectwo historyi; ludzie tłumaczą się tém co być może, a co znaczy wymówka oparta na samych nieprawdopodobieństwach? Polacy wprawdzie odpowiedzieli na to, że w Moskwie wszystkiém jest car z bojarami i że ziemi nic do tego. Ale jest to tylko proste przeoczenie faktu, nasi wolność pojmowali po swojemu. Nieszło tutaj carowi o pozwolenie ziemi na pokój, ale o poradzenie się jéj co myśli w sprawie pokoju wiecznego z Polską? Zresztą głos ziemi zaraz całą moc swoją pokazał przy wyborze na tron Borysa; dyplomat elekcyjny podpisali wtedy „wybornyje ludi“, to jest deputowani wszystkich stanów w państwie. Przy następném wstąpieniu na tron Wasila Szujskiego,

wyraża się już jawnie, uroczyście żądanie ogólne, żeby na przyszłych elekcyach carskich, jeżeli kiedy wypadną, cara wybierała cała ziemia i ztąd Szujskiego nie uważają nawet niektórzy ze spółczesnych za prawego cara, gdy obrała go fakcya ta co zruciła Dymitra Samozwańca; obrała go na gorąco, nie pytając się ziemi, wybrano go tylko w Moskwie. Przypomnijmy jeszcze sobie, że prowadził się wówczas latopis urzędowy spraw państwa, że patryarcha Hermogen groził narodowi zapisać czyny swawolne jego w ten latopis, jeżeli nie przestanie swych buntów i knowań przeciw Szujskiemu. Wreszcie w czasie bezkrólewia po zruceniu z tronu Szujskiego, którego nikt nie żałował, pierwiastek radny soborny działa sam jeden wyłącznie. Miasta znoszą się z sobą, cała ziemia w radach, wieczach, sejmowaniach. Ziemia cała wybiera na tron Władysława Królewicza i posyła o to do Zygmunta z prośbami pod Smoleńsk. Polacy żądali po owych posłach aby posłuszni byli rozkazom, które im z Moskwy dawali bojarowie. Posłowie rzekli, że nie są od bojarów tylko, ale od całego soboru biskupów, od wszystkich bojarów, od wszystkich *czynów* i od całéj ziemi i dla tego zdają sprawę ze swoich czynności nietylko jednym bojarom, ale naprzód patryarsze i władzom, a potém dopiero bojarom i całéj ziemi. Kniaź Wasil Galicyn jeden z posłów, powtórnie stanowisko to urzędowe poselstwa sformułował tak: „puścili nas do wielkiego hosudara bić czołem, patryarcha i bojary i wszyscy ludzie hosudarstwa moskiewskiego a nie jedni bojarowie; i w innych gramotach i w nakazie po naszemu (w instrukcyi) i we wszelkich sprawach pisany jest u nas na początku patryarcha i cały oświecony sobor i bojary i wszech czynów wszyscy ludzie hosudarstwa moskiewskiego, a od jednych by bojarów ja Kniaź Wasili nie jechałbym.“ Jestto jasne przecie zeznanie jednego z bojarów. Kiedy cara nie było, ziemia cała w soborze ziemskim przyto-

mna, rządziła sprawami państwa; miała głos. Ziemia cała na sobor zebrana wybrała Carem Michała Romanowa. Jeszcze ów sobor elekcyjny nie rozszedł się, kiedy w instrukcyi posłom do cesarza niemieckiego powiada: nikt w państwie nie myślał wybierać na tron brata cesarskiego, że kniaź Pożarski wniosku tego wcale nie stawił, a jeżeli stawił, nikt go do tego nie upoważniał, „a to wam ludziom z dumy, powiada, można i samym rozważyć, że tak wielka sprawa bez rady całéj ziemi nie dzieje się.“ Bojarstwo nie było nigdy zasadą w Moskwie, nie żyło samodzielnie, chociaż bojar jeden i drugi pojedyńczo wzięty, mógł być znakomitym i zasłużonym. Dosyć przeczytać co prawi latopis pskowski, spółczesny o bojarach, którzy chcieli wbrew woli ziemi całéj wybrać królewicza szwedzkiego, latopis mówi: „nie udał się ich zły sowiet (zamiar) bojarski.“ — potém opisując intrygi bojarskie w początkach rządów Michała dodaje z ubolewaniem: „otóż to takie staranie bojarskie o ziemi ruskiéj.“

Od czasów Michała w istocie trudno zaprzeczyć już całego szeregu soborów mówi Aksaków. Że zaś śladów po nich niewiele, dowodem to jest nikczemności źródeł historycznych Moskwy. O niektórych soborach zachowały się szczegółowe wiadomości, nawet całe protokóły sesyi, o innych krótkie tylko wspomnienia, o innych znowu dowiadujemy się z gramot carskich, które się do nich odnoszą, lub z gramot obcéj im zupełnie treści, ale w których znajdujemy mimo to jasne i pewne wzmianki o soborach chociaż w kilku wierszach. Można tedy z pewnością powiedzieć, że sobory, których nie widać dotąd za Fedora i Borysa, wyszukać się z czasem dadzą, skoro większą massę jak dotąd materyałów historycznych mieć będą przed oczyma badacze nauki.

Fakt nie zbity jest więc, że pierwszy car zwołał pierwszy sobór i że po przesileniu za samozwańców, sobór

przywołał cara. Dwie siły wzajemnie się pociągają. Jedna na drugiéj się opiera. Michał, syn jego i wnuk, trzéj pierwsi carowie z Romanowów, z ochotą zawsze zwołują sobór ile razy tego wymaga potrzeba. Iwan Groźny unosił się po nad soborem, Romanowy zaś ulegają soborowi, niechcąc go obrazić, lubo nie tracą ze swojego samowładztwa, wiedzą że panują z łaski (tak mówi zawsze Aksaków) że trzeba sobie skarbić naród, aby pierwsza lepsza burza ich nie wywróciła. Muszą aplikować w samowładztwie do Piotra, który pierwszy zerwie te obawy jakie na niego mimowolnie wkłada potrzeba zasiągania woli narodowéj. Za Michała znajdują historycy ślady aż dwunastu takich soborów, a mogło ich być daleko więcéj, niektóre z nich trudniły się nawet materyą podatkowania to się znaczy, powoli wkraczały w obręb prawodawczéj władzy. Za cara Aleksego dla ostatecznego zawyrokowania względem kodeksu praw, t. j. *Ułożenija* zwołano sobór ziemski: „Wybornyje“ długo mieszkali w Moskwie i wprawdzie nie obradowali razem, ale podawali zdania swoje, każdy oddzielnie na piśmie, które nazywano terminem moskiewskim, „czełobitjami.“ Nakoniec stanowczo zredagowane *Ułożenije* przeczytano „wybornym ludiom,“ którzy zaraz podpisali się na niem wszyscy dlatego, żeby to całe *ułożenije* było pewne i nieustraszone.“ (Połnoje sobranije zakonow rossyjskoj Imperji, T. 1. str. 2.) Kiedy Ukraina zadniepska poddawała się z Chmielnickim carowi, sprawę tę zdano również na sobor ziemski. Car Fedor Alexiejewicz za krótkiego swojego panowania zwoływał dwa sobory, jeden dla obalenia tak nazwanego *miestniczestwa* składał się tylko z ludzi, służytych t. j. urzędników, bo sprawa nie dotyczyła narodu, drugi zaś dla ważnéj bardzo przyczyny, to jest dla porównania wszech powinności i podatków. O tym soborze jest wiadomość tylko w gramocie do kniazia Borjatyńskiego z r. 1682, w któréj powiedziano, że

sobor się rozpuszcza. Ostatni to sobor ziemski. Piotr wspomniany w gramocie, acz małoletni wspólnie z bratem Iwanem uwalnia go od prac dalszych, gdy Fedor w ciągu soboru umarł. Utwierdzenie Piotra przy władzy musiało również należeć do czynności tego soboru, gdy w niektórych podaniach urzędowych onego czasu wspomina się, że Piotr był wybrany również z całą ziemią. Ukaz ów z r. 1682 brzmi skrócony tak: „Od cara i W. księcia Piotra Aleksiejewicza..... do stolnika naszego i wojewody kniazia Borjatyńskiego. Rozkazaliśmy my wielki hosudar i bojary nasze postanowili: wszystkich miast i powiatowych wszelkich czynów ludzi, którzy według ukazu brata naszego, świętéj pamięci Fedora..... przysłani byli od Moskwy dla urządzenia i porównania wszelkich powinności i podatków, wszystkich rozpuścić do domów." — Daléj dowiadujemy się, że z każdego miejsca wyborczego dwóch posłowało, że ci rozpuszczeni deputaci mają powróciwszy wybierać ludzi do wybierania cła na komorach i innych dochodów itd. Car pisze do Borjatyńskiego, żeby jak deputowani solikamscy, to jest z jego województwa przyjadą na miejsce, wybierali również, wojewoda miał im wszelką dawać pomoc a do wyborów nie mięszać się. Owszem widzimy nowy dowód powagi tych sejmowych reprezentantów. Mogli podawać „pisma czełobitne" (wiemy co to jest) w materyi podatków, w sprawach *mirskich*, to jest świeckich, społecznych; wojewoda ma przesyłać te pisma do Moskwy, a car w kazaniu zaraz odpowiadać im będzie. Niema izby poselskiéj ale jest reprezentacya. Rząd szanuje „wybornych" pozwala im znosić się z obywatelstwem miejscowém, pozwala robić, niezapytanym nawet wnioski, to jest daje inicyatywę, czuje się w obowiązku odpowiadać im, mówi Aksaków.

Były ziemskie sobory powszechne— byłyż i miejscowe prowincyonalne, wojewódzkie?" Pytanie jedno rozwiązuje

drugie. Musiały być obok sejmów i nasze sejmiki. Jeżeliż ziemia cała ma udział w sprawie takiéj, ma udział pewnie rzeczywisty „ludi wybornyje“ sami się nie wybrali, opinii własnéj nie mogli narzucić narodowi, owszem musieli brać od niego instrukcye. Od Iwana Groźnego do Piotra gromadzone często sobory musiały rozlewać życie. Owszem historycy nawet wskazują na ślady sejmików. Ziemski sobór pisze tak do cara Michała i matki jego: „dla wybrania hosudarskiego jechali do Moskwy z miast wszech czynów ludzie, umawiając się w miastach na krzepko, wziąwszy u wszelkich ludzi względem wybrania hosudarskiego zupełną instrukcyą.“

Iwan Groźny miał obok siebie siepaczów, *opryczników*. Otoczył się ludźmi jakiemi chciał i hulał sobie z niemi wesoło. Pan Sołowiew opowiada, że to utworzenie *opryczniny* pokazywało tylko chęć w Iwanie uwolnienia się od bojarstwa, kiedy wszystkich nie mógł, nie odważył się usunąć z dumy, uciekł od nich i otoczył się swojemi, bojarów nienawidził, miał ich w podejrzeniu, tym zaś ufał. Bojarstwo miało za sobą historyą i podania arystokratyczne, powstawało tedy przeciw téj masie niebojarstwa, a ta się zewsząd pchała do służby, gdy przystęp do niéj był tak łatwy. Bojarstwo musiało opierać się carowi broniąc swego stanowiska w państwie i broniąc się osobiście przeciw napływającéj demokracyi. Na to odpowiada Aksaków tak popierając wywód o soborze ziemskim.

Iwan, powiada, musiał wszystkiemu dać formę, miejsce. Mając przed sobą dwie zasady, każdą oddzielnie bytującą, t. j. państwo i ziemię, powziął myśl pokłócić je z sobą. Państwo miało mu bezwarunkowo ulegać, nie miało myśleć i sądzić, nie powinno było wiązać się z ziemią, posiadać jakie tradycye; car chciał sług, niewolników w państwie. *Oprycznina* była tedy próbą, sam car nazywa ją wzorem. Doświadczał na ciele narodowém

jak mu się uda panować, na jak obszerną może rachować władzę. Państwo miało naprzeciw siebie ziemię, ale z nią nie miało żadnych wspólnych interesów, było zuchwałe, nie poskromione, nie hamujące się niczém. Taką tylko władzę pojmował Iwan, taka mu była ideałem despotycznego kapłaństwa. W praktyce, rozdział państwa od ziemi niemógł się mocno zakreślić; powołaż do władzy Iwan bojarów, arystokracyą, któréj nie ufa, którą nienawidzi? Zostawił przy ziemstwie osobny rząd i bojary nazwał ziemskiemi. — W praktyce tedy nie mogła się urzeczywistnić myśl carska, ale urzeczywistniła się przynajmniéj w samych nazwiskach *oprycznmy* i *ziemszczyny* (ziemstwa). Na ziemię Iwan się nie gniewał, opricznina była jego ideałem, marzeniem, była skarbem jedynym człowieka, wskroś przejętego fanatycznem religijném pojęciem o samowładztwie na ziemi. Że to było marzenie jego, Iwan myśl tę wcielając w czyn mianowicie w stosunku swoim do bojarów, w rzeczywistości uznawał ziemię, jakoż w r. 1565 ustanowiwszy opryczninę, w r. 1566 zwoływał ziemię na sobór. Carowi temu nie godziło się nawet mieszkać w Moskwie, wybrał tedy sobie nową rezydencyą, w którejby nic nie mogło ograniczać jego samowładnéj woli, przenosi się tedy z opryczniną swoją do Słobody aleksandrowskiéj. Słoboda była także próbą. Wtoren syn Iwana łagodny, spokojny Fedor nie korzystał z owych prób i opricznina przepadła, znikła. Moskwa znowu została stolicą, car był znowu i ciągle z ziemią.

Iwan zabijał osoby, ale nie tykał bytu, ani ustanowień, instytucyj narodowych. Pozwalał na to, aby głos ludu dawał się słyszeć w sprawach politycznych. Kiedy się wściekał, nie milczał naród a owszem wymyślał carowi. Carowi się zdało, że zewsząd około niego stoją zdrajcy, że knują się ciągle spiski, stracił zupełnie przytomność, stał się brudnym tchórzem. Prawda, że nie był

nigdy Achillesem, ale też i bojaźliwość jego w drugiéj połowie panowania wszelkie przeszła granice. Skutek to był wyuzdanego despotyzmu i nieufności tak niezasłużonéj względem poddanych. Dumny, zuchwały wpośród pomyślności, nie mógł utrzymać swojéj powagi i majestatu, kiedy szczęście chociaż cokolwiek zaczynało się od niego odwracać. Dzisiaj dumnie prawił do bana krymskiego, a jutro „bił mu czołem,“ niechciał Batorego nazywać bratem ale sąsiadem, a potém najnikczemniéj błagał i prosił o pokój. Zamordował własną ręką syna za to, że mówił mu o potrzebie odsieczy dla Pskowa.

Rzecz godna uwagi, że był jeden z następnych po Iwanie carów, co żywił dla niego szczególniejszy szacunek. Mówimy o Piotrze W. o tym zuchwałym carze, który tak samo zadarł ze swoją to jest spółczesną sobie przeszłością Moskwy, jak Iwan Groźny zadarł ze swoją, i który rozpuścił ostatni sobór ziemski, żeby już nie zwoływać go więcéj. Piotr był despotą ponad despoty, bo znalazł jeszcze wśród zupełnie pokornéj Moskwy sposób powiększenia swéj carskiéj władzy. Nie dlatego Piotr cenił Iwana, że obadwaj chcieli w państwie swojém zaszczepić oświatę, że obadwaj mieli ochotę na Inflanty. Spółczucie to leży głębiéj: był to pociąg ku sobie wzajemny dwóch jednakowych zupełnie osobistości. Były tam różnice, ale w gruncie charakter Iwana i Piotra z jednéj są ulepione gliny. Wskażemy na jedno tylko podobieństwo. —

Iwan nagle namyśliwszy się mianował wychodźcę tatarskiego, Simeona Bekbułatowicza monarchą „wszej Rosyi“ i nadał mu tytuł wielkiego księcia, sam zaś przezwał się Iwanem moskiewskim i chodził sobie, jako prosty „dworianin.“ Latopis fakt ten dziwny, co wyraźnie charakteryzuje barbarzyństwo tak opisał: „Tegoż czasu car Iwan Wasiljewicz pozwolił i posadził carem na Moskwie Simeona Bekbułatowicza i carską koroną go wień-

czył, a sam się nazwał Iwanem moskiewskim, wyszedł z miasta, siedział na Piotrówce i cały swój urząd (czyn) carski oddał Symeonowi, a sam jeździł po prostu, jak bojar, w hołoblach i jak bywało przyjedzie do cara Symeona, usiada od carskiego miejsca daleko, razem z bojarami.“ Ale Iwan nie rzucił władzy, na takie bohatyrstwo nigdyby się nie zdobył władzca zupełnie mongolskiego pokroju. Iwan zjął z siebie tylko odzież carską, ale był panem samowładnym swojego narodu jak i wprzódy, bawił się zupełnie na sposób wschodni, inaczéj bawić się nie umiał. Chciał też oglądać sam, jak inny wygląda w jego majestacie. Biedny Symeon był jako mysz w pazurach lwa, jeżeli nam wolno tutaj użyć cokolwiek trywialnego może porównania, ale które za to rzecz dobrze maluje.

Toż samo zrobił i dziki Piotr Aleksiejewicz. Wybrał sobie za cel zabawy, kniazia Romodanowskiego; oddał mu dostojność carską i wszelkie pozory władzy, nazwał go wyszukanym już, więcéj erudycyą pachnącym tytułem „Kesara,“ to jest cesarza, cara, i mówił zawsze do niego z wielkiém uszanowaniem „wasze wieliczestwo,“ to jest po naszemu niby „najjaśniejszy panie.“ Prawdziwy car wystrugał sobie z Romodanowskiego lalkę wspaniałą, świetną, błyskotliwą, ale sam piastował władzę. Niepewna u historyków, czy Piotr wiedział o carze Symeonie Bekbułatowiczu. Jeżeli nie wiedział, tém lepiéj; nie było tutaj żadnego naśladownictwa, a owszem widzimy dwa jednakowe fakta, w dwóch różnych czasach nie tylko jednéj natury, ale zupełnie też same; duch państwa mongolski wyraźnie z nich przegląda. Iwan i Piotr są to dwa wcielenia się nieograniczonéj, czystéj władzy, która odrzuciła cały blask i okazałość, wszystkie swoje oznaki znikome, jakie się dostały w podziale Symeonowi i Romodanowskiemu; przed temi cieniami staje władza bez majestatu, bez korony i purpury, niby to pokorn ,

a wszech potężna tak, jaka jest władza na stepach, u narodów na pół dzikich. Wiadoma rzecz także z historyi, że Piotr różne przybierał nazwiska, ażeby to niby nie pokazywać się carem. Był to Piotr Aleksiejew, Piotr Szkiper, kapitan siemionowskiego czy preobrażeńskiego pułku itd.

Odkrycia p. Aksakowa w historyi Moskwy są nadzwyczaj oryginalne, a co więcéj narodowe. Tak narodowe, bo Moskwa ma wszystko swoje narodowe, nawet historyą. W Moskwie naród stepów, fińsko-mongolski, skąpany cokolwiek w cywilizacyi europejskiéj, wszystko kieruje do swoich ambicyj politycznych, sama nauka jest dla niego środkiem dla dowodzenia kłamstwa, dla przekonywania Europy; o Polskę tutaj nie idzie, Moskwa panuje nad nią, więc słowa wolnego i obrony jéj nie dopuści u siebie, a za granicą głos Polski zakrzyczy. Naród, który nic w sobie nie miał słowiańskiego, który wyzwoliwszy się z pod jarzma Mongołów w końcu XV wieku, dopiero wtenczas zaczął robić pierwsze swoje podboje w Słowiańszczyźnie, który wtenczas zniszczył udzielność starych Rzpltych słowiańskich Nowogrodu i Pskowa środkami jakiemi w dzisiejszych czasach nękano narodowość polską, a od Litwy oderwał książąt Siewierskich; naród, który na skutek ukazu Iwana III przezwał się wtenczas ruskim, bo Kijów, Wołyń itd. nazywały się Rusią skutkiem podboju waregskiego w IX wieku, naród ten zawsze wszędzie kłamstwem popierał ambicyą. Z Rusi improwizowanéj na Moskwie w XV wieku powstała Rosya, dzisiejsze cesarstwo rosyjskie, chociaż to zawsze cesarstwo moskiewskie; nazwisko nic nie znaczy, bo nazywać się każdy może jak zechce. Rosya to żyła ciągle aż do naszego wieku. Karamzin jeszcze pisał „historya gosudarstwa rosyjskaho.“ Spytać się dzisiaj Moskali, już to nie rosyanie, jak się zwali właśnie sami od Piotra, ale „Rusini, russkije ludi,“ jak sami

się nazywają, lub po prostu „ruskije.“ Dzisiaj już nie pisze Moskwa dziejów Rosyi ale Rusi. Dlaczego ta nowa zmiana? Bo historyk moskiewski Ustryałów odkrył to, co Polska wiedziała w XV i XVIII wieku czego nie zapierała się przed Europą, bo zapierać się czego nie miała, że w naszéj Rzpltéj były trzy narodowości, polska, litewska i ruska. Łatwiéj Moskwie starać się o całą Ruś, nawet Czerwoną, galicyjską, kiedy sama będzie Rusią. Toć to jest, czém Europie, Moskwa dzisiaj w Rosyę przerobiona imponuje: imionami, nazwiskami, sama jest La Grande Russie, a są jeszcze różne Russie, la Petite, la Rouge, la Noire la Blanche Russie itd. Przywiedziemy tutaj dla osobliwości wyznanie *znakomitego* historyka *Rusi*, człowieka który dla Polski ma niby serce, bo chciałby jak to z pewnego źródła wiemy, widzieć ją całą niepodległą w granicach języka polskiego, choćby się przyszło o to pogniewać z Niemcami. Pan Pogodin w listach swoich do ministra oświecenia Suwarowa pisanych po długiéj podróży jaką odbywał w r. 1839—43 po słowiańszczyznie, cudne odkrywa nam rzeczy; listy te dla przestrogi Europy wydrukowała „Ruskaja Biesieda w roku 1859.“ tom I. P. Pogodin tak np. pisze o Galicyi:

„Galicya nietylko ziemia słowiańska, ale czysto *ruska* (ma się rozumieć tak samo ruska jak Moskwa), oprócz zachodniéj części, jestto dalszy ciąg naszéj Mało-rosyi z jéj mową, wiarą, obyczajami; Polacy mieszkają tylko po miastach.“ (!!!Smies, czyli Rozmaitości, str. 541.)

W inném miejscu pisze p. Pogodin:

„Do Rosyi *prawie według prawa* należy Galicya, jaka zamieszkała przez samych czystych Rusinów (takich samych naturalnie znowu jak w Moskwie), wyznawców greckich, którzy przywiązani są do prawosławia jeszcze więcéj aniżeli ruscy unici, których dziś już niema, (a w myśli podaje p. Pogodin „dzięki Opatrzności.“) (tamże str. 61.)

W kilku miejscach daléj utrzymuje p. Pogodin, że rusini galicyjscy są to bracia Moskwy bo noszą jedno z nią imie, mówią *jednym z nią językiem, wyznają naszę wiarę(!!!)*, mają jednę „z nami“ historyę — (str. 64) i głównie unici, to więc dlatego poleca działać na Rusinów. Listy p. Pogodina są dokumentem, które więcéj nauczą Europę czém jest dzisiejsza Rosya, aniżeli najuczeńsze wywody.— Wytłumaczyć je warto przynajmniéj na język polski dla nauki, dla dobra ogólnego Europy.

W narodzie Pogodinów, władza carska rozstrzyga nawet samo zagadnienie naukowe. Kłócili się uczeni o tak nazwane tysiąco-lecie Rosyi. Moskwa chce koniecznie uchodzić za starszą aniżeli jest w istocie, ma w tém swoje widoki. Otóż datę zawojowania Nowogrodu przez Waregów uważa za początek, za pierwsze słowo swojéj historyi, chociaż historya ta właściwie zaczyna się w XII wieku w Suzdalu, w krajach zaleskich, jakeśmy powiedzieli, to jest o trzysta lat późniéj. Tysiącolecie Moskwy obchodzić będzie można w XXII wieku ale Moskwa je dzisiaj woli obchodzić, bo chce być Rusią, jak nateraz. Niewiadomo, czém być zechce za lat kilkanaście. Niemiec Krug, członek petersburgskiéj akademii nauk, patryota moskiewski, gorliwy, bo niemiec jest zawsze najlepszym patryotą w Moskwie, uważał, że w Nestorze można odkryć dwie daty na to opanowanie Nowogrodu przez Waregów; jedna podaje rok 852, druga rok 862. Nestor gdzieś się pomylił i ztąd pokazały się te dwie daty. Krug uważał, że niema czém sprawdzić, która z nich prawdziwa, a kiedy tak, z dumą patryotycznie zawołał, że niema powodu rok 862 uważać za stanowczy jak go dotąd uważały całe pokolenia, ale że można rok 852 przyjąć za datę zdobycia Nowogrodu, za początek Rusi. To jest, chciał Krug zrobić dzisiejsze cesarstwo rosyjskie starszém o lat 10. Podobało się to patryotom, daléj w naukowe spory. Namiętności zwolenników dawnéj

a uczonéj daty tak się rozogniły, że aż cesarz Mikołaj przeląkł się na swoim tronie i wydał ukaz, że początek Rosyi ma być w r. 862 nie w r. 852 to jest rozstrzygnął doraźnym wszechwładnym swoim wyrokiem spór czysto naukowy. I Moskwa dzisiaj popełnia dlatego najochydniejsze kłamstwa, fałszuje historyą, jak do tego nawykła.

W narodzie takim każdy uczony jest bardzo niebezpieczny, równie Kostomarów jak Aksaków. Kostomarów tyle sławny dzisiaj z powodu sporu uczonego, jaki miał z Pogodinem o początku Rusi, nie Waregom ale Litwie, Żmudzi, przyznał zdobycie Nowogrodu i założenie Rusi. Kostomarów wołał: „Litwa a Ruś, wszystko to jedno.“ Nie wołał jednak w tymże duchu, w jakim my mielibyśmy prawo tak zawołać, nie w témże samém rozwinieniu, w jakiém Ruś i Litwę pojmował znakomity prawdziwie a mało dotąd w narodzie naszym znany i oceniany uczony profesor paryzki, Duchiński. Myśl Kostomarowa była zupełnie inna: profesor petersburgski wołał: „Litwa a Moskwa wszystko to jedno.“ Téj nowéj garstce uczonych moskiewskich, co się popisuje z ideami Kostomarowskiemi, i w ogóle liberalnemi nie idzie o prawdę, ale o namiętność, o politykę. Nikt nam np. nie wytłumaczy, by p. Kostomarów nie rozumiał lepiéj stosunku Polski do Rusi, aniżeli to wykazał w namiętnych swoich sporach z Padalicą. Wszystko co Ruś ma trącącego cywilizacyą ma to z Polski. Ale historycy ducha moskiewskiego, chociaż rusini, do ostateczności dochodzą, kiedy mają zamiar szkalować Polskę. Nie widzą tego, jak Moskwa postąpiła sobie z Rusią zadnieprską w całéj wolności polskiéj, świetną, bohatyrskiemi wspomnieniami, które wzięła od Chmielnickiego. Markiewicz jeden z takich historyków Małéj Rusi, w niebo głosy krzyczy, kiedy żołnierz polski pobije przypadkiem chłopa na Ukrainie w karczemnéj sprawie, po pijanemu, a błogosławi

carów za każdą razą, jak znoszą wolności zadnieprskiéj Ukrainy. Pan Markiewicz uważa, że to wszystko jest dobroczynne i wielkie, co robią carowie, bo *jednolicą państwo*. Niby jest co wspólnego pomiędzy Rusią a Moskwą! Wracamy do przedmiotu.

Odkrycie p. Aksakowa o soborze ziemskim w Moskwie za Iwana Groźnego, nowe to mistyfikacye uznane przed sobą, przed Europą. Każą nam teraz wierzyć, że w Moskwie XVI wieku było coś z europejskiéj cywilizacyi, coś z prawa reprezentacyjnego. Ta władza, która wszelką niepodległość ducha dusiła najokropniejszemi środkami, ta władza, która nie mogła znieść cienia nawet wolności, miała pozwalać na sejmy, na wolny głos ziemi? A zkądże myśl o sejmach wyrobić się mogła u Moskwy, co żyła w najokropniejszéj niewoli? Tośże wielki kniaź Wasil pradziadek Groźnego, dysputował o wierze z jednym z najuczeńszych teologów kardynałem Izydorem, który z Florencyi przyjechał szczepić na Moskwie unię religijną i latopisy moskiewskie z tryumfem dodają, że kniaź pokonał teologa. Tośże sam Iwan Groźny wierzył i wierzyć kazał, że pochodzi w prostéj linii od cesarza rzymskiego Augusta i że świetnością rodu nikt się z nim z królów nierówna w Europie. Iwan Groźny był także znakomitym teologiem, bo przekonywał w materyach religijnych uczonego jezuitę Possewina. Ta wolność moskiewska, którą odkrył Aksaków, należy do tegoż samego rodzaju odkryć naukowych, jak odkrycie Karamzina, który pierwszy z dobrą wolą i spokojném sumieniem dla polityki fałszował hisctryą Moskwy, jak odkrycie Ustrjałowa, który znalazł Ruś w Rzpltéj polskiéj; jak odkrycie Kostomarowa że Litwa a Moskwa wszystko to jedno. Ta wolność moskiewska, to sejmowanie podobne być bardzo musiało do cara Symeona Bekbułatowicza i do cara Cesara Romodanowskiego, do owéj dumy bojarów, któréj car się radził czasami. I było tak. Rękojmi żadnéj to

sejmowanie moskiewskie nie miało, że będzie naprawdę sejmowaniem. Car, co tysiące ludzi niewinnych zabijał przez swawolę, dla dogodzenia swojéj zemście, chuci lub samowładztwu, nie mógł rządzić razem z soborem ziemskim. Car, który nawet w cerkwi był samowładny, jak nikt w świecie nawet sułtan nie jest, bo metropolitom swoim odbierał to, co niezmazalne, nieodwołalne jest, samą godność biskupią, taki car zwoływał sobie sobór dla tego chyba, żeby nadręczyć swoich poddanych. Mógł sobór ziemski rozwinąć się pod wpływem Polski za epoki od Dymitra Samozwańca do Michała Romanowa, ale nie wcześniéj, nie późniéj. Moskwa nie żyje za murami, dawniéj od Polski mogła przejmować idee, dzisiaj bierze nie jednę bezpośrednio z Europy, bo panuje nad Polską, cywilizuje się dzisiaj, cywilizowała się i dawniéj, ale car Aleksy zniósł z patryarchostwa Nikona, to jest odważył się na samego papieża moskiewskiego, tj. na pół monarchę swojego państwa, a czémże dla niego mógł być sobór ziemski?

Nauka więc nie uwierzy w odkrycie Aksakowa, ale uwierzył w nie polityczny dzisiejszy rozum moskiewski. W sprawie, która dzisiaj tak żywo Rosyą obchodzi, to jest w sprawie słowiańskiéj, komitety gubernialne odwoływały się już do soboru ziemskiego dowodząc, że na zasadzie praw dawnych sobór, nie cesarz może stanowić o stosunku włościan do właścicieli ziemskich. Władza carska zaprowadziła niewolę przez ukaz, ale naród tego nie uznał w soborze; dzisiaj kiedy wraca legalność unia i sobór powrócą jako władza los włościan polepszyć. Nie szlachta moskiewska, ale car zaprowadził niewolę ludu, ztąd ze szlachty potrzeba zdjąć plamę. Na tych podstawach zredagowana była prośba do tronu z komitetu petersburskiego przez marszałka Płatonowa. Widzimy, jak wszystko w Moskwie rozwija się prędko. Jeden

wymyślił, drugi uwierzył i jużci jest nowa zasada życia politycznego.

Aksaków nie ukrywa się nawet ze swoją myślą, dla czego odkrył te mniemane sobory ziemskie, ale u niego wszystkie wywody pokryte są miłością, barwą nauki. O skutkach niby nowego położenia Moskwy, w skutku ziemskich soborów gromadzenia się tak mówi Aksaków: Zaledwie Rosya się skleiła w jedno państwo, a już obraca wzrok swój na morze Czarne i Baltyckie, zwężając pobrzeże. Rosya XVI wieku czuje, że musi owładnąć Krymem i „ruskie“ półki wkraczają na półwysep. Ztąd to i kłótnie Iwana z bojary; woleli nadbrzeże Czarnomorskie, bo na Baltyku potrzeba było toczyć bój z państwami chrześciańskiemi, a bojarowie nie umieli tego, ale Iwan dobijał się gwałtem Inflant i brzegów morza Baltyckiego. Kto był sprawiedliwszy.“ trudno to powiedzieć. Otóż jak na dłoni myśl politycznych historyków dzisiejszéj Rosyi. Bojarowie mieli wstyd wojować z chrześcianami, ale nie car, który musiał być tém, czém się wyrobił przez wieki, car, to była Moskwa wcielona, nie bojarowie, a pan Aksaków nie widzi jeszcze kto był z nią sprawiedliwy? Drugie to dla nas znowu odkrycie i uczony autor tak daléj rzecz swoją prowadzi: „Przynajmniéj Iwan późniéj jakby się zgodził ze swojemi bojarami, bo obiecał że spierać się z państwy chrześciańskiemi nie będzie. (Rosya pamiętała dobrze o swoich sprawach, o swoich starych dziejach!!!). Kijów nazywa się ojcowizną cara, w Inflanty patrzy Rosya jak na starożytną własność swoją. I ten pogląd Rosyi XVI wieku, nie można nieuważać za sprawiedliwy. Tak więc Rosya w XVI wieku częścią tych ziem nabyła, jakiemi dziś włada (prijobriela, wyraz techniczny w terminologii moskiewskiéj na oznaczenie zawojowania), częścią zakreśliła sobie granice w téj szerokości w jakiéj znajduje się Rosya XIX wieku.“ Widzimy jak pomyślenia same Moskwy w XVI wieku,

spełniają się za czasów naszych w XIX. Rosya jak i pan Aksaków rozumieją się nawzajem doskonale. Pierwsza nabywa (priobrietajet), drugi pisze apoteozę przemocy i niesprawiedliwości.

Kończy się artykuł p. Aksaków rozumowaniem, że Rosya Iwana Groźnego chciała oświaty. Tak samo jak chciał jéj car Piotr Aleksiejewicz. Szło o to, ażeby cywilizacyą europejską posługiwać się jako narzędziem; dla tego o tyle jéj przypisano doskonałości, o ile pozwalała władza, co druzgotało niezawisłość i godność pojedyńczych ludzi.

Nie powtórzymy już za p. Aksakowem apoteozy krótkiéj soborów ziemskich, które żadnéj roli w życiu moskiewskiém nie odegrały, bo go trzeba wpierw było odgrzebywać w historyi, jak stworzenie przedpotopowe w archiwach geologicznych ziemi. Odkrycie to, jest niepolityczne dla nauki, niema znaczenia ale charakteryzuje Rosyę.

Patrząc na to co się dzieje w oczach naszych, bolejemy sercem. Chcielibyśmy, żeby nauka nasza historyczna zwróciła się ku Rusi, ku badaniom nowym historycznym. Z Polską Piastowską już się dawno skończyło. Osad słowiańskich w znacznéj części już nie odzyskamy, ale u Rusi bije dla nas kwestya życia. Polska Piastów może zajmować ciekawość zacnych archeologów, ale Polska Jagiellonów jest dzisiaj dla nas wszystkiém, téj Polski bronić powinniśmy, bo oto zuchwalstwo, jakiemu mało przykładów, serce nam Polski wydziera. Dla archeologów czas nigdy nie przejdzie, ale dzisiaj jest chwila dla historyków, w których bije serce dla ojczyzny. Siła nasza w Litwie, na Rusi, nie w staréj Polsce, tam bije życie nasze tam wszystko.

Wiśniowiecki.

TRZY MOWY.

MOWA KSIĘDZA PRYMASA
STANISŁAWA KARNKOWSKIEGO
PRZY ROZPOCZĘCIU ELEKCYI
po śmierci Stefana Batorego r. 1587.

(z rękopismu).

Oratio Archiepiscopi Gnesnensis ad initium Conventus Varsaviensis in consessu ordinum Poloniae habita.

Jeżeli był kiedy czas i miejsce Pana Boga o łaskę i błogosławieństwo prosić, ten pewnie taki jest, którego idzie nie tylko o sławę Rzpltej ale też o całość i wolności na wszech. Jeśli Pana obierzemy w zgodzie, w miłości, wielką i wieczną sławę u postronnych narodów otrzymamy, a zdrowie i całość swą zachowamy. Gdzieby też inaczéj padło, czego Panie Boże racz nas zachować, actum est de nobis et de republica nostra. Wyniósł Pan Bóg te koronę i (nad) narody wszytkie, sławną ją uczynił między narody chrześciańskiemi i pogańskiemi, pełni

się w niéj ono, co Dawid o żydowskiéj monarchii śpiewa: *Reges a longe venient. Audi filia et vide et inclina aurem tuam, quia concupivit Rex decorem tuum.* Aża teraz mało do korony dziewosłębów mamy? Słyszemy o zacnym domu Rakuskim, o królewiczu szweckim, o moskiewskim i o inszych, którzy deferunt honorem et gloriam tej koronie. Insze królestwa za takiemi occasiami się szarpają. My siedząc między *trzema sąsiadami* (?) Turek pokój ofiaruje, Tatarzyn się w granicach swych trzyma, Wołoszyn ani się ruszy, *posuit Dominus fines nostros pace et adipe frumenti satiat nos.*

Zazdrości nam tego szczęścia wiele narodów *et beatum dixerunt populum, cui haec sunt.* Słusznie tedy i powinnie za te wszystkie łaski i dobrodziejstwa Panu Bogu dziękować mamy, a przytem Jego świętéj miłości prosić, aby on sam ukazał nam Pana wedle myśli i woli swojéj. O co ja niedostojny kapłan ustawicznie Pana Boga proszę, a W. M. wszem i Rzpltéj z serca winszuję. O rzeczach temu dzisiejszemu aktowi należących mówić będę, to jest o porządku tego nowego Pana którego porządku tu części są. Najprzód:

1) Wysłuchanie posłów cudzoziemskich.
2) Propozycya.
3) Wotowanie tak Ich Mości Panów Rad jako i rycerstwa.
4) Zezwolenie wszystkich na jedno.
5) Mianowanie króla wybranego.
6) Ogłoszenie albo publikacya.

To wszystko suma jest tego zjazdu elekcyej.

Tym aktem i wolnością obierania Pana, podzieliła Ich Mości Pany Rady i wszystkie społem, i niektórego z osobna, jako arcybiskupa, marszałki, pieczętarze, hetmany i insze urzędniki obojga narodu podzieliła i stan rycerski *et omnes ad unum.* Ich Mości Pany Rady wszystkie społem naprzód uczciła, że pierwsze miejsce w téj akcyi

mają a właśnie to, co oczy w ciele, bo on wszystkie pericula, commoda et incommoda naprzód przejrzeć (?) dając i braciéj młodszéj odpowiedać mają. Wszystkie sprawy Rzpltéj o ich się głowie naprzód opierają. Oni napierwéj wotują i bracią młodszą informują. Oni i arcybiskupa i marszałki i pieczętarze i hetmany i urzędniki wszystkie *in auctoritate* mają, oni trzymają *libram et lancem omnium rerum agendarum.*

Toć wszystko W. M. Rzpltéj w moc dała. Mościwi Panowie, raczcież się W. M. poczuwać, co się jéj W. M. w téj akciej powinni, ja uczyć nie chcę, tylko przypominam.

Na Ich Mości zasię pany marszałki z osobna, włożyła straż pokoju pospolitego uczciwość Rad koronnych i posłów cudzoziemskich bezpieczeństwo jednego każdego, a mianowicie tego miejsca, na którem Pana obieramy, bo to jest *locus sacratus et privilegiatus*, którego *violare nefas est.* Niech tu między nami zbroja niechrzęszczy, działa, rusznice, strzelba wszelaka nie ma tu co czynić. Bez porządku trudno byśmy w takiéj gromadzie do jakiéj statecznéj sprawy przystąpić mieli. Byłoby tu jeszcze gorzéj, niżli na konwokaciéj, gdzie niewinnéj krwie przelano nie bez pomsty Pańskiéj. Potrzeba tedy, aby Ich Mości Panowie marszałkowie powinności swéj przestrzegali, nie trzeba o tém kiela namów, tylko konstytucyą gotową wziąć przed siebie.

Ich Mościom Panom hetmanom powierzona straż i obrona granic, jako ich mościom panom pieczętarzom pióro. Arcybiskupowi też niejaką cząstkę przy téj akciej Rzplta udzieliła, to jest *ordinem consilii et progressum electionis*, jako *decreta electionum* obmawiają, proponować, a potem ze zgodą wszystkich obranego pana z kapłańskiem błogosławieństwem mianować. Wczem ja, da Pan Bóg, taką wiarę i cnotę W. Mościom chcę zachować

jakem w przeszłe *interregna* zachował, stojąc przy wolności pospolitéj a przy powszechnéj kupie.

Stan rycerski wielce jest uważon w tym akcie, bo równo z Radami wotuje, a nie więcéj wotum pańskie waży, jeno jako i szlacheckie. A co większa, że ani arcybiskup nominować, ani panowie marszałkowie publikować, ani żadny osobny spółek Pana obierać ma, bez zgody powszechnéj gromady rycerskiego stanu. Od tego stanu Rzplta wielkiéj zgody, miłości i jedności potrzebuje. Nie trudnać rzecz jest propozycyę uczynić, nie trudna wotować, nie trudna rząd i obronę czynić u posłusznych i bacznych. To natrudniejsza tak wielką gromadę i tak rozmaitych narodów i głów do jednego rozumienia przywieść, na jedno się *subjectum* zgodzić, i ono sobie za Pana zwolić. *Hoc opus, hic labor est.* Tu potrzeba wielkiéj łaski pańskiéj, przytem czujności i dowcipu Ich Mości Panów Rad. Trzeba téż, aby się i panowie bracia młodsi do tego przyczyniali. O łaskę bożą potrzeba nam wszystkim pilnie prosić, aby On sam, *per quem reges regnant*, niepraktykując przez nakłonienie serc ludzkich, tego Panem pokazał, którego nam od wieku przejrzał.

Czujność i dowcip Ich Mości Panów Rad tu się ma pokazać, wynajdując rozliczne obyczaje, któremiby się ludzie do zgody nasnadniéj przywieść mogli. Jest świeży przykład domowy. Po śmierci króla Augusta, gdy pod Kamieńcem elekcya była, ten się porządek zachował, że po wysłuchaniu posłów i po propozycyi Ich Mości Panowie Rady *in praesentia* wszystkie rycerstwa w wielkim namiocie wotowali, potém się z Rycerstwem każdy do swojego województwa rozeszli, tam rycerstwo wotowało, a Ich Mości panowie sententias ich tak ucierali żeby było między niemi co namniéj kandydatów zostawało, spisawszy *numerum suffragiorum*, wiele ich w którem województwie za którym kandydatem było, znieśli

je zaś do wielkiego namiotu, tu znów każdemu kandydatowi wysadzono *ex Senatu ternos advocatos*, którzy *rationes* i *conditiones* swoich kandydatów nie dotykając nikogo, przed oczy kładli. I tam wyrozumiawszy, po kim lepsze *argumenta et commoda* były, wolno było każdemu pierwszéj sentenciej odstąpić, bo w takim akcie nie sromota raz, dwa i trzy *mutare sententiam in melius* gdyż tu *non datur bis errare*. Zatém, gdy się wielkie znaki woli bożéj *ex consensu plurium* na jednego kandydata jaśnie pokazowały, była uczyniona pospolita prośba do tych, którzy jeszcze *in diversa sententia* byli. A gdzieby to było nie szło, a rzecz by się była ciągnęła do rozerwania albo rozlania krwie, ostatni u siebie obyczaj zgody chowali, toż i ślepy rozsądek *ex duobus malis minus malum*. Alcć za łaską bożą do tego nie przyszło, i teraz da Pan Bóg nie przyjdzie. Bobyśmy tém jednak *consilia nostra* i zgody spólnéj, na którą się oglądają ludzie postronni, nie prawie zalecili, i Pan Bóg i pan przyszły mógłby to od nas nie z taką wdzięcznością przyjąć, z jakąby przystało, boby rozumiał, że więcéj *propria fortuna*, niżli *judicio et voluntate nostra* panem naszym został. Takich obyczajów Ich Mości na on czas używać raczył, i aby były do jednego rozumienia onę wielką gromadę przewiedły, i teraz Ich M. czynić powinny. Potrzeba się teraz wszystkiemu stanowi rycerskiemu i każdemu z osobna do zgody przyczyniać, znosząc się wzdajem (sic) przez powolne ustępowanie zdania swego jeden drugiemu, w czém widzę dwie rzeczy bywają na przeszkodzie: *diversitas opinionum et diversitas affectuum*, rozróżnienie w opiniach i w affekciech. W opiniach każdy jeden rzeknie, że mnie zda, że ten kandydat ma lepsze qualitates w osobie swéj i większe commoda Rzpltéj przynosi i tak przy zdaniu swojém będzie mocno stać. A drugi téż o swoim kandydacie także powiedać będzie, a ze zda-

nia swego nie będzie chciał ustąpić. Cóż tu czynić? nieprzekładąc rozumienia głowy swéj nad *sensum et consensum omnium vel saltem plurium*, bo w tym akcie nawiętsza mądrość, zgadzać się ze wszystkiemi, by też sam i nalepiéj rozumiał. *Diversitas affectuum* jednemu rozumieniu i wolnéj elekciéj jest wielkim nieprzyjacielem. A pochodzi *vel ex amore sui, vel ex odio alterius*, kiedy kto opatrując priwatę swą takiego pana szuka, z któregoby miał pożytek. Albo też za się, kiedy kto bemu jest nieprzyjacielem i na głosy nieprzyjacielowi będzie *contraria* trzymał, choćby on chciał najlepiéj.

Te są dwie *pestes* jednego zgodnego i powszechnego rozumienia, bo ztąd *schisma* roscie a zatem *interitus* A iż osoba królewska jest *bonum universale omnium*, i prawo obierania jego wszystkim jednako służy, nie może sobie żaden w tym akcie nad drugie więcej przywłaszczać. Żaden sobie pojedynkiem i ku pożytkowi swemu Pana obierać nie ma, jeno ze wszystkiemi i ku pożytkowi wszystkim nie wedle głowy swéj i affektu swego, ale *secundum sensum et consensum communem omnium vel plurium.*

Uchowaj Boże praktyk, uchowaj Boże *dolos*, *fraudes*, bo jeśli sąsiada albo towarzysza w umowie oszukać jest grzech wielki; daleko większy Rzplią wszystkę, *communem patriam*, i Pan Bóg za to zwykł karać srodze, który jest *auctor et protector regnorum*. Teć są *requisita* do zgody wolnéj elekciéj pana i życzył bych tego Rzplt. aby się nich każdy obrachował. Lecz podobno ludzie baczą, że nam tych *requisita* do elekciej wiele niedostaje, i przeto ich wiele jest, którzy wątpią, aby się na tym zjeździe co dobrego stać miało, jedni patrząc na armaty i wojska, mówiąc, że się ten płacz krwią oblać ma; drudzy mówią, że albo żadnego, albo trzech królów obierzem. A biorą ztąd znak, żechmy się na sejmikach, które były po konwokaciéj na trzy części roz-

dzieliły, jedni in toto przyjęli konwokacye, drudzy in parte, trzeci przyjąwszy in parte szanując braci swéj starszéj, którzy na konwokaciéj byli, rozsądku, *de reliquo* czynić nie chcieli, ale to odłożyli tu na to miejsce. Przystąpiło ktemu za się wielkiéj sprawy między Ich Mościami Pany Zborowskiemi a Ich M. Panem Kanclerzem, do któréj sprawy przymięszały się z obu stron wielkie osoby z nie małym orszakiem ludzi. A co nagorsza, każda strona dla obrony swéj obyczajem żołnierskim braciéj naszéj naprzymowała, i z niemi tu przyjechali a podobno i z cudzoziemcy. Z tych tedy przyczyn wiele ludzi zwątpiło, abyśmy tu co dobrego i pociesznego sprawić mieli. Cóż tedy czynić? toby moją radą było, abyśmy w tém przodków swych naśladowali; co oni w takich potrzebach i pod takiemi czasy czynili. Między wielkiemi Polaki a między Damaratem Jeneralem po Lojzie były wielkie supki, mali Polacy dwakroć słali posly rozumując je. Toż i teraz W. M. raczcie uczynić, gdyż tu na tém miejscu non representative sed vere wszystka Rzplta prawie jest, *interponat Senatus et omnes ordines auctoritatem suam*, aby każdy z tych stron sprawiedliwości swéj prawem dochodził. A jeśli któréj stronie czego potrzeba, niechaj tego *suis viis* u Rzpltéj szuka. A tymczasem *deponant arma*, niechaj w pośrodek nasz przychodzą *non tamquam milites, sed tamquam cives*, jedna strona drugą *nec verbo nec facto laedet*. Mam ja tę nadzieję w rodzonéj cnocie polskiéj że żadna strona nieprzeciwi się *auctoritati Senatus et omnium ordinum utriusque gentis*. Bywało i to M. Panowie przy królach Paniech naszych, że panowie posłowie ziemscy, kiedy widzieli jakie niezgody między radami, prosili i upominali, aby Ich Mości składali *offensiones suas* na ten czas przynajmniéj, kiedy do rady chodzą. A czemuby teraz będąc w gromadzie wszyscy, niemamy tych napomnieć i prosić, którzyby jakie nielubości ku

sobie mieli, aby je *condonarent Rei publ.* a w zgodzie i miłości Rzpltéj o nas i o sobie radzili. Samci już com mógł od ostatniego sejmu walnego w téj mierze pracował, czego mi mogą dać świadectwo z niektórych i M. Panów Rad, którzy się też ze mną po społu o to starali, i na konwokaciéj wiele się czasu tą pacyfikacyą strawiło. Aleśmy nie byli tak fortunni, żeby się to było przez nas do zgody przywieść mogło. Już tego aktu nie przyjdzie nikomu inszemu skończyć, jedno W. M. którzy się tu pleno numero ze wszystkiéj Rzplt. zgromadzić raczyli, *ut liberetis Rem publ. hoc metu.*

Tak za łaską bożą *pacatis animis* dalszy postępek ku elekciéj uczynimy, przystąpimy do propozycyej więc do wotowania. Nakoniec zgodziwszy się, do nominaciéj a Pan Bóg nam z łaski swéj błogosławić będzie. Insze rzeczy potrzebne, któreby nam elekcyą zwlec albo przerywać miały, mogłyby się w inszy czas wolniejszy odłożyć, jeśliby się to W. M. zdało. Jakoż wiem, że wiele województw na to zgodziło, bo nam napilniej potrzeba *et ante omnia alia* do elekciej przystąpić. Co ja wszystko przypuszczam na rozsądek W, M. moich Mościwych Panów i braciéj łaskawéj.

MOWA KSIĘDZA PRYMASA
STANISŁAWA KARNKOWSKIEGO
miana
przed elekcyą Zygmunta III r. 1587.

Oratio Rev. D. Archiepiscopi Gnesnensis ad Status Poloniae.

W tem żałosnem osieroceniu Rzpltéj przez śmierć pana naszego króla wiecznéj pamięci godnego, tudzież w zeszłym wieku moim i w zdrowiu bardzo natargnionym, mam to sobie za osobliwą pociechę, że Wści Panów i przyjaciół moich Mościwych na tem miejscu tak poczet widzę, z czego Pan Bóg niechaj pochwalon będzie, który z łaski swéj świętéj serca i myśli Wści ku temu skłonić i sposobić raczył, że Wści będąc ludźmi swobodnemi nie tak na jakie obsilania, jako więc z dobréj woléj swéj raczyliście się wszyscy z dalekich i rozległych od siebie krajów do téj gromady ku obmyślawaniu i opatrowaniu dobrego pospolitego tak ochotnie zbieżeć. Ja biorę ztąd nadzieję, że za takowemi chęciami W. Mści nie tylko ty rzeczy, które się tuż na

konwokaciéj odprawować mają, szczęśliwy początek i skończenie wezmą, ale i do sprawy Rzpltéj dali Pan Bóg na pociechę nam wszystkim wynijdą. I mnieć za prawdę nie co innego przywiodło, żem zdrowie swe bardzo słabe, z którem mi było podobniéj doma zostać, na tym placu między W. Mśćmi stawił, jedno chęć moja dawna ku ojczyzny spólna. Ale widząc po W. Mściach paniech i przyjacielach i braci méj łaskawéj tę ochotę i zgodną powolność ku zatrzymaniu jedności i całości Rzpltéj, tak się wielce cieszę, żeby mi namniéj żal nie było w téj radości i posłudze Rzpltéj, by się jedno potrzebom jéj dogodziło, ostatek życia mego tu położyć, a tą pociechą wiek mój zapieczętować. Ale przystępując do rzeczy, nie trzeba mi się tém przed W. Mściami szerzyć, o co nam pod tym czasem idzie, bo to nikomu nie tajno, że wszyscy do tego celu zmierzamy, to koniec jest i ma być rad naszych, abyśmy na miejsce zmarłego Pana wolnie, zgodnie, spokojnie a prędko Mościwego obrali. A iż do każdego końca przez środki przychodzić potrzeba, teraźniejsza konwokacya na to się zgromadziła, abyśmy de mediis et praeparatoriis Electionis mówili i za pomocą Bożą co pewnego postanowili. Toby tedy najpierwszy wstęp i najprzedniejsze praeparatorium było, abyśmy sami między sobą pokój i bezpieczeństwo wnętrzne domowe opatrzyli, a tak i domów swych bespiecznie odjechać, i na miejscu Elekciej wolnie i swobodnie, jako w wolnéj Rzpltéj radzić i znosić się mogli, bo uchowaj Boże, inaczéj nie mogłaby być wolna Elekcya.

Życzyłbym tego ja narodowi naszemu, żeby się nam o tem domowém bezpieczeństwie frasować nie było potrzeba, a żebyśmy się wszyscy rozumem i poczciwem baczeniem sprawując bez praw i wszelakich obowiązków spokojnie między sobą zachowali, jakoż pewnie téj sławy narodowi żadnemu Polacy przed sobą wziąć

nie dadzą, że się więcéj cnotą przyrodzoną, niżli karnością albo srogością zakonu sprawują, ale Boże daj to, aby się między tą piękną pszenicą i kąkolu nienalazło. Albowiem którakolwiek szczęśliwa doskonała R. była, w któréjby się między dobremi i spokojnemi tacy nienajdowali, którzy częstokroć szkodliwsi nad postronnego nieprzyjaciela bywali. A przypadają podczas i na dobrego człowieka takie affekty, które primos motus zowiemy, żeby więc czasem świątość rozumu przyrodzonego łacno w nim ugasić i do występku przywieść mogły, gdyby go *legum humanarum reverentia* niehamowała. Potrzeba tedy na tym zjeździe confederationem generalem z strony domowego pokoju uczynić, nieprzywodząc tych w wątpliwości, które in particularibus conventibus są uczynione, ale raczéj zniosłszy wszelkie, pogodzić i porównać et in unam formam redigere, któraby in vim perpetuae et universalis legis wszystkie strony koronne *afficeret*, et nietylko nas, ale i potomstwo in eventum podobnych czasów wiązała, gdyż za tą swobodą obierania Pana, którą się cieszymy, cięższe takowe czasy przypadać muszą, a im daléj *adolescit Respublica*, im się daléj wolność szerzy, tém téż *licentia* bardzo rośnie, przeto jéj téż tém pilniéj zabiegać potrzeba i to opatrzyć, aby przeciwko gwałtownikom i swowolnym ludziom nie tylko jedno województwo, ale trzebali i wszystka korona żeby powstała, i toby miał być pierwszy a nieprzestępny stopień od inszych spraw Rzpltéj.

Drugie *praeparatorium* wolnéj Elekciéj bespieczeństwo graniczne postanowić, żebyśmy w zawartéj Rzpltéj nie oglądając się ni na kogo, Pana obrać mogli, boby to wielki impedimentum był wolnéj elekciéj, kiedybyśmy granic rozgrodzonych odbiegli i nieprzyjaciołowi pustkami zostawili. Potrzeba tedy do Turek, do Niemiec, do pomorskiéj ziemie, do Margrabiów i do inszych są-

siad koronnych posłać ludzie baczne, którzy im foedera na pamięć przywiedli i pokój od nich upewnili, i Tatarzyna niezaniedbywać, bo to nieprzyjaciel prędki, a snać mu jeszcze i przeszłego roku upominki do ręku nie przyszły.

Mam tę wiadomość, że téż Ich Mści panowie litewscy widząc periculum in mora, już do Moskwy listy napisali i posłańca obojga państw naznaczyli *ad detinendum hostem* dowiadnąć się, jeśliże Moskwa chce się mieć z nami do traktatów, dla których przez pana naszego zmarłego posłom ich czas *in Junio* jest naznaczony i namby od drugich stron nie trzeba z tém długo mieszkać, póki zima stoi, bo na wiosnę nie wiem, co sobie o kim obiecować mamy. Nihilominus wyprawiwszy posły, trzeba żeby przecie straż na granicach była, a dla gwałtowniejszéj uchowaj Boże przygody, potrzeba nam mieć gotowy obyczaj obrony *saltem* do koronaciéj.

Trzecie *praeparatorium* wolnéj elekciéj czas mianować i postanowić, i na nie się zjechać, a zjechawszy się w jakim porządku na niéj postępować mamy. Przeszłe Elekcye więcéj się szczęściem niżli *consilio* odprawiały. A strzeżmy tego, *ne amplius tentemus Dominum*, niechaj nie będzie jako u barbarów, ale jako w prawéj Rpltéj między ludźmi bacznemi. Mamy obyczaj gotowy w konstytucyach opisany, jako się mamy zjeżdżać na elekcyą, tenby się mógł po nowu przyczyniwszy to, czegoby teraz niniejszych czasów za obyczajmi ludzkiemi Rzplta potrzebowała, czas i miejsce elekciéj Ich Mści Panowie Rady, którym tego prawo pospolite zwierzyło, złożyć będą raczyli. Ale jako do niéj przystąpić, jako się tą powszechną swobodą w czci zarówno a rządnie na onym placu podzielić, jaką varietatą *judiciorum et voluntate* jednać i do zgody prowadzić mamy, abyśmy to za spólnemi opatrzyć mogli, gdyż o tych rzeczach za jakiemsi nieszczęściem nic się pewnego przedtem

postanowić nie mogło, chociażmy byli między inszemi kondycyami nieboszczyka Pana, aby się o to starał, przysięgą obowiązali.

Miewali insze narody i po dziś dzień mają jeszcze rozmaite sposoby *Electionis* zwłaszcza ci, którzy się w jednėm miejscu zjeżdżają. U nas tak wielki poczet ludzi nie z jednego miejsca, ale z wielu prowincyj trudno podobno sposobić do inakszego obyczaju, jedno jakieśmy od starszych wzięli, to jest *per aperta et libera suffragia* opatrzywszy to, aby nie stronami, albo jakiemi udzielnikami, nie osobkami, nie tumultami, ani spólnemi acclamatiami, ale spokojnie bez gwałtu i prywatnego affektu do tego aktu przystępowali. Ostatek Panu Bogu poruczyć, a wierze i cnocie Polakom wrodzonéj, powierzyć, boć ja w Panu Bogu mam nadzieję, że w tém trudności nie będzie, kiedy wszyscy uczynimy *a Jove principium*, kiedy od Pana Boga tę sprawę poczniemy, przykładem owych świętych przodków naszych, którzy gdy jaką ważną sprawę zaczynać mieli, dawali się Panu Bogu z grzechów swoich winnemi, *Sacramenta* najświętszego ożywali, a Pan Bóg dawał im szczęście i zgodę. I tóż kiedy my czynić będziemy a Panu Bogu usprawiedliwiwszy i *simultates* na stronę odłożywszy, zgodne serca przyniesiemy do tego aktu, i nie pojedynkiem każdy sobie, ale wszyscy wszystkiéj Rzpltéj pożytecznego Pana szukać będziemy, zdarzy i fortuni Pan Bóg wszystkie przedsięwzięcia nasze, boć nie siłą, nie radą, nie przemysły ludzkiemi królestwa stoją. Pan Bóg je w ręku swéj trzyma i wedle woli swéj świętéj jemi rządzi, od niego królowie władzę swą biorą, on je sam obiera i daje, a daje takie, jakie sobie ludzie uproszą a zasłużą, on tę miłą ojczyznę naszą z onych ciemności pogańskich wyrwawszy, wiarą swą prawdziwą oświecił, a na miejsce onych po swéj myśli państwo to rządzących dał nam moc stanowić sobie prawa i Pana. On

króla nauczył poddane swe radzić i *in sincera et fideli dilectione* rozkazować. Jego to święta sprawa, że królowie polscy państwa swego przez podanie czapką z ręku kapłańskich, to jest od Jego Miłości Prymasa Arcybiskupa gnieźnieńskiego odbierają, i głowę swą a nie rękę do niego po koronę schylają, że mu tenże kapłan statuta oddaje, miecz przypasuje, przysięgę odbiera, aby nie po swomyślnie, ale jako prawa uczą rozkazował. Pan Bóg wszystkie porządki z kościoła swego do tych naszych krajów zesłać raczył za prośbami onych świętych ludzi, których staraniem na jedność wiary chrześciańskiej i na światłość przywiódł, tenże i teraz będzie raczył na nas wejrzeć, że i Pana zgodnie obrać i téż rząd z kościoła nam podany ojczyznie swéj zatrzymać będziemy mogli, gdy się do niego gorącem a uprzejmem sercem ucieczemy, a odpuściwszy sobie wnętrzne obrażenia, zgodnie we wspólnéj miłości a spólnéj nas wszech dobrem radzie będziemy, przypominając sobie, *qui in caritate manet, in Deo manet et Deus in eo*, a bez Pana Boga trudno się jakiéj pociechy spodziewać. Przetoż i teraz już W. M. wszech jako kapłan proszę a ojciec upominam, żeby każdy z W. M. najboleśniejsze krzywdy swe zapominał, niechajby własne obrażenia spólna ojczyzny miłość okrywała, niechaj będzie ważniejsza własna obietność jednego ku drugiemu, niżeli powinność ku matce mieli, która nas jako syny wychowała, i ile mi Pan dowcipu uraczyć, i ile mi będzie siły w tém zdrowiu ninie odbieżającem stawać, przy W. M. braci swéj pracować nie przestanę, a będąc pasterzem modlitwami i ozwiązami memi ze wszystkiem duchowieństwem Pana nad Pany przejednywać nie zaniechamy. Aby on przebaczywszy nieprawości naszych zgodą i miłością spólną zapalić a zdrowych rad ku dobremu Rzplt. na wszem dodawać raczył. Nakoniec wedle najświętszéj możności mojéj starać się będę, aby na wierze

choć i pilności ni W. M. wszystkim i Rzpltéj spólnéj nic nieschodziło, to sobie nie tylko o każdym z W. M. ale i o téj braciéj, co doma zostali, pewnie obiecuję, że każdy powinności swéj nie zaniecha Rzpltej oddać, która pod takowym czasem każdego kondycya niesie... To mi się na ten czas zdało potrzebne w pośrodek W. M. poddać, aby naprzód, niżeli czas i miejsce elekciej przez Ich Mści Pany Senatory wyżéj pomienione rzeczy, to jest, bespieczeństwo wnętrzne domowe i Ukrainie opatrzone mogło być, druga, aby się téż do elekciej nowego Pana rządnie i spokojnie przystąpić mogło. Jeśliby kto między W. M. okrom tego u siebie co miał, może z miejsca swego przypomnieć. Wszakże coby temu czasowi nienależało, aby włączono nie było. Bo jako wyżéj pomienione rzeczy, albo którą z nich pod tym czasem opuścić miało, i czasby się zwlókł i praktyki postronnie mogliby róść. To natrudniejsza, abyśmy Rzeczpospolitą jako jaką łódkę nie kołysząc ani jéj zbytniem ciężarem obciążając, co naprędzéj do pokojnego a pewnego portu kierowali, póki wiatry przeciwne nie ustaną, któreby ją od bezpiecznego brzega odbić i na jaki szkodliwy pień przywieść mogły.

MOWA ERAZMA CIOŁKA,

Przełożonego Wileńskiego, Najjaśniejszego Księcia Aleksandra W. K. litewskiego sekretarza i posła do Aleksandra VI Papieża z oświadczeniem posłuszeństwa wyprawionego, miana w Rzymie roku pańskiego 1501, we środę, dnia ostatniego marca z dołączeniem odpowiedzi Jego Świętobliwości.

(Z tajnego watykańskiego archiwum, *ex registro originali* An. VIII, arm. XXXII, tom XXI, fol. 38.)

(Przekład z łacińskiego *).

Zbawiciel nasz Jezus Chrystus wiele rozlicznych ustaw boskim swym uchwaliwszy wyrokiem, chciał wrota królestwa niebieskiego jednéj poruczyć osobie, by urząd odźwiernego z całkowitą swobodą sprawowała, i onego

* Tekst łaciński niniejszéj mowy wyjdzie w drugim tomie nieoszacowanego Zbioru O. Augustyna Theinera *Vetera Monumenta Poloniae et Lithuaniae gentiumque finitimarum*, etc. *Typis Vaticanis 1860.*

pierwszego, Pasterzu święty, poprzednika twego obrał, ażeby wszystko cokolwiek zbawiennemi przepisy zastrzeżoném zostało na ziemi ku wiekuistego błogosławieństwa dostąpieniu, potwierdzoném było w niebie mocą jednego i niezachwianém wiernych posłuszeństwem. Świadczą o tém najświętsze Chrystusa wyrazy gdy mówi: Dam tobie klucz królestwa niebieskiego; cokolwiek zwiążesz na ziemi związane będzie w niebie, jako też następne. Które iż są do ciebie wyrzeczone niemasz nikogo, coby wątpił, gdy zakonno i prawowicie stolicę tę świętą osiadłeś i za Opatrzności sprawą słusznie miejsce Piotrowe zajmujesz. Ażebyś przeto otworzył, o najwyższy kluczniku! pukać wypada, a wszelaki hołd uległości od chrześciańskich książąt tobie najprzedniejszemu wiary chrześciańskiéj sprawcy, łaski i litości szafarzowi, sprawiedliwie się należy i codzień nabożnie składany bywa. To też snać dla tego chrześciańska Polska nasza tak się rozwielmożyła i zakwitła, iż to co z konieczności czynić była winna, ze szczeréj i świętobliwéj chęci wykonywać nie omieszkiwała. Jakoż i teraz najjaśniejszy pan mój Aleksander Wielki Książe litewski osobliwém ku téj Stolicy Świętéj zdjęty nabożeństwem i miłością, spełnić to samo przezemnie postanowił.

Miałci wprawdzie dostojnych biskupów, panów w wielkiém księstwie przodkujących, mężów roztropnych i rycerskiemi zaszczyconych znaki, którym mógł urząd ten powierzyć lub jednego z nich przynajmniéj za towarzysza mnie przydać. Ale niespodziany wojny wybuch stanął temu na przekazie, gdyż wśród walnych a różnostronnych niebezpieczeństw walnéj też rady i różnostronnego wodzów potrzebował doświadczenia; i przeto Jego Książęca Mość mnie samopas wyprawił.

Zaiste gdyby nie to, że już miłościwego pana rozkazy już wiernego a pokornego sługi powinność skłaniają mię i naglą, nigdybym się na tak wielkie a srogie

w oczach świata niebezpieczeństwo nie puścił, abym miał sam pośród milczących głos zabierać przed świętobliwości mianowicie Twojéj boskim niemal majestatem i oblicznością, w przesławném wielebnych kardynałów kole, którzy myśl jakkolwiek rzeźwą i dziarską na wzór promiennych słońc oślepiają i blaskiem swéj mądrości porażają, tak iż nowością takiéj powagi zdumiona lęka się i chwieje. Baczę bowiem jako na tém miejscu jeno mężowie dojrzali, celujący radą, wiekiem sędziwi podobny sprawowali urząd; w których ślady gdy się uważniéj wpatruję spostrzegam lichą własnych słów ozdobę, gdy samemu wymowy niedostaje, a poselskiéj godności brak wprawy ujmę czyni, boć to u nas szczęk oręża uczonym wadzi ćwiczeniom. Bym tego grożącego sobie niebezpieczeństwa i błędu a niewiadomości zarzutu bespieczném uszedł czołem, nie widzę innéj rady, jak tylko wezwać pomocy bożéj i twojéj, który Boga na ziemi zastępujesz, litości a przebaczenia.

Obszerne litewskie Księstwo od lat stu i czternastu porzuciwszy pogańskie błędy, wiarę Chrystusową przyjęło, któréj nie cudami nawróceni lecz dobrowolnie prawdę wyznający Litwini się jęli i dotąd statecznie a niezachwianie trzymają, do czci i pomnożenia onéj codziennie się przyczyniając. Świadczą o tém mnogie kościoły suto przyozdobione, biskupie stolice należycie uposażone i przystojnie nadane, takci bowiem dalece w onym krótkim czasie do wiary świętéj przynęceni w serdecznéj miłości i osobliwéj o służbę bożą troskliwości postąpili. Ażeby zaś ziemię samą z położenia i mieszkańców opisu cokolwiek Świętobliwość Twoja zaznał, niech mi wolno będzie to, com w tym przedmiocie ułożył, wyrazić.

Kraj litewski długo i szeroko się rozciąga między wschodem a północą, dziewięcioset milowym obwodem objęty, Sarmacją europejską przedłużający a sławnemu Królestwu Polskiemu ościenny. Cymbryjskiego morza

bałtyckie dzierży nadbrzeże, Dnieprem toż innemi żyznemi się rzeki oblewa, które szerokie nurty własnym popędem ślą ku morzu, niepoślednią rozległych jezior przynosząc wygodę. Ziemię posiada nadmiar rodzajną, pszenicy i wszelkiego zboża okwitość płodzącą, w miód nadto opływa, co z wodą uwarzon zdrowym wino zamieszcza napojem. Złota i srebra wiełość odbiera w zamian za wosk podostatkiem od miodu zostający, i takowy sam jeden między wszystkiemi krajami w dalekie rozsyła okolice. Różnorodnym téż towarem germańskie okrywa morze, za który wino, korzenie i wyborne tkanki snadnie zyskuje. Rzadkich wszelkiego rodzaju skór całemu niemal światu dostarcza; jeleni, żubrów, turów ludzkim użytkom przydatnych znaczną ilość chowa. Pomijam resztę wszystkiego tego, co kraju płodność wdzięcznie szafuje kwoli potrzebom i ozdobie ojczyzny; albowiem jakkolwiek wielebym wyliczył, więcéj by zawsze zamilczeć mi przyszło.

Żywi krom tego mężów odważne plemie równie członków wzrostem i dużością jak wrodzonemi umysłu zdolnościami nadobnie od przyrody udarowanych. Niczyim nigdy prócz księcia swego nie poddali się rozkazom, który acz wielu przemożnych książąt ma sobie podwładnych sam jeden najprzedniejsze miano wielkiego księcia nosić może. Własnym mówią językiem; ale iż Rusini połowę niemal księstwa zamieszkali więc mowa ich jako miększa i łacniejsza w pospolite weszła używanie. Cudzoziemcom z przyrodzonéj ku nim skłonności szczególne względy i przyjaźń świadczą. Nigdy nic przeciwnego sprawiedliwości i uczciwości knować nie byli zdolni, prawdy prostotą jedynie mądrzy i nieposzlakowaną wiarą uzbrojeni.

Lecz niestety! równie jak Turcy krzyża Pańskiego najsroższi wrogowie przez lat wiele a mianowicie w niedawnym czasie królestwa, księstwa, więc inne chrze-

ściańskie państwa spustoszyli i wyludnili, niektóre kraje nędznie ujarzmiwszy: takie też Tatarzy chrześciańskie imie w podobnéj nienawiści mający, w jednęż sektę mahometańską usidleni a niemniéj od tamtych potężni, ucisk ich i szkaradne okrucieństwo do księstwa onego rozciągają. To ostatnie bowiem ma tuż pod bokiem dwóch przemożnych carzyków scytyjskich, jednego mocniejszego za Donem, który sto tysięcy koni w pole wyprowadzić może, a ten opodal nad Azowskiém morzem panuje, drugiego zaś nad Dnieprem pod Kaffą, słabszego wprawdzie ale bliższego, a przeto snadniéj i ustawicznie najeżdżającego pogranicze księstwa; ponieważ zaś z Kaffą do Turka należącą sąsiaduje, więc ilekroć znaczniejsze siły do boju wywieść zamierza, od Turka sobie pomoc wyjednywa, z którym równego łupów działu jako stałéj przestrzega ugody. Od tych to księstwo litewskie srogiemi a gęstemi najazdy uporczywie nawiedzane niemały szwank ponosi; których napaściom aczkolwiek Jego Książęca Mość skwapliwie i o każdym czasie zapobiega przez obsadzenie granic strażą i załogami, rzadko wszakże przychodzi z nimi czynić, albowiem jestci to rodzaj pierzchliwy, w łuk, strzały i dzidę zbrojny, a który wilczym trybem do nocnych nawykły napadów nigdy w bojowym nie występuje szyku. Ilekroć więc Książe Imć z obowiązku czuwania nad bezpieczeństwem Rzeczypospolitéj potężną przeciw niemu gotuje wyprawę i obóz ku ich siedzibom bliżéj pomyka, aliści oni dalej jeszcze ku swym stepowym a bagnistym zmykają kryjówkom. Taką bowiem konie ich rączością, sami zaś taką celują wytrwałością w trudów znoszeniu, iż przestrzeń, którą nasi zaledwie we dwa dni minąć zdołają, tamci jednodziennym przelatują biegiem, ani ich upały, mrozy lub roztopy wstrzymują; sama trawa, jakkolwiek szorstka, koniom ich wystarcza którą te zimową porą z pod najgrubszych śniegów wy-

grzebują kopytem i gdyby świeżą przeżuwają paszę. Konie zaś ustałe, pracą zużyte i sił pozbawione wdzięcznym stają się im pokarmem, a potrawa z ich krwi wyśmienitém jadłem. Samą tylko wodą błotnistą i mętną pragnienie swe gaszą. Na któréj to strawie poprzestając, przez niezmierne one równiny, kędy nic a nic krom nieba i ziemi nie widać, lecą na rabunek, a potém wracają z łupieżą; książęcy zaś żołnierze, którym ani konie ani siły nie dozwalają się narażać na takie niedostatki, skoro ich na pograniczu księstwa wkraczających lub pierzchających porazić nie zdołali, daléj już gonić omieszkują dla długiéj podróży i żywności braku. Gdy tedy dzicz tatarska rokrocznie, owszem, comiesięcznie i bez ustanku księstwo ono trapi, ciągłą i prawie niewygasłą przychodzi z nią toczyć wojnę bez żadnéj pomocy od postronnych chrześciańskich mocarstw. Atoli niedawnemi czasy gdy najjaśniejszy Wielki Książe dowiedział się z listów Świętobliwości Twojéj jako wszyscy chrześciańscy książęta gotują się do jednomyślnéj na srogiego Turczyna wyprawy, radował się wielce, iż porzuciwszy wzajemne swary przedsiębrano nareszcie ku pospolitemu bezpieczeństwu to, co mądra twa przezorność z pasterskiego obowiązku obmyśliła była, gdy ojcowskiém upominaniem całe chrześciaństwo do tak świętego pobudzałeś zawodu. Jest ci bowiem na sercu trzody pańskiéj od wilczego łakomstwa obrona aby on wróg potężny, ktoremu poróżniony i dorywczy, opór przez czas tak długi podołać nie był w stanie, zjednoczonemi teraz siły, pod przywodem Pana Chrystusowym, pokonanym został, i z własnych siedzib wyrugowan tém łacniéj poszedł w rozsypkę, nowy zaś pokój na wieczystą imienia twego chlubę powrócił na ziemię. Jednakiemi względy pobudzon Wielki Książe Jmć zamierzał jednocześnie z chrześcian wyprawą na hana tatarskiego Kaffy sąsiada wszystkiemi uderzyć siły

by Turkowi na odsiecz iść nie mógł. Jakoż dla swobodniejszego działania i rychlejszego skutku zawarł był rozejm z hanem nad Donem koczującym, i od upłynionego roku byłby już rozpoczął wojnę gdyby obłuda i wiarołomstwo moskiewskiego księcia nie odwiodły go były od zamysłu przez zuchwałą i niesprawiedliwą napaść. Pomimo to Wielki Książe Imć chce statecznie wykonać cokolwiek przeciwko Turkom postanowił, skoro obecną z Moskwą zagargę szczęśliwie, dali sprawiedliwy Bóg, ukończy. Dostojne zaś tak cnego księcia pochodzenie pokrótce objaśnię.

Szczyci się on prześwietnym rodowodem z królewskich domów i przemożnych książąt plemienia. Dziad jego, który tém samém księstwem rządził, wyrzekłszy się pogańskich błędów przyjął pierwszy chrześciańską wiarę, i niezwłoczném jakoby skinieniem Bożem królem polskim jest obrany. Witold zaś, brat tegóż, chrztem św. podobnie obdarzon, w sprawowaniu Rzeczypospolitéj przemądry, surowość pobożnością miarkujący, państwem z dziwną sprawiedliwością i przezornością rządził, starając się nie tyle panować ile użytecznym być poddanym. On pierwszy prawa dla nich ustanowił, on liczne ku wiary św. pomnożeniu powznosił świątynie, on mężnym i niezwyciężnym był swego państwa od nieprzyjaciół obrońcą, a cnoty jego i szeroce rozpowszechniona chwała wielkie mu imie u współczesnych zjednały. Tak iż Zygmunt cesarz powziąwszy dokładną o nim wiadomość a samym już państwa ogromem skłonion, zapragnął posłać mu koronę przez umyślnych posłów i ażeby królewskim zajaśniał majestatem, dozwolił: chciał bowiem sprawiedliwy ów książe i prawdziwy August godnie wynagrodzić cnotę jako przykład dla wszystkich. Ale zanim wyprawieni posłowie dotarli do celu swéj podróży przedwczesna śmierć porwała Witolda. Zgasł takoż niedługo brat jego stryjeczny król polski, po

którym nastąpili synowie, Władysław w Polsce a wkrótce i w Węgrzech. Ten za wiarę świętą mężnie się z bisurmany potykając poległ chwalebnie wraz z kardynałem Julianem, wielorakie przedtem i świetne odniosłszy nad wrogiem zwycięstwa. Kazimierz zaś, brat jego, który po zgonie ojcowskim obrany był Wielkim Księciem litewskim, po braterskiém męczeństwie na królestwo jest wyniesion. Jakoż oboje państwo przez lat wiele pomyślnie sprawując, prawe zostawił potomstwo, z których najstarszego za życia na tronie czeskim spokojnie i bez żadnéj zamieszki osadził, a ten i Węgrom dla osobliwych cnót swoich po dziśdzień panuje. Drugiego, imieniem także Kazimierza, młodziana głębokiéj nauki i rzadkich zdolności, dziwną przytém niewinnością ozdobionego, zawistna śmierć, snać szczytniejsze gotując mu losy, za młodu wydarła: który w stolicy księstwa pogrzebion od lat dwudziestu słynie cudami, modły każdego ze swych rodaków własnemi u Boga popierając zasługi, by nikt bez nadziei nie zostawał; jakowe to cuda razem zebrane obszerniéj kiedyś Stolicy świętéj wyłuszczone będą. Młodszego jeszcze brata winienem tu wymienić miłościwego księcia a przewielebnego pana Fryderyka z Bożego miłosierdzia a łaski Twojéj kardynała biskupa, czcigodnego królestwa tego arcypasterza, który jako lśniący słup całéj Sarmacyi duchowieństwo opromienia i w uczciwym stanie pilnemi swemi rządy roztropnie i mądrze zachowuje. Cóż więc dodam o córkach tak nadobnych sąsiednim Niemiec książętom zacnie poślubionych? Takci zaiste najlepszy on ojciec ku osobliwéj swéj rozkoszy wyniesienie własnéj dziatwy oglądać pragnął i zasłużył!

Po ktorego zgonie trzeci syn Jan Albrecht, obecnie najjaśniejszy król polski, niepospolitém celujący doświadczeniem, na stolicę ojcowską spokojnie wstąpił, wielkie zaś księstwo litewskie opuszczając czwartego brata swego

na pana i ojca ojczyzny porządkiem elekcyi za jednomyślną stanów zgodą powołał. Ów to wszelaką przyozdobion cnotą, nie tylko swoim, ale obcym wszystkim stał się wdzięcznym, albowiem dziada nabożeństwem, stryja statkiem w wierze i jéj obroną, rodzica łaskawością i wrodzoną przypomina dobrocią; wielkodusznością zaś i szczodrobliwością onemu Wielkiemu Aleksandrowi Macedońskiemu dorównywa: inne zalety pominę z których jak wielkie imieniu chrześciańskiemu ma urość sławy przymnożenie, bieg gwiazd dostatecznie zwiastuje.

Przeto, najbłogosławieńszy Ojcze, przezacny ten książe ze szczerym i serdecznym afektem powinny hołd złożyć tobie pragnąc, Ciebie za jedynego Jezusa Chrystusa namiestnika i najwyższego chrześciańskiéj wiary pasterza uznaje, któremu niezłomną wierność a rzetelne posłuszeństwo oświadcza i na wieki przyrzeka. Jeśliby zaś omieszkał dopełnić obowiązku, niech odległość miejsca i czasów burzliwość będą mu zwłoki wymówką.

Toż samo czynią wszyscy litewscy tak duchowni jako i świeccy przełożeni, oraz całe to tak ludne państwo, którzy wszyscy jednomyślnie i wszędzie za prawdziwego Cię i prawego Piotra Następcę ogłaszają, toż łasce się twojéj kornie polecają.

Lecz nie chcę zbyt długą mową dostojnych uszu twych trudzić raczéj niż ucieszać, a wiem skądinąd iż wysoka twa, przebłogosławiony Pasterzu, mądrość z samego doświadczenia wszech rzeczy mistrza wszystko om ci przełożył, dokładniéj już poznała wonczas, gdyś kanclerstwo téj Stolicy Świętéj długi czas pomyślnie sprawował, a kwitnące to białego orła gniazdo dzielnieś na tym urzędzie zastępował. Trwaj tedy w jego obronie, a łaski, jakieś wówczas ku przystojności téj przewietnéj rodziny wyjednywał, teraz ze zwykłą dobrocią

z pełności Piotrowéj łódki zlewaj i dobrowolnie szafuj, albowiem wszystko możesz. Rzekłem.

Papież rozwodzisto odpowiedział na powyższą mowę, ¡sławiąc i wynosząc dziwnie dziada, stryja, tudzież ojca całą najjaśniejszego księ cia rodzinę, wielbiąc jego osobiste cnoty i głośno wołając, iż przestronne litewskie księstwo jako téż przesławne królestwa węgierskie i polskie są nadewszystko prawdziwém przedmurzem i najwarowniejszym całego chrześciaństwa szańcem przeciwko mahometańskim napadom. Poczém na każdy ustęp mowy z osobna odpowiadając, dziękował Jego Książęcéj Wysokości we własném i przewielebnych kardynałów imieniu za taką dla Stolicy Świętéj cześć i przywiązanie. Wynurzył się nareszcie z gotowością na wszystko, cokolwiek jemu i jego państwu mogłoby przynieść pożytek. Posła zaś z osobliwéj łaski godnością protonotarjusza tamże własną ręką przyodział.

UKRAINKA,

Dramat w pięciu aktach

Osoby prologu.

Duch Ciemny.
Anioł.
Rusałki.
Włodzimierz.
Bożena.
Jerzy.

Osoby epilogu.

Duch Ciemny.
Anioł.
Rusałki.

Osoby dramatu.

Hrabia Włodzimierz.
Jerzy Zasławski, *przyjaciel jego.*
Wojewoda.

HELENA, *córka wojewody.*
ANNA, *przyjaciołka jéj.*
BOŻENA, *dziewczyna ukraińska.*
SZAMBELAN.
MAKSYM, *brat Bożeny.* }
TYMEŃKO. } kozacy.
IWAN. }
MARSZAŁEK *dworu Włodzimierza.*
DOKTÓR.
KSIĄDZ.
DWORZANIE *Włodzimierza.*
DWORZANIE *Wojewody.*
DWORZANIE I RYCERSTWO, *z Zasławia.*
KOBIETY I DZIECI.
LUD KOZACZY.
PACHOLĘ, RUSAŁKI.

PROLOG.

Scena przedstawia okolicę nad Dnieprem, księżyc świeci, noc cicha, spokojna. W dali na prawéj stronie duży piękny zamek i ogród, w głębi Dniepr płynie.

(Wchodzi *Duch Ciemny*, nagle się niebo zasuwa chmurami, wiatr dziki wyje i Dniepru szum się wzmaga).

OBRAZ PIERWSZY.

DUCH CIEMNY.

Tylu wiekowych bojów, walk i trudów
Przecie ostatnia godzina już bieży!
Ziemia, kolebka i grób wszystkich ludów
Prawie zupełnie już do mnie należy.
W me zdradne sieci całkiem uwikłane
Mniéj więcéj wszystkie kraje i narody,
Nigdzie promyka prawdziwéj swobody,
Dawne świętości nogami zdeptane.

(*tupiąc nogą*)

Tylko tu na téj, na téj polskiéj ziemi,
Gdzie się szlachetność i cnota tak plemi
Tu się daremnie trudzi ma głowa
Ah, gorsza niżli strumień Jordanu,
Niż exorcyzmów płomienne słowa
Niżli ołtarze stawiane Panu,
Jest mi obrzydła ta wiara i cnota
Te poświęcenia i ta wolność złota,
Co bronią posiąść tę skrwawioną ziemię,

Choć bo ja przecie nie bity w ciemię,
Choć tyle wieków swobodnie broję
Tylu zwycięztwy tak silnie stoję,
Tutaj tak trudne zwycięztwo moje.

Brałem na siebie przeróżne stroje
Tatarski buńczuk dzierżyłem w dłoni
Turecki turban miałem na skroni,
Dawniéj, krzyżacki miałem płaszcz biały
Wszystko daremnie. Zawsze odgnały
Mnie pieśni święte, obrazy święte
I na sztandarach krzyże rozpięte
Ducha bożego życie i siła:
Co w każdym tętnie narodu biła.

O źle! nie było rady w tym kraju;
Aż sobie postać tę przypomniałem
Co w młodym świecie, w rozkosznym raju
Przy Ewie pięknéj, niewinnéj miałem.

I w węża zdrady się prześlizgnąłem
W miękkie pierścienie Polskę objąłem,
Słodkiem pochlebstwem kołysząc ducha
Czarne pokusy szepcąc do ucha,
Zdołałem wszczepić jad mój ukryty
W głowę, i serce Rzeczpospolitéj.
Teraz niezgoda, niepokój, wrzawa,
Bliska już wojna domowa krwawa,
O to mi gody, o to mi tany!
Trucizna daléj prędko się szerzy,
I mało kto już dziś w Boga wierzy,
Mało od kogo już kraj kochany,
I mało kto już sam wie co pragnie,
Mało kto w jarzmo karku nie nagnie,
Malo kto rozum zachował zdrowy

A wszędzie ucztą pijane głowy,
Sardanapala biesiady, wrzaski.

Gdzie od godowych sal biją blaski,
Gdzie zamki wielkie gdzie gwarne miasta
Tam zaszczepiona choroba wzrasta
Ale po siołach pomiędzy ludem,
Pracować trzeba podwójnym trudem,
Bo lud ten cicho, a zbożnie żyje,
Źródło miłości żywo w nim bije
I więcéj siły w jego szkaplerzu,
Więcéj mądrości w jego pacierzu,
Niż w filozofii pomysłach śmiałych
I dawnych mędrców księgach zbutwiałych.

(z namysłem)

Jak tu ciemnością przyćmić tę wiarę?..
Jak tu mu błotną fałszu dać czarę?..
Życie od śmierci dzieli się chwilką..
Dobre — od złego — jeden krok tylko...
Fanatyzm z wiarą stoi tak blisko..
Ha! uda mi się jakem szatanem!!!
W świątyni będzie moje siedlisko...
Zostanę na czas jakiś kapłanem,
I będę słowa wymawiał Boże
Nawet tę straszną przecierpię mękę,
Że Hostyą świętą do ust przyłożę
Byle poświęcić zabójcze noże,
Byle ludową uzbroić rękę,
I pchnąć ją z klątwą na piersi bratnie,
A głownie zemsty w onym dniu trwogi,
Rzucę na polskie grody ostatnie,
Aż dym krwi ciepłéj i dym pożogi
Resztę jasności Bożéj zaciemi
I woń tak milą, widok tak błogi,
Rozniesie po téj przeklętéj ziemi.

Jeszcze to nie dziś — choć przecie blisko,
Ha, nim nadejdzie, będę się dalej
Czołgał mą piersią wężową śliską
A kwiat niewieściéj cnoty jad spali,
Szlachetność męzką w podłość zamienię,
Głośnym żądz wrzaskiem ściszę sumienie,
Aż już nie będzie żadnéj istoty
Któréj by duch był przybytkiem cnoty.

Wtedy z pokorą zapytam Ciebie
Co to tak dumnie królujesz w niebie,
Co to, chcesz bym ja ugiął kolana
I raz cię uznał za mego Pana,
Spytam Cię: moje czy Twe zwycięztwo?
I krwią milijonów ku Tobie plunę
I wskażę wielką narodu trunnę
I rzucę Tobie przekleństwo!

OBRAZ DRUGI.

Chmury nikną powoli, nastaje miła uroczysta cisza — wchodzi Anioł.

ANIOŁ.

Witaj mi ziemio, o moja wybrana!
Co dotąd wiernie szłaś ścieszkami Pana
Ty na szablicy i w sercu znamiona
Krzyża nosiłaś. Ziemio ulubiona
Nad Tobą jasna świeci się korona
Królowéj Niebios — nad Tobą gwiazdzisty
Płaszcz rozpostarty Maryi przeczystéj —
Nad Tobą sama cudna Gwiazda Morza
Swieci z błękitu jak przedświtna zorza.
Boś ty Ją sobie obrał za Królową
I byłeś wierny przeanielskiéj Pani

I do poświęceń miałeś pierś gotową
Dla Ojca, Syna, i Ducha, i dla Niéj.

To też blask taki Twe czoło otoczył,
Że gdym wśród ludów raz pierwszy cię zoczył,
Gdy po raz pierwszy nad Wisłą stanąłem,
I tu na wolnéj ziemi odpocząłem
Znużon podróżą, jak świat długi, długą,
Ciebie obrałem mą Ojczyzną drugą.

Po Twoich łanach odtąd się błąkałem
A za mym śladem bójne rosły kłosy.
W sercach ślachetnych twych synów mieszkałem
I świetne były Twoje odtąd losy.
Oh, dotąd strzegę Cię w ziemskiéj kolei,
Co noc z méj gwiazdnéj ojczyzny przychodzę
W sen cię kołyszę, i bóle twe słodzę
Łagodną pieśnią wiary i nadziei!..

Ale dzień po dniu, cichnie głos mój cichy,
Ni go już słuchasz — ani go rozumiesz
I tak cię olśnił blask szalonéj pychy
Że dojrzyć u stóp przepaści nieumiesz!

Ludu, mój ludu! co się z Tobą stanie?
Sam chętnie lecisz w bezdenne otchłanie,
Jakbyś zapomniał twéj przeszłości świetnéj
Walki wiekowéj szalono szlachetnej —
Jakbyś zapomniał Twych dawnych rycerzy
Których tysiące w Twojej ziemi leży.
Leży, lecz nie śpi — bo tak wielkie życie
Grób nie zabija — Grób tylko powicie:
Cicha kolebka duchowego kwiatu,
Co gdy czas smutny mroźnej zimy minie
Z swoich zielonych pieluch się rozwinie
Na radość Niebu i na szczęście światu.

Lecz teraz ludu nad Tobą łzy ronię!
Chciałbym wyciągnąć dłonie moje obie
I błogosławiąc wyrzec pokój Tobie
Ale tam z dala gdyby morska fala
Płyną z północy strasznych nieszczęść tonie...
Słyszę już krzyki jakiejś dzikiéj hordy
Czuję w powietrzu i zbrodnie i mordy
Ku ziemi twarz ma pochyla się blada,
Jak dzwon pogrzebny jęczy głos mój: Biada,
Biada Ci Polsko!

Lecz patrz w niebo śmiele!
Ufaj — wierz — kochaj — a za chwil niewiele
Za jedną krótką w téj przyszłości chwilę,
Staniesz znów w dawnéj piękności i sile.

Jednak tymczasem w dniach smutku i burzy
Gdy się cierpieniem pierś biedna unuży,
Senna źrenica ku ziemi upadnie
I dłoń bezbronna owiśnie bezwładnie,
Cóż zdoła smutno pochylone skronie
Zwrócić na nieba niezmierzone błonie,
Co wpół sennego ducha znów rozbudzi
By Boża iskra nie zgasła wśród ludzi?
Cóż w ramie słabe nowe siły wleje!..

Kiedy nad śpiącą ziemią wschód bieleje,
Jeszcze nim błysną promienie zarania,
Skowronek piosnkę swą cudną wydzwania
A dusza ludzka zrywa się z posłania,
Za płaczkiem — piosnką z modłą w niebo leci.

I kiedy słońce nad zachodem świeci
A potem zgaśnie — a gwiazdek promyki
Odbijają się w krzyształach krynicy

Cicho zaszumią stare drzewa gaju,
Nadbrzeżne chórem ozwą się słowiki,
Wtedy łza błyśnie w niejednéj źrenicy
W niejednéj piersi zbudzi się tęsknota,
Smutna a miła, jak sny w życia maju,
Jako wspomnienia o straconym raju,
Jako nadziei świętéj gwiazdka złota,
Wtedy się nieba człowiek czuje synem,
Czuje że świat ten dla niego za mały,
W duszy ma inne światy ideały,
I stwarzać może swą myślą i czynem.

Więc jest tu świat jeden zielony i młody
Bez zimy, bez grobu, świat cudu i pieśni;
Co ducha rozbudza z posłania wygody
I nieda mu mieszkać w śmiertelnych ciał cieśni.

Oh, piękny wiośniany, świat pieśni, świat cudu!
Jak nasze błękitne nadgwiazdne krainy!
A Ty — ty nasz bracie, ty królu jedyny
Wszechwładny w tym świecie, ty śpiewaku ludu,
Jak gwiazda jeniusza świeci ci nad czołem,
Tak świecisz nad ciemnym płanetą!
Oh — gdybym ja niebył w niebiosach aniołem,
Byłbym na ziemi poetą!

(Anioł wznosi się w górę.)

OBRAZ TRZECI.

Scena rozjaśnia się jeszcze, Rusałka w leciuchnem śnieżnem odzieniu z zielonym wiankiem na głowie ukazuje się i śpiewa.

RUSAŁKA.

Chodźcie siostry, lube, moje
Czas już rzucić łoże czas —

Księżyc sieje światło swoje
I ku sobie wabi nas.

Już porzućcie Dniepru łoże
I krzysztalne srebrne sny —
Bo jak błysną ranne zorze,
Znowu do snu pójdziem my.

Otrząśnijcie mokre włosy,
Białe lica z zimnych fal —
Włóżcie wianek z perłą rosy,
Popłyniemy chmurką w dal.

(od strony Dniepru daje się słyszeć głos Rusałek)

Już idziemy, już lecimy
Rwąc po drodze świeży kwiat
Pośpiewamy, potańczymy
Póki drzemie ludzki świat.

(Ukazuje się grono Rusałek wszystkie biało lub różowo ubrane, z włosami rozpuszczonemi w kwiatach i zieleni, na głowie i szatach ubrane.)

OBRAZ CZWARTY.

Wchodzi *Włodzimierz* trzymając za rękę *Bożenę*.

WŁODZIMIERZ.

Bożeno moja! gdybyś ty wiedziała
Jak ja szczęśliwy przy tobie aniele!
Boś ty choć święta, przecie moja cała
Ty moja rozkosz, szczęście i wesele.
Czy wierzysz temu?

BOŻENA.

O wierzę — i czuję
Że z twéj miłości me życie się snuje.

Ze gdyby kiedy... czego nie daj Boże!
Gdyby... lecz prawda że to być nie może?
Lecz, gdyby los nas rozdzielił ze sobą,
Serce by mi się okryło żałobą —
Pękło by może — oh! pękło by pewnie!

WŁODZIMIERZ.

Czemu dziś mówisz, tak smutno i rzewnie
Zazulo moja? Tyś tak zdumiała
Rusałko pusta. Czyś smutny sen miała
Że mi pobladły dzisiaj twoje lica.

BOŻENA.

Nie, ja tak blada przy świetle księżyca.

WŁODZIMIERZ.

O, przy księżycu noc po nocy przecie
I przy tych złotych gwiazdach widuję Cię
A nigdy taką. Powiedzże czy czary
Rzucono na cię trwogi i niewiary
Że mi dłoń twoja zimno drży przy łonie,
Nie tak jak dawniéj...

BOŻENA.

O nie luby — o nie!
Tylko tak czuję, jakby czas kochania,
Jakby to szczęście już się skończyć miało;
A myśl ta równa boleści skonania
Gdy młoda dusza, rzuca młode ciało.

WŁODZIMIERZ.

Bożeno! niebo tu patrzy gwiazdami
I księżyc właśnie wychodzi z za chmury —
A tam Dniepr siny płynie poprzed nami,
Szumiąc tak smutnie. W obec téj natury

W obec jéj cudach ukrytego Boga
Ja ci przysięgam o Bożena droga
Że nigdy inna miłość, inne śluby
Nas nierozłączą....

BOŻENA *(z trwogą.)*

Cicho, cicho luby
Niemów!...

WŁODZIMIERZ.

Niech życie, jak noc bez księżyca
Będzie mi pusta i głucha ciemnica,
Niechaj me ciało w najstraszniejszéj burzy,
Dniepr w swéj topieli bezdennéj zanurzy,
Gdy tę przysięgę...

BOŻENA.

Nie kończ! nie domawiaj
Strasznéj przysięgi — Duszy nie wystawiaj
Na zgubę wieczną!

WŁODZIMIERZ.

Jakto ma jedyna?

BOŻENA.

Bo na przysięgi to jest zła godzina,
Teraz jest północ — i miejsce to luby
Może być strasznéj przyczyną twéj zguby.

WŁODZIMIERZ *(z uśmiechem.)*

Dla czegóż miejsce?

BOŻENA.

A czyż niewiesz jeszcze
Że tu Rusałki schodzą się złowieszcze,

Na nocne śmiechy, i śpiewy i tany —
Tu nieraz ludzie w nocy ich widzieli
Gdy jak dziewice w przecudnéj bieli
Wyszły na łąkę z Dniepru topieli,
Otrząsły z wody długie warkocze
Zielonym wiankiem zdobiły czoło,
I połączone w taneczne koło
Śpiewały pieśni czasem urocze,
I nieraz młodzian śpiewem zwabiony
Przyszedł — i słuchał — i tańczył z niemi
I albo rankiem wrócił szalony
Albo na zawsze zniknął gdzieś z ziemi.
O Włodzimierzu mnie tak strach bierze!
Pójdę, odmówić wszystkie pacierze
I przed obrazem Maryi Dziewicy
Zapalę jasną lampę w kaplicy,
Bo może one tu blisko stały,
Bo może one cię podsłuchały
A gdybyś złamał twe przyrzeczenia
Nigdzie byś nigdzie niemiał schronienia
Przed duchów zemstą.

WŁODZIMIERZ (*z uśmiechem.*)

Kochanie moje,
Luba ptaszyno, śliczna szczebiotko,
O czarach, dziwach, śpiewaj pieszczotko —
A ja się patrzę na oczy twoje,
Na lica twoje, na usta twoje,
I śnię tak mile — marzę tak słodko,
Jak by na kwiatach w maju poranek.

BOŻENA.

Więc ty nie wierzysz?

WŁODZIMIERZ.

O wierzę, wierzę

W czary uwierzyć musi kochanek
Takiéj Rusałki. Lecz ukoj trwogę
I ja spokojnym całkiem być mogę;
Rusałki karzą tylko niewiernych
Wiernym sprzyjają. Ich się nieboję,
Innych się czarów boję niezmiernych
I drżę prawdziwie o duszę moję,
Co nieznaną mi siłą spętana
Przed tobą wolne zgięła kolana.

BOŻENA.

O Włodzimierzu, mnie bać się nie trzeba,
Bo gdybym miała tę moc cobym chciała
Samego bym ci przychyliła nieba
Gwiazdki bym do rąk ci dała,
Lecz czarów nieznam!

WŁODZIMIERZ.

Nie darmoż to przecię
Tyś ukráińskich stepów śliczne dziecię!
Tyś się kąpała w Dniepru świętéj wodzie,
I jam Cię widział w majowéj pogodzie
Jak ziela jakieś rwałaś na mogile.

BOŻENA (*śmiejąc się.*)

No, kiedy ufasz tak mych czarów sile,
To ci się przyznam że czarować umię.
A wiesz jak robię? Najprzód się w zadumie
Cichéj pogrążę, potem na Cię patrzę
Długo, aż krasa wystąpi na lica,
Westchnę — aż krasa bladością się zatrze,
Aż mi się łezką zaświeci źrenica —
Lecz się nie długo zadumam i smucę
Bo się znów śmieję wesoła i pusta...
Rączki ci obie na szyję zarzucę...

WŁODZIMIERZ (*całuje ją.*)

A ja całuję cię ustami w usta,
I chciałbym wiecznie pieścić i całować,
O umiesz, umiesz Rusałko czarować!

BOŻENA.

Patrz gwiazdy bledną, u wschodu się bieli,
Dzień już nadchodzi, i nas z sobą dzieli.

WŁODZIMIERZ.

O jeszcze chwilę...

BOŻENA.

Nie — dzień budzi ludzi.
I mój brat Maksym raniutko się budzi,
Bądź zdrów.

WŁODZIMIERZ.

Poczekaj, daj mi jeszcze dłonie,
Patrz jak mi serce bije i pierś płonie.

BOŻENA.

Bądź zdrów!

WŁODZIMIERZ.

Kiedyż ja będę widział ciebie!

BOŻENA.

Jak tylko gwiazdy zaświecą na niebie,
Jak świat się znowu w sen cichy położy
Ja tu znów przyjdę.

WŁODZIMIERZ.

Przyjdź aniołku Boży.
Ja w dzień nie żyję chyba śniąc o Tobie.
(*Bożena wybiega, on zostaje zadumany.*)

OBRAZ PIĄTY.

Od strony wschodu zorza coraz jaśniejsza, słońce wschodzi. *Włodzimierz* sam, późniéj *Zasławski Jerzy*.

WŁODZIMIERZ.

Już jéj niewidzę już pobiegła sobie,
A z nią me szczęście — ja tu jeszcze stoję,
Duszą ją widzę, o niéj sobie roję —
Radbym w rozkoszy i w niemym zachwycie
Przy niéj — lub o niéj przeżyć całe życie
Jakże świat piękny! To słońce co wschodzi
I złoci niebo, nigdy mi nie było
Pięknem jak dzisiaj!... Lecz któż to nadchodzi.

JERZY (*wchodzi.*)

Dzień dobry bracie

WŁODZIMIERZ (*ściska go.*)

Dzień dobry! jak miło
Żeś tutaj przyszedł — pierś zbyt przepełniona
Chce dziś zwierzeniem ulżyć sobie trocha
Takim szczęśliwy — mam niebo wśród łona!
Słuchaj — ja kocham, i ona mnie kocha!

JERZY.

Kochasz, kochanyś! ja także kochałem,
Ja także chwile zachwycenia miałem,
Lecz już minęło; z tego ideału
Została tylko zimna pustka w łonie
I tobie także po kilku dniach szału
Rozsądek miłość w mgłę nikłą rozwionie.

WŁODZIMIERZ.

Zimny — lecz prawda ty nie *ją* kochałeś
Ty jéj dotychczas nawet nie widziałeś,

To nie pojmujesz. A to czary, dziwa,
A to Rusałka, rusałka prawdziwa!
Co to za ogień mają czarne oczy,
Na tych usteczkach uśmiech jak uroczy
Jak luba miękkość tych kruczych warkoczy!
Lica tak krasne gładziutkie i białe,
Ciało z marmuru utoczone całe
Tylko tak lube! — A głos jéj gdy smutny
Rzekłbyś że anioł śpiewa psalm pokutny
Za grzesznych ludzi, a gdy się uśmiecha
Cała dziecięca niewinna uciecha
Igra w dołeczkach około usteczek.
A gdy zaśpiewa, to jak skowroneczek
Piosnkę wesołą — to znów jak zazula
Zakowa dumkę i duszę rozczula —
Albo gdy stare narodowe dumy
Zacznie ci śpiewać, to li Dniepru szumy
Li poświst wiatru co przez stepy leci
Tak słodką boleść w sercu ci roznieci.

JERZY.

I któż jest ona?

WŁODZIMIERZ.

Dziewczyna z téj wioski
Młoda, niewinna...

JERZY.

I tyś tak bez troski
O jutro? przecie pomyśl tylko sobie
Że się ta miłość zakończy w żałobie
A bodaj chociaż, nie grzechem z twéj strony
I hańbą albo śmiercią opuszczonéj.
Bo ród twój dumny na związek z poddaną
Z krwią nieszlachecką, czyż kiedy zezwoli?

WŁODZIMIERZ.

Uledzby musiał potędze méj woli
Gdybym... lecz niedbam co mnie jutro czeka,
Jutro? mój Boże to przyszłość daleka,
Mnie dzisiaj wszystkiem — i jutro nie grozi
Mnie tylko dziwnie zatrważa i mrozi
Oddech twéj piersi i spojrzenie twoje.
Żeś ty już zwątpił, w miłość, w szczęście swoje,
Że głąb twéj duszy zimny i ponury
Jako nagrobnych posągów marmury
Przeraża tylko pamiątką zniszczenia,
To chcesz podeptać i moje marzenia.
Jerzy tyś dawniéj był lotnym sokołem,
I twą dziedziną ponad chmurne nieba,
Straciłeś skrzydła i czołgasz się dołem,
Dziś tylko ziemi do życia ci trzeba.

JERZY.

Serce nie zziębło, skrzydła nie gorzały,
Nie kocham jednéj— lecz kocham kraj cały.
A tobie czém jest ojczyzna i sława?

WŁODZIMIERZ *(powoli)*

Czem mi jest teraz ojczyzna i sława?
Prawda! nie często teraz w myśli stawa
Co w młodéj niegdyś głowie się roiło —
Nie bije serce — tak jak dawniéj biło.

JERZY *(surowo)*

Więc tyś zapomniał żeś téj ziemi synem,
Ze za twą przeszłość, dla szczęścia twych dzieci
Masz się jéj spłacić życia wielkim czynem.
A gdy niezgoda brzydki pożar nieci
W ojczystym domu— to przeklęty komu

Rozkosz jest wszystkim, to przeklęty, komu
Jedna przeważy szczęście milionów.
Niech zginie pamięć tego pełna sromu
Niechaj sam skona milionem skonów...

(*bierze rękę Włodzimierza*)

Chodź gasić pożar krwią twą w ojców domu,
Otrząśnij z siebie namiętności pęta,
Niewolnik serca, wolnym być nie może —
Czary te zniknąć muszą w imie boże,
Więc chodź bo woła cię ojczyzna święta.

(*wychodzi*)

WŁODZIMIERZ (*sam*)

Ojczyzna święta — sława — poświęcenie
Te słowa wstrząsły mą duszę do głębi
Zbiegły się wszystkie dzieciństwa wspomnienia,
Krew kipi — spokój uleciał gołębi.

Te słowa dzieckiem ja słyszałem małém,
One w téj świętéj brzmiały mi modlitwie
Którą po słowie za matką mawiałem —
Niańka śpiewała pieśni takiéj treści —
Ojciec mi mawiał o sławie o bitwie,
I stary dziadek na łożu boleści,
Kiedy już konał, jeszcze ręce drżące,
Nad głową moją wyciągnął dziecinną
I błogosławieństw zlewając tysiące
Cicho coś szeptał o ojczyźnie — sławie —
Aż ręce zstygły nad mém czołem prawie, —
J duch odleciał gdzieś w krainę inną.
Ale te słowa w duszy mi utkwiły
I dzieckiem jeszcze pomnę one były
Tłem wszystkich życzeń, rojeń, modłów moich!

Pomnę rzucałem towarzyszy swoich
A na grobowcach marmurowych wsparty
Czytałem przeszłych dziejów świetne karty
Pisane groźnie na umarłych licach,
Na wyszczerbionych u boku szablicach,
Aż mi płonęło i w sercu i w skroni,
Aż zapragnąłem, żyć, skonać, jak oni.

A dziś — dziś? zerwę różane okowy
W których więziona dusza młoda chora —
Duch mój znów będzie wielki, silny, zdrowy,
Bo inne życie zacząć teraz pora —
Bożeno moja, Rusałko, bądź zdrowa!
(po chwili milczenia)
Wielkość i sława — i ojczyzna — słowa
I słowa tylko. Próżne, bez znaczenia
Każdy je tylko ustami powtarza
Każdy tak głośno głosi poświęcenia,
Każdy drugiego o podłość oskarża,
A inne godło na każdym szyszaku,
A inna barwa jest na każdym znaku,
I każdy głosząc te słowa ponętne
Kryje egoizm pod poświęceń godło.
I jaż w te zdroje tak brzydkie i mętne,
Mam wlać mych uczuć krzysztalowe źródło?

O nie, nie mogę. Na Boga
Ty moja Rusałko droga
Ja nie poświęcę cię!
Wszelka myśl inna ucieka
Gdy mi zabłysną zdaleka
Twe oczy — gwiazdki dwie.

Choć przeszłość przedemną stanie
I z grobów słyszę wołanie

Co na bój woła mnie
Wnet piosnkę twoją usłyszę
Lub zoczę w północną ciszę
Te moje gwiazdki dwie.

Jak pod promieniem miesiąca
Dnieprowa fala hucząca
Spokojnie kładzie się
Tak cichną me niepokoje
Gdy spojrzą na czoło moje
Promienne gwiazdki dwie.

(*Koniec prologu.*)

AKT PIERWSZY.

SCENA PIERWSZA.

Włodzimierz sam, w myśliwskiem ubraniu chodzi po łące obok zamkowego ogrodu.

WŁODZIMIERZ.

Z rana do nocy po jarach głębokich,
Po kniejach, gęstwach, po stepach szerokich,
Za zwierzem gonię do nocy od rana,
A zawsze ciało i dusza znękana!
Darmo, ni skały, ni stepy, ni jary,
Lotne sokoły i wierne ogary
Zgrai myśliwskiéj ochota wesoła,
Nie zażegna burz nie spędzi chmur z czoła;
Ani uzdrowisz téj duszy schorzałéj
Ty moja luba.... słów kilka wyrzekłeś
Bracie i druchu, już inny świat cały.
Czarną zasłoną mi oczy powlekłeś,

Wdzięki rozkoszy, i jasność swobody,
Znikły, i niewiem czy żyję, czym młody,
Znikły i spokój i miłośne czary,
Stanęły nagle uśpione już mary,
Ciągle przedemną się snują i snują,
Sen w noc, w dzień życie mi trują i trują!
Gdzieśbym rad biegnąć w świat inny, szeroki,
Gdzieśbym rad płynąć w ocean głęboki,
Innego słońca, innego mi nieba,
Innego życia do życia mi trzeba,
Gdzie gwar, gdzie głośno, gdzie ludu są roje
Gdzie ból, gdzie rozpacz, gdzie łzy, krew i boje
Wrzask bitw, blask, sławy uleczy mą duszę
Na bój, krew, i bóle, po sławę biedz muszę.

SCENA DRUGA.

wchodzi JERZY.

Czy łowy skończone żeś prędko tak wrócił.

WŁODZIMIERZ.

Tę nudną zabawę umyślniem ukrócił.

JERZY.

To dobrze bo dłużéj tu bawić nie mogę
Żegnam cię, dziś jeszcze wybieram się w drogę.
Co wrzało tam w głębi to na jaw wybucha,
Patrz — oto wezwania od powstańców w Barze.
(podaje mu papier)
Kto prawy szlachcic, głosu tego słucha,
Kto nie? to zdrajca, niech go Pan Bóg skarze!

WŁODZIMIERZ *(czyta)*

Ja idę z wami.

JERZY.

Idziesz! idziesz z nami!
Chodź, chodź, bo szlachta zebrała się zbrojnie
Konfederacya ślicznie rozpoczęta.
Wnet król co siedzi w Warszawie spokojnie
Przypomni sobie na Pacta-Conventa.
Więc idziesz z nami.

WŁODZIMIERZ *(chodzi zamyślony)*

JERZY.

I cóż to za dziwy?
O teraz będziesz prawdziwie szczęśliwy
Gdy promień sławy błyśnie ci na czole
Kiedy war bitwy piersi ci owieje,
Wtedy uczujesz się w swoim żywiole,
Wtedy dopiero zdrobnieje zmaleje
Ta miłość twoja, jako cień w południe.

WŁODZIMIERZ *(z westchnieniem)*

Lecz w głębi serca nigdy nie wychłódnie
I późniéj może przy wieczornéj zorzy
Długim, olbrzymim cieniem się położy
Pamięć jéj ciemna.

(chwila milczenia)

Jerzy, tyś mi bratem
A dotąd nie znasz méj duszy do głębi,
Niewiesz co mnie tak skłóciło ze światem,
Co mnie wśród ludzi tak trwoży i ziębi,
Czemu tak żal mi to ustronie rzucić,
By między ludzi, i w to życie wrócić
O którém dawno, dawno zapomniałem.

(chodzi po scenie potém mówi wzruszony)

Zrodzon w komnatach, powity w szkarłatach,
Bóle, niewole, łzy tylko tam znałem. —

Znałem i szczęście! dziecinne me skronie
Do snu składałem, na mątki méj łonie,
Z nią się modliłem, tam ręka jéj biała,
Me lniane włosy pieszczotnie głaskała,
A głos jéj miły i dźwięczny i słodki
Brzmi dotąd jeszcze! ale mnie odbiegła,
W niebo — nie długo kolebki méj strzegła,
Nie żal jéj było maleńkiéj sierotki?
Odtąd grób matki był jedném schronieniem,
Przed ojca gniewném i groźném spojrzeniem.
Głos ojca groźny, piorunny, donośny,
Trwogą przerażał, tamował płacz głośny,
I nawet cicho zapłakać się bałem
Ja tak pieszczony, kochania spragniony,
Byłem już samym piołunem karmiony, —
Dumki ponocne były mą pociechą —
Byłem jak dziecko pod macochy strzechą
Jak w klatce orlęta, jak lilia podcięta
Jak lutnia, bez dźwięku — bez strony...

Po śmierci ojca, kiedy mi oddano
Włości nad Dnieprem, mojéj matki wiano,
Raz pierwszym zoczył tę cudną przyrodę,
Raz pierwszym zaznał młodości swobodę,
I byłem, jak więzień gdy zrzuci kajdany,
Kozak na stepie, jak góral na górze,
Żeglarz na morzu w swéj łódce kochanéj,
Jak orzeł na ciemnéj, na chmurze!
I dusza tak bujnie w swobodzie rozrosła,
Tak lotnie sokoło, ku niebu się wzniosła
Że ledwo nie brakło dla skrzydeł mych nieba

(staje i mówi cicho smutno)

Lecz jeszcze kochania mi było potrzeba
I... miałem kochanie, a szczere a tkliwe,

A oko jak matki, dłoń biała i miękka,
I głos tak łagodny, — pieszczota, piosenka
Tak miłe jak matki...To było prawdziwe
Me szczęście...

(odwraca się nagle)

JERZY *(podaje mu rękę)*

Pojmuję twe wszystkie cierpienia
Lecz sława — ojczyzna, powinność sumienia...

WŁODZIMIERZ *(z ironią)*

Powinność! sumienie! ot, dosyć, już dosyć
Tych zimnych przedstawień nie mogę dziś znosić —
Jadę czyż nie dość?

JERZY.

Czy dzisiaj?

WŁODZIMIERZ.

Niech będzie.
Lepiéj i miléj, im prędzéj się jedzie.

JERZY.

Więc każę konie...

WŁODZIMIERZ.

A przecież nie sami
Pojedziem, dworzan starych pozostawić
W domu, a młodzi niech pojadą z nami,
By z licznym pocztem w obozie się stawić.

(Jerzy wychodzi).

SCENA TRZECIA.

Włodzimierz sam ponury i milczący — *Bożena* wchodzi ostrożnie, ogląda się czy kogo więcéj niema, przybiega i całuje Włodzimierza.

BOŻENA (*wesoło*)

Jak się masz luby! o przecież w dzień biały
Widzę cię drogi. Już mgłą się rozwiały
Trwogi, przeczucia, co w noc mnie straszyły.
W dzień biały, w słonku widzę cię mój miły
Mówię ci głośno: kocham cię jedyny,
Oh, jakże miła jest rozkosz ta nowa.

(*spostrzega ponury smutek Włodzimierza i pomieszana oddala się kilka kroków*).

A ty nie spojrzysz, nie rzekniesz i słowa,
Czy się w dzień wstydzisz twéj biednéj dziewczyny
Czyś może wstąpił na jakie złe ziele?
Cóż ci?

WŁODZIMIERZ (*z udanym spokojem*)

O nic mi, mój słodki aniele.

BOŻENA.

Smieję się, pieszczę, jak ptaszka szczebiocze
A ty milczący...

WŁODZIMIERZ.

To przebacz mi, proszę;
Dziś są bez skutku twe słowa urocze.
Za takiéj świętéj miłości rozkosze
Na klęczkach duszą ty jesteś wielbiona,
Lecz dziś.... Bożeno wszak wiesz że dźwięk dzwonu
Burze rozdzwania, twe dumki dziś może
Mnie uspokoją — śpiewaj mi nieboże.

BOŻENA.

O uspokoją. Zaśpiewam kochanie
Tę co ty lubisz, dumkę o Bogdanie.

DUMKA.

„Hej Bogdanie miły bracie
Chodź już od twéj czarnookiéj —
Tu tak smutno w małéj chacie
A tam taki świat szeroki.“

Tak mołodźce go wołają
Tęsknéj dumce niema rady,
Lubéj z oczu łzy spływają
On całuje po łzach ślady.

I już lotną czajką płyną
Przez porochy, przez Dnieprowe
I śpiewają nim je miną
„Krasawice bądźcie zdrowe!“

Czarnobrewka smutna staje
Nad wysokim Dniepru brzegiem,
Czarne kosy wiatrom daje
Dumkę puszcza z wiatru biegiem.

— „Żegnaj matko, dróżki moje,
Chato moja, drobne kwiaty
Żegnajcie mi łąki zdroje
Ja popłynę w inne światy.

Tam gdzie czajkę niesie fala
Przez porochy — przez Dnieprowe!“
— W tém usłyszy jeszcze zdala
„Krasawice bądźcie zdrowe.“

I skoczyła z brzegu w wodę
Woda mile ją przyjęła —
I tak ciche dziewcze młode,
Jakby przy matce usnęła.

Ale nagle pociemniało
I Dniepr mętny się zasmuca
Czarnobrewki białe ciało
Na Bogdana łódź wyrzuca.

On zawodzi „Oj kochanie
Także ja to widzę ciebie?“
A Dniepr szumi: „Oj Bogdanie
Tyś sam winien jak Bóg w niebie!“

WŁODZIMIERZ.

I czemuż śpiewasz, tak smutnie i smutnie,
Czemuż ci w piersiach tak płaczą te tony,
Jak jęk konania, jak pogrzebne dzwony;
Nie dobraś dzisiaj. — Śpiewak na to lutnię
Ma złotostrunną, by nią smutek koił
By wszystkie bóle usypiał, spokoił
Ty, rozdmuchujesz palące zarzewie...
A jednak... Dziwny mi dźwięk był w twym śpiewie
Proszę cię luba, zaśpiewaj inaczéj,
Tak coś o stepach, o sławie kozaczéj.
(usiada pod drzewem ona przy nim).

BOŻENA *(śpiewa)*

CZAPLE PIÓRA.

— Gdzież to jedziesz w lutą burzę
Czemu bierzesz kopię w dłoń?
— Luba ja za stepem tużę
I za stepem tęskni koń.

Wiatr od stepów się już zrywa
To mnie wiatr poniesie sam —
Bądź mi zdrowa czarnobrewa
Na południe muszę tam!

Oj, polecę, oj popłynę
Po za Dunaj, po za Don,
Czy żyć będę, czy tam zginę
Sławne życie, sławny zgon —

Tam na Siczu attamanem
Ja zostanę jakem żyw,
A o twoim ukochanym
Oj — nie jeden będzie śpiew.

I popłyną pieśni mnogie
Po przez sioła, stepy te —
Bądź mi zdrowe dziewczę drogie
Wierny kozak żegna cię!

Zniknął — dziewcze w kraj daleki
Smutno poszła za nim w ślad,
Przez trzy góry, przez trzy rzeki
Gdzieś aż w inny obcy świat.

„Hej sokole wierny ptaku
Czyś nie widział z popod chmur
U kozaka na kołpaku
Attamańskich czaplich piór?

„Hej Dunaju twoje wody
Czy to o nim szumią tak?
Powiedz mi, mój kozak młody,
Tędyż leciał niby ptak?

„Hej, wy stepy, lasy, skały,
Hej mogiły tędyż biegł?“
Lasy, skały, wciąż milczały,
Sokół, Dunaj nic nie rzekł.

Tylko gwiazdki szepcą w niebie.
„On u innéj klęczy nóg,
On zapomniał dziewcze ciebie
On niewierny widzi Bóg!"

WŁODZIMIERZ (*zrywa się*)

Te dumki wasze to są do niczego
Prawdziwie — wierz mi — bez sensu żadnego.
Ducha nam biorą jak w zaklęte koło,
Smutno się kończą choć zaczną wesoło,
I zawsze, zawsze -- kończą się mogiłą...

BOŻENA.

Tyś je tak lubił...

WŁODZIMIERZ (*gwałtownie*)

Tak się nie kończyło!
Inaczéj zawsześ końca dośpiewała.
Wiesz ty Bożeno, że dziś mnie porwała
Tak dziwna boleść, smutek, rozpacz taka,
Że gdybym spotkał jakiego śpiewaka
Stronybym wszystkie potargał, pozrywał
Lutnię̨bym rozbił, żeby już nie śpiewał
Nigdy nikomu. Naco ma truć ducha
I w szał wprowadzać? Bo kto pieśni słucha
Sam się rozpieśni, a późniéj czy wcześniéj
To oszaleje — pewno oszaleje,
Bo pieśń szaleństwo do duszy nam leje.
Ja, ty kochanko, my będziem szaleni,
Bośmy gorączką pieśni rozpaleni,
I blade mary zaklęte piosenką,
Gdzieś niewidomą pociągną nas ręką.
Mnie w inne kraje, za wielkie Dunaje
Duch attamana powiedzie za sobą,
Ciebie w Dniepr siny, dłoń zimna dziewczyny...

BOŻENA.

O, Boże — luby — co się dzieje z tobą?

WŁODZIMIERZ (*spokojniéj*)

Jakiś duch inny mówił memi usty,
Lecz nie myśl o tém, to słowa, dźwięk pusty,
Jak wasze pieśni — Nieprawdaż ma droga
Że to li słowa — Powiedz że na Boga
Że tak nie będzie. Jam jak dziecię chore
Napróżno dzisiaj odganiam tę zmorę,
Co siadła w piersi, oddychać nie daje
Lecz to pomału ustanie — ustaje.
Słuchaj mnie droga: w waszych pieśniach zawdy
Obok nieprawdy jest i trochę prawdy.
Widzisz tam kozak wśród pieszczot kochanki
Tęskni, rzuca ją i na stepy goni,
Po czaple pióra, po laurowe wianki
Na wronym koniu, z długą lancą w dłoni.
Zostaje sławnym wodzem, attamanem,
Na Czarném morzu jego czajka znana,
A gdy powróci, czyż jest mniéj kochanym?
A czarnobrewka czyż jest mniéj kochaną?

BOŻENA (*cicho*)

A gdy powróci stanie nad mogiłą,
Albo przy łodzi białe ciało płynie...

WŁODZIMIERZ.

Tak się kończą dumki w Ukrainie.

BOŻENA.

Oj! tak się nieraz i w życiu skończyło.

WŁODZIMIERZ.

Mnie tu tak tęskno, i smutno i nudno
Że i przy tobie już wyżyć mi trudno
Ja pragnę życia, boju, walki krwawéj
Cześci powszechnéj i promiennéj sławy,
A to...

BOŻENA.

Więc sławy chce twa dusza młoda?
Jeśli ci szczęścia i blasku to doda,
I nową czoło okryje ozdobą,
Idź — idź — mój luby lecz ja pójdę z tobą.
Pozwolisz — dobrze? Nie jak twa kochanka
Tylko jak sługa, niewolnica, branka
Jak twój pies wierny pójdę za twym śladem.
W chwilach ci szczęścia nie będę natrętną.
Lecz gdy cień siędzie nad twém czołem bladém,
Gdy znudzon tłuszczą zimną, obojętną,
Zapragniesz choćby współczucia łzy jednéj
Gdy będziesz chory, cierpiący i biedny
Ja będę wtedy kochanku przy tobie.

WŁODZIMIERZ *(całuje jéj ręce)*

Dziewcze — oh, o tém nie myśl nawet sobie
Ciebie niewinną przeczystą dziewicę
Jabym wziął prędzéj w pustynie piasczyste
Pomiędzy dzikie tygrysy i lwice
Niż między ludzi. Twoje serce czyste
Nie wie, że niema tam nigdzie szczerości
Że tam obłuda, fałsz i zdrada gości,
Że tam za złoto wszystkiego dostanie.
Uśmiech, westchnienie, i łzę i kochanie —
Tamby myśleli że ciebie kupiono...

BOŻENA.

Ty mnie znasz dobrze, ja niedbam o ludzi.

WŁODZIMIERZ.

Lecz ich dotknięcie duszę twoją zbrudzi —
Tam nie tak pięknie, jak tu w naszym świecie,
Bo tam tak ciasne z marmuru komnaty,
Sufit kamieniem grobowym pierś gniecie,
Tam zagraniczne a bezwonne kwiaty —
Gdzie tylko spojrzysz, twoja postać własna
We szkle odbita przedrzeźnia się tobie.
O moja droga ty Rusałko jasna,
W téj Ukrainie naszéj zostań sobie!
Tam w pośród ludzi tybyś się zmieniła
Tambyś się w złoto nie w kwiaty stroiła,
Byłabyś brzydka, zmieniona, już nie ta
Cudna Rusałka, lecz zwykła kobieta.

BOŻENA (*z wyrazem głębokiéj boleści*)

O to pozostać w Ukrainie wolę,
Ja cicho zniosę tę moją niedolę —
Idź — bądź najpierwszy między najpierwszemi!
Bądź najsławniejszy pomiędzy sławnemi!
I... bądź szczęśliwy! Ja szczęśliwa będę
Ja tu na któréj mogile usiędę
I dumać będę dzień i noc o tobie.
Dzień inoc będę przypominać sobie
O naszém szczęściu, o naszém kochaniu,
Do dna wysączę moich cierpień zdrój,
Powtórzę jeszcze przy samém skonaniu:
On wielki... sławny... on niegdyś był mój!...

WŁODZIMIERZ.

Był, i zostanie na wiek wieków twój.

(*przytula do siebie Bożenę całuje i odchodzi*).

SCENA CZWARTA.

BOŻENA (*sama*)

O biedne dziewczę — zostaniesz tu sama
A on odjedzie — daleko odjedzie —
Już twego raju zawarła się brama,
I anioł zbrojny na straży stać będzie —
I tylko tęskném i sercem i okiem
Wrócić do raju wolno ci wygnanko
Sama — idź błądzić po stepie szerokim
Ty opuszczona, sierotna kochanko.

SCENA PIĄTA.

Wchodzi prędko Maksym.

MAKSYM.

Siostro, ja szukam wołam cię daremno
A ty, jak zwykle przy dworskim ogrodzie.
No, czemuż oczy tak kryjesz przedemną?
Wszak ty tak wyszłaś, ot przejść się po chłodzie.
A on był tutaj? Był ten Lach przeklęty?
Był on tu — powiedz!

BOŻENA.

Ależ Boże święty
O kogo pytasz — ja niewiem — co tobie?

MAKSYM.

Ha, ha, ha, niewiesz? O naszego pana.
O twego pana — bo pamiętaj sobie
Że on twym panem, ty jego poddana.
I choć słodkiemi słówkami cię łudzi,

Niewierz mu siostro, niewierz bądź ostrożna,
I spytaj starych doświadczonych ludzi
Czy lackim słowom ufać kiedy można.

(Bożena milczy.)

Lecz o czémś inném z tobą mówić chciałem.
Ty znasz Tymeńka — jemu w siole całém
Nikt nie wyrówna zręcznością ni siłą.
On na wronego łoszaka gdy wsiędzie
I zacznie hulać, to aż patrzeć miło,
Bo stepem dzikim leci jak wiatr w pędzie
Aż za dziesiątą oprze się mogiłą.
A w karczmie kiedy do tańcu wyskoczy
I tnie prysiudy, nasze krasawice
Zwrócą ku niemu i serca i lice
I te brwi czarne i ogniste oczy.
A późniéj w nocy, gdy podpije miodu
I zacznie śpiewać dumy starodawne
Starcom uderzy serce jak za młodu,
Przygasłe oko ogniem zajaśnieje,
Ściśnięta warga na w pół się rozśmieje,
I dłoń żylasta w pięść silnie się zwinie.
Ale ten zapał wraz z dumką przeminie,
Tylko łza perli się w starców źrenicy;
Spływa powoli na ich siwe brody,
Bo wtedy wspomną że dziś niewolnicy,
Że już minęły dnie dawnéj swobody.

(bierze siostrę za rękę.)

I ten Tymeńko siostro ciebie kocha

BOŻENA *(wzdryga się)*

Mnie!

MAKSYM.

Tak jest, ale to nie miłość płocha
Siostro kochana. Kwiat uczuć inaczéj

Wyrasta w piersi szerokiéj kozaczéj,
A w drobném sercu lackiego panięcia.
On niechce zguby biednego dziewczęcia
On cię jak żonę...

BOŻENA.

Nigdy, nigdy w świecie
Ja niechcę — niechcę —

MAKSYM.

Ha — to bywaj zdrowa.
Niechcesz Tymeńka? przyjdzie ten dzień przecie
Że sobie brata ty przypomnisz słowa.
Kiedy ból straszny piersi ci przygnicie —
Kiedy od wszystkich wzgardzona, wyśmiana
I biczem śmiechu ze sioła wygnana
Pójdziesz się tułać pomiędzy obcemi.

Ha — co ja wtedy z tobą i z nim zrobię?
Wiesz? przygotuję ślubne łoże w ziemi
I ciebie z panem pożenię choć w grobie.

Koniec aktu pierwszego.

AKT DRUGI.

SCENA PIERWSZA.

W mieszkaniu Włodzimierza w Warszawie.— *Włodzimierz* siedzi w fotelu, *Jerzy* chodzi prędkim krokiem.

JERZY (*stając*)

Więc ci się pytam jeszcze raz ostatni,
Czy szczérze myślisz rzucić związek bratni?

WŁODZIMIERZ.

Tak jest mój Jerzy.

JERZY.

Cóż Puławski powie?
Co mężny Sawa, gdy się nagle dowie,
Że ten co prawie przewyższa go męztwem
Co się odznaczył nie jedném zwycięztwem
Dziś odstępuje!

WŁODZIMIERZ.

Ale ja tak dłużéj
Żyć nie potrafię — mnie to męczy, nuży.

JERZY.

Męczy cię — nuży? Tyś taki wytrwały,
A życie nasze, życiem czynu, chwały,
Same wspomnienia drogie nam zostały!
Pomnę, gdym wracał po nocnéj wyprawie
Zwalczywszy wroga o potrójnéj sile,
Jak nasz Puławski powitał mnie mile
Bratnio, serdecznie — aż ze łzami prawie.
Lub jak to miło kiedy w nocy stałem
Na czatach — duszą i ciałem słuchałem
Baczny na odgłos po rosie lecący
Czy to nie hasła nie wraże okrzyki?
Okiem patrzyłem w każden punkt świecący
Czy nie kozacze błysną się tam piki?
Aż tu...

WŁODZIMIERZ.

Na czatach razem postawieni
To wy najpilniéj śledziliście wroga,
A moje oko w błękitnéj przestrzeni,

Tonęło dojrzeć chcąc samego Boga,
Albo też tęskną biegnęło powieką
Po ziemi smutnéj, pustéj i nieznanéj
Gdzieś na brzeg Dniepru, daleko, daleko
Do Ukrainy, do mojéj kochanéj.

JERZY.

Ha, już nam szkodzą twe błędne marzenia,
Gdy za to w chwilach boju, poświęcenia,
Twojego męztwa dajesz nam dowody
Lecąc do walki jak gdyby na gody.

WŁODZIMIERZ.

Czasem sam niewiem co się ze mną dzieje,
Raz bitwy wrzawą i krwią odurzony,
Zwierzęcem męztwem nagle rozszaleję.
Rzucam się w walkę bezmyślny, szalony,
Gonię ćmę wrogów co podle ucieka,
I stosy trupów zostawiam, i daléj
Pędzę niewstrzyman, aż z stępionéj stali
Krew wroga płynąc na ziemie mi ścieka,
Powracam do was, do ciebie mój bracie
Wy mnie pytacie, dłoń krwawą ściskacie
Czyn mój nagradzać chcecie wieńcem sławy,
Pijecie zdrowia, a w pośród biesiady
Ja zdziwion patrzę że po rzezi krwawéj
Głośnéj radości na was tylko ślady.
Myślę i czoło nagle się ostudza,
I moje usta nie dotkną pucharu
Ze zwierzęcego krwi chciwego żaru,
Nadziemski człowiek wemnie się rozbudza.
Cierpi okropnie piekielne katusze,
Zabitych wrogów jęczą przed nim dusze,
Krew ich, na serce spływa mu ze stali,

Kropla po kropli i strasznie je pali
Bo on się czuje tych zabitych bratem.,

JERŻY.

Bratem moskali!!!

WŁODZIMIERZ.

Nazwij mnie waryatem
Lub jak chcesz Jerzy — ale ja tak czuję.

JERZY.

Tego wszystkiego dobrze nie pojmuję,
Pamiętam tylko słowa księdza Marka,
Co raz w prorockim powiedział natchnieniu:
„Że naszych zbrodni przepełniona miarka,
Że iść nie może kraj nasz ku zbawieniu.
Chyba okupim te zbrodnie i winy—
Morzem krwi wrogów". Pamiętaj jedyny
Te święte słowa, a wtedy na świecie
Nie będzie większéj dla ciebie rozkoszy —
Jak gdy twa noga pierś wroga przygniecie
I czarną piekłu duszę z niéj wypłoszy.

WŁODZIMIERZ.

Nie, nie, bo Pan Bóg wszystką krew wylaną
Zrzuci na świętą mej ojczyzny głowę,
Bo ci pobici z swych grobów powstaną
I jak upiory moje usta płowe
Przycisną do ran, do serca mej matki
I pić krew będą, ssać życia ostatki,
Aż upaść musi.

JERZY (*oburzony*).

O bluźnisz na Boga!
Tak być niemoże — być nigdy niemoże!

Myżbyśmy mieli paść pod stopy wroga
Kiedy nad nami łaski Bożej zorze,
Gdyśmy pod Panny Najświętszéj opieką?
Wierzaj — upadek nasz jeszcze daleko
Bo choć dziś mniejsze obrońców zastępy,
Gdyż jedni w grobie złożyli miecz tępy
I sami legli, a drudzy odbiegli,
To znowu inni rycerze się zbiegną
Na imie Maryi, pod cień jéj sztandaru,
I znów jak pierwéj obozem zalegną
Szerokie błonia pod murami Baru.
A nasz ksiądz Marek z krzyżem Chrystusowym,
Stanie przed niemi, proroczy, natchniony,
Natchnie ich nową wiarą, duchem nowym,
I pójdzie walczyć zastęp niezwalczony!

WŁODZIMIERZ.

Bodaj tak było — ale czegoś Jerzy
Mimo méj woli to serce niewierzy,
Niemoże wierzyć, i szepce tajemnie
Że marna walka . . . .
. . . .

JERZY.

A choćby daremnie!
To przez Ocean szeroki popłyniem;
Do brzegów świata nowego zawiniem,
A lud się cały wysypie na brzegi
Witać wygnańców u wolności bramy,
I w jego znowu staniemy szeregi
Za jego wolność życie nasze damy.
I tak po wolnéj będziem stąpać ziemi
Będziem oddychać piersiami wolnemi
Póki z nas każdy do oręża zdolny
Żyć będzie wolny albo umrze wolny.

WŁODZIMIERZ.

Zawsze oględniéj działać nam wypada
Bo zapał zbytni a źle zrozumiany
Więcéj zaszkodzi niż rozmyślna zdrada.
Tu trzeba myśleć...

JERZY (*żywo*).

Lecz bracie kochany
Działać nie myśleć dziś trzeba. Mój Boże
Co to myślenie twoje dopomoże?
O myśl jedyna gdy Ojczyzna kona,
W sercu — a w szabli jedyna obrona.

WŁODZIMIERZ.

Lepiejby przestać téj domowéj wojny
A naród tylko swą godnością zbrojny,
I król...

JERZY.

Jaki król? Ten stolnik Litewski
Ten uzurpator, intrus, co nie umie
O własnéj sile chodzić, lecz moskiewskiéj
Wielkiéj Carycy trzyma się spodnicy
Jak małe chłopię! O czyż on rozumie
Co to panować? On siedzi na tronie
Bawi się berłem, a powodzią szumi
Ponad nim klątwa Boga i przyszłości,
A w kraju wojna, w krwi i we łzach tonie
Ta czeladź biała — a on sprosił gości
Z północy kruków i sępów gromadę
By im czartowską wyprawić biesiadę,
Z ciał potopionych.

WŁODZIMIERZ.

I ja tak sądziłem
I przeciw niemu wraz z wami walczyłem,
Lecz dzisiaj kiedy zobaczyłem z bliska
Światło co kręgiem przy tronie połyska,
To grono mężów uczonych tak świetne,
I tego króla oblicze szlachetne,
Gdzie rozum dowcip i dobroć anioła
Rozum z powagą jaśnieją, z nad czoła
Wtedy raz pierwszy siebie zapytałem
Czemu ja dotąd przy nim nie zostałem
By z nim pracować nad kraju zbawieniem,
I świecić jednym choć bladym promieniem.
Wśród téj światłości rozumu i cnoty
Co ma rozpędzić narodu ciemnoty.

JERZY (*niecierpliwie*).

Kiedy cię tronu olśnił blichtr fałszywy,
To bądźże zdrów mi, i bądź mi szczęśliwy
Jak być możesz. Lecz przepaść przed tobą,
Nie przepaść nieszczęść, te znieść wszystkie można;
Ale występku ta otchłań bezbożna
I walka wielka nie z wrogiem lecz z sobą.

WŁODZIMIERZ.

Z sobą? Czym ja już nie zwyciężył siebie
Czym wam już wszystkich uczuć nie poświęcił?

JERZY.

Prawda mój drogi — lecz ostrzegam ciebie
Że cię tu szatan różnie będzie nęcił,
Gdy wejdziesz w życie dotąd ci nieznane,
W świat nowy złudny, gdzie blaski i wonie,
Gdzie zwodna piękność w wszech wdzięków koronie,

Nową rozkoszą twe serce pijane
Padnie bez siły, bez myśli i woli,
Chytry Duch złego je wtedy podniesie
I nim się zbudzi to już je uniesie
W ciemną krainę występku, niedoli.
Słuchaj bo ja znam dworacze uśmiechy,
Znam te syrenie i śpiewy i wdzięki,
I jam w śmiertelne oplątał się grzechy,
Duszem miał wydać na piekielne męki —
Lecz się zbudziłem i mężnie walczyłem,
Serce i piersi rozdarłem, skrwawiłem,
Przeciem nie upadł — o był to bój ciężki...

WŁODZIMIERZ

Kiedy ty z niego wyszedłeś zwycięzki
To i ja myślę.

JERZY.

Tutaj cię tajemne
Otoczą spiski jak miny podziemne;
Nie trzeba tutaj męztwa i oręża,
Bo zdrada walczy, i zdrada zwycięża —
Lepiéj na tłumy Moskali uderzyć
Niźli z dworakiem w intrygach się mierzyć.

(*chodzi prędko*).

A ten szambelan, i ten Wojewoda
Co cię tak wabią! Oj szkoda cię szkoda,
Żebyś się musiał stać ich pastwą marną.
Strzeż że cię Boże przed ich duszą czarną.

(*patrzy do okna*).

Ot znowu idzie! ja tu już nie bawię
Bądź zdrów mój Włodziu.

(*żegna uściśnieniem Włodzimierza i wychodzi*).

SCENA DRUGA.

WŁODZIMIERZ (*sam*).

A w sam czas mi prawie
Ten pan szambelan! codzień, co godzina
Tutaj przychodzi. Cóż ja tu poradzę,
Jakże z nim zerwać, jakąż dać przyczynę?
On ma nademną jakąś dziwną władzę
Z której zdać sobie rachunku nie umiem
Słuchać go muszę — Czemu? nierozumiem.
Ja jego niższość od siebie poznaje
I czuję dobrze że gdy przy mnie staje,
Duszę mi słoni jakaś chmura ciemna
Raz musi zniknąć ta władza tajemna,
Ja się uwolnię. Tak będzie najlepiéj,
Że już mniéj grzeczny będę niżli byłem,
Przecie spodziewam się że się odczepi,
Gdy pozna jawnie że mi nie jest miłym.

SCENA TRZECIA.

Szambelan wchodzi i wita z serdecznością affektowaną Włodzimierza który ciągle jest obojętny.

SZAMBELAN.

Bon jour! jak się masz, jak się masz mój drogi!

WŁODZIMIERZ.

A — a — dzień dobry.

SZAMBELAN.

Ledwo błysły zorze
Ja rzucam moje sybaryckie łoże,
I spieszę w twoje tak gościnne progi,
Taka sympatia ciągnie mnie do siebie
Że odkąd tylko bawię tu w Warszawie,

Tom już przy tobie szczęśliwy jak w niebie
Ale bez ciebie żyć nie mogę prawie.

WŁODZIMIERZ.

Dziękuję bardzo.

SZAMBELAN.

To nie komplementa
Parole d'honneur — To jest prawda święta.
Ale tu widzę gości miałeś wprzódy
Właśnie się trochę na wschodach wstrzymałem
Patrzę, wychodzi jakiś człowiek młody,
Z wejrzeniem groźnem, i dumnem i śmiałem
Ażem się przeląkł, aż uciekać chciałem!

(z ironią)

Bo to był Barski konfederat dzielny
Zbawca Ojczyzny a mój wróg śmiertelny.
Nie wiele my się wprawdzie z sobą znamy,
Ale tak już coś do siebie cierpiemy
Że gdy się kiedy ze sobą spotkamy
To takiem okiem na siebie spojrzemy
Że — aż się spocę, tak się bardzo boję.

WŁODZIMIERZ.

Czemuż?

SZAMBELAN *(śmiejąc się.)*

A gdyby dobył szablę swoję
Przed którą tyle już wrogów pierzchało,
Cóż by się z biedną mą personą stało!
Barscy panowie to prawdziwie sławni!
Niech się schowają bohaterzy dawni
Jakim jest dzisiaj pan Zasławski Jerzy.
Mała różnica między niemi leży
Bo co innego jest ojczyznę bronić

A inna wichrzyć — piersiami zasłonić
Króla — a w niego morderczo ugodzić
Inna rzecz rany narodu łagodzić,
A...

WŁODZIMIERZ.

Szambelanie!

SZAMBELAN.

A — a zapomniałem
Żeś także z nimi był w stosunku małem.

WŁODZIMIERZ.

Nie małym — z nimi wraz ciągle walczyłem
I złe czy dobre ich losy dzieliłem.

SZAMBELAN.

Doprawdy! proszę! lecz któż by mógł wierzyć
Żebyś na prawdę chciał także należeć
Do śmiesznéj wojny gdzie mnich był na czele
Różnorodnego a ciemnego tłumu.
Gdzie miast odwagi, i miasto rozumu
Li fanatyzmu i przesądów wiele,
Gdzie okrzyk boju był pono: Hosanna —
I jak słyszałem głównym jenerałem
Była prócz mnicha i Najświętsza Panna.
(śmieje się w głos.)

WŁODZIMIERZ *(na stronie.)*

Ha już doprawdy brak mi cierpliwości
Lecz on w mym domu — prawa gościnności
Świętym mi robią kto wstąpił w me progi.

SZAMBELAN.

Ha, ha, ha, tylko zważ sobie mój drogi
Że my znów w średnie powracamy wieki,

I co w przeszłości zginęło dalekiéj
Co niegdyś piękne dziś zgniło w jéj grobie
My teraz znowu odkopali sobie
I... postawili na ołtarz... upiora!
Ah biedna Polska! a to właśnie pora
Kiedy się zachód przesądów pozbywa
Posąg religii ze śmiechem obala
I filozofia z więzów się wyzwala,
U nas... Doprawdy że nas to tak gniewa
Nas filozofów, że aż się rumienim
Gdy nas Polaków kto nazwie imieniem.

WŁODZIMIERZ (*oburzony.*)

Więc się ojczyzny twojéj świętéj wstydzisz?
Więc w świętéj wierze tylko przesąd widzisz?
A wiara żywa ta aż w niebo wzrosła,
I ludzkość całą swemi skrzydły wzniosła,
I coraz wyżéj wznosi i przemienia —
Aż ludzkość zrzuci krew i ziemskie kały,
Szatą się natchnień odzieje z promieni,
W wieniec swój wprawi łez czystych krzyształy,
I z palmą cierpień z pokornie schylonem
Czołem uklęknie tam przed Ojca tronem.

SZAMBELAN.
(*nuci sobie coś pod nosem a potem pyta nagle.*)

Podobno cuda jakieście widzieli?

WŁODZIMIERZ.

Tak jest, widocznie Bóg wtedy był z nami.

SZAMBELAN (*śmieje się.*)

Ale nie bardzo waleczni Anieli
I Matki Boskiéj miecz musi być tępy,
Kiedy niebiańskich żołnierzy zastępy

Co przed Puławskim w awantgardzie stali
Musiały pierzchnąć przed kulą Moskali.
Oj jabym także chciał widzieć cud jaki!

WŁODZIMIERZ (*z pogardą.*)

Ty niedowiarku, śmiałbyś cudu żądać?
Chciałbyś wpatrywać się w niebieskie znaki,
Chciałbyś aniołów oblicze oglądać,
A masz ty serce człowiecze wśród łona?
A w temże sercu bijeż krew czerwona?
Cuda, są tylko dla ócz wiernych tłumu,
Ale oczyma zimnego rozumu
Cudu nie ujrzysz — chyba Baltazara
Płomienną rękę w dniu ostatnim trwogi
Gdy ci napisze: Dla bluźniercy kara!

SZAMBELAN.

O za cud taki dziękuję mój drogi!
A ten ksiądz Marek cudotworca nowy
Był zdaje mi się trochę za surowy,
Nie dość że się sam dyscypliną chłostał,
Lecz nią podobno nie jeden z was dostał.

WŁODZIMIERZ.

Lecz Szambelanie wszystko błędnie widzisz
Z najświętszych rzeczy zimno drwisz i szydzisz
A nawet nie wiesz jak i co to było.

SZAMBELAN.

Było tak czy nie, wychodzi na jedno
Kiedy tak mówią. To troszkę nie miło
Gdy się z nas śmieją; a tę sprawę biedną
Tak obrócili już w śmieszność na dworze
Króla, że każdy dodaje co może,
I świat nasz piękny Panowie i Damy,

Z konfederatów tych zabawkę mamy.
Szczęściem dla ciebie, że czy niewiedzieli
Żeś tam był także, czy téż zapomnieli,
Lecz jesteś wszędzie tak dobrze widziany,
Wszędzie lubiony, wszędzie wyrywany
Zważałem wczoraj zająłeś rozmową
Księżniczkę Izę, księżnę Augustową,
Niezły początek!

(bierze go za rękę i mówi tonem szczerości.)

Już raz zobaczyłeś
Gdzie źródło szczęścia, to go nie porzucisz —
Kiedy młodości długi opłaciłeś
Do dawnych szałów nigdy nie powrócisz.
Zrobi się teraz inny człowiek z ciebie
Nie ten co modli i marzy o niebie,
Ale co umie sam sobie poradzić
Bez Boga modłów, dla siebie sprowadzić
Niebo dla *siebie.* Tak, już ci nie trzeba
Modłą kołatać do próżnego nieba.

WŁODZIMIERZ.

Więc już i Boga istności zaprzeczasz?

SZAMBELAN.

Boga? na prawdę że mnie znów rozśmieszasz!
Wszak filozofia nie jest wcale zerem,
A filozofi z swym wodzem Wolterem
Religię naszą za błędną uznali
I... Pana Boga zdetronizowali.

(śmieje się.)

A nota bene z tak wzniosłego tronu
Z téj Jeruzalem, z górnego Syonu
Spaść na dół to trza kark skręcić koniecznie.
Ale bo miałże panować już wiecznie

I rządzić światem kiedy taki stary?
Lepiéj podobno bez Boga i wiary.
Wiesz co i w Polsce, także tak trza zrobić,
Ale lud wprzódy trzeba przysposobić.

WŁODZIMIERZ.

Odjąć ludowi jego śliczną wiarę
Co mu jedyna słodzi życia czarę,
Co goi rany śmiertelnego grotu,
Co mu użycza swych skrzydeł do lotu,
By po nad ziemskie wyniósł się cierpienia?

SZAMBELAN.

Ależ to tylko ułuda, marzenia!
Już ci puch męzki czerni się na twarzy
A myśl się twoja jeszcze nie odważy
Iść wolno sama; jeszcze niewyrosła
Z pieluchów ducha, z przesądów łańcucha
Nie śmie iść tam gdzie prawda naga wzniosła
Panuje sama bez wyższego bóstwa.
Hm, hm, religija potrzebna dla mnóstwa!
Lud biedny! jemu religii potrzeba!
Ej, nie religii lecz mięsa i chleba —
Materyalnego bytu polepszenia
Ale nie jakiejś tam duszy, sumienia.
Kiedy lud głodny, każ mu summę śpiewać
Kiedy lud nagi, lata się spodziewać
Kiedy lud pada znużon ciężką pracą,
Mów mu że za to w niebie mu zapłacą!

O, my tu wszyscyśmy filozofami,
I ty tak będziesz byle dłużéj z nami.
A jeśli mi się wprowadzić cię uda
Na nasze sławne Czwartkowe wieczerze,
Zobaczysz nowe, lecz prawdziwe cuda

Boć tam się wielkie namaszczenie bierze,
By w krótkim czasie być głośnym przed światem,
Esprit-fort, geniuszem, mądrym literatem,
Kto tylko czem chce!

WŁODZIMIERZ.

Bardzo ci dziękuję,
Ale sił ducha na tyle nie czuję
Żebym mógł zasiąść w tak uczonem gronie.

SZAMBELAN.

Pegaza tylko nam mieć trzeba konie
By do naszego dostać się Parnassu.
Tylko tam sobie prz; gotuj zawczasu
Jaki madrygał, odę lub wierszyczki,
Do pańskiéj suczki albo rękawiczki,
Jaką sielankę o Chloi, Glicerze
I o Damonie przynieś nam w ofierze,
A król z uśmiechem twe wiersze pochwali,
Może dotknięciem ręki cię uświęci,
I twą renomę na wieki utrwali
Że w potomności żyć będziesz pamięci —
I aureolą taką cię otoczy
Że zwrócisz na się wszystkich pięknych oczy.

WŁODZIMIERZ (*z ironią.*)

Nazbyt los świetny — nazbyt wielka sława!

SZAMBELAN.

To cię nie nęci? motylu, motylu!
Dla ciebie widzę już nasza Warszawa
Ma jedną różę, wśród cudnych róż tylu!

WŁODZIMIERZ.

Kogóż?

SZAMBELAN.

Helenę — No prawda że śliczna,
Egzaltowana, troszkę romantyczna,
Właśnie dla ciebie.

WŁODZIMIERZ (*z żywością.*)

Cicho! może przecie
Masz na dnie duszy jakie uczuć kwiecie,
Może twe serce matkę zapamięta,
Może twéj siostry drogie ci wspomnienia,
Może kochanki pamięć ci jest święta,
To cię zaklinam: tego mi imienia
Tchnieniem nie kalaj!

SZAMBELAN.

Gniewać cię nie chciałem
Lecz że się kochasz dawno uważałem.
Już nie wypieraj się proszę, daremno!
A wojewoda mówił wczoraj zemną,
Że ma być tutaj. Ot właśnie przybywa.

WŁODZIMIERZ (*poniewolnie.*)

Ojciec Heleny!

SCENA CZWARTA.

Ciż sami, *Wojewoda* wchodzi, Włodzimierz wychodzi ku niemu i wita.

WŁODZIMIERZ.

Jakaż mi szczęśliwa
Gwiazda dziś świeci że Cię witam Panie!

WOJEWODA (*siadając.*)

Chciałem ci złożyć me uszanowanie
I służby moje.

SZAMBELAN.

Ot właśnie w téj chwili
W małéj my sprzeczce z Włodzimierzem byli —
Na Wojewodę zdajmy się w téj mierze.

WŁODZIMIERZ *(zmięszany.)*

Lecz po cóż trudzić?

SZAMBELAN *(do Wojewody).*

Ja mu radzę szczerze
Aby tu został. Tu mu pokazuję
Jutrzenkę szczęścia, łaskę obiecuję
Królewską, imie rozgłośne u świata,
Świetne tryumfy, zabawy, rozkosze,
To wszystko mało — on wszystkiem pomiata,
A cóż większego, świetniejszego proszę?

WOJEWODA.

Ha cóż dziwnego, każdy ma swe zdanie.

WŁODZIMIERZ.

Lecz wasze jakież? Zdanie wasze Panie?

WOJEWODA.

Ha, zdania starych nie chcą słuchać młodzi,
Lecz me zasady mój żywot dowodzi,
I myślę że kto chce iść drogą cnoty,
Nosić prawego imie patryoty,
Niech stanie według cnych ojców zwyczaju,
Przy królu. Lecz waśń roznosić po kraju,
Naród buntować, bratnie związki zrywać,
A co najgorsza na pomoc przyzywać
Dzicz muzułmańską? To nie droga sławy
Tak nie postąpi syn ojczyzny prawy.

WŁODZIMIERZ.

Ah panie może ja zbłądziłem, ale...

WOJEWODA.

A ja zbyt żywo mówiłem w zapale
Przepraszam — Panie, raczże mi darować
Bo kto swych błędów zaczyna żałować
Pewnie naprawi.

WŁODZIMIERZ (*z żywością.*)

Odtąd życiem całem
Zmażę te błędy.

WOJEWODA (*wstając.*)

Właśnie prosić miałem,
Niech dziś Pan Hrabia u nas wieczór będzie.

WŁODZIMIERZ.

To nazbyt łaski.

WOJEWODA.

Będzie małe grono
Samych przyjacioł, a ciebie w ich rzędzie
Pozwól by odtąd także policzono.
(*żegnają się.*)

SCENA PIĄTA.

Scena przedstawia wytwornie umeblowany pokój w domu Wojewody. W głębi drzwi do salonu, na prawo do innych komnat, na lewo do pokoju Heleny. *Helena* ubrana pięknie lecz zupełnie pojedyńczo w czarnéj sukni siedzi w fotelu zamyślona i smutna. *Anna* w sukni białéj niosąc w ręku białą różę i wianek niezapominków wbiega wesoło.

ANNA.

Helenko moja, jeszcześ nieubrana!

A goście pewnie się zjadą nie długo,
Ja bo się stroję od samego rana,
Biorę girlandę to jedną to drugą,
Odrzucam wstążki, odmieniam bukiety,
Jakoś nie mogę skończyć toalety.
Aż w końcu mi już i kwiatów niestało,
I teraz niewiem czy wziąść różę białą
Czy niezabudek maleńką równianką
Ozdobić włosy.

(staje przed lustrem i ubiera się w różę.)

Czy w róży mi ładnie?
Patrz że Helenko.

HELENA.

Ślicznie ci kochanko.

ANNA.

(ubierając Helenę w niezapominajki.)

To niezabudki tobie wziąść wypadnie
Jakże ci ślicznie, przy złotych warkoczach,
Nad śnieżnem czołem przy błękitnych oczach!

HELENA.

(wstaje i prędko zdejmuje kwiaty.)

O nie — nie dawaj mi kwiatów pamiątek!
Gdybyś przeszłości mogła przerwać wątek,
Gdybyś znalazła zapomnienia ziele
Możeby jeszcze radość i wesele
Były mi w życiu. Ten wianek weź sobie,
Moja Anusiu, mnie daj różę bladą
Bo, takie kwiaty zwykle tylko kładą
Śpiącéj dziewicy na cichutkim grobie.

ANNA.

Moja Helenko, co znaczy ta mowa

Wpośród nas wszystkich, ty jedna królowa,
I jesteś słońcem na tutejszem niebie,
Młoda, prześliczna, widzisz koło siebie
Sam kwiat najświeższy warszawskiéj młodzieży
Co wiernem sercem, u stóp twoich leży
A ty dla wszystkich zimna, obojętna,
Ale tem samem tem bardziéj ponętna,
Głucha na żale westchnienia i jęki
Żadnemu nie dasz ni słowa, ni ręki,
Gdzie tam zaledwie spojrzyć na nich raczysz.

HELENA.

To ty ich pociesz.

ANNA.

Zobaczysz, zobaczysz!
Że ich od ciebie odciągnę powoli.
Bo téż doprawdy że aż serce boli
Takaś okrótna — i ja bym się prawie
Za twe ofiary na ciebie gniewała,
Gdybym zbyt pusta ciągle nie myślała,
O samym tylko tańcu i zabawie.
Ale mnie dosyć kiedy z twych czcicieli
Który nas z sobą, tak równo podzieli;
Za tobą wzdycha — a zemną tańcuje.

HELENA.

Niech ci się życia złota nitka snuje
Długo tak jeszcze!

ANNA.

Teraz już zgaduję!
Czemuś tak smutna, i już się nie dziwię,
Kochasz się skrycie! Czy tak jest prawdziwie?
Czy obojętność twa tylko udana?

O powiedz że mi Helenko kochana.
No, powiedz że mi — ja taka ciekawa
Zwierzenia twego. Kto też zdobył przecie
Serce kobiety najzimniejszéj w świecie?
Czy to nie oczy księcia Stanisława?
Oczy Zygmunta!.. czy też... już wiem pewnie
Włodzimierz! ten wzrok tak smutno i rzewnie —
A tak wymownie na ciebie patrzący,
Ten ukrainiec o niebie marzący,
Co w chwili boju jakby całkiem inny
Sam za tysiące waleczny i czynny.
No cóż czy zgadłam?

HELENA.

O wcaleś nie zgadła
U mnie na duszy taka cichość siadła
Że ni wejrzenia, ani dumki smętne
Mi jéj nie zniszczą.

ANNA.

O jakżem nie rada,
Że twe serduszko takie obojętne.

HELENA.

Czemu?

ANNA (*figlarnie.*)

Bo moje serce mi powiada
Że tak niedługo będzie bujać sobie,
Nuż się zakochać wkrótce mi wypadnie
A tu nie umiem — otóż będzie ładnie.
A tak miałabym przecie przykład w tobie
Jak to nieznacznym westchnieniem ośmielić,
Jednem półsłówkiem znowu rozweselić
Jednym uśmiechem niebo mu otworzyć,
I znowu zniszczyć nadzieję miłości.

Ho, ho, ho, mam ja jak widzisz zdolności,
Do téj nauki, lecz by lepiéj było...

HELENA.

Same ci żarty w myśli, o mój Boże!
Lecz żartuj daléj mnie to słuchać miło.

ANNA.

Ja od dzieciństwa chowana w klasztorze
W modłach i pracy — myślą biegłam nieraz
Na łąkę życia, po kwiaty użycia,
Po za te mury, do ludzi, do świata —
Terazem wolna i szczęśliwam teraz
Więc chcę używać wszystkie kwiaty zrywać.

(z udaną powagą.)

Bo to nie stoją przecie młode tak
Lecz prędko płyną, a z każdą godziną
Ja coraz starsza — jak się zastarzeję,
Będę w klasztorze za mą grzeszną duszę
Mówić pacierze.

(Helena się uśmiecha.)

A ona się śmieje
Jak widzę zemnie!

HELENA.

Jużci śmiać się muszę
Jak o starości mówisz i klasztorze.

ANNA.

A to mi o tem mówić nie do twarzy?
Czy może wcześnie? Ja różnie próbuję
By cię rozerwać jakoś się udało,
Trzpioczę się ciągle, śmieję się, pustuję,
Nic nie pomaga! To filozofuję
I gadam mądrze, tak jako przystało

Już na osobę dojrzałą, przejrzałą,
Będę godzinki i litanije śpiewać,
Ja będę nawet tabaczkę zażywać,
Byle mi zniknął ten cień z twego czoła,
Byleś mi była szczęśliwa, wesoła,
Jak ja Helenko!

(*całuje Helenkę.*)

HELENA.

O mój trzpiocie młody
Daremnie — mojéj minął wiek swobody
Czemu? niepytaj, późniéj, późniéj może,
Całą mą duszę przed tobą otworzę,
Teraz idź, baw się... bo mnie to przyjemnie.

ANNA (*smutno.*)

O już nie takie przecie dziecko zemnie,
Jak sobie myślisz. Ja tak kocham ciebie,
Jak siostrę, więcéj! jak matkę, o więcéj!
Jak by anioła, mą patronkę w niebie,
O jeszcze więcéj i jeszcze goręcéj!
Boś mnie wróciła do życia, do świata,
Bo mnie sierocie biednéj iść kazali
Żywéj do grobu, bo klasztorna krata
To głaz grobowy. A z za krat tych daléj
Myśl młoda biegła do życia swobody
Serce pragnęło majowéj pogody,
Kwiatów i rosy błękitów bez końca,
Ludzkiéj miłości, i śpiewów, i słońca.
A tam wśród murów słońca, nieba mało —
Tam śpiew pogrzebny — tam oczy spuszczone,
Ni czuciem skrzące, ni łzami zroszone,
Ale tak szklanne jakby już nie żyły —
Serca tak ciche jakby już nie biły —
A ty aniele mnieś się użaliła,

Tyś mnie ptaszynie klatkę otworzyła,
Wzięłaś do siebie tobiem wszystko winna
Tom twe cierpienia choć dzielić powinna,
A ty samotnie powolne łzy sączysz
Do tylu łask twych tę jedną dołączysz
Że mi już wolno będzie płakać z tobą.

HELENA.

Jabym o dziecię mą własną żałobą
Ciebie smuciła! Chyba gdy nie zdołam
Znosić już sama to ciebie przywołam.
Teraz chcę użyć tego przekonania
Że moja luba, moja słodka Ania
Szczęśliwa całkiem. Kochaneczko moja
Będziesz się bawić? Ta swoboda twoja
To moje dzieło — czyż daremnie proszę?

ANNA *(ociera łzy.)*

Już mi nie tańce, już mi nie zabawa
Teraz na myśli! Już wszystkie rozkosze
Dzisiejsze za nic!

(idzie ku oknu.)

Alem też ciekawa
Czy będzie dzisiaj Pani Augustowa
Wiesz, po tych plotkach — Księżna Adamowa
Czy zaproszona? Ah, już goście jadą!
Patrz się trzy karet, z największą paradą,

(biegnie przed lustro.)

A nieskończona moja toaleta,
Jeszcze perełki, jeszcze bransoleta,
Jeszcze diadem z rubinów nad czoło,
Jeszcze szaliczek gazowy na szyję,
A potem stanę w tanecznikòw koło,
Hop, hop, mazurka! aż mi serce bije,

Na tę myśl samą, aż mi dusza skacze!

(wybiega skacząc i nucąc mazurka.)

SCENA SZÓSTA.

Helena sama patrzy za nią z smutnym uśmiechem.

HELENA.

A moje serce cicho, smutno płacze
Za ślicznem wczoraj! Bo dzisiejsze życie
Smutne — jak smutne całunu nakrycie,
Jak dzień bez słońca — jak wiosna bez kwiatów,
Gaj bez słowika — jak nieba obszary
Bez onych gwiazdnych i słonecznych światów —
Tak, po spełnieniu okropnéj ofiary
Młode me serce,

(po chwili.)

A teraz, łez, żalu
Ciche strumienie spłyńcie mi głęboko —
Bo ja to przecie dziś królową balu!
Uśmiech na usta, jasny promień w oko —
Dowcip niech lekkim motylem przelata,
Udanie czoło osunie zasłoną
Przed szklannem, bystrem, zimnem okiem świata.
Bo gdyby świat ten spojrzał mi wgłąb łona,
Toby się zaśmiał, toby ze mnie szydził,
Albo litości jałmużnę mi rzucił
Bo ja — zdradzona — bo ja — pogardzona!
Bom ja kochała — a on znienawidził!
Bo on mą rękę od siebie odrzucił
Jak liść zwiędnięty! Oh biednaż ja biedna!

SCENA SIODMA.

HELENA, WOJEWODA (*wchodzi*).

WOJEWODA.

Cóż tu Helusiu robisz sama jedna,
Idź że się ubrać moje drogie dziecię
A potem z Anną do sali przyjdziecie
Przyjąć łaskawych i dostojnych gości.
Cóż to Helenko, znowu cień żałości
Nad czołem zawisł? O dziecko kochane
Znowu rozdzierasz zagojoną ranę,
Znowu wspominasz o moja jedyna,
Że jeszcze zemsty nie przyszła godzina.

HELENA (*składając ręce*).

Tylko o zemście nie mów ojcze słowa.

WOJEWODA.

To bądź wesołą.

HELENA.

Już jestem gotowa
Być tak wesołą jak gdy dzieckiem byłam,
Gdy na kolanach twoich się bawiłam.
Nie chcę pamiętać nic z mojéj przeszłości,
Prócz twoich pieszczót Ojcze, twéj miłości,
I za to będę płacić ci sowicie,
Uśmiechem szczęścia całe twoje życie.

WOJEWODA.

Ten uśmiech tylko bolesnem skrzywieniem,
W oczach łzy tęczą, pod szczęścia promieniem.
O nie wiesz dziecko... Bóg tylko wie w niebie
Co to za męka mnie tak widzieć ciebie.

(*odwraca się od niéj*).

Dziecko, przez litość dla mnie, bądź szczęśliwa!

HELENA (*pieszczotnie*).

Będę, już jestem, na czemże mi zbywa?
Kiedy mój ojciec tak dobry, tak święty.
(*całuje mu ręce i wychodzi*).

SCENA ÓSMA.

WOJEWODA (*sam*).

Biedna dziewczyno, twych bolów przyczyną
Ja to, ja jestem! ja to, ja przeklęty!
Młode twe szczęście nogami zdeptałem
Ja kwiaty życia z twéj duszy wyrwałem.
On ją tak kochał... ona go wzajemnie,
Możeby... ha, już żałować daremnie.
Ja nie na oślep stawiałem me kroki,
Lecz mam przed sobą plan wielki głęboki
Osiągnąć muszę.
(*Wchodzi lokaj otwiera drzwi od salonu który przepysznie umeblowany i oświetlony, zapala kandelabry w komnacie gdzie się Wojewoda znajduje i wychodzi*).
Trzeba witać gości
Przywdziać na siebie szatę wesołości,
Oszukać wszystkich i własne sumienie.
Tak, to blask złota, te drogie kamienie,
Ten dźwięk muzyki, co w wonnem świetlanem,
Drży tu powietrzu, ten promień wesela
Na tylu twarzach... widzieć się kochanym
Co krok uściskać rękę przyjaciela
Widzieć tłum drobnych do kolan swych zgięty,
A tłum uliczny czcią, dziwem przejęty,
To wszystko mnie znów na chwilę ogłuszy,
Trzeba używać tych drogo kupionych
Skarbów wielkości, znaczenia — spłaconych

(*stłumionym głosem*).

Spłaconych... spokojem duszy,

(*chodzi powoli zamyślony ponuro*).

Był czas... okropny!.. gdy życiem szalonem
W ucztach, biesiadach, w rozkoszach spędzonem,
Całą po ojcach spuściznę zmarniłem.
Znikła cześć ludzka, i przyjaciół roje,
Zamknięte stały złociste podwoje;
W domu rodzinnym, tak samotny byłem
Jak smutny puszczyk w ponurem zwalisku.
Stałem przy zimnem i ciemnem ognisku,
Aż weszła nędza, zimna, blada, sina,
I dłoń wyciągła, jak matka do syna —
Ja? dzieckiem nędzy!.. Ona mnie tuliła
Aż dłoń jéj chuda przez piersi się wbiła,
Do serca mego i serce rozdarła.
Krzyknąłem z bólu — wtedy mi rozwarła
Z trzaskiem na oścież me domowe wrota,
I mnie wygnała, życie wlec kazała
Żebrząc jałmużny u cudzego płota,
I wiecznie łaknąć złota - złota - złota.
A łaknąć darmo. Ja tak dumny, hardy,
Ja miałem tułać się w świecie bez domu,
Po chleb jałmużny tak gorzki i twardy,
Wyciągać rękę! Ale niedość sromu,
Moją dziecinę taką wyniszczoną,
Moją gołąbkę, tę moją królewnę,
Miałem zostawić biedną opuszczoną,
Na łaski ludzkie niechętne, niepewne,
Żeby bogatszym krewnym była sługą!..
By nią ubogą bogaci gardzili!..
Myśl ta, to męka. Męczyłem się długo
Przeżyłem wieki cierpień w jednéj chwili,
Całą tę przyszłość okropną zmierzyłem
I, złota! złota! złota wściekły wyłem.

I... Bóg nie zstąpił na me wycie głuchy
Ale kuszące złe przybyły duchy,
Stanęły między muą, nędzą, i cnotą.
Dałem im rękę — i wróciło złoto,
Blaski, dostatki, bez trudu i znoju,
I przyjaźń możnych i tłumu podziwy,
Wróciło wszystko przeciem nieszczęśliwy,
Bo mam już wszystko, prócz w duszy spokoju.

SCENA DZIEWIĄTA.

Wojewoda — *wchodzi* Szambelan.

SZAMBELAN.

No Wojewodo szlachty huk przybywa!.

WOJEWODA.

Szczerze ich przyjmie gościnność prawdziwa.

SZAMBELAN.

Masz że już wino i pasztet gotowy
Powitać w progu? Bo to szlachta braty
Taka jak niegdyś bywała przed laty.
Wszystko w kontuszach z golonemi głowy,
I wąsa kręci i podzwania szablą,
Wszystko to mówię ci ma minę diablą!
Że aż mnie strach wziął stanąć między niemi,
W fraczku francuzkim z włosy kręconemi,
W lekkiem obuwiu i bez karabeli.
I prawdę mówiąc na fundusz mnie wzięli.
O jakimś diable w niemieckiem ubraniu
Słuchać musiałem przedowcipne drwinki —
Lecz kontenansu anim odrobinki
Nie stracił owszem zgadzałem się w zdaniu,
Skarząc się na te cudzoziemskie mody
Kpiłem sam z siebie. Potem Wojewody

Nuż chwalić hojność, gościnności cnotę,
Dawne zasługi rodzinne wysławiać,
Dzisiejszą możność i wpływy przedstawiać,
Aż województwo całe na ochotę
Prowadzę. Nawet Starosta, Podstoli,
Kasztelanic i Stolnik także tu dziś będą
I innéj nad twą nie będą mieć woli
Kiedy przy twojém stole raz usiędą.

WOJEWODA.

Ah Szambelanie — ja zaledwie wierzę...

SZAMBELAN.

Cóż to wielkiego! przecie mówiąc szczerze
Przywabić szlachtę biesiady ponętą
Wcale nie sztuka. Lecz serce z płomienia,
Lecz duszę wielką i pełną natchnienia
Wyrwać i rzucić jak trawę zwiędniętą
Na igrę wiatrom — i zrobić ją małą,
Bladą bez życia, bez barwy i blasku
Z istoty boskiéj zrobić ziarnko piasku
To mi to dzieło! A mnie się udało
Dziś Włodzimierza od Barskich oderwać
I może...

WOJEWODA.

Wybacz, lecz ci muszę przerwać,
Temu nie wierzę. Tego zapaleńca
Marzyciela, poetę, co dla sławy wieńca,
Z całem się piekłem spotykać gotowy!
Że dziś pożegnał mnie kilkoma słowy
Któreby można na dobre tłomaczyć,
Ja myślę... że to nie może nic znaczyć!
On się nie zmieni — nie, to być nie może
Darmo się łudzisz.

SZAMBELAN.

Nie wierzysz? mój Boże
On już odstąpił. Cóżeś tak zdziwiony?
Przecież Achilles ów niezwyciężony
A padł kiedy go postrzelono w piętę.
Chociaż przyrody matki dłonie święte
Zanurza w morzu dziecie ulubione
To pięta zawsze sucha pozostanie.
Tylko w nią trafić w tem sztuka moj panie;
A słabe strony chociaż się nie chwalę
W każdym wynaleść umiem doskonale.

WOJEWODA.

Już nie wiem czego mógłbym więcéj życzyć
Jak Włodzimierza w rzędzie naszych liczyć.
Dziedzic takiego imienia i rodu,
Co takie wzięcie pozyskał za młodu;
Wszystko by łatwiéj szło nam od téj chwili,
Pod jego imie byśmy się schronili —
Bo przecież dosyć imienia, dla tłumu.
Szlachty, co niema własnego rozumu,
Co ślepo przyjmie podane jéj zdania,
A pragnie biesiad jakby deszczu kania.
Oh, Szambelanie, mybyśmy wygrali,
Gdyby nadzieja niebyła daremną
Gdyby Włodzimierz był z tobą i zemną —
Lecz... jakby tu z nim postępować daléj!

SZAMBELAN.

Gdybymśmiał radzić...

WOJEWODA.

Co, co przyjacielu?
Wiesz do jakiego obaj dążym celu
O środki fraszka.

SZAMBELAN.

Uważałem troche
Że w córce twojéj Włodzimierz się kocha.
A serce jego szalone, namiętne
To w jednéj chwili zwalczy słabą głowę
Gdy przez nadzieje mu dane ponętne...

WOJEWODA.

On — mą Helusię — a to wieści nowe!
Hm, jak innego sposobu już niema
To go trza będzie usidlić oczyma
Mego dziewczęcia. Pomyślę ja o tem.
A ty mój drogi, idź, szeptaj do ucha,
Kadź głupiéj szlachcie i myrrą i złotem,
Aby czem prędzéj uspić resztę ducha.
Obiecuj włości, urzędy, godności,
Królewskie łaski, zaszczyty i blaski,
Mów o szlacheckiéj, o złotéj wolności,
O wszelkiéj z nami wielkimi równości,
O wolnem Veto, o Rzeczpospolitéj...
Lecz, co ci mówię? tyś w ciemię nie bity
Będziesz to umiał

SZAMBELAN (*śmieje się*).

O i doskonale!
A wiem że ty ich przyjmiesz tu wspaniale,
I że nie będziesz żałował im wina —
To cię dziś będą na ręku nosili,
Za to zaręczam.

WOJEWODA.

Już tam wytoczyli
Z piwnicy beczki dobrego węgrzyna
Co pamiętają Jana Kazimierza.

SZAMBELAN.

Adieu — powierzam tobie Włodzimierza
Dziś albo nigdy.

(*wychodzi*).

SCENA DZIESIĄTA.

WOJEWODA (*sam*).

A — to jest myśl z nieba!
To mąż jakiego dla Helusi trzeba!
Ona odkwitnie — ona łzą tajemną
Już nie wyrzeknie przekleństwa nademną.
A jego tak znów potrafię skrępować
Że do mych planów musi się stosować —
A — wszystko mi się paradnie układa!
Lecz, otóż gości nadchodzi gromada.

SCENA JEDYNASTA.

Wojewoda — wchodzą drzwiami od strony prawéj Kasztelanic Starosta, Podstoli, Stolnik, Szambelan i kilka innych osób.

WOJEWODA (*witając*).

Starosta! Kasztelanic długo niewidziany!
A witam — witam wielce miłych gości.
A!! i nasz Stolnik! Podstoli kochany,
Prawdziwie dla mnie zbyt wiele radości.

(Powitawszy innych podaje rękę Podstolemu ale Podstoli nie śmi jéj przyjąć, lecz się pochyla i obejmując jedną ręką lekko ściska kolana Wojewody).

PODSTOLI.

Jaśnie Wielmożny Pan i Wojewoda
Zbytnie łaskawy dla swojego sługi.
Ale to szkoda — prawdziwie że szkoda
Że być niemogę młodym poraz drugi,

Bobym krew moją za ciebie wytoczył,
A tak — stary!

WOJEWODA.

Stary ale jary!
Jeszczebyś pewno młodego przeskoczył.
A z resztą głowa tak dobra do rady
Co może godzić między bracią zwady
Toć dzisiaj lepsza w naszym smutnym stanie
Jak silna ręka.

(*do Stolnika*).

Nie prawdąż Stolniku?

STOLNIK.

Oj prawda — prawda miłościwy Panie!
Boć to dziś w kraju i wrzasku i krzyku,
Jako tam niegdyś przy Babelskiéj wieży —
Że człek nic nie wie, i nic nie rozumie,
Którzy są szczerzy, a którzy nie szczerzy
Dla kraju — nawet rozróżnić nie umie.

PODSTOLI (*do Stolnika*).

Co Waszmość mówi o Babelskiéj wieży.
Unum corpus unior animus regi przynależy
Oto jest województwa dusza panująca,
Gdzie prowadzi, tam jedźmy, jak za blaskiem słońca

WOJEWODA.

Za wiele łaski panowie, za wiele,
Lecz odkąd służę braciom, mogę mówić śmiele,
Że *sacrosancte* pełnię powinności,
Całego siebie *immolo* z ochotą
Dla miłościwych braci szczęśliwości.

PODSTOLI (*do Starosty*).

Nasz Wojewoda to ma duszę złotą!

(*Szambelan mówi tymczasem to z Starostą to z innemi po cichu — Wojewoda do Kasztelanica*).

WOJEWODA.

My tu radziemy *de publico bono*
A mój kochany Kasztelanic młody
Czeka zapewne na weselne gody
I patrzy tam gdzie dziewic siedzi grono.

KASZTELANIC.

Ależ nie — Panie.

WOJEWODA.

Nie trza się wypierać
Niema w tém złego mój łaskawy Panie
Jam także wolał tańczyć, niż się spierać
O jakieś prawa — polityczne zdanie,
To potem — Teraz idź patrz w piękne oczy
Czarne, błękitne — patrz na krasne lica
Jedne różowe w blask zorzy uroczy
A drugie blade jak światło księżyca.
Podziwiaj cudne te szyje łabędzie,
Wzdychaj i ściskaj drobne rączki białe;
A potem kiedy tego trzeba będzie,
To serce twoje mężne i wspaniałe
Na dobréj tylko pewnie stronie stanie.

KASZTELANIC.

Za twoim szladem pójdę wszędzie panie,

(*Kłania się i wchodzi do salonu z kilkoma z młodszych*).

WOJEWODA (*prowadząc Starostę na przód sceny*).

Wiesz Starosto że Jaśnie Oświecony
Książe Repnin pytał się o ciebie przedwczora

STAROSTA (*blednąc*).

Książe — o — mnie?..

WOJEWODA.

Wiesz że obrażony
Za nocleg Puławskiego — wiesz! właśnie jest pora
Błąd naprawić, bo to, jak on raz w gniew wpadnie...

STAROSTA.

Ah gdyby przebłagać...

WOJEWODA.

Ja to zrobię snadnie,
Mam wpływ dość znaczny, przynajmniéj spróbuję.

STAROSTA.

Ah, panie — wdzięczność...

WOJEWODA.

Ja na nią rachuję
(*Bierze go pod rękę i idzie w głąb mówiąc po cichu*).

PODSTOLI (*do Szambelana*).

Wojewoda, *lumen!* jaką obligacyą
Gdybym uczynił mą lichą personą.

SZAMBELAN.

Panie Podstoli, swoją weneracyą
Możesz mu dowieść — zdaje mi się pono
Waszmość masz wielką wziętość między swemi.

PODSTOLI.

Juścić mnie znają — i tam w naszéj ziemi
Słowa me nie wiatr.

SZAMBELAN (*cicho*).

Trza dla Wojewody
Pozyskać szlachtę.

PODSTOLI.

Panu Bogu chwała
Że *Venit hora mea*, gdzie złożę dowody
Usłużności. I *Verbum nobile*, że cała
Szlachta mi znana, odda gardło swoje
Za Wojewodę.

WOJEWODA.

Ależ ja tu stoję
Cieszę się szczerze przybyciem mych gości
A czas tak prędko upływa w radości
Więc proszę, proszę wielce miłościwych
Panów i braci, tam do drugiéj sali.
Młodzi do tańca, i zabaw godziwych,
A my zaś starzy będziem rozmawiali
O tém co w sercu najgłębiéj nam leży,
O *Respublicae*, a jak się należy
Po dawnym ojców przesławnych zwyczaju,
Spełnimy puchar starego węgrzyna,
Co to nam lepsze czasy przypomina,
Najprzód za zdrowie najdroższego kraju,
A potem dawne „kochajmy się“ bratnie.
(*Wychodzi z gośćmi na prawą stronę.*)

SCENA DWUNASTA

SZAMBELAN (*sam*).
(wskazuje ręką za odchodzącemi).

Już mam ich wszystkich!
A — listy ostatnie

Z Carskiego Sioła, jakże miłéj treści!
(*dostaje listy i czyta*).
Więc, order, order już mi przeznaczony,
I to najpierwszy z cesarskiéj korony,
Diamentami na piersiach zaświeci.
(*chodzi zamyślony*).
Tylko Włodzimierz czy wpadnie w te sieci?
Nietrza na chwilę spuszczać go dziś z oka.
(*po chwili*).
Ha — otóż to jest myśl cudna, głęboka!
Otóż to geniusz! bo to w jednéj dobie
Włodzimierz naszym i dogodzę sobie,
Kiedy Jerzemu skrę nadziei zdmuchnę
Serce kochanki, od niego oderwę,
I tych pamiątek przędziwka leciuchne,
I tych różanych dumek nitkę przerwę.
Bo on Helenę jeszcze kocha w głębi;
Ja go niecierpię! Jego wzrok tak dumny,
Gwałtowną trwogą serce moje ziębi
Jakby wśród balu, nagły widok trumny.
Otóż Włodzimierz.

SCENA TRZYNASTA.

Szambelan — Włodzimierz wchodzi z salonu powoli, z głową spuszczoną i niewidzi Szambelana.

WŁODZIMIERZ

Heleno, aniele
Zlituj się, zlituj, bo cierpię za wiele —
Jam taki słaby — jam walczyć niezdolny

SZAMBELAN (*na stronie*).

Przepadł na wieki!

WŁODZIMIERZ (*siada na sofie*).

Mój kwiateczek polny
Tobie oddaję — te święte wspomnienia
Z serca wyrzucę...

SZAMBELAN (*zbliża się*).

Przyczyna wzruszenia
Twego, cóż to jest? Ja się spodziewałem
Że kiedy staniesz z twoim ideałem
W parze do tańca, to będziesz rumiany
Wesół, szczęśliwy, a ty mój kochany
Blady, w rozpaczy, najbiedniejszy w świecie,
I o co? otóż dogódź tu poecie.

(*śmieje się*)

WŁODZIMIERZ

(*patrzy nań z zmarszczoną brwią i zrywa się z sofy*).

Ktoś ty jest — powiedz — z tym zimnym uśmiechem
Ty, co się brzydzisz uczuciem jak grzechem,
Co nic świętego już niemasz na ziemi
I zimno igrasz z sercami ludzkiemi?
Powiedz mi, powiedz — Jesteś ty szatanem,
I mojéj duszy tajemniczym panem?
Że świętość moją z piersi mi wydzierasz
Jak twoją własną. Czemu poniewierasz
Twojemi usty...

SZAMBELAN (*z udaną szczerością*).

Ah, jak mnie rozrzewnia
Twe uniesienie! Jak mnie to upewnia
Że ty ją kochasz. Jeśli ci wzajemną...

WŁODZIMIERZ.

Ona — wzajemną?

SZAMBELAN.

Nie ciesz się daremno
Bo może tylko tak mi się zdawało
Lecz tak spłoniona, zmieszana, nieśmiało

Odpowiadała gdym pytał o ciebie...
A potem znowu gdy z tobą tańczyła,
Myślałem anioł żegluje po niebie,
Tak cała jasna, tak szczęśliwa była,
Gdy wsparła rączkę na twojem ramieniu.
Au revoir luby.

(wychodzi do salonu).

WŁODZIMIERZ (*sam, chodzi prędko po pokoju*).

Oh — czyż się poddać mam temu marzeniu?
A te jéj oczy, te błękitne oczy,
Jak wiele mówią w przeciągłem wejrzeniu;
Dusza z poza ich promiennych przezroczy
Śpiewa o jakimś rozkosznem cierpieniu
I o miłości o szczęściu bez końca.
A tych usteczek uśmieszka błądząca,
A te jéj kształty nadziemskie leciutkie,
Owiane lekko w te gazy bielutkie
Gdzie oko błądzi rozkosznie, nieśmiało,
I nie śmie odkryć, i odkryć by chciało,
Mgłę tajemniczą, aby pierś dziewiczą
Ujrzeć choć myślą!

A ja z nią tańczyłem
Ona się wsparła na mojém ramieniu,
Promienie oczu jéj mą duszą piłem,
Piłem jéj oddech w namiętnem westchnieniu
I wtedy czułem, że ona koniecznie
Musi być moją, że w niéj niebo moje
Że z nią jedynie będę szczęśliw wiecznie,

(po chwili milczenia).

Ja jak szalony — jak w gorączce roję
O wiecznem szczęściu i wiecznem kochaniu
Tak jak to niegdyś nad Dniepru brzégami.
A tam Bożena po naszem rozstaniu
Długi dzień po dniu liczy tylko łzami

I ciężar życia zaledwo już dzwiga,
I mnie przekleństwem gdzieś po świecie ściga.
Ale nie — ona pewnie zapomniała,
To już tak dawno — jeszczeżby kochała?
Pewnie nie pomni, szczęśliwa z kim innym,
A ja też także nie czuję się winnym,
Przecie nad sobą panować umiałem
Zguby przyczyną dla niej się nie stałem.
Jam był pół dziecko — całe dziecko prawie
Dnie nam płynęły w anielskiej zabawie,
Jakby w niebiosach nie na ziemi wcale.
I dla tych przysiąg wyrzeczonych w szale
Czyż się ma szczęścia wyrzec dusza młoda?
Oj, szkodaż mej wiosny szkoda!
Bo uczucia to są kwiaty,
Tak jak róże, jak bławaty,
Nowe, wonne, świeże wzrosną.

(*Coraz namiętniej.*)

Że znów kocham, czyż to dziwo?
Kiedy serce moje młode
Bije silnie, bije żywo
I śle w żyły krew nie wodę!

(*Po chwili wzburzenia usiada i opiera głowę na ręku, z salonu słychać muzykę.*)

O jakżebym rad, tak wsparty na ręku,
Słuchał, i słuchał tej muzyki dźwięku;
I patrzył wiecznie na taneczne kręgi,
Na migające uploty warkoczy,
Na mgliste gazy i kwiaty i wstęgi,
Na te jak gwiazdki błyszczące się oczy,
I na te lica, na śnieżne ramiona,
Na ten staniczek w sukienkę ujęty,
Na to rozkosznie wznoszące się łono,

Na ten przecudny kwiatek z nieba wzięty
Na mą Helenę!
(*Spogląda na lewo ku drzwiom komnat Wojewody.*)
A goście tu ku mnie
Idą — jak głośno, wesoło i tłumnie,
Pijani winem i biesiady wrzawą,
Jakże szczęśliwi! Ha i ja mam prawo
Także do szczęścia — Pójdę i upoję
W świetle jej jasnych oczu duszę moję.
(*Odchodzi do salonu.*)

SCENA CZTERNASTA.

Od komnat Wojewody wchodzi Starosta, Stolnik, Podstoli i wielu szlachty podchmieleni z kielichami w ręku.

PODSTOLI.

Gdzież nasz gospodarz, hej Mości Panowie
Trzeba go szukać, jego pijem zdrowie.

STOLNIK.

Gdzieś się nam podział — a czy też to można
Tak nam uciekać!

PODSTOLI.

Jakby to bezbożna
Horda Tatarów naszła niespodzianie,
Albo konfederaci odpuść Panie.
(*kilku z szlachty wchodzą do salonu i wśród nich Wojewoda.*)

JEDEN Z SZLACHTY.

Jest, jest, gospodarz, oto prowadzimy.

PODSTOLI.

Jaśnie wielmożny, wielce miłościwy!
Niechże *injurii* takiej nie znosimy.

Czyż byś to miłość braterską miał za nic?
A toć to miłość nasza jest bez granic,
I na dokument że affekta stare
Nasze niezmienne.

WSZYSCY (*wznoszą kielichy*).

Wiwat renovare
Zdrowie spełnione.

WOJEWODA.

Wielce miłościwi
Panowie bracia, jak szczerze życzliwi
Jesteście widzę, lecz nie zasługuję....

PODSTOLI.

In vino veritas co mówię to czuję.
Nasz Wojewoda to jest czyste złoto,
Perła, diament, to poczciwe łono,
Więc jego chęci *pro publico bono*
Prędkie spełnienie *cum auguro voto*
Ex core et animo winszuję i piję.

WSZYSCY.

I my, my wszyscy — niech żyje! niech żyje!

WOJEWODA.

Premium odbieram to *ultra merita!*
Ale powróćmy, już próżne puchary.

STOLNIK (*do Podstolego*).

Znów nam ucieknie.

PODSTOLI.

O nie damy wiary
Weźmiem na ręce, zaniesiem i kwita.

WSZYSCY.

Tak, tak, na ręce. W górę Wojewoda!
Niech żyje wolność złota i swoboda!
Niech żyje veto, nasze polskie veto!

(Wychodzą tłumnie niosąc Wojewodę na rękach drzwiami na lewo, podczas gdy w drzwiach salonu pokazuje się Szambelan śmiejąc się szydercza.)

SCENA PIETNASTA.

Helena wsparta na ramieniu Anny wychodzi z salonu i usiada na sofie.

HELENA.

Chodź droga Anno, bo ja tym ciężarem
Tańcu, muzyki, i tym jakimś gwarem
Tak przygnieciona.

ANNA *(z żywością)*.

O, ja nieznużona,
Jabym tańczyła, od zorzy do zorzy,
Przez dnie i noce, przez cały świat boży!
(stojąc przed lustrem.)
Lecz i ty dotąd tak byłaś wesoła,
Żeś ożywiała wszystkie nasze koła,
Dopiero teraz nagleś posmutniała.
Lecz, Heleneczko, czyś ty uważała,
Jak Włodzimierza płomienne wejrzenie
Tkwią ciągle w tobie, jak w gwiazdce zbawienia.
On zakochany!

HELENA.

Zajęcie chwilowe,
Co w kilka godzin, gdy światła balowe
Z rankiem pogasną, muzyka ustanie,
Zgaśnie i przebrzmi — i nie pozostanie

Nawet podzwięku. O, takie kochanie
Nie zmąci życia, serca mu nie skrwawi,
Przyznaj mi Anno.

(Anna siada obok niej.)

Te wrażenia miną,
Nie chciałabym mu być bólu przyczyną —
Bo ten głęboki fałd na jego czole
Wydaje dawne lecz głębokie bóle.

(wchodzi Kasztelanic.)

KASZTELANIC *(do Anny).*

A, Pani tutaj, szukam Pani wszędzie
Wszak Pani zemną teraz tańczyć będzie

ANNA *(z żywością).*

Prawda! przyrzekłam!

(wychodzą.)

SCENA SZESNASTA.

HELENA *(sama, powstaje z sofy).*

Czegóż się tak trwożę!
On byż mnie kochał? O nie dajże Boże!
On taki młody mógłby być szczęśliwy
Jemu kwiat życia mógłby jeszcze ożyć,
Gdyby go oblał uczuć strumień żywy,
Lecz gdyby chciał go na mej piersi złożyć....

(z bolesną rezygnacyą.)

Byłam ja inną.... lecz — skończone żale —
Już go nie kocham — już nie kocham wcale,
Już — ani trochę —

(z nagłym wybuchem namiętności przytulając obie ręce do piersi.)

Kocham, kocham jeszcze!
Och, dniem i nocą wiecznie mimo chęci
Z obrazem jego, dniem, nocą się pieszczę.

On tak tkwi ciągle w mej duszy, pamięci,
Piękny, bez plamy, jak był w owej chwili
Kiedy mi pierwsze kocham cię powiedział —
Gdyśmy oboje tak z wiarą roili
Gdy się zdawało, że już żaden przedział
Dusz nam nie dzieli — że po życia błoni
Iść będziem razem złączeni, dłoń w dłoni,
A gdy skończemy życia ziemskie znoje,
Wzlecimy razem — oh razem oboje
Tchnieniem miłości, do Ojca miłości.

(*z boleścią.*)

I tyś tak z własnej, z własnej twojej woli
Tę szczęścia łódkę z jeziora marzenia
Zepchnął na mętny Ocean niedoli!
Tyś mnie z tej kwietniej miłości kolei
Zrzucił w tę otchłań cierpienia bezdenną
W tę noc rozpaczy bezgwiezdną i ciemną
Gdzie jako w piekle już niema nadziei.
Niema nadziei! W grobie ni za grobem
My się już żadnym nie złączym sposobem.
Boć i tam serca wierne a nie wierne
Rozdzielać będą przestrzenie niezmierne
Co niebo od piekła dzielą.

(*coraz namiętniéj.*)

Gdyby modlitwami wielą
Ja mogła odkupić ciebie —
I kiedyś — kiedy przy tobie
Po tego życia żałobie
Być mogła u Ojca w niebie!!....
Albo.... gdy to być nie może,
Na siebie grzechy twe włożę,
I z drogi cnoty odbiegnę,
I przed złem głowę mą zegnę,
I pójdę dla twéj miłości,
Wraz z tobą w wieczne ciemności,

Beznadziejnego piekła!

(*zastanawia się, wzdryga i załamuje ręce.*)

Ah, cóżem ja wyrzekła!
Boże — Ojcze mój! przebacz chwilę szału —
To serce nagle tak mię zabolało.
Ale na cóż ty ten świat ideału
Tak dałeś zniszczyć? Czemu ci zadało
Okropne kłamstwo Twoich rąk stworzenie?
Po nad nim były twych niebios promienie
On miał od ciebie oczy, jasność czoła,
Ten jasny spokój, pokoju anioła,
A duszę podłą i zimną gadziny —
Oh, ie od Ciebie mój Boże jedyny!

(*usiada i twarz rękami zakrywa.*)

SCENA SIEDEMNASTA.

(Helena — Włodzimierz wchodzi.)

WŁODZIMIERZ (*oglądając się*).

Wszędzie jej szukam — ah — otóż jest ona.
Serce mi bije.... głos na ustach kona.

(*zbliża się do Heleny, która go nie widzi.*)

O przebacz — przerywam niemile
Może miłego zadumania chwilę.

HELENA.

Panie Włodzimierzu — ja Panu dziękuję
Za to z snów przykrych nagłe obudzenie
Czasem się nawet na siłach nie czuję
Rozerwać samej bolesne marzenie.

WŁODZIMIERZ.

Sny przykre były? Marzyłaś boleśnie?
A ja myślałem na jawie czy we śnie
Na listkach róży spoczywasz szczęśliwa.

HELENA (*wstaje*).

Prawda, szczęśliwam, Pan mi przypomina —
Bom zapomniała — jakaż to przyczyna,
Że Pan z bawiących grona tu przybywa?

WŁODZIMIERZ.

Sam niewiem czemu, nagle się ściemniło
Jakby ni jednej lampy już nie było.
Nagle tak ścichło, ni głosu, ni dźwięku, —
I tak pobrzydło, ni woni ni wdzięku, —
Jak gdy grad przejdzie przez kwitnące niwy.
Jak gdy śmierć przejdzie po nad serca tłuszczy —
Ja tam zostałem jeden tylko żywy
W świecie bez życia, jak palma na puszczy,
Ciebie... nie było...

HELENA (*śmiejąc się*).

Ależ proszę Pana
Pamiętać że ja na wsi wychowana
Nie długom w mieście — dla tego nie umiem
Cenić tych słówek, ani ich rozumiem.

WŁODZIMIERZ (*lekko*).

W obiegu tyle fałszywej monety,
Że i najlepszej brać nie chcą niestety!
A przytem to już z doświadczenia wiemy
Że prostą drogą celu nie dojdziemy —
Że Pánie lubią tak kwiaty robione,
To każden świeże odrzuca na stronę,
Gdy kwiat bez życia, bez wdzięku i woni
Najchętniej z naszej przyjmujecie dłoni.

HELENA.

Ja się w prawdziwe tylko kwiaty stroję,
I dziś, ot widzi pan tę różę moję.

WŁODZIMIERZ (*zalotnie*).

Nie, nie widzę jej bo zwiędła i zbladła
Z żalu żeś Pani jej wdzięki odkradła.

HELENA (*poważnie*).

Panie Włodzimierzu ja już tak znużona,
Tak bezlitośnie jestem przesycona
Codzienną strawą tych zimnych grzeczności.
Proszę porzućmy ten ton wesołości
Tak dziwnie sprzeczny z wyrazem twej twarzy
Gdzie dawny smutek dziś jeszcze się żarzy.

WŁODZIMIERZ.

Aniele! rzućmy te słowa jałowe,
Tyś zrozumiała mojej duszy mowę!

HELENA (*zmięszana*).

Cóż to jest Panie?

WŁODZIMIERZ (*z uniesieniem*).

Żeś dosłyszała tej cichej piosenki
Którą ma dusza dla ciebie wydzwania.

HELENA (*surowo*).

Lecz Panie Hrabio....

WŁODZIMIERZ.

Chociaż mi zabrania
Spojrzenie twoje — ja muszę koniecznie
Wyznać, że Ciebie będę kochał wiecznie.

HELENA (*cofając się*).

O Boże dobry!

(*chce odejść*).

WLODZIMIERZ (*porywa jéj rękę*).

Wysłuchaj wyznania
Mego do końca — jak w chwili skonania
Spowiedzią muszę oczyścić mą duszę —
Oh, bo ty niewiesz jaki to żar płonie,
W szalonem, w namiętnem łonie,
W sercu co kochać nie umie połową
Ale w uczuciu całe się oddaje.
Co życia drogą nie idzie jałową
Powolnym, zimnym, ziemskich gadów krokiem,
Lecz orlim lotem po nad ziemskie kraje
Wznosi się szybko zwiśnie nad obłokiem,
Albo... gdy spadnie — o wtedy mu biada
Oh, ty się zlituj niech już nie upada,
Od wiecznéj zguby ratuj je aniele.
Ja byłem biedny, ja cierpiałem wiele —
Byłem — jak ptasze tułacze,
Jak dziecię małe żebracze
Jak gwiazdka bez swego słońca —
Tęsknić musiałem bez końca;
Aż ciebiem ujrzał, w tobie wszystko razem,
Lecz jakże miłość słów oddać obrazem?
To wszystko zimne jak w grudniu południe,
Aż uczuć żar w słowach chłódnie.
Dość że ciebie ukochałem,
Szalonéj miłości szałem,
Że dla mnie już oprócz ciebie,
Niema nawet Boga w niebie.

HELENA.

O Panie Hrabio — przebacz to wyznanie

Pańskie tak nagłe, tak niespodziewane,
Prawie odjęło mi władzę mówienia;
A Pan tę chwilę mojego milczenia
Może inaczéj dla siebie tłomaczy

(*po chwili*).

Jabym Cię Panie zasmucić nie chciała —
Lecz — widzisz — zwiędła moja róża biała,
Tak serce moje zwiędnięte i blade.

WŁODZIMIERZ.

Heleno!

HELENA.

Rękę mą na sercu kładę
Że z twem uczuciem szczerem nie żartuję
I szczerą winnam odpowiedź co czuję.

(*Przechodzi się niespokojnie, widać w niéj walkę wewnętrzną*)

Pan może wnosił z méj jasnéj źrenicy
Że tu jest serce swobodnéj dziewicy
A to — uczuciem zgliszcza przepalone,
Łzami boleści ledwo ugaszone —
Bo — słuchaj Panie — ja już raz kochałam.

WŁODZIMIERZ.

Kochałaś!

HELENA.

Szczerą odpowiedź ci dałam,
Tobie zrobiłam bolesne wyznanie
Co żywą krasą kryje skroń niewieścią
Lecz to dla twego spokoju, o Panie.

WŁODZIMIERZ (*ponuro*).

Więc my jednaką karmieni boleścią,
Jednęśmy próby życia już przebyli,
Żebyśmy dzisiaj tem szczęśliwsi byli.

I ja kochałem. W tęsknocie, w żałobie,
Tę pierwszą miłość długom pieścił w sobie
Młodzian, pół-anioł, pół-dziecko kochałem
Dziewicę czystą jak anieli w niebie!
A dziś — dla ciebie o niéj zapomniałem —
Tak jest — jam o niéj zapomniał dla ciebie
Przysiąg, i ślubów i zaklęć niepomny.

HELENA (*z goryczą*).

Ha, to z was widzę każdy wiarołomny!

WŁODZIMIERZ.

Choć nam okwitła pierwszych uczuć wiosna,
Zakwitnie znowu promienna, radosna,
Po dawnéj burzy nie będzie śladu,
Bo na spalony piorunem pień,
Miłość jak świeży liść winogradu
Zarzuci miękkich wianków swych cień.
I wszędzie zieleń, cudna woń wszędzie,
Nad nami błękit, i blask słońc stu —
I cisza taka w duszy nam będzie,
Gdy tylko miłość zstąpi z nich tu!

HELENA.

Nie, nie, poeto młody
Kwiat szczęścia nie dla nas,
Miłości i swobody
Jaż nam przeminął czas.
(*błagając*).
Niszczysz mi ciszę błogą,
Do bolów zbudzasz mnie —
Ja — kochać cię niemogę
I ty nie niekochaj mnie.

WLODZIMIERZ (*coraz namiętniéj*).

Aniele niewieści!
Za złudne me sny
Za krwawe boleści
Za gorzkie me łzy,
Ty ócz twych spojrzeniem
Uśmiechem, westchnieniem,
Dajże mi dziś spłat!
A za tę zapłatę
Ja, duszy twéj brat,
Za jedną tę chwilę
Legnę ci u stop,
Modłą ci przychylę
Nad skronie nieb strop,
Aż w świetle i bieli,
Na modły, na me
Zestąpią anieli
Anieli do lic!
Zbliż chwilę tę błogą
Daj dłonie mi twe...

HELENA.

Ja kochać nie mogę
Ty nie kochaj mnie.
(wychodzi do salonu.)

AKT TRZECI.

W mieszkaniu Wojewody w Warszawie jak w akcie drugim.

SCENA PIERWSZA.

HELENA, ANNA.

HELENA.

Więc mam dziś ślubnym wiankiem czoło zdobić!

Więc mam dziś zostać Włodzimierza żoną!
Nie — bydź niemoże.

ANNA.

Ale cóż masz robić
Ojca ubłagać już nie można pono.

HELENA

Jabym się łatwo oparła rozkazom,
Niezłomną wolę, stawiłabym groźbie,
Lecz jak się oprzeć zaklęcia wyrazom,
I ojca tkliwéj, rzewnéj takiéj prośbie.
Jeszcze dopókim z dnia na dzień zwlekała
Myślałam... sama niewiem com myślała!
Lecz dziś? Ha, kto wie dzisiaj właśnie może
Ojca ubłagam, litość w nim przemoże
I mnie uwolni — nie wszystko stracone
Póki te straszne śluby nie spełnione,

ANNA.

Tyś jak tonąca w oceanów toni,
Co chwila roślin nadbrzeżnych się czepi
A one rwą się w jéj rozpacznéj dłoni
I znów w głąb tonie. Już poddać się lepiéj
Losów bałwanom jak walczyć daremno.

HELENA.

Dzisiaj dzień ślubu! Ach jak to przeraża!
Obraz Jerzego znów staje przedemną
I o niewiarę cicho mnie oskarża.
Jerzy! o zetrzyj ten jasny blask z czoła,
Zetrzyj z oblicza ten uśmiech anioła
Śliczna przeszłości lecz obłudna maro,
A stań przedemną z taką duszą szarą

Jak jesteś Jerzy.

(chodzi zamyślona i staje przed Anną).

Anno — słuchaj! było
To w wilią ślubu — on koło mnie siedział
Patrzył w me oczy tak słodko tak miło,
Scisnął za rękę, i „jutro“ powiedział.
„Jutro“ w méj duszy zabrzmiało muzyką
Przez sen z uśmiechem „jutro“ powtarzałam,
Słońce już zeszło! „to jutro“!! oh dziko
Zaśmiał się szatan. Już go nie widziałam —
Zniknął jak widmo — bez słowa litości,
Żalu, pociechy.

(zakrywa twarz).

ANNA.

Swiętsze powinności
Może go właśnie wołały na boje.
Mówiłaś przecie odtąd życie swoje
Oddał ojczyznie i odtąd jéj broni.
Tak go potępiać jeszcze nie należy
Bo tutaj jakaś tajemnica leży
I kroki jego dotąd jeszcze słoni.

HELENA *(z uniesieniem).*

Tak tak ma droga! to wszystko być może
To tak być musi — on mnie kocha! Boże!

ANNA *(zmięszana).*

Ależ Helenko...

HELENA.

Mnie serce nie zwodzi

ANNA.

Znowu się łudzisz...

HELENA.

Ot, ojciec przychodzi,
Wyjdźże proszę Cię pomówić z nim muszę,
Wszystko mu powiem, odkryję mą duszę.
(Anna wychodzi do pokoju Heleny).

SCENA DRUGA.

HELENA, WOJEWODA.

Wojewoda zbliża się do córki która trwożna chce, a nie śmie przemówić.

WOJEWODA.

Cóś taka trwożna? chronisz się przedemną
Jako ofiara przed wejrzeniem kata?

HELENA.

Ojcze... chcę prosić...

WOJEWODA.

Czyż kiedy daremno
Prosiłaś! Czyż jest co w obrębie świata
Czegobym mogąc, ja odmówił tobie?

HELENA.

Więc nie odmówisz!

WOJEWODA.

Co pragniesz to zrobię,
Dzisiaj w dzień ślubu...

HELENA.

Oh ty się zlitujesz
I ten ślub straszny...

WOJEWODA.

Co, co, znów odwlekać?..

HELENA (*prędko*).

Nie zwlekać — zerwać!

WOJEWODA.

A — czy ty żartujesz
Czy co? ja miałbym twą rękę przyrzekać
A potem zrywać? Czyś Panna szalona?

HELENA.

Ojcze ja umrę.

WOJEWODA.

To już rzecz skończona.

HELENA.

Ojcze, litości!!

WOJEWODA.

Czyż nie dość splamiona,
Już sława twoja? Chceszże ją narażać
Znów na zatrute obmowy pociski,
Jak gdy ten Jerzy...

HELENA.

Przestań go oskarzać
Bo on niewinny, bo już tu czas bliski
Co nam tajemnic rozproszy mgły ciemne,
Jerzy mnie kocha...

WOJEWODA.

Ej, słowa daremne.
Co za mgły znowu, co za tajemnice!

To tylko czyste wymysły kobiece.
Kochałaś nadto i to go znudziło
Masz cały sekret. A może zwabiło
Go miłe złotko, jeśli większe wiano
Niżli za tobą gdzieindziéj dawano,
Dość że odbieżał cię gołąbek wierny.
No znowu płaczesz? Jaki żal niezmierny! —
Jest za kim płakać, jest kogo żałować,
O jest dla kogo miłość w sercu chować!
Helenko moja — czyś ty moją własną
Córką? Czy w tobie dumna krew ma płynie?
Że się nie brzydzisz tym co sławę jasną
Dziewiczą splamił — że po téj gadzinie
Zdradnéj nie depcesz — że twą słuszną wzgardą
Nie plwasz na niego! Czemuż moję twardą
Wolę ugięłaś, czemużem jak skuty
Moją przysięgą? Boś leżała póty
U nóg mych kolan rzucona rozpaczy
Aż wszelkiéj zemsty wyrzec się musiałem.

HELENA.

Za to ci dzięki — Niech mu Bóg przebaczy
Jak ja.

WOJEWODA.

Ja dotąd słowa dotrzymałem —
Ty dziś dotrzymaj; lub tem uwolniony
Od słowa, i w miecz zemsty uzbrojony,
Będę go odtąd ścigał bezustanku
Aż krew...

HELENA (*przerażona.*)

Dotrzymam!!

(*wznosząc oczy ku niebu na stronie.*)

Dla ciebie kochanku!

(*odchodzi do swego pokoju.*)

ɩest zu

WOJEWODA.
(*ogląda się za Heleną wzruszony.*)

Ha, to okropnie że własne me dziecko
Dla mych widoków poświęcam zdradziecko.
O droga ciężka — ale w drogi końcu
Czeka nagroda: wszechłaska Carowéj
Mitra książęca dla méj siwéj głowy,
I tam téż biję jak orzeł ku słońcu.
Ciągle spoglądam w tę myśl, w słońce moje
By sił nie brakło nieść trudy i znoje
Żeby mi serce łzą córki nie zmiękło
Żeby się grobu ciemnego nie zlękło,
Bo dziś na kartę stawiam grosz szalony
Życie — i sławę — i złota milijony.

SCENA TRZECIA.

Wojewoda — Szambelan wchodzi.

SZAMBELAN.

Bon jour! Nikt sobie nawet nie wystawi
Jak ten Włodzimierz szczęśliwy, do szału!
A ja się śmieję, a mnie to tak bawi
Pomyśleć, jak ja ten pałac z krzyształu,
Błyszczący marzeń jasno-barwną tęczą
Jednembym słówkiem w gruzy rozbił snadnie,
A nie, to sam się za chwilę rozpadnie.

WOJEWODA.

Ciebie to cudze cierpienia nie męczą
Lecz bawią. A więc słuchaj co się dzieje,
I ciesz się, bo ja ledwie nie szaleję.
Helena biedna chce zerwać układy
I jak się zdaje wpadła już na ślady
Coś się domyśla — o Jerzym — rozumiesz?

SZAMBELAN.

I ty w tem sobie poradzić nie umiesz?
Ja tu w lot zniszczę owe przedsięwzięcia
Wiecznéj wierności. Lecz od pana zięcia
Wiesz że ja także jestem zaproszony
Abym pojechał z wami w tamte strony
Nad Dniepr. Tam oba zarzucimy sieci
A ryb nie mało do matni nam wleci.
Bo od Krakowa, aż tam do Kijowa
Wszystko zagarniem — pomysł gwiazdy warty!

WOJEWODA.

To wszystko jeszcze zależy od karty,
To nie wygrane, dopiero stawione,
Na jedną kartę! Jak szczęście szalone
Pozwoli wygrać? ha, to Bogu dzięki
Jak nie? to jutro nie ściśniesz téj ręki.

SZAMBELAN.

Jak to?

WOJEWODA.

Gdy przegram to mnie tylko czeka
Hańba i nędza i pogardy plwanie:
Czyż wart bym jeszcze był miana człowieka
Bym takie życie podłe znieść był w stanie.

SZAMBELAN (*zimno.*)

Jak chcesz! Lecz przecie patrząc zdrowem okiem
Wolałbym walczyć tutaj nawet z nędzą
Niżli z robactwem ledz w grobie głębokim
Choćby świat zbawić.

WOJEWODA (*blednąc*)

O— z pamiątek jędzą!

Z wiecznym tu w piersiach robakiem sumienia
Okropna umrzeć!

SZAMBELAN.

Słowa bez znaczenia
Dla mnie!

(*Wojewoda wychodzi do siebie*)

SZAMBELAN (*patrzy za nim.*)

To diabeł w szacie jezuity.
Ale Helena — mówią że kobiety
Są płoche — a tu miłość, stałość wieczna
A może upór.

(*zamyśla się.*)

Hm — zdrada konieczna,
Żeby raz wygnać dawnego kochanka.

(*dobywa z pularesu papier i pisze śmiejąc się.*)

Jaśnie Wielmożna Panna Kasztelanka,
Zbiera się za mąż... choć już trochę stara...
Jak kwiat w jesieni... niedobrana para...
Zasławski Jerzy... on ją do ółtarzy
Himenu wiedzie... nie kocha się w twarzy
Bo mądry... posag, posag milionowy

(*pisze daléj po cichu.*)

Ot już skończono — bilecik gotowy —
Data: z Krakowa, drugiego augusta,
Więc Jerzy z Martą, a cóż za myśl pusta!

(*składa list i chowa do pularesu.*)

SCENA CZWARTA.

Szambelan, Anna wchodzi z pokoju Heleny.

SZAMBELAN

A — otóż dróżka weselna, tak hoża,
Tak świeża, śliczna, jak w poranku róża,
Kiedy się na niéj rosa perlą świeci.

ANNA (*ocierając oczy.*)

Nie rosy perły — lecz łza po łzie leci
Z oczu mych.

SZAMBELAN.

To łzy! a mnie się zdawało
Że gwiazdki srebrne; lecz cóż tak zdołało
Zasmucić Panią.

ANNA.

Ona tam tak płacze.

SZAMBELAN.

Co? Panna młoda? te żale, rozpacze
Do jutra tylko. Kto przed ślubem płacze
To po tem za to śmiać się będzie pewnie,
Téj tylko biada co nie płacze rzewnie
Ale się śmieje wesoła przy ślubie
Na oślep biegnie na przeciw swéj zgubie
Dla tego tak się ja o Panią trwożę.

ANNA.

O mnie? a o cóż?

SZAMBELAN

Bo ja się założę
Że Pani biorąc małżeńskie kajdany
Śmiać się w głos będziesz.

ANNA (*śmiejąc się.*)

Lecz Panie kochany
Z kądże ta pewność?

SZAMBELAN.

Już mi w oczach staje
Wszystko jak będzie; słowo Pani daję
Że kiedyś w ślubne przyodziana stroje
Wejdziesz powoli w kościelne podwoje
Oko wesołe na licu rumieniec,
Na ustach uśmiech anielskiéj słodyczy.

Wspominasz sobie na mirtowy wieniec,
Na śnieżny rąbek — zasłony dziewiczéj
Żeby zapłakać — lecz ani daj Boże!
Już oczy spuszczasz — łzy popłynąć miały
W tem... jak się okręt rozbija o skały
Tak się rozbija powaga udana
W Pańskiéj świątnicy, przed ołtarzem Pana
Zabrzmi srebrzysty uśmiech wesołości
I już najgorszy omen dla przyszłości.

ANNA (*grożąc mu.*)

Ej, Pan złośliwy, tego nie daruję.

SCENA PIĄTA.

Szambelan, Anna, Helena we drzwiach.

HELENA.

Kochana Anno!
(*spostrzegłszy Szambelana chce się cofnąć lecz on się zbliża.*)

SZAMBELAN.

A — Pani pozwoli
Że w dniu tak świetnym Pani powinszuję
Może najpierwszy.

HELENA (*idzie niechętna, na stronie.*)

O jakże to boli,
Dziękuję Panu, niechże pan usiędzie.
(*usiada z Anną na sofie.*)

ANNA.

I niech Pan przecie tak łaskawy będzie
A powie jakie miastowe nowinki,

SZAMBELAN (*siadając.*)

Mam nowin mnóstwo, bo niema godzinki

Byłem na zamku, i tam mi mówiono
Że Kasztelanic nasz żeni się pono.

ANNA.

Doprawdy z kimże?

SZAMBELAN.

To jest że swatają
Go z panną Laurą, a na posag dają
Klucz Szczebeciński. Partya nie zła wcale
A teraz złotko, to kochane złotko
Wszystkiem na świecie!

ANNA.

A jakże Pan słodko
Mówi o złocie.

SZAMBELAN.

Bo je kocham, ale
Zapominam téż najlepszéj nowinki!
Bóg łaskaw bierze chęci za uczynki
Ale czyn z chęcią przecie złączyć miléj.
Panna Marta za mąż miała powołanie
I.. doczekała się téj błogiej chwili.

ANNA (*śmiejąc się.*)

Co? Kasztelanka! — o łaskawy Panie
Za kogo téż to?

SZAMBELAN.

I to Pannę śmieszy?

ANNA.

A gdzież tam znowu mnie to tylko cieszy
Dla niéj.

SZAMBELAN.

No, że tam nie majowe latka,
I że nie piękna, ale nie jest szpetna —
Mówią powszechnie, że matrona gładka
Będzie z niéj — resztą, Panie nie szlachetna
Tak z niéj żartować. Bo kto tak bogaty
W młodość i wdzięki, winien się litować,
Nad tą co niema nic... tylko dukaty.
Ale w istocie przestańmy żartować,
Powiadam szczerze majątek książęcy,
Liczą milijony, milijony i więcéj —
Najlepsza partya w Litwie i Koronie.

ANNA.

Któż tak szczęśliwym?

SZAMBELAN.

Ah, na złotem łonie
Marty, odpocznie na wieńcach laurowych
Po sławy godnych trudach obozowych
Bohater z Baru, dzisiaj rozkochany
Jerzy Zasławski.
(Helena podczas téj rozmowy zamyślona, nagle się mięsza i powstaje, Anna także.)

SZAMBELAN *(do Anny.)*

Czy Pani jest znany?

ANNA.

Tak, dawniéj troszkę, ale pan się myli
To być niemoże.

SZAMBELAN.

Ha, jak Pani każe.
Lecz mogę Panią przekonać w téj chwili

Gdy list przysłany z Krakowa pokażę
Gdzie mi ot piszą.

(Dostaje list, Anna bierze go nie śmiele, Helena szybko jéj z rąk porywa, i blada ledwo oddychając czyta — potem oddaje.)

HELENA.

O — prawda — dziękuję.

SZAMBELAN.

Tak rad z paniami tutaj bawarduję
A Wojewoda czeka w gabinecie.
(wychodzi do Wojewody.)

SCENA SZÓSTA.

Helena stoi niemo, jak stała czytając list. — *Anna* bierze jéj rękę i do ust przykłada.

ANNA.

Jakaś ty biedna!

HELENA *(powoli i zimno.)*

Wszak ja nie płaczę — walka już skończona —
Tak cichy pokój po burzy wśród łona.
(kładzie rękę na piersiach i wzdycha prawie z jękiem bólu)

ANNA *(płacząc.)*

Moja najdroższa.

HELENA.

Ty płaczesz nademną?
O dziecko, dziecko, teraz ciesz się zemną
Bo byłam biedna, tak bardzo cierpiąca!...
(Przechodzi kilka kroków — staje przy oknie, przytula płonące czoło do szyby — potem mówi do Anny rzewnie)
Jeśli w twem życiu wśród młodzi tysiąca

Nieznajomego zobaczysz młodziana,
Którego dusza niby dawniéj znana,
Gdzieś w innem życiu, wśród innego świata —
Jeśli twa dusza ku niemu podlata,
I doń się tuli jak do serca brata;
Jeśli on jeden w zwykłych ludzi gronie,
Zda ci się dębem wśród drobnéj krzewiny
Co dumnie stojąc w zielonéj koronie
Czołem spogląda do niebios dziedziny,
W koło szeroko ramiona wyciąga;
I śmiało burzom i wichrom urąga,
Ty byś być chciała gałązką powoju,
Przy nim — na jego gałęzi ptaszyną
Albo téż cienką i słabą kaliną
Aby o jego oprzeć się ramiona,
Aby swe listki i jagód rumieniec
Upleść w zielony jego liści wieniec
I żyć do grobu tak z nim połączona.
Jak tak pokochasz! o stokroć ty biedna
Przed tobą otchłań rozpaczy bezedna,
To nie dąb piękny — to krzak karłowaty
Gałęzią skrzypi jak trupów szkielety —
Miłość mu dała wzrost, zieleń i kwiaty,
Teraz Cię prawda zbudziła niestety,
Poznaj kochanka!

(Tonem gorzkiéj boleści silnym i namiętnym z śmiechem ironii.)

Lecz bądź tylko mężną,
Rozśmij się z siebie — i wolą potężną
Porwi oburącz twe serce i ściśnij
Niech pęknie — miłość d, kropli wyciśnij
Z niego. Niech znowu bije tak powoli
Niechaj po żyłach krew chłodna przepływa
Skrzepła rozwagą, lodem silnéj woli
Wtedy... o Anno być możesz szczęśliwa.

No, widzisz Anno że jestem wesoła,

(po chwili, smutno.)

Chodźże mnie ubrać drużko do kościoła.

SCENA SIÓDMA.

Helena, Anna i Włodzimierz co wchodzi gdy Helena ostatni wiersz mówi.

WŁODZIMIERZ.

(ubrany kosztownie i pięknie po polsku — całuje ręce Heleny.)

O idź się ubrać, zrzuć tę czarną szatę
Już jéj mieć nigdy nie będziesz na sobie.
Całéj przeszłości przeżytéj w żałobie
Wraz z pamiątkami rzuć ją na objatę.
Idź żono moja, wdziejże białą szatę
Wianek dziewiczy, śnieżystą zasłonę
Bo życie bólu już dla nas skończone.

Już z tobą pójdę w dal
Moją na wieki ty!
Więc żegnam ból i żal
I czarę gorzkiéj łzy,
Patrz wysączyłem ją
Aż do samego dna —
A na dnie czeka mnie
Anielska miłość twa!
Boleści wziąłem chrzest
Za przeszłych grzechów dług,
Już pewnym szczęścia jest
Bo spłacon świat i Bóg.
Rozkoszy kielich ten,
Biorę już do mych rąk!

(Obejmuje w pół Helenę.)

HELENA *(odsuwając się.)*

To tylko szczęścia sen
Przebudzisz się wśród mąk.
(wychodzi z Anną, Włodzimierz opuszczając ręce i głowę stoi.)

SCENA ÓSMA.

Włodzimierz, Wojewoda wchodzi niosąc w ręku pistolet i duży papier zwinięty — kładzie na stole gdzie jest już atrament i pióro.

WOJEWODA.

Jak się masz Włodziu! cóż to tak ponury
Dziś być nie mogą na twem czole chmury
Synu mój! dziś cię tak mogę nazywać.

WŁODZIMIERZ *(wzruszony.)*

Ojcze! nie mogłem nawet się spodziewać
Byś mnie już nazwał tem drogiem imieniem,
Co mi po matce jest świętem wspomnieniem
Lecz nie po ojcu — jam miał li ojczyma
I dziś myślałem że w mem sercu niema
Uczuć dla ojca — wtem zabrzmiała strona
Długo tajemnie w duszy wypieszczona,
I tem mi dźwięczniéj teraz się rozpieścić,
Im mi sieroctwo znieść było boleśniéj,
Więc ja mam ojca! jam synem nazwany!

WOJEWODA.

Jak syn rodzony sercem ukochany.

WŁODZIMIERZ.

(obejmuje kolana Wojewody.)

Panie i ojcze! błogosław mą głowę
W to szczęścia, jasne, cudne, życie nowe,
Niech za Helenę, za kochania wiano
Kornie ojcowskie uścisnę kolano.

WOJEWODA *(podnosi go.)*

To co wam życzę, niech wam Bóg użyczy
Lecz i o innych interesach trzeba
By nam pomówić — bo oprócz słodyczy
Małżeńskich trzeba państwu młodym chleba
Musiem pomówić trochę o majątku;
Bo... choć to niczem zdaje się z początku
Wiedz że jéj wiano jest niewielkie wcale.

WŁODZIMIERZ.

Wiem jakie skarby biorę w posag.

WOJEWODA.

Ale,
Wiedz że nie wszystko złoto co się świeci.

WŁODZIMIERZ

Ojcze o ziemską przyszłość twoich dzieci
Bądź już spokojny — my dość mieć będziemy.

WOJEWODA.

To o czemś innem trochę pomówiemy.
Pamiętasz pewnie te nasze układy,
Że wszystkie kroki twe w publicznéj sprawie
Kierować będą odtąd moje rady
(z znaczeniem i mocą.)
Że ci te rady prawem będą prawie.

WŁODZIMIERZ.

Tak jest mój ojcze. Rozum, doświadczenie
Daleko lepiéj to wszystko rozważy
Niż młoda głowa i młode sumienie
I młode serce gdzie się czucie żarzy.
A to mój ojcze wielka, trudna droga
Nie tylko bogactw, zaszczytów, godności,

Ale to droga prawdziwéj wolności
Do szczęścia kraju i do łaski Boga.
Raczże mi podać twą rękę pomocną
Prowadź tą drogą abym w chwilę nocną
Błędny nie upadł.

WOJEWODA.

Chodź zemną bez trwogi;
I dziś na wstępie do téj życia drogi
Napisz twe imie w świetnych imion rzędzie
Moje tu jest już.

(Rozwija leżący papier i podaje pióro — Włodzimierz porywa pióro chce podpisać — ale zaczyna czytać, miesza się i zdziwiony kładzie pióro trzymając jeszcze papier.)

WŁODZIMIERZ (*stanowczo.*)

Mego tu nie będzie.

WOJEWODA.

Jakto nie będzie?

WŁODZIMIERZ.

O nigdy — na Boga
A więc to owa wskazana mi droga?!
Nie — ja się mylę, to mnie sen tak mami.

(rozwija papier i znowu czyta.)

WOJEWODA.

Czemuż byś niemiał ty przystąpić z nami,
Do tego związku, co się zawiązuje
Pod Najjaśniejszéj Carowéj zasłoną.
Ona nam wszelką pomoc obiecuje,
I nasz król dobry przystępuje pono
On to pochwala — zrobił nam nadzieje
Że jego imie tutaj zajaśnieje.

WŁODZIMIERZ.

Jabym się poddał opiece Carowéj?

WOJEWODA.

Polak na wszystko zawsze jest gotowy
Dla swéj ojczyzny — nawet i szatana
Pomocy wezwać, uznać go za pana
I duszę własną oddać mu w niewolę.

WŁODZIMIERZ (*kładzie papier.*)

O kto złe ziarno sieje na swą rolę
Zły plon mieć będzie. A ta pomoc wroga
Pomoc szatańska, na złe wyjść nam musi,
To tylko zły duch łudzi nas i kusi
Byśmy się zrzekli ojczyzny i Boga.

WOJEWODA (*niecierpliwie.*)

Ej kto tam będzie chciał na marzeń skalę
Mierzać czyn życia.

WŁODZIMIERZ.

Ależ Panie...

WOJEWODA.

Ale
Innego dla nas ratunku już niema,
A wiesz, tonący i brzytwy się trzyma.
Rzeczypospolitéj upadek już jawny,
Ledwo czasami błyśnie splendor dawny
Jak na wytartym pasie nitka złota.
Gdzie dawne męztwo, gdzie publiczna cnota?
Wszystko w nic poszło, wszystko się rozprzęga,
W kawałki leci, jak ciało bez życia
Jedna jest tylko na świecie potęga,

Co naszą nawę uchroni rozbicia,
Ku téj zatoce, do portu zbawienia
Tę skołataną łódź trzeba kierować;
Na któreż państwa, na któreż to trony
Możemy jeszcze choć troche rachować?
Turek, bisurman krwi chrześcijan chciwy,
Niemiec niewdzięczny chytry i zdradliwy,
Francya nas zwodzi, Anglija nieszczera
Jedna téż Rosya z litością spoziera.

WŁODZIMIERZ.

Piękna mi litość! Że rojem się snują
Nasze świątynie i włości plądrują
Że przez nich zakon praw sponiewierany
A kraj nasz „karczmą zajezdną“ nazwany.

WOJEWODA.

Ale bo mamy najlepsze nadzieje;
Niechaj carowa już ujrzy spokojną
Przyjazną Polskę, niech krew się nie leje
W domowych wojnach, a sprawców téj zmiany
Nagrodzi ręką aż do zbytku chojną.
Z resztą twem słowem już jesteś związany.

WŁODZIMIERZ.

Ja? mojém słowem?

WOJEWODA.

Trzebaż ci na nowo
Powtarzać że mi przecież dałeś słowo,
Zanim na związek z Heleną przystałem.
Księciu posłowi o tem napisałem,
I wszystko w twojem przyrzekłem imieniu
Lecz teraz... nie myślże o ożenieniu;
Tylko uciekaj. Za niedotrzymanie

Grozi ci może więzienie, wygnanie,
Za nic nie ręczę — może jeszcze gorzéj...
Repnin jest strasznym kiedy się rozsroży.

WŁODZIMIERZ.

A dobrze — niech mnie swą psiarnią poszczuje
Zchwyci, to taczek w fortecy przykuje,
Niech mnie na lody sybirskie zawleką
Bo tam już będę pod carską opieką.
Lecz się nie zlęknę ni groźby ni kary
Ani odstąpię méj poczciwéj wiary.
(chodzi po pokoju w gwałtownem wzburzeniu.)

WOJEWODA.

O nie — nie bój się — nie, ty ujdziesz zdrowo
Ja dałem słowo, ja nałożę głową.

WŁODZIMIERZ *(staje nagle.)*

Ty Wojewodo?

WOJEWODA.

Jam przyrzekł za ciebie,
Tyś nie dotrzymał, ja odniosę karę —
Ja będę więźniem o wodzie i chlebie
Ja dam im okuć moje ręce stare
Albo na pniaku siwą głowę złożę.

WŁODZIMIERZ.

Nigdy o nigdy, ojcze mój — O Boże!

WOJEWODA.

Tak, prawda — nigdy tego nie dożyję
Mam pod miecz lub pod sznurek dawać szyję
To lepiéj przecie tym jednym wystrzałem
Raz się pożegnać już z tym światem całem,
(bierze pistolet.)

Tobie zostawiam, to co mam na świecie,
Słuchaj czy będziesz kontent z téj spuścizny:
Zostawiam w szacie żałobnéj me dziecię,
Klątwę ojcowską i klątwę ojczyzny.

(odwodzi kurek)

WŁODZIMIERZ.

Panie — co mówisz.

WOJEWODA.

Mówię co dotrzymam,
Bo innéj drogi do ratunku niemam.

(bierze za rękę Włodzimierza).

Chodź zemną razem a przyszłość pogodna
Ojczyzna nasza zbawiona swobodna,
Twój los tak świetny, Helena przy tobie...

(Włodzimierz odsuwa się nagle.)

Lub idź odemnie — babski bochaterze!
Idź skakaj karle na olbrzymów grobie —
Cieniom twych ojców przedrzeźniaj nieszczerze;
Karłowatemi bitwy, jak drewnianą
Szablą chłopięta. Potem ukochaną
Oblubienicę porwij w swe ramiona
Całuj i pokaż jak jéj ojciec kona.
Lecz nie! ona cię od siebie odtrąci...

WŁODZIMIERZ *(drżący przyciska rękę do czoła.)*

Panie litości! mnie się w głowie mąci
Ani zrozumieć już niemogę końca.

WOJEWODA *(szydząc).*

A taż to jasne, jaśniejsze od słońca,
Tylko że Waszmość słabszy od kobiety.
W głowie się mąci! zrozumieć nie w stanie!
Ot, widzisz — to jest pistolet nabity

Kulką, a może wiesz co jest strzelanie,
Więc wiedz: żyć niechcę nędzny i schańbiony!
Nadziejem świetne położył na szale
Tyś złamał słowo, więc żyj ty spodlony
Ja... (*patrzy na zegar*)
Za pięć minut w łeb sobie wypalę.

WŁODZIMIERZ.

Oh, czekaj jeszcze!

WOJEWODA.

Myśl, patrz, póki można.
(*wskazuje papier*).
Oto jest łaska carowéj wszechmożna,
Helena, szczęście, sława i dostatki;
Błogosławieństwo twéj ojczyzny-matki,
Albo, jak niechcesz — to śmierć, mego dziecka
Serce przebije twa ręka zdradziecka
I jednem pchnięciem swawolném twéj nogi
W otchłanie zguby wtrącisz kraj nasz drogi
(*wskazuje zegar*).
Patrz, licz minuty — No, liczże minuty!

WŁODZIMIERZ (*patrzy wzrokiem obłąkanym*).

Panie litości!

WOJEWODA (*powoli*).

Już minęła jedna.

WŁODZIMIERZ (*z jękiem*).

Helena moja!

WOJEWODA.

O sierota biedna!
(*milczenie*)

WŁODZIMIERZ (*nagle*).

Ja zbójca! zdrajca! O kraju mój święty

WOJEWODA (*którego głos drży*).

Znów jedna, masz trzy.

WŁODZIMIERZ.

Przeklętym! przeklęty.

(*Milczenie, twarz Wojewody blednie, widać w nim wzruszenie mocne — w Włodzimierzu walka coraz gwałtowniejsza*)

WOJEWODA.

Dwie jeszcze.

WŁODZIMIERZ.

(*Ciśnie rękę do czoła, co jakby bólem wewnętrznym zmarszczone!*)

Szaleję — o nieba szaleję!

WOJEWODA.

(*składa ręce zdaje się pocichu modlić, potem mówi.*)

Helenka przyjdzie, spyta co się dzieje,
Kiedy ten wystrzał przerwie nagle ciszę,
Idź do niej wstrzymaj...

(*Zegar bije godzinę, Wojewoda porywa pistolet, Włodzimierz jedną ręką wstrzymuje drugą chwyta pióro.*)

WŁODZIMIERZ.

Podpiszę, podpiszę!

(*podpisuje i rzuca papier*).

Na, masz już starcze! masz zapis na duszę!
Tobąć pogardzać nienawidzić muszę?
Klątważ do ojca imienia związana?
Chciałem cię kochać, dałem ci me serce,

A tyś mnie rzucił pod stopy szatana,
Zrobiłeś zemnie Ojczyzny mordercę.

(Wojewoda jeszcze blady lecz oddychając swobodniéj zabiera papier i pistolet i wychodzi do swego pokoju).

SCENA DZIEWIĄTA.

Włodzimierz chodzi prędkim krokiem po pokoju jakby przed sobą samym chciał uciec — ból i rozpacz wydatne w każdym jego ruchu. Po chwili przychodzi *Helena* w ślubnym ubiorze, blada, smutna ale z spokojnym uśmiechem rezygnacyi.

HELENA.

Smutnyś? mój ojciec przysłał mnie do ciebie.

WŁODZIMIERZ.

I ty przychodzisz! i ty mnie od siebie
Precz nie odpychasz?! Ale cóż za dziwa,
Tyś taka dobra, taka litościwa,
Ty nędzarzowi trądem skalanemu
Dłoń twą przeczystą litośnie podajesz,
Przed nim jak anioł miłosierdzia stajesz,
Toż ulitujesz się cierpieniu memu.
Boć ja nędzniejszy niż żebrak pod płotem —
Ostatni grosz mój łzą moją skropiony
Wydarł mi szatan z piekielnym chychotem,
I do swej pełnéj dorzucił skarbony!
A moja dusza, jego ręką tknięta,
Jeszcze przed chwilą czysta z nieba — wzięta,
Teraz splamiona, na wieki skażona.
Już jéj nie zmyją łzy szczeréj pokuty!
Jam biedny Hijob, jam trądem osuty,
Na śmieciach leżę — a ta pierś zraniona
Śmiech tylko budzi nie litość u ludzi!
Ani się nawet psy do mnie nie zbliżą,
Rany biednego Hijoba nie liżą,

A ty przychodzisz, ty do mnie pospieszasz,
Nie gardzisz, nie drwisz — litujesz — pocieszasz!

(Z początku mówi z boleścią, coraz daléj rozpacz wzrasta, nareście głos przechodzi w płacz, łkanie i krzyk — rzuca się do nóg Heleny która pomięszana wprzód jeszcze usiadła na sofie — on twarz swą kryje w jéj rękach).

HELENA.

Mój Włodzimierzu, mój biedny kochany,
Ja nie rozumiem, słów twych niepojmuję,
Lecz mimo tego bądź mi przekonany
Że wespół z tobę boleję i czuję.

WŁODZIMIERZ *(podnosi twarz swą).*

Ty nierozumiesz? Ha to zwykle bywa
Że gdy tortury ciało rozciągają
I nić po nitce rwą życia ogniwa
I łamią kości, to włosy powstają
Dębowym lasem na płonącéj głowie
A język spiekły w niewyraźnéj mowie,
Bełkoce dzikie pół-słowa, pół-jęki.
(wstaje),

HELENA.

Cóż się tu stało? oh, cóż się to stało?

WŁODZIMIERZ.

Co? słuchaj. Jam tu przeszedł piekła męki.
Drgnięcie zegara na duszę padało
Gromem piorunnym — Ja myśleć niemogłem
Myśleć kazano! Oddychać niemogłem
A oddychałem — A z każdym oddechem
Zmniejszał się przedział między mną — a grzechem.
(odwraca się prędko i odchodzi od niéj).

HELENA.

(*wstaje idzie za nim i kładzie mu rękę na ramieniu.*)

Chodź, chodź tu do mnie, tu się wyspowiadaj
Tu wszystkie ciężkie twe bóle poskładaj
To lżéj ci będzie — ja wezmę połowę.

WŁODZIMIERZ.

(*wpatruje się w nią, nareście obejmuje ją jedną ręką.*)

O tak przy tobie mój słodki aniele
To ciężko chore serce będzie zdrowe —
Ty żona moja! tak, to dziś wesele!

(*Chce ją pocałować, ona się wzdryga, ale w téj saméj chwili pełna poddania się pozwala się pocałować.*)

Oh, cóż tu szczęścia w twoich ust dotknięciu!
To szczęście prawie równe wniebowzięciu.
A jak kupione? tu nie idzie o to.
Dość, że ty żyjesz — że twój ojciec żyje.

(*z goryczą szyderstwa*).

Co mnie obchodzić ma tam szczęście czyje
Co, między zbrodnią różnica a cnota
Co mnie wrzask tłumu, co klątwa narodu?
Co mnie pokoleń niezrodzonych męki
Co będą konać z pragnienia i głodu
Kropli wolności — a konania jęki
Będą me imie wymawiać z przekleństwem
Co mnie tam chodzi! Byłoby błazeństwem
Dla *jutra* szczęście dzisiejsze porzucić,
Ja się tem *jutrem* nie dam zbałamucić,
Ja tam nie będę słuchał ludu wycia
Nie będę zważał na naród w niewoli

(*przytula ją do siebie i znowu całuje*).

Ja będę słuchał twego serca bicia,
I na twem łonie żył w szczęśliwéj doli.

HELENA.

Coraz mnie mocniéj twa mowa przeraża
To nie *nam*, Polsce nieszczęście zagraża.
Co już nie pytam, i radzić niemogę
Lecz ojca pytaj, on wskaże ci drogę.

WŁODZIMIERZ (*marszcząc brew*).

Ojca? — Żono ma jestem biedny, podły,
Zgubiony wiecznie — tylko twe kochanie
I twe do Boga Ojca za mną modły
Podnieść mnie mogą. Kochasz mnie??

HELENA.

O Panie
O to nie pytaj. W szczęściu czy w żałobie
Wierna twa żona będzie wciąż przy tobie;
Gotowa zawsze do każdéj ofiary;
Gotowa cierpień twych krzyż wziąść na siebie.
Nie dzieląc winy, chce podzielić kary;
Wspólnie pracując w ciężkiéj życia glebie
Pocałunkami ocierać ze znoju
Będzie twe czoło znużone i skronie;
Na wszystkie burze gniewem, niepokoju
Zarzutów poda cichéj zgody dłonie.
Według zakonu, według przyrzeczenia
Żona twa chce być pobożna i cicha,
Ciężki ten łańcuch chce mieć bez wytchnienia
I pić cykutę aż do dna kielicha.
Nigdy się słowem, nigdy łzą poskarży,
Chyba ją czasem wyda bladość twarzy
Lub żalne słowo przez sen wyrzeczone
Lecz takie grzechy będą przebaczone
Twéj żonie — prawda?

(***Włodzimierz odwraca się od niéj i z spuszczoną głową chodzi po pokoju.***)

SCENA DZIESIĄTA.

Włodzimierz — Helena — wchodzi Wojewoda, Anna, Szambelan, i goście weselni.

WOJEWODA.

Córko ma jedyna
Nadeszła ważna w tém życiu godzina,
Ze łzami szczęścia rodzic twój sędziwy
Błogosławieństwa chce całunek złożyć;
Oby wasz żywot był cały szczęśliwy
A mnie by Bóg dał wnuków jeszcze dożyć
W którychby cnoty ojców się odbiły —
Uklęknij córko i ty synu miły.

(Helena uklęka, Włodzimierz rzuca na Wojewodę wejrzenie nienawiści i wzgardy lecz klęka przy Helenie — Wojewoda błogosławi ich.)

WŁODZIMIERZ *(dając rękę Helenie).*

Chodźmy kochanko w świątyni podwoje,
I niech się chwila ta dłużéj nie zwleka.
Tyś taka piękna — młodziśmy oboje
Oh, tam nas szczęście niewymowne czeka.
(z coraz większą ironią).
Tam przed świątynią w ubraniu bielutkiem
Dzieci nam będą kwiatem sypać drogę
Bo my już odtąd nie znany się z smutkiem
Na święte kwiaty kładząc lekką nogę,
Już się nie zranim, nie potkniem na grudzie
Chodźże kochanko, niechaj wiedzą ludzie,
Niechaj świat cały cieszy się i dziwi
Jak my w dzień ślubu oboje szczęśliwi!

(zasłona spada).

AKT CZWARTY.

SCENA PIERWSZA.

Na Ukrainie nad Dnieprem jak w akcie pierwszym.

BOŻENA (*sama*).

Znowu tu przychodzę, sama niewiem po co?
Nad grobem pamiątek będęż płakać wiecznie?
To dusza tu biegnie z każdym dniem i nocą
A ciało mdłe za nią, iść musi koniecznie.
Oh! jeszcze dziś słyszę ostatnie te słowa!
My się znów zobaczym, ja wrócę, bądź zdrowa!
Zniknął! — Dawnoż to? wieleż dni, miesięcy,
Wieleż lat, wiekow, czy wieków tysięcy?
Ja nie wiem — ja biedna tych dni nie zrachuję
Lecz to wiem z pewnością, to w piersiach tu czuję
Że wróci, niedługo — i stanie przedemną
Ot, tu tu, w tem miejscu, gdzie żegnał się zemną.

„On wróci, on wróci“ tak mówię codziennie,
Powtarzam na jawie, powtarzam i sennie
I tylko nadziei téj blask tajemniczy
Słodzi mi choć trochę mój kielich goryczy.

O, prawdę brat mówił — wszystko się spełniło,
Niewiasty z ponurą pogardą na czole
Odchodzą powoli gdy do nich się zbliżę;
A nasze dziewczęta gdy stanę w ich kole
Wzdrygną się odstąpią, odbiegną mnie chyże,
Z dziwacznym, litośnym i drwiącym uśmiechem,
I patrzą zdaleka i szepczą po cichu,
Jak żebym śmiertelnym skalała się grzechem,
Jakżebym tonęła, tonęła już w grzechu!
Czyż ludzie rozumią méj duszy uczucie?

Tę miłość przejasną, przeczystą i świętą.
Oni jak robactwo wylęgłe z zepsucia
Im złoto i zyski jedyną ponętą,
Mnie dziecko zbłąkane z niebieskiéj krainy,
Co prócz téj miłości niezaznałam winy,
Mnie sądzą jak inne co w kale zrodzone
I brzęczą mi rojem: „Twe serce kupione!“.

On wróci i tę ćmę owadów rozgoni,
Ucichną te wrzawy obmowy i złości —
On wróci — on wróci — i on mnie obroni,
Od ludzkiéj pogardnéj szyderczéj litości.

(*spostrzega dziewczęta co wchodzą.*)

Ah! ludzie!

SCENA DRUGA.

Kilka dziewcząt wiejskich wchodzą w wesołéj pogadance.

PIERWSZA DZIEWCZYNA (*z litością*).

O, to Bożena! Bóg z tobą.

BOŻENA.

Bóg z wami.

DRUGA DZIEWCZYNA (*drwiąc*).

Ha, ha, czy na kwiaty pójdziesz i ty z nami
Bo my je zbieramy na wieńce do dwora

BOŻENA.

Do dwora?

DRUGA DZIEWCZYNA.

Toć niewiesz téj wielkiéj nowiny?

BOŻENA.

Jakiejże.

2. DZIEWCZYNA.

Że Pan nasz dziś koło wieczora...

BOŻENA (*przerywając*).

Co — Pan nasz?

1. DZIEWCZYNA.

Przyjedzie— może w pół godziny.

BOŻENA (*z krzykiem*).

Włodzimierz mój! dzisiaj!

1. DZIEWCZYNA.

O dzisiaj z pewnością

Bo jeden z dworzanów przyjechał już z drogi
Do pana marszałka — przejęty radością
By Pana powitać zbiera się lud mnogi.

3. DZIEWCZYNA.

Już może o milkę tylko oddalony
A więc my rozbiegniem się na wszystkie strony
Na polach na łąkach kwiatów nazbieramy
Wieńcami, pieśniami pana powitamy.

BOŻENA.

Nię tylko on wieniec i pieśni odbierze,
I serce mu wdzięczne poniesiem w ofierze
Bo cały lud jego, lud wierny się zbiegnie
I drogę na klęczkach pomostem zalegnie
By widział jak czczony, kochany, wielbiony!

2. DZIEWCZYNA (*z uśmiechem*).

Ha, nie wiem czy takich powitań dziś warty,
Bo wraca... to prawda — ale... ożeniony.

BOŻENA.

Ej puste to żarty.

2. DZIEWCZYNA.

A wcale nie żarty.
My chcemy się młodéj przypodobać Pani,
Te wieńce te śpiewy, to wszystko jest dla niéj,
A ktoby chciał ująć nie Panią lecz Pana...

1. DZIEWCZYNA.

Proszę Cię daj pokój — tak blada znękana.

2. DZIEWCZYNA.

A mówił dworzanin że Pani podobna
Do jakiejś tam świętéj w kijowskim kościele,
A piękna jak anioł, a dobra, łagodna,
Więc w dworze największa radość i wesele,
Marszałek urządza zamkowe komnaty...

3. DZIEWCZYNA (*śmiejąc się*).

No chodźmy. Chodź i ty Bożenko po kwiaty.
(*wychodzą wszystkie szepcąc po cichu*).

SCENA TRZECIA.

BOŻENA (*nieporuszenie milcząc stoi potem mówi powoli*).

Żona — któż to rzekł? słoważ to są czyje?
Więc ja go tracę — na zawsze — na wieki.
Mnie to mówiono, słyszałem, i żyję

I suche nawet mych oczu powieki.
I oko patrzy na błękitów morze —
I serce bije — li troszkę pomaléj —
I usta mówią — oddycham, o Boże,
Toż ja jak pierwéj, tak żyję.
Prawdęś, o prawdę mówił bracie drogi,
Niewierzyć Panu dziewczynie ubogiéj.
Ha — cóż dziwnego? bo i cóż się stało
Nadzwyczajnego? Daleko od światu
Mieszkał młodzieniec gorący, namiętny,
Zapragnął woni stepowego kwiatu
Zerwał, popieścił, i rzucił zwiędnięty.
Potem, powrócił, w świat ludzki, w świat jasny
W pięknym ogrodzie, piękną znalazł róże
Zapragnął róży — inaczejż bydź może?

(coraz rzewniéj).

Niech będzie szczęśliw, niech będzie szczęśliwa.
Niech życie w miodnéj rozkoszy im spływa,
Mych łez i bólów niech im Bóg nie liczy.
Za me piołuny, da im zdrój słodyczy,
Za nocy bez snu, da nocne pieszczoty,
Uśmiech, całunki, za dzienne tęsknoty.
Jak ja spokojna aż się sama dziwię
Dawniéj — byłabym myślała prawdziwie,
Że wieść ta gromem uderzy, zabije,
Sępem na sercu mem biednem usiędzie,
Dziób krzywy, szpony swe ostre w nie wbije
I gryść i szarpać na kawały będzie.
A ja spokojna, tak cicha jak dziecię
Tylko łza jedna, tu w czole się spiekła
I spłynąć nie chce.

(kładąc rękę na piersi).

I słabe tak bicie
Jakby krew z serca gdzieś wszystka uciekła

I usta zimne — krew moja czerwona
Gorąca, lodem zakrzepła wśród łona
Zmieniona w białą i zimną krew gadu.

(namiętniéj).

Ah, może w ustach jest trochę już jadu!
Może trucizna w oddechu w dotknięciu!
Możem doprawdy przemieniona w żmiję
Pójdę owinę mu piersi i szyję
W to zdradne serce me żądło tak wbije
Że musi skonać w mem zimnem objęciu.
Nie, nie — ja człowiek bezbronne stworzenie.
Gady jad mają — sęp ostre ma szpony
A ja nie mam jak zemsty pragnienie
Szponów ni jadu dla niego i żony.

(siada na ziemi i bezmyślnie rwie trawę).

Biednaż ja biedna! Lecz trawki te drobne,
Wiosny i stepu dziateczki nadobne,
Zioła i liście co depcem swą nogą,
Mnie tak bezbronnej może dopomogą.
Mówili ludzie starzy, doświadczeni,
Że jest tu ziele przecudnej zieleni,
Co w kwiat płomienny i wonny zakwita,
A siła dziwna w tem zielu ukryta,
Bo może zstygłe kochanie rozniecić.
I gwiazdkę zgasłą ku szczęściu rozświecić
Oh, ja wynajdę cudowne to ziele
I będziesz moim kochanku, aniele!

Nie, nie, już ziela mi szukać nie można,
Bo miłość dotąd przeczysta i święta,
Teraz jest grzeszna, okropna, bezbożna,
Bo jabym była wygnana, wypchnięta
Od złotych progów zamkowych podwoi
Bo ja *kochanka* a *żona* tam stoi.

Lecz znam ja zioła, co prędzej pomogą,
Tam na mogiłach wzrastają, co nocy,
Pod szubienicą nad rozstajną drogą;
Pójdę nazbieram o samej północy
Jutro tu sobie przywabię go rano
Łzą i pieszczotą namiętną zczaruję
Dam mu w truciznie jagodę zmaczaną
I tak całując, całując otruję!

(*dzika jej radość wzmaga się.*)

I pójdę, będę jej nogi całować,
Podam tej pani tak pięknej i młodej
Słodkiej czerwonej jagody skosztować,
Słodkiej — czerwonej — zatrutej jagody!
Potem on przyjdzie, weźmie ją w ramiona
A ona sina, a ona już blada —
Oczy przewraca, i krzyczy i kona,
Zimna — skostniała na ziemię upada.
On przy niej o tak w skonania uścisku,
Strasznym, rozpacznym, oboje mąż z żoną,
Ja się przypatrzę temu widowisku,
I śmiać się będę, śmiać będę szalono!

Zaczyna się śmiać w głos śmiechem dzikim przerywanym, — potem przechodzi w płacz i cichy dziecięcy jęk.

Coś mi się bardzo okropnie marzyło,
O jakiemś zielu, o zbrodni coś było,
A teraz płaczę. O dzięki ci Boże
Za łzy, niech płyną jak rzeka, jak morze,
Bo z czarnych myśli na duszy mej białej
Pewnie się czarne plamy pozostały.
A łzy gorące palące płomienne,
Zmyją wypalą te myśli wpółsenne.

(*Idzie kilka kroków i opiera się o drzewo.*)

Drżę jak osika, w oczach mi ciemnieje
I iść nie mogę. Jam słaba, jam chora,
Ja umrę dzisiaj. A.... to dziś z wieczora

On wraca — tu się położę nad drogą,
Przyjdzie potrąci me ciało swą nogą,
Żona się jego rozśmieje wesoło.
(*Kładzie się pod drzewem.*)
Na mokrej ziemi położę me czoło,
Może się trochę ten ogień ostudzi,
Może ja usnę że mię nikt nie zbudzi!
(*Marzy półsennie*)
Ah! ty niewierny! gdzie przysięga twoja?
Gdzie szczęście nasze — niewinność gdzie moja?
Jam żona twoja — przed Bogiem — ie ona —
Mam już truciznę.... jagodę.... już kona.
(*Z Dniepru wznoszą się Rusałki i tańcząc otaczają w krąg Bożenę.*)

CHÓR RUSAŁEK.

Chodźże siostro nasza z nami
W inny lepszy świat,
Gdzie serca nie poją łzami
Gdzie nie więdnie kwiat.

Jużeś życie twe przeżyła
Już ci przekwitł maj
Boś kochała, i wierzyła
W złudny szczęścia raj.

Doświadczenie już odarło
Z kwiatów skronie twe,
I twe serce już umarło,
Nie wskrzesisz go nie!

Chcesz jesiennej brzydkiej słoty
Mroźnych czekać zim
Wśród zgryzoty i tęsknoty
Wlec się życiem tym?

Aż krew zstygnie włos zbieleje
Znikną róże z lic
Z zmarłem sercem, bez nadzieje
Chcesz do grobu żyć!

Chodźże lepiej w świat podwodny
W siny nasz Dniepr ten
Tam wesołym raj swobody
Smutnym cichy sen.

A kto snem tym raz już uśnie
Nie przebudzi się,
Choć jaskółka wierzchem muśnie
Rybka pluśnie się.

Już nie zbudzą Cię boleści
Jego łzy i żal —
Bo on inną kocha, pieści —
Chodźże z nami w dal.

(Rusałki nikną w oddali Bożena podnosi głowę patrząc za niemi.)

BOŻENA.

Czy to sen taki? lecz nie — tu stały
Tam mnie do siebie tam w Dniepr wołały
Słyszałam dobrze — widziałam oczyma,
Więc pójdę do nich — już w życiu nic niema —

Bom kochała i wierzyła
W złudny szczęścia raj,
Jużem życie me przeżyła
Już mi przekwitł maj!

Będę Rusałką, na obłok wskoczę,
Do niego zlecę, i tam roztoczę

Nad jego głową nakształt korony
Prześliczny wianek opromieniony.
(Biegnie w stronę Dniepru, wchodzący Maksym wstrzymuje ją.)

SCENA CZWARTA.

Bożena, Maksym, potem Tymeńko.

MAKSYM.

Siostro! Bożeno! gdzie lecisz w tę stronę
Tam Dniepr głęboki.

BOŻENA.

Puść mnie nie utonę,
Tam tylko spokój i szczęścia sen błogi.

MAKSYM.

To ja Bożeno — brat ci niegdyś drogi
Czyż mnie poznajesz?

BOŻENA.

Ja cię nie znam, kto ty?
Oho, tyś człowiek, a ludzkie istoty
Złe, i od siebie precz mnie odegnali,
To się świat duchów nademną użali,
I weźmie z ziemi.

MAKSYM.

Oj siostro, Maksyma
Ty nie poznajesz?

BOŻENA.

Oj, Maksyma niema!
On dawno zginął ten brat ulubiony,
On gdzieś pojechał dawno w step szeroki
I zginął pewnie — a koniczek wrony

Wygrzebał nóżką jemu grób głęboki,
I pochował go. No puśćże mi rękę.

MAKSYM.

Skażże go Boże za tę straszną mękę!
Lecz nie — nie karz go, ja wezmę na siebie
Tę wielką karę i spełnić ją muszę,
Bo byś Ty tego nie wynalazł w niebie
Jakie ja tutaj wynajdę katuszę.
(głosem silnéj rozpaczy do siostry)
Siostro! poznaj mnie.

BOŻENA *(z trwogą).*

Poznaję poznaję.
Jam cię widziała, o, tak mi się zdaje
Że raz na Dnieprze. O nie, nie, nad chmurą.
O nie wiem. Czegóż patrzysz tak ponuro
Boję się ciebie.

MAKSYM *(puszcza nagle rękę Bożeny).*

Och — ona szalona!
(Tymeńko wchodzi i zdziwiony staje.)

BOŻENA.

Szalona? kto to powiedział, szalona.
Ja, ja szalona? Toś ty, brat powiedział
Ty Maksym — a tyś przecie dobrze wiedział,
Że takie słowa złamią moją duszę.
Jam z złem walczyła — terazem zwalczona
Teraz się poddać szaleństwu już muszę,
Bo teraz wiem już *(z krzykiem)* że jestem szalona!
(ucieka).

MAKSYM.

Patrzże Tymeńko, twoja narzeczona.

TYMEŃKO.

Cóż się to stało?

MAKSYM.

Ot nic, obłąkana —
To dar przedślubny od naszego pana.
Kiedyż Tymeńko żenisz się z szaloną?
Ją Bóg za niego ukarał tak pono,
A on szczęśliwy! Gdzie Bóg nie wymierzy
Kary, tam ona do ludzi należy.
Do *nas* należy — my będziem umieli
Lepiej ukarać — o lepiej niżeli
Z piekła wszystkiemi mękami szatany.
My tu zrobimy jeszcze lepsze piekło
Hej drżyjcie, drżyjcie teraz lackie pany
Plemie kozacze w zemście się zaciekło,
I krew pić będzie, pożogą oddychać!

(*po chwili.*)

Tymeńko, co tam w tamtych siołach słychać?

TYMEŃKO.

Wszyscy gotowi — na ciebie czekają
Kiedy ty powiesz.

MAKSYM.

O, już się zbliżają
Dnie naszej zemsty i naszej swobody,
I wnet wyprawim Lachom nowe gody.

(*odchodzą.*)

SCENA PIĄTA.

Przedstawia dziedziniec zamkowy. *Marszałek* zatrudniony dawaniem rozkazów — mnóstwo *dworzan* krząta się. *Lud* wiejski — potem *Włodzimierz*, *Helena*, *Anna* i *Bożena*.

MARSZAŁEK.

No już podobno wszystko urządzone
Na jaśnie państwa szczęśliwe przybycie,
Wszystko zstrojone, wszystko oświecone,
W kuchni, w piwnicy zapasów obficie,
Będzie czem przyjąć ojca pani młodej.
Bo bardzo liczny jest dwór wojewody
Który dziś do nas w gościnę zajedzie.
A dzięki Bogu — może przecie będzie
Gwarno i ludno od Bożego rana
Do późnej nocy jak to dawniej było
Jeszcze za ojca dzisiejszego Pana,
Byłyż to czasy aż je wspomnieć miło!

JEDEN Z DWORZAN *(wbiega)*.

Już tu skręcili, już jadą.

(Z różnych stron schodzi się mnóstwo mołodźców i dziewcząt niosących bukiety i wieńce.)

KILKA GŁOSÓW.

Już jadą!

MARSZAŁEK *(szykuje ich)*.

A, między wami końca ni początku!
Tylem was uczył! no — stawać w porządku,
Chłopcy osobno dziewczęta osobną.
Dziewczęta pieśń już umiecie podobno —
Więc wprzódy śpiewać, potem oddać wieńce,

Wy starsi mową powitacie Pana —
Wy „niech nam żyje“ krzykniecie młodzieńce.
A!!! jeszcze jedno.

(Odbiega z pośpiechem ku zamkowi tymczasem między młodzieżą wesołe śmiechy i żarty, a starzy zgromadzeni na przodzie sceny mówią.)

PIERWSZY GŁOS.

Radość niesłychana
Że pan powraca, że już z nami będzie,
Oj! dobrze on tu na karki nam wsiędzie.

DRUGI GŁOS.

Nie był to on zły, ale jaki teraz —
Człowiek za kilka lat zmieni się nieraz.

TRZECI GŁOS.

Pan zawsze panem, my zawsze biednemi
Tak było zawsze tak będzie na ziemi.

PIERWSZY GŁOS.

Będzie? Nazawsze? o to nie koniecznie
Że dziś źle, to źle nie będzie już wiecznie.

JEDEN Z MŁODZIEŻY.

Jadą, już jadą, prawie są u bramy,
Chodźmyż czem prędzej czego tu czekamy.

(Wszyscy się mieszają razem i tłumnie i gwarno wychodzą ku bramie. Marszałek to od zamku spostrzega, spieszy jak może, woła, prosi).

MARSZAŁEK.

Stać!!! czekać!! wszystko pobałamucili,
Pieśni nie śpiewali, mowy nie mówili

A ja sam został — o mój Jezu święty
Czyż warto uczyć ten naród przeklęty.

(*Od bramy przychodzi Włodzimierz z Heleną i Anną, a za niemi cały lud wołając.*)

WSZYSCY.

Niech żyje nasz pan, nasza pani młoda!

WŁODZIMIERZ.

Witam was dzieci! Pokój i swoboda
Niech będzie odtąd na zawsze już z wami.

MARSZAŁEK (*ściska kolana pana*).

Tylko niech Pan nasz zostanie już z nami.

WŁODZIMIERZ.

O tak, zostanie już z wami zostanie,
Nawet powiedzieć ci nie jestem w stanie,
Jak mnie przyjęli serdecznie, jak miło.

MARSZAŁEK.

Ej, jaśnie panie, to wszystko źle było,
To jaśnie panie miało być inaczéj.
Pięknie, solennie, jak się przynależy
Ale ten naród przeklęty kozaczy
Jak wypadł w bramę tak bieży i bieży,
I wszystko się to pomięszało razem.

WŁODZIMIERZ.

Ten zapał właśnie jest żywym obrazem
Ich serc poczciwych.

(*do ludu*)

Już teraz nie pana
Lecz przyjaciela, brata, ojca macie.

Nędza już odtąd nie będzie wam znana,
Smutek już w żadnéj nie postoi chacie.

WSZYSCY.

Niech żyje nasz pan, nasza pani młoda.

(Włodzimierz podziękowawszy im ukłonem, zwraca się do Marszałka, mówi z nim po cichu — Kozacy czazynają się rozchodzić a Anna z Heleną otoczone dziewczętami, które im kwiaty oddają na kilka słów Heleny biegnie ku bramie i z powozu mnóstwo wstążek przynosi).

TRZECI GŁOS *(z tych co odchodzą już)*

Ej, szkodaby go było, bardzo szkoda.

PIERWSZY GŁOS.

Że mówi słodko, że ci się przymili
Chcesz żebyśmy mu zaraz uwierzyli.

DRUGI GŁOS.

Chce nam być ojcem, a nie Kozak, cudzy,
Lach i katolik taki jak i drudzy.

TRZECI GŁOS.

A ona jaka śliczna, niby święta.

PIERWSZY GŁOS.

Djabli mi z tego, to Laszka przeklęta.

(wychodzą)

WŁODZIMIERZ *(do marszałka)*

Pan wojewoda zaraz tu przybywa
Przygotujże Waść komnaty wspaniałe,
Niechaj mu tutaj na niczém nie zbywa,
Zostanie z nami przez to lato całe
Żeby odpoczął po długiéj podróży —
A może zechce zabawić i dłużéj.

Dwór jego przyjąć gościnnie i hojnie,
Mym dworskim kazać żeby się spokojnie
Ludzko, z tamtymi obeszli dworskiemi
By zgoda, przyjaźń była między niemi.

(do Heleny)

Pójdziesz do zamku?

HELENA.

Jeszcze tu zostanę.

(Włodzimierz z marszałkiem wchodzi do zamku)

HELENA *(do dziewcząt)*

Chodźcież tu bliżéj dziewczęta kochane
Ot, do warkoczy macie wstęgi krasne.

PIERWSZA DZIEWCZYNA.

A, bodaj pani smutku nie zaznała
I całe życie miała czoło jasne.

DRUGA DZIEWCZYNA *(do Anny)*

Bodaj panienka zawsze tak została
Jak teraz, ładna by róża kwitnąca.

TRZECIA DZIEWCZYNA.

Niech Bóg da zdrowie i szczęście bez końca.

HELENA.

Dzieci, ja wszystkie smutki wam ukoję
Ja każdą ranę bolesną zagoję
Dzieci utulę i matki pocieszę
Do chorych biednych z pomocą pośpieszę.

(Bożena blada z wejrzeniem dzikiém i błędném z włosami rozpuszczonemi, odzieniem potarganém, nagle odpycha dziewczęta otaczające Helenę, staje przed nią, wpatruje się, śmieje się, a potém mówi do niéj groźnie i z goryczą)

BOŻENA.

Oho, daremnie ty Laszko się cieszysz!
Są tutaj smutni których nie pocieszysz,
Łzy, co nie otrzesz, bólów nie ukoisz,
Są rany w duszy których nie zagoisz.

(wpatruje się w nią znowu i mówi z jakimś oddźwiękiem rzewności)

Choć ty tak zbytnie dobra, chrześciańska,
Choć ty tak piękna, anielska, niebiańska,
Że jabym ze czcią przed tobą uklękła
To nie pomożesz.

ANNA *(cicho)*

Ah, jakżem się zlękła
Jak oczy błędne...

BOŻENA *(do Heleny)*

Ciebie tu witali
Tobie życzyli, kwiaty ci sypali,
Wszystko nie szczerze — ja jedno życzenie
Szczere ci niosę: bodaj wieczne cienie
Okryły wkrótce twoje siwe oko,
Bodajeś czuła śmiertelne już drżenie
Bodaj ci suli mogiłę wysoką.

(ucieka)

HELENA *(z smutnym uśmiechem)*

Ha, takich życzeń nikt nie słyszał może.

ANNA.

O to okropnie!

HELENA.

Ja się tém nie trwożę

Choć taka wróżba dziwne myśli budzi.

(do dziewcząt)

Bądźcie mi zdrowe.

DRUGA DZIEWCZYNA.

Może pani ludzi
Rozesłać każe aby ją schwytano.

HELENA.

By nowe bóle do dawnych dodano!
Nie, bądźcie zdrowe.

(do Anny)

My pójdziemy sobie
Tam do kaplicy — pomodlim się obie.

(wychodzą)

SCENA SZÓSTA.

W zamku Włodzimierza w ogromnéj sali — na ścianach wiszą portrety zbrojnych rycerzy. Włodzimierz sam chodzi powoli zamyślony)

WŁODZIMIERZ.

Więc znów tu jestem — tak to te komnaty,
Po tych marmurach lekkim, gibkim krokiem
Młodzian szczęśliwy chodziłem przed laty;
Tu pełném życia pełném duszy okiem
Na zmarłe, zbrojném patrzył antenaty
Aż odstrzelili ku mnie dusznym wzrokiem.
Tak to te same, te same komnaty,
Gdzie pierwsza miłość jak anioł skrzydlaty
Sny moje piękne jak podziemne duchy
Mnie odwiedzały.

Te same komnaty
Dziś ciężkich kroków wtórzą oddźwięk głuchy

I dziś bez ognia, bez duszy spojrzenia
Błądząc witają ściany i sklepienia
I zimny marmur téj saméj komnaty
Gdziem zbytkiem życia, żył przed kilką laty!

Ani się mogę oprzeć wspomnień fali,
Płyną tak rączo jak rzeka z gór łona —
Mnie z sobą niosą tam daléj i daléj
Ku dniom minionym, a tam stoi ona
Piękna jak niegdyś! A u jéj podnóża
Ta nasza przeszłość jak zwiędniała róża,
Bezwdzięczna, blada, bezwonna, spłowiała;
Biedna Bożenka! Lecz gdzie się podziała?
Tak pragnę wiedzieć, a pytać się boję...
Niewiem jak wszedłem do znanéj mi chatki,
Co mi gościnnie otwarła drzwi swoje.
Myślałem, wspomnień czar wonny z niéj wionie
Wchodzę — powiędłe, zeschłe stoją kwiatki,
Ogień na zimném ognisku nie płonie
Ciemno a cicho, a pusto jak w grobie.
Li powój barwny urąga żałobie,
Wiotkie zarzuca gałązki i kwiatki,
W okna zamknięte zagląda ciekawie.
I ten ślad życia wśród umarłéj chatki
Taką ironią zaśmiał mi się prawie,
Jak wianek świeży na trumnie złożony
Jako dziewicy pośmiertelne stroje —
Z rozpaczą m wydarł i zdeptał powoje!

(wchodzi Wojewoda)

SCENA SIÓDMA.

Włodzimierz, Wojewoda.

WOJEWODA.

Wiesz co mój synu, że ogród, mieszkanie
Wszystko wspaniałe.

WŁODZIMIERZ (*z niechęcią*)

Może też o panie
Tém dłużéj z dziećmi zabawić się raczysz.

WOJEWODA.

Oho, jak się tu rozgoszczę zobaczysz.
Mieszkanie pańskie, wspaniałe, prześliczne,
Będzie gdzie przyjąć i sąsiedztwo liczne;
A dworów, szlachty mnóstwo naokoło
Jest czém ugościć będziem żyć wesoło.

WŁODZIMIERZ.

Wesoło! będziem żyć jak pustelnicy
Nikt tu nie zajrzy z całej okolicy.

WOJEWODA.

Czemu? wszakże pierwéj byłeś tak lubiony,
Żeś na czas jakiś opuścił te strony,
Troszkęś im zobczał, trochę są nieśmieli,
Ale chcesz żeby znowu przylecieli,
Na łowy, uczty zaproś ich łaskawie,
A wszyscy zlecą jak z wiosną żurawie.

WŁODZIMIERZ.

Panie gdzie spotkam dawnych towarzyszy
To każden zimno tak odemnie stroni
Moich powitań prawie niedosłyszy

I na mój ukłon ledwo się odkłoni,
I tak popatrzy — że ja co to przecie
Dotąd jak żyję, nigdy, nigdy w świecie,
Dumnegom oka nie spuścił przed nikiém,
Teraz jakbym się zrodził niewolnikiem,
Jakbym nawyknął zginać kark ku ziemi
Kryję się przed ich okiem z oczy memi,
Jak przed spojrzeniem sędzi winowajca.
Bo w ludzkim głosie, i w wiatru poświście
Co muska lekko drzew zielonych liście
Słyszę głos jeden

(cicho, zbliżając się do Wojewody)

Zdrajca, zdrajca, zdrajca!

WOJEWODA.

Ależ mój synu to są czcze marzenia
Po co też z sobą wieczną toczyć wojnę

WŁODZIMIERZ *(gwałtownie)*

Starcze! że w tobie ucichł głos sumienia
Myślisz, że moje może być spokojne?

(odchodzi od niego prędko — milczenie)

WOJEWODA.

Ale, masz konie prawdziwe araby,
A jakie charty! W tych jarach zwierzyny
Jest wiele — prawda? Spróbować trzebaby
Jedźmy na łowy dziś synu jedyny

WŁODZIMIERZ *(zimno)*

Wszystko co każesz ja spełnić gotowy
Więc dobrze panie, pojedziem na łowy.

SCENA OSMA.

Włodzimierz, Wojewoda, Helena i Anna.

HELENA.

Przyszedł tu jakiś chłopczyna ubogi,
I śliczne dumki ukraińskie śpiewa,
Chciałbyś go słyszeć Włodzimierzu drogi?

ANNA.

Z tych dumek jego jakiś czar wypływa
Że dusza ludzka za niemi się zrywa
I gdzieś daleko ku niebu ulata.
Dość to ja przecie dziecię tego świata,
A jednak słysząc te ciche stron brzmienie
I to tak dziwne smutne tęskne pienie
Patrząc na blask co promieni na czole
Tego śpiewaka — prawie zapomniałam
Że jeszcze żyję na ziemskim padole.

HELENA.

Czy go tu zwołać?

WŁODZIMIERZ.

Dobrze miła żono.

ANNA.

Biegnę po niego, bo to istne czary.
(wychodzi)

WOJEWODA.

Ja na tych czarach nie poznam się pono,
W górę nie wzlecę, bom ciężki i stary.
To wolę kazać konie przygotować —
Pamiętaj synu że mamy polować.
(wychodzi)

SCENA DZIEWIĄTA.

Włodzimierz — Helena, Anna i Pachole niosąc teorban w ręku.

PACHOLĘ.

Jak się macie! pokój błogi
Niech zawita w wasze progi
Niech wam mieszka w łonie —
I od cierpień na téj ziemi
Biały anioł skrzydły swemi
Osłoni wam skronie.

WŁODZIMIERZ.

Dziecię zkąd jesteś?

PACHOLE.

Jestem ... z Ukrainy.

ANNA.

Ale gdzie dom twój?

PACHOLE.

Jak oko poleci,
Jak tylko stepów zaoczysz dziedziny
Tak dom szeroki dla stepowych dzieci.

ANNA.

A gdzież ty sypiasz?

PACHOLE.

Zwykle na mogile
Miękkiéj, zielonéj przesypiam się mile
I podsłuchując duszą na wpół-senną,
Piosnkę przeszłości, tajemną promienną,

Słucham — co szepcze krzaczek polnéj róży
I co dąb stary swoim szumem wróży,
I słucham wiatru co jęczy więziony
W pośrodku liści ogromnych burzanu —
Wszystko podsłucham, a te nocne tony
Wkładam na strony mego teorbanu,
Abym mógł ludziom nową piosnkę dać.
Oh — miło też to na mogile spać.

HELENA.

A gdy się zbudzisz z tych miłych snów?

PACHOLE.

Wtedy nastroję teorban znów
I idę sobie daléj między ludzi —
A wszędzie chaty otworem zastaję
Wszędzie uczucie pieśń ma w sercach budzi,
Każden kawałek chleba mi podaje;
Chleba dla ciała — a ja im w nagrodę
Daję w piosence dla duszy ochłodę
I idę daléj, pod słomiane strzechy
Roznosząc skarby nadziei, pociechy.
I tam gdzie zamków kamienne są mury
Gdzie równie często mieszka ból ponury,
Przychodzę także czasami z kolei;
Ale tam, zwykle bramy są zamknięte
Pukam — niepuszczą — więc idę mą drogą
Bo moje dumki, te gołąbki święte,
Przebić tych murów i tych serc nie mogą.

WŁODZIMIERZ.

Śpiewaj Pacholę — tu twa pieśń potrzebna
Tu może gościć gołąbka podniebna
Śpiewaj Pacholę!

PACHOLE.

Spiewać mam ochotę,
Cóż kiedy wszystkie dumki zapomniałem.
Ale dziś, dziwną widziałem istotę
Spojrzałem w oko, jęk jéj podsłuchałem,
A w oku, w jęku, był bezmiar cierpienia;
Cierpienia, to są na dumki nasienia
Więc łzę tę jęk ten dziewczęciu wykradłem,
Jak drogie ziarna na strony pokładłem
I cóż wyrosło? Ot dumka tak marna
A łzy i jęki, to tak drogie ziarna!

(Zaczyna powoli przegrywać i śpiewać—Helena opiera głowę na ręku i łzy płyną po jéj licu — Włodzimierz słucha z zajęciem i walczy z myślami co się w nim nagle budzą.)

Pieśń o obłąkanéj.

Ludzie! pytacie co to za przyczyna,
Że w stepach błądzi ta młoda dziewczyna?
Widzicie dziko patrzy do około —
Milczy— lecz jęk ten czyż do was nie woła,
Że ona wszystko straciła na świecie,
A wy o ludzie, pytacie się przecie!

Ona kochała — wszystko wielkie, święte,
Bóg, niebo, było w tém czuciu zamknięte,
A on niewierny — ten zbytek boleści,
To biedne serce, dziewczęcia czyż zmieści?
Serce jéj pękło — lecz zostało życie —
A wy o ludzie jeszcze się dziwicie!

Patrzcie jak ręce wychudłe rozkłada
Kogoś przytula i pieści i gada,
Niema nikogo! tylko wiatr stepowy

Włosy odgarnia z jéj spuszczonéj głowy.
„I cóż to znaczy“ Oh czyż wy nie wiécie
Jakie na ziemi z zmarłém sercem życie?

Patrzcie w jéj oczy — te błędne ogniki,
Migają blado, te przerwane krzyki,
Głos, co złamany przed myślą ucieka,
Z sercem umarłém to żywot człowieka!
Spojrzeli ludzi — i tłuszcza zdziwiona
Odrzekła zimno: „To tylko szalona“!

„Chcieliśmy ujrzeć, jakiś tam cud nowy
Bo żyć nie można bez serca, i głowy,
Tu niema cudu — to tylko szalona.“
I poszli śmiejąc wzruszając ramiona.
A dziewcze błądzi po stepie i jęczy,
I żalniéj — tęskniéj — pieśń śpiewaka dźwięczy.

WŁODZIMIERZ.

Dość!! każde słowo rani mnie boleśniéj,
(wychodzi prędko)

HELENA (*dając śpiewakowi pieniądze*)

Masz dziwne dziecię, za twe śliczne pieśni.

PACHOLĘ.

O pani — złoto za pieśni nie płaci.
Ciche wspomnienie w sercach moich braci,
Za oddźwięk serca, to zapłata jedna,
Żegnajcie z Bogiem
(wpatruje się w Helenę)
I tyś pani biedna
I tobie także pociechy potrzeba,
Ale jéj pieśnią dać nie mogę tobie —

Idź i w modlitwie uproś ją u nieba.
No — teraz z Bogiem zostajcie tu obie.

ANNA.

Bądź zdrów ale tam wkrótce będzie ciemno,
Zostań tu na noc.

PACHOLE.

Przecie jest nademną
Oko opatrzne — w mą drogę tajemną
Iść muszę dalej bo znam Bożą wolę,
Bóg z wami ludzie!

HELENA.

Bóg z tobą Pacholę!

SCENA DZIESIĄTA

Helena i *Anna* — obie milczą — i zadumane, po chwili siadają z ręczną robotą przy stoliczku. Anna nuci sobie piosenkę, jakby chciała byleczém przerwać ciszę, potém się odzywa do Heleny.

ANNA.

Ale, to właśniem sobie przypomniała,
Że w bramie rano sroczka dziś skrzeczała,
I kotek mył się; ktoś z gości przyjedzie —

HELENA.

Rada byś była?

ANNA.

Gość może przywiedzie
Z sobą wesołość — bo tu w tych podwojach
Tak smutno, głucho, że mnie aż strach zbiera
Jak sama jestem. Te portrety w zbrojach
Tak jakby żywe — a każdy poziera

Na wpół posępnie, wpół gniewnie i dumnie,
I zdaje mi się ze ścian schodzą ku mnie
Chcą mnie pochwycić w ramiona ze stali,
A ja uciekam, lecz za mną po sali
Odgłos mych krokow zmienia się w dźwięk głuchy,
Jakby goniły mnie te wszystkie duchy.

HELENA.

Boisz się Anno?

ANNA.

A choć i przemogę
Tę nierozsądną i dziecięcą trwogę
Choć się rozśmieję, to się echo śmieje,
Ale tak dziwnie, okropnie, nieszczerze,
Że sama niewiem co się ze mną dzieje,
Helenko, tak mnie okropny strach bierze.

HELENA.

Ja się nie boję, ale to źle robię,
Że ciebie luba tak poświęcam sobie.
Ale już odtąd będę się starała,
Żebyś rozrywek także trochę miała;
Ja wiem jak bardzo Warszawa ci miła,
A tyś ją dla mnie przecie porzuciła.

ANNA (*wzdychając*)

Miała Warszawa, prawda — ale z tobą.
(*kładzie robotę i idzie do okna*)
Otóż to widzisz pokłócim się z sobą!
Ty nie chcesz wierzyć sroczce i kotkowi,
A tu już goście jadą ku zamkowi;
Patrzże Helenko, ot jadą przez błonia
Ten co na przodzie — Ci dworzanie oba,
Lecz ten na przodzie, ten mi się podoba.

Czoło tak wzniosłe jak gdyby koronę
Nad niem miał nosić — wskazuje w tę stronę,
Ku bramie — minął — już minął! o szkoda
Żegnaj mi gościu!

HELENA.

Ej ty trzpiotko młoda,
Wszystko cię zajmie, zabawi, ucieszy.

ANNA.

Nie, nie, tu skręcił, tu ku nam, tu śpieszy!
Na moście w bramie — a, co za postawa!
Blady, włos czarny... aleś nie ciekawa
Moja Helenko, wstańże, popatrz przecie
Chodźże do okna.

HELENA (*idzie powoli do okna*)

Oj, zepsute dziecię,
Trza ci dogodzić. Ah — to on — o Boże!

ANNA.

On? kto Helenko? a — to Jerzy może!

HELENA (*zmięszana*)

On tutaj idzie — ah, cóż ja tu zrobię!
Anno, tu przy mnie siądźże blisko sobie.
(*Obie usiadają z robotą, za sceną słychać kroki Jerzego i jak mówi do marszałka*)

SCENA JEDENASTA.

Helena, Anna, Jerzy i Marszałek.

JERZY (*za sceną*)

A więc pan hrabia nie w domu? a szkoda.

MARSZAŁEK *(za sceną)*

Ot właśnie nasz pan, i pan Wojewoda
I pan Szambelan razem pojechali
Na polowanie. Czy pana poznali
Czy co? wracają — ot już są pod lasem,
Pan może z panią pomówi tymczasem.

JERZY *(wchodząc)*

Z panią? o nie, nie, zaczekam tu w sali.

MARSZAŁEK *(wchodząc za nim)*

Właśnie tu pani.

(wychodzi z ukłonem)

(Jerzy zmięszany kłania się paniom — Anna zajęta niby robotą. Helena prowadzi rozmowę lekko i wesoło).

HELENA.

A jak niespodzianie
Panie Zacławski, dziśmy się spotkali —
Witam cię gościem w moim domu panie —
Gdy mąż powróci jak będzie zdziwiony.

JERZY *(siada w krześle przy Helenie).*

Mąż pani, to brat méj duszy rodzony!
Całą my młodość tu razem przeżyli,
Jego powrotu tęskniem czekał chwili
Alem nie wiedział, nie myślał prawdziwie
Że się tak dzisiaj ucieszę i zdziwię,
Że panią ujrzę po tak długim czasie.

HELENA.

Długim? no proszę a mnie to tak zda się
Że ledwo wczoraj jak my się widzieli.

JERZY.

To nam inaczéj płynie czas co dzieli
Wczoraj od dzisiaj — w szczęściu bieży skoro,
W trudach, w cierpieniu, wlecze się niesporo.

HELENA.

O mnie tak wszystko w pamięci przytomne
Jak gdyby wczora — tak panie jak wczora
Nigdy pożegnań naszych niezapomnę —
Byłoto prawda na ganku z wieczora,
Gdy po rozmowie poufnéj i długiéj
Miłém dobranoc pana pożegnałam.

(*śmiejąc się*)

Lecz jak zdziwionam była na dzień drugi
Patrzę pan jak duch niknie gdzieś w oddali
Tylko rumaka kopyta tętniły,
Chmury kurzawy do góry się wzbiły
I... rycerz błędny znikł na zawsze z oczu.

JERZY.

Tak, lecz nim zniknął patrzył w zamku stronę
I wśród bieluchnych muślinów przezroczu,
Zobaczył w oknie postać nachylonę...
Ramiona śnieżne...

HELENA (*wybuchając śmiechem*).

Ja Pana żegnała,
I tak serdecznie, wesołom się śmiała,
Żeś Pan uciekał jak przed Tatarami.

JERZY.

Ja się nie lękam strzał co ciało ranią
Lecz kiedy czarny pocisk duszę plami,
Wtedy uciekam — i upewniam Panią...

HELENA.

Co? duszę plami — co to znaczy, proszę.

JERZY (*wstając*).

Niepytaj Pani — co tam cudze smutki
Obchodzą tego, kto zna li rozkosze
Komu są lata, jak jeden dzień krótki.
Pani szczęśliwa — o niewątpię wcale
Nader szczęśliwa.

HELENA.

Szczęśliwam nad miarę!
A byłam smutna — i te dawne żale
Rzucamy z siebie precz jak suknie stare.
To długo nietrwa; dzień, dwa, trzy nareście
Smucić się może serduszko niewieście,
Lecz nigdy dłużéj. Bo i proszę Pana
Jakaż być może tak głęboka rana,
Coby w dni kilka goić się nie miała?
(*z goryczą*)
Czy może serca zdradnego utrata?
Jabym jéj jednéj łzy nawet nie dała —
Za zdradę wzgarda jedyna zapłata,
Za takie serce jednéj łzy nie warto!

JERZY (*cicho i z żalem*).

I twój szacunek mi także wydarto!

ANNA (*cicho do Heleny*).

Helenko, tyś tak okropnie wesoła!

HELENA (*cicho*).

Jak go niecierpię nikt pojąć niezdoła.

JERZY (*w pół cicho*).

Niewinnym. Piję tę gorycz cykuty,
Serce me z bólu zaledwo nie pęka,
Słysząc z ust twoich niesłuszne wyrzuty,
Milczy choć cierpi bo się tylko lęka,
O Ciebie...

(*wchodzi Włodzimierz*)

HELENA.

Otóż i mój mąż kochany!
Włodziu mój jest tu gość niespodziewany.

WŁODZIMIERZ (*ściska Jerzego*).

Jerzy! mój Jerzy! ty bracie méj duszy!
Pragnąłem ciebie jak więzień swobody,
Pragnąłem ciebie jak w lipcowéj suszy
Kwiat pragnie kropli deszczowéj ochłody.

(*Helena usiada do roboty*).

JERZY.

Jak się masz drogi!

WŁODZIMIERZ.

Wiesz, ja cię poznałem
Jeszcze z daleka — jak tylko dojrzałem —
Wzrok się mógł zmylić serce nie zmyliło.
Oh, bo nam téż to dobrze razem było!
Pomnisz te chwile szczęścia i zachwytu?
Lecz odkądeś mnie zostawił w Warszawie
Cierpień boleści toż miałem do sytu.

JERZY.

Ha, takie przejścia ma każdy z nas prawie
Czasami w życiu — lecz teraz ci za to
Szczęście domowe sowitą zapłatą.

WŁODZIMIERZ.

Helenka! prawda, to anioł prawdziwy
Wierzaj mi Jerzy ja bardzo szczęśliwy —
Lecz i ty także myślisz stan odmienić
Kiedyż poznamy tę twoją Bogdankę.

JERZY.

O nie — ja wcale nie myślę się żenić
Lubo mam jednę, najdroższą kochankę,
Jéj świeże myśli, uczucia i ramię,
I moich ślubów jéj nigdy nie złamię.

HELENA.

Któż jest ta piękność taka tajemnicza?

JERZY.

Jest to dziewica cudnego oblicza —
Nosi złocistą koronę na skroni,
Dzierży szczerbaty Chrobrego miecz w dłoni,
Siedm wstęg płynie przez zieleń jéj szaty —
Głowę oparła o dumne Karpaty
W bursztynnem morzu płucze stopy swoje —
Jakże poznajesz ty kochankę moję?

WŁODZIMIERZ.

Tyś najszczęśliwszy, najwyższy, najświętszy,
Jedna ci idea do życia wystarcza —
Serce masz stalne choć duch najgorętszy,
A pierś okrywa poświęcenia tarcza.

(patrzy ku oknu).

Patrz się jak śliczne słońce nad zachodem,
Chodźno mój Jerzy przejdziem się ogrodem,
Bo ja tak wiele mam pomówić z tobą.

(wychodzą oba).

SCENA DWUNASTA.

HELENA i ANNA.

Helena siedzi trzymając robotę na kolanach łzy płyną jéj z oczu, obciera je prędko i mówi.

HELENA.

A my téż Anno cóż pomówiem z sobą?
Wiesz co ma luba, myślałam to nieraz
Jak ja go kiedyś pierwszy raz zobaczę
Teraz spokojna i wesołam teraz,
Aż... patrz że Anno, aż z radości płaczę.
Bo dawne znikły uczucia bez znacznie
Bo się od dzisiaj szczęście moje zacznie,
Bo się do męża już tak przywiązuję...
Anna radości zemną nie chce dzielić?

ANNA.

Wolę już płakać niż tak się weselić
Moja Helenko, ja to dobrze czuję
Że śmiech ten, radość i spokój udany,
Nieszczéry temu razi mnie niemile,
Jak śmiech przy trumnie, jak śpiew obłąkanéj.

HELENA.

Prawda Anusiu, prawda w pierwszą chwilę
Byłam zmieszana, lecz ci mówię szczerze
Że go niecierpię.

ANNA (*ściska jéj rękę*).

Już wierzę Ci, wierzę.
(*wychodzi prędko z pokoju*).

HELENA (*sama*).

Niewinny — bronić by się mógł — a znosi
Moje wyrzuty, nienawiść pogardę,
O przebaczenie nawet mnie nie prosi,
Ah cóż za serce i zimne i twarde.

SCENA TRZYNASTA.

HELENA, WŁODZIMIERZ, JERZY (*wchodzą*).

WŁODZIMIERZ.

Jak na nieszczęście właśnie dziś przybywa
Goniec z Warszawy z ważnemi listami,
I Wojewoda do siebie mnie wzywa —
A ja bym rad był ciągle między wami.

(*do Jerzego.*)

Ja zaraz wrócę, zostań tu na sali,
Ty mnie Helenko zastąpisz łaskawie,
Radbym żebyście się bliżéj poznali.
Przed nim o żono, z czcią, z modlitwą prawie
Duch mój się korzy, a on go podnosi
Coraz to wyżéj natchnionemi słowy,

(*cicho do żony*).

Bądźże mu rada, mąż cię o to prosi.

(*całuje ją w rękę i podaje ją Jerzemu*),

Dajże mu rączkę. No Jerzy bądź zdrowy.

(*wychodzi.*)

(*Milczenie Jerzy trzyma rękę Heleny ona ją chce wyrwać*).

JERZY.

Nie bierz twéj ręki, wszak wprzód wziąść nieśmiałem,
Lecz mąż pozwolił. Heleno poznałem,
Twarz twa chce kłamać a kłamać nie umie —
Taisz w niewieściéj i świętéj twéj dumie,
Cierpienia —

HELENA (*wyrywa mu rękę*).

Mam dość téj dumy niewieściéj
By zdeptać brzydki chwast zarozumienia
I rzec ci w oczy, że dla ciebie mieści
Wzgardę jedynie, że nawet imienia
Niemam dla ciebie...

JERZY (*z żalem*).

Oh, gdyby żądano
Życia — za ciebie czyż życia bym niedał?
Ale mi hańbę dawali za wiano —
Czyż byś choć żona, mnie była kochała,
Żebym sumienie za ciebie zaprzedał?
A ojciec żądał bym kupił twą rękę
Podłą frymarką, bym się zrzekł méj wiary,
Bym kraj mój wydał na niewoli mękę,
Bym sam nań podniósł ojcowski miecz stary,
Bym z grabarzami mą matkę żyjącą
Zagrzebał w grobie — i wszędzie za sobą
Nosił Kaima tę klątwę palącą
Jako me wiano poślubne z tobą.
Ja się wolałem Heleno zrzec ciebie
Milcząc, wolałem już przyjąć na siebie
Wzgardę nienawiść, oderwać nie chciałem
Ciebie od ojca, tyś go tak kochała...
A zranić serce dziecka ja się bałem...

HELENA.

Terazem, teraz, już wszystko poznała.
I męża rozpacz!.. Co? ojciec mój w rzędzie
Zdrajców? mój ojciec? o nie, nie, tyś w błędzie,
Mylisz się Jerzy — o mylisz się Jerzy
Zdrajca! nie! temu córka nie uwierzy!

JERZY (*biorąc jéj rękę*).

Ojciec twój zbłądził jak każden z nas zbłądzi,
Lecz Bóg nie czyny tylko chęci sądzi.
Ja co innego, jam złą drogę zoczył
Byłoby zbrodnią gdybym z dobréj zboczył
Dla mego szczęścia. Twój ojciec inaczéj,
Jemu i naród i Bóg sam przebaczy.

HELENA (*opiera mu rękę na ramieniu.*)

Jerzy mój dobry, szlachetny, i wielki,
Czysty — przejasny — bez błędu kropelki!
A mnie kazano w twą obłudę wierzyć —
Niemogłam — miléj tysiąc razy nieżyć,
Jak ciebie było myśleć takim małem!
O teraz będziesz znów mym ideałem
Najszlachetniejszym, najczystszym, najwyższym,
Świętych, aniołów, i Boga najbliższym,
O teraz mi już wolno kochać ciebie.

JERZY (*tuli ją ku sobie i całuje w czoło*).

O ty najdroższa!

HELENA (*wyrywa się z objęć jego*).

O uciekajmy mój Jerzy od siebie
Bom ja do śmierci *jemu* poślubiona.
Tylko do śmierci, to przecie nie długo,
Ja wierzę w wieczność i w ojczyznę drugą,
A tam nie będziem z sobą rozłączeni —
Tam będziem razem — lecz w ziemskiéj przestrzeni,
Jerzy — przez litość — bądź zimny, daleki.

JERZY.

Heleno moja żegnam Cię.

HELENA.

Na wieki!

(*Jerzy wychodzi*).

SCENA CZTERNASTA.

HELENA *sama*.

Wielki a piękny — jak dawniéj go znałem,
Oh, ja wiedziałam, ja dobrze wiedziałam,
Że on się niemógł tak okropnie zmienić!
Teraz podniosę czoło w górę śmiele,
Już się nie będę za niego rumienić.
Już teraz mogę cię kochać aniele,
Nie będę płakać w samotnéj żałobie
Tylko dniem, nocą, śnić, marzyć o tobie.

Oj nie niemożna — niemożna — niemożna!
Miłość ku tobie jest grzeszna, bezbożna,
I myśl o tobie już plami mą duszę
Ja cię niekochać — zapomnieć cię muszę,
(*Rzuca się na kolana i modli*).

Ojcze! ulituj się,
Ojcze! zachowaj mnie
Czystą, jasną jak łza.
Niech zniknie niby dym
Miłość i myśl o nim
I drogich wspomnień mgła.

Uciszę serce me
Zatrzymam u oka łzę,
I póki będę żyć,
Nie będę płakać, nie,
Ani go widzieć chcę,
Ni nawet o nim śnić.

Tylko o Boże mój
Płomiennych modłów rój
Podniesie się do Cie
Gorących jak ta łza
Płomiennych jak pierś ma,
A Ty wysłuchasz je.

Gdy on wsiędzie na koń,
Na krwawéj bitwy błoń
Na boje będzie biegł
To święta Twoja dłoń
Otoczy jego skroń
To Ty go będziesz strzegł!

Ty dasz to Boże mój,
By jego życia zdrój
Niezmącon cicho ciekł —
By cały żywot ten
Niby o szczęściu sen
Mile dla niego zbiegł.

By jaśniał odtąd już
Bez chmur bez słot i burz
Po nad nim niebios strop —
By biały szczęścia kwiat,
Wonną swą główkę kładł
U jego drogich stóp!

Tak będę, wiecznie tak
Niby sen, gwiazdka, ptak
Ku Tobie z modlą biedz.
Aż jemu szczęście dasz
A mnie dasz... Ojcze nasz...
W cichej... mogile ledz!

(*Klęczy jeszcze w cichéj modlitwie, a na odgłos kroków nadchodzących podnosi się powoli i odchodzi do swych pokojów*).

SCENA PIETNASTA.

Jerzy i Włodzimierz wchodzą kończąc rozmowę.

WŁODZIMIERZ.

O odkąd jestem w téj cichéj ustroni,
Wspominam dawnych towarzyszów broni,
I myślą o nich smutną duszę pieszczę,
A oni czy mnie wspominają jeszcze?

JERZY.

Téj ja to strony dotknąć się nieśmiałem
I wprzódy tobą nacieszyć się chciałem
Lecz, tyś sam zaczął, ty pytasz — odpowiem,
I raz się przecie prawdy jasnéj dowiem.
A może dzisiaj jedno twoje słowo
Stracony spokój wróci mi na nowo —
Lub jedno słowo na wieki już przerwie
Naszéj przyjaźni, święte bratnie związki —
Moją dłoń, serce od ciebie oderwie
Jak wiatr jesienny listek od gałązki.
(*milczenie.*)
Ci, których rękę braterską ściskałeś,
Ci, obok których w szeregu stawałeś,
Teraz o zdradę ciebie oskarżają.
Ja jeden bronię twéj poczciwéj sławy,
Ja wiem że jesteś szlachetny i prawy
Lecz mnie nie wierzą — i tu mnie przysłali,
O twoją wiarę spytać się kazali
Powiedz że to fałsz — ja w ciebie tak wierzę!

WŁODZIMIERZ.

Milcz! milcz jak kamień — bo rozpacz mnie bierze!
Milcz, ani słowa — bo w otchłań upadam.

JERZY.

Jak to? więc prawda?

WŁODZIMIERZ (*gwałtownie*).

Nie pytaj, powiadam!
Skąd ty masz prawo moje czyny sądzić,
Skąd prawo pytać, memi kroki rządzić,
Mogę iść dobrze a mogę i błądzić,
Lecz idę gdzie chcę.

JERZY.

Grzeszysz z własnéj woli?

WŁODZIMIERZ (*gwałtownie*).

Nie — tyś mnie popchnął na drogę niedoli.
Jam był motylem i skrzydłami swemi
Bujałem lekko po nad ziemię szarę;
Tyś chciał z pod nieba zwrócić mnie ku ziemi
Skrzydłaś mi oba i miłość i wiarę,
Oberwał zdradnie. Ja ludzi kochałem,
Wierzyłem silnie w ich boskość i w siebie,
O bo ja mało jeszcze ludzi znałem —
Jam był poetą, żyłem w marzeń niebie
Ty wolą twą mnie wysłałeś do ludzi,
Ty iść kazałeś czynu drogą twardą,
A mnie ta droga i trudzi i nudzi,
A ja na ludzi dziś patrzę z pogardą,
I z nienawiścią. Po lilijach stąpałem
Gdym z aniołami śpiewał hymny święte
Ja się w promiennym eterze kąpałem,
I me westchnienia były z nieba wzięte —
A gdy po snach mych proroczych, wspaniałych,
Dziedziców nieba, ludzi zobaczyłem,
Krwią obryzganych i podłych i małych,
We wszystko wielkie i piękne zwątpiłem.

Jam śladu duszy niemógł się dopatrzeć,
Ni w jednéj piersi krzyżami ozdobnéj —
Chciałem w nich wzgardą człowieczeństwo zatrzeć,
Lecz — naglem spostrzegł, żem do nich podobny,
Że mnie niezłomne z niemi łączą śluby,
Więc muszę z niemi iść wraz drogą zguby —
A choćbym wrócił, mój Jerzy kochany
Cóż by za korzyść była świętéj zmiany!

Słuchaj mój Jerzy, w przecudnym Jemenie
W onym jaśminów i róż wonnym gaju,
Gdzie dziś balsamem przyrody westchnienie,
Gdzie wszystko szepce ci o dawnym raju,
Gdzie nad ochłodnym i czystym strumieniem
Palma i daktyl czekają pielgrzyma
Z słodkim owocem i chłodem i cieniem,
Niegdyś jak tylko zasięgniesz oczyma
Była szeroko i w dal rozciągniona
Ziemia bezbarwna, piaszczysta i słona
Gdzie niegdzie gorzkiem ubarwiona zielem.
Tu to Agara z moim Izmaelem
Z pod swego Pana namiotu wygnana
Z sierotnym synem od ojca wygnanym
Szła błędnie stepem pustym i nieznanym.
Idzie — pot cieknie z Izmaela czoła,
A nigdzie cienia nieznajdzie dokoła,
Dziecie z znużenia i pragnienia mdleje
A źródła niema — wiatr palący wieje —
Dziecie upada — na pierś główkę zwiesza,
Matka je bierze, swe kroki przyśpiesza
Czy niema cienia i wody gdzie daléj?
Nic prócz gorących, suchych piasków fali
Co wiatr zatruty i kładzie i wznosi.
Dziecię pod skałą leżące już kona —
Agara ręce do góry podnosi

I tak bolesny krzyk wydaje z łona,
Że anioł zstąpił na jęk niewolnicy,
Tchnieniem ożywił dziecinę zemdlałą,
Rozkazał z skały wytrysnąć krynicy
I wonnym drzewom kazał róść pod skałą,

Do dziś dnia jeszcze owo źródło bije;
I często Arab pod tą palmą legnie,
Zerwie daktyla, wody się napije,
I chłód ożywczy po żyłach przebiegnie.
I kto się tylko w puszcze iść wybiera
Téj wody z sobą cokolwiek zabiera;
Wtedy szczęśliwie pewnie dojdzie końca,
Bo nie ulegnie trudem w ogniu słońca
Ani utonie w przeczystéj powodzi
Skoro się kroplą tèj wody ochłodzi.
Jerzy pokaż mi tak cudowne zdroje,
Coby wzmocniły słabe siły moje;
Żebym mógł czerpnąć choć jedną kropelkę,
I wziąść w tę życia samotną i wielką
Bez źródła, palmy, bezmierną Saharę
Gdzie mnie wygnałeś jak biedną Agarę.

JERZY.

Chodź, u nas bije źródło poświęcenia.

WŁODZIMIERZ.

O już go niechcę, niegasi pragnienia!
Ja próbowałem wszystkie znane źródła,
Ale przy żadnem dusza nie ochłódła,
Teraz stanąłem przy mętnéj kałuży
W niej się z rozkoszą namiętną pierś nuży,
Choć napój brudny, lecz zimny, lodowy
Więc piję, piję...

JERZY (*odwraca się*).

Już dosyć — bądź zdrowy.

WŁODZIMIERZ.

Jedziesz?

JERZY.

Ha jadę. Lecz gdy mnie spytają
Bracia, cóż powiem?

WŁODZIMIERZ (*ponuro*).

Żem się z zdrajców zgrają
Połączył.

JERZY (*z boleścią*).

Dobrze — kiedyś się spotkamy
Tak dłoń do dłoni. Ot, tak pierś do piersi,
Czule, serdecznie znów się powitamy,
Jak przyjaciele; najbliżsi, najszczersi,
I szabla z szablą, dłoń z dłonią się ściśnie
Że aż z przyjaznych dwóch serc krew wytryśnie.

WŁODZIMIERZ.

Octem i żółcią poisz bez litości
Spieczone usta przyjaciela-wroga,
A on już kona i żebrze miłości,
Konającemu przebaczże na Boga!
My się widzimy dziś po raz ostatni
Przebacz mi Jerzy!

(*podaje mu rękę*).

JERZY.

Nie, nigdy na świecie
Precz mi z tą ręką, precz ten uscisk bratni
Nienawidzę Cię!

WŁODZIMIERZ.

Ja cię kocham przecie.

(*Jerzy idzie prędko ku drzwiom, lecz obraca się jeszcze niemoże się oprzeć uczuciu, mimowolnie wraca kilka kroków Włodzimierz roztwiera ramiona i ściskają się długo serdecznie ze łzami jakby ostatniem pożegnaniem. Jerzy wychodzi*).

WŁODZIMIERZ.

(*patrzy za nim — ale po chwili śmieje się nieszczerze*).

I jego tracę!!! i cóż mi to szkodzi?
Ja com miliony serc marnie utracił,
O *jedno* serce czyż mi jeszcze chodzi,
Tem *jednem* sercem czyż bym się zbogacił?

Kto wszystkie skarby na jednym okręcie
Powierzy morzu, a tu burza nagle
Maszty połamie i potarga żagle
Okręt i skarby zatopi w odmęcie;
A żeglarz tylko na desce lub łodzi
Zdoła ocalić życie z téj powodzi,
I z wszystkich bogactw swych naraz zobaczy,
Że mu pozostał tylko kij żebraczy
I *jeden* pieniądz, czyż mu chodzi o to
Że grosz ostatni wypada mu z dłoni,
I tonie także w niezgłębionéj toni,
Co pochłonęła wszystko jego złoto!

SCENA SZESNASTA.

Włodzimierz, Wojewoda, Szambelan.

WOJEWODA (*wchodzi z listami w ręku*).

Przecież odjechał sobie ten gość miły,
Już mi zbyt długie te godziny były,
Tak cię czekałem; bo dla naszéj sprawy
Nader są ważne te listy z Warszawy —

Czy pomyślałeś, czy już rozważyłeś
Co poseł pisze, co czynić wypada.

WLODZIMIERZ.

Nic nie myślałem.

SZAMBELAN.

Bo zajęty byłeś
Czem innem -- ale moja taka rada,
Bom się nad wszystkiem dobrze zastanowił,
Że najprzód trzeba abyś z Jenerałem
Co z sprzymierzonych stoi wojsk oddziałem,
O naszych przyszłych krokach się rozmówił,
Potem...

WŁODZIMIERZ (*żywo*).

Przystaję chętnie na tę radę
I jutro zaraz do obozu jadę.

WOJEWODA (*zdziwiony*).

Ty, ty pojedziesz?

WŁODZIMIERZ.

Pojadę — prawdziwie.

WOJEWODA.

Co? do obozu? cieszę się i dziwię...

WŁODZIMIERZ.

Wszak mam okute i nogi i ręce
Lepiéj że poddam się spokojnie męce
Że sam już pójdę gdzie mi iść każecie
Niżbym miał czekać aż mnie zawleczecie.
(*wychodzi prędko*).

WOJEWODA (*wesoło*).

No proszę, widzisz drogi Szambelanie
Ani myślałem że on tak przystanie.
Ty już do walki stanąłeś gotowy,
By nierozsądne zbić jakieś wybryki,
A tu spotykasz sam rozsądek zdrowy
Co się nie boi twojéj retoryki.
I drogi Pan zięć po pierwszy raz zgodny
Niby baranek słodziutki, łagodny.

SZAMBELAN.

Wprawdzie to wielkiéj radości przyczyna,
Ale tu lepsza jest jeszcze nowina.
Od tamtych komnat gdzie moje mieszkanie
Sciana jest cienka — stanąłem przy ścianie,
I tak niewinnie, przypadkiem prawdziwe,
Całąm rozmowę podsłuchał szczęśliwie.

WOJEWODA.

Jakto? Jerzego słyszałeś rozmowę?

SZAMBELAN.

Konfederatów znam zamysły nowe,
Siły orężne, pieniężne zasoby,
Wiem jakie nowe wciągnęli osoby
Więc musim oba, to wszystko znotować,
I do Warszawy spiesznie raportować.

WOJEWODA.

My, my, a to co znowu waszmość myśli
A my z kąd znowu aż do tego przyszli?
Ty rób co tam chcesz, lecz ja mam donosić,
Alboż ja szpiegiem. I mógł by kto wnosić
Że ja nowinki podsłuchał przez szparę.
A ja zwyczaje zachowuję stare,

Konfederacye zawiązywać zbrojne
Nawet królowi wypowiedzieć wojnę
Jeśli obrazi, albo co przeskrobie,
To co innego — tegobym i sobie
Pozwolił — głośno otwarcie i jawnie.
To po szlachecku, tak się przynależy.
Lecz gdy kto zdradnie z tyłu na cię wpadnie
Albo jak pies ten co spokojnie leży
A milczkiem kąsa— o! to jest szkaradnie.

SZAMBELAN (*drwiąc słuchał*).

Ależ już dosyć Wojewodo drogi!
Kogo innego zlękłyby te gniewy
Lecz ja nieczuję i najmniejszéj trwogi,
Bo wiem od dawna że: słowa to plewy,
Czyny są wszystkiem na téj szaréj ziemi,
A ja tu żadnéj różnicy nie widzę
Pomiędzy twemi czynami i memi.
Tylko z przesądów gminnych sobie szydzę,
Maskę odrzucam kiedym między swemi,
A my się znamy — jednacyśmy oba!

WOJEWODA.

Nie, niejednaj, milion kroć tysięcy
Oba jednacy! to mi się podoba.

SZAMBELAN.

No, no, już dobrze, nie powiem nic więcéj,
Lecz gdybym wspomnieć miał tylko ochotę
Niewyczerpane owe miny złote,
Owe dostojeństw i łask wszelkich źródła,...
Ale mnie mowa twoja nie ubodła,
Boś ty litości a nie gniewu godny
Któż w słowach swych tak a czynach niegodny,
Oto jedynie te nędzne istoty,

Co zmarnowały swe siły duchowe,
Ni iść ku zbrodni ni wrócić do cnoty,
Tu i tam myśli i chęci połowe,
A nic wielkiego wypełnić nie w stanie,
Takim Włodzimierz, takim i ty panie.

WOJEWODA (*na stronie*).

I ja tak milczę — ja to wszystko znoszę!
(*wychodzi*).

SZAMBELAN (*śmieje się*).

Tom mu dokuczył, to mi to rozkosze
Jak mi zamilknął, jak mi się ułożył,
Tom senatorską butę upokorzył!
(*wychodzi za nim*).

SCENA SIEDMNASTA.

Obszerna komnata w zamku Włodzimierza — dwa duże okna rozwarte wychodzą na ogród pełen kwiatów i zieleni, w pokoju wazony i bukiety. Słońce nad zachodem, Włodzimierz sam stoi przy oknie, jakby zmęczony szuka ochłody, i całą piersią oddycha świeżem powietrzem — potem przechodzi się powoli po komnacie).

WŁODZIMIERZ (*sam*).

Mnieby eteru trzeba na westchnienie,
A tu powietrze ciężkie tego świata,
A tu jak w grobie kamienne sklepienie
Co mnie aż w głowę płonącą ugniata.

Oh, może gdybym jako to pacholę
Błąkał się tylko po ziemskim padole
Pił okiem słonko i błękit niebieski
I księżycowe zbierał z kwiatów łezki
I z złotą lutnią, nieznany nikomu
Chodził bezdomy, od domu do domu

Jak to cudowne aniele, czy dziecie
Możebym jeszcze, ja mógł żyć na świecie.

Lecz choćbym zrzucił te wszystkie kajdany
Któremi dzisiaj jestem skrępowany,
Czy mógłbym także kartę méj przeszłości
Wyrwać i rzucić w otchłanie nicości?

Myślałem sobie, przy méj młodéj żonie
Tchnienie spokoju, cnoty mnie owionie;
Myślałem, wszystko rozjaśni dokoła
Odblask takiego jak ona anioła.
A tu, koło niéj — i w sercu jéj ciemno,
Niema miłości, lecz litość nademną,
A jak zmieniona! zniknął blask jéj oka,
Tak pochylona jéj postać wysoka,
Znikły z lic róże i z ust jej korale.
A ja to winien, w namiętnym ja szale
Z sobą ją porwał na życia bezdroże,
A zemną wszędzie jest przekleństwo boże.
Bo ja jak upiór — przy świetle księżyca
Gdy ją na łonie do snu ukołysam,
Całuję piersi, i oczy i lica,
Z ócz, lic, z ust, z serca krew młodą wysysam.

(*chodzi zamyślony*).

Przed moją duszą cała przeszłość stoi.
Od onych pieszczot, słodkiéj matki mojéj
Aż do tych rojeń wiosennych, młodzieńczych,
Aż do téj pierwszéj przeczystéj miłości,
Do téj szalonéj gorączki wolności,
Aż do tej zbrodni którą się zamyka
I kończy mego żywota muzyka
Wydając dzikie przeraźliwe tony,
Jak gdy na lutni wszystkie pękną strony.

Wszystkie minione i lata i chwile
Przedemną w długim szeregu tu stają,
Łzą i uśmiechem witaią mnie mile,
I szepcąc wabią, i cicho błagają:
„Wróć że wróć ku nam, złą obrałeś drogę
„Wróć że wróć ku nam!“ Nie mogę niemogę
Ku wam powrócić! Jak wody źródlane
Raz już z wodami morskiemi zmieszane
Niemogą wrócić do swéj matki - rzeki,
Lecz płynąć muszą morzem w świat daleki.

(*staje przy oknie i patrzy na zachód słońca*).

Słońce już zaszło za ciemną dąbrowę;
Swą jasną złotą zanurzyło głowę,
W zielonéj, bujnéj traw stepowych fali —
Zorza się jeszcze na zachodzie pali,
I w drobne chmurki różowe rozkłada.
A mnie głos jakiś tajemnie powiada,
Że to ostatnie me słońce zachodzi,
Ostatni dzień mój! Ha cóż mi to szkodzi!
Przecie mi nie żal ciebie brzydki świecie.
Dawniéj, o dawniéj moja dusza młoda
Umiała jakoś ozdobić cię przecie,
Że wszędzie była jasność i swoboda —
Wszędzie blask prawdy, cnoty i miłości —
I w tym odblasku niknęły mi ślady
Tylu wiekowéj bolesnéj przeszłości
Téj ciągłéj męki, walki i zagłady,
Tylu milionów krew, cierpienia mordy.—
Dawniéj ten rozdźwięk w naturę rzucone
Te wpół niejasne poplątane tony,
Duch mój zlać umiał w przecudne akordy
I w własnem łonie dośpiewał do końca
Teraz już nie tak, toć nie żal mi słońca.

(*staje w oknie*).

Różowa zorza coraz bledziéj tleje

Wąską się smugą nad zachodem bieli —
A niebo nocne coraz to ciemnieje
I wychylają się z niebios topieli
Gwiazd miliony, miliardy, miryady!
I jako przejścia wielkich duchów szlady,
Płoną te mleczne tajemnicze drogi.
O jakżem dzisiaj w natchnienie ubogi!
Dawniéj widziałam wszędzie skryte bóstwo,
Na onych gwiazdach jasnych duchów mnostwo,
Aniołów - stróżów mych braci po duchu —
I ja wpleciony w tym wielkim łańcuchu,
Szczęśliwy, czułem się cząstką całości,
Rządzonéj prawem najwyższéj miłości.
Teraz już ku wam nie wyslę méj myśli,
Wy kwiaty niebios, wy światy słoneczne!
Każde z was tylko swe obroty kreśli,
Każde ma własne swe ruchy konieczne,
Ot nakręcona maszyna odwieczna,
Kręci się kręci swym wirowym ruchem,
Gwiazdy ni słońca, ni ta droga mleczna
Żadnego związku niema z moim duchem —
I dziś mi jedno, czy ogniste słońce
Czy te atomy w powietrzu krążące.

(z ogrodu słychać dźwięk stron).

Co za dźwięk miły tę ciszę przerywa
Co za głos słodki — to pacholę śpiewa!

GŁOS *(z ogrodu)*:

Patrzcie jak ręce wychudłe rozkłada,
Kogoś przytula, i pieści i gada;
Niema nikogo — tylko wiatr stepowy
Włosy odgarnia z jéj spuszczonéj głowy
I cóż to znaczy? Oh, czyż wy nie wiecie
Jakie na ziemi z zmarłem sercem życie!

WŁODZIMIERZ.

Może to dzieje są Bożenki mojéj,
Może to ona na wzgórzu tam stoi,
Gdziem ją pożegnał. O biegnę zobaczę
Dzięki za pieśń tę, pachole tułacze.

(wybiega)

SCENA OŚMNASTA.

Scena tak samo jak w scenie pierwszéj aktu czwartego nad Dnieprem — Po zachodzie słońca.

BOŻENA *(sama)*.

Gdzież on jest? niema — niewrócił? tak, niema!
Jak tylko w stepie zasięgnę oczyma,
Jak myśl najdaléj doleci, tak niema.
Ha tutaj siędę — tak na wzgórzu siędę
Długie dnie, lata, wieki czekać będę
Bom mu przyrzekła, że jak ziemia długo
Z wiosną zakwitać będzie trawką drugą,
Jak długo rzeki będą szumieć falą,
Póki się gwiazdy niebios nie dopalą
Czekać tu będę.

Kwiaty okwitają
Innych nie będzie, w źródłach mało wody,
Gwiazdy na niebie już się dopalają,
Kończy się prawie już życie przyrody,
Swiat kona, życie już z niego ucieka
A ciebie jeszcze twa Bożena czeka.

(śpiewa).

Błędne oczy ślę, poprzez stepy te,
Gdzie się świat żyjący kończy,
Gdzie się ziemia z niebem łączy,
Niema, niema cię — a ja czekam cię!

„Już nie czekaj mnie, ja niewrócę się,
Jakże lądy morza minąć
Jak przejechać, jak przepłynąć,
Jakże jechać ztąd przez morza i ląd.“

Spłyńże do mnie spłyń, lądy morza miń;
Lekka chmurka morza minie
Tu cię spuści w Ukrainie
Spłyńże do mnie spłyń, lądy, morza miń!

„Obłoczek by mnie, zaniosł aż do cię,
Ale słonko błyśnie nagle
Stopi mojéj łódki żagle,
I utopię się, nie zobaczę się?“

Ptakiem stańże się, rozwiń skrzydła swe,
I jak orzeł szybko dumnie
Dniem i nocą lećże ku mnie
Ptakiem stańże stę, rozwiń skrzydła swe!

„Jabym lecieć chciał, gdybym skrzydła miał,
Alem życia długi spłacił
Młodocianem skrzydła stracił
Mnie o tem ni śnić, żeby orłem być.“

Wierne serce twe, tu przyniesie cię,
Tu twa rodna Ukraina
Czarnobrewa twa dziewczyna,
Chodź w ramiona me, bo ja kocham cię!

(milczy i czeka, potem mówi).

Niema i niema — zaklęcia nie słucha
Oh, ktoś rozerwał ogniwa łańcucha
Co mego dotąd łączyły z nim ducha.

(śpiewa znów).

Błędne oczy szlę, poprzez stepy te,
Gdzie się świat żyjący kończy
Gdzie się ziemia z niebem łączy
Niema, niema cię, a ja czekam cię!
(Z głębi Dnieprowych wychodzi grono Rusałek).

BOŻENA.

Któż to? Rusałki — o siostry kochane
Proszę was, błagam nie bierzcie mnie jeszcze,
Ja z wami pójdę i u was zostanę
Tylko kochanka zobaczę, upieszczę

CHÓR RUSAŁEK.

Czemu szczęście twoje zwlekasz,
Czemu dziewcze jeszcze czekasz,
Czemu jeszcze żyć?
Kiedy cały życia wątek,
Tylko przeszłości pamiątek,
Wiąże słaba nić.

Biedna siostro nasza biedna
Tyś na świecie sama jedna
Opuszczona tak,
Bo ludzie twoje cierpienie
Biorą Ci za potępienie,
Za twych grzechów znak.

My cię znamy i kochamy
My tak tkliwe serca mamy
O, nam ciebie żal!
Bo w nas litość jeszcze żyje
I gorące serce bije
Choć wśród wodnych fal.

Chodźże z nami, daj nam rękę
Skończ raz życia gorzką mękę
Chodź wśród duchów żyć —

Lepiéj na dnie zimnéj wody
Ranna pierś pragnie ochłody
Choć o szczęścia śnie!

(*Podają jéj ręce lecz Bożena smutno swe ręce krzyżuje na piersi. Włodzimierz nadchodzi, Rusałki oddalają się, on zachwycony patrzy na nie.*)

WŁODZIMIERZ.

Cóż za zjawisko nieziemskie, cudowne;
To może koło Rusałek czarowne.

BOŻENA.

(*poznaje głos jego bieży i rzuca się do nóg jego.*)

Oh! To On!!! to ty! ty mój drogi!
Ściskam twe ręce — całuję twe nogi!

WŁODZIMIERZ (*podnosi ją.*)

Bożena moja! podnieśże się przecie.

BOŻENA (*ciągle u kolan.*)

O już mi ciebie nie weźmie nikt w świecie!
Już pomiędzy mną i tobą kochanie
Nikt, nikt na świecie, i nigdy nie stanie!
Ja cię u nóg twych jak bluszczem owinę
Aż tu przy nogach twych najdroższy zginę.

WŁODZIMIERZ.

Podnieś się luba! ja się w oku twojem
Skąd zawsze czysta myśl płynęła zdrojem
Jak dawniéj, pomnisz? znów przeglądać muszę.

(*Bożena podnosi się, uśmiecha, on ją całuje lecz wpatrzywszy się w jéj obłąkane oczy, odsuwa ją ze drżeniem i zakrywa twarz swą.*)

Jak dziki ogień zastąpił jéj duszę,
Tak tylko błędne szaleństwo migoce.

BOŻENA.

Szaleństwo? któż to wymówił to słowo,
Co moją duszę na miazgę druzgoce?
Czy mnie ci ludzie chcą męczyć na nowo?

WŁODZIMIERZ.

Do wszystkich cierpień tego brakowało,
Ostatnia kropla, do zbyt pełnéj miary.
Bożenko moja, co się tobie stało,
Za cóż padł na cię ten bicz bożéj kary!

BOŻENA.

Oni mnie wszyscy szaloną nazwali,
Oni się śmiali, ze sioła wygnali
Drzwi wszystkich domów przedemną zaparli
I jak poganki jakiéj cię wyparli.
A ja tak długo czekała na ciebie
Już Dniepr porochy odwieczne rozwalił,
Krzaki porosły w dęby, a na niebie
Kaganiec słońca prawie się dopalił,
Ja już myślałam że świat cały skona
A tyś powrócił! Ależ twoja żona,
Bo ty masz żonę? O, my ją strujemy,
Ona upadnie na ziemię bledziutka
Piękna jak lilija zerwana bielutka,
A my ją w złotą trumienkę włożemy.
No prawda że tak będzie doskonale?

WŁODZIMIERZ.

Oh, nie — to nie Bóg, szatan w zemsty szale
Szukał męczarni w piekielnéj otchłani,
I tę mi znalazł.

BOŻENA.
(zrywa zioła i pokazuje mu z dzikim śmiechem.)

Patrz trucizna dla niéj!

WŁODZIMIERZ *(do siebie.)*

Ja ją uzdrowię moim duchem zdrowym,
Zdrowy nad chorym duch, ma wielką władzę;
Ja siłę ducha wydam okiem, słowem,
Aż siłę, światło w jéj duszę wprowadzę.
Bożenko podaj że mi rączki obie
I tu pod drzewem usiądziemy sobie,
Podnieś że oczy, wpatrz się w oczy moje,
Rozumiesz?

BOŻENA.

Tutaj siądziemy oboje,
O dobrze, będę patrzeć całe życie.

WŁODZIMIERZ *(siada przy niej.)*

Widzisz ty drogie słodkie moje dziecię
Ja ciebie kocham, za świętą uważam;
Bo w tobie niema i winy najmniejszéj,
Ja tylko siebie o zbrodnią oskarżam...
(do siebie)
Wzrok przytomniejszy, rozumny pewniejszy!
(do niéj)
Rozumiesz, że się uśmiechasz tak mile?

BOŻENA.

Rozumiem, będziem spali na mogile —
A z rana skoro świat znowu ożyje
Rosa nam oczy zamknięte obmyje
Jutrzenka przyszle nam promyki swoje,
I podlecimy do góry oboje.

Cóż? ty się dziwisz? Ja tak lekka cała
Jak jeden listek oderwany z róży,
Ja bym z oddechem wietrzyka leciała.

WŁODZIMIERZ *(zrywa się z siedzenia).*

Czyż ciebie Boże ta męka nie nuży?

BOŻENA *(wstając.)*

Ja mam skrzydełka, ot, pióreczek kilka
Takie maleńkie jak skrzydła motylka,
Ty ich nie widzisz bom ja je złożyła
I pod mą białą koszulkę ukryła,
Bo ja niechciałam odlecieć od ciebie,
Cóżbym ja sama robiła tam w niebie.

(Włodzimierz stoi w rozpaczy, ona zasmuca się, zapomina że on jest, i śpiewa.)

Spłyńże do mnie, spłyń, lądy morza miń!
Lekka chmurka morza minie
Tu cię spuści w Ukrainie,
Spłyńże do mnie spłyń, lądy morza miń!
Niema go niema!

WŁODZIMIERZ.

Dziewcze, ja przy tobie.

BOŻENA.

Jesteś, a prawda, zapomniałam sobie.
Bo komu ciągły płacz i narzekanie
Chlebem powszednim, napojem się stanie
Temu łzy same płyną niewołane.

WŁODZIMIERZ *(przyciska jej ręce do piersi).*

Przez litość, przestań, o dziewcze kochane!

(Bożena zaczyna znowu bezmyślnie rwać zioła.)

Boże kiedy mnie spytasz o jéj duszę,
To ja okropny rachunek zdać muszę.
Ja taką śliczną od ciebie ją wziąłem,
Żeby być mogła twym jasnym aniołem.
A dziś anioła ja zabiłem Tobie!
Oh, gdyby była wypłakała oczy
To ja bym oba oczy wydarł sobie
Żebym nie ujrzał już niebios przezroczy.
Oh, żeby była z boleści umarła,
Ma dłoń by chętnie własne życie zdarła
Noga by chętnie do grobu wstąpiła.
Boć tak, łzy za łzy, krew za krew, zapłata
Słuszna konieczna, żeby obroniła,
Od kar tamtego zagrobnego świata.
Lecz za śmierć duszy, co znaczy śmierć ciała,
Co męki ciała? To zapłata mała!
Szedłbym na puszczą i żył korzonkami
W spiekłem pragnieniu poił tylko łzami,
Choćbym codziennie to ciało biczował
I z dzikiem zwierzem miast ludzi obcował,
To mi skarb myśli i uczuć zostanie,
Więc wszystko mało za duszy skonanie.
A pokutować chcę tutaj koniecznie
Aby za grobem nie cierpieć tam wiecznie,
Bo dla niéj nieba koniecznie mi trzeba,
Bo ona niechce bezemnie i nieba.
Ha, rzucić duch swój w szaleństwa odmęty
Światło swéj duszy zamienić w cień nocny,
Możebyś przyjął to o Boże święty?
A przecież człowiek swą wolą wszechmocny —
Za śmierć jéj duszy, niech dusza ma skona.
Trzeba oszaleć już ta myśl szalona!

(*zdala ukazują się znowu Rusałki wołając i wabiąc ku sobie Bożenę.*)

RUSAŁKI.

Chodźże z nami daj nam rękę,
Skończ raz życia gorzka mękę
Chodź z duchami żyć.
Lepiéj na dnie zimnéj wody,
Ranna pierś pragnie ochłody
Chodź o szczęściu śnić!

BOŻENA.

One wołają! oh wezmą mię z sobą,
Jam się ostatni raz widziała z tobą
Teraz iść muszę.

WŁODZIMIERZ.

Gdzie, gdzie drogie dziecie?

BOŻENA.

(do Rusałek które ciągle niby tańcząc, niby płynąc zbliżają się.)

Ja pójdę z wami — o siostry widzicie
Ze ja pamiętam na naszą ugodę.
Ty mi bądź zdrowy, twoje dziewcze młodę
Tam na dnie Dniepru gdzie cicho i mile
Czekać cię będzie. Czy przyjdziesz za chwilę?

WŁODZIMIERZ.

Przyjdę kochanko za Tobą niedługo.

BOŻENA.

Dotrzymajże mi choć przysięgę drugą.
(zarzuca mu ręce na szyję z ostatnią pożegnalną pieszczotą — a potem sama się wyrywa.)

O mój kochanku! iść muszę — puść że mnie!

(Ciągnięta tajemną siłą wbiega w koło Rusałek, których taniec coraz więcéj wyraz rozkoszy i zachwytu przybiera. Bożena, to im podaje dłonie z uśmiechem, to znowu z żalem rozpacznym pochyla się i wyciąga ramiona ku Włodzimierzowi od którego z każdą oddala się chwilą. On klęczy, nie ma siły powstrzymać ją, tylko ją woła głosem który się z całych piersi wyrywa, ale w gardle wiązgnie i na ustach tak się przerażeniem ścina, że ledwo dosłyszalnym jest.)

BOŻENA *(zdaleka)*.

Pamiętaj! w głębiach czekam, czekam cię!

(Dniepr się wzburza gwałtownie, fale huczą i biją o brzegi, Rusałki i Bożena zanurzają się).

WŁODZIMIERZ.

Boże! ratuj ją! ona tonie! tonie!

(Całe zjawisko niknie, Dniepr się uspokaja, nastaje cisza, gwiazdy migocą na niebie — Włodzimierz z trudnością powstaje z ziemi.)

Pękło mi serce, pękła dusza w łonie
Musiała pęknąć dusza wyciągnięta
Na harfie bolów. — Pękł rozum, zostałem
Czemże zostałem dawno przeczuwałem
Jestem.... jak lilija co kosą podcięta,
Jestem.... jak młode zamknięte orlęta,
Lutnia rozbita, bez dźwięku i strony....

(Nagle zastanawia się, chcąc zrozumieć znaczenie słów co mimowolnie dziwnym głosem mówi.)

Co! co ja mówię? ja może szalony!

(odchodzi ku stronie zamku.)

Koniec aktu czwartego.

AKT PIĄTY.

Scena nad samym brzegiem Dniepru, z prawéj strony monaster, z lewéj zarośla i krzaki. Dzień.

SCENA PIERWSZA.

Maksym i Tymeńko wnoszą ciało utopionéj Bożeny — kładą je na ziemi, Maksym klęka przy niém, Tymeńko staje opodal z czołem chmurném i usty ściśnionemi.

TYMEŃKO.

Ha, kiedyż zemsty uproszę u Boga!

MAKSYM.

O moja siostro! o Bożeno droga
Czyż ja mógł myśleć że cię tak zobaczę
Że twoje ciało w mogiłkę położę,
Przysypię ziemią i nad nią zapłaczę!

TYMEŃKO.

Nie płacz Maksymie, mamy przecie nóże.

MAKSYM.

Niechże te rączki jéj w święty krzyż splotę,
Niechże jéj przymknę rozwarte powieki,
Bo już nie dla niej świeci słonko złote.

TYMEŃKO (*trącając go po ramieniu*).

Zbudź się! ot zemsty dzień już niedaleki
Maksym!

MAKSYM.

Poczekaj niech jeszcze rozgarnę
Nad białem czołem, te włosy jéj czarne,

Miękkie, jedwabne. Niechże cię otulę,
W tę mokrą, białą, śmiertelną koszulę,
By kto nie widział twojéj piersi białej,
Żeby kto myślą zbyt pusty i śmiały
Nie obraził cię o siostro kochana!

Patrz jaka piękna! patrz jak ona śliczna!
Była na licach krew z mlekiem zmieszana
A teraz cała bielutka i mleczna
Sinemi usty uśmiecha się jeszcze,
Patrz ona czuje że ja się z nią pieszczę.

(całuje czoło Bożeny.)

TYMEŃKO.

Czuje! trup czuje — widzisz że nieżywa.
Mnie tylko ręka do noża się zrywa
Do zemsty za nią, a ty płaczesz — słaby!
Niewieści! skończże już skargi i płacze,
Tu przyjdą płakać i zawodzić baby,
To nie przystoi ci młody Kozacze;
Bo zemsta krwawa, to żal ciebie godny
Ty ukraińskiej matki synu rodny.

MAKSYM.

Zemsta za siostrę!

TYMEŃKO.

Lach ją zabił zdradnie,
Jéj śmierć, szaleństwo, niech na niego spadnie,
Maksym, mołodżcy dziś się tu zejść mieli,
Byś im powiedział kiedy pohulamy,
Trzeba raz przecie żeby już wiedzieli,
Oni czekają — to ich zawołamy,
Powiemy „dzisiaj“ co, dobrze Maksymie?

MAKSYM.

Dzisiaj — a hasłem mojéj siostry imie.

SCENA DRUGA.

Maksym, Tymeńko, Iwan, tłum Kozaków.

TYMEŃKO (*wołając*).

Hop, hop ho, hop ho! Już idą Maksymie.
(*tłum Kozaków zbrojnych i nie, schodzą się.*)

MAKSYM (*wskazuje ciało Bożeny*).

Jeżeli w sercach waszych krew nie drzymie
Milcząc wam powie więcéj niż me słowa
Lackiéj rozpusty, ta ofiara nowa.

KILKU.

Któż Bożena!

INNY.

Patrzcie utopiona!

KILKU INNYCH.

Kto ją utopił?

IWAN.

O biedna szalona!

MAKSYM.

Kto z was mołodźcy ma tam żonę młodą,
Kto z was ma córkę kwitnącą urodą,
Kto czarnobrewkę ma jedną wybraną,
Kto z was ma siostrę nad wszystko kochaną,

Niechaj pamięta że ją pewnie czeka
Hańba, szaleństwo lub śmierć niedaleka.
Bo gdzież przed Lacha ukryje się okiem?
Ot, jak Bożena w tym Dnieprze głębokim.
Raz się przeszłości pomścić dzielnie trzeba,
I dla przyszłości zapewnić swobody.
Ja tu przysięgam że kawałka chleba
Do ust nie wezmę, ani kropli wody,
Póki się krwawo nie pomszczę za siostrę.
Wy macie noże, macie kosy ostre,
Więc chodźcie za mną bo to święta sprawa.

WSZYSCY.

O, biada Lachom, zemsta, zemsta krwawa
Tym lackim panom.

IWAN.

Lecz kto zemstę sieje
Dobrego plonu możeż mieć nadzieję?
Z tej krwi, to gorzki plon będziemy mieli,
Że oni grzeszni, to lepiéj niżeli
Byśmy na siebie tyle grzechów wzięli.

TYMEŃKO.

Czyż lackie pany nie są katolicy?
Czyż oni modlą się w naszéj świątnicy?
Świętym obrazom czy biją pokłony?
Podczas kiedy nasz lud wierny schylony
Uderza czołem o ziemię w pokorze,
I ściera prochy ze stopni ołtarza,
Lach rozpustuje w dumnym białym dworze
I naszym świętym bluźnić się odważa.
O oni gorsi niżli psy pogany!
Patrzcie młodźcy ten nóż poświęcany,

Wczorajszéj nocy w wielkim monasterze,
Pop go poświęcał odmawiał pacierze,
Lecz mu jednego poświęcenia braknie,
On niemiał chrztu krwi, a on tak krwi łaknie.
Mołodźcy chcecie poświęcanych noży!

GŁOSY.

Chcemy!

TYMEŃKO.

Dadzą wam, w tamtym monasterze.
Wszak nasza wiara prawy zakon Boży,
Więc kto zrodzony w błahorodnéj wierze
Za mną, po noże!

GŁOSY.

Po noże, po noże!

TYMEŃKO.

Ale to wszystko nam nic nie pomoże
Póki z krwi lackiéj zostanie choć jedno.
Gdyby się który zlitował nad biedną
Małą dzieciną, zachował jéj życie,
I wziął do siebie i chował jak dziecie,
Choćby twa żona ssać mu podawała
Nic nie pomoże! to mleko kozacze
W krew lacką przejdzie, i Lachem on będzie,
I u twych kolan, za Polszczą zapłacze,
I lacka duma nad czołem mu siędzie,
I kiedyś z dziecka wyrośnie na męża,
I u twéj piersi sam wykarmisz węża.

MAKSYM.

Więc bez litości wytępimy wszystko,
Żeby nie inna pamiątka została,

Jak tylko czarne gdzie nie gdzie zwalisko,
A wśród zwaliska trupia czaszka biała.

GŁOSY.

Wszystkich, tak wszystkich!

IWAŃ (*do Tymeńka*).

Ależ jakże bracie,
Czyż w jednéj mamy połączyć zatracie
Winnych, niewinnych?

KILKU.

Wszystkim Lachom biada.

TYMEŃKO.

Ot, nie słuchajcie co on sobie gada,
Daléj na dwory! Zaczniem od naszego.

IWAN (*śmiało*).

Nie dostaniecie się do zamku tego.

TYMEŃKO.

Czemu?

IWAN.

Wszak znacie naszą panię młodą,
Czyjeż tak czoło jaśnieje pogodą,
Czyjeż to oczy taki błękit sieją,
Czyje to słowa takie słodkie leją
Dźwięki jak głos jéj? Ona wśród nas żyje,
Chodzi, do cerkwi, z nami składa dłonie,
Z nami grzesznemi, niegrzeszną pierś bije,
Schyla do ziemi swe promienne skronie.

Powiedźcież wy mi, coście ją widzieli,
Przed ołtarzami w téj przejrzystéj bieli,
Samą tak białą jak wodna lilija,
Czyjaż się dusza nie pochyla, czyja
Nie garnie ku niéj jak ku świętym naszem.

JEDEN.

Pawdę on mówi.

IWAN.

Patrzcie na jéj życie,
A cześć i miłość błyśnie w sercu waszém!
Bo czyż być może słodsze małe dziecie
Wszak ona z swoich złocistych podwoi
Codzień zstępuje do zapadłéj chaty:
Karmi zgłodniałych, i spragnionych poi,
Ona umarłym nawet szyje szaty,
I sama wdziewa. I wyż to myślicie
Że Bóg opuści swoje piękne dziecie,
I wam zbrodniarzom ją na pastwę rzuci?
Kto z was tam pójdzie na zamek, nie wróci.
Bo choć pod murem już samym będziecie,
To ona wyjdzie z chorągwią przejasną,
I przed jéj wzrokiem na ziemię padniecie,
I ginąc duszę zagubicie własną.

(Szepty — niektórym serca miękną. Maksym z kilkoma wynoszą ciało Bożeny.)

TYMEŃKO (*zgrzyta zębami*).

Hola, mołodźcy czyż się nie wstydzicie?
Serca wam słabną? baby się boicie?
Ja z nią pohulam ot tak po naszemu
Z tą świętą panią. I biada wszystkiemu

Co tylko żyje. Lepiéjby im było
Żeby się żadne na świat nie rodziło.
Dla czegóż oni mają mieć pałace,
A nasze chaty wiatr zimny rozwala;
Czemu my znamy tylko nędzę, pracę,
U nich się złoto na stosach przewala.
My tu niemamy i grubéj koszuli
A u nich jedwab na szatach jaśnieje
U nas tu matka głodne dziecko tuli,
U nich na stole, miód, wino się leje.
Za długie bóle przyszedł dzień nagrody.
Dla nas w pałacach biesiady swobody,
Nam drogie szaty i wino i złoto,
Chodźcie mołodźcy.

WIELU (*gwarnie*).

Idziemy z ochotą.

INNI.

Do monasteru, po noże święcone.

INNI.

Potem na zamek!

IWAN (*na stronie*).

Już wszystko stracone,
Już uratować ich nie jestem w stanie!

JEDEŃ.

A ty coś się tak zadumał Iwanie?

TYMEŃKO (*gwałtownie*).

A ty zmienniku, coś tak zadumany?

IWAN.

Niech giną Lachy, niechaj giną pany!
Tymeńko, ręka moja krwi się zlękła,
I jakby dziecku, tak słabła i miękła,
Jakoś litością pierś młoda mi drżała,
Teraz dłoń silna — pierś twarda jak skała!
Już się ocknąłem, na mury sam skoczę,
Sam się najpierwszy lacką juchą zbroczę.

TYMEŃKO.

Teraz poznaję w tobie duch kozaczy —
Bo nie podobnyś nic do ojca twego,
Tom dotąd nie mógł pomyśleć inaczej,
Tylko że matka na Lacha jakiego
Się zapatrzyła. — Czy kto z was Maksyma
Nie widział, gdzież on.

JEDEN.

On Bożeny ciało
Poszedł pogrzebać.

TYMEŃKO.

Tutaj czasu niema,
Jemu pogrzebu się teraz zachciało.

MAKSYM (*wchodzi*).

Ostatnią siostrze przysługę oddałem
Teraz jam waszym, waszym sercem całém.
Oj, Ukraina zemną nie zaginie,
Bo attamańska w mém ramieniu siła.
Ja Chmielniczeńkiem będę w Ukrainie,
I Chmielniczeńka zemsta prowadziła.

Jego jęk syna, mnie — siostry męczeństwo,
Podwoją w milion i siłę i męstwo
Stanę za milion i was też powiodę
Po zemstę straszną za Lachów ciemięztwo
Po wieczną matce Ukrainie swobodę.

(wychodzą tłumnie z okrzykami.)

SCENA TRZECIA.

Sala zamkowa — Wojewoda, Helena, Anna wszyscy smutni — Anna patrzy w okno — Wojewoda milcząc chodzi.

HELENA *(do Anny).*

Nie jedzie doktor?

ANNA.

Nie, nie widać jeszcze.

HELENA.

Tem lepiej — bo mam przeczucie złowieszcze,
Że on Włodziowi memu nie pomoże.
A tak to myślę jeszcze czasem, może,
Może wyleczy.

ANNA.

Czy bardzo zmieniony?

HELENA.

Do niepoznania! taki pochylony,
Jak gdyby wieku ciężar go przywalił
A taki blady, taki słaby cały
Jakby już życia ogień się dopalił;
Wiesz że przez tę noc włosy mu zbielały.

ANNA.

Okropnie!

WOJEWODA (*w oknie*).

Lekarz! co on nam też powie.

HELÈNA.

Oh, życie moje leży w jego słowie.

SCENA CZWARTA.

Ciż sami, wchodzi Doktór i Szambelan potem Włodzimierz.

DOKTOR (*do Heleny*).

Więc nagle zasłabł.

HELENA.

Był zdrów jeszcze wczora.

DOKTÓR.

No to ratować go jeszcze jest pora.

HELENA.

Ale już w domu dzisiaj nie nocował
Wyszedł gdzieś w pola, błąkał się do rana,
Wraca — a oczy i twarz obłąkana
Mówi bez związku....

SZAMBELAN.

Słowem zwaryował
Jak ci mówiłem.

DOKTOR.

O, jak lekarz zgadnie
Źródło choroby, to uleczy snadnie.
A nie chwaląc się mogę przyznać sobie
Że w takich razach nieraz cuda robię!

Ze stu waryatów uleczyłem prawie.
Bo ja to byłem osiem lat w Warszawie,
Jednym z lekarzy w domu waryatów.
(*do Szambelana*).
A brałem dziesięć tysięcy dukatów!!
(*do Heleny.*)
Lecz to nim pewne mogę wyrzec zdanie
Chciałbym zobaczyć mego pacyenta.

HELENA (*składa ręce*).

O, rób co można, a ratuj go Panie!

DOKTÓR (*z uśmiechem*).

Ah, co też Pani tak łamie rączęta,
Pocóż ta rozpacz, to rzecz nie stracona,
Bo nieraz zdarza się, że chory kona,
A ja przyjeżdżam i wracam mu życie.

ANNA (*z trwogą*).

Włodzimierz idzie — idzie czy słyszycie!

WŁODZIMIERZ (*spogląda niespokojnie*).

Ah — gdzie bądź idę, ona wszędzie goni.

DOKTÓR (*do Heleny.*)

Niechże już Pani więcéj łez nie roni,
Zdrów będzie. Ale.... oczy zapadnięte
I dzikie.... dłonie silnie zaciśnięte....
To źle.... Włos biały, chód chwiejny niepewny.

WŁODZIMIERZ.

Helenko któż to?

HELENA.

To, to mój krewny
To mój znajomy jest doktór z Kijowa.

WŁODZIMIERZ.

Doktór z Kijowa, na cóż tu doktora?

HELENA.

Bo ja mój mężu czuję się niezdrowa.

WŁODZIMIERZ.

Ty! moja droga, miła żonka chora!

DOKTÓR.

Upadam do nóg.

WŁODZIMIERZ.

Witam pana szczerze.

(DOKTÓR *bierze go za rękę*).

Jak się pan miewa.

WŁODZIMIERZ (*do żony*).

On mi rękę bierze
Myśli żem chory. I cóż ty doktorze,
Trzymasz mi rękę i pulsa rachujesz?
Czy myślisz że mi twa sztuka pomoże?
Czy we krwi źródło choroby znajdujesz?
O mój uczony liczże uderzenia,
No, jakże? ileż razy na minutę?
A znasz chorobę, która nic nie zmienia
Uderzeń pulsu choć serce zatrute
Umierać musi. Lecz ja jestem zdrowy.
(*wyrywa rękę i odchodzi na bok.*)

DOKTOR.

Widoczną to jest kongiestya do głowy,
Ale to wszystko usuniem powoli

Jak się krew puści i głowę ogoli,
Potem pijawki, lodowe okłady.

HELENA.

Krew puścić? Panie tak słaby i blady
Takiej forsownej kuracyi niestrzyma.

DOKTOR.

Ryzykujemy — innej rady niema.
Bo tu widoczne jest krwi uderzenie
Ztąd przyszło zaraz mózgu zapalenie
Czy to jest z trunków, czy też z niestrawności,
O tem — to jeszcze sam nie mam pewności,
Gdyż nie wiem jak tam żołądek zastanę,
Lecz źle jest to wiem, bo atakowane
Są wszystkie nerwy i mlecz pacierzowy,
I cerebralny system nie jest zdrowy.

WŁODZIMIERZ (*zbliża się*).

Ha, ha, to mędrzec! ha, ha proszę państwa!
Chorym z żołądka, albo też z pijaństwa!
Mędrku czy nie wiesz, że choroba w duszy?
Lecz ty empiryk; co ręką nie ruszy
Nie słyszy uchem, nie dojrzy oczyma,
W to nie uwierzy, tego dlań już niema,
Ty ostrym nożem pokrajałeś w sztuki
Ciało człowiecze dla twojej nauki —
Żyłka po żyłce ty z rozkoszą prułeś
I rachowałeś nerwy i muszkuły,
Tyś krajał serce i bolu nie czułeś,
I rzekłeś: „głupi kto kocha, kto czuły,
„Bo cóż to serce? To na krew naczynie
„Do niego wpływa jak i z niego płynie,
„A czy rumieniec zakwita czy ginie

„Oko łzą perli czy ogniem goreje,
„To w nic nie wierzę, z wszystkiego się śmieję,
„Bo uczuć niema, czucie głupstwem, szałem,
„Bo ja znam serce — ja serce krajałem!“

Ty szkłem twe płazie oko uzbrajałeś,
Odarłeś czaszkę z jakiej głowy trupiej,
W wszystkich kryjówkach muzgowych szperałeś,
Szukając duszy i krzyknąłeś: „Głupi!
„Kto wierzy w duszę. Ja szukałem wszędzie,
„I nie znalazłem tej duszy człowieczej.
„Więc kto w nią wierzy ten bredzi od rzeczy
„Bo duszy niema, wieczności nie będzie!

DOKTOR *(wykręcając się na piętach).*

Ma foi, ma racyą!

WŁODZIMIERZ.

Wy ludzie bez wiary,
Grzeszni co Bożej lękacie się kary,
Wy mali podli co duszy niemacie,
Co i mnie duszy, serca zaprzeczacie,
A ja mam serce i duszę powiadam!
(odchodzi na bok.)

WOJEWODA *(do Doktora).*

Co waszmość myślisz?

DOKTOR.

Jak dobrze wybadam
Chorobę, będę mógł dać zapewnienie.
Bo tkwi w mózgu jakieś urojenie
Co my fiksacyą zazwyczaj zowiemy.
Zatem:

WOJEWODA.

Uzdrów go a wdzięczni będziemy
Zawsze jak i wiesz ja umiem być chojny.

DOKTOR.

O ani wątpić, taki pan dostojny....
(Wojewoda oddala się).

SZAMBELAN *(do Doktora).*

Na co tu robić ceremonii wiele.
Napisz mu visum repertum i zgoda,
Do czubków fixat, a nasz Wojewoda
Cały majątek weźmie w kuratele.

DOKTOR.

Jeżeli tylko tego życzy sobie,
To ja z największą chęcią zaraz zrobię,
Wyleczyć trudno, trudniéj zrzec nagrody
O gdybym wiedzieć mógł myśl Wojewody!

SCENA PIĄTA.

Wszyscy ci sami i ksiądz Przeor.

KSIĄDZ.

Niech będzie Jezus Chrystus pochwalony.

WOJEWODA.

Jak się masz księże.

KSIĄDZ.

Smutkiem przygnębiony
Nad tym ferale fatum wzdychając przychodzę,

By ręką Boską dotkniętych tak srodze
Pocieszyć, bo to moje powołanie.

HELENA.

Ojcze wielebny i święty kapłanie
Ciężka nad nami ciężka ręka Pańska,
Może ją ulży twa modła kapłańska.

KSIĄDZ.

Nad wszystko można modlitwa pobożna,
Toć i tę burzę rozpędzićby można;
Każę mszę zaraz odprawić śpiewaną.
(Doktor i Szambelan obojętną rozmową zajęci.)

WOJEWODA.

Popie! jeżeli mu powrócą zdrowie.
Te msze śpiewane, pacierze klepane,
To ci powiadam, że się klasztór dowie,
Co to pozyskać łaskę Wojewody.
Będziecie mieli wszelakie wygody
Donacye wielkie dla klasztoru zrobię
Złotemi votum ołtarze ozdobię
Jak nie, to ani mi tutaj po kweście
Zajrzyj do zamku.
(Ksiądz kłania się pokornie, Włodzimierz zbliża się i wpatruje się w niego)

WŁODZIMIERZ.

A! przecie nareszcie—
Dobry ksiądz przeor nas odwiedził — ale
Jakże wyglądasz księże doskonale!
Ja blady, siny, a przeor dobrodziéj
Tak zdrowy, czerstwy, że choć się nie godzi
Zazdrościć, jednak prawie ci zazdroszczę.

KSIĄDZ.

Ręka ojcowska to niegodnych chłoszcze
A skarby zdrowia cnotliwym użycza.

WŁODZIMIERZ *(z uśmiechem)*

Taż to rumieńców twoich tajemnicza
Święta przyczyna? Gdzie tam! jesz i pijesz
Wesoło żyjesz i dla tego tyjesz.
W twém tłustém ciele usnęła jak w puchu
Twa ziemska dusza — bo ty dziecko świata
Dawnoś zapomniał o owym łańcuchu,
Co to nas z niebem tajemniczo splata
Zimny na wszystko prócz na twe wygody,
Nie czujesz cierpień twéj błądzącéj trzody,
Lecz chrzcisz owieczki twe jedna po drugiéj,
Potém oddajesz ostatnie usługi,
Masz złoto, wino i chleb ukochany,
Dla tegoś księże czerstwy i rumiany.

KSIĄDZ *(do Heleny)*

A na Chrystusa przenajświętsze rany,
Od złego ducha on jest opętany!
Widocznie pycha świeci mu z nad czoła,
Pycha, co to już pierwszego anioła,
Z niebios najwyższych w głąb piekieł zawlekła,
Cóż z człekiem zrobi. O, nie wyjrzy z piekła
Kto jéj zwodniczym poszeptom ulęże.

WŁODZIMIERZ.

Słuchajno słuchaj! mój ty święty księże,
Tyś mnie chrzcił — prawda? nieraz wspominałeś;
A ty mnie podle, podle oszukałeś.
Tyś przy chrzcie miał dać szatę niewinności,
Coby me nagie ciałeczko odziała,

Księże no gdzież jest ta sukienka biała?
Tyś miał dać w rękę pochodnią mądrości,
Coby świeciła przez drogę żywota,
Coby wskazała gdzie cnoty są wrota,
Księże powiedz mi, gdzie mądrość i cnota?
Patrz że w ciemności błądzę i upadam,
Patrz że me ręce na nagą pierś składam.

(coraz gwałtowniéj)

Księże gdzie światła prawdy promień błogi?
Zagasł na zawsze u początku drogi.
Księże gdzie moja niewinności szata?
Ot, spadła z ramion i wiatr nią pomiata.
Czemu co rzekłeś przy chrzcie się nie stało,
Czemu te słowa święte to dźwięk pusty?
Czemu się księże nie zmieniły w ciało?
Boś ty wymówił je sprośnemi usty!
Gdyby w was była mądrość z nieba wzięta,
Gdyby w was była iskra Ducha święta,
Codzień widzielibyśmy znaki cudu.
Przed wami klęknął by mnogi rój ludu,
Na wasze słowa gołąbekby spłynął,
Zawisł nad ludem, i nowyby wpłynął
Prąd życia w piersi, za waszém dotknięciem,
Coby ku świętym czynom zbroił ramie
I Kainowe zniknęłoby znamie,
I ludby został znów nieba dziecięciem.

Ale nie, wyście się Ducha wyparli
I wasze słowa to kwiat bezowocny,
I lud się pyta: Żywyż to Bóg mocny,
Kiedy kapłani jego jak umarli!

KSIĄDZ *(cofając się)*

On opętany! on bluźni, na Boga,
Czyż wam już wiara ojcowska nie droga

Że tak spokojnie to słuchać możecie?
Herezya! cóż się nie dzieje na świecie,
On sakramenta najświętsze spotwarza,
On i na kościół szemrać się odważa,
Na nas, kapłanów! to szatańskie sprawy!

WŁODZIMIERZ.

Kościół! tyż jesteś syn kościoła prawy!
Ty syn Chrystusa, a gdzie cud miłości,
Gdzie na ból duszy ten balsam litości,
Co wszystkie rany zagoi, uzdrowi?
Wreszcie jam grzeszny — gdzież jest przebaczenie?
Wy tylko klątwę nam rzucić gotowi,
U was na ustach zaraz potępienie,
Jeśli kto w bólach duchowych się wije,
I z bólu jęknie, to wy przybiegacie,
I, potępiony, przeklęty! wołacie
To tylko szatan w nim jęczy, i wyje.

DOKTÓR *(do Szambelana).*

Jak dziko patrzy, jak zgrzyta zębami,
Już obłąkanie w furyą się przeradza,
Takich waryatów zowiem furyatami,
Tu już rozumu nie pomoże władza,
Z zwierzem zwierzęcéj trzeba użyć siły,
Trzeba go okuć lub związać koniecznie —
Wprawdzie to stan jest przykry i niemiły,
Ale tu dla nas nie bardzo bezpiecznie.

KSIĄDZ *(do Anny)*

Moja panienko każ przynieść z kaplicy
Trochę święconéj wody w kropielnicy
(Anna wychodzi)

WŁODZIMIERZ *(do Doktora)*

Ty co czcisz rozum i siły zmysłowe,

Pochyl przedemną twoją głupią głowę;
Bo widzę więcéj, słyszę, czuję więcéj,
Od ciebie, tysiąc, i tysiąc tysięcy
Razy. Bo sokół swojém jasném okiem
Nie dojrzy tego co skryte obłokiem
Bo się szkła wasze nie zdadzą wam na nic,
Gdy je zwrócicie na bezmiar stworzenia,
A memu oku niema żadnych granic,
A myśl ma biegnie z szybkością promienia
Z światów, do światów.

(do Księdza)

Cóż Ojcze duchowny,
Żegnasz się, dziwisz, zkąd taką mam władzę,
Nie od złych duchów! Chceszże mi być równy
To ja ci zaraz mój księże poradzę.
Poznaj, jak ja znam wszystkie krzyża bóle,
Bo ja mą władzę drogo opłaciłem.
Ja, dałem rozkosz, i szczęśliwą dolę,
I krew serdeczną, i włosy zbieliłem,
I licam zbledził, nie dośćżem zapłacił?
Alem potęgą taką się zbogacił,
Że wy robactwo drobne tego świata,
Nie pojmujecie, macie za waryata.

(służący wnosi kropidło i wodę święconą)

KSIĄDZ (*kropiąc Włodzimierza*)

In nomine...

WŁODZIMIERZ (*tupiąc nogą*)

Daj mi spokój święty.

KSIĄDZ.

Patris et filii...

WŁODZIMIERZ (*wydziera mu kropidło*)

Ty popie przeklęty!!

KSIĄDZ (*ucieka*)

A niechże Bóg was ma w opiece swojéj!
Pięknie wyszedłem, taka to zapłata

(*wychodzi*)

DOKTOR.

Ja jadę — a kto o swe życie stoi,
Niechaj się strzeże tego waryata.

(*wychodzi*)

SCENA SZÓSTA.

Wojewoda, Szambelan, Włodzimierz i Helena— Włodzimierz stoi przy oknie, Helena obok — Wojewoda chodzi po sali — Szambelan w krześle bawi się tabakierką.

SZAMBELAN (*do Wojewody z ironią*)

No, cóż poczniemy bez doktora, księdza?

WOJEWODA.

O, milsza by mi była z piekła jędza,
Niż Włodzimierza szalone spojrzenia.
Straszne mnie dręczą wyrzuty sumienia...
Bo to me żniwo — jak siałem tak zbieram,
Jam temu winien, ja teraz przezieram —
Lecz czemuż z nas dwóch ja tylko skarany!

SZAMBELAN.

Lecz Wojewodo, mój drogi, kochany
Skądże ci w myśli jakieś Boże kary?
Wypędźno z głowy te sumienia mary,
Bo to przypadek, ot, najprostszy w świecie.

WOJEWODA.

O nie przypadek ja pamiętam przecie

Kiedym usłuchał twéj szatańskiéj rady
W onczas, w dzień ślubu, on stanął przedemną
I przed tém pismem, tak śmiertelnie blady,
Patrzył tak błędnie — chmurę miał tak ciemną
Jak dziś nad czołem.

SZAMBELAN (*śmiejąc się*)

A prawda, pan młody
Dziwnie wyglądał.

WOJEWODA.

Szaleństwa zarody
Rozpaczą i zgrozą rzuciłem mu w duszę

SZAMBELAN (*ziewa*)

A, a, doprawdy przyznać ci to muszę,
Że poetycznym zostałeś mi nagle;
A z tego, patrz że nie dobre są skutki
Można zwaryować, rozum zwinie żagle,
I precz odpłynie.

WOJEWODA.

Cóż to?

SZAMBELAN.

Żart malutki,
Nie gniewajże się drogi przyjacielu.
(*ściska mu rękę z uśmiechem szatańskiéj złośliwości i wychodzi*)

WOJEWODA (*do siebie*)

Mógłem go deptać, gardzić jak robakiem,
Lecz w ciemnéj drodze, do czarnego celu
Dałem mu rękę — stałem się żebrakiem,

Żebrzę dziś jego łaski i uśmiechu
Żebrzę milczenia, bom w niewoli grzechu.
(wychodzi)

SCENA SIÓDMA.

Helena, Włodzimierz, potém Anna i Iwan.

WŁODZIMIERZ.

Co oni o mnie tam z wami mówili?
Aha... żem waryat!... Moja biedna żono,
Czyż ze mną ciebie także potępiono?
Chodź że tu do mnie.
(wyciąga do niéj ramiona, ona całuje go)

HELENA.

Mój mężu i panie...

WŁODZIMIERZ.

Jakże dziś miłe twe pocałowanie!
Jak nigdy dotąd — żono kochaszże mnie?

HELENA.

Kocham cię mężu!
(Włodzimierz wpatruje się z przerażeniem w jeden punkt i odpycha żonę od siebie)

WŁODZIMIERZ.

Uciekaj odemnie
Bo tu znów idzie zimna topielica,
Blada migotna jak światło księżyca —
Włos czary; długi, puszczony zmoknięty,
Ręce na piersiach złożone w krzyż święty,
„Chodź za mną, za mną!“ cicho mi powiada
I pokazuje ku Dnieprowéj stronie,

Już coraz dalej — przepada — przepada
W głąb Dniepru leci — tonie! tonie! tonie...
(z krzykiem zakrywa oczy i pada na kolana)

HELENA.

Mój Włodzimierzu...

WŁODZIMIERZ *(zrywa się)*

Nie zbliżaj się ku mnie,
Boby znów przyszło, to co śpi tam w trumnie
Szerokiéj Dniepru. Ja ją utopiłem
Ja białe ciało w głębinę wrzuciłem,
Teraz jéj oczka zimne fale myją,
Włosy po krzakach i skałach się wiją,
A sine usta szepcą bez ustanku
„Dotrzymaj słowa, chodź do mnie kochanku!"
(Włodzimierz usiada zmęczony na sofie i cicho zasypia)

ANNA *(wchodzi)*

Helenko, jakiś młodzieniec tu z sioła
Usilnie błaga cię o posłuchanie,
I to w téj chwili.
(Helena milcząc zezwala, Anna otwiera drzwi wchodzi Iwan)

HELENA.

Jak się masz Iwanie.

IWAN.

Pani! Bóg tylko ratować was zdoła
Lecz pomyśl i ty o obronie swojéj,
Niech zamkną bramy, niechaj się uzbroi
Wnet dwór wasz cały — bo tu lud kozaczy
Ciągnie na zamek.

HELENA.

Iwan, cóż to znaczy?

IWAN.

Bunt. Niemi zemsta, wściekła miota taka
Jako za czasów Gonty Żeleźniaka,
Kiedy krwią lacką spłynęły te ziemie
Oh, boż to straszne to kozacze plemie
Gdy krwi skosztuje.

ANNA.

Ah, gdzież się skryjemy!

HELENA.

Skryć się? niemyślę, bronić się będziemy
Skryć się? niema gdzie, i nic nie pomoże
Wielu?

IWAN.

Tysiące.

ANNA.

Tysiące! o Boże!
Daj znać Helenko, Jerzy nam przybędzie
Zaraz na pomoc.

HELENA (*zmięszana*)

Jerzy? pożno będzie,
Niemyślmy o tém.

IWAN.

Niechaj pani zwoła
Dworzan czém prędzéj...

HELENA.

Ja się nie ulęknę
Tysiącom, z garstką mężnych stawić czoła,
Ależ to serce tak wielkie i piękne
Zkąd ci młodzieńcze?

IWAN.

Zkąd i twoje — z nieba.

HELENA (*podaje mu rękę*)

Bóg z tobą Iwan! Ja idę, bo trzeba
Zdać się na Boga, lecz co w naszéj mocy
Zrobić musimy dla naszéj obrony.
(*wychodzi*)

IWAN (*śpiesznie do Anny*)

Moja panienko! zkądże to pomocy
Się spodziewacie, z któréj, z któréj strony?

ANNA.

Jerzy Zasławski, tu ztąd nienajdaléj
Pan na Zasławiu... gdyby mu znać dali...

IWAN.

Siadam na konia, i co siły stanie
Pędzę do niego.

ANNA.

Iwanie, Iwanie
Oh, tylko spiesz się by nie było pożno.

IWAN.

Wy tu tymczasem trzymajcie się grożno,

A może Bóg da że w czas przybędziemy.

(*wychodzi*)

po chwili Wojewoda i Szambelan, Włodzimierz śpi.

SCENA ÓSMA.

Włodzimierz (*śpiący*) Anna, Wojewoda, Szambelan— późniéj Helena, Dworzanie i Kobiety.

WOJEWODA.

Co, co znów z chłopstwem wojnę wieść będziemy?
Bić się z chamami, a to sprawa djabla —
Nie na ich karki zrobiona ta szabla:
Ot każę strzelać, polowanie sprawię
I szubienicę długim rzędem stawię
Na haki chamy.

SZAMBELAN.

Plan piękny i miły,
Tylko daleki — Niewiem jak to będzie...
Trzeba się bronić nam całemi siły,
To może...

WOJEWODA (*śmieje się*)

Tylko, może się powiedzie?
To każę wszystko przyrządzić do wojny;
A dwór nasz liczny, i mężny i zbrojny,
Łatwo odpędzi tę garstkę hołoty,
Głodnéj i podłéj, bez broni i cnoty.

SZAMBELAN.

Zbyt lekko bierzesz ten straszny bunt ludu,
Tu nie obejdzie się bez walk i trudu,
I to niepewne. Więc ja pomyślałem
By się z rosyjskim widzieć jenerałem,

Błagać pomocy...

WOJEWODA.

Nie źleby to było
Ale już późno.

SZAMBELAN.

Jeszcze na czas będę
Patrz że się słońce jeszcze nie zniżyło,
A więc nie tracąc czasu na koń wsiędę
I ruszam — a tak przy téj sposobności
Gdy raz Moskali zaproszę tu w gości,
Z twoją pomocą tak wszystko nakręcę
Że się ten zamek dostanie w ich ręce.
Zamek obronny, nad samą granicą
Mógłby z téj strony być kraju strażnicą,
To krok ogromny do naszego celu.
Tyś taki chmurny drogi przyjacielu!
(patrzy z ironią na Wojewodę)
Więc siadam na koń, do obozu biegnę
I was obronię, albo z wami legnę.
(wychodzi)

HELENA *(wchodząc)*

Bramy zamknięte — ludzie uzbrojeni,
Ale na murach nie są rozstawieni,
Może ty ojcze zarządzisz łaskawie,
Gdzie ma stać wielu.

WOJEWODA.

Tak, ja sam rozstawię.

DWORZANIN *(wpada)*

Już hajdamacy idą, idą panie!
(Wojewoda wychodzi)

ANNA.

Boże litościw co się z nami stanie!

DWORZANIN.

O pani, pani! jak oko zastanie
Het, het daleko, stepami, jarami,
Mrowiem się czernią kozactwa gromady.
Z daleka lecą przeraźliwe głosy
Groźby, zupełnéj już dla nas zagłady —
W zachodniém słońcu świecą się ich kosy
Noże święcone do góry wzniesione
Błyszczą okropnie... oh! jużmy zginęli.

HELENA *(spokojnie)*

Jużmy zginęli? o pewno jeżeli
Kobiety słabe, od was są mocniejsze
Idź stań na murze.

(dworzanin wychodzi)

Anno to groźniejsze
Z dala niż z bliska.

(przychodzi do Włodzimierza)

W około wrzask wojny
Szczęk broni, a ty śpisz cichy, spokojny —
Śpij, śpij jedyny — zbudzisz się zbyt wcześnie
Możeś ty mężu szczęśliwy choć we śnie!

(wchodzi inny dworzanin, za nim kobiety i dzieci)

DWORZANIN.

Już pod murami! szturm nie długi będzie,
Bo siły naszych trwogą słabną wszędzie —
Kozaków rośnie i wściekłość i siły.
I choć ich z murów strzały nasze rażą,
To po tych trupach co się w głąb stoczyły,
Tysiące czerni na mury wyłażą.

JEDNA Z KOBIET.

A te ich krzyki takie przeraźliwe
Aż w nieba biją.

DRUGA.

Pod czyjąż obronę
Się uciekniemy! Dzieci nieszczęśliwe
Na to też na to, byłyście zrodzone!

HELENA.

Żywo! z zamkowéj kaplicy mi każcie
Swięte chorągwie wszystkie powynosić —
Zatknąć na murach, na najwyższéj baszcie,
(do kobiet)
Wy idźcie Boga o ratunek prosić
A będzie dobrze.
(wychodzą, Anna wstrzymuje ją)

ANNA.

Oh, ja się tak boję,
Nie odchodźże mnie!

HELENA.

Muszę dziecię moje
Może ich męztwo na nowo ocucę.

ANNA.

To pójdę z tobą.

HELENA.

Ja tu wnet powrócę,
A tam jest widok nie dla cię nieboże —
Zostań przy Władziu, obudzić się może.
(wychodzi — zostaje Włodzimierz śpiący, Kobieta z dziećmi i Anna, później wchodzą inni)

ANNA.

O Boże, Boże zachowaj twe dzieci
Dla mnie tak pięknie Twoje słońce świeci,
I życie młode woła mnie za sobą,
Mnieżby kir czarny już odział żałobą,
Mnieżby krew miała oblać białe łono?
Mnieżby okropnie zabito, shańbiono?
Mnie trza żyć jeszcze — ja grobu się boję
Zachowaj Boże młode życie moje.

(wchodzi kilka kobiet)

ANNA.

Gdzie jest Helena?

JEDNA Z KOBIET.

Tam stoi na murze
Piękna jak anioł co zaklina burze
Święta chorągiew ponad nią powiewa,
To znów ją w fałdy śnieżyste odziewa;
Jakby cudowna Zbawiciela Matka,
Chciała ją tulić, bronić do ostatka —
I tak tam stoi i głosem spokoju
Wszystkich zachęca do wytrwania w boju.

DRUGA KOBIETA.

Jam ją widziała — alem nie poznała,
Jak przemieniona — jak rozpromieniona,
I kędy święta chorągiew powieje
Pokrzepia w sercach męztwo i nadzieje;
I kędy stanie i spojrzy tak dumnie
Na ćmy kozactwa, czerń przybiega tłumnie
Z wściekłemi groźby spina się na mury,
Lecz gdy z chorągwią niewiastę zobaczy,
Wydaje okrzyk przeciągły, ponury,

Jakby konania, bólu i rozpaczy,
I gdzieś tam w przepaść pod murem przepada,
Nad sobą samą wyjąc: Biada, biada!!
(wchodzi Helena z chorągwią gdzie na tle białém obraz Matki Boskiéj)

HELENA *(spokojnie)*

Niebezpieczeństwo coraz bardziéj wzrasta;
Lecz ufna w Bogu pobożna niewiasta,
W najgorszym razie nie utraca męztwa
Lecz się przyczynia do mężów zwycięztwa
Modlitwą. Więc i wy módlcie się szczerze
Niewiasty polskie, w pokorze i wierze
A modła wasza do Boga doleci.
(chce wychodzić)

KOBIETA *(z dziećmi u nóg jéj)*

O pani, ratuj, ratuj moje dzieci!

DRUGA.

Ratuj nas, ratuj aniele niebieski.

HELENA *(pochyla się i całuje dzieci)*

Moje dzieciątka, otrzyjcie te łezki.
Wyście niewinne, proście, proście Boga,
On nas ocali, przeminie ta trwoga.
Bóg kocha dzieci, to on was zachowa
Cicho dzieciątka! Anno bądź mi zdrowa!
I tyś niewinna, śmiało łzy twe otrzyj,
Podnieś się, podnieś na krzyżu się oprzéj
A nie upadniesz w téj smutnéj godzinie.
(wychodzi)

JEDNA Z KOBIET.

Wierzę — o wierzę że ta burza minie.

MATKA.

O dzieci moje czemu mi płaczecie
Ona mówiła że wy nie zginiecie.

ANNA.

Módlmy się siostry w gorącości ducha,
Bo ona rzekła że nas Bóg wysłucha.
(Anna, kobiety i dzieci klęcząc śpiewają)

H Y M N.

O, Ty Najświętsza Panno, Matko Boża,
Ty gwiazdo morza, Ty zbawienia zorza
Królowo nasza, przeczysta lilia,
Najdobrotliwsza, najsłodsza Marya
Utul o Matko dzieci twych płacz,
Błagalny głos nasz wysłuchać racz!

Głos ten doleci aż do Twego tronu,
O ty bielutka gołąbko Syonu!
A ty się wzruszysz prośbami naszemi
Z chórem aniołów zestąpisz ku ziemi
A męztwo nasze podniesie się,
Wrogów Twych dzieci zwyciężą twe.

Szatę błękitną gwiazdami zrobionę
Rozwiń i otul dzieci Twe strwożone —
A kogo dłoń Twa ku sobie przygarnie
W potopie nieszczęść nie zatonie marnie
Otulże Polskę tą szatą twą,
Zlituj się Matko nad ziemią tą.

Anielska Pani w koronie z gwiazdami,
Królowo nasza, zmiłuj się nad nami,
Oh, w dziejach naszych coraz chmurniéj, czarniéj,

Ty ręką swoją noc cierpień rozgarnij,
A błyśnie nam znów pogodny dzień —
Maryo noc czarną, w jasny świt zmień.

(wchodzi Helena i Wojewoda)

HELENA.

Kozacy głownie płonące rzucają;
Budynki się już palić zaczynają
Trzeba ratować — a więc wy kobiety
Ogień zalewać.

(wszystkie wychodzą)

Ojcze mój niestety
Niewiem co robić.

ANNA.

Masz jeszcze nadzieję?

HELENA.

W Bogu jedynie!

WŁODZIMIERZ *(obudzony przysłuchuje się)*

Co to się tu dzieje?
Co to za wrzawa? Goścież się zjechali?
Roztworzyć bramy, zaprosić do sali,
Przyjąć, ugościć, chojnie jak się godzi.

(idzie do okna)

HELENA *(wstrzymując go)*

Nie chodź tyś ze snu, może ci zaszkodzi.

WŁODZIMIERZ.

Chcę się ochłodzić, bo duszno i parno,
Co to za murem na polach tak czarno?
Co to tam za lud tak roi się mrowiem?

HELENA.

Cóż tu powiedzieć? Anno cóż mu powiem?

WŁODZIMIERZ

To hajdamacy! A widzisz nad niemi
Jak duch ciemności unosi się z ziemi,
W rękach nóż krwawy i głownia pożarna —
A skrzydła jego jako chmura czarna —
I jedném skrzydłem w tę ludu czerniawę
Wieje swe żądze zwierzęce i krwawe,
A drugie skrzydło nas wszystkich otula
Jak całunowa śmiertelna koszula,
Coraz to bliżéj! Jego oddech zdała
Wieje już żarem i dachy zapala
Cóż gdy ogarnie i dotknie nas zbliska.

WOJEWODA.

W pośród szaleństwa, światło prawdy błyska.

DWORZANIN (*wbiega*)

Dach się na baszcie zaczyna zajmować.

WOJEWODA.

Gasić! rozrzucać! jak można ratować!
(*wychodzi z nim*)

WŁODZIMIERZ (*do Heleny*)

Ot, tam w nadbrzeżnéj wieczornéj mgle,
Rusałki zbiegły i bawią się.
Moja Bożenka z niemi dłoń w dłoń,
O pójdę, pójdę, polecę doń!
Świeże gałązki każda z nich rwie,
I cała stroi się w śliczny wian;

I łączą drobne rączęta swe,
I tańczą jakiś obłoczny ton.

Znów się rozśmiały, klasnęły w dłoń
Rozplotły z rączek wianeczek swój,
I jak ptaszątka na całą błoń,
Rozbiegł się lotny rusałek rój.

DUCH BOŻENY (*widzialny dla Włodzimierza*)

O mój kochanku! o mój ty — mój —
Nie topielicą przychodzę już
Ale kraśniejszą od krasnych róż,
I promienniejszą od rannych zórz —
Lekszą od lekkiéj wieczornéj mgły —
Przychodzę tutaj przypomnieć ci
Że wieczne śluby złączyły nas,
Chodź za mną, chodź, już czas, już czas!

(*Włodzimierz chce biedz ku niéj, duch niknie, on blady, bezprzytomny opiera się o ścianę*)

WOJEWODA (*wchodzi*)

We krwi czy w ogniu utonąć nam trzeba
Wszystko daremne.

(*Helena wychodzi*)

ANNA (*u okna*)

Bóg nam zsyła z nieba
Pomoc! ot patrzcie — tam jadą rycerze,
To nam na odsiecz!

WOJEWODA (*gorzko*)

Moskiewscy żołnierze.

ANNA.

Nie, to Polacy!

DWORZANIN (*wpada*)

Na odsiecz przybyli
Nam Zasławianie!

DRUGI.

Już my zwyciężyli!
Kozactwo z drugiéj strony napadnięte
Cofa się — trwogą i rozpaczą zdjęte —
I w swéj ucieczce tylko marnie ginie.

ANNA (*u okna*)

Idą naprzeciw walecznéj drużynie
Brama otwarta, z okrzykiem radości,
Witają naszych zbawicieli — gości,
Lecz któż jest wodzem tych dzielnych rycerzy,
Tak nie mylę się, to Zasławski Jerzy.

WOJEWODA.

Jerzy Zasławski? to on? czy być może?
On? on? a milsze hajdamackie noże,
Niżeli ręka co on mi podaje.

SCENA DZIEWIĄTA.

Anna, Wojewoda, Włodzimierz — wchodzą Helena z Jerzym, Iwan, Zasławianie i dworzanie z marszałkiem.

ANNA (*rzuca się do nóg Jerzemu*)

Zbawco, nasz zbawco! o słów mi nie staje,
Dziękować tobie za życie, za sławę —
Niech krzyk radości, niech te oczy łzawe...

JERZY.

Anno, ja niemam tu żadnéj zasługi,
Na wasze dzięki zasłużył ktoś drugi:

Gdzież jesteś, gdzież ty szlachetny młodzianie?
(*ściska rękę Iwana*)
To on wasz zbawca!

HELENA.

A to ty Iwanie;
Dzięki ci dzięki — nie za życie moje,
Lecz za nich wszystkich.

IWAN (*ponuro*)

Zatrzymajcie swoje
Dzięki pochwalne. Bo dopóki zguba
Była nad wami, to z pamięci wyszła
I moja rodna Ukraina luba
I własnych braci moich klątwa przyszła —
Lecz teraz, teraz, otwarło się oko,
Widzę że leżą popod temi mury,
I tam po błoniu, daleko, szeroko —
Kozacze trupy — a każden ponury,
Spoziera na mnie jak na brata wroga,
I jękiem zgonu prosi zemsty Boga
Gdzież ja się teraz nieszczęsny podzieję,
O doczekałżem ja się teraz doli!
Teraz się kruków stado zemnie śmieje,
Szarpiąc mołodźców ległych białe ciało,
Żem matkę w lackiéj pogrążył niewoli,
I zdradził braci. Oh, cóż mi się stało,
Żem ja ich zdradził!!!
(*zakrywa oczy, płacząc w głos i wychodzi*)

WOJEWODA (*do marszałka*)

Każ miodu i wina
Beczki wytoczyć, ugościć serdecznie
Tych panów braci — by im ta gościna
Była przyjemną.

JERZY.

Nie bardzo bezpiecznie
Ucztować teraz. Kozacy powrócić
Mogliby jeszcze —

(do swoich)

Więc jak się należy
Ustawić straże, na murach i wieży.

KILKU ZAMKOWYCH.

Ej bracia — niema się już czego smucić!

INNY.

Chodźmy się oddać najżywszéj radości.

INNY.

I wypić zdrowie naszych mężnych gości.

INNY.

Pod nieba wpłynie rozgłośne wołanie,
Niech żyją nasi bracia Zasławianie!
(wszyscy wychodzą tłumnie— zostają, Wojewoda, Jerzy, Włodzimierz, Helena Anna.

JERZY.

Lecz gdzież Włodzimierz? szukam go daremnie.

HELENA.

Patrz.

JERZY.

To Włodzimierz?

(Helena mówi z nim cicho)

WŁODZIMIERZ.

Nie poznajeszże mnie?
No, cóż tak dziwnie śmiesznie się wpatrujesz?

Czy mnie ty także szalonym znajdujesz?

JERZY.

O, nie mój bracie!

WŁODZIMIERZ.

Ja jakiś czas byłem
Jak ludzie — samym rozumem patrzyłem,
Na ten świat bożéj piękności i cudów,
Rozumniem działał dla zysków i brudów,
Oni, śmiejąc się ręce mi podali,
Bratem swym zwali, chwalili, klaskali,
Wołając chórem: „To człowiek rozumny,
„Taki jak i my!“ ale ja tak dumny,
Nagle tak spodlon, ja się zawstydziłem,
Wyrwałem z rąk ich; nad ziemię się wzbiłem,
I rozum ziemski ów w błoto wrzuciłem.
I wtedym przejrzał! W téj jednej godzinie
Przeżyłem wieki, w duchowéj krainie,
I pozyskałem tę siłę tajemną,
Że jasno widzę, całą przyszłość ciemną.

JERZY (*rozrzewniony ociera oczy*)

A jakąż widzisz przyszłość naszéj ziemi.

WŁODZIMIERZ (*proroczo*)

Widzę tysiące walczących z kosami,
Wódz ich w siermiędze — a ty między niemi;
I krocie wrogów ucieka przed wami.
Bo tu nie sztuka i siła lecz męztwo,
I świętość sprawy odnosi zwycięztwo.
I... oh, już nie patrz — oh, biada wam biada!
Ma święta — Matka — raniona upada.

(*z krzykiem rzuca się na ziemię Helena klęka przy nim*)

A to ja wrogom dłoń moją podałem,

Ja podły, słaby, mą matkę sprzedałem,
Jam zawiódł Świętą tę, na Targowicę,
I sprzedał nie za złoto, nie za zyski,
Ale sprzedałem za śliczną dziewicę —
Za twe przeklęta syreno uściski!

(odtrąca Helenę i mówi do Wojewody)

Starcze występny! rozumiesz te słowa!
Ot, krwią twéj matki splamiona twa głowa —
Kropla po kropli, krew z włosów ci spływa —

(odrywa mu order).

Starcze ta gwiazda, ognista straszliwa,
Spali ci serce — lecz ciszéj — o ciszéj,
Bo może dziecie twe biedne usłyszy!
Patrz! ciesz się starcze — twój cel już dopięty.
Święta skonała — A na grobie Świętéj,
Kładą w nagrobek trzy wielkie kamienie.
I przeszło jedno blade pokolenie,
Drugie i trzecie swe życie w niewoli,
Wlecze, nie śmiejąc pożalić co boli!
Poszły sieroty by żebrać pomocy,
I od południa do lodów północy
Z wschodu na zachód głos tułaczy leci —
Leci i ginie, w téj ogromniéj ludów
Zimnych serc puszczy — I téj świętéj dzieci
Słabną już zbytkiem cierpienia i trudów,
I giną w nędzy — i po całym świecie
Porozrzucane ich groby znajdziecie.

(po długiéj chwili milczenia)

Boże — to westchnienie czyje?
A to Święta w grobie żyje,
I budzi się! Budzi, wstaje
Dzieciom ręce swe podaje
I rozszerza swe ramiona
I wygnańców i tułaczów

Do swojego tuli łona,
Wśród okrzyków, pieśni, płaczów.
Dzięki Boże, Ojcze, Panie!!
(z rozrzewnieniem)
Moje zbliża się skonanie —
Chodźże do mnie biedna żono,
Przebacz mi na pożegnanie,
Że mnie tobie narzucono.
(całuje i przytula do siebie Helenę)

WOJEWODA *(po którego twarzy łzy płyną)*

O ja sobie nie przebaczę!
Stare oczy me wypłaczę;
Ot — łzy płyną gorzkie mnogie —
Przebaczycież ciężkie winy,
Synu — Jerzy — dziecię drogie
I Ty Boże mój jedyny.
(wbiega Iwan)

IWAN.

Hej uciekajcie cały zamek góre!
Prędko! o prędzéj! póki jeszcze w porę.
Ogień niezgaszon w ukryciu tlał długo,
Teraz zalewa nas płomieni strugą.

(wybiega Jerzy, Wojewoda, Anna, Iwan, Helena— ale Helena powraca do Włodzimierza który spokojnie stoi — Duch Bożeny ukazuje się)

DUCH BOŻENY.

Uciekaj luby ztąd —
Rzuć się w Dnieprowy prąd —
Tam rośnie szczęścia kwiat
A ja go tobie dam —
Oh, smutny zły ten świat
Chodź ze mną luby tam!

WŁODZIMIERZ.

Oh, smutny, zły ten świat
Ja pójdę z tobą tam —

BOŻENA.

Tam rośnie szczęścia kwiat,
A ja go tobie dam!

Płomienie wybuchają, Włodzimierz daje ręce Bożenie i znika z nią w ogniu)

HELENA (*modląc się*)

O Boże! Ojcze! te łzy i cierpienie
Niech mu zjednają Twoje przebaczenie
I niebo dadzą! chociaż ciężka wina...

JERZY (*wbiega*)

Heleno giniesz — ratuj się jedyna!

Porywa ją w ramiona i ratuje — płomienie gwałtowniéj się wzmagają— sklepienia runęły i Duch ciemny unosi się).

EPILOG.

Noc chmurna, na czarne zwaliska zamku wstępuje Duch ciemny.

DUCH CIEMNY.

Ha, ha, ha! przecież me dzieło dopięte,
Poćwiertowane leży ciało święte,
I po téj ziemi tak już chodzę sobie,
Jakby pod jednym, wielkim, niemym grobie.

Zabiłem matkę, a osierocone
Dzieci rozgonię w tę i ową stronę,
Zamknę przed niemi własnéj chaty wrota,
Że błądzić musi ten naród sierota,
Jak zbrodniarz jaki od ludzi wypchnięty,
Jako Izrael od Boga przeklęty.

A drugim zdepcę, szyderstwem, pogardą,
Uciskiem, hańbą, duszę nazbyt hardą,
Skuję żelazem, rozpaczą połamię
Niegdyś tak silne, dzielne, młode ramię,
Że bez oporu, bez siły, bez czucia,
Podadzą karki swoje do okucia.

Trzecich znów chlebem cielesnym nasycę

Dam bryłę złota, miast miecza w prawicę,
A oni krzykną: „Dobrześ nam w niewoli
„Jarzmo tak ciężkie — ale kark nie boli,
„Przytem jesteśmy w coraz lepszym stanie,
„Bądź pozdrowiony nam miły szatanie!"

Jedni z słabości a drudzy z podłości
Uwierzą wreszcie w mą potęgę ciemną,
Ugną kolana w pokorze przedemną
A Ciebie Boże wyrzekną się, Ciebie,
Zapomną całkiem, o duszy, o niebie,
O kraju, czcąc mnie — tak zwycięztwo moje!

(Anioł z palmą do pokoju wchodzi)

ANIOŁ.

Zwycięztwo Prawdy przedwiecznéj nie twoje!

(Duch ciemny stula swe bezpiórne skrzydła i z krzykiem przeraźliwym, ślizgając się jak wąż między zgliszczami ucieka.

ANIOŁ.

. . . .

Teraz zbiegnijcie się Rusałki słodkie
Czarowną dłonią sadźcie na ruinie
Pamiątek bluszcze i powoje wiotkie
A śpiewak miejsc tych bez pieśni nie minie!

(Z różnych stron zbiega się grono Rusałek i śpiewając—zielonemi gałązki okrywają zwaliska.)

RUSAŁKI.

Anioł nas wzywa — chodźmy siostry słodkie,
Czarowną dłonią sadźmy na ruinie
Pamiątek bluszcze i powoje wiotkie,
A śpiewak miejsc tych, bez pieśni nie minie!

Choć nasza ziemia, to ruina czarna,
Gdy ją pamiątek zieloność owionie,
Jasnéj przyszłości zejdą przecie ziarna
I wzrosną bujnie na czarnéj ruinie!

KONIEC EPILOGU.

Tysiącem mieczów twe piersi przeszyto,
I jak umarłyś, i w grobie złożony.
Lecz póki w grobie nie zastygnie serce
I żywa wiara mieszka w twoim duchu
To tylko ciała panami morderce
I tylko ciało w grobowym łańcuchu;
A dusza wolna, śpi — do snu jéj będą
Śpiewać lirniki co na grobie siędą
I dłonią trącą z nieba wzięte lutnie,
I zaśpiewają tak pięknie a smutnie,
Że jéj się przyśni jéj dola miniona,
I senną ręką poszuka swéj broni
Ale bezsilne opadną ramiona,
I tylko łańcuch u boku zadzwoni...

. . . .

Śpij, śpij, mój ludu póki Boża wola —
Ufaj, wierz, że się skończy ta niedola,
Że ze snu w grobie wstaniesz przemieniona
Nowém, nieznaném życiem napełniona,
I w onczas zdejmiesz cierniową koronę,
I w onczas krew twa na skroni zczerniała
Otoczy wieńcem czoła spromienione
I w niebo błyśnie Polsko twoja chwała.

. . . .

Teraz zbiegnijcie się Rusałki słodkie
Czarowną dłonią sadźcie na ruinie
Pamiątek bluszcze i powoje wiotkie
A śpiewak miejsc tych bez pieśni nie minie!

(*Z różnych stron zbiega się grono Rusałek i śpiewając—zielonemi gałązki okrywają zwaliska.*)

RUSAŁKI.

Anioł nas wzywa — chodźmy siostry słodkie,
Czarowną dłonią sadźmy na ruinie,
Pamiątek bluszcze i powoje wiotkie,

A śpiewak miejsc tych, bez pieśni nie minie!

Choć nasza ziemia, to ruina czarna,
Gdy ją pamiątek zieloność owionie,
Jasnéj przyszłości zejdą przecie ziarna
I wzrosną bujnie na czarnéj ruinie!

KONIEC EPILOGU.

MOWA KWIATÓW.

Najmilszą z umiejętności, jest niewątpliwie nauka o Kwiatach: to też ona miała zwolenników wielbiących ją aż do szaleństwa.

Czyż w połowie przedostatniego wieku, zamiłowanie kwiatów nie doszło w Hollandyi do stopnia prawdziwego szaleństwa? *Tulipan*, staje się tam przedmiotem frymark niezmiernych: wciągu trzech lat samo miasto Harlem widziało wznoszącą się u siebie przedaż tul panów do ceny 10ciumilionów przeszło. Jakiś mieszczanin tamtejszy, w 1637 roku, ofiarował 4,600 złotych piękną karetę, parę koni i 12 włók ziemi, aby posiadać jedną cebulkę kwiatu *Semper Augustus!* Kalif Harun-al-Raszyd nie płacił drożéj najurodziwszych swoich hurysek!

Znałam pewną ofiarę téj namiętności dla kwiatów, i a to w następujących okolicznościach. Powracałam z Włoch. Spisałam tam ciekawy zbiór pieśni narodowych, tych Conzonette, które śpiewają wszyscy a nikt nie zna ich autora. Pewnego wieczora, dałam się słyszeć z niemi w szczupłem przyjaciół gronie; w liczbie

słuchaczów był Doktor B... Kiedy skończyłam, Doktor zbliżył się do mnie, winszował mi ze zwykłą sobie uprzejmością i dodał: „Ośmielam się, prosić Panią o pewną przysługę. Oddaję się jak wiadomo, leczeniu obłąkanych na umyśle, i wiem z doświadczenia jak cudowny skutek czyni muzyka na umyśle nieszczęśliwych których pielęgnuję. A co właśnie działa na nich najskuteczniéj, to nie zagmatwane sztuki, lecz same proste melodje, podobne tym które dopiero coś pani wykonała. Stań się tak dobroczynną a odwiedź mnie jutro: radość jaką sprawisz mimowolnie pacjentom, będzie nagrodą twoją."

Przystałam na to. Wchodząc do salonu, spostrzegłam że na mnie czekano: publiczność moja była porządnie uszykowana, ale milcząca, ponura, nikt z nich ani spojrzał na mnie. Po kilku chwilach muzyki, już to słodkiéj i rozrzewniającéj jakby skarga, już ożywionéj jak włoski taniec, wszystkie oczy zajaśniały żywym wyrazem. W godzinę, odebrałam od słuchaczów moich dowody szczeréj wdzięczności, jak gdybym im wyświadczyła jakie prawdziwie dobrodziejstwo tak dla ich stanu fizycznego jak i moralnego.

Odeszli, a doktor odprowadzając ich, przemawiał do nich z wielką słodyczą; poczem zatrzymał mnie na obiad. Goście byli weseli, rozmowa się rozprysła na tysiące blasków: prawdziwa pogadanka paryska. Wtem całą moją uwagę zajął jeden z moich sąsiadów. Był to człowiek niewiadomego wieku: mógłby uchodzić za młodego, gdyby skroń łysa i zorana głębokiemi zmarszczkami nieświadczyła o przebyciu lat wielu, i nietworzyła szczególniejszego przeciwieństwa z wejrzeniem jego słodkiem i niewinnem właśnie jakby u dziecka.

Botanika była zwykłym jego zatrudnieniem: a że ta umiejętność miała dla mnie urok nieznajomości, słu-

chałam z otwartemi usty, obiecując sobie ze wszystkiego co usłyszę korzystać.

„Bóg, stwarzając kwiaty, mówił on mi, nadał naturze jéj najpiękniejszą ozdobę. One są radością dziecka, strojem kobiety, rozweseleniem starości... Pierwsza tajemnica miłości powierza się skromnéj Stokrotce, ona staje się wyrocznią. Więzień, znajduje ulgę w swoich męczarniach, skoro uda mu się dostrzedz kwiaty przez gęstą żelazną kratę; one wskazują jemu porę i godzinę. Nymfea, Łotoć, Kosmaczek i tyle innych otwierając się i zamykając o stałych godzinach, stają się dla tego nieszczęśliwego zegarem podług którego reguluje się i uprzyjemnia sobie chwile swojéj niewoli...“

Właśnie kończył się obiad i udano się pić kawę w ogrodzie, którego kwatery były zasłane najrzadszemi kwiaty. Tam, sąsiad mój wydawał mi się być w swojéj istotnéj ojczyznie: „Patrząc na te kwiaty, rzekł mi on, czyż nie bierze nas ciekawość, jak ludzi wschodnich, poznać mowę i uczucia jakie one wyrażają?... Wyobraźnia pracowała ustawicznie nad odkryciem stroy duchowéj patrząc na materyalną. Myśli poetyczne wschodu przywiązywały do kwiatów własność osobliwą, służenia zawsze za jakoweś godło: Rycerstwo nasze za powrotem z wojen krzyżowych, przyniosło te duchowe znaczenia napisów i kolorów ozdabiających ich tarcze. Kochanek bez nadziei stawający do turniejów, z proporcem i szarfą upstrzoną czerwoną z fioletową barwą, oznajmiał tém *niepokój swéj duszy*. Po zwycięztwie dziewica będąca panią myśli jego, jeśli się ulitowała położyć koniec jego udręczeniom, ukazuje się jemu z gałązką rozzielenioną Głogu, przepasaną szkarłatną wstążeczką, a to oznaczało: *nadzieję w miłości*. Każdy kwiat miał właściwe sobie znaczenie: jeżeli rycerz wybierał się na daleką wyprawę, to koronka przy nim z Gwoździków i wiśniowego kwiatu, przemawiała do

jego lubéj: *Nie zapominaj o mnie, a pamięć moja niech ci słodką będzie!...* Niestety! mówił daléj, te świętobliwe i czyste myśli, są zatracone przez nasze pokolenie zaaferowane: dziś tylko o tém myślą jak zrobić fortunę... A przecież, gdyby tylko chęć była, to nic łatwiejszego jak wrócić do tego zapomnianego na nieszczęście zwyczaju. Pozwól pani wytłumaczyć sobie coś z tego ukochanego przezemnie języka. — Kwiat ten Akacyi kołyszący się nad naszemi głowy, i otaczający nas w około wonią, oznacza *niepokój*, Wietrznica znaczy *niewierność*, Nastorcja *delikatność*, Powoj *węzeł miłości*. Cyprys wiadomo że jest godłem *smutku*; Piwonia *snu* i *nudy*; dzika Róża znaczy *prostotę*, a żółta Róża *hańbę*: Głogi zalegające nam drogę, oznaczają *trudy*."

Mówiąc tak, mój nowy przyjaciel zbierał tu i owdzie kwiaty, i układał je jakimś niezwykłym sposobem. Kiedy skończył, podał mi swój bukiet mówiąc: masz pani oświadczenie przedstawiające próbkę dawnego sposobu rozumienia się.

„Oto Jaśmin biały *namiętność*, przywiązany pod Dzwonkiem *trwożliwość*: Pierwiosnek *nadzieja*, przy Tulipanie *prawość*; Tęczka modra *ufność*; potem Bluszcz *tkliwość*, górujący nad inne kwiaty. Bukiet ten więc następującą myśl wyraża: Moja *namiętność* przewyższa moją *trwożliwość*: *prawość* uczuć moich zasłużyż sobie na *nadzieję*? *Ufaj* méj *tkliwości!*

„Cóżby pani odpowiedziała na tak godne jéj oświadczenie?

— Łatwa odpowiedź: Związana węzły świętemi, dawałabym tylko przyczynę do udręczeń, okazując choć cień zachęty, i przez własną próżność wiążąc intrygę szaloną.

„Otóż powyższa myśl pani tak się wyłoży: ten kwiat Lwiego zęba, przywiązany do gałązki Urszulinki, mówić będzie że twoje *serce jest oddane* i że *węzeł nie-*

rozerwany je trzyma. Zwiędły Głóg oznacza *boleści* jakieby sprawiła *próżność* przedstawiona przez ten piękny Liliowiec. Słonecznik ten, który rozmyślnie napół rozłamuję, ten upstrzony Gwoździk, jeszcze nierozwinięty, wyrażą to wyznanie że pani *dać nie chcesz żadnéj zachęty intrydze.* Gwoździk upstrzony oznacza *zachętę* a Słonecznik *intrygę.*“

Po tych wyrazach, egzaltowany botanik oddalił się odemnie i wszedł w obszerny kląb kwiatów: zdawał się tam badać niektóre z roślin ze szczególniejszą uwagą; pochylał się i powstawał raptownie, patrząc w niebo; to znowu kładąc się przy karłowatym kwiecie, przykładał do niego swe ucho, które zbroił swą dłonią zwiniętą w trąbkę, jakby usiłował tym sposobem skupić jakiś dźwięk słaby i przelotny. Te jego ruchy wznieciły ciekawość we mnie: po niejakiéj chwili wrócił do mnie i rzekł mi wzruszonym tonem: „Oto godzina pani, kiedy duchy błąkające się a których przeznaczeń Bóg jeszcze nie ustalił, zstępują ożywiać rośliny te, a uważają je pospolicie za jestestwa pozbawione uczucia!“

Właśnie noc zapadała i mimowolny dreszcz wstrząsnął mnie, na te słowa wymówione tonem tajemniczym i uroczystym. Niezwyczajny blask jaśniał w oczach tego człowieka, który wydawał mi się jakby przeistoczony.

Wtem powiew mocniejszego wiatru zakołysał kwiatami.

„Nie trwóżcie się! z uniesieniem zawołał, zwracając swą mowę do niewidzialnych istot. Ja jeden na świecie ze śmiertelnych zbadałem wielką tajemnicę natury, która mnie uzdolniła do rozumienia was, o duchy nieszczęśliwe, bez wypoczynku! Każdemu z was, chcę ponieść upominek pociechy, wysłużony przez boleści wasze, i ukoić niepokój zgotowany niepewnością waszych prze-

znaczeń.. Astrze czuły, co łagodnem chwianiem się wzywać się zdajesz moich wyrazów pocieszających ciebie, ty przedstawiasz *żal* i *smutek*, posłucham twojéj skargi!.. I ty, skromna Balsaminko, będąca godłem cnoty, przejście twoje przez tę niewdzięczną ziemię nagrodzonem będzie!" Raptownie zwracając się do mnie zawołał: „Nie lękaj się pani wyrazów moich, które ludzie ciemni mają za brednie; nadewszystko jest tu przy mnie jeden człowiek, co mimo oznak najszczerszéj dla mnie przyjaźni, jest moim wrogiem: nim jest pan domu. Korzystam z jego nieobecności, aby rozwinąć przed tobą urok téj nadziemskiéj umiejętności, któréj ciężkim nabyłem trudem. Dostrzegłaś pani zapewne lekkiego poruszenia u tych krzewów kiedy przybliżyłem się do nich? Widziałaś jak się kołysały pod wzrokiem moim, wszak prawda, pani? A wieszże co to znaczy? Oto że chcą do mnie mówić!

— Jakto panie, mówić do ciebie? rzekłam drżąca coraz mocniéj. Więc pan myślisz... mniemasz?..

— Cicho! przerwał mi, tłumiąc swój głos. Trzeba abym panią oswoił z tem wszystkiem... Oprócz symbolicznéj swéj mowy, kwiat każdy mieści jeszcze ducha téj osoby, która ze swego żywota miała do niego najwięcéj podobieństwa, przez tożsamość upodobań, cech i zalet."

Słuchałam bacznie, lubo nieufna nieco, patrząc na stan egzaltacyi mojego nauczyciela.

„Te Nieśmiertelniczki, nietracące nigdy swego blasku, wyobrażają *wieczną stałość.* Czyliż one nie dość wyraźnie przemawiają że dusza tkliwéj Heloizy żyje w nich oczekując połączenia się ze swoim ukochanym Abeilardem? Wieniec cesarski, kwiat który tam widzisz, roztwierając swoje szkarłatne korony, wyobraża *majestat;* to Ludwik XIV otoczony swym dworem. Potem, towarzyszka jego starości, pani Maintenon, w tym jest

Granacie, godle *pychy;* daléj, pani de Montespan, w tym Srebrzystym kwiecie, obrazie *dumy;* jego ministry Colbert, *przezorność;* to ten krzaczek Balsaminu, Fouquet, którego nie zbawiły skarby, to ten Jaskier, znaczący *bogactwo*, wreszcie Louvois, tak lubiący *wojnę*, oto go masz w tym Belwederskim kwiecie... Lauzun! ukazuję ci go w téj Konwalii, znaczącéj *głupotę;* a ten co nam oznajmił wszystkie plotki owego słynnego świata, ten co mi do ucha szeptał tyle ciekawych anegdotek, z tamtych czasów, uosobione *błazeństwo*, Bussy-Rabutin obrał sobie Dzwonek za przytułek.

— Kiedy jesteśmy pod tem sławnem panowaniem, pragnęłabym bardzo zapoznać się z dwoma osobami które kocham: z panną de Lavallière i z panią de Sevigné.

— Pierwszéj należy szukać pod tym skromnym krzewem, gdyż ona wszedłszy do klasztoru złożyła przez to owoc swéj *pokory*.

— A więc, dodałam, musi być kwiat znaczący *dowcip;* a nie znam równie naturalnego dowcipu jak ta ujmująca margrabina de Sévigné!

— Ukażę ci ją u stóp tego winogradu. Oto właśnie ona, ten Rozchodnik uweselający wszystko co go otacza. Tam Żądnik, animujący ten biały Jaśmin, godło *rozpasanych chuci*, a Dubois, jest w tym Indyjskim Gwoździku znaczącym *pochlebstwo*... Oto kilka osób z następnego panowania: *zdolność*, pani de Pompadour, w téj Piwonji którą noc otwiera; *rozkosz*, pani du Barry, w tym Słoneczniku.

— A Voltaire, nie będzie pod godłem *uszczypliwości?*

— Widzisz go pani w téj Hieranyi. Jego przyjaciel, marszałek de Richelieu, *obłuda*, mieści się w tem Uchu niedźwiedziem.

Z dawniejszych czasów, znajduję: Katarzynę de Medicis, *nienawiść*, pod tym Wasilkiem; *okazałość*, uoso-

bioną przez Elżbietę angielską, w téj Koziobródce; Agnieszkę Sorel, *miłość stałą*, w Hortensji; a ta Lilia, kwiat bez plamy, *wzniosłość*, przyjęła w siebie duszę dzielną i czystą Joanny d'Arc. Ten co tak ukochał Wawrzyny, ten co ich zebrał więcéj, niż jaki bądź inny bohater czasów dawnych lub późniejszych, ten co Francyą uczynił najpierwszą z narodów, temu należy się z prawa symboliczne drzewo *Zwycięztwa*."

Zapał z jakim mi to wszystko powiadał, oraz powiększał moje wzruszenie, i żeby odwrócić mego uczonego od myśli surowych, budzących w nim tę egzaltacyą któréj się lękałam, nie wiedząc sama czemu,— żartobliwie przemówiłam: „Co to, to spodziewam się, że nikomu nie przyszło na myśl zamieszkać w tym kwiecie, noszącym imie przerażające: Pysk wilczy?

— Mylisz się pani: *polityka* obrała w nim swoje mieszkanie. Pan de Talleyrand jest Pyskiem wilczym; bo niejeden baranek został pożartym przez Politykę...

„Jest tam jeszcze w polu, tchnący powietrzem czystem i kołyszący się w miarę wieczornych powiewów, pewien kwiat znaczący *melancholją:* ma on barwę niebieską i pociąga ku sobie słodkie pieszczoty dziecka. To Bławatek ulubiony od wszystkich! — nim Bellini, śniący jeszcze na jawie swoje Melodje Niebieskie!..

To poetyczne uosobienie wzruszyło mnie tak głęboko, że odtąd, kiedy spostrzegę Bławatek, zdaje mi się że zarazem słyszę miłe tony Normy albo Beatrycy.

Po kilku chwilach milczenia, rzekłam do niego:

„W tem wszystkiem nie wskazałeś mi pan Fiołka?

— Niestety! pani, godło *wstydliwości* i *skromności*, nie raczyło nigdy, przez skromność zapewne, wynać mi jakie czyste jestestwo ugościło go swem życiem.

Nagle, na zakręcie jednéj z ulic, ukazał się Doktór: na jego widok, biedny uczony zmieszał się bardzo.

„Proszę nie zapominać, rzekł do niego Doktor, że to godzina o któréj czekają ciebie pod Nr. 73...“ On, skłonił się nic nie mówiąc, pożegnał mnie spojrzeniem; a w jego oczach czytałam jeszcze boleść z wczesnego rozstania.

Mój nowy przyjaciel oddalał się zwolna, a serce moje uczuwało się coraz mocniéj uciśnionem, tak, że nie byłam w stanie przemówić ni słowa. Po kilku zaraz chwilach naszéj zaczętéj rozmowy, odgadłam że to był obłąkany, ale obłąkany głupstwem tak słodkiém, tak może prawdziwem!...

Doktor wziął mnie potém, za rękę i mówił:

„Nie gniewaj się na mnie pani, że jéj nastręczyłem tę rozmowę... przewidywałem to że ona interesującą bardzo dla ciebie będzie. Znam doskonale mego chorego jak jest słodkim w obejściu swojem, ale zarazem jak jest dziwny w swoich pomysłach... Gdybym cię był o tem uprzedził, widzenie się to z nim, byłoby naprzód cały swój urok straciło... A nadto, wyznać muszę szczerze pani, że i na naszym świecie zwyczajnym nigdy się tego nawet nie spodziewając, napotykamy nieraz waryata.“ —

F. Stoczek.

ROZMOWY POTOCZNE CZYLI GAWĘDY

w Bobrownikach nad brzegami jeziora zwanego Dusia w Augustowskiem.

Treść tejże rozmowy: pismomanija, dyssertacya i polemika Pogląd ogólny: 1) uwagi o stanie publicznego piśmiennictwa krajowego i jego wpływie, tudzież krytyka. 2) Spowiedź wielkanocna i nawrócenie się 14 letniego młodzieńca z luterskiéj na Katolicką Wiarę. 3) Recenzya na wyjść mające dzieło. 4) Tolerancya i skutki jéj tudzież o żydach i ich talmudach, oraz dalsze pogawędki

Co jest pismomanija? zapytał z prezumcyą pan Julian piszącego pamiętniki podróży pana Teofila, który lubo nieskwapliwy na takie zapytanie odpowiedzieć tak znów zbyt skromny opierać się i gorszemu natręctwu; położył więc pióro — odłożywszy kajet i tak odpowiedział:

Pismomanija według Kroniki Warszawskiéj zeszłorocznéj opinii pana Wacława Szymanowskiego, ma być chorobliwy stan skłonności pisania częstokroć „nonsensum“ — i takich artykułów, co już nie tyle uwag na ogólną korzyść czytającym nasuwają, ile raczéj w chęci

popisywania się jakimś talentem o rzeczach niby prawdo-podobnych, lecz częstokroć bezskutecznych; słowem, uchodzenia koniecznie za jakiegoś w świecie literata. Jakkolwiek bąć — mówił wciąż pan Teofil, nie zawsze słusznie, chęć pisania rzeczy, nazwał pismomaniją, kiedy bo umysł i serce zajmuje i ducha podnosi w jakim on bąć stanie istnieje; — podług mnie, ta powszechna chęć ludzi, którzy czują się na siłach zdolności pisania, co tak w wieku teraźniejszym ogarnęła umysły empirycznego badania wszech rzeczy; wielce się przyczynia nie tylko ku poprawie gustu i onego zaostrzeniu w tem wszystkiem, co jest użyteczne i dobre, lecz nadto. zwraca uwagę myślącym i ułatwia metodę rozpoznawania na obszarze rozlicznego świata niwie — dwojakiéj rozrośli: kąkolu i pszenicy; tudzież rozróżnienia w tem i gatunkowania użyteczniejszego ziarna, czyli wyraźniéj mówiąc: ocenienia według loicznych zasad, ludzi złych i dobrych, ludzi ze zdrowym pojęciem rzeczy i ludzi łatwowiernych i przesądnych; ludzi nakoniec takich: którzy i w prywatnem pożyciu swem w obmierzłych nałogach uparci, oświecić, ani się przekonać — a tem samem poprawić się niedają. Pisma więc publiczne pod jaką bąć firmą i rodzaju, wielką w téj mierze odgrywają rolę — i tak działają błogo na umysł pilnie czytających, jak w wiekach dawnych nauki duchowieństwa naszego chrześcijaństwa. Ta odwieczna dążność ludzi dobrze myślących, aby rozróżnić zarośl, co szpeci czysty zasiew ziarna ewangelicznego, które wśród porastającego w niem chwastu pomimo dojrzenia swego jeszcze się ugina, ta chęć nareszcie, co tak błogo usiłuje już publicznie świecić i zagrzewać pochodnią cnoty i rozumu, jak słońce dobroczynne na widnokręgu w porze dni wiosennych, aby to, co zimą przesądu i niedorzeczeństw, co głodem ciemności podbija i do reszty niestety ujarzmia w be-

zecnych nałogach serce i umysł tych, którzyby zdolni strząsnąć z siebie i wznieść się jeszcze z wiarą nad fatalność, jaka ich obecnie ćmi i poniża i o mało w przepaść nie unuża; ta chęć mówię, co podąża oświecić zwracając bliźnich swoich braci uwagę, na ich własne pomyłki i błędy, na ich życie naganne i zbrodnicze,— nie jestże to prawdziwem dziełem natchnień Wszechmocnéj Prawicy? — I godzisz się na téj niwie, skromnych rolników przyczyniających ziarna prawdy i uwag, ziarna cnoty i rozumu, zwać pismomaniją? — Chyba by to powtarzać zdało się temu, co niema uczuć estetycznych, a jeszcze i umysł jego w pelni zarozumiałości i zazdrości, przesądu i uporu.

Są jeszcze i tacy ludzie, co w gruncie serca nie źli, a jednakże zwykli wszystko, a wszystko krytykować lub powtarzać jak papugi krytykujących, niewiedząc— ani pomyślą nawet o tem, że to jeszcze gorzéj jak nagannie. Tak naprzykład pewien z korrespondentów naszych (którego nazwiska nieprzypominam sobie) nie zbyt dawno — zamieścił był w Gazecie Warszawskiéj— artykuł jeden, w którym przechwala parę osób z Augustowskiego, a ogół tejże gubernii skrytykował niesłusznie: jakoby tu niewidać żadnego polepszenia i postępu w cywilizacyi. Niejestże to co gorszego, jak powiedzieć nieprawdę? Widać w tem jakiś interes powodował tego pana, gdy się tak bardzo z prawdą pominął. Zdziwiło nas, czytając artykuł podobnéj korrespondencyi i przykre zarazem ta niesłuszność o nas opinii, zrobiła wrażenie. Lecz jak bąć się to stało — „niema tego złego coby na dobre nie wyszło“ — mówi dawne przysłowie nasze. I właśnie korzystając z téj okazyi, postanowiliśmy bliżéj poznajomić nasze Augustowskie z czytającemi pisma polskie: że i tu są ludzie postępowi i niebrak jak gdzie indziéj może owych cnót domowo-rodzinnych, co głównie cechuje człowieka w śród

walki z przeciwnościami niekiedy doskwierającego mu losu. Są tu bowiem domy, nie tylko staropolskich rodzin-ślachetnych (jakich nie mało i w całéj Polsce) których dla nieobrażenia ich skromności imiona pomijam, co obok pięknego pożycia z familiją — obok postępu w cywilizacyi, oznaczają się nie tylko cnotą staropolskiéj gościnności, nieprzerwaną harmoniją w sąsiedztwie, ale i niezmiennemi zasadami św. wiary naszéj powszechnéj. „I gdzież w dzisiejszéj Polsce znajdziesz tak zacną ślachtę — Panów, mawiał tu niegdyś jeden buńczuczny starzec poczciwy ślachcic zaściański dawny bywalec podworski, — iżali na Litwie kochanéj i w byszem województwie augustowskiem? gdzie pono nie jedna polska rodzina podupadła, częstokroć nieznana ze swego pochodzenia, znajduje nietylko wsparcie, pomoc i zasiłek, ale i przytułek błogi w domu szlachetnego obywatela. „Bo któż obywatel? ten co swemi trudy wspiera los braci gdy przeciwność bije, któremu rzekną wszyscy bez obłudy, niech żyje dla nas, bo on dla nas żyje!“ powtórzył ze łzą w oku ów starzec poczciwy — zdanie to zacnego poety rodaka naszego.

Ot niezbyt dawno bo w tym jeszcze roku, zaszło tu prawdziwe zdarzenie w pewnym domu obywatelskim:

Jedni bowiem państwo którzy podobnież jak w cywilizacyi, oznaczają się cnotami rodzinnemi, powodowani litością przyniesienia ulgi pewnéj rodzinie podupadłéj w sąsiedztwie, przyjęli byli ich syna do domu swego, ażeby na równi ze swojemi dziećmi pod okiem domowego nauczyciela wychować przyzwoicie. Chłopczyk ten lat czternaście mający, w ciągu trzech kwartałów jednego roku, znacznie postępował w naukach i obyczajach dobrych. Podczas gdy wszyscy domownicy przygotowywali się do spowiedzi wielkanocnéj, młodzieniec ten, pomimo że przez matkę swą wyznania protestanckiego — był wychowany za granicą po luter-

sku, okazywał również chęć do tegoż sakramentu — i tak się był naparł do aktu téj uroczystości praktykującéj się w naszym Kościele powszechnym, że trudno było tak wzniosłéj jego intencyi zabronić; a bacząc z drugiéj strony, że i ojciec jego katolik — znany tu ze swego pochodzenia, nie widziano zatem przeszkody powieźć go tam, dokąd dusza jego młodzieńcza stęschniona, u prawdziwego źródła, czerpać pragnęła ochłodę pociechy; bo tam tylko dojrzała dla siebie niezawodne miłosierdzie łaski szczęścia wiekuistego. Jakoż w saméj istocie, zacny nauczyciel wraz z drugim elewem swoim, powiódł go do parfialnego kościoła św. gdzie przykładem tym, wielu innych zachęciło się do spowiedzi. Rozczulający bo to był efekt, widzieć u stóp sędziego kapłana namiestniczego Chrystusowego, korzących się dwóch młodzieniaszków wraz z przewodnikiem, który u podnoża Sakramentu Ołtarza z całą pobożnością przyjmował z niemi owe prawdziwe acz mistyczne *Sacrum Dei* — jedyny zadatek pośredniczącéj łaski do zbawienia wiekuistego każdemu chrześcianinowi nieodzowny.

Pociechę, jakiéj oni z téj słodyczy źródła nieprzebranéj dobroci Bożéj uczuli, ten tylko podzielić zdoła, kto nie na języka w pięknych słowach i w ozdobnéj książeczce z jaką relikwią, obrazkiem i t. p. ale w sercu swojem ma wiarę, żyjąc na tym padole nie według prawideł przewrotności zdań.

Od onego czasu, obaj młodzieńcy tak się stali pobożnemi, że w najobojętniejszych oddawna w religijnem ćwiczeniu wzbudzili uczucie św. wiary. O! bo tylko przykład cnotliwego pożycia, ma tę moc działania wywierając swój wpływ tak zbawiennie, że najzimniejsze serca do pobożności zagrzewa i najrozwiożlejszych do poprawy życia pobudza.

Co potem nastąpiło, trudno nam tu ze wszystkiemi póżniejszego ztąd zajścia drobnostkami opowiedzieć. Ale, ponieważ z tego niewinnego zdarzenia — fakta, zbyt nadto oczy rażące, bo jak to mówią: „za chleb, kamieniem; za dobre złem oddali;“ nie możemy zatem wypuścić to z naszéj pamięci, już jako kroniki autentycznéj. I lubo nas w tem nieupoważniono wymieniać osób i miejsc nazwiska, jednakże, by nie zboczyć z drogi prawdy, w taki więc sposób objawiamy rzecz całą:

W kilka dni po spowiedzi Leosia (takie jest imię w mowie będącego chłopczyka), ojciec jego dowiedział się co z nim zaszło i zamiast pocieszyć się i podziękować opiekującym, jak kto inny na jego miejscu nawet podrzędniejszy uczułby ten obowiązek, wdał się niestety w niepotrzebne z niemi dysputy i korrespondencye z pełnemi sarkazmu wyrzutami. Naturalnie, ztąd wzajemne wynikły nieporozumienia, a co gorsza, że ojciec Leosia pomimo szykany z jaką się był naraził i nauczycielowi, zakazywał nauki św. wiary (chociaż sam katolik), a tem samem prozelityzmu nad synem swoim; ale się wtem wszystkiem zawiodł, bo zapóżno to żądanie swe objawił: bowiem syn jego, pomimo walki sam z sobą w téj sprawie, tak chłopczyna był przejęty wzniosłą w tym myślą — bo jakby z wyższego natchnienia, okazywał szczególniejszą chęć wytrwania gorliwie w téj prawdziwéj bo na opoce Piotrowéj utwierdzonéj wierze św. któréj i historyą poznał dokładnie. Czuł on niemało i boleści widząc rodziców swoich niepotrzebnie się o niego smucących, pomimo że on najmniejszego dla nich nie tracił przywiązania; a lubo młodzieńczy jeszcze umysł jego, nie umiał sobie wytłomaczyć tego wszystkiego, jednakże śmiało to wyrzekł: „Że Pan Jezus więcéj cierpiał dla naszego zbawienia, przeto srogości jak i przymusu ojca mego, nie widzę potrzeby obawiać się i nigdy w tak ważnem postano-

wieniu mojem, zmienić się nie myślę,“ A gdy współuczeń jego Władzio zapytując się razy parę dowodził mu: że musisz Leosiu wrócić się do religii luterskiej, bo twoi rodzice tak chcą: odpowiedział na to skromnie ale szczerze i stanowczo: „Ojciec mój polak i katolik i z takiéj saméj pochodzi rodziny, przymuszać mnie więc nie będzie, bo gdyby to ze względu na mą matkę usiłował, naturalnie, uczyniłby mnie skrytym i pozornie tylko ulegałbym w tem woli moich rodziców; lecz gdy przyjdę do pełnych lat, będę katolikiem.“

Z przytoczonych dopiero powodów nastąpiły drażliwe korrespondencye, których niewidzim potrzeby kommunikować tu. Ojciec zaś Leosia wkrótce go potem do siebie zabrał. Dowiedzieliśmy się późniéj, że stryj jego a dziadek Leosia już wiekiem podeszły starzec, ex wojskowy polski — katolik, bezdzietny i dość zamożny obywatel, dowiedziawszy się o takich zajściach, odmówił owemu bratańcowi swemu nadal łaski i to nawet miał zastrzedz: że tylko pomienionemu chłopczykowi wnuczkowi swemu zapisze całą swą fortunę.

Pozwólcie Panowie jeszcze chwilę, bo mi tak miło pogawędzić z wami, boście uważni i wyrozumiali nieprzykrzę sobie przeto opowiadać wam i co więcéj:

Nie dawno bo parę miesięcy temu, dano nam do przejrzenia pismo wcale poważne i uwagi godne. Jest to rękopis z roku 1856 w Sudragach przez Klemensa hr. Broniewskiego pod tytułem: „Pielgrzym Biblijny“— w jednéj części z dwunastu przeszło pułarkuszowych stronnic spisany; a przez cenzurę krajową w Warszawie roku zeszłego do ogłoszenia drukiem zaaprobowany. — Dzieło to, treści biblijnéj dość wpoprawnym stylu pracowicie obrobione, obejmuje myśli moralne z poglądem filozoficznym, tudzież uwagi na pojawy fizyologiczne. Pismo to, obok zwięzłego a jasnego wykładu historycznego, tak jest pouczającem, że silnie

podnosi ducha w religii upadłego; zwraca bowiem uwagę, porównywa i objaśnia znaczenia pisma św. oraz traktuje w ogólności o chodowaniu i wychowaniu małych i dorosłych ludzi; tudzież o własnościach i użytkach pokarmu co do jakości i ilości, oraz o napoju, zwłaszcza używania zimnéj wody wewnątrz i zewnątrz. Autor to wszystko czerpał, nie tylko z własnego doświadczenia i widzenia w tem rzeczy, ale i z różnych znakomitych pisarzy źródła. Wszechstronnie biorąc to dzieło, uważamy je zawsze z wyższego natchnienia ku czci bożéj dla ludzkości wypracowane i przypisane dla przyjacioł, rodaków i ziomków naszych. Szkoda że to pismo do tychczas nieogłoszone drukiem, ono bowiem wielce przydaćby się mogło ogółowi nawet niechrześcijańskiemu. Autor podobno miał zamiar je drukować jeszcze w roku zeszłym w Warszawie, lecz z uwagi: że pracuje obecnie nad wykończeniem dalszego ciągu drugiéj części „Pielgrzyma Biblijnego“ — więcéj interesowanéj bo wyłącznie dla chrześcijan, przeto obydwa tomy razem drukować wkrótce zamierzył *).

Jakkolwiek to pięknéj myśli i wyrazów doborem dzieło jest płodem na naszéj niwie — przez naszego krwi rodaka, jakkolwiek ono bąć użyteczne; jednakże bacząc z jednéj, na niejakieś i u nas po części niestety (acz może nie na długo) zobojętnienie dla czci wiary i jéj piękna', z drugiéj zaś strony uważając, tyle wychodzących dzieł w większéj części myśli liberalnych niekiedy z przekładu obcych romanso-pisarzy, które lubo ukryty mają jad trucizny, jednakowoż tak jakoś treściwością swoją szumnym tytułem i wyrazów doboru pojawem, zachwycają umysł czytających i do reszty podbić usiłują serca nie zepsutéj młodzieży naszéj —

*) Autor Pielgrzyma Biblijnego część drugą już wykończył i teraz ma zamiar obydwie części tegoż dzieła podać do druku.

rujnując zasady piękna ich wiary i obyczajów tak, że nawet dojrzalsze już umysły chwieją się niekiedy; takie więc dzieła więcéj nasz ogół zajmują, aniżeli artykuły ocalające ludzkość od przepaści w którą co chwila grząznie a niekiedy i wpada — nie wiele przeto, przekładając to autorowi pomienionemu przyniesie korzyści praca, nad którą i obecnie przypila. Lecz on stawiając nam na to przykład dwóch rybaków Chrystusowych, tak odpowiedział stanowczo: „że nie wielcy znaczeniem i powagą, ale malutcy a duchem wielcy, pokonywają trudności i zwalczą przeszkody ku dobru" — A gdy mu niektórzy i z duchowieństwa naszego odradzając to mówili: jakże można swój talent ku temu tylko wyłącznie skierować niemając poświęcenia kapłańskiego? Odpowiedział: mam pewną swoją wiedzę i nauki, resztę dopomoże mi św. wiara, za łaską Bożą pokonam trudności, jakie już poczęści zwyciężyłem. Będzie to prawda pierwsze w kraju naszym pracy mojéj dzieło, które przed innemi myśli mojéj płodami, już oddawna w sercu mojem dla rodaków żywię i tuszę sobie w tem nadzieję, że choć pismo będzie nie wielkiego rozmiaru i skromne, ale jako że prawdziwie natchnione żywą wiarą, więcéj posłużyć może ku zbawiennemu pożytkowi, aniżeli inne jakie acz wielkiego świata czytające filozofów doktryny. Być więc może, iż świat ludzi prezumcyi, ludzi pełnych zazdrości i ustawicznego sarkazmu (bo częstokroć najniesłuszniéj zwykł wszystkiemu świat przyganiać i wszystko poniża, co jemu nie jest pochlebne), pracę pisma mojego zważy, jakoby tchniona myślą jakiejś przesady czyli niepraktyczności, myślą transcendentalną ex demonstracyi jezuickiéj, jak już nie na jedne i podobnego rodzaju pisma — częstokroć złośliwie miotających słyszeliśmy; lecz nie, nie obawiam się i nieulęknę się niczego. Zasoby nauk, jakie od lat méj młodości posiadam, tudzież chęci korzystania z ka-

żdéj niemal w życiu mojem sposobności badania rzeczy, wystarczają mi do ciągłego studyowania i postępu w rozmaitéj wiedzy; gdyż wziąłem sobie zasadę z owo tak często powtarzanego u nas przysłowia: „legendi libris te perficis“, a nadewszystko, „mens sana in corpore sano,“ zresztą jakem już mówił i św. wiara nasza dodając mi uwag, wielce mi dopomaga. I abym was przekonał, mówił tenże — moi kochani, kiedyście czytali pierwszy tom manuskryptu mego, przeczytam Wam Panowie, i z drugiego niektóre myśli mojéj ustępy, którego już nie wiele mam pisać.

Nasz ksiądz Wikary w pewnem towarzystwa zebraniu w poufnéj i z nami rozmowie, dowodził rzecz o tolerancyi, jakoby jéj nie było, niema i być nigdy nie może w naszéj religii powszechnéj, gdyżby to mówi, było przeciwne ogólnéj zasadzie kościoła św.

Zdziwiło nas to dowodzenie księdza wikarego, albowiem Chrystus Pan w przypowieściach swéj świętéj nauki, właśnie zalecił tolerancyą czyli zgodę w pożyciu i z innowiercami, boć nawet kiedy ten Anioł Boży żyjąc tu na ziemi nauczając rzesze, sam dawał oczywiste przykłady błogiego pożycia, a udzielając się wszędzie nietylko pomiędzy swoimi, nie tylko mówię, gdzie był czynił dobrze, ale nawet rozmawiał poufnie i jadał z ludźmi i pijał. Przecież rolnik już w zrosłym pomiędzy pszenicą kąkolu wyrywać nie może, ale oczekuje pory *) aż jedno i drugie dojrzeje i dopiero po żniwie zwiezione z pola do stodoły zboże omłaca, zwiewa i czyste ziarno pszenicy wybierze do spichrza. Otoż tedy z dowodzenia księdza wikarego, znalazłem tema do materyi napisania o tolerancyi w ten sposób:

*) Pora, jest to pewien przedział czasu. Czas zaś jest szkołą uniwersalną jako pośrednik mądrości Bożéj, i dla tego biada temu, kto na próżno czas życia swojego trwoni, za który ścisły rachunek i Bogu zdać będzie musiał. Aut. p. bibl.

Tolerancya wydaje mi się, że jest jedną z koniecznych cnót społeczeństwa jakiego bądź wyznania; ona bowiem nie mały wpływ wywiera na rozwój sił fizycznych i moralnych; tolerancya zaś, gdzie nie zachodzi indifferentyzm w obrzędzie wiary — jest i bodźcem, który daje pochop do przebudzenia się z letargu chorób przesądu, gusł, zabobonu i wszelkiego fanatyzmu czyli bałamuctwa sprzeciwiającego się nie tylko zdrowemu rozsądkowi, ale nawet prawdzie przedwiecznéj. Tolerancya wszakże różnego wyznania ludy cywilizuje, z grubéj i ciemnéj niewiadomości objaśnia i z szorstkiéj prostoty ogładza i poleruje. Wogólności mówiąc, tolerancya godzi i kojarzy ludy w jednolity naród i przeobraża jego sekty rozmaite, pod jeden sztandar chrystyanizmu.

Przyjrzyjmy się minionym wiekom w epoce dziejów i w ojczyznie naszych naddziadów, co ich głównie przywiodło było do tylu starć i zwaśnień z innowiercami a ztąd tyle klęsk i rozbratań, rozerwy i upadku kraju z odstępstwem zasad od św. wiary naszéj matki kościoła, iżali nie brak tolerancyi? Zbawiciel nasz Jezus nie naprózno nam ją zalecając, gdy przykładem i nauką swoją bożą, nie tylko za wskazówkę kojarzenia, ale już jako cnotę nieodzowną ludzkości objawił.

Być może, iż objaw takichto moich wyobrażeń, nie każdemu trafnym do przekonania, a zwłaszcza w uprzedzenie nieświadomych historyi i praw narodów i jego społeczeństw; niech więc zajrzy w karty dziejów rozlicznych narodów: np. Angielskiego, niegdyś cały Rzymsko-katolickiéj wiary; cóż ten naród przywiodło do odszczepieństwa i reformy rozmaitych sekt, iżali nie brak w dawnych feudalnych wiekach tolerancyi? Nie byłoż tam jak i w wielu innych krajach Europy, okropnych skutków z téj przyczyny? owych to niestety prześladowań o zdania i obrzędy religijne?

Próby te okrucieństw i barbarzyństwa, dzięki Bogu ustały, bo czas w szeregu kilku wieków, rozjaśnił umysły i powiódł je na drogę cywilizacyi, która rozwarła swe podwoje i dla tolerancyi wszelkich wyznań. I taka właśnie tolerancya przy dzisiejszym postępie nauk i wynalazków, jak jest i w Wielkiéj Brytanii, dała poznać błędy innowiercom rozmaitych sekt chrześcijańśtwa, że się churmem cisną pod jeden sztandar w powrocie na łono matki naszego kościoła prawego, od którego niebaczni a ciemni w dogmatach wiary ich ojcowie z namowy szatańskich wichrzycieli odłączyli się byli.

Zapozwoleniem, Panowie! jeżeli was nie nudzą te moje odczyty, to wam inny jeszcze z rękopismu mego ustęp o żydach i ich talmudach przeczytam, bo chociaż wam to nie obce, jednak nie wiecie w tem mojéj myśli jakie powziąłem z uwag wpoufnéj rozmowie z szan, księd. prałatem O... i niedawno odczytanéj książki staréj niemieckiéj z Berlina bez daty i imienia wyłącznie o żydach traktującéj.

Talmudy dzisiejszych gmin żydowskich, które im starszyzna kachalna za główny punkt dogmatów wiary ich obrzędu przedstawia i od malenka uczyć im się każe, są te: misznia, gomora, schuchelem, chagiga magila, sanchedim i t. p. niezliczone ksiąg talmudycznych kommentarze i księgi kabalistyczne przywodzą żydów niekiedy do takiego stanu zaślepienia i upodlenia się w obliczu nawet zdrowego rozsądku, że częstokroć nic dla nich ani świętego ani szczęśliwszego nie ma, tylko aby chrześcijan jak ich zwykle nazywają goimów, wiecznie nienawidzieć, oszukiwać, a nawet jeśli się im uda i kraść etc. swoich tylko jako bliźnich współbraci uważają. Zaledwie i to niewielka liczba żydów znajduje się w Polsce, którzy podług czystych

zasad pisma św. ksiąg Mojżeszowych, jeszcze się trzymają a nie podług talmudów.

Talmudysci prawda, czynią nam usługi, wygadzają pieniędzy niekiedy na ryzyko, ale zawsze oględnie z widoków własnéj korzyści bodajby jaknajwiększéj ile im się uda, bez względu na ludzkość i prawość, a nawet na samego Boga, jak liczne tego mieliśmy i do tychczas jeszcze widzieć i słyszeć się po części dają— nieszczęsne tego przykłady.

Raz oni do takiego szału i ślepoty przyszli że w roku 1666. z przepowiedni talmudów, uwierzyli byli w pewnego wyznawcę swego nazwiskiem Sabatei Lewi, który bardzo zręcznie udawał Messyasza i wywiódł za sobą tłumy żydów z Europy do Turcyi i nie mało od nich nawykpiewał pieniędzy, aż rządy tameczne oszusta ujęły i przykładnie ukarały.

W dzisiejszych czasach w całéj niemal Europie żydzi w obrzędzie swéj wiary, zaprowadzają reformę odprawiając swe nabożeństwa po części w krajowym języku i już coraz do większego przychodzą porządku i czystości, ale to wszystko na pozór. Albowiem znałem ich niektóre rodziny i w Warszawie; dopókąd one jeszcze w stanie ubogim żyjąc z dnia na dzień już pracą rąk swoich, już zarobkowaniem z handlu częstokroć z niemałym trudem a nawet znojem, ale przynajmniéj rzetelnie, byli zawsze ludźmi uczciwemi, bo posiadali pomnik niezachwialnéj wiary w swych sercach, jaki w sukcesyi po prawych swych naddziadach dzierżyli. Lecz dziś z postępem ich emancypacyi, gdy przyszli i do lepszego bytu i znaczenia w społeczeństwie, nakoniec gdy się spanoszyli: jedni przez niegodziwą lichwę, inni przez szachrajstwo rozmaitemi drogami przewrotności, stali się tysiąc procent gorszemi od owych talmudycznych sekciarzy; bo ci jedynie przez swoją na rozumie ślepotę byli tylko wrogami dla innowierców;

owi zaś chociaż ucywilizowani, jednakże przez swoją próżność, fałszywą ambicyą, żądzę nienasyconą posiadania niezmiernych bogactw i pieniędzy, są niebezpieczniejszemi w ogólności, bo na nich obrząd ich wiary nic a nic już nie działa; owszem, wyśmiewają się z ubogich swoich współbraci, zaledwie instytucye, prawa krajowe sprawiają wpływ swój strzymując ich od niegodziwości i t. p. występków; ale i z tego bardzo zręcznie umieją się wykręcić; dla czego to? bo już nie mają żadnéj wiary uczuć; i jeżeli należą jeszcze do jakiejś tam sekty obrzędu religijnego, to tylko z pozoru, aby sobie stosunków familijnych (gdy im jeszcze idzie o sukcesyą jakichsiś majątków) nie narazić.

Czy kończysz na tem panie Klemensie? zapytał poufnie ksiądz proboszcz. Tak jest, kończę na tem tylko i wiem już naprzód co i ztąd 'za konsekwencye wynikną, gdy fortuna kapryśno-grymaśna oligarchii Izraelskiej adwokatując zaregresuje pewnie przeciw mnie do dyssymulacyi i tolerancyi; ale ja się nie boję, bo głos zdrowego rozsądku i blask czystości rozumu, zgromi ich tak, iż z przelęknienia jeśli się niepowalą jakby snem letargicznym, to pewnie poddadzą się pod karb przewodzenia; a tym sposobem, uwolnimy się od ich nadużyć i t. p. zgorszeń nadal.

Żegnam kochanego księdza proboszcza, późniéj co innego będę czytał, teraz zaś śpieszę się do domu mam jeszcze do załatwienia jeden spór w sąsiedztwie idzie tu bowiem o towarzystwo wstrzemięźliwości rozwiązania kwestyi: bo mówią panowie, że jakoś teraz z jednego niby ku dobru ogólnemu — z drugiéj zaś strony, stagnacya wyrodzi się niezawodnie, bo ani ludzi służących, ani też podatków będzie czem opłacić. — Zboże tanieje — wtrącił pan Hieronim — i handel u nas ścieśniony; żeby choć jakie fabryki zaprowadzono w kraju, toby i w naszych okolicach był jakiś ruch

do spieniężenia produktów. E! co tam, o tem potem zawołał pan Sędzia z Glinian, to tak źle nie będzie moi panowie! że chłopi nasi wódkę pić przestaną, która mnogo zatraciła, a my też na tem choć nie wiele zyszczemy nic jednak niestracim, iż gorzelnie pokasujemy; weźmiemy się do czegoś innego i basta! ot, radbym by pan Klemens skończył swego Pielgrzyma biblijnego, w czem życzę mu dobréj myśli i powodzenia, bo to co nam teraz był łaskaw odczytał, są uwagi dobre i warte większego jak nasze towarzystwo echa. Czy pozwolisz kochany Klemensie zapytał pan Teofil zamieścić te kilka uwag twoich odczytów w szpaltach pism publicznych? — I owszem, ja ci sam przepiszę i przyszlę odpowiedział pan K...ale pod jakim tytułem? Gawędy potoczne: A dobrze, dobrze; bo teżto właśnie gawędy. Ale czy bezimiennie posyłasz to panie T...? Tak jest, bezimiennie z podpisem tylko O. Bo choć ono samo przez się nic nie znaczy i jest tylko zerem; lecz w połączeniu się ze stami — z jednostkami, będzie dużym numerem.

O.

Wspomnienia skrócone z roku 1831
JÓZEFA ZAŁUSKIEGO
byłego jenerała brygady w sztabie głównym wojska polskiego.

„Il ne nous reste qu'à déplorer cette Pologne malheureuse, qui n'a pu trouver un homme“
Guerre de Pologne par Brzozowski page 171.

Lat trzydzieści minęło, jak się ukończyła wojna polska: piszący świadek w sztabie głównym najważniejszych i częstokroć tajemnych okoliczności, zbliżając się do zgrzybiałéj starości, przeżywszy niemal wszystkich uczestników— tej tak świetnéj a przecie tak opłakanéj wojny—poczytuje sobie za obowiązek, zdać przed śmiercią sprawę z tego co widział, nietylko czytelnikom teraźniejszym, ale i potomkom: wyjaśnienie *prawdy,* co, i jak się działo w téj boleśnie pamiętnéj wojnie.

Mówię i powtarzam: wyjaśnienie *prawdy,* bo dotąd, nigdzie a przynajmniéj dostatecznie wojny téj opisanéj nie czytałem; przeciwnie, najmylniejsze wyobrażenia o niéj krążą... cóż dziwnego! kiedy nawet taki teoryk

jak pruski jenerał Willisen się myli, a jenerał Prądzyński, choćby nawet w pośmiertnych swoich pamiętnikach najobszerniéj wyszczególnione był zostawił wiadomości... pisał,— jak Cycero, pro domo sua — albowiem według mnie piszącego, według mojego zdania, wielka część winy, że tak smutny był koniec militarny téj wojny, na jenerale Prądzyńskim ciąży, który był od początku do końca kwatermistrzem jeneralnym, a często szefem sztabu całego wojska. O innych pisarzach téj kampanii zdarzy nam się wspominać z kolei wypadków.

Urzędowałem w Krakowie, jako kurator jeneralny wszystkich instytutów naukowych Wolnego Miasta Krakowa i Jego okręgu z ramienia trzech dworów protegujących Rzeczpospolitą krakowską, kiedy do téj stolicy doszła sztafetą wiadomość, o wydarzoném w dniu 29 listopada 1830 powstaniu w Warszawie.

Wyczytawszy w depeszy, że jenerałowie: Chłopicki Pac i dawny pułkownik za księstwa Warszawskiego Piotr Łubieński, byli wymienieni jako uczestniczący w tém powstaniu; wyobraziłem sobie: że te trzy nazwiska, będącé zabytkami służby francuzkiéj, nie należące do komendy W. Ks. Konstantego, musiały być istotnemi sprężynami powstania, a mianowicie też, jenerał Chłopicki, którego częste podróże do Paryża, i wstręt do Wgo księcia Konstantego, były znane. — Wyczytawszy daléj: że rząd w Warszawie istniejący, powoływał wszystkich dawnych wojskowych; ja który byłem się uwolnił od obowiązków fligiel adjutanta z wojska polskiego, przy imperatorze Mikołaju, dostawszy w lipcu 1829 roku dymisyą w stopniu jenerała brygady z mundurem,— zważając: że tym sposobem swobodny byłem od jakich osobistych czasowych względów służby adjutanckiéj; postanowiłem pospieszyć do Warszawy, jak najrychléj mogłem.

Przybywszy więc do Wilczkowic d. 5 grudnia pod noc: zastałem kozaków granicznych, strwożonych; celników nie wiedzących jeszcze czego się trzymać; ale widziałem aż nadto: że pieczołowitość nowego rządu, jeszcze nie była doszła do tego zakątka granicy, i że straże graniczne kozackie, musiały ujść baczności kierowników— kiedy dotąd nie były rozbrojone — co już było zadziwiającym dowodem nieprzezorności wojskowego przywódzcy powstania. —

Daléj postępując pocztą ku Kielcom, zostałem w nocy, w pewnéj karczmie mile przyjęty i witany przez już zbierających się starych żołnierzy, równie jak ja powołanych, z których jeden kawalerzysta, te do mnie pozdrawiające obrócił słowa: „Panie! dobrze się coś zaczyna, bo chłop stoi na czele“!... była to alluzya do nazwiska Chłopickiego, i do powszechnéj opinii jaką miał u wojska jako najzdatniejszy ze wszystkich jenerałów.

Pokrzepiony tą otuchą, dumałem przez noc samotny jadąc, i ułożyłem kilka zwrotek stósownych, które zostały wydrukowane w Kielcach, a z których ostatnia wyobrażająca nadzieje moje w Chłopickim, te obejmowała słowa:

Zgoda, porządek, niech żyje! —
Na nich całość narodowa —
Sto tysięcy rąk niech bije, —
Jedna niech prowadzi głowa.

Tymczasem dowiedziałem się po drodze do Warszawy wielu szczegółów, i o zasłudze Piotra Wysockiego.. Rozmyślałem więc nie pomału, o naczelnictwie już podstarzałego Chłopickiego i o heroiczném przedsięwzięciu młodego Wysockiego.

Gdy przyjechałem do Warszawy, już Chłopicki był się ogłosił dyktatorem, już W. księcia z korpusem wypuścił, już w deputacyi do imperatora ministra skarbu

Lubeckiego i posła Jana Jezierskiego wysłał.... co tu czynności w krótkim czasie!.. a wszystkie w moim umyśle nieprzewidziane....

Jakkolwiekbądź, pospieszyłem zaraz do dyktatora; był u niego przybocznym szefem sztabu dawny kolega pułkownik Stanisław Wąsowicz; mile przez niego przyjęty, zostałem zaraz zameldowany, i zaraz na osobne posłuchanie do dyktatora wprowadzony.

Przybliżywszy się, — z należytém uszanowaniem — nie już do zdawna łaskawego i znanego jenerała, ale do naczelnika narodu: oświadczyłem, że jako dawny wojskowy pospieszyłem z Krakowa, z którego jako z miejsca neutralnego, mogę różnego rodzaju usługi oddawać krajowi.. jako to: nietylko najkorzystniejsze związki utrzymywać z za granicą w materyalnych potrzebach wojny, ale że i osobiście ofiaruję się do posyłek tajemnych, do gabinetów zagranicznych, którychkolwiek.... Na to Chłopicki obdarzył mnie odpowiedzią, która w jednéj chwili, rozczarowała mnie z pojęcia, jakie sobie robiłem o dyktatorze. „Ja, — odpowiedział mi Chłopicki— „nie zaczepiam jeszcze innych Dworów, póki nie odbiorę odpowiedzi z Petersburga“—

Jakkolwiek sądziłem: że Chłopicki, musiał się czuć na siłach umysłowych, kiedy się sam ogłosił dyktatorem... nie byłem jednak i nie jestem tego zdania: żeby się któremukolwiek polakowi godziło przywłaszczać sobie, królewską — nie mówię już powagę, ale pretensyą do powagi... i żeby zamiast wyrazu braterskiego, koleżeńskiego *my*, to jest my Polacy,.. użyć z arrogancyą wyrazu: *Ja!*.. i któż to? przed kim? Chłopicki, przedemną.. różnica była bardzo wielka, ale tylko w dyktatorstwie... lecz dyktatura wymagała wysokiego wykształcenia umysłowego ... a mnie się zdało, żem się pod tym względem kompletnie zawiódł... i w tém mniemaniu, niestety! późniéj kilka razy utwierdzony

zostałem. Niezrażony tym monarchicznym, ba! Napoleońskim tonem jenerała, wróciłem do twierdzenia mego i zwrócenia uwagi na użyteczność położenia Krakowa w celach szukania rozmaitéj przysługi za granicą; ale te drobiazgowe pomysły, nie trafiły tak dalece do wysokiéj mądrości dyktatorskiéj, a przynajmniéj nie zdawały się temu naczelnikowi Narodu tak pilnymi....

Wyszedłem więc od starego legionisty, całkiem przejęty myślą szukania Scypiona polskiego, i pytałem Wąsowicza: „który tu w licznie zgromadzonym orszaku jest Wysocki?“ Odpowiedział mi obojętnie że tu nie ma Wysockiego, ale razem zapytał: „cóż tak ciekawy jesteś widzieć tego Wysockiego?“ „odrzekłem: mais c'est donc l'homme du jour!“ czyli: a „wszak to bohater dzisiejszy,“ na to Wąsowicz, — skłonny zawsze do ironii — odezwał się, „a kiedyś tak ciekawy, to się zatrzymaj chwilę, Wysocki tu przyjdzie, zobaczymy jakie na tobie zrobi wrażenie.“

Istotnie wkrótce porucznik Wysocki przybył, pospieszyłem zapoznać się z nim... zadałem mu kilka pytań, pełnych życzliwości... znalazłem oficera instruktora mustry karabinowéj, i nic więcéj! Tak więc po jednogodzinnym pobycie w Warszawie, pożegnać się musiałem z ideami rzymskiemi: Dyktatora i Scypiona a zastałem chaos... lecz, *alea jacta est*, los padł, Mikołaj wyzwany, pojedynek na śmierć, cofać się nie wolno... niech się dzieje wola Boża! w Bogu tylko nadzieja, ale Bóg nas nie zostawia bez nadziei....

Za dni kilka przyjechał do Warszawy mąż cywilny, ale przyjaciel, którego ja cnoty, umysł i charakter zawsze wysoko ceniłem; dowiedziawszy się że nie zna Chłopickiego, postarałem się o zaznajomienie ich... i cóż się stało? Obywatel wychodząc od Chłopickiego, obrócił się do mnie i rzekł mi do ucha: „To Dyktator?!.. to ślachcic... „Nie są to słowa moje, nie moje

zdanie, ale dowód, że poważny statysta narodowy, poznał: że w téj duszy może jeneralskiéj, niema umysłu wyższego, na naczelnika narodu.

Czekaliśmy więc wśród bawidełek od dnia do dnia co tam *fata tulere*.. co los przyniesie? bo pod władzą dyktatorską nawet myśleć de bono publico, nie było już, nie mówię wolno... ale bez celu... czekaliśmy więc i wyglądali poniekąd: jak *super flumina Babilonis*....

Wtem, nadjeżdża Tadeusz Wyleżyński kolega i przyjaciel, i taką mi we cztery oczy czyni relacyą:

„Byłem u Dybicza sam na sam, siadł naprzeciwko mnie na stołku, i z właściwą sobie żywością, rzucając się po siedzeniu, to na prawo to na lewo, taką miał do mnie allokucyą:

„Czegóż to chcą panowie Polacy? wtenczas kiedy ja mam pod ręką 150,000 wyborowego wojska gotowego do pochodu na Paryż.... cóż panowie macie? 28, dajmy 40 tysięcy, z żołnierzami pościąganemi z urlopu... Któż wasz dowódzca? Jenerał Chłopicki... bardzo go szanuję, zrobił sobie piękną reputacyą w Hiszpanii, ale to jenerał brygady, nigdy nie dowodził czém więcéj jak brygadą; ja nie mogę się sam chwalić, ale nikt mi nie zaprzeczy, że mam przyzwyczajenie dowództwa, i że dałem tego dowody.... Wojsko wasze może być lepsze od naszego, oficerowie wasi wyżsi, są niezrównani, nie możemy się takimi popisać... ale wasze wojsko, to nie armia, to korpus... może być, że raz i drugi odniesiecie korzyści, odeprzecie mnię... ale w miarę boju, będą wasi najlepsi żołnierze ginąć; zaledwie zapełnicie luki rekrutami.. a ja będę miał rezerwy po rezerwie, i w końcu musicie uledz... Dla tego, jeżeli jeszcze czas, upomnij Wpan swoich, żeby się opamiętali, żeby napróżno wszystkiego na kartę nie stawiali..“ Z taką nauką Wyleżyński przyjechał, nie wiem czy się odważył z nią popisać, prócz w tajemnicy, jak przedemną....

Tymczasem popełnił Chłopicki błąd nad błędami! *malum incurabile*, że zwoławszy sejm, i dawszy jemu zatwierdzić swoje dyktatorstwo, co było pięknie, po rzymsku — nie rozpuścił sejmu do domów, a dał sejmowi istnieć przy dyktaturze! Co za sprzeczność! odtąd jakkolwiek niewiadomo było, czego chce Chłopicki, mogło być wiadomém: że nikt nie będzie miał woli, prócz sejmu, albo prócz galeryi; bo rewolucya, wojna, a zgiełk, to chaos... to też był bezrząd, od początku do końca, a winą tego bezrządu, Chłopicki dyktator. Podczas dyktatorstwa, proszę Chłopickiego o danie mi posady wojskowéj, odpowiada, „nie mogę póki się nie uwolnisz od twojéj posady w Krakowie“ — przynoszę mu uwolnienie, na to mi rzecze: „jak ja pomaszeruję, pójdziesz ze mną!“ —

Razu jednego dowiadujemy się że Chłopicki złożył dyktaturę! Wstrząsa się Warszawa, robi się zbiegowisko... Chłopicki — bo któżby mu zaprzeczył osobistéj odwagi? — wychodzi z pałacu rządowego jak Cincinatus, jak Washington, sam jeden, w szaraczkowym surducie, przez tłum gorączkowy, do swego prywatnego zamieszkania i pozostawia nas wszystkich zdziwionych zadumanych; natrafiam na pułkownika Regulskiego, legionistę, nie wiele młodszego rangą od Chłopickiego, i pytam go: co to wszystko znaczy?.. a on na to, „ale bo ty może nie znasz Chłopickiego? to jest dziwak, waryat, nieznośny komendant a nieznośniejszy podwładny“... i opowiada mi jak się naraził marszałkowi Suchet, nie chcąc Hiszpanii opuszczać tylko z rangą jenerała dywizyi... jak przez to zarobił sobie, że Napoleon przysłał mu na komendanta jenerała Claparède; i tak Chłopicki który pułkownikiem będąc, miał dowództwo trzech pułków piechoty, jednego pułku jazdy i bateryi artyleryi, musiał jako jenerał brygady, zostawać pod dowództwem jenerała dywizyi umyślnie na ten cel ze-

słanego; i daléj, że Chłopicki zostawszy rannym pod Możajskiem, już nie wrócił do armii przez lata 1813 i 1814 dlatego, że go nie zrobiono jenerałem dywizyi; i że dopiero powrócił do służby za Imperatora Aleksandra, gdy mu ten przyrzekł i dał rangę dywizyonera.— Ta rozmowa dopiero mi objaśniła, dla czego Claparède komenderował legią nadwiślańską, nad Chłopickim, onéj dawnym komendantem? czego przyczyny, w r. 1812 nie wiedziałem. — Nie wchodzimy tu w szczegóły, czy? i co robił pseudo dyktator przez czas swego najwyższego urzędowania... było tam nie mało, ale nie dość dobrego... co było najlepsze, to to: że nieprzyjaciel jeszcze nas nie nachodził... co jednak bynajmniéj nie odpowiada na pytanie: czemu myśmy nieprzyjaciela nie nachodzili?...

Gdyby Chłopicki był duszą powstania, jak było być powinno; lub gdyby był jego ducha podzielał; to bez wątpienia, byłby zaraz po objętém dowództwie wojska, wkroczył do Litwy na Brześć, co mu gościniec murowany ułatwiał; ale on, nie bywszy inicyowany w tajemnicę powstania; lub będąc wezwany nieprzygotowany, do prowadzenia dzieła które uważał za szalone, nie mógł podzielać zdania tych, co wojska moskiewskie ubiedz chcieli i prowadzić napaść na Litwę wszelkiemi siłami możliwemi. Jakoż ze względu wojskowego, nie małém to było zadaniem: działać tak obcesowo zaczepnie w grudniu na największe mrozy, z wojskiem bynajmniéj nie skoncentrowaném, do wygódek koszarowych przyzwyczajoném, w boju nigdy nie byłém, źle a zwłaszcza na zimę, wcale nie odzianém. Są to konsyderacye których młodzież nie czyniła i nie czyni.. ale kto odbył kampanią 1812 roku, ten wie co to jest wojna w Polsce w zimie; były i mogą być prowadzone takie napadowe wojny w klimatach cieplejszych, w krajach ludnych, bogatych, gdzie miasta gęste, wsie zamo-

żne, drogi murowane, owo zgoła inne od naszego kraje... ale takiego zaczepnego planu nie można się było spodziewać po Chłopickim... jakkolwiekbądź, nie czas już teraz pisać o tém co *powinno* było być, albo co *mogło* było być; naszém zadaniem jest opowiedzieć tylko to *co było*. —

Wracamy więc do tego, że ani my Rosyan, ani Rosyanie nas nie naszli, do chwili, kiedy Chłopicki złożył dyktaturę.

Przystąpiono więc podobno w d. 21 stycznia, do obioru naczelnego wodza wojska i wybrano księcia Michała Radziwiłła....Że wybrano księcia, to mię nie dziwi, bo pytam się: kogo było wybrać?... ale że książę Radziwiłł przyjął!.. nie czując się na siłach... tego nie pojmuję... a za to *ciężko odpowiedzieliśmy*. — Jeżeli Chłopicki nie chciał się podjąć brzemienia: walczenia z garstką naszych, przeciwko ogromowi Moskwy... jakże książę Radziwiłł, najlepszy obywatel i waleczny oficer, ale nie Scypio, ale nie Annibal, mógł się podejmować tak gorąco, dźwigania ciężaru, który potém tak ozięble nosił?...

Na zapieczętowanie tego postanowienia naczelnika siły zbrojnéj, uchwalono rząd z pięciu!... pytam się: kiedy? jak świat światem, pięciu gdzie rządziło? ma się rozumieć, dobrze rządziło?.. bo jeśli byli Eforowie w Sparcie, to ci nie mieli co rządzić.. a jeśli było także pięciu dyrektorów we Francyi, to właśnie tych, przerażający przykład, powinien był naszych polityków odstraszyć, od naśladowania tego, coby było nieomylnie Francyą zgubiło, gdyby nie jeniusz Bonapartego; a zatém, nie bezrządu o rządzie tytularnym, ale jeniuszu było trzeba szukać, a takim jeniuszem powinien był być wojskowy, któryby się czuł na siłach: ogłosić się dyktatorem lub naczelnikiem, i prowadzić ręką żelazną cywilność i wojskowość razem, tak jak to umiał Bonaparte...

bo bez potęgi wojskowéj... powstanie, mniej czy więcéj rewolucyjne, zwłaszcza w kraju takim jak nasz, udać się nie może.

Tu jest miejsce wyrazić przyczynę: dla czego ja, w drodze do Warszawy, obok starego ale nie dość wykształconego żołnierza Chłopickiego, mnie dostatecznie w téj mierze znanego; marzyłem zawsze o Scypionie, podzielałem albowiem zdanie, i pod tym względem oddaję najzupełniejszą sprawiedliwość Maurycemu Mochnackiemu: że ten co podnosi powstanie, powinien takowego być wodzem... co mówię! naczelnikiem. — Do niniejszego mego pisma, nie potrzebuję więcéj cytacyj z dzieła Mochnackiego, ale tu muszę te całkowicie wypisać:

Mochnacki mówi w Tomie I. w różnych miejscach od str. 572 do str. 695: „targnąć się na istnącą władzę a niemieć nowéj już gotowéj, niemieć jéj w sobie, jest to poruczać ją ślepemu trafowi“.....

Dalej powiada Mochnacki, „zacznijmy rewolucyą — mówili“ — naród do niéj przystąpi... i władzę sobie ustanowi....

Ciągnie daléj Mochnacki o nieporozumieniach między Wysockim a Zaliwskim, (jako to:) „Zaliwski człowiek ordynaryjny, tępego i małego pojęcia, pokątny intrygant i kłamca, ale żarliwy w szerzeniu spisku, zazdrościł Wysockiemu wziętości ... który gdyby i tej przeszkody nie doznawał, nie mógłby był stanąć na czele, bo prócz szlachetnego charakteru i cnotliwéj duszy, trzeba było wielkiego talentu.“

Dodaje jeszcze Mochnacki str. 572 „jedna mnie tylko myśl zajmowała! kto będzie kierował powstaniem?“... byłem przekonany: „że nie tak łatwo rządzić rewolucyą, jak ją zacząć... lepiéj nie zaczynać, jak nie módz albo nie umieć nadać kierunku zamierzonego“ nareszcie

mówi Mochnacki str. 695: „myślano jakoby zbrodnią było mieć ambicyą w spisku“.....

Gdyby Wysocki był Scypionem, co w niespełna lat 24 śmiał się senatowi rzymskiemu przedstawić na wodza przeciwko Annibalowi.... byłby Chłopicki jako dzielny jenerał dywizyi .. może korpusowy, zwyciężał pod nim; a senat warszawski, czyto sejm, w osłupieniu podziwu, byłby oddał mu naczelnictwo narodu, jak takowe Francuzi oddali Bonapartemu... ale heu! *quantum diversus ab illo*! ale niestety! jakaż to różnica tych osobistości!....

Tu znowu niech mi wolno będzie zboczyć od materyi, celem arcyważnéj przestrogi, dla moich młodych czytelników: nie jeden, czując mocno, kochając kraj swój, jak trzeba, namiętnie: sądzi się może powołanym do odegrania wysokiéj roli... a może do takowego chlubnego zawodu, radby powołał którego z swoich przyjaciół, z swoich znajomych?... bo niestety! *patrzyliśmy się na to, i lękamy się téj zarazy*: dla tego sądzimy że nie jest obcem téj materyi, przytoczyć tu mały ustęp o życiu Napoleona Bonaparte.

Napoleon Bonaparte urodził się w Ajaccio d. 15 sierpnia r. 1769. W r. 1779 wstąpił do szkoły wojskowéj w Brienne, w r. 1783 postąpił do wyższéj szkoły wojskowéj w Paryżu. R. 1785 d. 1 września został mianowany oficerem artylleryi, za odznaczenie. Lata 1785 i 86 przebył przy pułku. Nie mając 20 lat napisał rozprawę: „Quels sont les principes et les institutions à inculquer aux hommes pour les rendre les plus heureux possible“ uwieńczoną przez akademią w Lyonie. *)

Przy początku rewolucyi Francuzkiéj był porucznikiem artylleryi. Z rokiem 1792 został kapitanem. — Odbył kampanią na wyspie Korsyce przeciw Anglikom niepomyślnie — lecz gotowała się expedycya dla odebra-

*) Wydaliśmy ją po polsku w Paryżu 1855 r.

nia Anglikom Tulonu: został mając lat 21 Szefem batalionu artylleryi i przysposobił park 200 armat, był kierownikiem oblężenia i zdobycia Tulonu. Za ten czyn został mianowany jenerałem brygady i z początkiem r. 1794 posłany do Włoch na dowódzcę artylleryi w armii włoskiéj pod dowództwem jenerała Dumerbion; tu się dzielnie przyczynił do lepszego prowadzenia wojny i poznał wszelkie pozycye militarne tego kraju. Roku 1795 popadł w podejrzenie, usunął się od czynnéj służby i przemieszkiwał w Paryżu, medytując plany wojenne. W październiku tegoż roku powierzone mu zostało dowództwo w Paryżu przeciwko powstańcom, które w półgodziny artylleryą zwyciężył i uspokoił. Za to został mianowany jenerałem dywizyi i jenerałem naczelnym armii wewnętrznéj. Miał lat 26 gdy go d. 23 lutego 1796 mianowano dowódzcą armii włoskiéj a zatem, miał 11 lat służby officerskiéj, po wychowaniu całkiem wojskowem i odznaczonem. Zastał armią zdezorganizowaną, w nędzy, niedostatku i bez żadnéj karności: piechoty 30,000, jazdy 3,000, armat zaprzężonych tylko 12... Jenerał austryacki Beaulieu miał 30,000, Piemontczycy 20,000 pod jenerałem Colli, wojska te były opatrzone iczną artylleryą, zajmowały pozycye mocne i opływały we wszelkie potrzeby... za dni kilka, Bonaparte pobił austryaków 12 kwietnia pod Montenotte, d. 13. pod Millesimo, d. 14 i 15 pod Dego; Piemontczyków d. 17 pod Ava, 20 pod St. Michael, 22 pod Mondovi.

Dnia 15 maja zdobył Bonaparte Medyolan, zrobiwszy pokój z królem Sardynii. Tyle znaczyło, przybycie jednego człowieka do armii francuzkiéj, a tym był Bonaparte.

Z tego więc przykładu, poznajcie bracia! że jeniusz zwłaszcza wojskowy, nie spada prosto z nieba... że nie trzeba brać za złe, naszym niektórym utalentowanym, ale młodym oficerom: iż wprzeciągu 8-miesięcznéj

kampanii nie wykształcili się na Napoleonów, Annibalów, Cezarów;... bo Napoleon do wykształcenia się, potrzebował lat 20tu a z tych, kilka czynnéj wojny, jak to z powyższego wypisu, sami uznać, i rozpamiętywając, pojąć zechcecie.

Lecz jeżeli Opatrzność, nie obdarzyła nas mężem wyższego talentu, co by razem cywilność i wojskowość narodu umiał prowadzić... to z drugiéj strony, zdawałoby się, że taż sama łaska nieba: chciała nam to wynagrodzić, niedołęztwem naszego przeciwnika, który od początku do końca, nie był, ani owym szefem sztabu Wittgensteina z r. 1812. ani owym Dybiczem Zabałkańskim z r. 1829, ale przeciwnie, zdawał się chcieć być przez nas pobitym ..Jeżeli tylko ta niedołężność Dybicza, nie pochodziła z wyższego rozkazu Mikołaja, który lekceważąc siły Polaków, kazał swemu Feldmarszałkowi oszczędzać wojska przeznaczone na Francyą: powiedział albowiem car, w jakimś dyplomatycznem, ale niepolitycznem oświadczeniu; jak ów Nabuchodonozor — którego Rosyanie Nebukadnecar to jest pod niebem jeden car, zowią i od niego swych carów wywodzą: „je roulerai sur la Pologne.“ potoczę się przez Polskę — i poprowadzę daléj moje: pobiedonosne (niezwyciężone) zastępy... O takim to mówi psalm 48: „Qui confidunt in virtute sua, et in multitudine divitiarum suarum gloriantur... simul ac insipiens et stultus peribunt.“ Ci co zaufali w mocy swojéj i w ilości bogactw swoich, pyszni są... razem jak szalony i głupi, zginą. — Lecz odwróćmy wźrok nasz, od tego ohydnego obrazu, a wracajmy do naszego dalszego opowiadania:

Skoro książe Radziwiłł objął ster wojska, zjawiłem się u niego. Adjutant Jego Kazimierz Walewski, widząc, że mam pałasik salonowy, bardzo lekki, wyprosił go odemnie dla uzbrojenia nowego naczelnego wodza który mnie wezwał uprzejmie do swego sztabu, jako

czynnego jenerała brygady z ofiarą służenia bez żołdu, przez ciąg poświętnéj wojny.

Dnia 8 lutego, książe Radziwiłł opuścił Warszawę; ja za nim. — Na noc przybył książe wódz naczelny do Okuniewa o $1 \frac{1}{2}$ mili od Warszawy, i tam główną swoją kwaterę założył.

Przybywszy tamże, dowiedziałem się z przyjemnością: żem jenerała Chłopickiego nie zastał, bo wyjechał forpoczty objeżdżać. Sprawiło to na mnie więcéj radości nad słuszność... bo przecież nieprzyjaciela nie było tak blisko... ale zawsze, uczułem z radością: że Chłopicki chce być czynnym, a jako żołnierz, nie może niebyć ciekawy: jak też nasze młode wojsko, umie posterunki rozstawiać?

Poszedłem sam księciu Radziwiłłowi zameldować się, i zastałem go w najlepszym humorze (czem nie warto czytelnika trudzić) atoli tego już dnia, nic nie doszło ważniejszego do mojéj wiadomości.

Nazajutrz d. 9. zrana, przywołano wiele osób na radę wojenną do księcia, i mnie kazano się tam stawić.

Czytał, podpułkownik Prądzyński pod oknem na lewo stojący — różne rozporządzenia i raporta, a jenerał Chłopicki, siadł u rogu stołu, przy którym ile pamiętam, nikt inny nie siedział.

Książe Radziwiłł, stał trochę na prawo od Prądzyńskiego i słuchał jego czytania: my obecni, a między innymi jenerał Mroziński, szef sztabu, jenerał Morawski, staliśmy, mniéj więcéj, po prawym boku i z tyłu księcia. Wtem, jenerał Chłopicki, nie w mundurze ale w napoleońskiéj szaraczkowéj kapocie będący; raptem się zrywa ze stołka, porywa furażerkę i namiętnie wbiwszy ją na głowę, udaje się ruchem przyspieszonym ku drzwiom pokątnym, i oddala się jakby z gniewem, zatrzasnąwszy drzwi za sobą gwałtownie... Wszyscy obecni spojrzeli po sobie zadziwieni... co to miało

znaczyć?... ja zaś, nie zwierzając się nikomu, gdyż nie była do tego pora, na rodzaju rady wojennéj... rozbierałem w sobie: że widocznie Chłopicki, nie podzielał zdania czytającego Prądzyńskiego; ale, pytam się: jakiż to był sposób, na byłego Dyktatora, objawienia swojego przeciwnego zdania? i jakaż pomoc tego poradnika, dla naczelnego wodza?...

Odbywało się dalsze posiedzenie; dowiedziałem się: że nadeszła wiadomość, o niemal pierwszem starciu się dwóch stron wojujących, i że jenerał Suchorzewski, mając trzy pułki ułanów, dwa pułki strzelców pieszych i odpowiednią tym kurpusom artylleryą; opuścił miasto wojewódzkie Siedlce, pełne zapasów czyli magazynów, przed partyzantem pułkownikiem Anrep który, jak się pokazało: miał tylko 200 dragonów i 500 kozaków!

Postanowił więc książe Radziwiłł posłać mię do jenerała Suchorzewskiego żeby natychmiast odebrać Siedlce i drugiego podobnego wypadku nie dopuścić. Nastąpił obiad, na którym był, oprócz jenerała Chłopickiego jenerał Weissenhof; przy obiedzie zaś, nie było mowy o niczem ważniejszem. Po obiedzie, znowu książe Radziwiłł wezwał nas do siebie, dla dokończenia przedsięwziętych rozporządzeń. Wtem dano znać: że podpułkownik Chrzanowski przyjechał z Zamościa.

Wezwał go więc książe, by rozkazu mającego być wydanym wysłuchał, i swoje zdanie objawił. Chrzanowski odpowiedział, kilkakrotnie: że skoro naczelny wódz już co postanowił, jemu nie wypada nic innego: jak to, co jemu nakazane będzie, wypełnić... Atoli po usilnem naleganiu księcia, zezwolił na jego żądanie, a Prądzyńskiemu polecił książe, rozkaz czyli plan uchwalony odczytać dodać wypada uwagę, że jenerał Chłopicki nie przybył na tę konferencyą.

Gdy więc podpułkownik Prądzyński takowy plan odczytał, a Chrzanowski milczał, nie bez trudności skłuo

książe Radziwił Chrzanowskiego do objawienia swego zdania. Po wielu targach, rzekł nakoniec Chrzanowski: „Jedno dobre co zrobił jenerał Chłopicki, było to, że całe nasze wojsko zkoncentrował, a na to potrzebował całego miesiąca; książe zaś, w 24 godzinach, rozdzielasz wojsko na wszystkie strony; jest zasadą wojskowości, potwierdzoną przykładem Fryderyka II i Napoleona, żeby wojsko koncentrować, zwłaszcza kto ma szczuplejsze od nieprzyjaciela siły, i kiedy niewiadomo zkąd będzie jego attak; a nam trzeba się starać, czuwać dobrze, i urywać ile możności, oddziały nieprzyjacielskie, narażające się raz z prawego raz z lewego, jak szczęście posłuży... Na to książe: „ale już rozkazy wydane, rozporządzenia popisane...“ Chrzanowski odpowiada: „wszak ja W. ks. mówiłem, że niepotrzebnie mam się odzywać z mojem zdaniem, skoro książe już postanowienia wydałeś...“ W tem odzywa się Prądzyński: „Jak można mówić że nam nie wiadomo zkąd nieprzyjaciel nadejdzie? toć rzecz widoczna, że przyjdzie od Łomży!“

— A zkądże to wpan wiesz? odrzuci żywo Chrzanowski?— czy to do wpana Dybicz napisał?— gruba była apostrofa— strawił ją jednak Prądzyński i odrzekł: „Toć rzecz prosta, że Dybicz przyjdzie od Łomży, po szosie.“ Chrzanowski odrzekł: „właśnie dla tego że to się zdaje rzeczą prostą, Dybicz nie przyjdzie po téj drodze...coby to był za jenerał! którybyto przedsiębrał, czego nieprzyjaciel się spodziewa? o ile znam Feldmarszałka Dybicza, przy którym byłem przez dwie kampanie, on tego błędu niepopełni i ztamtąd przyjdzie gdzie go się najmniéj spodziewamy; ale zkąd? tego trzeba się wszelkiemi sposobami dowiadywać; a znowu z téj saméj przyczyny, naszego wojska nie rozpraszać, ale je trzymać ile możności zkoncentrowane...“ Tu się odezwał książe Radziwiłł: „Ale kiedy już rozkazy powydawane, jakże

temu zaradzić?...“ Na to Chrzanowski: „Lubobym się założył, że Dybicz nie przyjdzie od Łomży, jest sposób na to: Trzymaj książe dywizye tak blisko siebie, żeby się każdego dnia dały połączyć; jeżeliby attak Dybicza istotnie przychodził po szosie od Łomży, niech go książe przyjmie pod Sierockiem, ani daléj ani bliżéj... pod Sierockiem są jeszcze szczątki fortyfikacyi Francuzów, te każ W. ks. Mość, ile możności naprawić, i pod Sierockiem niech będzie batalia; jenerał Krukowiecki niech zajmie lewe skrzydło, niech się za Sierock nie wysuwa dywizya jazdy niech obserwuje trakt aż do Łomży; inne dywizye niech się nie oddalają od lewego skrzydła; a Warszawę zasłonić *en evantail* — w kształt wachlarza — od Bugu do Wisły; taki korpus obserwacyjny powierzyć jener. dywizyi Żymirskiemu, który stoi pod Liwem; dodać mu Giełguda który stoi pod Jadowem i będzie się kommunikował z głównemi naszemi siłami; Żymirskiemu dodać jak najwięcéj kawaleryi, aż do Mniszewa gdzie ma być jenerał Dwernicki.“

Skutkiem tego planu porektyfikowano rozkazy, a moje przeznaczenie zmieniono, posyłając mnie na szefa sztabu korpusu obserwacyjnego jen. Żymirskiego; zaś żeby się pozbyć krytyka, posłano Chrzanowskiego do Siedlec do Suchorzewskiego, na moje miejsce.

Zapadła noc, i ja dostawszy różne polecenia od jen. Mrozińskiego szefa sztabu jeneralnego do spełnienia po drodze, udałem się przez noc z d. 9 na 10 do Kałuszyna, gdzie zastałem pułk 2 strzelców pieszych i pułk jazdy Sandomirskiej. Odprawiwszy natychmiast przegląd tego nowego pułku jazdy, którego trzéj sztabs officerowie skarżyli przedemną wzajemnie na siebie, a wszyscy razem na pułkownika Libiszewskiego, powziąłem myśl: rozłączenia sześciu szwadronów téj jazdy, na trzy oddziały, osobno po 200 koni działające; każdy pod sztabsofficerem dawnéj służby, i tak się stało;

a każdy z tych panów niezgodnych podkomendnych, okazał się bardzo zdolnym i użytecznym, działając oddzielnie.

Wieczorem d. 10 przybyłem do Liwu, gdzie miał kwaterę jenerał Żymirski. Znałem od dawna tego jenerała, jeszcze jak szefem batalionu przybył w r. 1807 z Legionów; nie mógł nie mieć wiele doświadczenia; jakoż zastałem go gotującego się na osobisty rekonesans po za Węgrów ku Wrotnowu, o którém miejscu miał wiadomość, że tam Rossyanie przybyli w znacznéj sile. Rano więc 11 wyruszyliśmy z 7m pułkiem Rolanda i 1. pułkiem ułanów, owego dnia, pod komendą podpułk. Konopki będącym. Wyjechawszy za Węgrów, zastaliśmy pułk 1 ułanów uformowany szwadronami w kolumnie, a kommendant pułku, przybył zrobić raport jenerałowi w sposób za W. księcia zaprowadzony. Gdy ja się zapytałem podpułkownika Konopki, o linią jego forpocztów, którą chciałem objechać na prędce, odpowiedział mi: „że forpoczty stósownie do regulaminu ściągnięte i weszły do miejsc właściwych w pułku!“ rzecz dziwna, że Konopka oficer ze sławnego pułku ułanów nadwiślańskich, nierozróżniał służby wojennéj, od służby paradowéj W. księcia. odezwałem się więc do jenerała Żymirskiego: „a zatem już komendant rosyjski wie albo zaraz będzie wiedział, że robimy rekonesans, i w jakiéj sile; bo w miarę jak nasze wedety się ściągały, kozackie niepostrzeżenie do nas się zbliżały i zbliżają... bo taka jest i być powinna służba lekkiéj jazdy na wojnie. Jakoż s liśmy niemal cały dzień po najfatalniejszem błocie, nie napotykając ani jednego moskala. W téj pierwszéj mojéj wyprawie pod Żymirskim, otrzymałem od niego pamiętną nauczkę, któréj mu nie mam wcale za złe, owszem mam sobie za obowiązek podać ją do wiadomości czytelników. — Czas był mglisty i chłodny, jadąc obok Jenerała Żymirskiego, ofiarowałem mu moją manierkę, żeby się napił; obejrzał się na mnie, i zapytał coby tam

było w téj manierce? odpowiedziałem że dobra wódka, „a panie jenerale, odrzekł Żymirski, ja wódki nigdy nie pijam, ale mam zawsze wino w mojéj manierce, tem mogę służyć jenerałowi". Jakkolwiek trochę zawstydzony, przez weterana legionistę, podziękowałem mu za naukę którą rozszerzać będę, że jednak proszę go, mieć o mnie zdanie: że ja bardzo umiem rozróżnić sposób pokrzepienia się wódką w marszu, i na wojnie kiedy wódka jest, od sposobu raczenia się nią niedoświadczonych oficerów, ale zgodziliśmy się oba na to, że najlepiéj jest żeby jenerał wcale nie pił wódki.

Przed schyłkiem dnia, napotkaliśmy forpoczty rosyiskie, z któremi porucznik Leonty Rzewuski, adjutant naczelnego wodza towarzyszący kolumnie naszéj, począł się ucierać — zaś na wzgórzu pod Wrotnowem uszykowana była znaczna ilość jazdy i artylleryi. — Ukazał się parlamentarz od jenerała Sacken, atoli zdaje się że tam był dowódzcą Włodek: Żymirski wysłał do parlamentarza Rzewuskiego; polecił mu oświadczyć się, jakoby od jen. Rolanda.

Parlamentarz widząc na ramieniu Rzewuskiego znak jemu niewiadomy, gdy się dowiedział że to oznacza adjutanta naczelnego wodza, zapytał się skwapliwie: „czy tu naczelny wódz jest obecny?... przytem oświadczył jak zwykle, zadziwienie Rosyan, że Polacy zrzekają się monarchy który im tyle uczynił dobrego i t. p." Po wzajemnych parlamentarskich, to jest prawdziwie dyplomatycznych rozmowach; gdzie obie strony tyle się tylko dowiedziały że w znacznych siłach są blisko siebie — bez żadnego boju, rozpoczęliśmy odwrót do Węgrowa i Liwa... Ale tu poznałem mrukliwość piechoty, a szczególniéj 3go batalionu świeżo uformowanego z żołnierzy abszytowanych powołanych, odznaczających się tem: że batalion nie miał kaszkietów tylko furażerki; wielka to oznaka co do porządku i

subordynacyi czyli karności jak się późniéj powie. — Słyszałem tam więc, zwłaszcza kiedym z jenerałem Żymirskim koło nich przejeżdżał, szemranie: że cały dzień o głodzie, brodzą po błocie, i bez bitwy...że nie warto było ich tak darmo trudzić i t. p. Ja który tylko wojny Napoleona znałem, nie dobrze wnosiłem nadal, doznawszy: nadzwyczajnego niedoświadczenia w jezdzie, a niesubordynacyi w piechocie.

Skutkiem odbytego rekonesansu, jenerał Żymirski wyprawił adjutanta Rzewuskiego do naczelnego wodza, z raportem tego co widział sam, z dodatkiem: że wnioskować można, iż we Wrotnowie stoi silna awangarda, znacznego korpusu lub armii, że zatem Żymirski zamierza zniszczyć most na Liwcu i tylko przy nim zostawić parę armat, batalion i szwadron jazdy — spodziewając się, że nieprzyjaciel tak prędko mostu nie zrobi i nie przejdzie, a że on sam Żymirski, uda się zaraz i skoncentruje pod Kałuszynem, bo ma powody domniemywać się, że silny attak nastąpi od Siedlec gościńcem, czyli szosą.

Tymczasem młody oficer od Inżenierów, zadawszy sobie pracę, spisał parę arkuszy planu „Wyswobodzenia Polski i wypędzenia Rosyan po za Dzwinę i Dniepr.“ Żymirski nieprzyjął pisma którego nie ma czasu czytać, a na które szkoda że p. inżynier tak młody, tyle drogiego czasu poświęcił... ale że oto właśnie jest chwila, w któréj może swoją zdolność okazać: więc że ma pale pod mostem na rzece Liwiec tak horyzontalnie podpiłować; żeby most stał dla nas, a żeby go każdego czasu, można było zrzucić i spalić, gdyby nieprzyjaciel chciał go przechodzić. Zostawiwszy więc jenerał Żymirski oddział dostateczny do czasowego bronienia mostu i obserwowania nieprzyjaciela, przeniósł swoją główną kwaterę do Kałuszyna.

Tu złączył się znami podpułk. Chrzanowski, brygada

jener. Czyżewskiego 1 i 4 pułki strzelców pieszych, kilka pułków jazdy i stósowna artylllerya, ustępujący przed siłami nieprzyjaciela.

Jener. Suchorzewski — w stanie wcale nieprzyzwoitym dowódzcy, zjawił się u mnie, ściskając jako dawnego znajomego z wyprawy 1812, pytał mnie: „co to znaczy że go odwołują od komendy?“ ja mu na to: „że teraz gdy wojsko pomnożone, jenerałom starszym rozdają większe komendy, że on w sztabie głównym bezwątpienia taką dostanie destynacyą; odjechał pocieszony weteran, niegdyś świetny dowódzca odznaczonego 6go pułku ułanów księstwa Warszawskiego.

Jenerał Tomicki objął po nim interymalnie komendę jazdy. Zostawaliśmy bez istotnéj wiadomości o nieprzyjacielu, obywatele tyle gorliwi, zdaje się że wszyscy ujechali do Warszawy, znikąd nie ośmielił się nikt dawać znać o moskalach... tymczasem nasz inżenier, co kreślił plany kampanii, nie umiał mostu pod Liwem stósownie do instrukcyi zniszczyć i moskale po lekkim bardzo oporze, przeszli Liwiec, i udali się szczęściem na dywizyą Skrzyneckiego; gdzie byli lepiéj przyjęci jak przez nasz oddział strzegący Liwca.

Wszakże czytałem romantyczny opis obrony tego mostu... alboto żart, albo niepojęta niewiadomość, tego co to jest wojna.

Zostawaliśmy więc, powtarzam, bez najmniejszéj wiadomości realnéj o nieprzyjacielu. Oświadczyłem Żymirskiemu, że ja mu takowéj dostarczę, jakoż przywołałem pułkownika 1 pułku ułanów Bukowskiego, kazałem mu sobie wybrać 50 tęgich ułanów i że mu dodam kompanią piechoty i wyszlę go na podjazd przez Falbogi i Trzebuczą, dla powzięcia języka, to jest dla złowienia jeńców... Bukowski zaczął mi przekładać, że to nie jest komenda dla pułkownika... Na to ja ściskając go odrzekłem: ja ciebie znałem kapitanem pod

Drują, otóż dla tego ciebie posyłam, żeby się zamiar udał, ale jeżeli nie chcesz, to ja sam pojadę i większéj komendy nie wezmę... Ze łzami w oczach podziękował mi Bukowski, że mu daję taką sposobność zasłużenia i odznaczenia się. Otoż kolego, przejdziesz przéz las który Chrzanowski narysował, i ukryjesz w tym lesie piechotę po $1/_2$ kompanii z każdéj strony drogi przez las idącéj, a sam z twemi 50 ułanami będziesz ciągnął prosto na moskali, których pierwsze straże przed tobą cofać się będą... lecz gdy większa komenda moskiewska się pokaże, ty przed nią uciekać będziesz, prosto na las; oni za tobą pogonią, piechota da ognia, a ty odwrócisz się na uciekających, i póty ich gonić, będziesz póki kilku lub więcéj jeńca nie weźmiesz. Wykonaj to kochany pułkowniku, a bądź pewny, że dostarczysz naczelnemu wodzowi informacyi jakiéj jeszcze niema. — Tak się stało, oficer rosyjski, który się dał wywieść w pole, poległ, a Bukowski 13 pod-oficerów i szeregowych różnéj broni konnéj przyprowadził... Była to podobno pierwsza zdobycz tego rodzaju w sztabie głównym, a przez tych jeńców wiadomość: że Dybicz z traktu Łomżyńskiego, przerznął się bokiem ku Siedlcom i od tychże, główną siłą idzie ku Warszawie; było to aż nadto jasne potwierdzenie, że Chrzanowski wiedział co mówił w Okuniewie, a że Prądzyński nie odgadł zamysłu Dybicza...

Ponieważ zamiarem pisma naszego jest, pożytek czytających, zwłaszcza młodych wojskowych, zatem z tego względu zbaczamy częstokroć od głównego przedmiotu, przytaczając przykłady nauczające: jak to się rzeczy, osobliwie na obszerném i rozmaitém polu wojskowości, inaczéj wydają zdaleka, niż zbliska. Przystępuję do rzeczy: Były szef szwadronu huzarów 10 pułku, teraz pułkownik jazdy podlaskiéj, Antoni Kuszell, nadciągnął do Kałuszyna, d. 13 lutego lub następnego, z pułkiem jazdy

nowéj formacyi i kompanią pieszą strzelców, sutą kapelą i wielką ostentacyą; ale przebywszy parę dni w biwaku, zażądał dnia 15 lutego, być wysłanym na partyzanta, jako będący z tych okolic, i znający je dokładnie. Ja przedstawiłem jego plan jenerałowi Żymirskiemu; a on rzekł do mnie: „i ty wierzysz, że Kuszell na seryo chce być partyzantem?“ gdy ja na to odpowiedziałem: „że go w r. 1812 znałem odważnym kapitanem huzarów“ odrzekł Żymirski: „pozwalam! pozwalam! niech sobie idzie, pozbędę się kłopotu niespokojnéj głowy.... ale zobaczysz że go już więcéj nigdy widzieć nie będziemy“.... I któżby uwierzył? zgadł Żymirski i prawdę powiedział.... o dalszych szczegółach zamilczeć wolę *).

Jeszcze nas do d. 15 lutego nieprzyjaciel wprawdzie nie atakował, ale był co raz bliżéj, i zgromadzał wielkie siły. Jenerał Tomicki zaczął się uskarżać: że kawaerya zniszczeje przebywając noce w biwakach i t. p. Żymirski na to odpowiedział: że chwali troskliwość jenerała o konie, ale że wojna nie może się odbywać po wygodnych koszarach i t. d.

Tymczasem nikt nie dbał o nas. Rzadkie, a co gorsza, mało nauczające, odbieraliśmy pisma z głównego sztabu; to z Okuniewa, to z Jabłonny, to z Grochowa.... Skrzyneckiego dywizya docierała blisko Liwca, nasz korpus stał od Kostrzenia rzeki; Giełgud od Jadowa także do Liwca docierał, a sztab główny, niewiedząc nic o miejscu pobytu Dybicza, ani marszach jego armii, trzymał się na takim kilkunasto-milowém oddaleniu od linii bojowéj, że ani nasze raporta, ani jego rozkazy na czas nie dochodziły.

Gdy d. 15 lutego jenerał Skrzynecki, o 12éj w nocy

---

*) Są jeszcze żyjący, niech ustnie dopełnią opowiadania, o tych i tym podobnych junakieryjskich bałamuctwach.

wyszedłszy z Dobrego, uskutecznił świetny rekonesans z jazdą, w którym Ziemięcki dowódzca 2go pułku ułanów był ranny, i doniósł nam: że dywizye Rosena 24go i 25go już przeszły przez Liwiec, natychmiast jenerał Żymirski, jako dawny legionista, prosił głównego sztabu o pozwolenie: żeby on, Skrzynecki i Giełgud otoczyli te ofiary, zuchwalstwa swego albo niewiadomości o siłach naszych.... ale nim odpowiedź przyszła od sztabu, już Rosen zaatakował Skrzyneckiego pod Dobrem.... Mógłby kto zarzucić: „czemu Żymirski zaraz marszu flankowego nie zrobił na zaatakowanie Rosena z boku?“ ale gdy tenże jenerał widział, że główna armia rosyjska jest na trakcie, którego on bronił, nie mógł takiéj odpowiedzialności brać na siebie bez upoważnienia naczelnego wodza.... ale cóż tam robili w sztabie Chłopicki i Prądzyński? pierwszy miał co innego w głowie, a drugi milczał, bo przy Chłopickim nie śmiał się odezwać...

Tulenie się głównego sztabu w bliskości Warszawy, kiedy już było jawném, że Dybicz zniknął Prądzyńskiemu z oka, i że nie będzie batalii na trakcie od Łomży, nie może się niestety! rozwiązać, tylko przez to niepojęte *absurdum*, o którém dowiedziałem się dopiero pod Grochowem, jak będzie niżéj.

Tymczasem Żymirski widząc, że się nikt nami nie trudni, i że nieprzyjaciel zagraża wciśnieniem się klinem, między Skrzyneckiego a jego, starał się jako dowódzca korpusu obserwacyjnego utrzymywać, ile możności komunikacyą ze Skrzyneckim i pilnować jego i siebie wspólnie; wysłał więc batalion strzelców 2go pułku pod doświadczonym legionistą podpułkownikiem Wolskim i cały pułk jazdy sandomirskiéj w trzech dywizyonach, tudzież inne oddziały piechoty strzelców Kuszla i jazdy lubelskiéj.

Gdy tak stoimy w Kałuszynie, nieco bezczynnie ale nie z naszéj winy, gdy już przed dniem 13m mieliśmy wiadomość, uboczną ale nie od jenerała Dwernickiego, że przeszedł Wisłę pod Mniszewem, o czem był powinien raportować jenerałowi Żymirskiemu, pod którego rozkazy w razie łącznego działania, był oddany decyzyą naczelnego wodza z d. 11go lutego, dowiadujemy się, zawsze ubocznie, że Pan Bóg pobłogosławił orężowi polskiemu pod dowództwem Dwernickiego! Nie mieliśmy szczegółów o tym świetnym boju, cieszyliśmy się, że nie Dybicz nas odciął jak chciał, i na co Geismara wysłał, ale że tenże pobity został, i zamiary niezgrabne Dybicza spełzły.... lecz mieliśmy i mamy za złe Dwernickiemu, że będąc oddany pod Żymirskiego i przez jenerała Klickiego i przez naczelnego wodza, nie zgłosił się bynajmniéj do nas; co gdyby był uczynił, byliśmy wstanie posiłkować go, zabrać tył Geismarowi, mając 7 pułków jazdy do dyspozycyi, a natenczas i stopa Geismarowego korpusu nie byłaby uszła.

Jenerał Dwernicki, którego ja byłbym rad widział Blücherem polskim, bo pokazało się niestety! że nie mieliśmy zdatniejszego na wodza; nie był zupełnie obcym ambicyi, częstokroć najsławniejszym jenerałom nagannie przyrodzonéj: niepodległości cudzym rozkazom, popisywania się odosobnionego; która to ambicya, okazała się wkrótce zgubną dla niego i dla Sierawskiego, ale co gorzéj, dla sprawy naszéj.

Zbliża się teraz chwila, w któréj ta rywalizacya okaże się i w cnotliwym a walecznym jenerale Skrzyneckim.... nadchodzi czas zajrzenia w oczy jenerałom Chłopickiemu, Prądzyńskiemu, Willisenowi i innym.... jedném słowem: nadchodzi posuwanie się na przód na całéj linii uszykowanéj już armii Dybicza. Historyk rosyjski Smitt, aczkolwiek nam nieprzyjazny, nieocenionym jest dla nas, bo odsłania jak na dłoni i wyszczególnia uchybie-

nia, nietylko Dybicza ale nawet i Tolla, a z drugiéj strony wykazuje: czy? lub nie, umieliśmy korzystać z tych błędów.

Smitt zapowiada ogólny ruch Rossyan mniéj więcéj w ten sposób:

„Dzień 17 (5) lutego był naznaczony na rozpoczęcie ogólnego ruchu naprzód: Jenerał Rosen, przez Dobre i Stanisławów — Pahlen w środku między Rosenem a Kałuszynem, główna siła pod Dybiczem i wiel. księciem od Siedlec na Kałuszyn, Mińsk i t. d.“

My zaś otrzymaliśmy w Kałuszynie rozkaz ruchu dla wojska na d. 16go lutego ekspedyowany z Jabłonnéj d. 16go o godz. 1 i pół po północy.

Po streszczeniu ruchu rosyjskiego dopiero czytanem, nie łatwo uwierzą czytelnicy, że długi rozkaz z Jabłonny, zaczyna się od tych słów:

„Ponieważ wszelkie doniesienia i rozporządzenia okazują, zbliżenie się mass nieprzyjacielskich od Kamieńczyka, Liwa i aż pod Makabudy.... Armia nasza w dniu jutrzejszym z tego powodu uskuteczni następujący ruch“.

Pomijamy szczegóły tego rozkazu tyczące się Krukowieckiego i Giełguda, którzy tylko w mżonce Prądzyńskiego mieli nieprzyjaciela przed sobą. Toż co się tyczy Jankowskiego, mostu pod Zegrzem, Szembeka, jest bez sensu.

Następnie każe redaktor księcia Radziwiłła, jenerałowi Skrzyneckiemu i Żymirskiemu znosić się z sobą, i każe im starać się utrzymywać się zawsze między sobą na jednéj wysokości, (prawdziwie rada stósowniejsza dla słuchaczów teoryi w szkole kadetów, jak dla jenerałów wykształconych w szkole Napoleona.) Zawiera jeszcze ten rozkaz niepochlebny dodatek, że główna kwatera przenosi się od d. 16go do Grochowa! i że jenerał Żymirski w najgorszym razie, powinien się trzymać na pozycyi pod karczmą Janówek zwaną.... a więc wido-

cznie nakazana rejterada, tam gdzie był nieprzyjaciel, a duże manewra, tam gdzie go nie było. *)

Dnia 16go lutego zawiadomił jener. Żymirski, Skrzyneckiego, między innemi, w tych słowach: „Ściągam wszystkie posterunki, i opuszczam Kałuszyn, który zajmować będę lekką tylko awangardą, a sam pozycyą zajmę za miastem. Polecam jenerała pamięci posterunki moje, które strzegą dróg do Stanisławowa, w Kamionce i Mistowie.“ Tymczasem jenerał Skrzynecki pisał do nas d. 17go o godz. 5éj rano:

„Ja z dywizyą stoję w pozycyi w Dobrem.... nie będąc naglony przez nieprzyjaciela, myślałem się w téj pozycyi utrzymywać; lecz skoro jenerał opuściłby swoję, zmusiłby tém samém i moję pozycyą opuścić.“

Na to się odpowiada: że jenerał Skrzynecki znał położenie Kałuszyna, i że to miasteczko nie jest żadną pozycyą militarną.... gdy więc jenerał Żymirski pisze: iż zajął pozycyę za miastem, to się dla tego bynajmniéj nie cofnął, bo pagórek z tyłu Kałuszyna dominujący, leży tuż nad miastem.

Dnia 17go zrana, o jednym czasie Rosyanie zaatakowali jenerała Skrzyneckiego pod Dobrem, a jenerała Żymirskiego w Kałuszynie. Mały to jest następujący szczegół ale ciekawy, jeżeli prawdziwy; gdy po bitwach pod Wawrem z Geismarem i De bem wielkim z Rosenem, wkroczyłem pierwszy do Kałuszyna — jak o tém będzie późniéj — udałem się do tamecznego poczmistrza który mi mówił: że zaraz po kawie, którą u niego piliśmy rano, oddalając się z Kałuszyna, jenerał Żymirski i ja, nadjechał W. książę Konstanty, kazał zatoczyć dwie armat na rynek i sam z jednéj wycelowawszy,

*) W obszerniejszém wydaniu tych wspomnień, będą zamieszczone liczne oryginalne dowody w ręku autora zostające.

kazał wypalić; żeby to był pierwszy strzał armatni od niego Polakom przesłany — nie miałem później czasu sprawdzić tę anegdotę, atoli, jeżeli tak jest, musi to być w Kałuszynie wiadome.

Jenerał Rosen natrafił na Skrzyneckiego pod Dobrem w pozycyi dobrze obranéj i dobrze bronionéj, ale raport przyszłego naczelnego wodza, który tyle narobił hałasu, zwłaszcza za granicą, jest przesadny; i nietylko mylnym, ale dla naszéj głównéj kwatery szkodliwie wpływającym jest, szczegół: jakoby nie Rosen, ale sam feldmarszałek Dybicz był atakował Skrzyneckiego.... Okoliczności tej Smitt formalnie zaprzecza i wyraźnie podaje: „was den Feldmarschall anbetrifft, so befand er sich bei dem ersten Corps auf dem Wege nach Kałuszyn“ — co się tyczy feldmarszałka, ten był przy 1ym korpusie na drodze do Kałuszyna. — Szkodliwém zaś było to twierdzenie Skrzyneckiego dla nas, bo wprowadziło to, główną kwaterę w błąd: jakoby główny atak Dybicza szedł w kierunku na Dobre i Stanisławów, a nie traktem od Siedlec na Kałuszyn i Mińsk. Nie jest ten samochwalny wybryk, małą winą Skrzyneckiego i nie byłby mu uszedł bezkarnie pod innym wodzem. Zresztą Willisen, chwaląc w ogólności raport Skrzyneckiego — o mylnéj wieści względem Dybicza nie mógł wiedzieć, dodaje: „etwas Redseligkeit abgerechnet“ co znaczy: „odtrącając trochę zbytniéj gadatliwości“ jakoż w nas starszych, ten przesadny raport Skrzyneckiego wcale mu nie czynił zaszczytu. Jakkolwiekbądź, jenerał Skrzynecki po bitwie pod Dobrem cofnął się do Pustelnika i tu stanął.

Zobaczymy w skróceniu, jak Żymirski pisze o dniu 17 lutego do księcia Radziwiłła:

„Skoncentrowawszy w nocy z dnia 16 na 17 siły moje w Kałuszynie, z powodu rozpoznanego zbliżania się nieprzyjaciela, na drogach od Liwu, Wyszkowa,

Suchéj, Siedlec, Oleksina i Zaliszewa, mając wiadomości... że nieprzyjaciel na tych wszystkich drogach, popsute przezemnie mosty naprawił... gdy miasto Kałuszyn nie jest pozycyą militarną gdyż ma w tyle groblę tworzącą *défilé*, stósując się wreszcie do rozkazów W. książęcéj Mości, zająłem pozycyą na wzgórkach z téj strony grobli, obsadziwszy miasto samo i onego przyległości awangardą z piechoty i jazdy. W téj pozycyi rano d. 17 oczekiwałem ataku nieprzyjaciela.— O godzinie 8éj usłyszałem mocną kanonadę i ogień ręcznéj strzelby od Dobrego.... W półgodziny nieprzyjaciel na Kałuszyn nacierać rozpoczął. Ze wzgórza mojéj pozycyi widać było dokładnie siłę nieprzyjaciela wyprowadzającego z lasów 12 batalionów piechoty, 3 baterye artyleryi i 4 do 6 pułków jazdy.— Za okazaniem się tych pierwszych sił nieprzyjaciela, moje w dwójnasób przechodzących, rozkazałem awangardzie cofnąć się z Kałuszyna na tę stronę grobli... a batalion strzelców 4go pułku i pułk jazdy lubelskiéj wysłałem na Mistów ku Stanisławowi, dla wspólnego mojego i jenerała Skrzyneckiego bezpieczeństwa, gdyby kolumna nieprzyjacielska między nas wcisnąć się chciała.... Jak tylko nieprzyjaciel okazał się na strzał armatni, baterye nasze rozpoczęły ogień, zarazem i Rosyanie odkryli kanonadę z bateryi pozycyjnéj. Przekonawszy się o sile nieprzyjaciela postępującego od Siedlec, a mając niezawodną wiadomość, że kolumna znaczna postępowała od Oleksina i Zeliszewa, nie mogło być zamiarem moim utrzymanie się uporczywie przy pozycyi, i stósownie do rozkazów, zacząłem przed tak przewyższającą siłą cofać się. — Odwrót od godziny 9 rano aż do 5téj wieczorem uskuteczniał się pod ciągłą z obu stron kanonadą, w miarę, jak położenie miejsc pozwalało, wtrzymywały naprzemian nieprzyjaciela, jazda i piechota rozwijając się po obu stronach traktu *Chaussée*... Dnia

tego strata przez nas poniesiona była nader mała, artylerya nieprzyjacielska, jakkolwiek natarczywie następująca, nie była szkodliwą; przeciwnie nasza według zeznań jeńców, miała znaczną stratę sprawić, co było skutkiem celnego i pilnego strzelania na masy nieprzyjaciela. ..... Nieprzyjaciel tego dnia postępował aż do wsi Osiny ostatniéj pod Mińskiem, wieczorem widać było jego usiłowania oskrzydlenia naszego lewego flanku.

„Doszedłem do Mińska z korpusem, obsadziwszy lasek między miastem a wsią Osiny. . . Nie miałem jeszcze żadnéj wiadomości o operacyach zaszłych na mojém lewém skrzydle — ogień tylko wyraźnie cofający się po za mój lewy flank kazał się domyślać, że jenerał Skrzynecki zmuszony był do odwrotu — nie sądziłem jednak, żeby cofanie jego było się posunęło aż za Stanisławów.“ — Tyle z raportu jenerała Żymirskiego, do którego to tylko dodać mogę: że odwrót nasz odbywał się z takim systematem jen. Żymirskiego i z taką precyzyą wykonania wszelkiéj broni, że zdawało się istotnie, iż to jest manewr popisowy— ta sama dywizya, te same pułki, odbywały późniéj powtórzenie tych manewrów, w cofaniu z Mińska przed feldmarsz. Dybiczem, już pod komendą jenerała Giełguda i ściągnęły podziw naczelnego wodza Skrzyneckiego.

Zaraz stanąwszy w Mińsku, jenerał Żymirski pragnąc się porozumieć ze Skrzyneckim, wysłał do niego na całą noc, dwóch akademików Guidów z gwardyi honorowéj pp. Stawiarskich braci, przez których otrzymał odpis, jak niżéj.

W nocy przybył oficer od głównego sztabu z rozkazami, był to Walewski, tegoczesny minister państwa francuzkiego. — Czułe było z nim moje powitanie, powiedziałem mu albowiem, czego on pamiętać nie mógł, żem go poznał w Paryżu, uczącego się chodzić, czołgającego się po dywanie matki. — Walewski mówiący

po polsku, przywiózł nam dyspozycye na dzień 18ty, o których będzie zaraz. —

O godzinie 8 z rana, gdyśmy przybyli z Żymirskim do pułkownika Chłapowskiego utrzymującego z swoją brygadą jazdy, tylną straż korpusu, nadjechali dwaj bracia Stawiarscy (o których wyżéj) z biletem Skrzyneckiego, ołówkiem na prędce napisanym, którego oryginał ciekawy, poczerniłem atramentem i dotąd przechowuję, oto są jego słowa: „Jenerale, je me suis retiré la nuit jusqu'a Pustelnik, la position du moulin d'Osenka n'est pas ténable contre de force supérieur, comme ceux que Dybicz a déployé hier, je suis donc ici ou est Szembek et d'ici nous agirons simultanement— je vous conseille de vous retirer pour ne pas être coupé. Skrzynecki.“ Toż po polsku:

„Jenerale! cofnąłem się w nocy aż do Pustelnika, pozycya pod młynem Osenki nie jest bezpieczną przeciwko siłom tak wielkim, jakie rozwinął Dybicz, jestem tu więc z Szembekiem, i ztąd będziemy działać wspólnie. Radzę jenerałowi cofać się żebyś nie był odcięty. Skrzynecki.“

Bracia Stawiarscy oznajmili przytém, że jenerał Skrzynecki po napisaniu téj kartki cofać się zaczął ku Okuniewu.

W powyższéj kartce w któréj Skrzynecki trwa w swojém błędném mniemaniu, że miał do czynienia z Dybiczem, ton jest dużo odmienny od owego raportu tak przesadnego o bitwie pod Dobrem — a kiedy sam nalega na Żymirskiego żeby się cofał: dlaczegóż w swoim późniejszym raporcie do księcia Radziwiłła pisze: „iż gdy zobaczył że się Żymirski cofnął, musiał i on się cofnąć?“

Ten zarzut koledze starszemu tak niesłusznie zadany, plami szlachetny charakter Skrzyneckiego — Żymirski poległ, mocno tym zarzutem dotknięty, dlatego prze-

chowałem tę smutną pamiątkę — bo jak tyle razy powtarzam, jestem wielbicielem prawdy, i oddaję bezstronną sprawiedliwość tak dobrym jak i ułomnym stronom osób.

Rozkaz który nam Walewski przywiózł był z d. 18 z Grochowa o godz. $2\frac{1}{2}$ rano, zawierał dyspozycyą, że wódz naczelny (to jest Chłopicki) układa atak na trakcie między Okuniewem a Stanisławowem, który może już 18 po południu nastąpi i żeby jenerał Żymirski nie daléj ustępował jak do karczmy Janowek i żeby z tego punktu jenerał przyłożył się do powszechnéj bitwy.

Gdy więc d. 18 ustępowaliśmy z Mińska — z tym większym i zaszczytnym porządkiem żeśmy mieli dodany znaczny sukurs jazdy pod dowództwem jenerała Łubieńskiego, gdy nadeszła godzina południowa, podjechałem do jen. Żymirskiego, przypominając mu: że nadchodzi czas obiecanego na naszym lewym flanku ataku jen. Chłopickiego . . na to odrzekł mi Żymirski: „Si vous voulez attendre cela, vous attendrez longtemps“ jeżeli tego chcesz się doczekać, będziesz czekał długo. Zdziwiły mię te wyrazy Żymirskiego, i potwierdziły moje zdanie: że Żymirski bardzo lekko ważył osobistość Chłopickiego — atoli gdy czas mijał, a od naszego lewego skrzydła nic a nic nie było słychać, przybliżyłem się powtórnie do jenerała Żymirskiego, okazując mu moje zadziwienie — a on mi znowu rzekł obojętnie: „mais quand je vous le disais!“ ale czyż nie mówiłem ci, że z tego nic nie będzie! — Oddaliłem się więc od Żymirskiego, zaczynając wierzyć: że musi znać Chłopickiego z nienajlepszéj strony.

Nimeśmy doszli do okolicy leśnéj i odesłali w tył przez las całą jazdę pod dowództwem jener. Łubieńskiego, doznaliśmy po kilka razy żywéj kanonady i w ten czas blisko 4go pułku ułanów, ranny był podpułkownik

kwatermistrzostwa Chrzanowski, a ma się rozumieć wielu innych, i zabitych.

Tymczasem zaczęliśmy się zbliżać do okolicy leśnéj w któréj leży karczma Janowek zwana — tu był rozkaz trzymać się do upadłego, żeby owemu przez jen. Chłopickiego wykonać się mającemu atakowi, nie zaszkodzić — okazawszy więc jen. Żymirskiemu ten rozkaz odpowiedział mi: „to co innego, tu rozkaz tyczy się mnie, nie kogo innego, winienem go uskutecznić.“ A zatém odesławszy jen. Łubieńskiego z całą kawaleryą w tył do jenerała Weissenhofa, sam Żymirski zajął las tyralierami, a pod Janowkiem swoje 7 batalionów rozłożył w obronnéj pozycyi, i czekał tak na nieprzyjaciela, który w bliskości lasu natarczywość swoję był wstrzymał.

Wkrótce nastąpił atak korpusu 1go Pahlena, tak przeważającemi siłami, że mimo pozycyi leśnéj i uporczywéj obrony, parci byliśmy nie nagle ale coraz bardziéj w tył, aż do ściemnienia się zupełnego. Ogień karabinowy był nader ożywiony, armatni umilkł — tu też jadąc przez Miłosnę do kawaleryi, spotkałem majora Wysockiego *) udającego się do jen. Żymirskiego, dowiedzieć się o skutku tego tak mocnego i długo trwającego ognia, który jak mi oświadczył p. jen. Weisenhof, przypominał mu, owe ognie karabinowe (fusillades) z r. 1812 na Moskwie . . tymczasem ja spostrzegłszy że jakaś kolumna jazdy, wychodzi z lasu po za naszém prawém skrzydle, poskoczyłem był do pułkownika Kamińskiego stojącego w szyku z 4ym pułkiem strzelców konnych, a pokazując mu ową kolumnę jazdy podejrzaną, żądałem żeby wysłał szwadron lub dwa dla do-

---

*) Dowódzca szkoły podhorążych w powstaniu dnia 29 listopada 1830.

tarcia i rozpoznania — Kamiński skazując mi ręką na blisko stojącego jen. Weissenhof, odesłał mnie do niego. Przybywszy więc do dowódzcy całéj jazdy, i oznajmiwszy mu moje żądanie: podobało się JW. jenerałowi Weissenhof rzec do mnie: „ha! panowie, zniszczyliście mi moją jazdę w waszych lasach; jazda nie ma co robić w lasach; jak Moskale wyjdą na równinę, wtenczas wystąpię z moją kawaleryą“ i t. p.—Ja na to pokazuję ową kolumnę na uboczu, i skłaniam go żeby tam jaki oddział posłał, co też w końcu i uczynił . . . a rozpytując się o szczegóły téj bitwy w lesie, brał udział w mojém opowiadaniu i w uwadze mojéj, że przez cały dzień ciągłego i morderczego boju, tak blisko będąc od głównéj kwatery, nikogośmy nie widzieli, że ów atak południowy nie nastąpił i że dopiero teraz pod noc pierwszy się zjawił do nas z głównego sztabu Wysocki. Tymczasem nastąpiła noc zupełna i jen. Żymirski zebrawszy i odesławszy w tył rannych, o ile się to uskutecznić dało — cofnął się z lasu do Miłosny i tu zajął pozycyę.

Wszelako w póżnéj nocy oświadczył mi: że mu się pozycya pod Miłosną zdaje zaawanturowaną, i że w nocy korzystając z mroku, w chwili cofnie się do Wawru i tam zajmie pozycyą daleko mniéj niebezpieczną.

Jeszcze ledwie zajęliśmy stanowiska nasze d. 19 rano — kiedy wyjechał z Warszawy książę Radziwiłł, w towarzystwie jenerała Chłopickiego i Szembeka z orszakiem sztabu i księży.

Książę Radziwiłł i Chłopicki zaczęli rozmawiać z Żymirskim — Szembek zaś przy całym orszaku sztabowym, na cały głos zapytał mnie: „dla czegośmy opuścili Miłosnę?“ na to odpowiedziałem: że nie tu jest miejsce rozprawiać o takim przedmiocie, zwłaszcza ze mną który nie komenderuję, że zresztą za godzinę zobaczy, dlaczegośmy opuścili Miłosnę — na to Szembek:

„za godzinę proszę cię na śniadanie do Miłosny“ — odrzekłem, że nie jadłszy nic porządnego od trzech dni, przyjmuję zaprosiny na śniadanie, ale że wątpię, żeby było w Miłosny.—Na to Szembek spiąwszy konia ostrogami, przypuścił po piasku, a osadziwszy wierzchowca wykrzyknął: „excellente place pour une charge de Cavalerie!“ — doskonałe miejsce do natarcia jazdy.

W tém zaczęły się zbliżać kolumny pułkowe dywizyi Szembeka, na czele każdego pułku stanął ksiądz strojny w świeże eleganckie komże i kolorowe piękne wstęgi; widziałem oczywistą ochotę do rozpoczęcia walki.— Mnie, który nie pojmowałem militarności pozycyi pod Grochowem, *) a wiedząc że nasza dywizya od Kałuszyna do Miłosny miała jen. Czyżowskiego rannego, 2ch sztabsoficerów, 9 oficerów i 1346 żołnierzy zabitych lub rannych, nie podobał się ten zapał, znając jaka siła nieprzyjacielska ukrywa się w lesie; podjechałem więc do Chłopickiego stojącego w odosobnieniu, i zapytałem go: czy istotnie zamyśla tu rozpoczynać atak? dodając, że przed nami, jest Dybicz z całą armią? może pozwoliłem sobie co uwag nad pozycyą naszą; dość że Chłopicki, ów jenerał, ów dyktator, od razu odrzekł mi: „vous avez raison il ne faut pas attaquer ici“ — masz słuszność, nie trzeba tu atakować.

*) Nim się nam przyjdzie zastanowić nad pozycyą pod Grochowem — nie w sensie bitwy Jana Kazimierza, ale w sensie wojny r. 1831, zapytujemy się: dlaczego ta pozycya, kiedy wiadomo że siły całéj Rosyi nacierają, nie była ile możności ufortyfikowaną redutami i innemi dziełmi tego rodzaju? Wszak był w głównym sztabie Prądzyński ów kwatermistrz jeneralny, wreszcie cały główny sztab i cała Warszawa patrzała się na płaszczyzny Grochowskie . . . . ów rząd, ów sejm, ów dowódzca gwardyi narodowéj, ów gubernator jenerał od piechoty Krukowiecki . . czyż nikomu przez głowę nie przeszło, że na polach Grochowskich miała się decydować sprawa narodu? . . .

Zdumiałem, jak mógł naczelny dowódzca Chłopicki, tak w oka mgnieniu zmienić zamiar i pójść za zdaniem, prawda że mojém, ale tak chwilowém i przez bardzo podrzędnego jak ja byłem jenerała wyrzeczoném....

W tém nadjeżdża galopem major ze sztabu Żymirskiego i melduje mu, że się zjawił parlamentarz rosyjski — odrzekłem mi: „pan major umiesz po rosyjsku, więc jedź i rozmów się z nim“ — sam zaś wyjeżdżam na mały pagórek, a widząc za pomocą mojéj perspektywy, że cały las jest napełniony Rosyanami i że traktem głębokie kolumny się przysuwają... ledwo miałem czas dojechać do Chłopickiego i wyrzec: „Jenerale będziemy w téj chwili atakowani!...“ aż tu padło kilka strzałów armatnich ze strony Rosyan. Jenerał Chłopicki odjechał w swoją stronę, a ja do dywizyi Żymirskiego— wszystko to co tu opisuję, działo się niemal w oka mgnieniu.

Tak się rozpoczął pierwszy bój pod Grochowem dnia 19 lutego z rana:

Nasza dywizya druga Żymirskiego, jeszcze bez pułku 3go piechoty, była znużona dwóchdniowym całodziennym bojem, od Kałuszyna, jednakże musiała posiłkować dywizyi Szembeka, która wkrótce była odpartą — przeciwnie, naszéj brygadzie strzelców 2 i 4 pułku mianowicie 2mu pułkowi pod dowództwem dzielnego podpułkownika Brzeskiego powiodło się w lasku, poczęści w owéj późniéj sławnéj Olszynce, zdobyć i armaty i sztandary rosyjskie. — Baterya lekka księcia Jabłonowskiego pomagała nam w tym lasku, i on poszczególowo bitwę tego dnia opisał — ja tylko tyle tu powiem, żem wcale nie był zbudowany tém co w tym dniu widziałem — że mianowicie jazdę naszą widziałem od samego początku tego boju, w niepojętym nieporządku, a gdym się dopytywał o jen. Weissenhofa, który mi w wilią tyle obiecywał, powiedziano mi, że leży śpiący w rowie . . . O jenerale Chłopickim słyszałem, że

na czele grenadyerów byłéj gwardyi ledwie się nie dostał do niewoli... i spotkałem go ku wieczorowi, jak mi się zdawało, wcale nie w humorze.

Powiem więcéj, że Dybicz albo nie wiedział co się u nas dzieje, albo się ociągał na Szachowskiego... bo inaczéj, nie widzę dla czegoby nie mógł 19go tam stanąć gdzie stanął 25go to jest pod Pragą.

Co się działo następnych dni 20 i 21 na naszém lewém skrzydle, o tém nic nie piszę, bom tam nie był i to do mnie bynajmniéj nie należało.

Dnia 22go kiedy Dybicz na całéj linii rozpoczął tak nazwany wielki rekonesans, dywizya Żymirskiego stała w drugiéj linii, tylko pod kanonadą. Nadjechał do mnie pułkownik Turno były adjutant W. księcia, jeden z naszych najzdolniejszych oficerów. — Dawno go nie widziawszy, pytałem go: Co to wszystko znaczy? jaka to wojna? kto tu przywodzi? co to za plan stoczenia głównéj bitwy pod Grochowem, pod samą Warszawą, tyłem do rzeki puszczającéj, o jednym moście i t. p. odrzekł mi: „cóż chcesz z człowiekiem robić, co tylko chce bitwy, żeby się w krwi obmyć, żeby nie skończyć jak Neapolitańczyki . . . dla niego każde miejsce na ten cel równie dobre.“— Otóż to klucz do wszystkiego, co się dotąd działo i jak się działo — ale przecie książę Radziwiłł był naczelnym wodzem i miał sztab do swojéj dyspozycyi . . dla czegóż się poddawali téj zgubnéj myśli Chłopickiego?.. Taki to skutek podjąć się dowództwa, bez dostatecznego zastanowienia się, a cóż mówić o zaślepieniu wyborców! . . . Podczas pierwszych bitew Grochowskich zjawił się jenerał Umiński, oswobodziwszy się z więzienia pruskiego.— Przybycie to, miłe sprawiło wrażenie w wojsku, równie jak wiadomość: że mu rząd narodowy poruczył dowództwo całéj kawaleryi, w miejsce jenerała Weissenhofa; zresztą był Umiński w każdym razie starszym jenerałem od Łubieńskiego,

jemu więc bezsprzecznie należała się komenda całéj kawaleryi obecnéj, zobaczymy jak jéj użył.

Nadszedł dzień 25, zastał w Olszynce dywizyą Żymirskiego tylko z trzech pułków złożoną i sfatygowaną kilkodniowém strzeżeniem téj pozycyi, którą właśnie miała obluzować dywizya Skrzyneckiego, kiedy Rosyanie atakowali tę Olszynę przemagającemi siłami piechoty i artyleryi. Jenerał Żymirski poległ, wielu oficerów poległo, ja sam otrzymałem kilka strzałów karabinowych nieszkodliwych, bo przez zimowy ubiór stępionych, nie można więc mówić że uszczuplone 3 pułki Żymirskiego słabo broniły pozycyi. — Wkrótce jen. Chłopicki został także ranny a choć nie niebezpiecznie, to jednak tak ciężko, że nie mógł daléj być czynnym. Od téj chwili, bez wątpienia, uratowanie honoru i całości wojska winniśmy jenerałowi Skrzyneckiemu który osobiście dzielnym się okazał. Ja sam udawałem się po rozkazy do księcia Radziwiłła po upadku Żymirskiego, nie dał mi żadnych, udałem się do Prądzyńskiego, tego już zastałem w osobistéj rejteradzie ku Pradze, i miał mi oświadczyć, że mi nic innego nie radzi, jąk za jego przykładem udać się, czyli ratować się na Pragę....

Nie przypominając sobie téj ważnéj a nie pięknéj sceny, po 30-letnim przeciągu czasu, udałem się do pewnego znakomitego oficera ze sztabu księcia Radziwiłła, prosząc go o przypomnienie, oto są słowa które mi odpisał:

„Doganiam Prądzyńskiego jadącego wielkim kłusem; w téj chwili przejeżdżamy koło dywizyi Żymirskiego, jenerał widząc go, wyjeżdża ku niemu, wołając: pułkownik Prądzyński! pułk. Prądzyński!...

On zaś ani widział ani słyszał, ja mówię do Prądzyńskiego, jenerał Załuski żąda informacyi....

Prądzyński zawsze kłusując odpowiada:

„Jedna rada którą mu dać mogę, jest żeby tak czynił jak ja, żeby jak najprędzéj jechał na Pragę.“

Nie potrzebuję dodać — pisze dawny oficer sztabowy: że chociaż wówczas miałem najwyższą opinię o Prądzyńskim, ledwie mógłem się wstrzymać od sceny z nim najgwałtowniejszéj, i tylko myśl, że on jest moim przełożonym, i karność powściągnęła mnie — spostrzegłem właśnie Mrozińskiego i opuściłem Prądzyńskiego. Anegdota charakterystyczna, ale czy warta pamięci? może warta . . . wszakże proszę mego imienia nie drukować“—Tyle ten oficer, ale ja, który mam żal nieosobisty, bo bynajmniéj — lecz narodowy do Prądzyńskiego, i który oddam mu sprawiedliwość — tam gdzie mi to miłość prawdy każe, teraz wierny mojéj zasadzie historycznéj prawdy — podaję tę scenę do wiadomości, jako nie pochodzącą odemnie, przezemnie nawet niepamiętaną, ale któréj rzetelny świadek w razie danym nie zaprzeczy lecz owszem potwierdzi.

Nie miałem komendy, a widząc, że i książę Radziwiłł udaje się na Pragę, w jego orszaku, tam stanąłem i widziałem jak dywizya Szembeka, a przynajmniéj jéj część, w nieporządku przeprawiała się przez Wisłę koło Saskiéj Kępy. Będąc już na Pradze, przywitał się ze mną jener. Umiński, którego od kilku lat nie byłem widział, i przychyliwszy się do mego ucha, rzekł mi: „Gdybym był wiedział co się tu u was dzieje, nie byłbym przyjechał.“— Zdziwiły mię i zgorszyły te słowa Umińskiego, z którym nigdy nie miałem zażyłości, przeciwnie uważałem go zawsze za fanfarona — zgorszyły zaś mówię, bo cóż robiła nasza kawalerya wśród całego dnia 25go? jeden Kicki z brygadą swoją szarżował na dragonów rosyjskich, i ta szarża udała mu się. Łubieński nie chciał słuchać Chłopickiego, ale cóż robił Umiński?... wartoż było przyjeżdżać z Prus żeby tego żałować? i żeby nie brać udziału w bitwie z dwiema dywizyami kawaleryi, kiedy tego była najgwałtowniejsza potrzeba . . . .

D. 26go obrano naczelnym wodzem jenerała Skrzyneckiego, o którym już wyraziłem się, że on uratował nas pod Grochowem, i niepojęta niedołężność Dybicza, który na szczęście nasze kłócił się z Tollem. Udałem się zaraz do Skrzyneckiego po rozkaz dla siebie — odrzekł mi: w téj chwili, pełnij obowiązek szefa sztabu przy drugiéj dywizyi, którą powierzam Małachowskiemu po Żymirskim.— Nimem się udał pod Powązki, gdzie się zbierała dywizya, spotkałem się na Krakowskiém Przedmieściu z Szembekiem, który zmoczony od deszczu, przywitawszy się ze mną, z głową zwieszoną, zagadał do mnie: „i cóż ty na to?" ja odpowiedziałem te słowa: „król pruski atakował Warszawę, ale jéj nie wziął!" To ty tak myślisz? odrzekł Szembek, skłonił mi się i odszedł.— Słyszałem że tego samego dnia podał swoją dymisyę— nic mu nie byłem wspomniał o téj jego chełpliwości jaką mi okazał z rana 19go przed rozpoczęciem bitwy... ale pomyślałem sobie, że to nie kandydat, a przynajmniéj nie charakter na naczelnego wodza. — Udałem się więc do jenerała Kazimierza Małachowskiego, tego drugiego Kościuszki ozdobę naszego wojska i mającego tylko jednę wadę rzadką, zbytek skromności. Zająłem się spisaniem raportu o czynnościach dywizyi Żymirskiego, ale że w nim podałem stratę w zabitych i rannych na 1500 ludzi, więc ten mój raport ogłoszony nie był—(umieszczę go w obszerniejszém wydaniu moich wspomnień.) Wkrótce nowy naczelny wódz odbył w Powązkowskim obozie rewię naszéj dywizyi i sam przemówił do nas: że przyjął ten ciernisty wieniec dowództwa, w téj myśli, że będzie naśladował Czarnieckiego; ten Bóg mówił Skrzynecki który uwieńczył tego narodowego wojownika zwycięztwem, pobłogosławi nam i da nam albo zwyciężyć albo poledz ze sławą... przytém kazał żeby żołnierze sami wybierali

tych z pośród siebie których uznają za najgodniejszych nagrody krzyża wojskowego.

Jenerała Małachowskiego powołał do dowodzenia dywizyą rezerwową, na dowódzcę drugiéj dywizyi przeznaczył jenerała Giełguda, ten już w Warszawie na placu Krasińskich rozdawał liczne krzyże dla dywizyi drugiéj przeznaczone.

Póki był istotnym dowódzcą armii naszéj Chłopicki, Prądzyński jak widzieliśmy grał małą rolę, gdzieniegdzie tylko jak w rozkazie ruchu z d. 16 lutego, przebijała się jego niewiadomość lub upór w utrzymywaniu: tak fatalnie zbitém przez Chrzanowskiego, że Dybicz przyjdzie od Łomży.— Chłopicki jako jenerał nieprzyzwyczajony brać rady od podkomendnych, nie dał mu się odezwać: dopiero gdy wybór, Skrzyneckiego z pułkownika wyniósł na naczelnego wodza, zaczął Prądzyński mieć wpływ przeważny: w pretensyi prowadzenia naczelnego wodza za nos, i kopania pod nim dołków ile możności . . . . czy na cel zastąpienia go i objęcia dowództwa? nie . . . dla miłości intrygi . . . a przez tę niewinną na pozór intrygę — Ojczyzna upadła . . . . o czém będzie przy końcu.

Wkrótce potém uznał jen. Skrzynecki potrzebę wysłać rekonesans silny na rozpoznanie pozycyi Rosyan. Giełgud dostał rozkaz udania się na Pragę a Prądzyński przyjechał dla rozpoznania okolicy po za słupem żelaznym gościńcowym, i dostania języka; było to pod noc, wziął na to mały oddział kawaleryi; ale że to pierwsza była jego w tym rodzaju wyprawa, więc o niczém się nie dowiedział, żadnego jeńca nie pojął, a sam podoficera stracił, którego mu kozacy złapali—tak więc zrobił, jak Konopka pod Węgrowem, i co jeszcze w kilku miejscach uważałem, że Moskale wiedzieli o nas a my nic o nich; skutek niedoświadczenia i paradowych informacyj W. księcia; po tej wyprawie wrócił Prądzyński do Warszawy.

Nazajutrz rano przybył Jankowski z dywizyą jazdy i zrobił rekonesans — nie pamiętam czy Prądzyński przybył z Warszawy do niego.. Dywizya Giełguda szła na poparcie Jankowskiego: rekonesans przekonał że się nieprzyjaciel odsunął od Wisły ale się rozłożył po wsiach w bliskości, dla wypoczynku i wygody zimowéj, ale w tém się ten rekonesans nie powiódł, żeśmy stracili pułkown. Błędowskiego, świeżego dowódzcę 3go pułku strzelców konnych, który opuścił swego pułkownika, mającego od armatniego strzału urwaną nogę.

Skutkiem tego wypadku, rozpoczęła się parlamentarska negocyacya o wyzyskanie rannego Błędowskiego, a następnie korespondencya jener. Skrzyneckiego z Dybiczem, któréj celu nigdy nie rozumiałem, a która naczelnemu wodzowi dużo zaszkodziła w wojsku, a jeszcze więcéj w opinii powszechnéj.

W dzień wielko-czwartkowy w rocznicę powstania Warszawy w r. 1794, zamyślił naczelny wódz zrobić wycieczkę na Geismara. Niemcy, którzy sądząc się być we wszystkiém wyższymi od Polaków, wystawiają sobie, że my nic nie możemy postanowić bez picia, popisali baśnie, że Skrzynecki w wieczór przed tą wyprawą dawał wesołą biesiadę *) dla zachęcenia swoich, jak oni mówią Sarmatów, do boju w następnym dniu . . . Dla zbicia téj nędznéj baśni, podaję tu najrzetelniej: że u naczelnego wodza wieczorem przed rozpoczęciem wycieczki, nie było prócz dwóch lub trzech oficerów kwatermistrzostwa, tylko kilku nas szefów sztabu korpusów działać mających — może niektórzy z nas pili herbatę, ale ani jednego kieliszka wina nie było, ani najmniejszego podobieństwa do tego, w ciągu mojéj 20-kilkoletniéj służby . . . Wtém wszedł członek rządu Lelewel i prosił jenerała żeby mu pozwolił trochę prochu dla obchodze-

*) Uwaga autora: nawet Willisen . . . .

nia salwą armat, gwardyi narodowéj, rocznicy pamiętnego powstania Warszawy w r. 1794. — Skrzynecki uśmiechnąwszy się odrzekł Lelewelowi, że on właśnie tę pamiątkę chce obchodzić, ale że mu każe wydać ilość prochu potrzebną — lecz prosi go, żeby swojéj salwy nie rozpoczął póki nie usłyszy pierwéj jego salwy za Wisłą... zdumiał się Lelewel, ale ucieszył się mocno przedsięwzięciem naczelnego wodza — poczém my powołani, rozeszliśmy się każdy do swego korpusu i natychmiast na całą noc rozpoczęliśmy ruch na Pragę.

Taka jest rzetelna relacya téj zeszpeconéj przez Niemców nawet gdy są życzliwymi, zawsze *przygłuchych*, wieczornéj rady, u owego, z pułkownika romantycznie wyobrażonego przez Niemców, naczelnika powstania.

Wycieczka na korpus jenerała Geismara, zostawiony przez jenerała Dybicza pod Wawrem w obserwacyi Warszawy, będąc skutkiem błędu Dybicza zgorzéj informowanego o stanie naszej armii, udała się niezgorzéj, lubo mogła się udać lepiéj, bo Geismar powinien był zostać zupełnie zniesiony; co że się nie udało, temu jest winien atak flankowy przez Rybińskiego i Ramorinę, albo zanadto wcześnie, albo nie dość w tył Geismara wykonany — co do ataku naszego z frontu, tyle tylko zarzucić mogę ś. p. Kickiemu, że go wykonał nadto — *en tattonant* — to jest nie obcesowo, jak na kawaleryą przystoi, zwłaszcza mając tuż za sobą poparcie całéj dywizyi piechoty Giełguda... atoli jak było tak było, pod Wawrem było nie źle, teraz dopiero po Wawrze zaczyna się błąd po błędzie:

Gdzie był naczelny wódz żeby korzystać z rozbicia Geismara? Był gdzieś daleko.—Jak się stało że do ścigania cofającego się Geismara nie było ani jednego kawalerzysty?... co więcéj ani jednéj armaty? widząc to,

udałem się do kawaleryi, najprzód do Kickiego *) po-
ém do pobliskiéj jazdy, wszędzie odmówiono mi udzia-
łu, pretendując wielkie znużenie koni . . . a nie widzia-
łem nigdzie naczelnego wodza, żeby mu przedstawić,
że nieprzyjaciela piechotą ścigać nie można . . . chyba
tam gdzie nie ma kawaleryi . . . Przyjeżdżam do półba-
teryi która aż pod Wawr była szła z nami na przodzie,
pytam się kapitana: **) dla czego stoi z artyleryą, kie-
dy widzi że korpus maszeruje? odpowiada mi: „że pan
jenerał go zatrzymał“ — jaki jenerał? pytam z gnie-
wem— wskazuje mi na jenerała Krukowieckiego stoją-
cego na wzgórzu przy gościńcu.— Jakto, mówię do nie-
go — pan jenerał zatrzymujesz nam naszą artyleryą!
i t. p. — odpowiada Krukowiecki: „A kiedy p. jene-
rał każe, to pan kapitan maszeruj“ ... Zazdrościł *nik
czemnik* że się Skrzyneckiemu wycieczka udała! niepo-
mny, że tamując postęp Skrzyneckiemu, hamował spra-
wę narodu... Ale kogóż to mogło dziwić co znał Kru-
kowieckiego od r. 1807, w roku 1813 a nawet w ro-
ku 1830 i t. d. . .

Tymczasem od Wawru do Brzezin blisko Dembego wiel-
kiego ani jeden kawalerzysta nieprzybył ścigać Geismera,
ani ktokolwiek bądź ze sztabu głównego nie zajrzał
co się z nami dzieje. Nakoniec przyjechał pojazdem na-
czelny wódz uradowany, że się bez niego wszystko nad
jego spodziewanie udało. Tu po wyjściu z lasu jen.
Skrzynecki uszykował wojsko do ataku Dembego.—
Pod tym względem nie mam nic do zarzucenia, prócz
tego co tyle razy już powtarzałem, że było za późno—

---

*) Powtarzam w brew twierdzeniom pisarzów, że Kicki i żaden kawalerzysta nie poprzedzał dywizyi Giełguda, aż do przybycia naczelnego wodza.

**) Żałuję bardzo, że niepomnę nazwiska.

Jan Leduchowski przywiózł mi rozkaz ustny naczelnego wodza udania się na lewe skrzydło z dwoma batalionami strzelców pod rozkazy i do wsparcia jen. Małachowskiego, czego dopełniając i pod kierunkiem szanownego weterana prowadząc strzelców do attaku, byliśmy tak przyjęci kartaczami, że musieliśmy się cofnąć w krzaki i do póżnéj nocy utrzymywaliśmy tylko pozycyą tyraliorowaniem... ale wśrodku wojska naszego, ktoś wpadł na szczęśliwą myśl naśladowania sławnego natarcia pod Somosierą, czy Ambroży Skarzyńki jener. czy Henryk Dembiński? dość że jen. Kazimierz Skarżyński to natarcie szóstkami po szosie przez całą wieś Dembe, jako przez defilé bohatersko i zwycięzko wykonał, i w jednéj chwili decydując całą bitwę, okazał najwidoczniéj: cobyśmy byli mogli zdziałać, gdybyśmy byli od Wawru ścigali rozbitych Rosyan, nie piechotą, ale kawaleryą... Swietne było zwycięztwo! to prawda, ale nie zupełne, nie dostateczne. Cóżby na to powiedział Cezar: nil actum reputans siquid superesset agendum; który mniemał że jeszcze nic nie zdziałał, wtenczas, kiedy mu jeszczeby cokolwiek do zdziałania pozostawało...

Uszczęśliwieni zwycięztwem, tak łatwem, a może nadspodziewanem, zaczęliśmy od tego, żeśmy całą jazdę, zamiast nią ścigać rozbitków, odesłali w tył do Brzezin! dla chwalebnego popisu i wytchnięcia koniom i zmordowanym kawalerzystom!... Reiterował sobie zatem Rosen swobodnie jakby wracał do domu po kolacyi... tylko go to musiało kłopotać, że zgubił swój pugilares, a znim arcyciekawy rozkaz ruchu Feldmarszałka Dybicza, wzór niedołężności albo zarozumienia, rozkaz którego Geismar i Rosen, padli tylko lekką ofiarą, a którego długi, sam Dybicz powinien był srogo wypłacić... gdyby nienastąpiło to, o czem będzie niżéj.

Nazajutrz rano, a zatem 1 kwietnia zaszczycił mnie jenerał naczelny honorem, że mnie szukał, przybył więc do skromnéj kwatery w jakiéj nocowałem z jen. Giełgudem w Dembem i pokazując mi pugilares Rosena, na jego ordynansie w wigilią zdobyty, gdzie wszystko po rossyjsku pisane było, zapytał mnie czy ja to potrafię wytłumaczyć; na moją odpowiedź, że jeżeli niedokładnie, to przynajmniéj główny sens potrafię wyczytać, zwłaszcza że pisma urzędowe są zwykle czytelnie pisane; przejrzeliśmy pugilares w którym najciekawsza była dyspozycya feldmarszałka Dybicza, Rosenowi dana. Dyspozycya ta znajduje się w treści w II tomie dzieła Smitta na str. 16. Tak jak cała wojna z Polską, wyrachowana była ta instrukcya, na słabość Polaków, a na moc Rosyan, któréj moralnéj nie było. — Smitt mówi, że Dybicz wydawszy te instrukcyą Rosenowi odjechał sobie: „zufrieden und nichts besorgend“ — dobrego humoru i niczego złego nieobawiający się — z tego tedy rozkazu Dybicza, czyli raczéj z kilku pism jego do Rosena, dla tegoż coraz zgubniejszych, okazało się: że ani Geismar ani Rosen nie byli tak spokojni jak pan feldmarszałek, i że go reflektowali, ale on im te uwagi zawsze miał za złe, utrzymując i powtarzając im: że Polacy są tak zdezorganizowani, iż ani myśleć można o ich wycieczce za Pragę zwłaszcza w jakiéj większéj sile. — Ciekawa rzecz gdzie wódz naczelny złożył ten pugilares Rosena? i czy się po stracie Warszawy nie dostał nazad do Imperatora, byłby mu trochę napsuł humoru, że miał feldmarszałka tak wesołego, jak o nim powyżéj wzmiankujemy.

Ale kiedy my się cieszymy i zabawiamy kosztem Dybicza...co robi wypoczęte wojsko polskie?... Nieprzyjaciel nasz Smitt mówi — już nie o zaniechanem ściganiu wczorajszem z pod Wawru, i od Dembego, ale o ściganiu z dnia następnego, o całe 3 godziny za

późnem, tak na trakcie do Kałuszyna, jak na bocznych drogach, którędy wszędzie Rosyanie się cofali... bolesno to było starym żołnierzom Napoleona... a dziwno tym, co n. p. pod naśladowaną Somo-sierą; po szarży z samego mglistego poranku w kilku minutach wykonanéj, ścigaliśmy uciekających aż do późnego wieczora bez wytchnienia, to jest: że choć który szwadron zatrzymał się dla koni, inne ciąż ścigały i tak pokolei... ale cóż powiedzą czytelnicy? że coraz szło gorzéj. Niewiem jak dalece p. Władysław Zamojski przyczynił się do gonienia i ścigania nieprzyjaciela, ale jemu powszechnie przypisywano, większą część tego skutku, jakiśmy widzieli... tymczasem stawaliśmy po kilka razy, nie luzując kolumn znużonych... aż nakoniec przyśliśmy pod pagórek, już widać w blizkości wzgórza wznoszącego się z téj strony Kałuszyna; tu kazał się naczelny wódz zatrzymać całéj swéj kolumnie, obawiając się żeby na zakrytéj przez pagórek pozycyi, Rosen lub kto inny nadspodziewany, nie czekał go tam z potęgą. Kazał mnie wykomenderować z dwoma batalionami na lewo przez las, a że doświadczeniu jenenerała Giełguda nieufał, więc poważny Małachowski, wdrożył mnię w to niby oskrzydlenie nieprzyjaciela, którego skutkiem, po rozmaitych nadaremnych manewrach i macaniach, *tattonements*, wszedłem już pod wieczór do Kałuszyna, pierwszy wprawdzie, ale niezastawszy tam ani jednego moskala... dopiero po wiadomości téj tak spokojnéj zdobyczy, ruszyła kolumna naprzód, jenerał Łubiński z jazdą ku Bojimiu, a jenerał Skrzynecki z główną kwaterą do Kałuszyna, gdzie i dywizya Giełguda została, i wielka część starszeństwa wojska. Nazajutrz a zatem dnia 2 kwietnia, chodziło o to: co będziemy daléj poczynać: czy brać Siedlce? czy rzucić się bokiem wtył Dybicza?... Zdawało się najlepiéj, iść nam prędzéj całemi siłami na Siedlce, a zdobywszy je

ścigać niedobitki aż do Międzyrzecza, i dopiero ztamtąd działać na tyły Dybicza... ztego wszystkiego zrobiliśmy *nic*. — Wielkie było nieukontentowanie między jenerałami zgromadzającymi się u Giełguda. Skrzynecki wahał się i aureolą zwycięztwa ozdobny, nie przyjmował rady... zrana zaś d. 3 kwietnia wydarzył się wypadek, który czytelnicy za *zmyślony* poczytywać zechcą ale ja im zaręczam za prawdę. Rano widzę w rynku zgromadzenie kilku osób robiących obserwacye jakieś na horyzoncie w około Kałuszyna... między niemi Prądzyńskiego...wychodzę do nich, i cóż słyszę! kwatermistrz jeneralny, brał wyziewy z lasów do wschodu słońca unoszące się... za sygnały nieprzyjaciela grożącego nam otoczeniem!... niewiem czy napróżno przedstawialiśmy mu, że to są proste wapory... ale sama myśl taka w głowie kwatermistrza jeneralnego, o jakże wiele się różniła od obcesowego korzystania z otrzymanego zwycięztwa!... gdy się ta teatralna scena odbywała, zapewne jeszcze wódz naczelny odpoczywał z trudów.

Willisen przypomina, naukę Napoleona: „je ne connais que trois choses à la guerre; c'est faire quinze lieues par jour, combattre et rester en repos;“ to jest: trzy tylko przepisy znam w wojnie, maszerować 8½ mil na dzień, bić się, a potém odpoczywać; nie ma racyi Willisen gdy tego po nas żąda, w naszych piaskach i błotach; ale tu od Warszawy do Międzyrzecza, na szosie, ma kompletnie racyą... lecz myśmy sobie wyperswadowali Siedlce, jako niepewnego zdobycia, tem więcéj Międzyrzec, a poszliśmy na *święcone*. — Skrzynecki do Siennicy, Giełgud do Cegłowa, z tą różnicą: że Siennicy dostarczyła święconego Warszawa, nam w Cegłowie, ksiądz Pleban. Nictu teraz dla czytelników moich niema ciekawego, byłem z Cegłowa i w Siennicy i w Latowiczu i t. d, i t. d. same ruchy mało

znaczące, bez planu bez skutku — przejdźmy od razu do bitwy pod *Iganiami*: co ta miała znaczyć? podobno: *nieboszczykom* niewiadomo. Oczywiście była myśl zdobyć Siedlce, ale dla czegóż dopiero 10 kwietnia?... mnie jest wiadomo, że Skrzynecki znudzony bezprzestannemi — aczkolwiek bardzo *słusznemi* i *potrzebnemi* upominaniami Prądzyńskiego, żeby coś robić; chcąc się go pozbyć i doświadczyć jego talentu wprowadzeniu korpusu, powierzył mu główny attak na Iganie. Było to nie pięknie ze strony Skrzyneckiego, zwłaszcza: że tu niechodziło o osobistości dwóch, już *nieprzyjaciół* — ale o sprawę świętą. Było to jednak, nie uchybienie moralne, ale skutek słabego charakteru jenerała Skrzyneckiego, bo powtarzamy: nieszczęście kraju! nieszczęście jenerała! jeżeli potrzebuje rady czyjéj; jeżeli niema w sobie wyższego nad wszelkich otaczających go zdania i talentu Skrzynecki naczelny wódz miotał się między Chrzanowskim i Prądzyńskim zawsze niezgodnymi... a sam wahał się, był lękliwy, zbyt ostrożny, owo zgoła wyborny na jenerała dywizyi, ale nic więcéj. Bitwa pod Iganiami powierzona Prądzyńskiemu, tak jak była, możeby się nie udała gdyby tam Bema nie było. Bem acz w niskim stopniu jeszcze, ale dowódzca przedniéj bateryi konnéj, ożywił Prądzyńskiego i okrył go chwałą, lecz cała expedycya nie osiągnęła skutku a.. przyniosła nam *cholerę!* Klęska ta, którą podzielali i Rossyanie i to w większéj od nas proporcyi, była dawno przewidzianą. Jeszcze nim się zaczęła wojna, pisaliśmy z Warszawy — ja sam pisałem artykuły do gazet i do pojedynczych osób: że Europa powinna zwrócić uwagę na Wojnę Polską, bo wojska Rosyjskie zarażone cholerą i dżumą, w tureccyznie, niezawodnie przyniosą je do Polski, a ztąd się po całéj Europie rozejdzie, niebyło to tajemnicą; dawno wiedziano o zbliżającéj się klęsce, a nawet czynion

na pograniczach kroki zachowawcze, ale nienawiść sprawy polskiéj, przemogła bojaźń cholery i zarazy... Późniéj, jak się już cholera w obozach wojujących rozszerzyła, pisano wielokrotnie za granicę... ale daremnie; nakoniec śmierć feldmarszałka Dybicza, uczyniła tę klęskę głośną... wszystko napróżno... zostawiono nas samych sobie...a jednak, gdyby nie różne przyczyny, których bolesne wyjaśnienie jest mojem staraniem, niebyły zaszły: bylibyśmy, albo zwyciężyli, albo długo jeszcze po za r. 1831 walczyli, a w każdym razie, poniżenia naszego — chcę mówić o starszyznie wojskowych — nie przeżyli.

Ponieważ więc od Igań, aż do ruchu przeciwko gwardyom Rosyjskim nic się nie wydarzyło, co by na los wojny mogło wywrzeć wpływ stanowczy, przechodzę do chwili, kiedy od obowiązku szefa sztabu w dywizyi Giełguda, zostałem powołany z Kałuszyna do sztabu głównego do osoby naczelnego wodza jenerała Skrzyneckiego.

Dnia 5 maja 1831 odebrałem rozkaz naczelnego wodza, podpisany przez kwatermistrza jeneralnego jener. brygady Prądzyńskiego, zdania mojéj służby pułkownikowi kwatermistrzowstwa Kossowi, a udania się bezzwłocznie go Jędrzejowa do głównéj kwatery. Opuściłem więc Kałuszyn, gdzieśmy byli obchodzili w całych obozach, rocznicę 3go maja, i udałem się do głównéj kwatery. Miałem długą rozmowę, aż do późna w noc, sam na sam z jenerałem Skrzyneckim, dawnym znajomym, ale nigdy niepoufałym. Wielkiéj etykiety między nami być nie mogło, bo w r. 1820 kiedy się podałem do dymisyi z stopnia adjutanta Imperatora, Skrzynecki starał się przezemnie o to miejsce, ale go niedostał, zapewne z niechęci W. księcia Konstantego. Pierwsze i *najważniejsze* było to: że ja słysząc różne zdania naczelnego wodza, uczyniłem mu uwagę: „jak

widzę jenerał jesteś nie dobrze z członkiem rządu Lelewelem! ja na miejscu jenerała starałbym się najwięcéj o jego przyjaźń, i chciałbym go mieć moim poufnym w rządzie. Trudno było nie tylko od razu, ale i z czasem przerobić człowieka upartego, a takim był Skrzynecki. Druga materya nie mniéj ciekawa, było pytanie z mojéj strony: „dla czego jenerał nie starałeś się korzystać z odniesionego zwycięztwa pod Dembem Wielkiem?“ na to odpowiedź: „słyszałeś ty kiedy żeby kto wziął w niewolę 11000 moskali i (podobno) 16 armat?“ Na to ja: prawda że nie słyszałem, jak tylko o 5000 z Alsufiowem jenerałem w kampanii Napoleona w 1814 roku... ale cóż ztąd? kiedy Dybicz nie pobity, i sprawa nasza nic nie korzystała? — Skrzynecki odrzekł, „dla mnie to dosyć.“ To są główne przedmioty naszéj rozmowy. Nie chcąc zostawić mego szefa w złem jakiem uprzedzeniu o mnie; pożegnałem go zapewnieniem: że się może spuścić na mój sekret we wszystkiem, i na zupełne poświęcenie się, tak służbie, jako i sprawie za którą walczymy, że ja w podrzędnéj mojéj roli, będę wypełniał co mi moje przekonanie i moja powinność nakazuje, ale że on na swojem miejscu niech ma, jak nam zapowiedział, za wzór, Stefana Czarnieckiego, i owe godło wielkich wojowników; na niczem nieprzestawać, gdyby co pozostawało jeszcze do osiągnienia; przedstawiałem mu możliwą wielkość jego przeznaczenia, i jak cała nadzieja narodu polega na nim. Zdaje się żeśmy się w najlepszym stosunku rozstali, ale ja przekonany o dzielności osobistéj Skrzyneckiego który nas uratował pod Grochowem, na com się patrzał — nie odniosłem z sobą pożądanego wyobrażenia, że to będzie wódz więcéj uzdolniony od Kościuszki. — Wkrótce po mojem przybyciu do głównéj kwatery przyszedł do skutku marsz na gwardye rosyjskie. Plan ten który mi był pod sekretem udzielony, zdawał się

obiecywać nieomylne przewagi, wykonano ruch zręcznie i tajemniczo, a 12 maja opuściliśmy Jędrzejów; miły był pobyt naszéj głównéj kwatery w Jabłonnie, przypominającéj świetne czasy, i osobę Księcia Józefa Poniatowskiego; ale nigdzie w całéj téj wyprawie na gwardye, nie dawał jen. Skrzynecki żadnych bankietów, tem mniéj pijatyk, o których zawsze niemcy piszą; i jeżeli kochany nasz Ludwik Kicki, obiecać mógł pani Skrzyneckiéj, sześć białych koni z pod huzarów gwardyi imperatorskiéj, jakto piszą niemcy, to mógł to każdego dnia i bez toastu i bez wina uczynić, boć to nie było tak trudno. Nic nie było przyzwoitszego jak stół sztabu naczelnego wodza; na osobnym stoliku obiadował Skrzynecki we dwie lub trzy proszone osoby najwięcéj — a stół sztabowy długi, prezydowany przez którego z obecnych jenerałów, mieścił nieograniczoną ilość oficerów będących przy sztabie, lub z depeszami przybywających. Między Jabłonną i Sierockiem, (którego miejsca sobie przypomnąć nie mogę) gdzie naczelny wódz wyznaczył jen. Chłapowskiego na dowódzcę wyprawy na Litwę, w miejsce jen. Jankowskiego który się z takowéj wymówił, nastąpiło zdarzenie, właśnie kiedy sztab cały miał zasiadać do pospiesznego obiadu. Wchodzi jen. Skrzynecki i prowadzi młodego człowieka za rękę: „oto jest moi panowie! rzekł, wzór patryotyzmu, pan W. akademik wileński, który z niebezpieczeństwem życia przez największe trudy, przebył wojska nieprzyjacielskie, żeby nam przynieść pozdrowienie i wiadomość od braci Litwinów powstających, polecam go ww. pp. jako naszego kolegę“ etc. gdy wtem, ten niby patryota, dowiedział się o mojem nazwisku, przystępuje do mnie i rozpowiada o bitwie pod *Kowganami* gdzie mój brat Karol, dowodził; pytam go o jaką kartkę do mnie, odpowiada: że miał pisma i do mnie i do naczelnych wojsk narodowych, ale że musiał wszystko

zniszczyć, będąc kilka razy przez moskalów przejmowany. Biorę na bok jen. Skrzyneckiego, i reflektuję go, że mi ten jegomość jest podejrzany, i że nie widzę przyczyny, żeby go naczelny wódz tak wysoko podnosił.

Bardzo mi za złe wziął naczelny wódz ten rygor nieżyczliwy dla studenta wileńskiego, posadził go u stołu oficerskiego, polecając, a po obiedzie kazał mu dać rekomendacyą do Warszawy i parę set złotych na ekwipowanie się — dopiero w r. 1832 dowiedziałem się w emigracyi od mego brata Karola marszałka powiatu Upitskiego, że to był sławny szpieg, który broił i we Francyi i późniéj. W r. 1833 był przewodnikiem jednéj małéj kolumny partyzantów, poprowadził ją prosto na stratę, i był przyczyną śmierci jednego męczennika, którego nienazywam żeby się nie omylić, ale było to w Grodzieńskiem.

Nie jeden to był przykład zbyt dobrotliwéj łatwowierności jen. Skrzyneckiego, które przymioty spokojnego obywatela, niesą bynajmniéj cnotą dla wodza. — Przybyliśmy do mostów nad Narwią i nad Bugiem pod Sierockiem; ufny w dobry los wyprawy, cieszyłem się tymi mostami z dawnym kolegą szkolnym jenerałem *Ignacym Leduchowskim* z Modlina, i przypominałem sobie mosty na Dunaju pod Lobau; wtenczasto, mniéj więcéj, dany mi był za adjutanta, rekomendowany przez godnego jenerała Kaźm. Małachowskiego utalentowany oficer, *Józef Tański* znany w emigracyi, do jego świadectwa i świeższéj od mojéj pamięci, odwołać się mogę od téj chwili, aż do końca wojny.

Zgadzam się z pisarzami militarnymi o téj wyprawie, że już potyczka pod Dlugo-Siodłem zrobiła wrażenie na umyśle Skrzyneckiego, zwłaszcza oświadczenie oficerów od finlandzkich strzelców wziętych w niewolę, a którzy się w téj wyprawie, nadzwyczajnie bili, że

Finlandyi jest dobrze pod panowaniem wielkiego mocarstwa, że oni należą do małego kraju, który jak Polska powstawać nie może. Zgadzam się zwłaszcza z uwagami *Mirosławskiego*, że przyczyną nieudania się wyprawy na gwardye, było niepotrzebne i zbyteczne oddalenie jenerałow Łubieńskiego i Giełguda, że gdy jenerał Skrzynecki po różnych osłabieniach się: do Nura, do Ostrołęki, do Łomży, stanął pod Sniadowem, oko w oko z korpusem W. ks. Michała, wahał się: czy go attakować, czy nie? bo nie ufał w zwycięztwo... a cóżby było, gdyby już od gwardyi był porażony, w takiem oddaleniu od Sierocka, Modlina i Warszawy... że bitność Finlandczyków zrobiła była wrażenie na jego umyśle... ależ kiedy tak, to nietrzeba było tyle oddalonego ruchu przedsiębrać, albo raczéj, lepiéj go skombinować. Tu więc nie mogę mieć za złe jener. *Prądzyńskiemu*, że się z wodzem spierał; lecz to mu mam za złe: że to nie czynił jawnie, otwarcie, po żołniersku; ale obrażliwie, chytrze i w sposób nieodpowiedni swojéj służbie i dwoistym obowiązkom: kwatermistrza jeneralnego i szefa sztabu, w jednéj osobie! jakże w takim razie opuszczać swego naczelnika! i zamiast pomagania mu, knować spiski i gotować potajemnie akt oskarżenia.... Oddalenie się *Prądzyńskiego* od swego wodza do Łomży, mogłoby mi dać materyą do różnych szczegółów, ale dalekim jestem od pisania paszkwilu, i zachowuję to tylko w swojéj pamięci, tak jak wiele późniejszych okoliczności. Pod nieobecność Prądzyńskiego, zdarzyło się, że Skrzynecki przyszedł na czele kolumny, pod las *Mężeniński* pod Rudkami; kazawszy *Jankowskiemu* atakować ten las, przywołał do siebie jen. *Bogusławskiego*, *Kickiego* i *Skarzyńskiego*, i dał zwłaszcza dwom pierwszym, na kartkach własnoręcznie pisanych, nazwiska wsi przez które mieli się pierwszy na lewo, drugi na prawo kierować, żeby rzeczony las

oskrzydlić i zająć tył pułkom Rosyjskim będącym w tym lesie — ta instrukcya zbyt drobiazgowa, z karty niedość dokładnéj *) wypisana, była przyczyną, że się oba zapóźnili, celu niedopięli, i że my, zamiast zdobyć ten cały oddział Rosyan będący w lesie, doznaliśmy od niego znacznéj straty. Jenerał Jankowski ledwie się wydobył z osobistéj niewoli, a strzelcy Kuszla dużo ucierpieli, mając strzelby mniéjszego kalibru i bez bagnetów. — Prócz owego drobiazgowego wahania się, które trzeba wybaczyć naczelnikowi, co tylko w stopniu szefa, batalionu, odbywał dzielnie dawniéj wojnę: niedodarowania zaś jest, powolność marszów, tę to krytykuje *Willisen*, jak to wyżéj mu wyrzucaliśmy; i bezwątpienia, nie można manewrować w Polsce tak jak we Włoszech; ale nie umiejąc maszerować, przybywając wszędzie zapóźno, nie można przedsiębrać takiéj wyprawy, jaką była ta: od Jędrzejowa przez Jabłonnę do Tykocina! Wszędzie brak energii tak w Skrzyneckim jak w Prądzyńskim etc. etc. Gdy nakoniec przybyliśmy pod *Tykocin*, a ja widzę że Skrzynecki kazał przechodzić Narew... przybliżyłem się do niego, i zapytałem na ustroniu: dokądże to jenerał myślisz dążyć?— „Do Litwy, do Białegostoku, jak najdaléj!“ była odpowiedź.... Stanęły mi na myśli, dwa słowa: Dyktatora i Chłopickiego 1 dnia pod Grochowem, nie takiéj odpowiedzi godna była moja uwaga, przyjaźna i skromna... a cóż dopiero! gdy mieliśmy niezgrabnie wypuszczonego W. Księcia przed sobą, a wiedzieliśmy że Dybicz nie może się zbliżać — ale zdaje się że naczelny wódz był o tem zapomniał, a że szczęśliwe dostanie się Chłapowskiego do Litwy, zaogniło jego wyobraźnię...zapóźno. —

*) Mappa Prus, z całem król. pol. kongresowem Engelhardta: w Berlinie 1819.

Dnia 19 Maja z pod Księżopola wyprawił naczelny wódz jenerała Chłapowskiego na Litwę, z nim udał się mój adjutant Hordyński, bywszy inżenier przy Dyrekcyi dróg Christianiego, niemając odtąd o nim wiadomości, zamieszczam tę o nim pamiątkę.

Gdyśmy byli pod Modzelami, przysłał nam jenerał Chłapowski, jeńca, pułkownika Scharnhorst adjutanta W. Księcia Michała, tego oddał mi jenerał Skrzynecki pod dozor. Gdy go śpiącego zapytałem o papiery? on przyzwyczajony do Ruskich obyczajów, wyjął z zanadrza pęk bumażek, i ofiarował mi je — nie przyjąłem tych, ale badałem o papiery służbowe, tych oświadczył że niema żadnych, i niemiał ich istotnie — dużo i długo miałem ambarasu z tym znakomitym jeńcem — adresowałem go, do pułkownika Wyleżyńskiego komendanta jeńców Rosyjskich pod Częstochową, i sądzę, że tam doznał tyle ludzkości jak w głównym sztabie, i że oddał w swojem miejscu, sprawiedliwość obchodzeniu się naszemu z jeńcami.

Tak tedy d. 21 maja stanęliśmy główną kwaterą w Tykocinie; pomijam żem był z osobistéj ciekawości z jenerałem Konarskim w potyczce na prawym brzegu Narwi, bo to do mojego pisma nie należy. — Jakiekolwiek mogły być rozmyślania militarne, miło było oglądać granicę, i posąg naszego Bohatera Czarnieckiego, którego wzięliśmy sobie byli za wzór, którego mieliśmy zapewne dobre chęci, ale dalecyśmy byli od posiadania jego energii a zwłaszcza też jego ruchliwości. Piękne, miłe i orzeźwiające było Te Deum u tego posągu — wesołe przyjęcie prezesa rządu narodowego, i zacnych z nim przybyłych z Warszawy gości... ale kiedy ja oddaliłem się od zgiełku, zdało mi się zrazu, że słyszę tupot koni w stajni, lecz gdy to nieustawało, wybiegam na dwór, i słyszę wyraźnie daleką kanonadę... oczywiście zbliżenie się Dybicza! przykre, ale jak się zdaje,

jeszcze niespodziewane przez Skrzyneckiego, obudzenie się ze snu upajającego... Co się stało z księciem Czartoryskim? nie wiem, nie pamiętam... ale przenoszę się do Ostrołęki, bo to jest *główny* przedmiot mego pisma. Byliśmy niemal razem w mieście na kwaterze: jenerał Skrzynecki, Prądzyński i ja; stanął plan: że przejdziemy Narew pod Ostrołęką w zupełności; to jest, nie zostawiając *nic* w *Ostrołęce*; że oba mosty, tak *stały* jak i *doraźny*, będą doskonale zniszczone, że armia nasza rozłoży się po prawym brzegu Narwi, zostawując lewy Dybiczowi, że będziemy się opierać lewem skrzydłem o ufortyfikowaną Łomżę, i zostawać w związku z Litwą, a prawy flank, rozciągniemy aż do Sierocka, i będziemy w związku z Modlinem i Warszawą... że tak będziemy się przypatrywać: co pocznie Dybicz, i w miarę tego dalsze przedsiębrać kroki — czy ten plan był wykonalny? nie tu miejsce późnego rozbierania, dość że plan był taki. — Zaspokojony tą naradą wyszedłem z głównéj kwatery, i boleśnie zdziwiony byłem, mnóstwem powózek, które wszelki ruch, wszelki przystęp artylleryi, tamowały... coś podobnego widziałem tylko nad Berezyną... ale pod Ostrołęką nie było zimy, i my byliśmy w swojéj ojczyznie. — Pojmuję: że taka ilość bagażów, nie małą była przeszkodą szefowi sztabu kwatermistrzowi jeneralnemu, do przedsiębrania i wykonania zniszczenia mostów... Napoleon był by tém dziełem kierował *sam*, ale nasz wódz, spuścił się na Prądzyńskiego... Jakkolwiek bądź, wojska przez całą noc przechodziły, i gdyśmy nazajutrz rano przejeżdżali przez mosty, zdawały się na oko, do zniszczenia przygotowane. Jak się nazywała wioska w któréj stanął sztab główny? czy Kruki? czy ja gdzie stanąłem w oddalonéj chacie? w tém niema nic ciekawego, ale to sobie jeszcze pierwéj przypominam, że przejechawszy most, zastałem na grobli do niego prowadzą-

céj, dwie armaty bez zaprzęgu... Zawsze byłem nieprzyjacielem dwóch armat, i gdybym był kiedy kommenderował, wtenczasbym tylko był użył 2ch armat, gdybym niemiał więcéj. — Lubo panowała cisza, i wszystko na oko działo się w porządku, złowrogie na mnie wrażenie zrobiły te dwie armaty — wracam do swego: Czy już *zdaleka* słychać było kanonadę? czy jeszcze nie? to mała okoliczność... ale Prądzyński ujrzawszy mnie, a chcący się popisać ze swoim stylem, bierze mnie na stronę i deklamuje mi swój rozkaz do Łubieńskiego.

P. Ludwik Mirosławski pisze o téj fatalnéj Ostrołęce: „Planu żadnego nie było... pogróżką trudności rozebrania mostów, spodziewał się zapewne kwatermistrz jeneralny wykazać Skrzyneckiemu: niedorzeczność oporu Łubieńskiego przed Ostrołęką i t. d.“ Niewiem zatem, czy to, co przytoczę, było z wiadomością wodza naczelnego, czy samowładnym konceptem Prądzyńskiego? ale oto jest treść tego co z ust jego czytane słyszałem:

„Niepotrzebuję jenerałowi wystawiać jak drogą jest każda piędź ziemi naszéj... Masz więc jenerał bronić jéj uporczywie, i każdą, tylko krwią oblaną ustąpić nieprzyjacielowi“ i t. p. był to więc rozkaz jenerałowi Łubieńskiemu *jaknajwolniéj* cofać się przed Dybiczem.. ułożony w nieprzyzwoitych wyrazach do jenerała, który zdobył Somo-sierrę i przyczynił się do wybawienia Napoleona nad Berezyną... od młodego sztabowego oficera...ale nie o to tu idzie...*ten rozkaz*, przez obrażonego jenerała, aż nadto literalnie wykonany, był *przyczyną* — a bolesno mówić! *może jedyną* przyczyną bitwy, czyli rzezi pod Ostrołęką... otóż to jest, *jeden z głównych*, ale nie *ostatni* punkt, mego pisma. Cóż się stało, skutkiem tego niepojętego oporu Łubieńskiego? oto, że Moskale wpadli do *Ostrołęki* pomieszani z naszymi, i podobnież *na mosty*.... że cały plan

o którym może p. Mirosławski niewiedział — właśnie przez tego był zniweczony, któremu on Mirosławski zasługę przyznaje, że czuł, znał, i odradzał niedorzeczność oporu Łubieńskiego przed miastem Ostrołęką... *rzecz godna rozwagi i sprawdzenia*, żyje jeszcze tyle świadków...

Naturalnie gdyśmy przepuścili grenadyerów Dybicza przez mosty...musieliśmy się bić...bo przecie uciekać nie mogliśmy...ale to nie była batalia...to był napad, przez Skrzyneckiego nie spodziewany. On był zajęty wypoczynkiem ztrudzonego żołnierza, i wyprawianiem do braci Litwinów, braci Wielkopolan, téj dzielnéj i świetnéj młodzieży, o któréj Napoleon w Wilnie powiedział: „Jeżeli wszystkie prowincye polskie okażą takiego ducha, jaki zastałem w Poznaniu...będziecie Polakami...

Kiedy więc naczelny wódz ani myślał — i mógł nie myśleć — o bitwie, pan kwatermistrz jeneralny i szef sztabu, zprowadził mu ją...cóż miał robić Skrzynecki? oto, gdyby był przewidział co się stać miało: użyć Bema od razu, tak jak go użył pod wieczór — zniszczyć pierwsze zastępy nieprzyjacielskie, i spalić mosty, które jego niedołężny pomocnik, zachował... a to wszystko, nim Dybicz przyszedł do zmysłów, i nim Toll ustawił bateryę nie dwóch, ale ośmiudziesiąt armat na lewym brzegu Narwi, którym eśmy nic szkodzić nie mogli.

Wielką osobistą dzielność okazał jenerał Skrzynecki, ale któż o téj wątpił... Wojsko biło się walecznie, jenerałów, oficerów stracilismy mnóstwo — cały sztab wodza był mniéj więcéj ranny i ja doznałem tego zaszczytu... nim jeszcze zostałem postrzelony w prawą rękę, kazał mi jener. Skrzynecki, zaraz z początku bitwy, wyprawić sztafetę do jener. Jankowskiego, żeby go zawiadomił: czy most pod Rożanem jest ukończony? a w razie gdy nie, żeby go usilnie kończył... Powodzenie téj bitwy, któréj batalią nazwać nie można, było niżéj wszelkiéj krytyki... lecz my nie piszemy dzieła militarnego, są

to tylko wspomnienia uderzających faktów, i chcemy wykazać: że główna wina nieszczęsnéj Ostrołęki, jest winą Prądzyńskiego, więcéj niż Skrzyneckiego.

Gdy pod noc, po dzielnéj i prawdziwie polskiéj szarży działowéj Bema, bój się zakończył, tak jak się był rozpocząć powinien — a jenerał Skrzynecki usiadł na pobojowisku znękany, przybliżyłem się do niego i rzekłem do ucha: „gdzie jenerał zamyślasz nocować?... *tu* „odrzekł wódz, *tu* nasz grób, *tu* mój.“ Ja odrzekłem to pięknie... ale cóż będzie ze sprawą naszą?... On nato: „jutro rozpocznę bitwę od świtu“... z kim? czy widzisz jenerał, że prócz Bema i dzielnéj jazdy, która cienką linią zasłania naszą nędzę, nie masz nic! — „a więc cóż robić“— wysłać Giełguda i Dembińskiego na Litwę, a w nocy cichaczem się zrejterować i da Bóg! uszykować pod Rożanem... „a więc zwołać radę wojenną.“ Była rada, i ten sam Prądzyński, który wszędzie deklamatorstwo profesora miał na zawołaniu, zredagował ołówkiem rozkaz do Giełguda, w którym czy ironicznie, czy emfatycznie, wyraził, „idź jenerale na Litwę, tam będziesz miał *szerokie pole* etc. Innego charakteru Dembiński, odezwał się: „choć jestem nieprzyjacielem Giełguda, daruję mu i zapomnę dla ojczyzny; powierz mi jenerale dzielną młodzież Poznańską i swój rozkaz, poddam się Giełgudowi i będę mu pomagał.“

Mówią (ale czegóż nie mówią ?!) że Prądzyński miał wczas, napisać do pięknéj i młodéj małżonki do Warszawy: „toutest perdu“— wszystko stracone— słyszałem: jakoby po bitwie, Skrzynecki był wziął Prądzyńskiego, do pojazdu, i jakoby tam był stękając powtarzał: „Finis Poloniae“... Nie wierzę, *nie chcę wierzyć*...a jeżeli to nasz wódz mówił: to ulegał zręcznemu zmyśleniu Niemców. — Nigdy Kościuszko tych słów nie wyrzekł! i do kogóż to miał mówić po łacinie? do kozaków, co go ranili i otaczali?! — Kościuszko nie miał prawa

wyrzec tych słów; taka chełpliwość nie była w Jego duszy... wieleż to jenerałów zginęło, a batalie były wygrane; a cóż dopiero u nas, gdzie podkomendny Kościuszki, zawołał *nad Tybrem: jeszcze my żyjemy!* Ci wymyślili i pisali: *Finis Poloniae*, którzyby nam to radzi wyperswadować...ale o próżne nadzieje! zaledwie krok stawia zdrada... *) już, jak sejm 4ro-letni naznaczył rewizyą konstytucyi co lat 25, tak co lat 25, nowa generacya narodu, nowe powstanie, coraz dzielniejsze, ale brakło nam wodza; Kościuszko nie był nim, Dombrowskiego niestarczyło, a Skrzynecki nie był nim także jednak nie można wyrzec: żeby nie był sprawy na ostatku wyratował... bo mu *niedano* dokonać dzieła, o czém będzie niżéj, a co jest *głównym* zamiarem tego pisma.

Po téj smutnéj a niepotrzebnie sprowadzonéj bitwie Ostrołęckiéj, nieopuściwszy placu nieprzyjacielowi i nie ścigani od niego, stanęliśmy na Pradze, gdzieśmy się wkrótce zreorganizowali a jenerał Łubieński został mianowany szefem sztabu. Zaraz nazajutrz przychodzę do naczelnego wodza i zastaję go z Łubińskim, nad redakcyą raportu o bitwie Ostrołęckiéj. Jenerał Skrzynecki, pyta mnie, czy czytałem raport, — odpowiadam, że pierwszy raz o nim słyszę — to czytaj! przeczytałem i mówię: — a więc jenerał przegrałeś bitwę,— albo co? — a gdzież są moskale? — czemuż nas nie ścigali? Bo nie mogli — niech jenerał pozwoli, ja nie mając pretensyi zmieniać lub poprawiać redakcyi, dorobię tylko przypisek — i oto przegrana, zamieniła się niemal w zwycięztwo — nie przytaczam tu moich dodanych wyrazów, bo ich niepamiętam, a tem mniéj je sobie zanotowałem — ale z tego co *tu* teraz już nadmieniłem, łatwo było rozwinąć myśl: że kiedy Dybicz nie korzystał z bitwy, więc dla tego, że nie mógł — a zatém

*) Słowa wyjęte ze znanéj Ody Koźmiana.

bitwy nie wygrał — że musiał ogromne ponieść straty, daleko większe od naszych, którzy stoimy do nowego boju gotowi i t. p. Otóż i małe źródełko, dwóch odmiennych raportów, nie tylko w Warszawie, ale i w Paryżu, (o którym wypadku część starsza czytelników zapewne wiadoma) otóż i Warszawa, ze smutku przeszła w radość, i wysłała deputacyą do naczelnego wodza i do wojska, uznając: *że się dobrze zasłużyli ojczyznie* — oczém będzie trochę niżéj.

Nie pierwszy to raport, który przez redakcyą zmienił postać rzeczy, można się tego nauczyć w historyi wojen Napoleona.

Wtenczas mniéj więcéj, przed czy po raporcie, odwiedziłem gubernatora Warszawy jenerała Krukowieckiego. Znaliśmy się od r. 1807 — nie wiem jaką on miał o mnie opinią?.. ja o nim miałem *najgorszą*... przyjął mnie niby serdecznie — wypytywał się o wyprawę, o Ostrołękę ... ja odpowiadałem jak w raporcie i więcéj — trafić w jaką złostkę na Skrzyneckiego nie udawało się panu gubernatorowi; po serdeczno-dyplomatycznéj wizycie, rozstaliśmy się ledwie nie jak przyjaciele ... ale, ale ... lecz to będzie aż przy końcu.

Nie był naczelny wódz z wizytą u gubernatora, nie był starszy i dużo starszy jenerał u Skrzyneckiego — lecz nadszedł list od Krukowieckiego do naczelnego wodza — ja znowu nazajutrz, schodzę do jen. Skrzyneckiego i zastaję go sam na sam z Łubieńskim—i arkusz na stole, a naczelny wódz w wielkiéj irrytacyi — odzywa się do mnie: „czytałeś list Krukowieckiego?“ pierwszy raz o nim słyszę, odpowiedziałem — więc czytaj! Dopełniłem rozkazu — „cóż ty na to?“ — nic więcéj: jak że to jest list, którego wódz naczelny nie czytał — obraca się Skrzynecki do Łubieńskiego i mówi z urąganiem: „a to człowiek strawnego żołądka!“ — Nie ze wszystkiém — odpowiedziałem — list jest głupi, a zatém

nie wart odpisu — ale że jenerał jesteś i wiekiem i dawną rangą dużo młodszy od Krukowieckiego, więc moja rada jest: żebyś do niego pojechał, podał mu rękę i z wielkomyślnością jaka ci przystoi, przemówił do niego: zapomnijmy dawnych i świeżych uraz, służmy wspólnie naszéj sprawie, i jako starsi, bądźmy przykładem młodszym... jeżeli Krukowiecki na to, jak się spodziewam, przystanie.. uściskajcie się, i kwita — jeżeli zaś będzie trwał w oporze, to go jenerał pociągnij do jakiego kroku zupełnie nieprzyzwoitego, a wtenczas pod sąd.. i.. przynajmniéj do fortecy... Nie trafiło to do przekonania naczelnego wodza, wolał pójść drogą skargi do rządu, i prosić o dymisyą dla Krukowieckiego, ale żeby była bez szlif!... Rząd narodowy dał dymisyą lecz ze szlifami, i odpisał: że nie było zwyczajem polskim ale moskiewskim, dawać dymisye bez szlif; i tak Krukowiecki stał się nieprzyjacielem nieprzebłaganym, i z pałacu gubernatorskiego zeszedł na ulice Warszawy, a jak niemi kierować umiał, o tém znowu będzie późniéj.

Pierwéj albo nieco późniéj od tego zdarzenia, nadeszła na Pragę wielka deputacya z sejmu i władz różnych, przynosząca naczelnemu wodzowi i wojsku, wspomniane już dyploma zasłużenia się dobrze ojczyźnie.

Jenerał Skrzynecki, czy przygotowany czy nie... zamiast prostymi wyrazy podziękować: zaczął skarżyć na rząd, że jest bezrządem i t. d. że trzeba żeby nie był rząd z pięciu, ale żeby rządził jeden i t. p. Ja ujrzawszy między tą liczną deputacyą dawnego znajomego kasztelana Wężyka, poszedłem się z nim przywitać, a on mnie wziąwszy na stronę, pyta: „cóż wy to gadacie? — ja na to: nie my, bo ja nic nie mówię — „jakże, to nie wiedziałeś o tém?“ — ani o waszéj deputacyi ani o sposobie przyjęcia jéj — oświadczył mi kasztelan, co mię nie dziwiło — że téj inkartady Skrzy-

neckiego — zresztą przyjaciel—nie pochwalał.— Odpowiedział poseł Leduchowski coś pochlebnego dla naczelnego wodza, i odeszła deputacya.

Skoro byliśmy sami, rzekłem do wodza: „cóżeś to jenerał tak się uniósł...to zrobiło i zrobi najgorsze wrażenie... właśnie kasztelan Wężyk czynił mi wyrzuty w téj mierze— „a zmiłuj się biegaj za Wężykiem żeby temu zapobiegł!“— To trudno, odpowiedziałem, tego i Wężyk i nikt nie potrafi etc.

Jakoż gdyby rząd, czy sejm, czy oba razem, zamiast przesadzać chwalby, byli zażądali wyboru innego naczelnego wodza, możeby ta pora po bitwie Ostrołęckiéj była najwłaściwszą... ale nie późniéj, a nadewszystko nie pod Bolimowem —Stało się!

Za parę dni był wielki festyn, obiad dla wojska w ogrodzie saskim; u pierwszego stołu zasiadł rząd, ministrowie i naczelny wódz ze starszeństwem wojska. Nie pamiętam kto z rządu, podniósł zdrowie wojska i naczelnego wodza — ale wkrótce potém, powstał jenerał Skrzynecki i wniósł toast wysoko podniesionym puharem: „niech żyje człowiek poczciwy!“.. Adam książę Czartoryski.... Wszyscy członkowie rządu byli obecni, dla czegóż ten pojedyńczy wyjątek, i z takiém osobliwszém odznaczeniem?... czyż to nie był przytyk do którego z członków rządu? wszystkie oczy zwróciły się na Lelewela.... Znowu po tym obiedzie wyszliśmy z ogrodu saskiego pieszo we dwóch, naczelny wódz ze mną... czyniłem mu znowu nader dyskretne uwagi, nad tém jego uniesieniem; ale poczciwe jego serce nie czuło, ile w tém było niepolitycznego, żeby się prościéj nie wyrazić.

Nie pamiętam, czy wkrótce po tém zdarzeniu, czy późniéj, wypadło mi być u Lelewela, w pałacu rządowym, ale sam na sam z nim. Dawna to była znajomość, i nie bez literackiéj styczności; nie krótkośmy z sobą, i wiele rozmawiali; skończyło się na tém, że

mnie Lelewel z rozrzewnieniem uściskał... jednakże późniéj gdy Skrzynecki coraz go więcéj irrytował, miał i mnie Lelewel w podejrzeniu; ale nie poczuwając się bynajmniéj do winy, i zawsze prosty w moim żołnierskim sposobie widzenia rzeczy, potrafiłem się oczyścić w jego opinii.

Pod d. 24 maja doszedł naczelnego wodza list własnoręczny jenerała Dwernickiego z Suchy z obwodu Wadowickiego z Galicyi pisany, który posiadam w oryginale, tam się tłumaczy ten nasz ukochany jenerał, z schronienia się swego do Austryi; będzie to w przyszłości mojém zadaniem, zastanowić się obszerniéj nad tą całą wyprawą na Wołyń, tu tylko tyle nadmienię, że ten niespodziewany skutek, wpłynął zgubnie na naszą sprawę, i przykład Dwernickiego, został późniéj wielokrotnie naśladowany, aż do dna. —

Przejdźmy teraz do owéj fatalnéj wyprawy na Rüdigera.— I ta się rozpoczęła pod najpiękniejszemi wróżbami — byliśmy w Siennicy, Jankowski przywołany do głównego sztabu po informacyą, gdy tę dla niego pisano, przybiegł do mojéj kwatery, i jako dawny podkomendny i kolega, prosił mnie, żebym mu pozwolił przespać się na mojéj pościeli, bo się czuje bez sił i znużonym — życzyłem mu spoczynku i dodałem: że gdybym tego był zdolen, zazdrościłbym mu dowództwa takiéj wyprawy, która jest nieomylną i która mu przyniesie laury i sławę...

Jankowski wypocząwszy parę godzin, odebrał rozkaz i odjechał.

Wiadome jest rozlokowanie dywizyów i cały plan do zniesienia Rüdigera... nazajutrz gdy w Siennicy miał naczelny wódz siadać do stołu nakrytego na bardzo mało osób w oddzielnym pokoju, gdy prócz mnie nikogo nie było przy nim, tylko szef sztabu Łubieński; wpada sztafeta od jen. Rutie gubernatora Warszawy

z raportem podpisanym przez jenerała Ambrożego Skarżyńskiego i pełniącego przy nim służbę szefa sztabu Kasperowskiego — raport ten bezwątpienia przez tego ostatniego napisany, zawierał: „że zostawiony z bardzo małą siłą nad Bugiem (podobno pod Zegrzem) gdy widział że Rosyanie wieczorem odprawiali nabożeństwo nad rzeką i budują most, więc nie czując się w możności zapobieżenia temu, cofnął się“... i coś podobnego... było więc blisko 24 godzin jak się to w wojsku rosyjskiém dziać miało.. bo sztafeta szła na Warszawę i jeszcze na ręce gubernatora... Gdy to przeczytał Skrzynecki, wziął się z rozpaczą za głowę i wołał bezustannie: „Toll już jest pod Pragą!..“

Ja zważając rzeczy, a nie chcąc się obszerniéj tłumaczyć— odzywam się: „ja ręczę że tak nie jest, oficer zostawiony na obserwacyi nie powinien się bić z nieprzyjacielem, ale go uważać, zsiąść z konia, przytulić się do wierzby i z perspektywą w ręku wszystko uważać, i co chwila przysyłać raporta ustne przez wysłańców, a tam wciąż uważać aż do ostatniego momentu — tak nie jest, jak ten raport obejmuje, i w tém zdaniu odwołuję się do jenerała Łubieńskiego — tenże jenerał odpowiada, ja zupełnie podzielam zdanie Załuskiego — ale Jenerał nieutulony w żalu, nie daje się uspokoić i orzeka solennie: „kiedy ja widzę raport podpisany przez jenerała polskiego, muszę mu wierzyć“.. i zaczyna dyktować Łubieńskiemu najdziwaczniejsze dyspozycye ... ja upatrując onych niestósowność, udaję się skwapliwie do jen. Prądzyńskiego, który był chorym, jak prawie zawsze, — udzielam mu tych dzikich wiadomości, pytając go o radę — i tu oddaję wszelką sprawiedliwość zdaniu Prądzyńskiego, dał radę najtrafniejszą: „idź proś Jenerała, żeby nic nie odmieniał w danych dyspozycyach, ale kiedy się lęka o Pragę, więc niech się z swojemi rezerwowemi dywizyami uda nie

do Potyczy ale do Wiązowni; tak się zbliży do Pragi i będzie wiedział co się tam dzieje, a nie oddali się od Warszawy i nie rzuci popłochu, na całą przedsięwziętą wyprawę. Biegnę ja z tą radą do Wodza . . ale zaledwie wysłuchał parę słów moich, wykrzyknął: „ten nikczemnik dołki podemną kopie!“ i t. p. i żadnéj nie chcąc słuchać perswazyi, wydaje i przesyła— podobno przez Tytusa Działyńskiego, monstrualną dyspozycyą: „że lubo dostał wiadomość, iż jenerał Toll przechodzi Bug i jest już może pod Warszawą, i że on Skrzynecki z dywizyami przy sobie mianemi przechodzi Wisłę pod Potyczą, mając sobie za pierwszy obowiązek bronić Warszawy, jednakże w niczém to nie zmienia położenia jenerała Jankowskiego i danych mu rozkazów, że ma wszelki czas, i powinien znieść Rüdigiera . . . ale że: gdy to wypełni, powinien się cofać ku Warszawie, a jeżeliby już Potycz i most pod nią, były zajęte przez nieprzyjaciela, może się przeprawić przez Wisłę pod Gołębiem, albo pod Puławami.“

Tymczasem kiedy naczelny wódz tak nierozważny rozkaz pisał, już był Rüdiger zaatakował jenerałów Turnę i Milberga, pierwéj nim Jankowski z Siennicy do swego korpusu dojechał! i zamiast co Rüdiger miał być zniesiony, ledwie że on nie zniósł tych dwóch naszych dywizyj. Jankowski gdy wrócił z Siennicy do swego korpusu, nie zastał w swojéj głównéj kwaterze brygady konnéj jenerała Bukowskiego, którego był pierwéj wysłał ku Kockowi, skutkiem błędnego raportu, że tam nie pułkownik Samuel Różycki, ale nieprzyjaciel się znajduje—tak dalece Jankowski był ogołocony z jazdy, że wysyłając za Bukowskim trzech jednego po drugim oficerów sztabowych: podpułkownika Butryma, księcia Romana Sanguszkę, i Małachowskiego, nie miał dla nich eskorty w nocy, i tak wszyscy trzéj popadli w niewolę— niespokojność Jankowskiego wzrastała nad miarę;

tymczasem nadmaszerowali z dywizyami jenerałowie Rybiński i Ramorino, nadszedł też i rozkaz naczelnego wodza z Siennicy: przetłumaczono go dla Ramoriny, który dość słusznie wniósł: „że gdy pierwszy zamiar napadnięcia na nieprzygotowanego Rüdigiera już się nie udał, bo on sam zaczepił, i teraz jest już aż nadto zainformowany o niebezpieczeństwie jakie mu zagrażało, więc trudno żeby go teraz można dogonić, tém mniéj otoczyć; a gdy naczelny wódz pisze: że Warszawa jest zagrożoną, i sam się ku obronie Warszawy za Wisłę przez Potycz udaje, a przecież każe im Rüdigiera pobić; więc że z tego rozkazu oczywiście widać: że naczelny wódz nie jest wiadomy tego co zaszło z Rüdigierem; a gdy obrona Warszawy jest daleko ważniejszą powinnością, jak gonienie za Rüdigierem, a zatém oddalanie się od Warszawy i Wisły, przeto wnosi: żeby się wszyscy jak najprędzéj udali za Wisłę, póki im armia Tolla przepraw nie popsuje... i tak spełzła wyprawa początkowo dobrze skombinowana na Rüdigiera, bez skutku, owszem ze znaczną stratą w dywizyi pieszéj Milberga.— Wielkie to i bolesne sprawiło wrażenie w wojsku i w Warszawie... ale kiedy kto przeczyta relacye: jak marszałkowie Soult, Massena, Marmont, Macdonald, Junot, jenerałowie Vendamme i inni, częścią bywali pobici, częścią najlepiéj skombinowane— przez Napoleona— ruchy, psuli i zawodzili... cóż dziwnego, że były szef batalionu Skrzynecki, i były szef szwadronu Jankowski, armii i korpusów o kilku dywizyach, nie umieli prowadzić?.. zresztą w tym razie nie Jankowski jest winien, ale naczelny wódz, który się dał oszukać przez Tolla, i który nie usłuchał dobréj rady Prądzyńskiego, o której wspomniałem, a która byłaby jenerałów Jankowskiego i Bukowskiego od niezasłużonéj śmierci ochroniła.

Jak dalece zaś przytomność umysłu jest potrzebną i zbawienną, dowiódł jenerał Chrzanowski: który sam sobie z tyłu Rüdigera zostawiony, nietylko Lublin zajął, i nic, od dużo większych sił Rüdigiera nie ucierpiał, ale jemu tyle amunicyi odebrał, ile był Bukowski utracił.

Po téj zawiedzionéj wyprawie, przyszliśmy forsownym marszem na Potycz, Górę, do Warszawy i przekonaliśmy się z pociechą, ale nie bez wstydu, że Toll ani myślał przeprawiać się przez Bug, i że o takich błędach jakie my popełnialiśmy, nawet po 30 leciech boleśno pisać. Naczelny wódz zajął kwaterę pod Blachą, w dawném mieszkaniu księcia Józefa Poniatowskiego.

Za dni kilka zdarzył się innego rodzaju, ale równie bolesny wypadek: Jednego ranku, przyprowadzono do mnie obywatela podejrzanego, który z okolic Pułtuska przyjeżdżał; gdym go zaczął badać, odpowiedział mi: „że tylko z naczelnym wodzem mówić chce i będzie“ powiodłem go więc do jen. Skrzyneckiego. Gdy jenerał wyszedł z swego gabinetu, i znajdował się rzeczony bezimienny obywatel w obec wodza i mnie, oświadczył aresztowany: „że tylko sam na sam z naczelnym wodzem mówić będzie“. — Na to Skrzynecki: „przed jenerałem Załuskim nie ma sekretu, możesz Wpan śmiało mówić.“ Aresztowany otwiera usta, i pierwsze prawie słowo które wymawia było nazwiskiem jednego z naszych znaczniejszych jenerałów. Naczelny wódz, w tém oka mgnieniu uniesiony gniewem, tupa gwałtownie nogą i wykrzyka: „dość już tych obmów i potwarzy“ tu obywatel zamilkł, a ja odzywam się do Skrzyneckiego po francuzku: „w czasach w jakich żyjemy radzę jenerałowi nikomu nie ufać, tylko sobie samemu, zacząwszy nawet odemnie!“

Zmiarkował się jenerał, przemawia spokojniéj do aresztanta . . . ale ani prośby, ani groźby, słowa już z ust jego wydobyć nie mogły . . . . kazał go więc na-

czelny wódz ściśle aresztować, a ja go pod eskortą odesłałem na ratusz . . . tam po groźbach, o które nie dbał ten obywatel, kazał mu jenerał Skrzynecki czynić obietnice pieniędzy, nawet dożywotnéj pensyi . . . z których się urągał. . . . usunąłem się od tych badań i policyjnych kroków . . . i podobno został śmiercią karany . . . Są bezwątpienia żyjący, wiadomi téj nieszczęśliwéj sprawy . . . niech to krótkie opisanie służy za przestrogę ziomkom naszym, którzy kiedy, jakikolwiek urząd nad siły piastować będą.

Nim się zbliżę do końca moich wspomnień, niech mi wolno będzie napomknąć o kilku pięknych i przyjemniejszych szczegółach. Przybywało wielu obywateli z Litwy i Rusi, z wielkiém osobistém poświęceniem, tak np. przybył Michał Czacki marszałek guberski Wołyński — jako dawny mój podkomendny w szwadronach wzorowych ułanów, udał się do mnie żebym go przedstawił naczelnemu wodzowi; przyjął go jak najlepiéj, rozmawiał o Boremlu, o jego ofiarach, i chciał pożegnać go prosząc, żeby przyjął rangę pułkownika. Na to Czacki: Daruj naczelny wodzu! że téj łaski nie przyjmę, gdybym ją przyjął, jenerał nie nastarczyłbyś rozdawać pułkownikowstwa—Bardzo się ta staropolska skromność podobała Skrzyneckiemu, i po długim targu, Czacki który nawet podpułkownikiem być nie chciał, zaledwie się dał uprosić, że majorostwo przyjął.—Sprawdziła się przepowiednia Czackiego, aż nadto było pretendentów do rang; jeden obywatel przybył z oświadczeniem, że chce pułk jazdy formować i że prosi o pułkownikowstwo. Na to odrzekł mu Skrzynecki: „jak się u nas pułki sztyftują, pokazał p. Konstanty Zamojski; złożył do kasy wojskowéj 800,000 a sam się zapisał na 1go prostego żołnierza.“ — Ktόż z potomnych uwierzy! że obywatel patryota, od téj chwili stał się nieprzyjacielem Skrzyneckiego? . . .

Już w początku tych wspomnień mówiłem o pułku jazdy sandomierskiej, że go zastałem w niedostatecznéj organizacyi, gdy więc się zjawił z poznańskiego mój dawny kolega i przyjaciel, bohater z pod Somosierry, Jędrzéj Niegolewski, proponowałem go naczelnemu wodzowi na organizatora i dowódzcę jazdy sandomierskiéj, jakoż ten pułk w krótkim czasie zyskał zupełnie wojskową powierzchowność, lecz jednak nie tak łatwo było zaprowadzić weń ducha służby, i tak: gdy nadszedł śty Jan, panowie oficerowie, zwłaszcza starsi, przyszli do Niegolewskiego, prosić o urlop do Radomia dla interesów święto-jańskich — było to na przednich strażach w bliskości armii rosyjskiéj... Niegolewski mocno zdziwiony i zgorszony tém żądaniem, odstąpiwszy od tych panów na parę kroków, uderzył prawą ręką o rękojeść pałasza i zawołał: „Śty Jan!? to jest mój śty Jan... i ja mam kontrakty w Poznaniu, ale wszystko opuściłem, bo tu nie chodzi o nasze interesa ale o naszą ojczyznę“... Wszakże nie podobał się panom oficerom rygor dawnego gwardzisty Napoleona, i prosili wyższéj władzy o odmianę im pułkownika.

Gdy tak zwana legia litewska powoli się formowała, piesza pod dowództwem legionisty pułkownika Kwiatkowskiego, prosiłem naczelnego wodza, żeby jazdę na Wołyniu uzbieraną, oddał pod dowództwo pułkownikowi Mikułowskiemu, i żeby te połączone oddziały przybrały nazwę legii litewsko-ruskiéj i naznaczony jéj był dowódzcą jen. Szeptycki, niegdy mój komendant w gwardyi Napoleona; podobnież gdy pułk 1szy ułanów udał się z jenerałem Chłapowskim na Litwę a niektóre małe oddziały tego pięknego pułku, zostały, uprosiłem jenerała Skrzyneckiego, żeby nakazał formacyą dywizyi tego pułku, podpułkownikowi Kotkowskiemu, którego znałem dzielnym oficerem gwardyi Napoleona, równie

jak trzeciego brata najmłodszego Hempla, który się w pierwszym pułku ułanów w r. 1831 okrył sławą.

Tu jest miejsce przypomnieć jeszcze o naszym szacownym gross-majorze konnéj polskiéj gwardyi Jerzmanowskim, który na okręcie angielskim z posiłkami płynął do Połągi, i któremu nominacyą jenerała brygady posłaliśmy ze sztabu głównego, ale: i ta pamiątka wdzięczności narodowéj, ledwie go doszła... Expedycya ta przez marynarkę rosyjską została odpartą, natenczas utrzymywaliśmy korespondencyą z bracią na Litwie, o któréj przy obszerniejszém wydaniu tych wspomnień będzie można co więcéj podać do pamięci potomnych.

Między oficerami różnych narodów i polakami przybywającymi z za granicy, był i syn księcia Józefa Poniatowskiego — przybył zalecony księciu Czartoryskiemu przez panią z Poniatowskich Tyszkiewiczową, rodzoną siostrę księcia marszałka naczelnego wodza, zaopatrzony dyplomem Ojca świętego względem aktu urodzenia i patentem oficerskim od króla Francuzów... przedstawiłem go więc jenerałowi Skrzyneckiemu, i nad spodziewanie zastałem go w złym humorze z powodu tego przedstawienia; „cóż chcesz? mówił jener. Skrzynecki: żebym ja robił z tym tak licznym sztabem? czyż nie wiesz jak mi zarzucają, że się otaczam samemi książętami, hrabiami, paniczami!“... ja mu na to odpowiedziałem: że po pierwsze, nie można zniechęcać, i źle przyjmować obywateli i synów obywatelskich zamożnych, przybywających z dalekich stron na usługi sprawy ojczystéj; a że nieświadomych służby frontowéj nie można inaczéj użyć jak przy sztabie; powtóre, że jeżeli jest kto, co zasługuje na wzgląd, jest to syn naszego naczelnego wodza Poniatowskiego. Między innymi ochotnikami sztabowemi był syn marszałka francuzkiego Lannes (Duc) księcia Montebello, który ofiarował na

wstępie swoim 30,000 franków. Był Zeltner wychowaniec Kościuszki... i wielu podobnych.

Winienem tu także oddać hołd pamięci Samuela Różyckiego jenerała, w ówczas jeszcze pułkownika. — Gdy szanowny jenerał Dwernicki zmuszonym był schronić się do Galicyi ... umyślił naczelny wódz wysłać jenerała rodem z Litwy, ażeby korpus partyzancki, podobny do oddziału jen. Chłapowskiego lecz po większéj części z piechoty złożony, poprowadził w kierunku błot Pińskich. Przewodnikiem téj wyprawy był podpułkownik ułan tameczny krajowiec; kiedy już wszystko było gotowe do marszu, jenerał Litwin wymówił się: w ten czas Samuel Różycki pułkownik pułku piechoty, oświadczył się być gotowym do téj przysługi ojczystéj, zaś oficer artyleryi Krempowiecki poszedł za przykładem jenerała, i został; ztąd się różne wszczęły rozterki w świecie klubowym a jenerałem Skrzyneckim.

Wszakże pobyt kolumny Różyckiego nie był na Litwie długi, gdy powracał jen. Dembiński, powrócił i on, a za nim wiele obywateli cywilnych z Litwy ratujących się ucieczką z własnego kraju, między tymi był i Makowski dziś kierownik handlu krajowego w Gdańsku.—

Po śmierci feldmarszałka Dybicza, objął dowództwo armii rosyjskiéj Paszkiewicz; odtąd zaczął przemyślać o przejściu Wisły przy saméj granicy Prus, a nasza główna kwatera udała się pod Modlin, staczano różne pojedyńcze potyczki z nieprzyjacielem ale nie stanowcze, wreszcie powszechnie znane, a przy których ja obecny nie będąc, nie mam powodu zajmować niemi czytelnika! Było powszechném mniemaniem i zajęciem wojskowych: żeby naczelny wódz atakował Paszkiewicza z flanku i starał się go pobić przed przejściem Wisły.

Gdy nieukontentowanie z opieszałości Skrzyneckiego wzrastało, namówiono mnie, żebym mu ruch na Paszkiewicza proponował, dopełniłem zlecenia, bo mnie sa-

memu ruch taki zdawał się być obowiązkiem .... ale wódz naczelny odrzekł mi prawie z oburzeniem: „weź komendę! ja ci jéj chętnie odstąpię... masz 25 tysięcy wojska, idź! znieś Paszkiewicza.“

Ja na to: „że daleki byłem chcieć obrażać naczelnego wodza, ale przedstawiałem mu życzenia powszechne, z przychylności dla jego osoby i z życzliwości dla sprawy naszéj; że zaś nie mam wyobrażenia, żeby siły nasze pod ręką będące nie miały być liczniejsze“... Jenerał Skrzynecki rozwijając mi spis wojska, ochłonąwszy z urazy, dodał (z zastrzeżeniem sekretu) mniéj więcéj te pamiętne słowa: „Paszkiewicz prócz większych sił piechoty i artyleryi, ma od nas nierównie liczniejszą jazdę, dla tego nam trzeba szukać boju pod pozycyą mocną, po prostu pod fortyfikacyami Warszawy: gdybyśmy się zapuścili za nim aż ku granicy pruskiéj i byli tak nieszczęśliwi jak widziałeś pod Ostrołęką, tobyśmy mogli doznać klęski jakiéj nie doznaliśmy po Ostrołęce, bo nas Dybicz nie ścigał, ale nie tak będzie postępował Paszkiewicz, silniejszy zwłaszcza w jazdę, mogłoby się stać, żebyśmy do Warszawy nie wrócili, tylko rozbici... Jak zaś Paszkiewicz ośmieli się Wisłę przejść przy granicy pruskiéj, a ja go przyjmę pod fortyfikacyami Warszawy, nie będzie nam nic szkodził swoją jazdą, my zaś będziemy mieli z tyłu nas półtora sta armat pozycyjnych, oprócz naszych polowych; jestem prawie pewny pobić go, a wtenczas zobaczymy, czy potrafi przejść Wisłę nazad? ten ruch którego teraz po mnie żądacie, ten ja zrobię z pod Warszawy do mostu Paszkiewicza, i da Bóg! jeżeli go całkiem nie zniosę i nie zabiorę w niewolę, to chyba do Prus się ratować będzie ... taki jest świetny widok który nam nieprzyjaciel sam nastręcza, przez swój zuchwały ruch za Wisłę, jedynie pod protekcyą Prus wykonalny“ a jak zimę przetrwamy, oswobodzeni w całém królestwie od

nieprzyjaciela, zdołamy na rok przyszły, zwycięzko dokonać tego, czegośmy w tym pierwszym nie zdołali“. Taki był plan, który jenerał Skrzynecki potajemnie ułożył z jenerałem Chrzanowskim, wtenczas, kiedy ten wielki transport armat z Zamościa do Warszawy na jéj uzbrojenie był zgromadził.

Wkrótce po ruchu Paszkiewicza, uchwalono zaprowadzić pospolite ruszenie, jenerał Skrzynecki wysłał mnie w Mazowieckie po nad Wisłę, żeby pod Kowalem przejść rewią siły uzbrojonéj pod dowództwem pułkownika Wieszczyckiego. Jakkolwiek zastałem lud liczny i ochoczy, nie było dostatecznéj żywności, tyle mieli co z sobą kto z domu przyniósł, to nie mogło posłużyć na długo — korzystanie z takiego pospolitego ruszenia, potrzebowałoby czasu do niejakiego zorganizowania, w obecnéj chwili, kiedy tak przeważne siły miało przed sobą, aczkolwiek po drugim brzegu Wisły, tak późne powołanie ludzi nie mogło być użyteczniejszém, jak owa jazda gromadzona w r. 1812 pod regimentarzami, dopiero wtenczas, kiedy już kraj był zalany nieprzyjacielskiém wojskiem.

Przy téj inspekcyi, poleconém mi także było staranie się o zniszczenie mostu i materyałów do niego przez Prusaków i Rosyan nagromadzonych. — Prezes rządu książę Czartoryski, dał mi w téj mierze osobne bardzo szerokie umocowanie, wszelako skutek nie odpowiedział; do zniszczenia podobnych budowl wodnych, trzeba statków palnych albo galarów naładowanych kamieniem, o jedno i drugie było nie łatwo w całéj téj okolicy, zwłaszcza gdzie prawy brzeg Wisły był nie przez nas, ale przez Rosyan zajęty; p. Konopski Jan, w liście do księcia Adama Czartoryskiego z Londynu w roku 1855 pisanym *) wyrzuca mu, że mnie jakoby stronnikowi ro-

*) List otwarty do Adama Jerzego Czartoryskiego. Londyn Regent Square 1855.

syjskiemu, powierzył tak ważny przedmiot; ja jednak, odwołałbym się do panów inżynierów, Wilsona i Szulca, z których drugi już dawno nie żyje, że tam robiono co było można, ale nie wszystko z daleka tak się wydaje jak z bliska, i lubo nie znam *powagi* osoby piszącéj o mnie, czyto jest pseudonim, czy istotny autor? radziłbym jednak nikogo na pamięć nie oskarżać.

Powróciwszy z pod Modlina do Warszawy, wydarzył się dla mnie bolesny wypadek: Nadeszła z Galicyi denuncyacya, na różnéj płci i zawodu osoby, między innemi na jenerała Antoniego Jankowskiego, który już był w areszcie jako oskarżony o uchybienie służbie w expedycyi na Rüdigiera. — Dla czégo jen. Skrzynecki pozwalał i kazał aresztować jenerała, o którego militarnéj niewinności był sam przekonany? tego rozstrzygnąć nie mogę ... ale gdy nadeszła innego rodzaju okoliczność, oskarżająca Jankowskiego o jakieś podejrzane stosunki, przywołał mnie Skrzynecki i zapytał o moje zdanie o Jankowskim? Cóż miałem na to odpowiedzieć, w czasach tak ciężkich?.. odrzekłem: „zawsze znałem tego kolegę za najwaleczniejszego, i przyjaciela mego, ale już miałem obowiązek jenerałowi oświadczyć, że w czasach obecnych, nie powinieneś ufać tylko sobie samemu“... Może te moje wyrazy, skłoniły naczelnego wodza do oddania Jankowskiego pod sąd, ale któż mógł przewidzieć, że sądu nie będzie, ani militarnego, ani politycznego, tylko zabójstwo i to przez oficerów dokonane!...

Niezadługo po tych różnych aresztowaniach jakie zaszły w Warszawie, zażądał koło 25 lipca sejm i rząd cywilny, rady wojennéj z naczelnym wodzem, celem ocenienia jego zdolności, dobréj chęci i planów; smutna to kolej, kiedy ludzie nie mający najmniejszego wyobrażenia o jakiém rzemiośle chcą być sędziami sztuki... cóż dopiero kiedy w niecierpliwości swojéj, chcą

żeby im jenerał swoje myśli powierzał! owo zgoła był to pierwszy przykład owego sejmiku, jaki miał być wkrótce pod Bolimowem. Jakkolwiek Jenerał Skrzynecki zachował się z zaszczytném umiarkowaniem wśród téj cywilnéj napaści, nie dał sobie jednakże w swojéj powadze ubliżyć, ale rozstał się z swoimi krytykami, bez wyjawienia im swojéj myśli.

Wszakże powinien był, cywilności zalecić staranie o zapas wszelkiego rodzaju żywności, a to był teraz przedmiot dla Warszawy i dla sprawy naszéj najważniejszy, a o którym jak się zdaje, nikt, albo mało kto, myślał...

Z początkiem sierpnia zjawił się jenerał Dembiński, którego zasługę gdy cała Warszawa z uniesieniem uznała, i rząd go jak słusznie, posunął na stopień jen. dywizyi, naczelny wódz Skrzynecki mianował go gubernatorem Warszawy, w nadziei, że on przy takiéj wziętości, zdoła ukołysać stolicę do należytego, a nie zaprowadzonego jeszcze porządku.

Ale już dnia 8 sierpnia zszedł się orszak najpierwszych obywateli rządowych sejmowych i naradzał się nad wnioskiem przeciwko jener. Skrzyneckiemu, z powodu: że się stał: *nieposłusznym radzie wojennéj* i *rozkazom sejmu* przez nieatakowanie dotąd nieprzyjaciela. Jakże się tu dziwić szanowni Czytelnicy! że w takiém obłąkaniu umysłów, które powinny były być wzorem dla innych, sprawa nasza upadła? gdzie szukać *drobnych poników* téj moralnéj choroby?... poki trwał początkowy zapał, póki los wojny jako tako sprzyjał— pełzły na niczem usiłowania duchów, prościéj powiedzieć *ajentów Rosyiskich*, pod postacią gorących patryotów krążących; i tak, Ksawery Dąbrowski jenerał kilkoma zawodami, i polski i rossyjski, i znowu polski, nurtował ulice warszawskie i niektóre okolice Mazowsza, bez skutku — ale teraz kiedy już śmiał, zrzuciwszy maskę, wystąpić jako intendent armii Paszkiewicza, można

sobie wystawić jakie musiał mieć w Warszawie związki, które się do tych bezustannych niespokojności w mieście przyczyniły, i niezadługo fatalny dzień, czyli raczéj noc 15 sierpnia wylęgły *).

Zjechała więc do Bolimowa deputacya: z rządu i sejmu, celem odebrania naczelnego dowództwa jenerałowi Skrzyneckiemu, złożona z 9 członków jako to: Księcia Adama Czartoryskiego i Wincentego Niemojowskiego z rządu, wojewody Antoniego Ostrowskiego i kasztelana Franciszka Wężyka z senatu, Dembowskiego, Morawskiego, Ślaskiego i Tyszkiewicza posłów, i zasiadła w spichlerzu w którym kwaterował pierwéj, sztab główny. Od téj chwili stał się dziedziniec dworu Bolimowskiego widowiskiem tumultu mnóstwa oficerów wszelkiego stopnia radzących i sprzeczających się, za i przeciwko jen. Skrzyneckiemu.—Łaską było Opatrzności że nieprzyjaciel niewiedział o naszym chorobliwym stanie, albowiem atak jego w takiém naszem położeniu, byłby miał nierównie gorsze skutki jak pod Ostrołęką.

Deputacya powoływała jenerałów i wielu oficerów znajomszych, pojedyńczo, zapytując ich o zdanie względem osobistości jen. Skrzyneckiego będąc także przywołanym i zapytanym, oświadczyłem:

„Że uważam tego jenerała dalekim od posiadania tych wysokich zalet i przymiotów, jakich jego trudna i znakomita posada wymaga, ale że nikogo nie znam który by *nawet tyle* tych własności posiadał.“

Gdy powtórnie przywołany zostałem i zapytano mnię: kogobym stręczył w miejsce jenerała Skrzyneckiego?—odpowiedziałem na piśmie i posiadam kopią mego oświadczenia, które jest takowe:

---

*) Bardzo są ciekawe czynności tego Dąbrowskiego, i zwracamy nań uwagę Warszawian, (może nam się da z czasem cokolwiek szczegółów dostarczyć.

„Jeżeli wolą sejmu, naczelne dowództwo ma być *koniecznie* odjęte jenerałowi Skrzyneckiemu: Znając obywatelskie cnoty, wojenne przymioty, niezłomny charakter i przyrodzone talenta jenerała dywizyi Dembińskiego, jestem przekonany: że dobro kraju wymaga, poruczenia mu naczelnego dowództwa wojska. Bolimów d. 12 sierpnia 1831.“

Dnia tego wieczorem, jen. Prądzyński, który był zapożyczył u mnie dwieście złotych polskich, ujął mnie pod pachę i zaprosił na herbatę do jenerała Młokosiewicza, u którego mieli się zejść Kaliszanie, do których stronnictwa, czyli fakcyi, pan kwatermistrz jeneralny radby mnie był namówić — przechodząc więc poufale po przed kwaterą Skrzyneckiego, odezwał się Prądzyński do mnie wskazując ręką na okno Skrzyneckiego: „tu l'as bien voulu Dandin“— chciałeś tego sam, Gawełku! jest to wyjątek ze śpiewki satyrycznéj operetki francuzkiéj — cóż chciał Prądzyński przez to wyrazić?... zapewne to: że gdyby jego rad był Skrzynecki słuchał, nie byłby tego losu doznał.... Nie ociągnął bohater Igań, spojrzenia mego uwielbienia; zobaczymy nie zadługo, jak powtórnie, na takowe nie zarobił... tymczasem wizyta u jenerała Młokosiewicza odbyła się z mojéj strony, z chlubnem dla niego przypomnieniem, czynu jego, pod Fuengirolą w Hiszpanii, ale co się tyczy intryg politycznych byłem od nich tak daleki, jak zawsze byłem i będę.

Jenerał Skrzynecki wysłuchawszy zdania deputacyi, oświadczył: że gdyby był poznał wciągu wojny kogo utalentowanego, któryby z większym pożytkiem ojczyzny mógł piastować wodze wojska, byłby sam takowemu miejsca swego ustąpił; ale że kiedy wolą narodu jest, żeby on z posady swojéj się usunął, ma sobie za pierwszy obowiązek, dać młodszym przykład posłuszeństwa, i tak jak z poświęceniem się osobistem przyjął

niegdyś dowodztwo, z woli rządu, podobnież takowe teraz składa.

Nazajutrz do dnia, zajechał jen. Dembiński przed mój szałas i zdziwiony że cała główna kwatera pogrążona jeszcze była w śnie głębokim, prosząc mnie o ranny posiłek, rozpowiadał mi o swojém kłopotliwém gubernatorstwie stolicy, i o trudnościach jakie miał z klubem tak nazwanym *patryotycznym;* że się uniósł pasyą, i zapowiedział temu zgromadzeniu „żeby się rozeszło, bo inaczéj bagnetami je rozpędzi“!— Na to ja odrzekłem przyszłemu naczelnemu wodzowi: „zapowiedziałeś to? aleś nie uczynił... zatém nie długo będziesz dowodził. Bonaparte nic niezapowiedział, ale rozpędził.“

Wkrótce potem Dembiński targował się z dyrekcyą sejmową o warunki naczelnego dowództwa, i przyjął takowe tylko interymalnie.

Nazajutrz była rewia wojska: Skrzynecki zdawał komendę Dembińskiemu; atoli wojsko, zwłaszcza jazda, po raz drugi i trzeci, n. okrzyk Skrzyneckiego: „niech żyje jenerał Dembiński!“ odpowiadało: niech żyje Skrzynecki; oburzyło to jenerała Umińskiego, wielce nieprzyjaźnego Skrzyneckiemu, ale go Dembiński zgromił na cały głos, w sposobie jakiego powtarzać niema co.... Zaledwie Skrzynecki otrzymał od wojska, po wielu usilnych przemówieniach, że na jego vivat jen. Dembiński! słabo odpowiadano tymże vivatem.

Piękny to był dzień dla Jana Skrzyneckiego! żołnierze podwładni jego, którzy go widzieli pod Dobrem, pod Grochowem, pod Ostrołęką poświęcającego się dzielnie na śmierć za ojczyznę — z których wielu zwłaszcza oficerów, pamiętało jego krwawe zasługi z lat 1812, 13, 14go, starali się nakłonić go do nieposłuszeństwa, bezrozumnemu rządowi, który istotnie nie wiedział co czynił; a on Skrzynecki, jak drugi Kurcyusz, gotów był na wszelką ofiarę dla téj niewdzięcznéj, a co gorsza za-

ślepionéj ojczyzny: która niewiedziała, że jest igraszką przeniewierczego sąsiada, który na sobie nosi piętno: Graeca fides... Cóż dziwnego że Henryk Dembiński, patrząc się z rozczuleniem, na tę poniewierkę naszego Belizaryusza, czuł się spowodowanym, przemówić do tych zacnych żołnierzy: „żeby się uspokoili! że on jest wielbicielem dzielnego Skrzyneckiego! że go będzie naśladował, rad jego słuchał, ale że jak ten wzór, tak i on, i oni żołnierze, powinni słuchać rządu!...głosu narodu“... Jak dalece się mylił zacny obywatel Dembiński, pokazało się: że partya, piekielna partya, partya złotem wroga za nos wodzona, w kaprysie swoim potępiła Dembińskiego, jakoby jakąś tam arystokracyą kierowanego! i rzuciła się jak ćma w ogień, w nadstawione sidła Krukowieckiego.... O współziomkowie! O obywatele! czyż możecie te martwe słowa, bez łez czytać?! to wszystko działo się u nas, działo się w roku 1831 po tylu *daremnych* doświadczeniach...

Lecz wracajmy do przedmiotu: Kiedy po noclegu w Utracie, gdzie książę Czartoryski prezes rządu narodowego *schronił się z Warszawy do wojska*, czoło wojska z pód Bolimowa wracało pod Warszawę na Czyste, jechali na czele kolumny, prezes rządu wśrodku, Dembiński po jego prawéj stronie, Skrzynecki po lewej.

Już blisko miasta, powołuje mnie adjutant jen. Skrzyneckiego, podjeżdżam pod jego lewe ramię, i pytam o polecenie.— „Czy wiesz?“ odpowiada jen. Skrzynecki „kto ma być naczelnym wodzem?“ — „Niewiem, zkąd mam wiedzieć?“ odpowiedziałem — „Bem“ — na to ja: Bonaparte wyszedł z artylleryi, czemu Bem niema także wyjść z téj broni?... Zdaje się, że ta moja odpowiedź niepodobała się Skrzyneckiemu... tymczasem za chwilkę udałem się na moją poprzednią na Czystem kwaterę do ogrodu Szucha, i...zastaję pułkownika Bema jedzącego wieczerzę z familią ogrodnika; zbliżam

się do niego i w języku francuzkim przemawiam, żem dopiero co słyszał przyjemną nowinę; zrozumiał mnie Bem i powstawszy z siedzenia czule podziękował—tém bardziéj że żadnéj zemną dawniejszéj nie miał zażyłości—ja zaś udałem się daléj do kwatery jen. dywizyi Prądzyńskiego, która była tak rozporządzona: że ja zajmowałem pierwszy, jen. Lewiński drugi, jen. Kołaczkowski trzeci, a jen. Prądzyński czwarty, najgłębszy pokój; i tak we trzech rozmyślaliśmy kto będzie naszym naczelnym wodzem? gdy już późno w noc wraca jenerał Prądzyński z miasta, i na zapytanie moje „kogo mamy wodzem?“ odpowiada z ukłonem: „Messieurs! c'est votre serviteur“ — Panowie! sługa wasz. Na te słowa wysuwam się naprzód, i pozdrawiam naczelnego wodza, jako tego, który sprawę naszą poprowadzi do pożądanego celu. — Jenerał Prądzyński oświadcza swe podziękowanie i udaje się przez stancyą Lewińskiego i Kołaczkowskiego do swego pokoju — poglądamy po sobie, bez oznak podziwienia lub innych, i udajemy się każdy do spoczynku. — Przez całą noc nowy wódz żadnego nie czyni rozporządzenia, ani też jaki raport niedochodzi — bardzo rano słyszę szelest, porywam się z posłania, naczelny wódz wita mnie słowy: „ne faites pas attention“ nie fatyguj się — i wychodzi nic więcéj nie powiedziawszy — połączamy się wszyscy trzéj jenerałowie i rozmawiamy z sobą z ciekawością, co to będzie? —

Gdy tak może godzinę czekamy, wraca Prądzyński powstajemy, a on oznajmia nam: „donoszę panom, żem złożył naczelne dowództwo“ ja natenczas biorę go pod pachę, i pytam: „dla czego jenerał złożyłeś dowództwo?“ On odpowiada: „widzisz! ja nie służyłem we froncie, żołnierz mnie nie zna, ja żołnierza nie znam, nie posiadam charakteru do wymożenia sobie posłuszeństwa, rozważyłem swoje siły, i przekonałem się, że moją rze-

czą jest być pomocnikiem dowódzcy, ale nie dowódzcą" Poprzestałem na tém jego oświadczeniu, i pomyślałem sobie: że nie wartało było tyle i tak długo intrygować, żeby naczelnego wodza zwalić, nie czując się na siłach objęcia jego miejsca. — Tę tylko muszę oddać sprawiedliwość Prądzyńskiemu że gdy tu w Krakowie w roku 1847 po leciech 16 przypomniałem choremu kwatermistrzowi jeneralnemu, to zdarzenie, i prosiłem go żeby mi na nowo oświadczył: „dla czego w ówczas nieprzyjął dowództwa?" Powtórzył mi te same słowa, które ja zresztą doskonale pamiętałem, ale rad byłem, pamięci piszącego pamiętniki Prądzyńskiego, doświadczyć.

Tak to więc sprawa nasza, sprawa święta, była igraszką drobnych zazdrostek, drobnéj miłości własnéj, i drobnych szkolnych talencików! Lecz nie tu koniec tego nadużycia zaufania publicznego.

Kiedy więc naczelne dowództwo nie łatwem było do obsadzenia, powziął jenerał Henryk Dembiński zamiar, ogłoszenia się przez sejm, naczelnikiem, na wzór Kościuszki; i gdyby tego był dostąpił, jest wielkie podobieństwo, że byłby nam stratę Skrzyneckiego sowicie nagrodził... ale los na nas zawzięty, w smutny sposób zawiódł, i te nadzieje. Henryk Dembiński, nanotował sobie ołówkiem, co miał powiedzieć na sejmie, a przez zbyteczną skromność, okazał swój koncept nieprzyjacielowi w przedsionkach izby sejmowéj; jeden z posłów, podsłuchał; pobiegł dać znać sejmowi: że wojskowość chce sobie przywłaszczyć naczelniczą władzę — i nim zdążył Dembiński, ze zbawieniem do sejmu; już zastał potępienie całéj sprawy, przez obranie prezesem rządu Krukowieckiego — smutna nauka dla potomnych, jak często wielkie wypadki od drobnych przyczyn zależą.

Lecz kiedy jest mowa o prezydencyi Krukowieckiego, znajduje się na swojém miejscu historyczne słowo którem go napiętnował Willisen: „Esist eine harte Bestimmung, an einen Platz gestellt zu werden, den man nicht auszufüllen im Stande, *aber es ist ein Hochverrath, sich selbst* und noch dazu *durch Verbrechen*, an einen solchen zu drängen; mit dem 15 August hörte für jeden... das Interesse des Kampfes auf i t. d. Twardem jest przeznaczenie, zajmować posadę do któréj się nie jest usposobionym, ale jest kryminałem, sam się do takowéj a jeszcze posuwać przez zbrodnie... Z d. 15 sierpnia ustało wszelkie współczucie dla polskiéj sprawy i t. d. *) (Przerywamy te nader bolesne lecz nauczające wyrazy cudzoziemca życzliwego odsyłając do jego dzieła).

Dopiero co nadmieniliśmy o Ksawerym Dąbrowskim osławionym awanturniku; w ciągu kampanii, zwłaszcza przy jéj końcu, doznaliśmy zdradliwego szpiegostwa, różnych osób, a nawet oficerów polskich... był jeden taki, imienia zacnego, przez ministra policyi Czarnomskiego jenerałowi Skrzyneckiemu polecony, który był istotnie szpiegiem rosyjskiego jenerała Witta, i o którym wiem dowodnie, że dukaty rozdawał po ulicach Warszawy w nocy 15 sierpnia: czy Krukowiecki należał do intryg Dąbrowskiego i do knowań ajentów rosyjskich? trudno twierdzić... Ale widocznie chciało mu się być namiestnikiem w Warszawie, i to go spowodowało że przez mordy 15 sierpnia opanował ulice, a następnie całą władzę w Warszawie.

Każdy teraz widzi jakim nas darem opatrzył sejm, poruczając despotyczną zwierzchność Krukowieckiemu! Trzeba było ludzi młodych bez żadnego doświadczenia,

---

*) Theorie des grossen Krieges angewendet auf den russisch-polnischen Feldzug v. 1831 durch W. v. Willisen kön. preuss. Oberst. Berlin 1840 bey Duncker u. Humblodt.

żeby się takiemu intrygantowi dać uwieść, którego całe wojsko znało od r. 1807, z oburzeniem — kiedyż my! uleczymy się z przesądów i mylnego zapatrywania się. Jak już Krukowiecki został drugim w powołaniu dyktatorem, pod tytułem prezesa rządu, mianował jenerała Dembińskiego dowódzcą wojska i przybył z nim zaraz do głównéj kwatery na Czyste: tu gdy zasiadł w wesołym humorze do okrągłego nie licznie obsadzonego objadowego stołu, i zaczął coś głośno rozpowiadać; jenerał Skrzynecki, otwarłszy drzwi na klucz z wnętrza zamknięte, wszedł z bocznego pokoju, a zprzerażeniem zobaczywszy Krukowieckiego, cofnął się nazad i zamknął. Krukowiecki udał że nic nie spostrzegł i w opowiadaniu swojem trwał rezolutnie. — Wieczorem odebrał od niego jen. Dembiński expedycyą w któréj, mniéj więcéj, było wyrażono:

„Będąc dziś w głównej kwaterze, widziałem z zadziwieniem, że były jenerał Skrzynecki, jeszcze się znajduje, nie tylko przy wojsku, ale w głównéj kwaterze. Nakazuję więc jenerałowi, żeby tenże były jenerał, natychmiast ustąpił, nie tylko z głównéj kwatery, ale nigdzie w całém wojsku, w żadnym oddziale, nie znajdował się.“

Gdy ten mściwy nakaz przyszedł już późno pod noc, jenerał Dembiński okazując mi takowy, dodał: „gdzież ja mam teraz tego prześladowanego męża w nocy wyganiać z mojéj kwatery! zostawię go spokojnym do rana,“ gdy ja z uwielbieniem podzieliłem zdanie szefa, a więcéj nikt o tém nie wiedział, więc tak zostało. — Jakież było moje zadziwienie, kiedy rano zostaję powołany do jen. Dembińskiego, a ten mi okazuje powtórną expedycyą od Krukowieckiego, w któréj tenże pisze do niego w francuzkim języku te słowa: „nie tak zwykłem być słuchany — ce n'est pas ainsi que je veux être obei.— Wczoraj kazałem jenerałowi, żeby były jenerał

Skrzynecki nie był cierpiany w wojsku, a on nocował w główném kwaterze. Ponawiam mój rozkaz i t. d.“ Wyraz ten wymagający jakiegoś ślepego posłuszeństwa od jenerała naczelnego wojska, obraził jener. Dembińskiego, komunikował wprawdzie złośliwe pismo jenerałowi Skrzyneckiemu, ale sam niezwłocznie udał się do prezesa rządu Krukowieckiego i złożył w jego ręce objęte dnia wczorajszego dowództwo wojska. — Takto skutkiem dawnych i cichych intryg Prądzyńskiego, popieranych w sejmie przez skryte sprężyny, od dnia 12 sierpnia, nie miało wojsko polskie dowódzcy; to też w obozie rosyjskim Paszkiewicz, poczytał sobie za pierwsze i wielkie zwycięztwo, gdy się dowiedział, że dowództwo zostało odebrane Skrzyneckiemu, i radosną sztafetę z tą wiadomością do cara Mikołaja wysłał. — Gdy jen. Skrzynecki dostał rozkaz Krukowieckiego, usunięcia się z główném kwatery, przywołał mnie do siebie i pytał: „czybym mu jakiéj kryjówki nie mógł nastręczyć dla schronienia się przed zabójczymi zamachami Krukowieckiego?“ — odrzekłem: „że od lat kilku zamieszkując w Krakowie, wyszedłem z związków w Warszawie, ale że nie jestem tego zdania, żeby się on Skrzynecki naczelny wódz, miał kryć, że przeciwnie, śmiałe i publiczne postępowanie, tak jego honorowi, jak i bezpieczeństwu najstósowniejsze“ — Gdy to nie trafiło do jego przekonania, wskazałem mu nazwiska pokrewnych jego osób, u których, jak się późniéj dowiedziałem, że pod ich powagą ukrywał się przez czas nie mały — że zaś obawa Skrzyneckiego przed złością Krukowieckiego nie była płonną, potwierdziła mi wkrótce wiadomość: że żonie jego zawieszono w oknie suknię żałobną! otóż to Rodacy! w takie ręce popadły opłakane losy naszéj ojczyzny . . . . przedmiot zaiste do rozpamiętywania . . . . .

Gdy Dembiński złożył komendę wojska, objął takową interymalnie szef sztabu jenerał Łubieński, w ten czas to nastąpił z naszéj strony rekonesans, po większéj części pod dowództwem francuza sztabs-oficera Gallois prowadzony, który najniepomyślniéj się skończył.. nie bez podejrzenia tegoż Gallois, a może już wtenczas i Ramorina, o którego późniejszych krokach krążą najohydniejsze wieści, żądające wyjaśnienia od żyjących jeszcze bliskich świadków czynności tego awanturnika.

Pewnego dnia jechałem sam na sam z jenerałem Prądzyńskim koło Woli, zwróciłem jego uwagę na słabe obsadzenie tego klucza fortyfikacyi Warszawy, tak małą ilością wojska jako i artyleryi; kwatermistrz jeneralny zdziwiony, że jego mądrości śmiałem taką czynić uwagę, odpowiedział mi z protekcyonalnym uśmiechem: „iż nie będą tak głupi, d'attaquer le beuf par les cornes“ —chcieć chwytać wołu za rogi — na to ja odrzekłem: „że król pruski, któremu nie zbywało na inżynierach, za Kościuszki kierował atak Warszawy na Wolę“ — jest to fakt historyczny— Prądzyński odrzekł mi na to znowu po francuzku (choć tego języka nie posiadał) „ils me feraient le plus grand plaisir, s'ils attaquaient par ici“—sprawiliby mi największą przyjemność gdyby tędy atakowali — cóż powiedzieć! na taką zarozumiałość upojonego miłością własną pedanta! tymczasem wiadomo, że Wola została od razu zdobytą, że w niéj Piotr Wysocki ranny, był w niewolę zabrany, i że Sowiński — weteran kaleka, ozdoba wojska i całego powstania, padł ofiarą, niedołężności kwatermistrza jeneralnego, który nawet fortyfikacyj Warszawy nie dojrzał, nie dopilnował... a cóż mówić! o zaniedbaniu zaopatrzenia stolicy w prowiant i żywność!... kłócono się, skarżono, słowem, i na piśmie, a nic nie działano; a mieliśmy rząd z pięciu mężów złożony, ministeryum, sejm, magistrat, gwardyą narodową; ale nikt nie my-

ślał, że trzeba jeść, że trzeba się bić, i że Warszawa jest miastem na oścież otwartém... marzyły się barykady, po szerokich jak wsie przedmieściach... chciano naśladować Saragossę!... o nieszczęśliwy kraj! gdzie taka nieświadomość jest u steru!....

Krukowiecki, rozwijając nibyto czynność Bonapartego — na całą noc pojechał do Koszyc, i postanowił szanownego ucznia Kościuszki, naśladowcę cnót tego bohatera, jenerała Kazimierza Małachowskiego, dowódzcą wojska, ale pod swoim najwyższym kierunkiem....

Zaraz potém, przypomniał sobie Prądzyński, że Warszawa nie jest zaopatrzona w żywność.... i dla téj sprokurowania, wziął się do osobliwego sposobu!..

Oto wyprowadził z Warszawy niemal większą połowę wojska bo 22 tysiące pod dowództwem Ramorina, a 8000 pod Łubieńskim.... miały te korpusy chyba już dostarczyć żywności Moskalom, bo można było przewidzieć, że mniejsza połowa wojska, pod naczelną komendą Krukowieckiego, nie obroni Warszawy przed koncentrującemi się siłami Paszkiewicza....

Tymczasem ja d. 25 sierpnia otrzymałem od jenerała Małachowskiego z polecenia prezesa rządu Krukowieckiego, rozkaz, udania się niezwłocznie do Modlina (jakoby) do pomocy komendanta twierdzy jenerała Ledochowskiego.....

Tu więc kończy się mój zawód tak w téj kampanii, jako i w obecnéj relacyi moich wspomnień.

Co powodowało jenerała Krukowieckiego oddalić mnie z Warszawy? niewiem... domyślałem się jednak, że chciał się pozbyć niewygodnego świadka swoich dalszych czynności....

Możecie sobie wystawić szanowni i młodzi czytelnicy moi! coby był dokazał Skrzynecki pod Warszawą w 70 tysięcy wojska, kiedy połowa onego— bez istotnéj komendy, zdołała przyprawić wojska moskiewskie (we-

dług własnych podań) o stratę 10500 ludzi— niezawodnie większą — z ranieniem samego feldmarszałka i 8 jenerałów....

Jest to prawie pewnikiem: że Skrzynecki byłby Paszkiewicza pobił, — że może feldmarszałek byłby jako zwyciężony walecznie poległ, albo że Skrzynecki a z nim my wszyscy jego otaczający, nie bylibyśmy przegranéj przeżyli... *przeciwnie* odbierając dowództwo Skrzyneckiemu, w czasie najważniejszym, w czasie i okoliczności na którą on całą swoję nadzieję od bitwy Ostrołęckiéj pokładał... zmieniając komendę wojska niemal codziennie — oddając ją w ręce ambitnego przywłaszczyciela, doprowadzono sprawę naszą do stopnia niedoli, jakiéj sobie nawet wyobrażać nie było można.

Cóż z tego, że wojsko polskie, pod niektórymi swoimi dowódzcami walecznie ginęło, kiedy siły nie były dostarczające, kierunek żaden, a ci co powinni byli stér trzymać, Krukowiecki i Prądzyński zajęci byli tylko kapitulowaniem, poddaniem, prywatą!...

Wkrótce doprowadzono rzeczy do tego stopnia, że 2ch żółnierzy w marszu z Warszawy do Modlina, strzeliło do wzorowego jenerała naszego Małachowskiego za to, że on ich strofował o kopanie ziemniaków w polu biednego chłopka.... a po kilku dniach ciągłego nieładu, przyszło do tego: że nikt zginąć nie mógł—chyba samobójstwem—bo nie było już bitwy... po wielu różnego rodzaju rozterkach, schroniono się do Prus, jak to był uczynił Giełgud, jak tego dał przykład Dwernicki...

Nie jestże to rzeczą widoczną, żeśmy padli ofiarą intryg cywilności, rezonującéj i derezonującéj, więcéj jak niedołężności naczelnego wodza, za którego dowództwa przynajmniéj, nasze wojsko zjednało sobie sławę europejską — wychodzi na to, od czegośmy zaczęli to pisemko: to jest *po pierwsze:* że jak Mochnacki słusz-

nie uważał: ten co w sobie czuje siłę rozpoczynania powstania, powinien sam takowe prowadzić; *powtóre:* że jen. Chłopicki zwoławszy sejm celem uznania swojéj dyktatury, powinien go był do domów rozpuścić; bo powstanie, bo wojna, nie znoszą gadatliwości; potrzeba: rozkazów, posłuszeństwa, porządku, ale rozkazów mądrych.

Nie zmieniło się w Europie, do dziś dnia, i nie zmieni się, bo natura ludzka jest jednaka, nauka historyi stara, można wynaleźć siłę pary, telegrafy, ale natury ludzkiéj, żaden fizyk nie zmieni.

Powtórzmy więc z poetą niemieckim: „Die Welt Geschichte ist, das Welt Gericht“ i czekajmy w chrześciańskiéj pokorze co mądrość Boska postanowi, bo napisano jest: „Nisi Dominus aedificaverit Domum, in vanum laboraverunt qui aedificant eam.“

Tymczasem możemy wznieść pomnik Janowi Skrzyneckiemu, bo zaiste, pięknym jest osobisty los jego: że obłąkani współobywatele nie dozwolili mu dokończyć rozpoczętego dzieła, na siebie więc ściągnęli odpowiedzialność przed potomnością, a uwolnili od niéj tego, który objął ciernisty wieniec dowództwa po bitwach Grochowskich z obietnicą zwycięztwa lub śmierci. — Kiedy więc los zawistny znowu nas pozbawił pomnika mającego się wznieść Poniatowskiemu, nim naród nowy uchwali; możemy śmiało uczcić pamiątkę współziomka, który nic w sobie nie miał moskiewskiego, jak chyba rany bagnetów i kartaczów.

Ten jest jeden z powodów, które mię skłoniły odpowiedzieć niniejszém pisemkiem na paszkwile miotane po drukach może nieświadomą, ale bodaj, nie podejrzaną ręką... bo przypatrując się przez długie życie sidłom, któremi okrążeni jesteśmy, odwołujemy się do

uwagi naszéj w dziełku przeciwko Thiersowi *) wyrażonéj, że nieprzyjaciele nasi wyznawali zawsze u nas dwa godła; jedno: divide et impera, drugie: calomniez, calomniez il en restera toujours quelque chose — rozdwajaj a będziesz rozkazywał — szkaluj, szkaluj, zawsze z tego jakaś plamka pozostanie.

Cztery były powstania skołatanéj, przez sąsiadów, zwłaszcza przez Rosyą Polski; i czterech bohaterów mieliśmy:

Wojna Barska, miała początkującego swego rycerza *Kazimierza Puławskiego*, który bohaterskim zgonem pod *Savannah*, okazał: czemby był mógł być dla Ojczyzny, gdyby go los był do późniejszych wypadków oszczędził.

Powstanie Kościuszki, okazało nam tego bohatera, upadającego wprawdzie przed nieprzyjacielem drugiego rzędu, ale uwieńczonego koroną obywatelskiéj zasługi, którego cnoty napełniły dwa świata półkręgi.

Powstanie części pruskiéj, dało nam *Józefa Poniatowskiego*, który miał szczęśliwą dolę, ciągłego zwycięztwa, aż do chwili gdy stanął przed obliczem Najwyższego, i jemu tylko oddał powierzony sobie honor Polaków.— Szczęśliwy! że się nie przeżył, że oswobodzonego karku, nie ugiął.

Czwartego powstania Warszawskiego, stał się bohaterem *Skrzynecki*; w tém szczęśliwszy od swoich poprzedników: że jego winie nikt upadku sprawy przypisać nie ma prawa; nie dali sobie wrogowie czasu, dowiedzenia mu: że on był przyczyną złego powodzenia, że skoro ustąpił, usunął zaporę; i że oni rzecz doprowa-

---

*) La Pologne et les Polonais defendus par un ancien officier de Chevaux Legers Polonais de la Garde de l'Empéreur Napoléon I. contre MM. Thiers, Ségur, Lamartine. Paris 1855 Librairie Du Mineray, rue Richelieu. N. 52.

dzili do końca, któremu on był na zawadzie— ale srodzy i nikczemni przeciwnicy odjęli mu sposobność nieprzeżycia niedoli, i tém zasmęcili długie życie, poważanego i przez obcych królów tułacza.....

Bóg który naukę ewanielii przez 72 rozesłańców, bez siły zbrojnéj po całym świecie rozpowszechnił, dozwolił i nam ewanielią polską rozpowiadać po wszystkich częściach świata... jest to nie małą i zaszczytną pociechą, dla rozbolałych serc naszych, ale opowiem wam czytelnicy! jeszcze inną, mniéj znaną, a dla mnie prawie osobistą:

Gdy w r. 1834 uzyskałem pozwolenie odwiedzenia Wiednia, za wpływem mojego szkolnego kolegi Rewitzkiego kanclerza węgierskiego, udałem się do niego, a ten mnię zaraz zagadł: „mój kochany dawny przyjacielu Polaku! jakże się to stało, że wy mając 70 tysięcy wojska schroniliście się za granicę?“... Odrzekłem skromnie, „że to zależało od wielu przyczyn, których mu tak na prędce wypowiedzieć nie mogę“... „a co tam! przerwał kanclerz, gdybym ja miał pod sobą 70 tysięcy Węgrów, usłyszałbyś o mnie szeroko....“

Nadszedł rok 1849... i pocieszył mię jako samoluba polskiego, bo dali Bóg! wojsko polskie, nie ma czego zazdrościć wojsku węgierskiemu. —

Te więc skrócone wspomnienia moje pospieszam podać do druku, dla wywołania zdań świadków, a sprostowania opinii, *dużo mylnéj*, powszechności, zwłaszcza młodzi naszéj, téj młodzi kochanéj, nadziei naszéj, a którą Kościuszko nazywał lepszą od ojców swych. —

Kraków d. 30 Stycznia 1861.

Józef Załuski.

KRONIKA.

Paryż w październiku.

Szóstego października paryzkie Towarzystwo aklimatacyi otworzyło w lasku Bulońskim wspaniały ogród w którym odbywać będzie swoje doświadczenia. Miasto odstąpiło na ten cel siedmnaście morgów gruntu; urządzenie go poruczone inżynierowi Halphau, genialnemu twórcy lasku Bulońskiego, kosztowało przeszło milion franków—a zabudowanie zaledwie na pół ukończone, najmniéj trzy razy tyle wyniesie. Narysowany ze znakomitym smakiem, poprzerzynany wodą, ustrojony kląbami i urozmaicony ślicznymi domkami swych czworonożnych mieszkańców, ogród o którym mowa, należy do najwytworniejszych zwierzyńców na świecie. Ci co widzieli Sidenham twierdzą, że kosztowne urządzenie jego, nie może się równać z kokieteryjną elegancyą zwierzyńca Bulońskiego.

W dniu inauguracyi przybył cesarz. Przyjął go w najobszerniejszéj sali jednego z ogrodowych budynków,

prezes Towarzystwa pan Geoffroy Saint-Hilaire, długą mową w któréj cel zakładu wyłuszczył, i w imieniu nauki podziękował cesarzowi za założenie w lasku Vinceńskim drugiego takiego zwierzyńca.

„Wprowadzać do Francyi i przyswajać ku powszechnemu dobru zwierzęta i rośliny użyteczne na wszystkich częściach globu rosnące — oto cel jaki sobie założyło Towarzystwo aklimatacyi“ powiedział uczony prezes. Cesarz odrzekł, iż bardzo się cieszy z rozwoju Towarzystwa i nie wątpi o pomyślności jego usiłowań, skoro takich ludzi ma na swém czele. W końcu dodał, że nauka może zawsze na jego gorliwą pomoc rachować. —

W téj chwili główném zadaniem Towarzystwa jest przyswajanie trzody lamów i alpagów świeżo z Kordelierów sprowadzonych. P. Geoffroy-Saint-Hilaire czytał na ostatniém posiedzeniu akademii nauk ciekawe szczegóły o usiłowaniach, jakie oddawna bezskutecznie czyniono we Francyi celem aklimatyzowania tych użytecznych zwierząt. Wełna lamy i Alpagi, bardzo wysoko ceniona, wkrótce zajmie ważne miejsce w przemyśle i handlu europejskim. Z tego powodu starano się tu tyle razy o przyswojenie tych kóz co dają wełnę na szale drogie i najprzedniejsze tkaniny zbytkowne.

Obecnie przywieziona do Bordeaux trzoda, składa się z 45 sztuk; 34 alpagi i 11 lamów, będą chodowane w przepysznéj obórce razem z trzodą kóz angorskich przysłanych do Francyi przez Emira Abd-el-Kader'a.

Ptastwo domowe stanowi teraz najbogatszą gałęź bulońskiego zwierzyńca. W kurnikach pobudowanych na wzór egipskich katakumb, można widzieć najdziwniejsze gatunki rozmaitego drobiu: potężne Bramaputry wysokości czteroletniego dziecka, czarne kury w białych puchowych biretach na głowie; ponsowe flamandy, bażanty złote w srebrnych koronkowych tunikach — indy-

ki olbrzymie i strusie dorównywające wzrostem rosłemu koniowi, stanowią zbiór rzadki któremu dość napatrzyć się nie można.

To też tłumy nieustannie zalegają buloński zwierzyniec. Mimo słoty i opłaty franka u drzwi wchodowych trudno docisnąć się do zwierząt, tyle ciekawych wabią.

Zwrót francuzów ku naturze jest widoczny: każdy dzień rozwija w nich ten gust nowy, mocno popierany z góry i rozpowszechniany za pomocą mnogich, prześlicznie urządzonych ogrodów, squarów, parków zwierzyńców, jak niemniéj książek poznajamiających ogół ze skarbami przyrody.

Sto lat temu, Buffon pisał: „Człowiek nie dość wie, co może natura, ani co on dla niéj może; zamiast jéj szukać w stronach nieznanych, woli nadużywać tych, które zna.“

Teraz już te słowa sławnego naturalisty nie dałyby się do jego rodaków zastósować. Historya naturalna stała się ulubioną nauką Francuzów.

Korzystając z tego nagłego a silnego zamiłowania, doktor medycyny i profesor Zoologii w Strasburgu, Lereboullet, wydał bardzo praktyczną książkę pod napisem: „Zoologie du jeune âge“. W przedmowie autor powiada iż tą pracą zastósowaną do pojęcia młodzieży, chciał choć w części zapełnić uderzającą lukę w nauczaniu elementarném Francyi, gdzie nauka historyi naturalnéj zaledwie jest dotknięta.

Jakoż rzeczywiście — szkoły francuzkie z dziwném lekceważeniem traktowały dotąd tę najważniejszą gałęź wiedzy ludzkiéj. Młodzież kształci się tu tylko na adwokatów, notaryuszów, doktorów, wojskowych, marynarzy, artystów lub profesorów — na gospodarza nikt się nie sposobi. Czyż można się dziwić, że w ten sposób wychowana młodzież, jak najspiesznièj ucieka ze wsi — porzuca pola i przybywa w mieście szukać zajęcia i

fortuny. A jednak, jakaż nauka szersze dla umysłu przedstawia pole i pewniejsze wróży plony, jak poznanie gruntowne produktów natury, z których ludzkość swój dobry byt wyciąga. Tam są złożone wszystkie resursa moralne i fizyczne jakich człek może zapragnąć — tam łatwiéj niż gdziebądź znajdzie majątek za którym goni: nie na bruku on leży — ale na roli.

Powyższe przekonanie powoli zaczyna we Francyi przemagać i rozrzedzać napływające do miast tłumy młodzieży która dotąd, dopiero stargawszy siły i energią na zdobywaniu pozycyi w stolicy, powracała dogorywać na wiejskiém wygnaniu, nie umiejąc rozróżnić pszenicy od owsa a cielęcia od barana.

Książka Lereboullet'a obejmuje studium całego królestwa zwierząt— ale obszerne rozdziały poświęca tylko zwierzętom użytecznym. Bydlęta i ptastwo stanowiące bogactwo rolnika, studiowane są starannie tak pod ekonomicznym jak naukowym względem. Książka o któréj mowa zdolna obudzić gust do historyi naturalnéj w młodzieży i nauczyć ją wiele, została przyjętą do szkół francuzkich.

Na drugi dzień po otwarciu ogrodu zoologicznego 7 października, inaugurowano drugi zakład ciekawy: Strzelnicę narodową zbudowaną przez architekta Duval w pobliżu zamku Vincennes. Jestto budynek piękny, obszerny i mimo krzepkości, na pozór bardzo lekko wyglądający. Widząc napływających tam mieszczan, rzekłbyś, że nieprzyjaciel stoi u bram stolicy — a to poprostu chęć zysku przywabia. Zaszczytna nagroda przynosi 10,000 franków, dwie mniejsze po 500— i dwieście. Tym sposobem strzelnica staje się pierwszym z konkursów narodowych — zaćmiewa nawet akademią francuzką — otwiera nowe drogi do fortuny. Jeden trafny strzał przyniesie tyle co nagroda Goberta — choć nie tak łatwo napisać „Historyą stanu średniego“ niż

trafić w tarczę. — Z tych czy z owych pobudek, dość, że ilu paryżanów, tylu zapalonych widzimy tu strzelców: jeźli ta moda potrwa, Wilhelm Tell wkrótce zejdzie na partacza.

Tell koniecznie nasuwa na myśl Rossiniego — a Rossini operę. Teatr włoski począł już roztaczać swój świetny repertoar. Lunatyczka ukazała się najprzód — za nią Kopciuszek, Rigoletto, Cyrulik i Trovatore. Zeszléj niedzieli występował w téj roli, nowy, świeżo przybyły tenor włoski, Pancani. Stugębna sława poprzedziła go tutaj: dobiegło do Paryża echo hucznych oklasków jakimi przyjmowano go w Neapolitańskiém San Carlo, Weneckiém Fenice, Medyolańskiém La Scala, Rzymskiém Apollo i we wszystkich teatrach gdzie śpiewał Verdego. W operze też tego mistrza dał się słyszeć — Paryżowi, ale tu nie poszło tak szczęśliwie jak we Włoszech. Zimny i wymagający Paryż przesłuchawszy przybysza, oświadczył pół-gębkiem, że sławy swéj wcale nie usprawiedliwia.

Jakże tedy wytłumaczyć owacye, które zbierał za Alpami? Bardzo łatwo. Jest dwa rodzaje słuchania, czucia i sądzenia muzyki: względny i bezwzględny. Śpiew Pancaniego musiał się podobać Włochom a nie podobać Francuzom: to proste następstwo dzisiejszego usposobienia dwóch narodów. Wzburzone Włochy potrzebowały muzyki odpowiedniéj stanowi swéj duszy; narodowi kipiącemu zapałem, majestatycznie spokojna i pogodna sztuka nie mogła się podobać... zachwycić go mogła tylko muzyka gwałtowna, namiętna, wojenna — słowem, muzyka Verdego, pełna wybuchów strasznych i energicznych krzyków. Rossini i Bellini musieli na chwilę z placu ustąpić przed Verdim, owym muzykalnym prorokiem wojny. Verdi samowładnie opanował scenę i stworzył sobie stósownych do okoliczno-

ści wyrazicieli, z głosem metalowym a donośnym jak dzwon trwogi.

Pancani do ich liczby należy: grzmi on, nie śpiewa. „Quels poumons!“ wołają Francuzi — i na tém kończy się uwielbienie. Pancani ogłusza w Sale Ventadour piękne damy przyuczone do cichéj rozmowy — oddzielone dywanami od zgiełku świata. Zamiłowanie muzyki w Paryżu nie wrodzone jak we Włoszech, ale sztuczne, potrzebuje też sztucznych muzykantów. Amatorom nie chodzi już o organ śpiewaka, ale o to, żeby umiał subtelnie cieniować śpiew — wydeklamować niepospolicie rzecz swoją, wyszeptać z dystynkcyą ulubioną cavatinę któréj zwykle małe rączki końcem paluszków przyklaskują.

Pancani na tych subtelnościach się nie zna: wyprostowawszy się jednostajnym świeżym i gromkim głosem śpiewa. Wrzeszczy introdukcyą, wrzeszczy „Di quella pira“ — wrzeszczy „Sublime Amor“ — wrzeszczy finał — wrzeszczy wszystko, od początku do końcu.. a balkon zatyka uszy i powtarza: „Quels poumons!“

Ztąd poszło, że nawet rzewna arya śpiewana przez Trovatora z daleka, pod murami więzienia, arya którą Maria tak cudnie nuci, którą Tamberlick tak wymownie oddaje a którą publiczność zawsze drugi raz powtarzać każe, oddana tym bronzowym głosem, nie sprawiła żadnego wrażenia.

Gdyby można dokonać odejmowanie głosu jak odejmowanie liczb — możnaby z Pancaniego zrobić dwóch bardzo donośnych tenorów. Pozostawiony w pełni sił swoich, w Paryżu nie zasłynie — bo tu spokojnym i surowym sędziom *zbyt wiele* równie wadzi jak *zbyt mało*, a śpiewak zarówno na śmierć skazany, czy mu suchoty czy tusza odejmuje miarę.

W teatrach mnóstwo nowości, treścią nieznakomitych ale powabnych formą i zachwycających oczy. Do tych

ostatnich liczy się czarodziejskie widowisko w Porte-Saint-Martin, które w swoim rodzaju przechodzi wszystko co tu dotychczas przedstawiono. Warto przyjechać z daleka żeby widzieć „Pied de Mouton“ to jest, przemażyć roskosznie z otwartemi oczyma pięć godzin, niby po dozie chaszyszu otwierającego bramy siódmego nieba.

Sztuki i książki poważne stają się coraz rzadsze we Francyi; tylko maszyna powieściowa ciągle z równą funkcyonuje szybkością. Nigdy płodzenie powieści nie odbywało się na większe rozmiary jak teraz. Cała Francya jest jedną kuźnią romansów: wyrabiają je wedle wszelkiego smaku; masz powieści cnotliwe, niemoralne, realne, duchowe, historyczne, malownicze, poetyczne, fantastyczne — co tydzień wychodzi ich najmniéj dwadzieścia w Paryżu.

Pojąć trudno kto ma czas czytać to wszystko? życie tak zajęte, tak rozerwane, tak czynne — że pewnie mało kto wziąłby książkę do ręki — gdyby nie drogi żelazne. Te dzięki Bogu dostarczają kręcącéj się ludzkości rekreacyi. Co robić w wagonie, lecąc za interesem gdzieś o mil kilkadziesiąt! Trzeba czytać — a cóż czytać jeśli nie romanse. Uprzedzając tę nową potrzebę, utworzyły się po dworcach kolei żelaznych księgarnie romansów — i te stoją najlepiéj.

Francuzi zawsze lubili powieści, ale nigdy tak jak teraz: czyta je dziś nietylko społeczność wyższa, zamożna, ale każdy wyrobnik, dorożkaż i posługacz; z ostatnią powieścią spotkasz się tak dobrze w salonie, jak w przedpokoju, na poddaszu, w kuchni i stajni — znajdziesz ją obok wachlarza elegantki i obok bicza woźnicy.

Mężczyźni bowiem równie pilnie czytają teraz romanse jak kobiety. Coraz częściéj można spotkać na ulicy wyrobnika zagłębionego w poszycie bibuły na któ-

réj, za susa, odbito mu jakąś powieść zastósowaną do młodéj jego wyobraźni i nie wybrednego smaku.

Romans odbijany po dziennikach, swoją drogą rozchodzi się ogromnie i wnika we wszystkie warstwy społeczne.

Mimo to, trudno temu dać wiarę, francuzki rozsądek nic nie cierpi na téj romansowéj strawie; umysł francuza zdrowy a ścisły, połyka ją jak łakotkę — a żyje czynem.

Najlepszy to dowód, że człowieka pracującego, żyjącego jak Bóg przykazał w równowadze ducha i materyi, książeczka nie popsuje. Głowa zajęta praktycznie a mocno, w literaturze lekkiéj znajdzie tylko miłą rozrywkę, potrzebny wypoczynek — wzoru do naśladowania nigdy tam nie szuka. Lud paryzki wszystkie wolne chwile poświęca czytaniu romansów, a nie ma podobno na świecie więcéj trzeźwego, rozsądnego i moralnego ludu jak ci zawzięci lektorowie bałamutnych romansów.

Fakt ten nie zbity, może najlepiéj uspokoić tych, co się przejęli obawami ministra, który niedawno na romanse feletonowe zwrócił baczność wszystkich prefektów, wskazując je jako jadowite, brzemienne wszech nieprawościami gadziny — i radząc ostateczne ich wytępienie.

Obawy płonne a rady niewczesne. Nie o wyrugowanie powieści z literatury, ale o dobrą powieść starać się należy. Wiek nasz zbyt wiele jéj winien, ażeby ją mógł potępić. W ciągu ubiegłych lat pięćdziesięciu romans przyczynił się najwięcéj do postępu społeczności; w téj formie przedyskutowano najśmieléj i najwymowniéj wszystkie kwestye polityczne i socyalne naszego czasu; powieść stanęła w obronie wszystkich spraw wielkich, wszystkich wyższych pojęć. Jeżeli w ostatnich czasach we Francyi zblakła, okazała ochotę zmienienia drogi i wstąpienia w ślady Louvet'a — to już w naj-

nowszych próbach tego rodzaju znać zmęczenie bardzo bliskie niemocy.

Tak zwany *Roman Galant* skończył niepowrotnie swą rolę — dowodem szczera uprzejmość z jaką publiczność tutejsza przyjęła kilka znakomitych powieści, do których policzyć należy „*Kuzynkę Julię*“ pana Arnolda Fremy i „*Margrabiego Villemer*“ ostatnią powieść ogłoszoną przez panią Sand w *Revue des Deux Mondes*. Nic prostszego i czystszego jak osnowa tych dwóch powieści zaczerpnięta z teraźniejszych obyczajów francuzkich i zamknięta w ramach rodziny. Bohatyrką pana Fremy jest dziewczyna bez majątku która znajduje opiekę u dalekiéj krewnéj — bohatyrką pani Sand pełna rozsądku i szlachetności panienka, która dla dobra biednéj rodziny poświęcając się, idzie w dom obcy jako demoiselle de compagnie, i tam doznawszy wiele cierpień, odbiera wreszcie godną swéj wzniosłéj cnoty nagrodę. Dwa te romanse mogą pogodzić z podupadłą powieścią francuzką, zwiastują bowiem rychłe jéj odrodzenie w piękniejszéj formie z duchem zdolnym znowu zaspokoić nowe potrzeby społeczne.

Wygnańcy włoscy zaczynają się zjeżdżać i osiedlać w Paryżu. Książę Aquilla mebluje świeżo kupiony pałac pod Bulońskim laskiem. Hrabia Syrakuzy najął wspaniały dom na polach Elizejskich. Jenerała Bosco widziano na ostatnich wyścigach gdzie był przedmiotem powszechnéj ciekawości.

Wszyscy ci zaalpejscy panowie żyją tu hucznie i wydają mnóstwo pieniędzy; na licytacyach paryzkich gdzie najrzadsze i najkosztowniejsze sprzedają przedmioty, odznaczyli się niewidzianą od dawna we Francyi hojnością.

Najwięcéj teraz poszukiwanymi na tutejszych licytacyach przedmiotami jest stara saska porcelana, fajans z czasów Henryka IIgo i porcelana Medyceuszów. Złoto

mniéj ma ceny niż te modne w téj chwili skorupy. Amatorowie pokrywają luidorami saskie zastawy — co do porcelany Medyceuszów i fajansu Henryka, te taką są rzadkością jak wielkie brylanty: wiadomo ile ich istnieje na świecie.

Na jednéj *wencie* obaczyłem półmisek, który wydał mi się zdaleka jakimś sprzętem golibrody. Wyobraźcie sobie moje zadziwienie, kiedym ujrzał tenże półmisek wpędzony przez licytantów do bajecznéj sumy 3000 fr. (mówię trzech tysięcy!)

— Nie dałbym za to ani trzech franków, rzekłem do sąsiada wielkiego amatora skorup.— Nie przyjrzałeś mu się, odpowiedział: na tym niebieskim półmisku jest odciśnięta książęca korona florencka i herb medyceuszów na którym są trzy litery F. M. M. co znaczy: *Franciszek, Maria, Medyceusz.*

Nie uważałem wprawdzie tego czarownego znamienia, ale choćbym go był i widział, mniemałbym zawsze, iż zbyt drogo zapłacono chlubę posiadania półmiska zrobionego dla prześwietnéj kuchni wielkiego księcia Franciszka Maryi Medyceusza.

Panuje teraz wielki ruch w mennicy paryzkiéj. Wyrabiają co dzień za cztery miliony złota w 20, 10, i 5 frankówkach.

Za panowania Napoleona III tłocznie menniczne wyrobiły za dwa miliardy 770 milionów 864,775 franków złotéj monety — a za 176 milionów 908,251 franków srebrnéj. Ogólna cyfra pieniędzy wybitych we Francyi od czasu przyjęcia systemu dziesiętnego do 1858 roku, wynosi 9 miliardów, 611 milionów, 169,541 franków.

Paryż w listopadzie.

W wigilią karnawału, w chwili kiedy listopadowe mgły dręczą duszę i ciało, najmiléj podobno gawędzić o jasno gazem oświeconych balach którymi już Paryż się zabawia, pomówmy więc o nich — tém więcéj, że nietylko rozrywka ale i nauka z téj pogadanki wypaść może dla tych, co nad Wisłą wzdychają do nieznanych nadsekwańskich balów.

Czas, wielki czas, ażeby te zgłodniałe rzesze poznały bliżéj prawdziwą fizyonomią paryzkich salonów, i żeby już ich nie podziwiały jak dotąd, przez złocistą mgłę złudzenia. Czas, żeby ci Tantale uciech paryzkich, przestali śnić o kryształowych i opalowych pałacach, gdzie przy dźwięku niebiańskiéj kapeli, pół nagie nimfy oświecone bladém światłem tysiąca lamp alabastrowych, tańcują wsparte na ramieniu młodzieńców pięknych jak Antinous lub Apollo. Trzeba raz pokazać im wyraźnie, te nimfy, te kryształowe pałace i tych Apolinów — bo jeżeli źle jest odbierać ludziom pewne nadziemskie złudzenia, to dobrze czasem a nawet zbawiennie, jakie ziemskie rozproszyć mamidło.

Zacznijmy nasz przegląd od centrum Paryża: od ratusza.

Sławne bale w Hôtel de Ville, o których niedawno Pers rozkochany w córkach pana Haussmana, kometowym stylem pisał sprawozdania — widziane nie przez pryzmat miłości, wyglądają nader prozaicznie.

O dziesiątéj wieczór, ustrojony siadasz do powozu, który jedzie stanąć w szeregu— to jest w tak zwanym ogonie, ciągnącym się aż do rogatki Bonshommes, o dobrą milę od ratusza leżącéj. Jadąc w szeregu noga za nogą, o pierwszéj przybywasz na miejsce, zawsze ze zmarzłemi palcami, często z odmrożonym nosem.

Ale nadzieja nagrody, co człeka grzeje przez całe życie, sprawia, że i tą razą nie tracisz fantazyi i wchodzisz z dobrą miną na schody. Tu spostrzegasz około siebie kwiaty... piękny gors jakiéj niemieckiéj baronowéj — łabędzią szyję angielskiéj lady — a przed sobą dziesięć salonów w anfiladzie. Pierwszy czerwony, drugi, czerwony, trzeci... czerwony. Zresztą choćby były i niebieskie, to wcale nie zmieniłoby rzeczy: nie wszedłbyś do żadnego... nie sposób! Tam tłok nie przebity, nie rusza się już, ale stoi w jednę różnobarwną massę skupiony. Goście herkulesową siłą obdarzeni, dochodzą aż do połowy pierwszego salonu.

Na tym punkcie stanąwszy, jeśli jesteś wysokiego wzrostu, widzisz ukazujące się i niknące rozmaite przedmioty, jak naprzykład: parę szlif, łysą głowę, nos potężny, najeżoną czuprynę, perukę, turban, girlandę, warkocz, lub marabutowy stroik. — Co tam się dzieje? pytasz sąsiada. — Tam bal się odbywa, odpowiada zaczepiony. — A czyjaż ta wyborna muzyka co brzmi tak ochoczo? — Strausa.

— Uniżenie dziękuję — odpowiadasz. I popatrzywszy jeszcze trochę czynisz odwrot przez gniotące cię szeregi i wracasz do siebie o piątéj rano, przepełniony zachwytem i okryty stearyną.

Wieczór u wysokich urzędników Państwa, odbywa się podobnie jak u prefekta Sekwany — tylko na mniejsze rozmiary. Tenże szpaler kamelii na schodach — takiż przepych muralny — też same szlify, fryzury i gorsy i tylko wchód wolniejszy — można wejść do pierwszego pokoju. Tu gospodarz stoi przed kominkiem, ustrojony wielką czerwoną wstęgą. Skoro cię anonsują, on wychodzi trzy kroki naprzód, wita gościa słodkim uśmiechem, i wedle tradycyi Neckera, tyłem, cofa się na swoje miejsce.

W ten sposób smaży się ów dygnitarz na wolnym ogniu aż do rana.

W zgromadzeniu też same typy widzisz co w Hôtel-de-Ville. Ilość ich zawsze jedna: tu i tam jesteś uderzony sprzecznościami jakie jedna i taż sama przyczyna wyradza. Masz przed oczyma rzadkiéj piękności i szpetności kobiety — marmurowe ręce panien posażnych i cyklopowe nogi nieusprawiedliwione nawet milionową fortuną; najpiękniejsze ramiona w świecie, i najsuchsze gorsy na ziemi — idealne piękności i potworności bajeczne. Rozmyślając nad zdrożnością łask natury, spostrzegasz i dziwną usposobień ludzkich różnicę: pytasz siebie, czy jest co godniejszego zazdrości jak los tego jegomości, co okryty orderami, dotacyami i zaszczytami, przechadza się z pawią powagą po salonach—oraz, czy może być coś smutniejszego jak życie tego drugiego dygnitarza, z takimiż orderami, ziewającego w kącie i oczekującego niecierpliwie chwili która go odprowadzi do domu wraz z dokuczliwą pedogrą i męczącą niestrawnością.

Na balach u wysokich urzędników jak w ratuszu bufety są obfite i smaczne —kapela doskonała którą prowadzi także Strauss.

Bale ambasady Ottomańskiéj tem się wyłuszczają, że na nich widzisz mnóstwo Moskali, wiele Niemców i Francuzów, niemało Włochów — wielką ilość Anglików, a ani jednego Turka. Sam ambasador jest zwykle Grek albo Słowianin.

Wieczory dramatyczne niezmiernie się teraz zagęściły. Gospodarz domu jest zwykle na pół oświeconym sztuk pięknych protektorem: lubi niezmiernie układać i przedstawiać u siebie komedye. Trzy miesiące jesieni poświęca nauce jakiejś krotochwili którą przedstawiają zimą w jego salonie między dwoma parawanami. Aktorowie nie zalecają się talentem: widzisz dyplomatów

rumieniących się jak poziomki — nieśmiałe dueriery — śmiałe dziewice i poufałych lokai— fałszywe głosy i złe wiersze.

Mimo to, słyszysz w koło szmer pochwał dla amfitriona. Z tych to saloników wylatują czasem ładne papużki pojawiając się na publicznéj scenie.

Na powyższych wieczorach nie ma muzyki ani tańców.

Wieczory dziennikarskie, są także ciekawym wyrobem paryzkiéj społeczności. Jedni mówią, że światem rządzi *opinia*, drudzy że *interes* — a tu ani jedno ani drugie tylko *próżność*. Próżność rządzi światem: najlepiéj o tém przekonać się można na dziennikarskich wieczorach. Najlichszy dziennikarz, byle wiadomem było, że ma na swoje rozkazy gazetę, może zebrać u siebie na zawołanie najświetniejszych artystów. W tym tłumie zaproszonych, zbiera on sobie wygodnie materyały do artykułów, którymi będzie zabawiał publiczność. Każden z przybyłych odegra przed nim rolę jakiéj zażąda: jeden musi śpiewać, drugi grać, trzeci deklamować, czwarty rysować, piąty skakać — jak przez sułtanem niewolnik. Każdy zaproszony na zawołanie się stawi— bo jakże odmówić dziennikarzowi? A feleton? A sprawozdanie? A krytyka?

Więc co tam bądź na dworze— grad, mróz, czy ulewa, biegną nieboracy na wezwanie gazeciarza — bo z dwojga złego, uliczne błoto daleko łatwiéj się zmyje niż dziennikarskie.

Jedynemi, prawdziwymi tyranami Paryża są dziennikarze.

Na *wieczorach malarskich* napoje i przekąski zastępują szkice i aquarelle które zaproszeni goście podają sobie wzajemnie aż do północy. Czasem na tych wieczorach gospodarz zabawia towarzystwo fotografowaniem księżyca, która to zabawa zmusza do otwierania okien podczas kilko-stopniowego mrozu.

Wieczory palestry są trochę cieplejsze, ale nie zabawniejsze. W wigilią odbierasz *pozew* nakazujący stawić się jutro o *ósméj punkt*, w domu pana sędziego lub notaryusza. Przybywszy, ziewasz *w obec świadków*. przez dwie godziny. O dziesiątéj gospodarz wstaje z krzesła i wzywa do rozejścia się, oświadczając głośno, wszystkim razem i każdemu z osobna, w obec Boga i ludzi, że wieczorek jego jest *niewinny*.

Kto nie widział zgromadzeń w arystokratycznych pałacach przedmieścia Saint-Germain, na ulicach Saint-Dominique, l'Université, Grenelle i okolicznych, nie ma wyobrażenia różnicy jaka zachodzi pomiędzy starą a młodą Francyą.

W tych świetnych salonach, czas zdaje się nie postąpił ani na krok od czasów Frondy; pojęcia, stroje, maniery, wszystko to pozostało takiém, jakiém było za czasów Ludwika XI. Salon Dueriery lub Duszesy na przedmieściu świętego Germana, wygląda jak dawna historya francuzka w żywych obrazach, oświecona blaskiem wersalskiego słońca. Gdyby Richelieu, Saint-Simon, Scuderi lub Pompadura wstali z grobu, znaleźliby się w téj kompanii jak u siebie.

Z powodu różnicy jaka je od reszty ludzi przedziela, dostojne te osoby bawią się same z sobą. Strauss jednego wieczora o jednéj godzinie prowadzi wszystkie orkiestry na Szlacheckiém przedmieściu.

Jedyne wieczory na których czasem jeszcze można się w Paryżu zabawić, są *wieczory bankierskie*, odbywające się w okręgu Saint-Lazare i Chaussée-d'Antin. Ponieważ uciecha może i bez tytułu być uciechą, Paryżanie przebaczają tym biednym bankierom brak szlachectwa dla ich pięknych salonów i miléj rozrywki, którą gościom swym sprawić umieją.

Dziś bankier francuzki nie oddałby dobrodusznie jak Samuel Bernard swych milionów tronowi, dla tego żeby

mu się król kłaniał spotkawszy go w ogrodzie— ale za to, teraz bankierowie oddają swe złoto za płody umysłu i rąk ludzkich: kupują od malarzy obrazy, od autorów książki, od rzeźbiarzy posągi, od jubilera klejnoty — od fabrykantów wszystko co najlepszego wymyślą, a nadto, uważając ich za równych sobie, mówią twórcom zakupionych towarów: Przyjdźcie proszę zjeść kolacyą pośród swych arcydzieł, i potańcować przed swymi obrazami.

Wieczory bankierskie łączące intelligencyą z dostatkiem, są tedy rzeczywiście najpiękniejszymi i najrozmaitszymi wystawami płodów sztuki i przemysłu paryzkiego. Na dywanach tych salonów znajdziesz też najpiękniejszą wystawę arcydzieł boskich: spotkasz kobiety piękne spokojem a powabne wykształceniem: mają one cały powierzchowny wdzięk arystokracyi, wdzięk tém większy, że nie skażony dumą, tém milszy, że jak patrzą na plebejusza to nie jak tamci „co łaskawie ledwie znoszą że i ciebie Pan Bóg stworzył.“

Na takim wieczorze, powtarzam, zabawić się jeszcze można, jednak nie tak, wierzcie mi, nie tak, jak w miłém gronie zebraném w polskim domku, gdzie Straussem, fortepian — światłem, gościnność gospodarza — kwiatami, jego córki— a ciepłem dającém temu wszystkiemu życie i urok, staropolskie kochajmy się.

Paryż w grudniu.

Kronikarz wyścignięty przez lokomotywy i telegrafy, ograniczać się musi na zapisywaniu samych trwałych i nie przemijających faktów. Przejęty tym obowiązkiem, mówić tu będę najprzód o biesiadzie, którą przed paru dniami cech kucharski uczcił mistrzów swéj sztuki.

Spodziewam się iż tą razą poważni krytycy o lekkomyślność mnie nie posądzą— wszyscy bowiem, ilu ich jest, ważność sztuki gastronomicznéj uznają, i do jéj kwitnienia, ile ich stać, czynnie dopomagają.

Słuchajcie tedy, i połykajcie ślinkę.

W jednym z najobszerniejszych lokalów bulwarowych, kucharze najpierwszych domów paryzkich dawali obiad składkowy dla pana Lagneau szefa kuchni cesarskiéj. Urządzeniem zastawy, zajmował się potomek Vatela, rozkochany w swym kunszcie kuchmistrz, pan Bernard, mądry praktyk i wysoko ceniony autor uczonéj rozprawy którą niedawno zbogacił gastronomiczną bibliotekę Francyi. — Jemu także należy się wdzięczność za wynalezienie sławnéj zupy *cebulowéj* o trzech zapachach (aux trois saveurs), zupy, która otrzymała palmę pierwszeństwa na pamiętnym w kucharskich rocznikach Paryża gastronomicznym konkursie.

Pierwsze miejsce obok dostojnego solenizanta zajął pan Meltra, kucharz Rothschilda, mąż dostojny, posiwiały w trudach, zasłużony, i pobierający miesięcznie dwa tysiące franków pensyi. Przy tych dwóch Nestorach francuzkiego kucharstwa, zasiedli rzędem kuchmistrze paryzkich ambasad mocarstw pierwo-rzędnych.

Byłto, jak widzicie, istny kongres gastronomiczny, na który zgromadziły się znakomitości równe Talleyrandom Metternichom i Nesselrodom.

Niepodobna prostemi słowy oddać wykwintnego smaku z jakim ten obiad sporządzono i zastawiono; dość wiedzieć, że na około każdego półmiska można było— zdaniem naocznego świadka — napisać te wyrazy które Voltaire chciał wyryć na każdéj karcie Racina: „piękne, harmonijne, wzniosłe“ — że w każdéj zastawie była przynajmniéj jedna taka tajemnica, jaką zakończono ucztę soplicowską dwunastego roku: „ryba niekrojona,“

„U głowy przysmażona, we środku pieczona,
„A mająca potrawkę z sosem u ogona.“

Warto było dołożyć starań, bo żaden szczegół nie uszedł bystrego oka mistrzów, a żaden smak nie przemknął się nie odkrywszy całéj swojéj natury ich czułemu podniebieniu. Sos jakiś genialny przyjęto z zapałem — a leguminę śmietankową wywołano aż trzy razy, i za każdą razą raczyła się ukazać na stole.

Na głównych ścianach sali w któréj posadzono gości jaśniały dwa trofea z oznak kucharskich misternie ułożone. Pierwsze zrobione było z noży, tasaków i wszystkich ostrych narzędzi kuchennych; drugie, z form mosiężnych w których ciasta i galarety stygnąc nabierają swych malowniczych kształtów bawiących oczy zanim roskosze podniebieniu sprawią.

Czterdziestu kucharzy w galowym stroju, to jest kaftanach, czapkach i fartuchach białych, z wielkimi nożami przy boku, usługiwało dostojnym kolegom, dając światu budujący przykład uszanowania hierarchii. Daremnieby go szukać w innym zawodzie! Powiedzcie sami — czyby znalazł na całym globie, dwudziestu poetów chcących usługiwać dwudziestu braciom swoim w Apolinie, uważając ich za wyższych od siebie? czyby znalazł dwudziestu malarzy którzyby chcieli pokornie odmieniać talerze swym zasłużeńszym kolegom w Rafaelu? Pewnie nie. Nie szukajmy nawet, boby się pokazało iż rzemieślnicy więcéj mają w duszy chrześciańskiéj pokory niż apostołowie sztuk wyzwolonych.

Po téj biesiadzie, na któréj Lukullus byłby doznanie jednéj niespodzianki — gdzie Anakreont nie byłby żałował swéj czarnéj polewki — gdzie sam Brillat-Savarin byłby powitał bez zazdrości postęp sztuki, którą tak świetnie w swoim czasie reprezentował — po téj biesiadzie mówię, rozpoczął się bal z którego dochód był przeznaczony na korzyść sierot cechu kucharskiego.

Przybyło 4,000 osób. Ogromne sale balowe na bulwarze *zbrodni*, ledwie mogły pomieścić zaproszone przez kucharzy damy, które wdziękiem i ubiorem nie różniły się od tych którém macocha fortuna usługiwać im każe. Wszystko odbyło się jak najświetniéj i jak najprzyzwoiciéj. Tańcowano do rana i zostawiono w kasie dla ubogich 20,000 franków.

Ogród aklimatacyi mimo zimy, dotąd pierwsze miejsce zajmuje pomiędzy rozrywkami Paryża. W ciągu tygodnia za opłatą franka od osoby, wchodzi doń w przecięciu dwa tysiące ludzi — a czternaście do ośmnastu tysięcy co niedziela. Cyfra ta najlepiéj dowodzi jak mocno publiczność tutejsza zajmuje się tym zakładem i jego różno-krajowymi mieszkańcami.

Ilość ich coraz wzrasta. Na rzeczce przepływającé dolinę środkową, igrają coraz liczniejsze stada wodnego ptastwa najrzadszych gatunków. Łabędzie czarne, łabędzie białe z czarną szyją, łabędzie australskie których para kosztuje cztery tysiące franków; gęsi afrykańskie, gwinejskie, sandwichskie, egipskie, dunajskie tuluzańskie; kaczki chińskie, holenderskie, karzełki labradorskie — oto główne szczepy z których złożone te wodne krzykliwe hordy.

Dwa wzgórza stanowiące dwa boki doliny, mieszczą zwierzęta stósownie do swego położenia, strona prawa wystawiona na południe dostała się zwierzętom z ciepłych krajów. Tam zasadzono także szkółki gdzie się będą przyswajały świeżo do Francyi przywiezione gatunki jedwabników: *bombyx myletta* (jedwabnik dębowy) *bombyx cinthia*, (jedwabnik ricinowy) i *bombyx arrindia* (jedwabnik topolowy).

Do ptaszarni zbudowanéj na przestrzeni kilkuset metrów, przybył pyszny bażant Himalayski, zwany Wallich i bażant Cuviera, gatunek nader rzadki którego nigdy przedtem nie widziano w Europie, także chiński

bażant złoty — srebrne gołębie z Nowéj Holandyi i japońskie przecudnéj barwy pawie.

W kurnikach, mających pomieścić 112 gatunków kur z których ta liczna rodzina się składa, zgromadzono już pięćdziesiąt sześć najpiękniejszych rodzin. Jestto podobno największy zbiór jaki istnieje w Europie.

Siedmdziesiąt dwie ogrodzone łączki mieszczą zwierzęta żyjące pod gołém niebem. Zielone te zagrody są przedziwnie urządzone: obszerne, wysłane miękką murawą, okolone przejrzystą kratą, zasiane krzaczkami i drzewami, przerznięte strumieniem— mogą zwierzęciu czynić zupełne złudzenie ojczyzny. — W takich zagrodach pomieszczono same użyteczne zwierzęta, jak krowy, osły, owce, kozy i sarny zagraniczne których przyswojenie przyniosłoby korzyść Francyi.

Wielkie ptaki pustyni, jak strusie australskie i amerykańskie— koronne żurawie i numidyjskie panny, żyją tu także na łączkach pod gołem niebem, i jakoś z podziwieniem ogólném, po spartańsku wytrzymują zimno. Prawda że nie było dotąd mrozu, ale zawsze, jakże ogromna różnica między egipską a paryzką temperaturą.

Do zbioru jeleni, przybył tak zwany jeleń Arystotelesa i jeleń indyjski, zwany cerf-cochon, bo z kształtu zupełnie do świni podobny.

Aquarium i szklarnie dotąd nie ukończone. Opiekunami czynnymi ogrodu, są zawsze uczony Izydor Geoffroy Saint-Hilaire i syn jego Albert, mianowany poddyrektorem.

Słychać że na wzór paryzkiego, założono już w kilku miastach prowincyonalnych ogrody aklimatacyi: nie długo więc zawiąże się w całéj Francyi stowarzyszenie czynne trudniące się przyswajaniem zwierząt; przykład dany przez Paryż, znalazł już nawet naśladowców w odległych krajach: na wyspach kanaryjskich założono ogromny taki zwierzyniec — wice-król Egiptu zakłada

takiż pod Kairem. Główną więc zasługą paryzkiego ogrodu aklimatacyi, jest przykład jaki dał światu. Takto prawdą jest co powiedział nie wiem już który ze sławnych pisarzy francuzkich, że kilku ludzi myśli i rzuca idee — a reszta świata panuje nad ich urzeczywistnieniem.

W księgarniach cztery najważniejsze w téj chwili dzieła są: Krytyka Chateaubrianda napisana przez pana Saint-Beuve pod tytułem: „*Chateaubriand et son groupe littéraire sous l'Empire.*“—Ośmnasty tom Thiersa *Historyi konsulatu i cesarstwa.* Druga seria *korespondencyi dyplomatycznéj de Maistra* (peryod od 1811, do 1817 roku), wydana przez Alberta Blanc; czwarte nakoniec „*Les Oeuvres et Correspondance inédites d'Alexis Tocqueville,* poprzedzone przedmową towarzysza amerykańskiéj podróży autora pana de Beaumont.

Krytyka Saint-Beuva (dwa tomy w ósemce) odznacza się głębokością sądu i mnóstwem ciekawych dokumentów. W księdze Thiersa skreślona jest historya pierwszéj restauracyi i nader zajmujący obraz kongresu wiedeńskiego.

Pan Blanc pod zarzutem jakoby nie objawiał całéj myśli de Maistra wyciągając z jego listów kawałki, drugą połowę korespondencyi dyplomatycznéj podał w całości, bez żadnych komentarzy. Drugą tę seryą listów, może ciekawszą jeszcze od pierwszéj, wydawca poprzedził przedmową, zdaniem mojém nie potrzebną, bo konfiskującą hrabiego Józefa na korzyść zjednoczonych Włoch, którym dzięki Bogu na ludziach genialnych nie zbywa, i bez takich przodków najzupełniéj obejść się mogą.

Książka Tocquevilla pełna głębokich myśli i bystrych spostrzeżeń, jest niezawodnie najlepszém dziełem jakie dotąd o Ameryce napisano.

W teatrach nowości mierne.

W operze wielkiéj balet czerkieski panny Taglioni pod tytułem: „*Motyl*“ rzecz w swoim rodzaju ładna, ale nienadająca się do opisu.

W Odeonie przedstawiają pięcio-aktową komedyą wierszem napisaną przez panią Bouilhet, pod tytułem: „*l'Oncle Million.*“ Sztuka napisana ładnym wierszem, ale myśl ani nowa ani umiejętnie przeprowadzona. Chodzi o wykazanie wyższości ideału nad rzeczywistością, poety nad kupcem. Teza ta była już parę set razy i lepiéj obrobiona — ale że rym łatwy i gra aktorów wyborna, na słuchaczach p. Bouilhet nie zbywa.

Wyborny vaudeville Henryka Murger „*le Serment d'Horace*“ należy do przedziwności francuzkiego dowcipu. Nigdy werwa utalentowanego autora nie okazała się żywszą, nigdy fantazya jego lżéj nie bujała w promieniu brylantowéj wesołości.

Sama treść nie wiele wam powié — ale da przynajmniéj wyobrażenie na jakim gruncie autor rzecz swą osnował.

Pan Horacy nudzi się chodząc ciągle w deptaku codziennego życia — i pragnie mocno niespodzianki któraby go otrzeźwiła; traf czyni zadość jego życzeniu. Pewnego dnia w teatrze, dają mu przez omyłkę cudzy paletot. Horacy korzysta z okazyi i zmieniając odzienie zmienia zarazem, jak to mówią, skórę. W kieszeni zamienionego paletotu znajduje pugilaresik w którym właściciel nakreślił sobie program dnia jutrzejszego; odczytawszy go, Horacy przysięga sobie iż go spełni co do joty.

Stoi najprzód zapisano, że trzeba rano iść kupić ogromny zapas kawy i cukru. Zysk pierwszy: filiżanka mokki zapewniona na całe życie! —Z korzennego sklepu notatka dawnego właściciela paletotu, prowadzi Horacego w odwiedziny do kilku dam kameliowych.

Dotąd program spełnić łatwo — ale główna trudność przypada na wieczór. O godzinie ósméj, powiada notatka, trzeba iść tam a tam, i oświadczyć się o rękę niejakiéj pani de Sautenis. Horacy próbuje szczęścia, i wchodzi śmiało do nieznajomego sobie buduaru, gdzie zastaje piękną kreolkę pod strażą surowego wuja. Z początku idzie jak z kamienia; ale Horacy się nie zraża: wypchnięty drzwiami, wchodzi oknem; pani nie chce nań patrzeć, a wuj się żżyma; jednak w końcu, mimo tak drażliwéj pozycyi bohatyr krotochwili, tyle cudów zręczności dokazuje, że przed północą zdobywa względy kreolki i przyswaja wujaszka, którego po ślubie ma zamiar podarować ogrodowi aklimatacyi.

Jak widzicie, sama osnowa jest prawie niedorzeczną, ale wyhaftowana na téj kanwie przez Murger'a komedyjka do najpiękniejszych brylantów francuzkiego humoru należy.

U Włochów z powszechném zadowoleniem przedstawiają teraz *Il Matrimonio Segreto* Cimarosy. Czystość i giętkość téj ślicznéj muzyki przywodzi na myśl Madony Rafaela. Ileż świeżości i finezyi w téj wesołéj kapeli co brzęczy niby ul pszczół w południe. Jestto muzyka w chwili swego ocknienia: naga i prosta, nie potrzebująca się wyrażać z pomocą sztuczną metalu. Sama posiada skrzydła — ma lot szybki i delikatne, niewyczerpane gardełko ptaszka: jak on, śpiewa sobie igrając w przeźroczystém powietrzu.

Głos ludzki jest ulubionym organem twórcy téj pogodnéj opery; nawet wtórującym mu instrumentom muzyk nadał rzewny ton chóru uwielbienia.

Wykonanie jest wyborne. Alboni tu, w swoim zupełnie żywiole buja i świergoce z łatwością i niedbalstwem rozkochanéj zięby.

Powodzenie sztuki wielkie. *Matrimognio Segreto* już nie opuści włoskiéj sceny. Jestto przegrawka do *Cyru-*

ika, dorównywająca mu w wielu miejscach. Cimarosa zwiastuje Rossiniego jak jaskółka wiosnę.

Cóż powiedzieć jeszcze o Paryżu? To chyba że w téj chwili sam sobą i wyłącznie sobą zajęty. „Miłosierdzie dobrze zrozumiane zaczyna od siebie.“ Trafiając w myśl tego starego przykazania, dzienniki paryzkie zajmują się przedewszystkiém położeniem jakie im tworzy cyrkularz nowego ministra spraw wewnętrznych. Trzeba im tę chwilę samolubstwa darować; wszakże dość długo cudzemi zajmowały się sprawami. Wszystkie zgadzają się na to, że najlepsze usposobienie ministra z ograniczoną wolą nie dają pewności takiéj jak jasno określone choć surowe prawo.

Rzym w listopadzie.

W skutek wstąpienia trzydziesto tysiącznego korpusu neapolitańskiego do pozostałych Papieżowi prowincyj, jako też liczněj emigracyi neapolitańskiéj szukającéj przytułku w Rzymie, zalani jesteśmy włosko-południowym żywiołem, który się tutaj przenosi ze swoją ruchliwością, niestatkiem i makaronami. I nie tylko we wiecznem mieście cierpiemy ten zalew: okolica rzymska napełniona jest tem ubóstwem, co chciało zostać wiernem królowi swemu nie walcząc, cierpieć ale się nie bić, przegrać bez przegranéj, i naraziła się mężnie na tułactwo i na wszystkie skutki klęski nie pokusiwszy się ani razu o zwycięztwo. Zaprawdę, odmówić niemożna pewnego animuszu i poświęcenia się ludziom, co zamiast przejść do nieprzyjacielskich szeregów, jeśli w nieprzyjacielu widzą rodaków i braci, albo bić się, jeśli go poczytują za obcego jeno wroga, albo nareszcie rozejść się spokojnie do domów, jeśli się brzy-

dzą zarówno dezercyą i krwi rozlewem, — co zamiast, to wszystko uczynić ustępują za granicę państwa, trzydzieści tysięcy przed dwudziestą, i z abnegacją godną podziwienia karmią się przez trzy dni liśćmi i trawą nie lękając się głodnéj śmierci stokroć straszniéjszéj od zgonu na polu bitwy...

Zdrady, jak się zdaje, nie było, albowiem z bronią wymierzoną przeciw podejrzanym o takową naczelnikom, kazali się prowadzić... ale dla czego, pytam, wtył a nie naprzód?... Żołnierz, co się nie bije, dowodzi, iż nie jest żołnierzem, ale przytem rzucając dobrowolnie kraj, rodzinę, gospodarstwo i znosząc wesoło najdolegliwsze niedostatki pokazuje, że nie jest tchórzem... Czemże więc jest?... Oto chyba Xenofontem, który całe swe męztwo i sztukę zasadza na odwrocie. Grecy rodem jak sławny autor *Anabazy*, i przeto artyści z natury, Neapolitańczycy lubią snać greckie pamiątki, miłują sztukę dla sztuki, odwrot dla odwrotu i bez względu na siebie, na przeciwnika lub na sprawę, chcieli przedewszystkiem postąpić klasycznie nie troszcząc się bynajmniéj czy postąpią wojskowo... i widzieliśmy sławny odwrót dziesięciu tysięcy przez trzydzieści powtórzony...

Obecna zaś ich wesołość, spokojność i wewnętrzne zadowolenie mogące się jedynie przyrównać do zadowolenia artysty po ukończeniu misternéj pracy lub wykonaniu znakomitego dzieła, są dostatecznym naszego wniosku dowodem. Artyści rycerze, którzy gotowi byli umrzeć w Gaecie i gotowi się cofać za przykładem Xenofonta, radzi teraz żyją w Rzymie i w jego okolicach. Albano i Frascati są napełnione oficerami neapolitańskiemi. Kwaterują oni w większéj części po prywatnych domach, z których wiele ofiaruje im darmo mieszkanie i pokarm. Siła z téj gościny wywięzuje się awantur i intryg.

Tak n. p. znamy w jednem z dwojga zwyż pomienionych miasteczek pewną panią, matkę czworga dzieci, któréj trzydziesta-siódma wiosna ani świerzości ani wdzięku nie odjęła, a wzrost jak na kobietę niezwykły królewskiéj wspaniałości dodaje. Małżonek, człek poważny i ascetycznych zasad, ale wzrostu tak niziutkiego, iż połowicy do ramienia niedochodząc, uważa z przerażeniem, że równowaga małżeńskiego pożycia, mająca się dotychczas w odwrotnym stosunku do wysokości obojga, widocznie szwankować zaczęła odkąd pod tym gościnnym dachem znalazł schronienie dwudziestoletni neapolitański oficer od ułanów, ranny pod Kapuą w szarży przeciw Garibaldemu wykonanéj, i przeto niewymownie zajmujący... Od kiedy miły gość ten zawitał do tchnącego porządkiem i surowością zacisza ślicznéj willi nad jeziorem Castelgandolfo, dawny domowy spokój podobny niegdyś do zwierciadlanéj bliskich wód powierzchni wyniósł się na całopalenie do święconego Jowiszowego gaju, co tuż z willą graniczy. Kawa gospodarza, którą mu gospodyni zwykła była co ranek własną rączką przyrządzać, jest pełną fusów, śmietanka się warzy, pani bywa wciąż roztargnioną, a panny, które mają rozkaz przybylca *braciszkiem* nazywać, skarżą się że mama przestała je uczyć, że wtoruje tylko na fortepianie *braciszkowi* śpiewającemu neapolitańskie piosnki, i że nieprzestannie mówi o Kapuy, która małżonkowi równie jak Annibalowi we znaki się daje...

Ponieważ wspomnieliśmy o miłym głosie neapolitańskiego wychodźca nucącego *Santa Lucia* i *Pescator dell'onda* pod sosnami włoskiéj willi nad lazurową jeziora szybą, dodajmy, iż Włosi się powszechnie użalają że nie mają dotąd narodowego śpiewu. „Jakto! woła jeden z ich dzienników, Grecya, Serbija, Rumunia, mają swe patryotyczne pieśni; my się zaś szczycim Manzonim i Aleardim, Rossinim i Verdim liczym nadto całą

miriadę wierszopisów i muzyków, a do dziśdnia nie posiadamy pieśni Włochów (*il Canto degli Italiani*)! Skarga ta zasługuje na zastanowienie. Wprawdzie podobnem niedostatkowi zaradza poniekąd obecnie *hymn Garibaldego* śpiewany z zapałem w Neapolu; ale nie jest on dość pięknym i wojennym, tchnie zanadto rewolucyjnym zawrotem, jest nazbyt podobnym do francuzkiéj *Maseillaise,* by uzyskać na zawsze prawo obywatelstwa i stać się narodową nutą ludu czującego własną godność, słynnego z oświaty i łagodnych chrześciańskich uczuć. Sztylet i czerwona koszula mogą znamionować pojedyńczą fazę narodowego rozwoju, fazę przesilenia i nieładu, ale opiewane jako godło i *palladium*, nie czyniłyby zaszczytu ani społeczeństwu, coby je przyjęło za wieczysty klejnot rycerski, ani bohaterowi pieśni, którego patryotyczne uczucia są tłomaczone przez namiętnego piewcę i przez rozjątrzone tłumy w sposób ubliżający jemu samemu, a w każdym razie niegodny stanowiska, jakie w dziejach narodów zwykli zajmować oswobodziciele tacy jak Kamil, Wilhelm Tell, hrabina Matylda, Joanna d'Arc, Czarniecki, Washington i Kościuszko. — Italia tedy wraz z pogodniejszą przyszłością czeka innéj spokojniejszéj pieśni, takiéj, jaką Dante, wieszcz hartownéj duszy i wspaniałomyślnych natchnień mógłby ułożyć, takiéj, jaką Rossini lub Bellini, nie zaś hałaśliwy i rewolucyjny Verdi, zdolniby przewcielić w język dźwięków...

Narzekania na taki muzyczny niedostatek sięgają takoż muzyki słowa, — poezyi. „W jéj ojczyźnie dodają te same włoskiéj prasy rzeczniki, w ojczyznie natchnień i sztuki, podczas gdy się toczy wojna o niepodległość, żaden się niezjawił poeta narodowy.“

Okoliczność ta jest arcy-godną uwagi.

Kiedy przed ośmią wiekami Italja kupiła się wszystka pod znaki wielkiego Hildebranda dla odporu nie-

mieckiéj napaści, a młoda, śliczna i natchniona niewiasta stawała Kloryndą XII wieku, hetmanką pospolitego ruszenia, i kruszyła tę gibelińską potęgę, którą z drugiéj strony miecz Chrobrego szczerbił: naówczas zakapturzony poeta, mnich średniowieczny, wśród zgiełku i ognia walki o podwójną niepodległość kościoła i ojczyzny, spisywał szczęk oręża jak muzykę kościelną z okna swojéj celi, zamieniał epopoję czynu w epopeję słowa, któréj jedna chyba barbarzyńska łacina przeszkodziła wejść w poczet nieśmiertelnych ducha utworów, i dłonią wszechwładnym powabem przedmiotu na wzór kochanki lub niewolnicy prowadzoną, kreślił lazurem i złotem uroczą postać Matyldy, by rajską miniaturę z ówczesnych mszałów.

Gdy następnie domowa wojna rozdarła do wnętrza łono ojczyzny tchnące przedtem jednością i zgodą, wielki budownik tych światów uczynił sobie piekło z jéj zbrodni, czyściec z jéj bólów a raj z jéj nadziei, i jął pielgrzymować po nich, zbierając po drodze wygnania epizody pełne piekielnéj rozpaczy lub niebiańskiego wdzięku jak kości i fijołki znalezione obok siebie na jednem pobojowisku... Italija przeszła cała w pieśń jego ze wszystkiemi swemi grobowiskami i błońmi.

Gdy późniéj jeszcze owdowiała Roma zapłakała nad pustkami, na jakie ją Awenionskie przeprowadzenie skazywało, i nad wolnością, jakiéj miecz Rienzego nie zdołał jéj wrócić, przyjaciel trybuna Petrarka powtórzył te posępne jęki pani narodow na nutę poważniejszą i wyższą niż szmer pieszczony zdroju Walkiuzy lub westchnienia wiatru współzakochanego w laurach.

Wszyscy ci wieszcze pojawili się jednocześnie jako uosobienie sumienia swéj ojczyzny i głos jéj wewnętrznych uczuć. Dzięki im nikt nie mógł zarzucić Italii, iż jest niemą albo nieczułą, iż starodawna kraina Pitagorasa i Danta nie odpowiada dźwiękiem na każdy

nowy promyk nadziei jak ów kolos Memnona, co śpiewał pod słonecznym promieniem.

Ale dziś nic podobnego widzieć się nie daje. Słyszymy huk dział, ale żadnéj w jego przestankach zwrotki, czytamy siła proklamacyi, ale żadnéj prawdziwie natchnionéj stronnicy, słyszymy wrzawę tłumów; ale nigdzie ich pieśni, — téj pieśni, która się budzi w sercu narodów jak echo we wielkim kościele w chwilach gdy spotęgowane czucie dozwala mu się ogarnąć i zmierzyć własną przestroność.

Tak, zaprawdę, słuszna stokroć i sprawiedliwa zwyż przytoczona skarga! Od początku obecnéj wojny włoskiéj żaden się nie pojawił wieszcz, żaden nawet pisarz wyższego rzędu: nie mówimy bowiem o dziennikarzach, tych Italji nie brak, owszem, wpadła w chorobliwą i zastraszającą w tym względzie płodność; ale dziennikarze nie są pisarzami, tak jak dziennikarstwo nie jest literaturą. — Ojczyzna Alighierego i Petrarki, wstrząśniona do głębi wnętrzności od Alp do Libijskiego przylądka, czuje tylko tém bardziéj próżnię i niepłodność swego macierzyńskiego pana. Obok najpopularniejszéj jéj postaci, obok téj, którą zapał i wyobraźnia ludowa czynią teraz niejako epicznym środkiem i osią wypadków, któż, pytam, występuje? Oto — rzecz niesłychana dotąd w odradzającym się narodzie, — występuje cudzoziemski pisarz — spekulant, rzucający się na ludowego bohatera jak na samokupny towar, by wysnuć zeń zawczasu wątek, do którego inni mogliby rościć prawo; a co dziwniejsza może jeszcze, żaden ojczysty głos nie protestuje przeciwko przywłaszczeniu, nie popisuje się ze szlachetnem współubieganiem o narodową własność: wszystkie się szeregi pokornie rozstępują, a cudzoziemski Homer wiedzie bez przeszkody Odysa swego na skalistą Itakę, zkąd go sam nie kto inny ma

znowu wyprowadzić na gachów Penelopy w następnym roku i rozdziale.

Rzym w grudniu.

Rzadko który rok jak ten co zmierza do swego kresu miał do przekazania swemu następcy równie okwity spadek pragnień i nadziei, równie zasobny zbiór plennych na przyszłość zawiązków...Nie był on może przez się twórczą epoką w dziejach świata, bo nic stałego i zupełnego nie zostawia po sobie schodząc między cienie, ale mnóstwo dawniejszych zarodów rozwinęło się w nim, dojrzało i przygotowało do przyszłorocznego rozkwitu. Obalając więcéj niż budując był to rok przesilenia i przejścia, niby długi portyk prowadzący z szóstej do siódméj dekady dziewiętnastego stulecia, który bieżące pokolenia niezatrzymując się mijały, by tém rychléj dotrzeć do mety niknącéj po za kolumnadą i przysłonionéj dotąd sinemi mgłami przyszłości. Jak rodzina Lota uciekająca z Sodomy, nikt z przechodniów minionego roku nie wypoczywał, nikt nieoglądał się na wstecz, albowiem oczy wszystkich były naprzód zwrócone, i każdemu się czas dłużył; pośpiech był panem tego roku; cechował on każdy krok i każde słowo, obiegał świat dymiącą parą i telegraficzną iskrą, i latał na skrzydłach niezliczonych broszur, bo czasu na czytanie sporych ksiąg nie stawało. Kto z nieubieżanéj dotąd dali przyszłości obróci się ku tegorocznemu okresowi i spojrzy nań spokojném okiem: temu przedstawi on podobieństwo do olbrzymiéj gonitwy, wyda się w martwości i skamieniałości niecofnionych czasów jedną z tych płaskorzeźb, na których starożytni wyobrażali pompy swoich bogów, a w których wszystkie osoby postępują jednym trybem w jednym kierunku, i wszystkie patrzą

w jednę stronę, zkąd dmucha wiatr przyszłości wzdymający jednakowe ich marmurowe draperie.

I czemuż ta przyszłość większy może urok wywierała na rok 1860 niż na inne lata, czemu świeci na czole 1861 na wzór tajemniczéj gwiazdy, co prowadziła wschodnich mędrców ku stajence hebrajskiego Dzieciątka? Czemu ludy bieżące na jéj spotkanie przedstawiają właśnie ten widok, który pozwoliliśmy sobie usymbolizować powyżéj? — Oto dla tego, że w narodach budzi się poczucie własnych praw i godności, a to nagłe objawienie, ten wewnętrzny rozbłysk gwiazdy przewodniéj rozświeca przed niemi nowe obszary, wytyka niepochodzone dotąd gościńce, na których chwiejące ich i niepewne stopy zaczynają się utwierdzać i jak namaszczone członki starożytnych biegunów naprężać do olbrzymiego zawodu, pochłaniając zawczasu przestrzeń niezmierném sił wytężeniem, oto dla tego, że wolność, boska mieszkanka sumień, pustelnica ukryta w ich tajniach i zamurowana nieraz zewnętrznemi zapory, użalać się zaczyna jak Aldona nieśmiertelnego wieszcza, i że ten głos z wieży protestujący przeciwko czynom dokonanym i narzekający na zgrzybiałą niesprawiedliwość ma własność trąby Jerychońskiéj; oto dla tego że w kole chrześciaństwa, w cieniu krzyża wyciągającego swe ramiona od wschodu do zachodu, pogańskie zasady i czyny koczują tylko, ale wiekuistéj nie mają gospody, bo chociaż im Bóg dozwala niekiedy rozpierać się i panoszyć na przestrzeni ziemi, to przestrzeń czasu nie da się zagarnąć pod ich panowanie, a przyszłość nie do nich należy: należy ona do krzyża, godła swobody, którego rozpostarte ramiona położyły się wskróś czasów nieuniknionym kresem dla wszelkiego niegodziwego przywlaszczenia i długowiecznéj nieprawości, rozgraniczając na zawsze prawo od dokonanego czynu, wytrwałe nadzieje od uporczywych zbrodni; należy ona

do krzyża, to jest do cierpiących a nie do zadających gwałty, do wydziedziczonych, do odkupionych, do narodów... Są epoki, w których narody te żywiéj i głębiéj siłę powyższych prawd a przeto i swą własną czują; epoki zaś poczucia sprawiedliwości przytykają zwykle do epok jéj wymiaru, a ztąd i odnowienia świata. Rok co się kończy do pierwszych niewątpliwie należał; świa tem rządząca loika Opatrzności każe nam tuszyć, iż następny wnijdzie w poczet drugich, iż rozpocznie miłościwe lato dla cierpiących społeczeństw...

Odmiany takie i przeobrażenia nie zdają się niepodobnemi ilekroć się na Rzym spogląda. Rzym symbolizuje po wszystkie czasy zwycięztwo moralnéj siły nad zwierzęcą, wolności nad fatalizmem i niewolą. Dostarcza on wszelkiemu myślącemu człowiekowi nieprzebranego wątku do porównań i zestawień, których świetnym wynikiem bywa nieprzeparta wiara w to zwycięztwo, jasnowidzenie jakieś i wszechobecność tryumfu. On to wieszczowi cierpienia i przeczucia natchnął tę ostatnią wieszczbę o przyszłości, którą dawniéj powtórzyliśmy niemal całą w téj saméj kronice *Dodatku:*

Jak z tych katakumb co leżą pod spodem
Krzyż wyszedł zwycięzko,
Zwycięzkim z grobu wyjdziemy pochodem
Nieśmiertelni klęską..

Same doroczne uroczystości, jakie chrześcianie obchodzą, dodają wagi i mocy tym milczącym wyroczniom wiecznego miasta. Przechodząc w dzień Bożego Narodzenia koło malowniczych zwalisk pałacu Cezarów niepodobna sobie nieprzypomnieć, iż z tych to zburzonych ścian, co dzikie zarośla rozpierają zewsząd węzlistemi korzeniami a pokrzywy posiadły, wyszedł dekret Augusta, co sprowadził do Betleemskiéj stajenki Dziewicę

z Nazaretu. Swetoniusz w żywocie Wespazjana pisze iż w onym czasie upowszechniło się było mniemanie, że przybylec z Judei owładnie puściznę Cezarów, a dworacy chętnie tę wróżbę do Flawiusza stósowali. Dziś wróżba spełniona, ale pokazało się, iż tym przybylcem nie był Flawjusz Wespazyan ani żaden Cezar, lecz Dziecię ze stajenki, boski ustanowiciel wolności i równości, którego żłób odbiera czołobitność świata o krok jeden od pałacu Cezarów, pełnego rumu i chwastów godła samodzierztwa i niewoli. . Obelisk u grobu Augusta stoi przed świątynią żłobu i głosi swym napisem wyswobodzenie samych głazow: *Christi in aeternum viventis incunabula laetissimus colo, qui mortui sepulcro Augusti tristis serviebam*...

Wszystko tutaj na Boże Narodzenie układa się odpowiednio tym wspaniałym pamiątkom, a całe miasto przybiera piętno niezwykłéj uroczystości...mnodzy pielgrzymi ciągną do bazyliki *Santa-Maria-Maggiore* dla uczczenia wystawionego tam Betleemskiego żłobu... Przestrona świątynia, jeden z najokazalszych zabytków chrześciańskiéj sztuki, przedstawia uroczy obraz w noc Narodzenia Pańskiego. Pielgrzym przebiegłszy kręte wązkie ulice i puste okryte winnicami wzgórze Eskwilinu, które wówczas głębokie ciemności powlekają, ażeby się dostać do samotnego gmachu papieża Libera, zostaje olśnionym gdy przestępuje próg jego. Środkowa nawa oświetlona *a giorno* lśni się cała gdyby apoteoza betleemskiéj szopki wymalowana złotem i emaliowanemi farby przez pobożnego malarza z pierwotnéj florenckiéj szkoły. Rzeźbiony pułap wyzłacany pierwszym z Ameryki kruszcem, co Ferdynand i Izabella po jéj odkryciu przysłali, odbija rzęsiste promienie i zamienia je w szeroką łunę, w roztop światła, w otwarte jakoby niebiosa, zkąd zalatywał niegdyś do przebudzonych pasterzy śpiew rajskich chórów: *chwała na wysokościach*

a pokój na ziemi! Przez zaprószone światłem, pełne złocistych atomów wnętrze, śnieżne, zwierciadlane, strzeliste kolumny ze świątyni Junony idą we dwa rzędy równym, rytmicznym, tryumfalnym pochodem w głąb kościoła, niosąc każda w łonie pęki promieni jak to złoto, co trzéj królowie nieśli Nowonarodzonemu; głąb zaś zasuta litą bizantyńską mozaiką umajoną kolorowemi anielskiemi postaciami skupia blask całego kościoła w jedno płonące ognisko, i znów zda się go rozkładać na pryzmatyczne tęcze, na wielobarwny rozkwit światła wkoło wystawionych na wielkim ołtarzu jasełek... Na dworze zaś słychać jakąś osobliwą, dziką, zarazem tęskną i radośną melodiję, która się wciska pod błyszczące sklepienia świątyni i rozegrywa po jéj odgłośnych marmurach: jestto muzyka apenińskich pasterzy przybiegłych z kobzami i dudami kolendować Małemu: cały ten jasny obraz *Noc Bożego Narodzenia* godny pendzla Corregia poety światłości, oprawią się na zewnątrz w największe, jak wspomnieliśmy, dziejowe pamiątki, a obeliski, łuki, wodociągi, cyrki, termy i zagrzebany w ciemnościach pałac Cezarów ze swoim chórem żałośnych puszczyków i sykiem gadów w omszałych gruzach, tworzą wkoło Betleemskiéj apoteozy przeciwieństwa, które fantazja poety lub malarza w najmisterniejsze obrazy szykować może...

To napomknienie o malarstwie przeprowadza mię od razu do malowidła, o którem wspomnieć pragnę przed zamknięciem niniejszego listu, ostatniego, jaki do *Dodatku* pisać mi jest daném. Nie chodzi tu wcale o utwór naszego ziomka: sztuka jak religija nie ma właściwéj ojczyzny, a narodowość mistrza nie dodaje w oczach moich przedmiotowéj wartości jego płodem. Nie mowa tu także o dziele współczesnego nam malarza, bo na moje nieszczęście jestem pessymistą w wyobrażeniach moich o dzisiejszéj sztuce, i dopóty nie pozbędę mych

uprzedzeń, aż się przekonam, iż trafiają się dziś natchnienia dorównywające dawnym. Zanim zaś to nastąpi, zabieram się wzmiankować drżącą ręką i z pochyloném czołem o *nowym* obrazie mistrza mistrzów boskiego Rafaela... Podobne odkrycia są równie wielkiemi jak rzadkiemi wypadkami, a możecie być z góry pewni, że to wszystko co głoszą o wychodzących na jaw rafaelowskich malowidłach, co powtarzano jeszcze niedawno o jedném czy dwóch nabytych przez ziomków naszych, jest wierutną bajką, taką, co chyba daleko od Włoch mamić potrafi łatwowiernych.— Obraz o którym mówię, znajduje się w téj chwili w Rzymie, to jest niejako u siebie w domu i w gronie bratnich arcydzieł, jakiemi niezrównany Sanzio zaludnił pustki miasta Cezarów; ale sam jest tylko gościem, przybylcem z daleka, bo daleko się był zabłąkał, a świat o nim dawniéj nie wiedział i dopiero od lat kilku Europa się wzruszyła na jego widok. Przez dziwne przechodził on koleje, o których nie miejsce się tutaj rozpisywać; dość będzie natrącić, iż wywieziony w niewiadoméj epoce, a bodaj czy nie przed dwustu laty do Anglii, pokutował niepoznany jak król *incognito* wędrujący po różnych prywatnych galerjach Albionu, i niewiem czy mgły tameczne czy też bielmo wielko-brytańskich znawców nie dozwoliły mu rozbłysnąć w całéj chwale i twórcę swego objawić. Dopiero na publicznéj licytacyi w 1850 r. dostał się lubownikowi, który zmysł swój artystyczny zaostrzył był na celniejszych płodach italskiéj sztuki podczas długiego pobytu na półwyspie, panu Morris Moore. Rząd angielski opatrzył się, ale po niewczasie, iż nieocenione arcydzieło z rąk mu umknęło. Gdy zaś nabywca odmówił ofiarowanych sobie sum by je odstąpić, nie szczędzono mu różnorodnych prześladowań, i przeto podczas gdy wartość obrazu niemniéj jak tępość i niedbalstwo rządu stawały się przedmiotem namiętnych

sporów w parlamencie, p. Moore rozjątrzony kabałą swoich wrogów opuszczał ojczyznę, którą był sobie całkiem sprzykrzył, i udawał się w podróż po zachodniéj i południowéj Europie ze swoim artystycznym skarbem, któremu się był poświęcił z wyłącznością, z jaką się myśliciel oddaje swéj utopji, lub z jaką średniowieczni rycerze służyli pani swoich myśli. Jakoż jestci coś rycerskiego w takiém poświęceniu się dla martwéj nawet rzeczy, gdy ta rzecz jest wyrazem niepożytéj myśli i nieumierającego piękna, gdy na końcu Platonowego łańcucha, który duszę rapsody jakiegobądź rodzaju wiąże do siebie jak złote ogniwo, obecnym jest duch mistrza, którego pociągowéj władzy ani grób ani wieki zwątlić nie zdołały. Wszystkie niemal europejskie stolice oglądały przywrócone dziennemu blaskowi dzieło Rafaela, a najwięksi żyjący artyści, najpoważniejsi rzecznicy tegoczesnéj krytyki powitali je z uniesieniem i rodowód jego poparli dowodną polemiką i nieodpartemi świadectwy po czasopismach rozrzuconemi. Obecnie p. Moore bawi w Rzymie i chętnie swój obraz pokazuje gościom.

Jestto nie wielka tablica z topolowego drzewa, na któréj Rafael przedstawił *Apollina i Marsyasa.* Że mistrz z Urbinu a nie kto inny jest twórcą tego obrazu, przeświadczają nas krom estetycznych dowodów z saméj sztuki zaczerpniętych, dwa inne zewnętrzne również niezaprzeczalne: w akademii sztuk pięknych w Wenecyi istnieje karton Rafaela będący pierwotnym szkicem téj jego pracy, a sam zaś obraz nosi złotem skreśloną na lutni Apollinowéj znaną jego cyfrę: *R. V.*, to jest *Raphael Urbinas.* Ale w braku nawet tych materyalnych pewników jeden rzut oka na przecudną tablicę wystarcza aby objawić wszelkiemu znawcy imie malarza i przytomność bóstwa, aby z ust jego jak z piersi Kumejskiéj

Sybilli wyrwać okrzyk zwiastujący Feba: *deus, ecce deus!* —

Znany jest powszechnie myt Marsyasa, zwłaszcza że mu Owidjusz cały rozdział poświęcił. Diodor opowiada iż był wynalazcą fletu o jednéj fujarce i platonicznym kochankiem Cybelli, bowiem skromność jego była tak wielką, iż umarł niezaznawszy roskoszy. Kiedy Berecyntja po zgonie Atysa w rozpaczliwém obłąkaniu obiegała fryzyjskie grody, Marsyas jéj nieodstępnie towarzyszył. Tak razem wciąż pielgrzymując dotarli wreszcie do Arabii szczęśliwéj wstąpili do Nysy rządzonéj naówczas przez Bachusa. Tam spotkali Apollina, a bóg pieśniowładny wyzwał na dźwięki nowego przybylca. Marsyas stanął do tego harmonijnego pojedynku z fletem swoim, Apollo zaś z cytrą złotostrunną. Muzy „zacienione powietrzem,“ jak powiada Heziod, składały sąd polubowny. Zrazu Marsyas przemógł swojego przeciwnika, ale gdy bożek Delfów głos nieśmiertelny zlał ze strun swych brzmieniem, został jednomyślnie obwołany zwycięzcą tak od sióstr dziewięciorga jak od przysłuchujących się tym śpiewnym zapasom Nyssyjczyków. Wówczas folgując gniewowi, co częstokroć ożywcze jego promienie zamienia w mordercze strzały, syn Latony rzucił się na nieszczęsnego współzawodnika i uwiązawszy go u sosny czy też u jaworu, który podług świadectwa Pliniusza za jego jeszcze czasów na drodze do Apamei oglądano, oszyndował go, czyli, wedle przepysznego porównania Danta, wyciągnął jak miecz ze skórnéj pochwy.

Rafael odrzucił traiczne rozwiązanie greckiego podania mogące zaciemnić uprzytomnieniem materialnego gwałtu zwycięztwo, jakie się całkiem wyższości pieśni należy. Koniec walki usymbolizowany jest jedynie w jastrzębiu unoszącym ptaszynę, który się nad głową bożka waży i w krwawych zatrutych jagodach pokrzyku, co

u nóg Marsyasa wyrasta, a znany starożytnym pod imieniem jednéj z park *Atropos* uważany był przez nich za godło śmierci. Ale przewaga pieśni niebieskiéj nad pieśnią ziemską wybitniéj niż w tych symbolicznych znakach uważana jest w samém uosobieniu, obojéj w samych postaciach współzawodników. Rafael wymalował jednę obok drugiéj obie melodje rajską i znikomą, albowiem malowana muzyka równie jak grająca rzeźba i grane obrazy nie są niepodobieństwem dla jeniuszu, a kto wtajemniczon w tajnie sztuki, ten słyszy okiem i widzi uchem, bo przełożenie zmysłów i zatarcie różnicy w ich czynnościach jest cudem zwyczajnym doskonałemu pięknu. Piękno to w obu rywalach jest zupełném, ale na odmienności właśnie jego dwoistego wyrazu zależy różnica obu: Marsyas jest pięknym po ziemsku, Apollo zaś po niebiańsku. Jeśli uroda pierwszego zda się podrzędną, to jedynie przez to, iż marmur chyba Fidjaszów mógłby chodzić o krasę z drugim Fletnista usiadł na kamieniu przydróżnym, bo ziemska pieśń jest znojem. Cała jego postawa wyraża trud i wewnętrzne ducha zapasy: sili się, robi piersiami, napręża członki, spuścił oczy, utracił przytomność i świadomość swéj urody. Odwrócon od światła ukazuje się on w przejrzystéj pomroce, w cieniach niby ludzkiéj twórczości, od których utoczone brunatne jego członki nabierają podobieństwa do najforemniejszego etruskiego bronzu.

Bożek zaś stoi i słucha; cytra złotostrunna zawisła obok niego na pniu drzewa; już pięknością swoją zagłusza pieśń przeciwnika; pieśnią zaś oniemiłby go, przywiódł przedwcześnie do rozpaczy, zamącił atycką pogodę obrazu, i dla tego to Rafael, mistrz nad mistrzami, kazał Febowi słuchać aż do odwetu, i całą przegrawkę niebieskiéj pieśni jako też przyszły tryumf w pięknośći jego zawarł: nią samą bożek już zwycięża

choć głosem nie pokonał jeszcze. Jak w tamtym trud ludzki, tak w tym boski się spokój odbija; człek pracuje, bóg odpoczywa. Nieugięta linija wysokiego kostura, na którym się opiera, uwydatnia gibkość jego członków i muzyczne spadki ich zarysów, które możnaby prawie na lutni naśladować. Podczas gdy ciało Marsyasa śniedzieje w cieniu, ciało Apollina śnieży się w pełni światła; słoneczność dziennego bóstwa rozbłyska na jego marmurowéj nagości: jestto czysty promień natchnienia walczący z ciemnością przyrody ludzkiéj, a dualizmu, jaki każdy prawdziwy twórca czuje w sobie, niepodobna było nadobniéj uzmysłowić jak to Rafael uczynił w tych dwóch postaciach. Głowa Marsyasa, postrzyżona jak u niewolnika, ma za tło ziemię; kochanek Rhei spoczywa na łonie swéj kochanki; pieśń jego nie przenosi jéj wyżyn. Głowa Apollina unosi się w lazurach jak w apoteozie i zestrzela w sobie jak w ognisku piękna, światła i melodji, wszystek blask stworzenia. Powietrzna fala kołysze złotą falę jego włosów i jak wiew natchniony wzdyma na skroniach kędziory, z których śmiertelnicy upojeni czarem helleńskich mytów czuli zalatującą woń ambrozji. Cząstka też ujedwabionych promieni Feba wiąże się nad jego czołem tym greckim węzłem, który widujemy jak kwiat lub gwiazdę na głowie bóstw Hellady, a który jest śliczną próbką téj greckiéj wszechobecnéj harmonii, co to linjom nawet włosów rozpraszać się w nieładzie nie dawała; inny kosmyk, oderwany jak ucinek pieśni, motyli się za rannym wiatrem wybijając tętno wiosny na nieśmiertelnéj skroni i na zarumienionych niezwiędłą młodością jagodach. — Piękne góry krajobrazu w tę stronę się piętrzące nagłem opadnięciem swych obłoków zniżają się miłośnie przed tą zachwycającą głową, którą Rafael z głębi swéj duszy wykochał, i oddają jéj samotne panowanie nad błękitném przestworem. Oblicze

to wszakże jest całkiem własnością boskiego Sanzio; starożytność nie znała tego przeczystego ideału, co to się waży pomiędzy aniołem a dziewicą, lubo do Rafaela tylko należy. Jest on owocem chrześciańskich wyobrażeń, nagłym wzlotem skrzydlatego chrześciańskiego piękna po nad piękno greckie miarowo i rytmicznie kroczące po poziomych linijach: Starożytność, pilna przedewszystkiém miary i okrągłości, strzelistych zachwytów nie znała. „Postać ta, zauważył przedemną wymowny estetyk pan Gruyer w *Gazette des Beaux-Arts*, ma w sobie dwie natury: przypomina ona zarazem anioła z dantejskiego raju i bożka z homerowego olimpu. Apollo ten streszcza w sobie całą wiedzę przeszłości, a sam już do przyszłości należy: stopy dotykają jeszcze perużyńskiego gruntu, a pierś już się wzdyma westchnieniem, co wkrótce w Rzymie się ziści.“

Jedno z tych cieniuchnych drzewek o filigranowém liściu, w jakich Rafael lubował, wystrzela między fletnistą ziemskim walczącym z bóstwem i odchodzącym od siebie, a cytrzystą niebieskim świadomym własnéj potęgi i krasy spoglądającym na przeciwnika ze s kojną dumą. Gałęzie téj latorośli nie tamują widoku ani powietrza, co strumiennie i uczujnie *) wkoło figur krąży. Opodal zaś i w głębi otwiera się rozległy krajobraz, jeden z najmisterniejszych, jakiemi archanioł malarstwa zwykł otaczać poetów swoich niebian. Najpiękniejsza z wiosen, tchniona pełną piersią młodzieńczą, przewiewa na wskróś tę miodomleczną krainę powietrze się od niéj rozpływa, ziemi ciasno w zielonéj tkance i zewsząd rozpęka tęczowo; wszystko dokoła świeży się i kwitnie: drzewa, krzaki, łąki, światło samo, lica obu młodzian podobnież w pączku wieku i urody. Przejrzalny stok niepomny drogi wśród kwiecia

*) Fabian Birkowski oddaje wyraz *sensibilis* przez *uczujny* a Skarga przez *uczuły*.

gęstwiny wodzi zakrętnie po niéj swe błędne kryształy, wabiąc w nie uśmiechnione obrazy nieba i ziemi; daléj się wznosi zamek o ostrych wieżach, zapewne Nysa, „Nysa, jak mówi Homer, siedząca na rozzielenioném wzgórzu nad egipskiemi strumieniami;“ daléj zaś jeszcze góry roztajało w przezroczach ciepłéj atmosfery mają przejrzystość cieni szczęśliwych na Elizejskich Polach, a zawieja złotego światła otrząśniona rzekłbyś z długich pierścieni Feba, zwolna je zdmuchuje w nieskończoność. Słowem nic wdzięczniejszego, nic rozkwitlejszego nad tę istnie grecką pendzla sielankę, na widok któréj sławny Ingres zawołał: *Oto tak Grecy musieli malować!* Ta malowana pieśń wiosny, będąca jedną z najrzutniejszych improwizacyj młodości Rafaela, tém większą ma wartość, iż jest jedynym jego sztalugowym obrazem mitologicznéj treści. W *Stanzach* istnieją trzy figury Apollina; ale żadnéj z nich Sanzio nie uczuł tak po grecku, w żadną się tak nie wpatrzył całym ideałem: są to w życiu improwizacye, których się nie powtarza. Ta zaś została mu natchnioną w dwudziestym trzecim roku życia, między bonońskiemi *Zrękowinami* a *Krzyżozdjęciem* z galeryi Borghese, i znamionuje przejście artysty od pierwszego sposobu do drugiego. Wykonał ją dla zamożnego kupca florenckiego Taddeo Gaddi podczas swego pobytu nad brzegami Arno, wówczas gdy poczynał pozbywać perużyńskiéj sztywności dla przejęcia się swobodniejszym stylem Masaccia i Fra Bartolomeo, a ulegał oraz ożywczemu urokowi starożytności zmartwychwstającéj na dworze Medyceuszów, co w duszy obdarzonéj taką władzą przyswojenia i taką twórczością musiał odtworzyć niechybnie rdzenną formę Hellady. Jakże nie podziwiać wielostronności jeniuszu Rafaela, kiedy po obejrzeniu monumentalnych jego fresków znajdujemy go równie wielkim, oryginalnym i czarującym w miniaturowych prawie malowidłach jak *Widzenie*

Ezechiela, jak *Apollo i Marsyas!* Ten ostatni bowiem obraz nie jest większym od *Czasu* w jego dawnym formacie; ale dziwnie mu przystoją tak drobne rozmiary licujące wybornie z treścią: wiadomo iż Grecy, pilni miarowości i środka we wszystkiém, nic nie tworzyli na olbrzymią skalę, a typiczną ideę ich świątnic ujętą tak harmonijnie w rytm kolumnady jak doskonała skończoność...

Ale słyszę jak wybija ostatnia godzina 1860 roku, a rok nowy zastaje mię jeszcze u kolan Rafaela, boskiego twórcy *Przemienienia*... Może to mię przeczucie przy nim zatrzymało?... Jakkolwiekbądź, czuję że rola moja jako pisarza *kroniki rzymskiéj* kończy się z *Dodatkiem*, i że podobnie zawodnikom Lukrecjusza, tak mnie jako i moim kolegom, a mianowicie paryzkiemu co najwierniéj ją trzymał, przystoi oddać lampę żywota w inne ręce... Aby przynajmniéj zielona okładka *Dodatku* stała się rutą na jego mogile i na popiołach naszych okresów, a z pod téj ruty nie dobywał się zagrobowy nasz głos kronikarski wyrzucający publiczności, iż czasopismu polskiemu upaść dała!... Wszelako ufni w niechybną zgryzotę, a ztąd i w zadośćuczynienie czytelników, nie tracim nadziei na przyszłość: może i nam w wielkiéj literackiéj palingenezyi danem będzie odrodzić się pod innym kształtem... Na teraz zaś kończąc winszujemy *Czasowi* nowego roku i znakomitego powiększenia. Wprawdzie obyczajem imiennika swego Saturna pożera on swe dziecię, swój *Dodatek*, ale za to się sam pokrzepia, rozrasta, i można doń zastosować herbowne hasło sabaudzkiego domu: *Crescit eundo*.

KONIEC TOMU DWUDZIESTEGO I OSTATNIEGO.

Ant, Kłobukowski Redaktor odpow. — Ant. Rother, Rządca druk.

Konice